

REDAKCJA I WYBÓR

# GEORGE R.R. MARTIN



BRUDNE  
GRY

Redakcja i wybór

# GEORGE R.R. MARTIN

## BRUDNE GRY

**Powieść mozaikowa**

**Autorzy:**

John J. Miller  
Roger Zelazny  
Leanne C. Harper  
Arthur Byron Cover  
Melinda M. Snodgrass  
Edward Bryant  
Stephen Leigh  
Pat Cadigan  
Walter Jon Williams  
George R.R. Martin

Przełożył

Michał Jakuszewski

---

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

---

Tytuł oryginału  
*Wild Cards V: Down and Dirty*

Copyright © 1988 by George R.R. Martin and the Wild Cards Trust

Copyright © 2016 for the Polish translation by Zysk i S-ka  
Wydawnictwo s.j., Poznań

Cover art copyright © Michael Komarck

Opracowanie graficzne okładki  
Mariusz Kula

Redaktor  
Robert Cichowlas  
wydanie elektroniczne lesiojot

Wydanie 1

ISBN 978-83-65521-85-9

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90

**Dla Laury Mixon**

**Wszystkim nam Ciebie brak**

## Do czytelników

W świecie rzeczywistym zawsze tysiące historii rozgrywają się jednocześnie. A my staramy się uczynić świat dzikich kart tak realnym, jak to tylko możliwe.

Poprzedni tom cyklu, *Wyprawa asów*, opisywał dzieje zorganizowanej przez Światową Organizację Zdrowia podróży wokół ziemskiego globu, która opuściła Nowy Jork pierwszego grudnia roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego i wróciła dwudziestego dziewiątego kwietnia roku następnego.

Pierwsza część tego tomu opowiada o wydarzeniach, które rozegrały się od października, gdy wyprawa jeszcze się nie zaczęła, aż po ostatnie dni kwietnia, kiedy jej pełna przeszkód wędrówka wreszcie się zakończyła.

Pozostałe części obecnej mozaiki są relacją z wydarzeń rozgrywających się w maju i czerwcu, gdy podróżnicy wrócili już do domów.

**Październik 1986 - kwiecień 1987**

**Tylko umarli  
znają Dżokerowo**

JOHN J. MILLER

**I**

Brennan wędrował przez jesienną noc, jakby był jej częścią, czy może jakby ona była częścią jego.

Jesień przyniosła ze sobą chłód, przypominający mężczyźnie góry Catskill, choćby tylko jako ich blady cień. Tęsknił za nimi chyba najbardziej ze wszystkiego, ale dopóki Kien żył, pozostawały dla niego równie nieosiągalne, jak duchy nieżyjących przyjaciół oraz kochanek, ostatnio prześladowające go w snach. Kochał góry równie mocno, jak wszystkich ludzi, których zawiódł w ciągu minionych lat. Któż jednak mógłby pokochać brudne, ciągnące się bez końca miasto? Któż mógłby je poznać, czy choćby poznać samo Dżokerowo? Z pewnością nie on. Niemniej obecność Kiena wiązała go z tym miejscem równie mocno, jak łańcuchy z adamantytowej stali.

Przebiegł ulicę i znalazł się na ciągnącym się przez pół przecznicy wysypisku graniczącym z Kryształowym Pałacem. Szósty zmysł myśliwego pozwalał mu postrzegać śledzące go spojrzenia. Przesunął torbę, w której niósł rozmontowany łuk, do wygodniejszej pozycji, nie po raz pierwszy zadając sobie pytanie, jakiego rodzaju stworzenia uczyniły sterty śmieci swoim domem. Raz czy dwa usłyszał ciche szelesty, które nie były głosem wiatru, ale nikt nie próbował go zatrzymać, gdy dotarł do zardzewiałych schodów przeciwpożarowych, umocowanych na tylnej ścianie Kryształowego Pałacu. Wspiął się bezgłośnie na dach, przeszedł przez system bezpieczeństwa, który sprawiłby mu kłopoty, gdyby Poczwarzka nie podała mu hasła, i szedł przez zapadnię na drugie piętro budynku, będące prywatną domeną właścicielki. W korytarzu panowała nieprzenikniona ciemność, ale pamięć pozwoliła mu ominąć delikatne stoliki zastawione antycznymi bibelotami i dotrzeć do sypialni Poczwarzki. Nie spała. Siedziała nago na swej pluszowej kozetce koloru czerwonego wina i stawiała pasjansa za pomocą talii antycznych kart.

Przyglądał się jej przez chwilę. Słaby różowy blask lampy od Tiffanyego podświetlał jej szkielec, ledwie widoczne mięśnie, narządy wewnętrzne oraz sieć naczyń krwionośnych. Brennan patrzył, jak szkielec jej ręki przerzucił talię i wyciągnął asa pik.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Uśmiech Poczwarzki był zagadką, podobnie jak ona sama. Trudno było cokolwiek odczytać z jej warg oraz widmowych plam mięśni policzków i zuchwy - jedynych widocznych elementów twarzy dżokerki. Dlatego mógł oznaczać każdą z tysiąca różnych rzeczy, jakie zwykle wyraża uśmiech. Brennan postanowił zinterpretować go jako przywitanie.

- Długo cię nie było. - Obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. - Tak długo, że zacząłeś zapuszczać brodę.

Zamknął za sobą drzwi i postawił torbę z łukiem pod ścianą.

- Miałem interes do załatwienia - odparł cichym, głębokim głosem.

- Tak. - Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, aż wreszcie mężczyzna nie był w stanie dłużej ignorować zawartej w nim groźby.

- A pewne jego elementy weszły w konflikt z moim interesem.

Nie mogło być wątpliwości, co miała na myśli. Kilka tygodni temu, podczas Dnia Dzikiej Karty, Brennan wtargnął na zorganizowane przez Poczwarkę spotkanie, mające umożliwić przekazanie z rąk do rąk kilku bardzo wartościowych księzek. Jedną z nich był osobisty dziennik Kiena. Brennan miał nadzieję, że znajdzie w nim dowody, które pozwolą mu wreszcie przygwoździć sukinsyna. Książka okazała się jednak bezwartościowa. Wszystko, co w niej napisano, uległo zniszczeniu.

- Przykro mi - odparł. - Potrzebowałem tego dziennika.

- Tak - powtórzyła. Widmowe mięśnie poruszyły się w jej twarzy w sposób sugerujący zmarszczenie czoła. - I przeczytałeś go?

- Tak - odparł Brennan po trwającym mgnienie oka wahaniu.

- I czy miałbyś coś przeciwko temu, by podzielić się zawartymi w nim informacjami?

To było raczej żądanie niż prośba. Mężczyzna doszedł do wniosku, że gdyby powiedział jej prawdę, nie przyniosłoby to nic dobrego. Zapewne doszłaby do wniosku, że Brennan próbuje zatrzymać wszystko dla siebie.

- Być może.

- W takim razie pewnie mogłabym ci wybaczyć - oznajmiła bez zbytej wyrozumiałości w głosie. Zebrała karty, powoli i ostrożnie z uwagi na ich wiek oraz wartość, a następnie położyła je na stoliku na pajęczych nóżkach, stojącym przy kanapie. Potem odchyliła się ospale. Jej brodawki sutkowe kołysały się na niewidzialnych piersiach, których ciepły dotyk Brennan znał doskonale.

- Coś ci przyniosłem - oznajmił pojednawczym tonem.

- To nie są informacje, ale coś, co może ci się spodobać prawie tak samo.

Usiadł na brzegu kanapy, sięgnął do kieszeni dzinsowej kurtki i wręczył Poczwarce małą, czystą kopertę. Kiedy Poczwarka wyciągnęła po nią rękę, jej ciepłe, niewidzialne udo musnęło udo Brennana, a potem oparło się o nie.

- To jest Penny Black - wyjaśnił, gdy uniosła pod światło pergaminową kopertę. - Pierwszy znaczek pocztowy na świecie. W doskonałym stanie. W związku z tym dość rzadki i w związku z tym raczej wartościowy. Portret przedstawia królową Wiktorię.

- To bardzo sympatyczne - stwierdziła. - Nie będę pytała, skąd go masz.

Brennan uśmiechnął się w odpowiedzi, nie odzywając się ani słowem. Zdawał sobie sprawę, że Poczwarka doskonale wie, w jaki sposób go zdobył. Poprosił o niego Zjawę, gdy przeglądali pełne rzadkich znaczków klasery, które zwinęła z sejfu Kiena, tego samego, z którego ukradła jego dziennik, wczesnym rankiem Dnia Dzikiej Karty. Zjawa zasmuciła się, że Brennan nie znalazł w bezwartościowym dzienniku tego, czego szukał, i z chęcią dała mu znaczek, gdy tylko o niego poprosił.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba - rzekł Brennan. Przeciągnął się gdy kobieta położyła kopertę na talii kart. Miał za sobą długi dzień i czuł się zmęczony. Podszedł do stolika ustawionego przy łożu z baldachimem i unióś karafkę irlandzkiej whisky, którą Poczwarka

trzymała tam dla niego. Popatrzył na naczynie, zmarszczył brwi, odstawił je i wrócił do siedzącej na kozetce kobiety.

Przysunęła się bliżej i nakryła go swym ciałem. Napawał się piżmową, seksualną wonią jej perfum, przyglądając się krwi płynącej przez tętnice szyjne.

Uznałeś, że jednak nie chcesz się napić? - zapytała cicho.

- Karafka jest pusta.

Poczwarka odsunęła się lekko, spoglądając w jego pytające oczy.

- Ty pijesz tylko amaretto.

To nie było pytanie, a tylko stwierdzenie faktu. Skinęła głową.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, chciałem od ciebie tylko informacji - stwierdził z westchnieniem Brennan.

- Nie pragnąłem związku z tobą. Ty go zaczęłaś. Jeśli on ma trwać i przerodzić się w coś znaczącego, muszę być jedynym mężczyzną w twoim łóżku. Taki już jestem. Inaczej nie potrafię się zaangażować.

Gapiała się na niego przez kilka sekund, nim wreszcie odpowiedziała:

- To nie twoja sprawa, z kim śpię - wycedziła z brytyjskim akcentem. Brennan miał świetne ucho do języków i potrafił rozpoznać fałszywą nutę.

Skinął głową.

- W takim razie lepiej będzie, jak sobie pójdę.

Wstał i zwrócił się ku wyjściu.

- Zaczekaj. - Ona również się podniosła. Przez długą chwilę patrzyli na siebie nawzajem.

- Przynajmniej się napij - odezwała się wreszcie pojedynczym tonem. - Zejdę na dół i napełnię karafkę. Potem sobie łykniesz i... porozmawiamy.

Brennan czuł się zmęczony, a w Dżokerowie nie było żadnego innego miejsca, które chciałby odwiedzić.

- W porządku - zgodził się cicho.

Poczwarka owinęła się w jedwabne kimono, na którym wyszyto jęczyczki dymu w kształcie cwałujących koni, i oddaliła się z uśmiechem, raczej nieśmiałym niż zagadkowym.

Mężczyzna zaczął spacerować po pokoju, przyglądając się własnemu odbiciu w niezliczonych antycznych lustrach wiszących na ścianach sypialni. Powtarzał sobie, że powinien stąd pójść i zostawić ją samą, ale Poczwarka poza łóżkiem była niemal równie fascynująca jak w nim. Uświadamiał też sobie, że potrzebuje jej towarzystwa, a musiał przyznać, że również jej miłości.

Minęło z górą dziesięć lat, odkąd ostatnio pozwolił sobie na pokochanie kobiety. Po przybyciu do Dżokerowa przekonał się jednak, że uczucia, na które sobie pozwala, nie są jedynymi, które czuje. Nie mógł żyć wyłącznie nienawiścią. Nie był pewien, czy potrafi pokochać Poczwarkę tak, jak kochał swą francusko-wietnamską żonę, którą odebrali mu zabójcy Kiena. Nie chciał kochać żadnej kobiety, dopóki go nie dopadnie, lecz bez względu na całą jego determinację i na ćwiczenia zen, to czego chciał, nadal bardzo się różniło od tego, co działo się naprawdę.

Czekał bez słowa w sypialni Poczwarki, starając się nie myśleć o przeszłości. Minęło sporo minut, nim w końcu się zorientował, że kobieta powinna już wrócić.

Zmarszczył brwi. Było niemal niewyobrażalne, by cokolwiek złego mogło się jej przydarzyć w Kryształowym Pałacu, ale wyuczona ostrożność, która uratowała mu życie już tyle razy, że wolał tego nie liczyć, kazała mu zmontować łuk i zejść za nią na dół. Poczucie się głupio, jeśli wpadnie na nią w ciemności, ale to z pewnością nie będzie pierwszy raz. Lepiej poczuć się głupio, niż poczuć się martwym. A to drugie wrażenie również poznał znacznie lepiej, niżby tego pragnął.



Nie było jej na korytarzach na drugim piętrze ani na schodach prowadzących do baru, ale skradając się nimi w dół, usłyszał jakieś szepty.

Wyjął strzałę z kołczanu, nałożył ją na cięciwę i wyjrzał zza rogu schodów wychodzących na zaplecze baru. Zazgrzytał zębami. Miał rację, będąc ostrożnym.

Poczwarka przystanąła za długim kontuarem z gładzonego drewna, zajmującym niemal całą długość pomieszczenia.

Pusta karafka na whisky stała zapomniana na barze. Kobieta skrzyżowała ramiona na piersiach i zaciskała szczękę. Jej usta zmieniły się w ciemną, gniewną linię.

Dwaj mężczyźni stali po obu jej stronach, a trzeci patrzył prosto na nią zza ustawionego przed barem stolika. W pomieszczeniu paliła się tylko nocna lampa umieszczona nad kontuarem i Brennan nie dostrzegał zbyt wielu szczegółów w półmroku, ale cała trójka intruzów miała twarde, groźne twarze. Ten, który siedział naprzeciwko niej, bębnił palcami w blat obok leżącego na nim chromowanego pistoletu.

- Doprawdy - mówił cichym, lecz niebezpiecznie brzmiącym głosem - chcemy tylko uzyskać pewne informacje. To wszystko. Nawet nikomu nie powiemy, od kogo je dostaliśmy.

- Oparł się wygodnie na krzesło. - Wkrótce zacznie się wojna, a my nie znamy nazwiska człowieka, którego powinniśmy zaatakować.

- Myśli pan, że ja je znam?

Brennan usłyszał w głosie Poczwarki nutę gniewu, lecz zauważył również kryjący się pod spodem strach.

Siedzący za stolikiem mężczyzna uśmiechnął się.

- Wiemy, że znasz, laleczko. Nic, co dzieje się w tym zasranym Dżokerowie, nie ukryje się przed tobą. A my wiemy tylko tyle, że ktoś połączył te wszystkie groszowe gangi w coś zwanego Towarzystwem Widmowej Pięści. A teraz oni wtargnęli na nasze terytorium, odbierają nam klientów i pozbawiają zysków. To musi się skończyć.

- Nawet gdybym znała to nazwisko - odparła Poczwarka, kładąc wyraźny nacisk na słowo „gdybym” - kosztowałoby to pana więcej, niż jest pan w stanie zapłacić.

Siedzący za barem mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie zrozumiałaś, laleczko. To jest wojna. A jeśli nadal będziesz trzymała język za zębami, to z pewnością będzie cię kosztowało więcej, niż jesteś w stanie zapłacić. - Umilkł na chwilę, by jego słowa do niej dotarły. Nie przestawał bębnić palcami w blat. - Sal - odezwał się po chwili, wskazując głową na faceta stojącego po prawej stronie Poczwarki. - Zastanawiam się, czy na tej jej sławnej niewidzialnej skórze robią się blizny?

Sal zastanawiał się przez chwilę nad tą kwestią.

- Sprawdźmy to - odezwał się wreszcie. Coś cicho trzasnęło i Brennan zobaczył słaby błysk ostrza noża. Mężczyzna pomachał nim przed twarzą Poczwarki, która wsunęła się trwożnie w bar. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale drugi napastnik, stojący po lewej, zamknął jej usta urękawiczoną dłonią. Sal parsknął śmiechem. W tej samej chwili Brennan wyprostował się i wypuścił strzałę, którą miał na cięciwie. Trafiony w plecy Sal przeleciał przez kontuar. Nikt nie miał pojęcia, co się wydarzyło, poza, być może, Poczwarką. Intruz siedzący za stolikiem złapał za pistolet i zerwał się na równe nogi. Brennan spokojnie przeszył strzałą jego szyję. Zbir trzymający Poczwarkę wykrzyczał wiązaną przekleństw i sięgnął pod marynarkę, by wyciągnąć broń utrzymaną w kaburze po pachę. Brennan postrzelił go w prawe przedramię. Mężczyzna wypuścił broń i odwrócił się od Poczwarki, gapiąc się na aluminiową myśliwską strzałę, która przeszła jego rękę.

- Jezu, o Jezu - mamrotał.

Schylił się po pistolet.

- Jeśli go dotkniesz, następną strzałą oberwiesz w prawe oko - ostrzegł go ukryty w mroku Brennan.

Oprych rozsądnie wyprostował się i oparł o bar. Nadal jęczał, ściskając ranioną kończynę.

Brennan wyszedł w rozproszone światło nocnej lampy wypełniające pomieszczenie. Napastnik gapił się na strzałę o ostrym jak brzytwa grocie, nałożoną na cięciwę łuku.

- Co to za faceci? - zapytał Poczwarkę w krótkich, ochrypłych słowach.

- Mafia - odparła głosem słabym z napięcia i strachu.

Brennan skinął głową, nie odrywając spojrzenia od zbira gapiącego się na wymierzoną w jego szyję strzałę.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał.

Gangster pokiwał gwałtownie głową.

- Aha. Jesteś ten Yeoman, zabójca z łukiem. Ciągłe piszą o tobie w „New York Post”.

Słowa wylewały mu się z ust pełnym strachu strumieniem.

- Zgadza się - potwierdził Brennan. Zerknął pośpiesznie na faceta, który przedtem siedział za stolikiem, i zauważył, że leży zwinięty na podłodze w rosnącej kałuży krwi, a z karku sterczy mu koniec strzały. Sala nie sprawdzał. Wiedział, że trafił go prosto w serce.

- Masz szczęście - podjął tym samym, martwym głosem.

- Wiesz dlaczego?

Mafioso pokręcił energicznie głową i odetchnął z ulgą, gdy Brennan poluzował napiętą cięciwę, a potem odłożył łuk.

- Ktoś musi przekazać wiadomość ode mnie. Ktoś musi poinformować twojego szefa, że Poczwarka jest nietykalna. Ktoś musi mu powiedzieć, że mam strzałę z jego nazwiskiem i natychmiast ją wypuszczę, jeśli tylko usłyszę, że Poczwarkę spotkało coś złego. Myślisz, że mógłbyś mu to przekazać?

- Jasne. Pewnie, że bym mógł.

- To dobrze - Brennan sięgnął do tylnej kieszeni spodni i pokazał zbirowi kartę, asa pik. - To go przekona, że mówisz prawdę.

Złapał gangstera za łokieć zranionej ręki i pociągnął mocno. Mężczyzna jęknął, gdy Brennan nadział kartę na sterczącą z jego kończyny strzałę.

- A to zapewnij, że jej nie zgubisz - warknął Yeoman przez zaciśnięte zęby.

Nagłym silnym szarpnięciem nadział na strzałę drugą rękę tamtego. Mafioso krzyknął i osunął się na kolana, gdy Brennan wygiął aluminiową strzałę, owijając nią oba jego przedramiona, mocno jak kajdankami. Następnie pociągnął mocno zbira i postawił na nogi. Mężczyzna płakał z bólu i strachu. Nie mógł spojrzeć Yeomanowi w oczy.

- Jeśli cię jeszcze kiedyś zobaczę, zginiesz - oznajmił Brennan.

Gangster oddalił się chwiejnie, płacząc i bełkocząc niezrozumiałe zapewnienia. Yeoman odprowadzał intruza wzrokiem, aż ten zniknął za drzwiami. Potem zwrócił się w stronę Poczwarki. Kobieta patrzyła nań ze strachem w oczach. Nie wątpił, że w znacznej części to jego się boi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał ją cicho.

- Tak... chyba tak.

- Jeśli nie pozbędziemy się tych ciał, będziesz musiała odpowiedzieć na mnóstwo pytań - zauważył.

- Tak. - Skinęła krótko głową. Nagle wzięła się w garść i odzyskała panowanie nad sytuacją. - Zadzwonię do Elma. On się tym zajmie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Mam wobec ciebie dług.

Brennan westchnął.

- Czy całe twoje życie składa się ze starannie prowadzonych tabel „winien” i „ma”?

Sprawiła wrażenie lekko zaskoczonej, ale skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała stanowczo. - Składa się. To jedyny sposób, żeby wszystko rejestrować, mieć pewność... - Jej głos umilkł. Odwróciła się, okrążyła bar i przyjrzała się ciału Sala. Gdy znowu zaczęła mówić, wyrażała już zupełnie inną myśl. - Wiesz co? Tachion zaprosił mnie na tę swoją podróż dookoła świata. Chyba skorzystam z jego propozycji. Nie wiadomo, jakie informacje mogę zdobyć, kontaktując się z tymi wszystkimi politykami. A jeśli na ulicach zacznie się wkrótce wojna między mafią a Widmowymi Pięściami Kiena... - po raz pierwszy spojrzała Brennanowi prosto w oczy - będę bezpieczniejsza gdzie indziej.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie nawzajem. Wreszcie Brennan skinął głową.

- Lepiej już sobie pójść.

- A twoja whisky?

Westchnął przeciągle.

- Nie. - Spojrzał na ciało leżące u jego stóp. - Alkohol przywołuje wspomnienia, a dzisiaj ich nie potrzebuję. - Ponownie na nią zerknął. - Przez kilka następnych tygodni będę... niedysponowany. Zapewne już się nie spotkamy przed twoim wyjazdem. Do zobaczenia, Poczwarko.

Odprawiała go wzrokiem. Na jej niewidzialnym policzku lśniła kryształowa łza, ale on się nie odwrócił i tego nie zobaczył.

## II

Wypaczony Smok znajdował się gdzieś na pogranicznym terytorium, gdzie Dżokerowo i Chińska Dzielnica przenikały się ze sobą. Jeden z ulicznych informatorów Brennana powiedział mu, że w tym barze można spotkać Dannyego Mao, faceta zajmującego stosunkowo wysoką pozycję w Towarzystwie Widmowej Pięści. Ponoć to właśnie on odpowiadał za rekrutację.

Yeoman przez chwilę obserwował wejście. W powietrzu tańczyły płatki śniegu, a te, które ominęły rondo jego czarnego kapelusza kowbojskiego, osadzały się na gęstych, zwisających wąsach albo na długich bokobrodach. Lokal odwiedzało sporo członków gangu Wilkołaków, noszących w tym miesiącu maski Richarda Nixona. Zauważył też kilka Czapli, choć ludzie z gangu z chińskiej dzielnicy byli na ogół zbyt wybredni, by pokazywać się w lokalu odwiedzanym przez dżokerów.

Uśmiechnął się, wygładzając czubki wąsów w geście, który przeszedł mu już w nawyk. Pora się przekonać, czy jego plan był dziełem geniusza, jak mu się niekiedy zdawało, czy też szybką drogą do paskudnej śmierci, jak myślał znacznie częściej.

W Wypaczonym Smoku było ciepło, zapewne raczej z powodu tłoku niż dzięki aparaturze grzewczej. Minęła chwila, nim Brennan zauważył Mao, który - zgodnie ze słowami informatora Yeomana - siedział w małym boksie na końcu lokalu. Brennan ruszył ku niemu, omijając zatłoczone stoliki, powłóczące nogami kelnerki, zataczających się pijaków oraz pyszałkowatych wyrostków stojących mu na drodze.

Obok Mao siedziała młoda blondynka, wyglądająca na lekko naćpaną. Na ławce naprzeciwko niego tłoczyło się trzech mężczyzn. Pierwszy był Wilkołakiem w masce Nixona, drugi młodym Azjatą, a ten, który siedział pośrodku, był chudy, blady i miał podenerwowaną minę. Nim Yeoman zdążył cokolwiek powiedzieć, jakiś wyrostek zagroził mu drogę.

Był chudy, ale miał dobrze ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i znacznie przewyższał Brennana, mimo że temu drugiemu kowbojskie buty dodawały chyba z pięć centymetrów. Miał na sobie brudne skórzane spodnie oraz za dużą, również skórzaną kurtkę, wokół której owinął parę kawałków łańcucha. Uczesane na punka włosy dodawały mu kilkanaście centymetrów wysokości, a czerwone i czarne blizny na twarzy czyniły jego wygląd jeszcze groźniejszym, podobnie jak kość - ludzka kość palca, uświadomił sobie Brennan - którą przebił sobie nos.

Blizny na jego policzkach, czole i podbródku układały się we wzór Kanibali Łowców Główn, budzącego ongiś powszechny strach ulicznego gangu, który rozpadł się po tym, jak Brennan zabił jego szefa, asa znanego jako Blizna. Ci jego członkowie, którzy nie zginęli w krwawej walce o władzę, jaka nastąpiła później, w większości trafili do innych organizacji przestępczych, takich jak Towarzystwo Widmowej Pięści.

- Czego chcesz? - Głos Łowcy Główn był tak piskliwy, że pomimo jego starań nie mógł zabrzmieć zbyt groźnie.

- Zobaczyć się z Dannym Mao - odpowiedział cicho Brennan, mówiąc z przeciągłym akcentem, który tak dobrze pamiętał z lat dzieciństwa.

Łowca Główn pochylił się niżej, by usłyszeć jego słowa przez kakofonię muzyki, szalonego śmiechu oraz kilkudziesięciu prowadzonych jednocześnie rozmów.

- A w jakiej sprawie?

- To nie twój interes, chłopcze.

Brennan zauważył kącikiem oka, że w boksie przerwano rozmowę. Wszyscy patrzyli na niego.

- A ja mówię, że mój - sprzeciwił się Łowca Główn i odsłonił spiłowane przednie zęby w uśmiechu, który optymistycznie uważał za drapieżny.

Brennan roześmiał się w głos. Łowca Główn zmarszczył brwi.

- Co cię tak śmieszy, dupku?

Nie przestając się śmiać, Yeoman złapał za kość sterczącą z nosa chłopaka i pociągnął mocno. Łowca Główn wrzasnął, sięgając do rozdartego nosa, i Brennan kopnął go w krocze. Ulicznik padł ze zdławionym jękiem na podłogę. Yeoman upuścił krwawiącą kość wyrwaną z nosa na jego zwinięte w kłębek ciało.

- Ty - wyjaśnił Brennan, a potem wsunął się do boks obok blondynki, gapiącej się na niego z narkotykowym zdumieniem. Dwaj z trzech mężczyzn siedzących naprzeciwko zaczęli wstawać, ale Danny Mao skinął pobłaźliwie ręką i obaj znowu usiedli, mamrocząc coś do siebie nawzajem i gapiąc się na przybysza.

Brennan zdjął kapelusz, położył go na stole przed sobą i popatrzył na Danny ego Mao, który odwzajemnił jego spojrzenie z wyraźnym zainteresowaniem.

- Jak się nazywasz? - zapytał Mao.

- Kowboj - przedstawił się Yeoman.

Mao uniósł stojącą przed nim szklaneczkę i pociągnął krótki łyk. Potem spojrzał na Brennana, jakby miał do czynienia z jakimś dziwnym owadem, i zmarszczył brwi.

- Naprawdę? Nigdy dotąd nie słyszałem o chińskim kowboju.

Yeoman rozciągnął usta w uśmiechu. Zgodnie z jego oczekiwaniami skośne oczy, które zawdzięczał chirurgicznym talentom doktora Tachiona, świetnie harmonizowały z szorstkimi

ciemnymi włosami oraz smagłą cerą, nadając im azjatycki wygląd. Lekka zmiana rysów twarzy, świeżo zapuszczony zarost oraz akcent z południowego zachodu w sumie tworzyły proste, lecz efektywne przebranie. Nie nabrałyby nikogo, kto go znał, ale nie było zbyt prawdopodobne, by natknął się na kogoś takiego.

Ironia kryła się w tym, że każdy aspekt jego nowej tożsamości - poza skośnymi oczami, które zawdzięczał Tachionowi

- był autentyczny. Jego ojciec zawsze powtarzał, że Brennanowie są Irlandczykami, Chińczykami, Hiszpanami oraz kilkoma rodzajami Indian, co razem składa się na stu procentowych Amerykanów.

- Moi azjatyccy przodkowie pomagali w budowie kolei. Ja urodziłem się w Nowym Meksyku, ale tam było dla mnie za ciasno.

To również było prawdą.

- I dlatego wybrałeś się do wielkiego miasta w poszukiwaniu wrażeń?

Brennan skinął głową.

- Już jakiś czas temu.

- I znalazłeś ich tyle, że musisz się ukrywać pod pseudonimem?

Yeoman wzruszył ramionami, nie odpowiadając ani słowem.

Mao wypił kolejny łyk.

- Czego chcesz?

- Na ulicach mówią - zaczął Brennan, ukrywając swą ekscytację pod akcentem z Południowego Zachodu - że wasi ludzie idą na wojnę z mafią. Zadaliście im już jeden cios, gdy przed dwoma tygodniami don Picchietti zabił niewidzialny as, który wbił mu w ucho szpikulec do lodu, kiedy Picchietti jadł kolację we własnej restauracji. To na pewno była robota Widmowych Pięści. Mafia z pewnością odpowie na ten atak. Widmowe Pięści potrzebują więcej żołnierzy.

Mao skinął głową.

- Ale dlaczego mielibyśmy przyjąć akurat ciebie?

- Czemu by nie? Potrafię sobie poradzić.

Mao zerknął na swego byłego ochroniarza, który zdołał już podciągnąć pod siebie kolana, ale nadal opierał się czołem o podłogę.

- To prawda - przyznał z namysłem. - Ale zastanawiam się, czy masz jaja do tego.

Skierował spojrzenie na trzech mężczyzn tłoczących się na ławie po drugiej stronie stołu. Brennan przyjrzał im się uważnie.

Wilkołak siedział na zewnętrznym końcu ławki, a Azjata, zapewne Niepokalana Czapla, na wewnętrznym. Jednakże facet ściśnięty między nimi nie wyglądał na ulicznego zbira.

Był niski, chudy i blady. Dłonie miał miękkie i słabe, a oczy ciemne i błyszczące. Wielu ulicznych zbirów ma w sobie nutę szaleństwa, ale Brennan już na pierwszy rzut oka zauważył, że ten człowiek jest całkowicie obłąkany.

- Ci trzech faceci mają do wykonania zadanie - oznajmił Danny Mao. - Masz ochotę do nich dołączyć?

- Co to za zadanie? - zapytał Brennan.

- Jeśli musisz pytać, być może nie jesteś takim człowiekiem, jakiego szukamy.

- A może jestem po prostu ostrożny - odparł z uśmiechem Yeoman.

- Ostrożność to cecha godna podziwu. Ale to samo można powiedzieć o wierze w przełożonych i posłuszeństwie wobec nich - stwierdził Mao pozbawionym wyrazu głosem.

Brennan włożył kapelusz.

- No dobra. W takim razie dokąd się wybieramy?

Blady mężczyzna siedzący pośrodku parsknął śmiechem. To nie był przyjemny dźwięk.

- Do kostnicy - oznajmił radośnie.

Brennan zerknął na Mao, unosząc brwi.

Mao skinął głową.

- Do kostnicy, jak powiedział Trupiołowy.

- Masz samochód? - zapytał Brennana Wilkołak. Dobiegający spod maski Nixona głos brzmiał jak warczenie.

Yeoman potrząsnął głową.

- Będę musiał jakiś ukraść - skwitował Wilkołak.

- A potem pojedziemy do baru dla zmotoryzowanych! - ucieszył się mężczyzna zwany Trupiołowym. Siedzący obok niego Azjata zrobił nieco zniesmaczoną minę, ale nic nie powiedział.

- Chodźmy! - zawołał Trupiołowy i popchnął Wilkołaka, próbując go zmusić do wyjścia z boksu.

Brennan zatrzymał się jeszcze na chwilę, by zerknąć na Mao, który przyglądał mu się z uwagą.

- Włochacz kieruje akcją - oznajmił Chińczyk, wskazując głową na Wilkołaka. - Powie ci wszystko, co musisz wiedzieć. Przyjmujemy cię na próbę, Kowboju. Bądź ostrożny.

Brennan skinął głową i wyszedł na ulicę za dziwnie dobraną trójką. Wilkołak obejrzał się na niego.

- Jestem Włochacz - oznajmił ledwie zrozumiałym warkotem. - To jest Trupiołowy, jak mówił Danny, a ten trzeci to Leniwy Smok.

Brennan spojrział na Azjatę, uświadamiając sobie, że w pierwszej chwili błędnie go ocenił. Ten człowiek nie był Czaplą. Nosił ich barwy, ale nie zachowywał się jak członek gangu. Był młody, może miał ze dwadzieścia parę lat, niewysoki - najwyżej metr siedemdziesiąt - i tak chudy, że workowate spodnie zwisały luźno z jego szczupłych bioder. Twarz miał owalną, nos dość szeroki, a włosy stosunkowo długie i niedbale uczesane. Miał w sobie rezerwę, otaczała go aura niemal melancholijnego zamyślenia.

Włochacz kazał im poczekać na rogu. Leniwy Smok milczał, ale Trupiołowemu usta się nie zamykały. Większość tego, co mówił, nie miała sensu. Azjata nie zwracał na niego uwagi, a Brennan po chwili również przestał. Trupiołowemu to jednak najwyraźniej nie przeszkadzało. Nie przestawał bredzić. Yeoman starał się go ignorować najlepiej, jak potrafił. W pewnej chwili szalenic sięgnął do kieszeni brudnej marynarki i wyciągnął stamtąd buteleczkę wypełnioną tabletkami najróżniejszych rozmiarów oraz kolorów. Wysypał je sobie na dłoń, a następnie wrzucił do ust. Przez chwilę przeżuwał i połykał je hałaśliwie. Wreszcie uśmiechnął się radośnie do Brennana.

- Bierzesz witaminy?

Yeoman nie był pewien, czy Trupiołowy częstuje go swoimi tabletkami, czy też pyta o to, czy połknął już własne. Skinął niezobowiązująco głową i odwrócił się.

Po dłuższej chwili Włochacz wrócił z samochodem. To był ciemny buick, jeden z późniejszych modeli. Brennan wskoczył na przednie siedzenie, pozostawiając tył Trupiołowemu i Leniwemu Smokowi.

- Ma porządne zawieszenie i dobrze się prowadzi - stwierdził Włochacz, gdy odjechali od krawężnika.

Brennan zerknął we wsteczne lustro i zauważył, że Leniwy Smok skinął głową, a potem

wyjął z kieszeni mały scyzoryk oraz kawałek jakiegoś miękkiego, białego materiału wyglądającego jak mydło. Otworzył scyzoryk i zabrał się za struganie.

Z ust Trupiogłowego płynął nieustanny potok słów, których nikt nie słuchał. Włochacz prowadził pewnie, przeklinając stłumionym głosem dziury w drodze, długie światła oraz innych kierowców. Co chwila zerkał też w lusterko, by sprawdzić postępy pracy Leniwego Smoka, który starannie kształtował kawałek mydła nożykiem trzymanym w delikatnych, zręcznych dłoniach.

Brennan nie miał pojęcia, jak może wyglądać i gdzie się znajduje będąca ich celem kostnica, ale mroczny, złowieszczy budynek, przed którym się zatrzymali, wykroczył poza wszelkie jego oczekiwania.

- To tutaj - oznajmił niepotrzebnie Włochacz. Obserwowali budynek przez parę chwil. - Nadal jest tu sporo ludzi.

W niektórych pokojach wielopiętrowego gmachu wciąż paliło się światło. Od czasu do czasu widzieli też ludzi wchodzących do budynku albo wychodzących z niego.

- Gotowe? - warknął Włochacz i spojrzął w lusterko.

- Prawie - odparł Leniwy Smok, nie odrywając spojrzenia od kawałka mydła.

- Co ma być gotowe? - zapytał Brennan.

Wilkołak spojrzął na niego.

- Zabierzesz Trupiogłowego do pomieszczenia, w którym przechowuje się zwłoki przez długi czas. Do piwnicy. Trupiogłowy zabierze je stamtąd. Smok pójdzie pierwszy, jako zwiadowca. Ty jesteś mięśniakiem, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- A ty?

Być może Włochacz uśmiechnął się pod maską, ale Yeoman nie mógł być tego pewien.

- Skoro tu jesteś, mogę po prostu zaczekać w samochodzie.

To nie spodobało się Brennanowi. Nie lubił tak załatwiać podobnych spraw. Nie było jednak wątpliwości, że poddają go próbie. Równie oczywisty był fakt, że nie miał wyboru. Podjął jednak jeszcze jedną próbę zdobycia informacji.

- Czego szukamy?

- Trupiogłowy to wie - odparł Włochacz i Brennan usłyszał cichy śmiechek dobiegający z tylnego siedzenia. - A Smok zna ogólny rozkład budynku. Ty masz tylko poradzić sobie z każdym, kto spróbuje wam przeszkadzać. - Znowu zerknął w lusterko. - Gotowe?

Leniwy Smok uniósł spojrzenie.

- Gotowe - zapewnił ze spokojem. Złożył scyzoryk, schował go i obrzucił krytycznym spojrzeniem to, co wystrugał. Zdziwiony i zaciekawiony Brennan również się obejrzał, by przyjrzeć się lepiej, i zobaczył, że to mała, ale wiarygodnie wyglądająca mysz. Leniwy Smok przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, aż wreszcie skinął głową z usatysfakcjonowaną miną, położył stworzonko na swoich kolanach, oparł się wygodnie i zamknął oczy. Przez chwilę nic się nie działo. Potem Smok oklapł, jakby zemdlał albo stracił przytomność, a gryzoń ożył.

Najpierw poruszył ogonem, po czym postawił uszy, następnie przeciągnął się, z początku niepewnie, a potem z narastającą płynnością. Zatrzymał się na chwilę, by poskubać futerko i przeskoczył z kolan Smoka na oparcie siedzenia kierowcy. Brennan przyjrzał się stworzeniu, a ono odwzajemniło jego spojrzenie. To była cholerna żywa mysz. Yeoman przeniósł spojrzenie na Leniwego Smoka, który sprawiał wrażenie śpiącego, a na koniec zerknął na Włochacza. Wilkołak przyglądał się temu obojętnie spod maski Nixona.

- Niezła sztuczka - wycedził Brennan.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Włochacz. - Możesz go tam zanieść.

Leniwy Smok, który najwyraźniej ożywił małą, wyrzeźbioną przez siebie figurkę i zamieszkał w niej, wbiegł na pierś Brennana i schował się w kieszeni jego kamizelki. Potem wyjrzał z niej, trzymając pazurkami klapę. To było naprawdę dziwne, ale Yeoman był przekonany, że nim noc się skończy, ujrzy jeszcze dziwniejsze rzeczy.

- No to do dzieła - rzekł. Czymkolwiek mogło być to „dzieło”.

Weszli do kostnicy przez otwarte drzwi serwisowe znajdujące się w bocznym zaułku, po czym zeszli po schodach do piwnicy. Leniwy Smok wyjrzał z kieszeni Brennana, zbiegł po jego kamizelce i nogawce na ziemię, a następnie pobiegł naprzód słabo oświetlonym korytarzem, w którym się znajdowali. Trupiołowy chciał iść za nim, ale Brennan go powstrzymał.

- Zaczekajmy, aż wróci mysz... to znaczy Leniwy Smok.

Oczy Trupiołowego błyszczały. Był jeszcze bardziej podekscytowany niż zwykle. Dłonie mu drżały. Połykając garść tabletek, upuścił kilkanaście z nich na podłogę. Rozsypały się z głośnym stukiem na betonie. Uśmiechał się szaleńczo, a kącik jego ust drżał w udręczonym grymasie.

*Co właściwie robię w korytarzu kostnicy z szaleńcem i żywą myszą wystruganą z mydła?* - zadał sobie pytanie Brennan.

Leniwy Smok wrócił, nim Yeomanowi przyszła do głowy jakaś satysfakcjonująca odpowiedź na to kłopotliwe pytanie. Małe nóżki stworzenia poruszały się tak szybko, jakby ścigał je najgłodniejszy kot na świecie. Mysz zatrzymała się u nóg Brennana, tańcząc z podniecenia. Mężczyzna pochylił się z westchnieniem i wyciągnął rękę. Leniwy Smok skoczył na jego dłoń i nadal pochylony Yeoman uniósł go sobie do twarzy.

Leniwy Smok usiadł. Jego paciorkowate oczka błyszczały inteligencją. Raz po raz dotykał gardła prawą łapkę. Brennan westchnął. Nie znosił zagadek.

- O co chodzi? - zapytał. - Niebezpieczeństwo? Ktoś w korytarzu? - Mysz pokiwała energicznie głową i uniosła łapkę. - Jeden człowiek? - Znowu skinęła głową. - Uzbrojony? - Stworzenie wzruszyło ramionami w bardzo ludzkim geście niepewności. - No dobra. - Postawił myszkę na podłodze, a potem się wyprostował. - Chodź za mną. - Spojrzał na Trupiołowego. - Ty zaczekaj tutaj.

Szaleniec pokiwał z drzeniem głową i Brennan ruszył naprzód. Nie dowierzał Trupiołowemu i zastanawiał się, na czym właściwie polega jego rola w ich misji. *Nie jest łatwo, kiedy najbardziej zasługującym na zaufanie członkiem twojego oddziału jest mysz.* Za zakrętem korytarza na składanym metalowym krześle siedział mężczyzna jedzący kanapkę i czytający książkę w papierowej okładce. Stróż uniósł wzrok, gdy Brennan podszedł bliżej.

- W czym mogę panu pomóc? - Był w średnim wieku, gruby i łyśiał. Książka, którą czytał, nazywała się *As Mściciel nr 49, Misja w Iranie*.

- Przyniosłem paczkę.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Nic nie wiem na ten temat. Jestem tylko stróżem nocnym. Paczki zwykle dostajemy za dnia.

Brennan pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To specjalna dostawa - wyjaśnił. Gdy już był wystarczająco blisko, sięgnął za plecy, wyciągnął sztylet, który miał w pochwie u pasa, schowanej pod kamizelką i dotknął lekko jego sztychem gardła stróża. Zdumiony mężczyzna otworzył usta na kształt litery „O” i wypuścił książkę.

- Jezu, co pan robi? - zapytał zdławionym szeptem, starając się jak najmniej poruszać gardłem.

- Gdzie jest sala do długoterminowego przechowywania zwłok?



- W tamtą stronę.

Stróż poruszał nerwowo oczami, bojąc się choćby drgnąć.

- Idź po Trupiołowego.

- Nie znam nikogo o takim przydomku - zapewnił grubas. Pot zlewał mu czoło.

- Nie mówiłem do pana. Mówiłem do myszy.

- O Boże.

Stróż zaczął bełkotać bezładną modlitwę, przekonany, że Brennan jest maniakem i zaraz go zamorduje.

Yeoman czekał cierpliwie, aż Leniwy Smok wróci z Trupiołowym.

- Czy na piętrze jest ktoś jeszcze? - zapytał stróża, zachęcając go do wstania z krzesła lekkim ruchem noża. Grubas zrobił to natychmiast.

- Nie ma nikogo. Nie w tej chwili.

- Nie ma strażników?

Stróż wyglądał, jakby chciał potrząsnąć głową, ale bliskość noża powstrzymała go przed tym gestem.

- Właściwie ich nie potrzebujemy. Nikt nie włamał się do kostnicy od... Jezu, już od kilku miesięcy.

- W porządku. - Brennan odsunął nóż od szyi stróża. Grubas wyraźnie się uspokoił. - Proszę nas zaprowadzić do magazynu. Tylko cicho i bez żadnych wygłupów.

Dla emfazy dotknął czubkiem noża koniuszka nosa stróża. Grubas pokiwał ostrożnie głową.

Brennan przykucnął i wyciągnął rękę. Leniwy Smok wskoczył na nią. Mężczyzna schował mysz do kieszeni kamizelki, uśmiechnął się do wytrzeszczającego oczy stróża. Grubas sprawiał wrażenie, że ma ochotę o coś zapytać, powstrzymał się jednak.

- Tędy - powiedział.

Trupiołowy i Brennan, z Leniwym Smokiem wyglądającym z jego kieszeni, podążyli za nim.

Stróż otworzył im drzwi własnym kluczem. Ciemne i zimne pomieszczenie robiło przygnębiające wrażenie. Ściany od podłogi aż po sufit były całe w szufladach ze zwłokami. Tu właśnie miasto przechowywało ciała, których nikt nie chciał albo nikt nie potrafił zidentyfikować, zanim pochowano je w grobach dla ubogich.

Drżący uśmiezek Trupiołowego poszerzył się nagle, gdy tylko weszli do środka. Szaleniec zaczął przeskakiwać z nogi na nogę, nie mogąc powstrzymać ekscytacji.

- Pomóż mi je znaleźć! - zażądał. - Pomóż mi je znaleźć!

- Co mam znaleźć? - zapytał szczerze zdumiony Brennan.

- Ciało. Tłuste, zimne ciało Grubera.

Chodził wzdłuż ściany, podskakując w makabrycznym tańcu, i wpatrywał się gorączkowo w zamknięte szuflady.

Brennan zmarszczył brwi, popchnął stróża przed siebie, i zaczął się przyglądać szufladom po drugiej stronie. Na większości identyfikatorów ulokowanych w małych metalowych ramkach na drzwiach szuflad umieszczono tylko numery. Gdzieś tam widniały jednak nazwiska.

- Hej, czy tego pan szuka? - zapytał potulny stróż, idący przed Brennanem. Następnie obejrzał się na niego, wyciągając pomocnie rękę. Yeoman podszedł do niego. Szuflada, na którą wskazywał, znajdowała się w trzecim szeregu od podłogi, mniej więcej na wysokości pasa. Napis głosił „Leon Gruber, 16 września”.

- Tu jest - zawołał cicho Brennan i szaleniec natychmiast podbiegł do niego. Yeoman doszedł do wniosku, że zwłoki z pewnością ukrywają jakąś wiadomość, którą tylko Trupiołowy potrafił

odczytać. *A może Gruber przemycił coś do kraju w jamach ciała... ale z pewnością pracownicy kostnicy odkryliby coś takiego* - pomyślał Yeoman.

- Ciało leży tu już dość długo - zauważył, gdy Trupiołowy otworzył drzwi szuflady i wysunął blat, na którym spoczywały zwłoki.

- Tak, tak, leży, to prawda - zgodził się Trupiołowy, gapiąc się na brudne prześcieradło okrywające trupa. - Pociągnęli za sznurki, żeby zatrzymać je tutaj, aż... aż będę mógł wyjść.

- Wyjść?

Trupiołowy ściągnął prześcieradło, odsłaniając twarz i pierś Grubera. Zmarły był grubym, stosunkowo młodym mężczyzną o miękkiej twarzy i ziemistej cerze. Wyraz czystego przerażenia na jego obliczu przerastał wszystko, co Brennan widywał u trupów. Na piersi miał mnóstwo dziur po kulach, sądząc po wyglądzie, małokalibrowych.

- Tak - potwierdził Trupiołowy, ani na moment nie odrywając spojrzenia od martwych, wytrzeszczonych oczu Grubera. - Byłem w więzieniu... a właściwie w szpitalu. - Wydobył skądś małą, błyszczącą piłkę do metalu. Jego usta nieustannie poruszały się w spazmatycznych skurczach. Z ich kącika na podbródek spływał strumyk śliny. - Za zabezpieczenie zwłok.

- Czy zabierzemy nieboszczyka ze sobą? - zapytał Brennan przez zaciśnięte zęby.

- Dziękuję, nie trzeba - odparł radośnie Trupiołowy.

- Zjem go na miejscu.

Piłka z łatwością przecięła kość. Brennan i stróż przyglądali się z przerażeniem, jak Trupiołowy zdjął sklepienie czaszki i z maniacką, jakby lekko skrywaną radością, zaczął wpychać sobie do ust kawałki mózgu Grubera i głośno je przeżuwać.

Brennan poczuł, że Leniwy Smok schował się w jego kieszeni. Stróż zwymiotował, ale Yeoman zdołał zwalczyć narastającą falę mdłości, zaciskając usta w akcie nieustępliwego oporu.

### III

Brennan zakneblował stróża własną chusteczką i skrupował mu ręce oraz nogi taśmą klejącą znaną przez Leniwego Smoka w kącie magazynu. Całą pracę wykonał sam, ponieważ po pożarciu mózgu Grubera Trupiołowy osunął się na podłogę, wsparty plecami o ścianę, i mamrotał od rzeczy. Zwiąawszy stróża, Yeoman wyprowadził z pokoju bełkoczącego maniaka. Gdyby tylko Leniwy Smok mógł mu wyjaśnić, co tu właściwie jest grane.

- I jak poszło? - zapytał Włochacz, gdy Brennan otworzył tylne drzwi buicka i wepchnął szaleńca do środka. Zatrzasnął je za nim, sam usiadł na przednim siedzeniu i dopiero wtedy odpowiedział:

- Chyba dobrze. Trupiołowy znalazł swoją przekąskę.

Włochacz skinął głową, zapalił silnik i ruszył. Leniwy Smok wylazł z kieszeni Brennana, przysiadł niepewnie na oparciu siedzenia kierowcy, a następnie skoczył na kolana swego ludzkiego ciała, które po chwili ocknęło się i przeciągnęło z ziewnięciem. Mysz przeszła transformację podobną do tej, która ongiś spotkała ciekawską żonę Lota, z powrotem zmieniając się w kawałek mydła.

- I jak poszło? - wymamrotał znowu Włochacz, spoglądając w lusterko wsteczne.

Leniwy Smok schował kawałek mydła do kieszeni.

- Zgodnie z planem. Znaleźliśmy ciało i Trupiołowy... najadł się. Kowboj dobrze się spisał.

- Świetnie. Lepiej zawieźmy go do szefa, dopóki jeszcze trawi.  
- Skoro już wszyscy jesteście kumplami, może byście mi powiedzieli, co tu jest grane? - wycedził Brennan.

Włochacz pokazał środkowy palec kierowcy, który zajeżdżał mu drogę.

- Hmm... pewnie już możemy. Nasz Trupiogłowy... - Zachichotał. - On jest asem. W pewnym sensie. Potrafi odczytać wspomnienia ludzi, których mózgi zjada.

Brennan skrzywił się.

- Jezu. To znaczy, że Gruber wiedział coś, czego chce się dowiedzieć Mao.

Włochacz skinął głową i nacisnął gaz, by przejechać na czerwonym świetle.

- Tak sądzimy. A przynajmniej mamy taką nadzieję. No wiesz, szefem Dannego Mao jest gość zwany Znikaczem, który chce odnaleźć jedną askę używającą ksywki Zjawa. Gruber był jej paserem, ale potem go wykończyła. Mao uważa, że mógł sporo o niej wiedzieć i jego wspomnienia pomogą mu ją odnaleźć.

Yeoman wyduł wargi, powstrzymując uśmiech. Wiedział na ten temat znacznie więcej od nich. Znikacz był jednym z asów pracujących dla Kiena. Bezskutecznie próbował pojmać jego i Zjawę w Dzień Dzikiej Karty, a aska powiedziała mu, że kto inny, nie ona, zabił pasera rankiem tego samego dnia.

- Dlaczego tak długo czekaliście z tymi zwłokami? - zapytał.

Włochacz wzruszył ramionami.

- Trupiogłowy siedział w jakimś szpitalu. Gliny złapały go, jak robił, co swoje, z ciałem, które znalazł na ulicy w Dzień Dzikiej Karty. Minęło parę miesięcy, nim nasi prawnicy zdołali go wyciągnąć.

Brennan skinął głową.

- A czego chce Znikacz od tej Zjawy? - zapytał, starając się trzymać roli niewtajemniczonego nowicjusza, choć przecież znał już odpowiedź na to pytanie.

Ukradła prywatny dziennik Kiena tego samego dnia, który z pewnością był najbardziej szalonym Dniem Dzikiej Karty w historii. Jednakże Wilkołak najwyraźniej o tym nie wiedział. Wzruszył tylko ramionami.

- Hej, myślisz, że Znikacz mi się zwierza albo coś?

Brennan nie był skłonny do introspekcji, a przynajmniej starał się jej unikać. Jego wspomnienia zbyt często bywały bolesne. Niemniej od czasu ich spotkania we wrześniu bardzo często myślał o Zjawie. O Jennifer Maloy. Nie chodziło tylko o przygody, które wspólnie przeżyli w Dzień Dzikiej Karty, nie tylko o jej miłe towarzystwo ani o zaufanie, jakie do siebie poczuli mimo początkowych wątpliwości. Nie chodziło nawet o urodę wysokiej, atletycznie zbudowanej dziewczyny. Brennan nie potrafił, nie chciał przyznać przed sobą samym, co nim kieruje, wiedział jednak, że spróbuje się wkręcić do ekipy Widmowych Pięści, która zajmie się poszukiwaniami Zjawy. W ten sposób będzie mógł jej pomóc, jeśli gangsterzy zanadto się zbliżą.

Ale wspomnienia Grubera nie zdadzą im się na wiele. Zjawa nie powiedziała mu, jak się nazywał paser, ale wspomniała, że nigdy mu nie ufała i w związku z tym nie zdradziła mu swego prawdziwego nazwiska.

Dalej jechali w milczeniu. Wreszcie Włochacz zatrzymał samochód przed dwupiętrową kamienicą z brązowego piaskowca, ulokowaną w samym sercu Dżokerowa.

- Kowboju, ty i Leniwy Smok pomożecie Trupiogłowemu. Kiedy trawi, nie może zrobić zbyt wiele o własnych siłach.

Brennan ujął Trupiołowego pod lewe ramię, a Leniwy Smok pod prawe. Na spólkę powlekli go ku schodom prowadzącym do drzwi kamienicy i wciągnęli na górę. Włochacz pograżył się w rozmowie z jedną z czekających w holu Czapli, a oni ruszyli ku wewnętrznym schodom. Strażnik - kolejna Czapla - porozmawiał z kimś krótko przez domofon, a potem kazał im iść na górę. Wciąganie Trupiołowego na dwie kondygnacje schodów przypominało wleczenie worka na wpeł zastygłego cementu. Włochacz nie raczył im pomóc. Na pomoście na drugim piętrze jeszcze jeden człowiek w stroju Czapli przywitał ich skinieniem głowy. Ruszyli przed siebie po wytartym dywanie leżącym w korytarzu. Wreszcie Włochacz zapukał mocno do drzwi na jego końcu.

- Proszę - zawołał męski głos.

Wilkołak otworzył drzwi i wszedł do środka przed Brennanem, Leniwym Smokiem i Trupiołowym.

Pokój był wygodnie urządzone. W porównaniu z tym, co Brennan widział w pozostałych częściach budynku, można go było uznać za luksusowy. Trzydziestoparoletni mężczyzna

- przystojny, elegancko ubrany i wysportowany - stał przed dobrze wyposażonym barkiem na kółkach.

- I jak poszło?

- W porządku, Znikacz, wszystko w porządku.

Brennan nie poznał Znikacza. Spotkał go w Dzień Dzikiej Karty, ale as był wtedy niewidzialny do chwili, gdy Zjawa walnęła go w głowę pokrywą pojemnika na śmieci i zważył się nieprzytomny na chodnik. Yeoman miał wtedy kupę roboty z Czapłami i tylko przelotnie spojrział na leżącego mężczyznę. Nie ulegało wątpliwości, że Znikacz również go nie poznaje. Zresztą Brennan nosił wtedy maskę.

- Kto to jest? - zapytał as, wskazując na Yeomana.

- To nowy. Nazywa się Kowboj. Jest w porządku.

- Lepiej żeby był. - Znikacz odsunął się od barku i usiadł w wygodnym fotelu obok. - Poczęstujcie się - rzekł, wskazując na alkohol.

Włochacz podszedł z entuzjazmem do barku. Brennan i Leniwy Smok odwrócili się, by zważyć na stojący w pobliżu fotel niemal nieprzytomnego Trupiołowego, który bełkotał teraz coś o nadmiernych kosztach i cenie kokainy. Nagle budynkiem aż do fundamentów wstrząsnął przerażająco głośny wybuch. Wydawało się, że eksplozja nastąpiła na dachu.

Trunek Znikacza wylał mu się na marynarkę, Włochacz wpadł na barykady na kółkach, a Leniwy Smok i Brennan wypuścili Trupiołowego.

- Jezu Chryste! - zawołał ich gospodarz. Następnie zerwał się na równe nogi i podszedł chwiejnie do drzwi. Z dołu dobiegał terkot broni maszynowej.

Brennan podążył za nim i nagle ujrzał przed sobą trzech uzbrojonych w uzi mężczyzn, którzy wpadli do środka przez wybitą w suficie dziurę. Znikacz znieruchomiał, sparaliżowany strachem. Yeoman instynktownie obalił go kopniakiem na ziemię. Pociski karabinów maszynowych wbiły się w ścianę nad ich głowami. Brennan miał swojego browninga hipower w kaburze pod pachą. Wiedział, że nie zdąży go wyciągnąć na czas, że następna seria go skosi. Sięgnął jednak po pistolet, przeklinając los, który kazał mu zginąć wśród wrogów.

Coś wyrzuconego zza ich pleców zatrzepotało w korytarzu - kawałek starannie poskładanego papieru. Nim Brennan zdążył wyciągnąć broń i zanim napastnicy wypuścili kolejną serię, powietrze zamigotało, papier zmienił się, urósł, przeobraził w żywego, oddychającego, ryczącego tygrysa, który wpadł nagle do pokoju. Jego ślepią gorzały czerwienią, a paszczę

wypełniały długie, ostre zęby.

Bestia oberwała serią z uzi, ale to jej nie zatrzymało. Skoczyła na trzech napastników i wylądowała między nimi. Brennan usłyszał trzask miażdżonych kości.

Padł na kolana, wyciągnął browninga i wycelował. Leniwy Smok przytrzymał łapą na podłodze jednego z intruzów i szybkim, sprawnym ruchem przegryzł mu gardło. Do korytarza trysnęła krew. Drugi, spanikowany, napastnik przeszył Smoka serią z bliska. Czerwona plamka celownika zaświeciła się na czole mężczyzny i Brennan zastrzelił go w tej samej chwili, gdy tygrys zwałił się na podłogę, przygniatając całym swym ciężarem trzeciego napastnika.

Znikacz zniknął. Yeoman wstał, pochylając się nisko, i wypadł na korytarz, poruszając się bokiem jak krab. Władowałkulę w głowę facetowi, który rozpaczliwie próbował się wydostać spod ciała Leniwego Smoka, a potem uklęknął przed olbrzymim kotem. Futro zbrukała krew - Yeoman nie potrafił określić, czy pochodziła od bestii, czy od jej wrogów. Tygrys odniósł chyba ze dwadzieścia ran i ciężko dyszał. Brennan widział wystarczająco wiele śmiertelnie rannych stworzeń, by zdać sobie sprawę, że Leniwy Smok umiera. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić ani co to będzie oznaczało dla ludzkiej postaci asa. Pogłaskał go ze współczuciem, a następnie ruszył szybko naprzód.

Na dole wciąż było słycać strzały z broni automatycznej. Brennan ostrożnie zszedł na pierwsze piętro i wyjrzał przez poręcz, spoglądając na parter.

Dwuskrzydłowe drzwi do holu były otwarte. Na splamionej krwią marmurowej posadzce leżało kilka rozszarpanych pociskami Czapl. Na oczach Yeomana garstka ocalałych członków grupy szturmowej wycofała się z niechęcią na ulicę, wymieniając strzały ze strażnikami oraz innymi Czaplami, które przybyły z odsieczą. Po paru chwilach walka przesunęła się na dwór. Echa strzałów niesły się głośnym echem pośród nocy.

Brennan wstał.

- Cholerni makaroniarze.

Obejrzał się przez prawe ramię. Niespełna metr siedemdziesiąt nad podłogą unosiła się para niebieskich oczu. Zwisające z nich nerwy wzrokowe oraz pasma tkanki łącznej wywierały niesamowite wrażenie. Znikacz nagle odzyskał widzialną postać. Był lekko sfatygowany i cholernie wściekły.

- Mafia? - zapytał Brennan.

- Tak jest, Kowboju. Ludzie Rica Covella. Poznałem to, co zostało z ich paskudnych gęb. Byli w naszym dossier. - Przerwał na chwilę. Gniew nagle ustąpił miejsca wdzięczności.

- Mam wobec ciebie dług. Załatwiliby mnie, gdybyś mnie nie przewrócił.

Brennan wzruszył ramionami.

- Gdyby nie Leniwy Smok, zrobiliby siekane mięso z nas obu. Lepiej sprawdźmy, co z nim. Ten tygrys oberwał cholernie mocno.

- Masz rację.

Wrócili na górę. Brennan poczuł ulgę - i natychmiast rozgniewał się na siebie z tego powodu, ujrzawszy, że Smok siedzi spokojnie w jednym z wygodnych foteli. Gdy tylko weszli do pokoju, uniósł wzrok.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tego bym nie powiedział - odparł nadal wściekły Znikacz. - Te pieprzone skurczybyki weszły tu sobie jak gdyby nigdy nic i omal mnie nie załatwiły. - Najwyraźniej złościł się na Włochacza, który stał niepewnie pośrodku pokoju. - A co ty zrobiłeś w tej sprawie, dzokerski posrańcu?

Wilkołak wzruszył ramionami.

- P-pomyślałem sobie, że ktoś powinien zostać z Trupio- głowym...

- Zdejmij tę cholerną maskę, kiedy ze mną rozmawiasz!

- rozkazał Znikacz. - Mam już dość oglądania gęby Nixona. Twoja własna nie może być brzydsza.

Leniwy Smok przyglądał się Włochaczowi z wykalkulowanym zainteresowaniem. Brennan przesunął dłoń bliżej ukrytego w kaburze browninga. Wilkołaki nieraz wpadały w morderczy szal, gdy zdjęto im maski. Jednakże Włochacz - o czym świadczyły jego poprzednie poczynania, czy raczej ich brak

- nie zaliczał się do najbardziej agresywnych członków tego gangu. Zdjął maskę i stanął bez ruchu, przestępując ze skrzepowaniem z nogi na nogę.

Każdy fragment jego twarzy - pomijając tylko gałki oczne

- porastały gęste, szorstkie włosy. Nawet język, którym nerwowo oblizywał wargi, był pokryty futrem. Nic dziwnego, że jego głos brzmiał tak niewyraźnie.

Znikacz chrząknął, mruknął pod nosem coś, czego Brennan do końca nie zrozumiał (rozpoznał jednak słowa „dzokerski skurwysyn”), a potem odwrócił się od Wilkołaka.

- Musimy stąd zmiatać. Wkrótce zjawi się policja. Smoku, weźcie z Włochaczem tego dziwoląga... - Wskazał głową na Trupio- głowego, który nadal siedział w fotel, bełkocząc coś pod nosem. - ...i znieście go z powrotem na dół. Sprowadźcie samochód i czekajcie na mnie przy wejściu. Kowboju, chodź ze mną. Muszę dokonać pośpiesznej oceny strat.

Smok wstał. Brennan stanął przed nim i obaj przyglądali się sobie nawzajem przez dość długą chwilę. Yeomanowi nasunęła się nagle myśl, że Leniwy Smok ma w sobie coś dziwnego, coś całkowicie niezgłębionego, co wykraczało poza jego niezwykłą moc asa. Niemniej chłopak uratował mu życie.

- To fart, że miałeś tego tygrysa.

- Lubię nosić ze sobą zabezpieczenie - odparł z uśmiechem Smok. - Coś groźniejszego niż mysz.

Brennan skinął głową.

- Mam wobec ciebie dług - oznajmił.

- Będę o tym pamiętał - odparł Smok i odwrócił się, by pomóc Włochaczowi i Trupio- głowemu. Na dole znaleźli pięć zabitych Czapli oraz sześciu mafiosów. Ocalałe Czaple były wściekle jak rój rozjuszonych pszczoł.

Znikacz potrząsnął głową.

- Cholera. To eskaluje. Mała Matka nie będzie zadowolona.

Brennan stłumił wyraz nagłego zainteresowania, nim zdążył się on ujawnić na jego twarzy. Nie odezwał się ani słowem, bojąc się, że głos mógłby go zdradzić. Mała Matka. Siu Ma była głową Niepokalanych Czapli. Jeśli Znikacz był porucznikiem w armii Kiena, ona miała co najmniej stopień pułkownika. W ciągu wielomiesięcznych dochodzeń zdołał się dowiedzieć o niej tylko tyle, że była urodzoną w Wietnamie Chinką, przybyła do Stanów w latach sześćdziesiątych i wyszła za mąż za Nathana Chow, przywódcę groszowego gangu ulicznego zwanego Niepokalanymi Czaplami. Jej zjawienie się było skorelowane z szybkim wzrostem znaczenia Czapli. Chow nie miał jednak okazji cieszyć się tym zbyt długo. Zmarł w niewyjaśnionych, lecz tajemniczych okolicznościach w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Siu Ma przejęła kontrolę nad gangiem, który prosperował coraz lepiej. Kien, który wówczas nadal był generałem południowo wietnamskiej armii, wykorzystywał go, by przemycać heroinę do Stanów. Nie ulegało wątpliwości, że Siu Ma zajmuje naprawdę bardzo wysoką pozycję w jego

organizacji.

- Musimy się podzielić na grupy przed przybyciem glin - stwierdził Znikacz i spojrzął na uzbrojoną w ingrama Czapkę.

- Opuśćcie budynek. Zabierzcie wszystkie akta i kosztowności.

Gangster skinął głową, zasalutował od niechcienia i zaczął szybko wykrzykiwać rozkazy po chińsku.

- Chodźmy - rzekł Znikacz, klucząc ostrożnie wśród ciał.

- Dokąd? - zapytał Brennan, tak obojętnie, jak tylko potrafił.

- Do domu Małej Matki w chińskiej dzielnicy. Muszę jej opowiedzieć, co się stało.



Przy krawężniku zatrzymała się elegancka limuzyna. Za kierownicą siedział Włochacz. Trupiołowy uwaliał się na tylnym siedzeniu, obok Leniwego Smoka. Znikacz wszedł do samochodu, a Brennan podążył za nim. Jego ciało wibrowało z podniecenia niczym mocno naciągnięty drut.

Starannie zapamiętał trasę, którą jechał Włochacz, ale i tak nie miał pojęcia, gdzie się znajdują, gdy limuzyna wreszcie zatrzymała się w małym rozsypującym się garażu ulokowanym w brudnym zaułku. Fakt, że w ogóle nie znał tej okolicy, irytował go i pozbawiał pewności panowania nad sytuacją, do której przywykł. Nie znosił poczucia bezradności, które ostatnio go prześladowało. Nie miał jednak innego wyboru, jak pogodzić się z tym i dalej robić swoje.

Włochacz, który znowu włożył maskę, i Leniwy Smok wywlekli Trupiołowego z limuzyny na rozkaz Znikacza. Znaczenie tego faktu nie umknęło uwagi Brennana. Wiedział, że wzniósł się o szczebel albo i dwa w opinii asa. Tego właśnie pragnął. Im bardziej się zbliży do centrum organizacji Kiena, tym łatwiej będzie mu zniszczyć ją jak domek z kart.

Drzwi, do których podeszli, nie były takie słabe, na jakie wyglądały. Były też zamknięte i strzeżone, ale gdy tylko Znikacz zapukał, strażnik wyjrzał przez judasz i wpuścił ich do środka.

- Siu Ma śpi - poinformował ich. Potężnie zbudowany Chińczyk miał na sobie tradycyjne, workowate spodnie, szeroki skórzany pas oraz pasującą do kompletu bluzę. Pistolet automatyczny noszony w kaburze u pasa stanowił drastyczny anachronizm kontrastujący z jego staromodnym strojem, Brennan doszedł jednak do wniosku, że to rozsądny kompromis z najwyraźniej silnie rozwiniętym poczuciem tradycji Siu Ma.

- Będzie się chciała z nami zobaczyć - oznajmił nieustępliwym tonem Znikacz. - Zaczekamy w komnacie audiencyjnej.

Strażnik skinął głową, zwrócił się ku bardzo nowoczesnemu interkomowi i powiedział coś po chińsku, za szybko, by Yeoman był w stanie go zrozumieć. Luksusowa komnata audiencyjna silnie kontrastowała ze zdewastowanym zewnętrzem budynku. Dekoracja była oparta na motywach cesarskich Chin - piękne dywany, lakierowane parawany, parę masywnych demonów świątynnych z pozieleniałego brązu oraz z pewnością wartościowe bibeloty z kości słoniowej, nefrytu i innych szlachetnych bądź półszlachetnych kamieni, ustawione na stolikach z drewna tekowego, hebanowego oraz innych kosztownych gatunków. Brennan pomyślał, że Zjawa byłaby zachwycona tym wszystkim.

Choć podobnie urządzona sala mogłaby wywierać przytłaczające wrażenie, w rzeczywistości było tu całkiem przyjemnie, jak na muzealnej wystawie zorganizowanej z dużym wyczuciem i

nieskazitelny gustem.

Siu Ma już na nich czekała. Siedziała na połączonym krześle dominującym na tylnej ścianie komnaty, i pocierała rozespiane powieki. Była niska, miała okrągłą, pulchną twarz, ciemne oczy o długich rzęsach oraz czarne, lśniące włosy. Wyglądała na trzydzieści parę lat. Ziewnęła, zasłaniając usta dłonią, i spojrzała na Znikacza z zasepioną miną.

- Lepiej, żeby to było ważne - oznajmiła, spoglądając z niesmakiem na Trupiogłowego i jego towarzyszy, a z zainteresowaniem na Brennana. Doskonale mówiła po angielsku, z tylko leciutkim śladem francuskiego akcentu.

- Jest ważne - zapewnił Znikacz i opowiedział jej o ataku mafii na kamienicę. Kiedy mówił, do sali weszła dziewczyna z tacą i nalała Siu Ma małą filiżankę herbaty. Kobieta popijała ją, słuchając relacji Znikacza. Mars na jej czole pogłębiał się z każdą chwilą.

- Nie można tego tolerować - skwitowała, kiedy skończył. - Musimy udzielić tym komiksowym kryminalistom nauczki, której nie zapomną.

- Zgadza się - odparł Znikacz. - Niestety, nasi szpiedzy donoszą, że Covello wycofał się do swojej posiadłości w Hamptons. To jedna z najlepiej bronionych fortec mafii. Ma dwa szeregi fortyfikacji. Potężny mur zewnętrzny, otaczający całą posiadłość, oraz wewnętrzny płot pod prądem, broniący głównego budynku. Covello zaszył się tam z kompanią uzbrojonych po zęby zbirów.

Siu Ma obrzuciła go zimnym spojrzeniem. Brennan dostrzegł bezlitosną siłę w jej prawie czarnych oczach.

- Widmowe Pięści również mają broń - oznajmiła.

Znikacz pokiwał głową.

- Zgadza się, ale nie powinniśmy marnować naszych ludzi na daremną próbę zemsty. Pomyśl też o niepożądanym uwadze władz, jaką przyciągnąłby podobny atak.

Zapadła krępująca cisza. Siu Ma popijała herbatę, gapiąc się zimno na Znikacza. Brennan dostrzegł swoją szansę.

- Wybaczcie, że się wtrącam - wycedził cicho z akcentem z Południowego Zachodu - ale jeden człowiek często może dotrzeć tam, gdzie obecność wielu nie byłaby mile widziana.

Znikacz spojrzał na niego, marszcząc brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

Brennan wzruszył lekceważąco ramionami.

- Czasem można w pojedynkę zrobić coś, czego nie osiągnąłby atak na pełną skalę.

Poczuł wwiercające się w niego spojrzenie Siu Ma.

- Kim jest ten człowiek? - zapytała.

- Nazywa się Kowboj - odparł Znikacz z roztargnioną miną. - Jest nowy.

Siu Ma dopiła herbatę i odstawiła filiżankę na tacę.

- Mówi, jakby miał głowę na karku. Powiedz mi - ciągnęła, po raz pierwszy spoglądając prosto na Brennana - czy zgłaszasz się na ochotnika do tej misji?

Pochylił głowę w pełnym szacunku ukłonie.

- Tak, szlachetna pani.

Uśmiechnęła się. Zgodnie z jego oczekiwaniami ucieszyła się z tego uprzejmego zwrotu.

- To będzie niebezpieczne - ostrzegł Znikacz. - Naprawdę bardzo niebezpieczne.

Siu Ma znowu spojrzała na niego.

- Nigdy nie wolno się liczyć z niebezpieczeństwem, gdy chodzi o zemstę.

Brennan stłumił uśmiech. Ta kobieta przypadła mu do gustu.



## IV

Na lądowisku dla helikopterów przy Zachodniej Trzydziestej Ulicy panował dojmujący chłód. Wicher był jak lodowaty miecz, przenikający pod brudny kombinezon noszony przez Brennana. W powietrzu unosiła się woń nadchodzącego śniegu, choć ledwie mógł ją wyczuć pod odorem smaru i nafty. Przebrany za mechanika, czekał cierpliwie.

Umiał czekać. Poświęcił na tę czynność dwie doby, spędzone w ukrytym stanowisku obserwacyjnym, położonym po drugiej stronie drogi niż posiadłość Covella w Southampton. Jej właściciel najwyraźniej wolał roztropność od odwagi i postanowił, że zakamufluje się tam na czas trwania wojny między mafią a Towarzystwem Widmowych Pięści. Otaczał go oddział uzbrojonych po zęby zbirów oraz mury odporne na wszystko poza walnym szturmem. Do środka nie wpuszczano żadnych pojazdów poza samochodami dostawczymi zaopatrującymi dona w żywność oraz wehikułami jego podkomendnych, którzy chcieli się z nim naradzić - a nawet te zatrzymywano przy bramie i poddawano starannej rewizji.

Poza tym do środka można się było dostać jedynie przez lądowisko dla helikopterów, usytuowane na dachu rezydencji. Brennan obserwował helikopter, który przylatywał i odlatywał kilka razy dziennie, przywożąc i odwożąc kobiety w kosztownych strojach albo mężczyzn w ciemnych garniturach. Mężczyźni, zidentyfikowani przez Brennana na zdjęciach zrobionych teleobiektywem, byli z reguły wysoko postawionymi członkami innych rodzin. Kobiety zapewne były luksusowymi prostytutkami.

Ukończywszy rekonesans, Brennan czekał cierpliwie na lądowisku, na którym zawsze zatrzymywał się śmigłowiec Covella, gdy odwiedzał Manhattan. Ponieważ nie był w stanie przedrzeć się przez mury, postanowił, że przeleci nad nimi.

Zapadła już noc, nim wreszcie zjawiał się pilot w towarzystwie trzech drżących z zimna, choć odzianych w futra, kobiet. W pobliżu śmigłowca nie było nikogo innego. Gdy Brennan podszedł bliżej, pilot opuścił drabinkę prowadzącą do środka. Pierwsza dziwka próbowała wejść do maszyny, ale trudno się jej było wdrapać na metalowe szczeble w butach na wysokich obcasach.

To było niemal zbyt łatwe. Brennan walnął w głowę pilota, który zatoczył się do tyłu, uderzył o kadłub helikoptera, po czym osunął się na ziemię. Trzymająca się jego ramienia dziewczyna zachwiała się niebezpiecznie, wymachując gwałtownie rękami. Brennan podtrzymał ją, kładąc dłoń na jej tyłku.

- Hej! - poskarżyła się, czy to na miejsce, w którym znalazła się jego ręka, czy na to, jak potraktował pilota.

- Zmiana planu - oznajmił im Brennan. - Wracajcie do domu.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Jeszcze nam nie zapłacili - sprzeciwiła się ta, która stała na schodkach.

Yeoman uśmiechnął się najładniej, jak tylko potrafił.

- Ale też jeszcze was nie zabili. - Wyjął portfel i opróżnił go z gotówki.

- Zwrot kosztów za taksówkę - rzekł, wręczając im banknoty.

Wszystkie trzy popatrzyły na siebie nawzajem, na Brennana, a potem znowu na siebie. Ta, która stała najniżej, zesza ze schodów, skulona z zimna, a następnie się oddaliła, mamrocząc coś pod nosem. Dwie pozostałe podążyły za nią.

Wciągnął pilota do kabiny dla pasażerów. Mężczyzna był nieprzytomny, ale puls bił mu

miarowo. Brennan przyglądał mu się przez chwilę. W końcu pilot nic dla niego nie znaczył, nie był nawet jego wrogiem. Po prostu stał mu na drodze. Yeoman wyjął z kieszeni kombinezonu kawałek mocnego sznurka, po czym związał i zakneblował pilota, zostawiając go na podłodze. Następnie zdjął brudny kombinezon, zwinął go w kulę i cisnął w kąt. Na koniec wszedł do kabiny pilota i usiadł na fotelu.

- Startuję - powiedział, z pozoru do nikogo, ale ci, którzy słuchali na wybranej częstotliwości, usłyszeli go i również ruszyli w stronę Southampton.

Brennan nie pilotował śmigłowca od z górą dziesięciu lat, a w dodatku to był transportowiec, nie wojskowa maszyna, ale jego ręce szybko odzyskały dawne umiejętności. Poprosił o pozwolenie na start i otrzymał je. Skrupulatnie trzymając się planu lotu, który znalazł na kartce zawieszanej w kabinie, wkrótce zostawił za sobą milion mrugających klejnotów składających się na światła Nowego Jorku.

Gdy leciał nad Long Island przez zimną, pogodną noc, poczuł się tak świeżo i czysto, że zagubił się w tym wrażeniu. Aż nazbyt szybko ujrzał jednak na dole jasno oświetlone prywatne lądowisko Covella.

Wylądował lekko jak piórko i strażnik z karabinem automatycznym skinął na niego dłonią. Brennan z westchnieniem strącił z siebie wspomnienie czystego nieba. Pora wracać do roboty.

Wartownik podszedł nieśpiesznie do śmigłowca. Brennan zaczekał, aż mężczyzna zbliży się na kilkanaście kroków, nim strzelił mu w głowę z browninga z tłumikiem. Nikt nie zauważył, kiedy wchodził do rezydencji przez drzwi na dachu, a potem sprawdzał kolejne pokoje, zdeterminowany i cichy jak duch.

Znalazł Covella w bibliotece. Stały tam całe szeregi nigdy nieczytanych książek, kupionych przez dekoratora wewnątrz z uwagi na kolor okładek. Don, którego Brennan poznał z fotografii w dossier Znikacza, grał w bilard ze swym consularze. Trzeci mężczyzna, z pewnością ochroniarz, przyglądał się temu bez słowa.

Covello zmarnował łatwe uderzenie, zaklął pod nosem i uniósł wzrok. Zmarszczył brwi na widok Brennana.

- Kim pan jest, do licha?

Yeoman nie odpowiedział. Uniósł broń i zastrzelił zdumionego ochroniarza. Covello zaczął krzyczeć wysokim, dziwnie kobiecym głosem. Consularze rzucił w intruza kijem bilardowym. Brennan uchylił się z łatwością i wpakował mężczyźnie trzy kule w pierś, rozbryzgując go po całym stole. Potem strzelił w plecy uciekającemu ku drzwiom donowi.

Covello jeszcze oddychał, gdy zabójca nad nim stanął. W oczach Rica widniał błagalny wyraz. Próbował coś powiedzieć. Brennan wolałby wykończyć go strzałem w głowę, ale nie mógł tego zrobić. Wydano mu rozkazy.

Wyjął z tylnej kieszeni nylonowy worek, a z pochwy, którą miał z tyłu u pasa, nóż, znacznie dłuższy i cięższy niż ten, który zwykle nosił.

Musiał się śpieszyć. Krzyki Covella z pewnością wszystkich zaalarmowały. Wkrótce zjawią się jego zbiry. Pochylił się. Umierający don zamknął oczy z niewypowiedzianej grozy na widok noża.

Ten człowiek nie był jego wrogiem, ale z drugiej strony jego śmierć nie będzie wielką stratą dla społeczeństwa. Niemniej, gdy odcinał mu głowę, wspierając się mocno na rękojęści, by przeciąć kręgosłup, Brennan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Covello zasłużył na lżejszą śmierć. Nikt nie zasługiwał na coś takiego.

Uniósł głowę za wysmarowane brylantyną włosy i schował ją do nylonowego worka. Następnie

popędził z powrotem na dach, gdzie czekał na niego śmigłowiec. Poruszał się szybko i cicho, ale i tak go zauważono.

Jakiś żołnierz mafii wypuścił do niego serię i zawołał towarzyszy. Kule uderzyły daleko od celu, ale Brennan uświadomił sobie, że go wykryto. Przyśpieszył jeszcze kroku, mijając kolejne korytarze, aż wreszcie dopadł do schodów. W pewnej chwili natknął się na grupę mężczyzn. Nie miał pojęcia, kim byli. Sprawiali wrażenie zaskoczonych i oszołomionych całym tym zamieszaniem. Opróżnił w biegu magazynek browninga i mężczyźni rozpięchli się na wszystkie strony, nie próbując stawiać oporu. Odgłosy pościgu były coraz bliższe.

- Mam paczkę i wracam do domu. Potrzebuję wsparcia - poinformował na głos niewidzialnych słuchaczy, nie zwalniając kroku.

Sięgnął do kieszeni marynarki, upuścił coś na dywan i pobiegł dalej.

Karteczka delikatnego papieru, zręcznie złożona w skomplikowany kształt, opadła na podłogę. Brennan nie oglądał się za siebie, ale usłyszał groźny ryk wielkiego kota, straszliwie głośny w ciasnym korytarzu. Głos tygrysa bez końca odbijał się echem w korytarzach, mieszając się z hukami strzałów oraz krzykami przerażonych ludzi.

Trasa, którą poleciał na małe lotnisko w hrabstwie Suffolk, nie znajdowała się na autoryzowanym planie lotu. Sam lot nie był też już tak ekscytujący, ponieważ Brennanowi towarzyszył splamiony, przeciekający czarny worek leżący na fotelu drugiego pilota.



Znikacz i Włochacz czekali na lotnisku z limuzyną.

- Jak poszło?

- Zgodnie z planem.

Brennan uniósł w ręce worek i Wilkołak przyjął go od niego.

As skinął głową.

- Owiń ją w koc albo w coś i wrzuć do bagażnika.

Włochacz poszedł wykonać polecenie. Znikacz zauważył wyraz niesmaku na twarzy Brennana i wzruszył ramionami.

- Tak, mnie też się czasami robi niedobrze. Ale Trupiołowy to użyteczne narzędzie. Pomyśl o wszystkich informacjach, które uzyska z mózgu Covella.

- Myślałem, że on pracuje nad innym problemem - odparł od niechcienia Brennan. - Chodziło o jakąś askę znaną jako Zjawa.

- Ach, to? - Znikacz machnął ręką. - Tę sprawę już rozwiązał. Zjawa najwyraźniej nie przepadała za Gruberem. Nigdy mu nie powiedziała, jak się naprawdę nazywa. Ale kiedyś wspomniała, kiedy ma urodziny. Trupiołowy to zdolny rysownik, choć trudno sobie wyobrazić, że może mieć jakieś ludzkie cechy. A my mamy bardzo dobre kontakty w wielu rządowych instytucjach, na przykład w Biurze Pojazdów Mechanicznych. Data urodzin i rysunek Trupiołowego wystarczą, żeby przygwoździć sukę.

Brennana zalała fala strachu, natychmiast przeganiając zmęczenie przygniatające jego ciało i ducha. Ukrył je, pocierając twarz i ziewając szeroko.

- Hmm - mruknął, rozpaczliwie próbując nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie. - Wygląda na to, że to ważna akcja. Chciałbym w niej uczestniczyć.

Znikacz przyjrzał mu się uważnie, po czym skinął głową.

- Jasne, Kowboju. Zasłużyłeś sobie na to. To się wydarzy dopiero za parę dni, ale wygląda mi na to, że mógłbyś pospać tak długo.

Brennan rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu.

- Pewnie bym mógł.



Wysadzili go przy jego mieszkaniu w Dżokerowie. Przespał całą dobę, a potem niepokoił się przez następną, nim wreszcie po niego zadzwoniono. Usłyszał w słuchawce niewyraźny głos Włochacza.

- Mamy jej nazwisko i adres, Kowboju.

- Kto weźmie udział w akcji?

- Ty, ja i dwóch moich kumpli z Wilkołaków Obserwują teraz jej mieszkanie.

Brennan skinął głową. Ucieszył się, że nie będzie z nimi Leniwego Smoka. Czuł głęboki respekt do jego mocy oraz zdolności przystosowania.

- Jest pewien problem. - Włochacz się zawahał. - Ona potrafi się zmienić w ducha. Przechodzi przez ściany i inny taki syf. Właściwie nie możemy jej zagrozić.

Brennan się uśmiechnął. Z Jennifer faktycznie trudno było sobie poradzić.

- Ale Znikacz ma plan. Włamiemy się do jej mieszkania i sprawdzimy, czy jest tam książka, której szukamy. Jeśli nie, spróbujemy rokować ze Zjawą. Odkupimy książkę od niej albo coś. A potem... - dodał Włochacz z nutą satysfakcji w głosie

- ...zawsze może oberwać kulkę w tył głowy, kiedy nie będzie się tego spodziewała. Nie będzie duchem zawsze.

- To dobry plan - nakazał sobie powiedzieć Brennan. Rzeczywiście był dobry. Znali jej nazwisko i wiedzieli, gdzie ją znaleźć. Musiał coś zrobić, bo inaczej Jennifer nie przeżyje miesiąca, nawet jeśli oddadzą im dziennik. Zastanawiał się gorączkowo. - Spotkamy się za godzinę pod jej mieszkaniem. Podaj mi adres.

- W porządku, Kowboju. Wiesz co? Szkoda, że umie się zamieniać w tego ducha. Ładnie wygląda. Moglibyśmy się z nią nieźle zabawić.

- Aha, naprawdę nieźle.

Brennan odłożył słuchawkę, gdy tylko dzoker podał mu adres. Przez chwilę wpatrywał się w pustkę, odwołując się do wszystkich swych umiejętności zen, by uspokoić umysł i spowolnić oszalałe tętno. Potrzebował opanowania, a nie mózgu wypełnionego gniewem, nienawiścią i strachem. Jedna część jego jaźni zastanawiała się, dla-czego tak gwałtownie zareagował na słowa Włochacza. Druga część znała powód, ale trzecia, największa, powiedziała mu, żeby na razie to odłożył. Później będzie miał czas zastanowić się nad tą sprawą. Istniało jakieś wyjście z tej sytuacji. Musiało istnieć...

Pogrążył swą świadomość w sadzawce istnienia, szukając wiedzy przez absolutny spokój. Gdy przywołał umysł z powrotem z zazen, znał już odpowiedź. Chodziło o Kiena, a on go znał. Znał jego obawy, jego silne i słabe strony. Niektóre szczegóły mogą jednak okazać się trudne i bolesne. Chwycił za słuchawkę i wybrał numer. Rozległ się sygnał, a potem usłyszał na drugim końcu linii jej głos:

- Halo? - Zacisnął słuchawkę w dłoniach, uświadamiając sobie, jak bardzo stęsknił się za jego brzmieniem. Pomimo sytuacji, cieszył się, że znowu go usłyszał. - Halo?

- Cześć, Jennifer. Musimy porozmawiać...



Śnieg sypał przeraźliwie gęsto, a wicher zawodził w szarych kanionach miasta jak stado potępionych dusz. Z jakiegoś powodu zima wydawała się tu mroźniejsza niż w górach, a także brudniejsza i bardziej samotna. Nienoszące masek Wilkołaki, przebrane za ekipę remontową, czekały w holu budynku, w którym mieszkała Jennifer. Jeden był wysoki, chudy i miał policzki naznaczone trądzikiem. Dżokerskie deformacje ukrywał pod workowatym kombinezonem. Drugi był niski i również chudy. Jego zniekształcenia łatwo było zauważyć. Silnie skrzywiony kręgosłup sprawiał, że tułów odchodził mu od bioder pod nienormalnym kątem. Włochacz i Brennan, również odziani w kombinezony, strzepnęli śnieg z butów.

- Zimno jak diabli - odezwał się Włochacz. - Poszła sobie? - dodał szeptem.

Wysoki i chudy dżoker skinął głową.

- Wyszła jakieś dziesięć minut temu. Złapała taksówkę.

- Dobra, w takim razie zrobmy to.

Nikt nie widział, jak wchodzili do mieszkania Jennifer. Narzędzia włamywacza, które przyniósł ze sobą Włochacz, bez trudu poradziły sobie z drzwiami frontowymi. Brennan obiecał sobie, że pogada o tym z Jennifer. Pod warunkiem, że oboje nadal będą żyli po zakończeniu tej sprawy.

- Najpierw sprawdzimy sypialnię - oznajmił Włochacz, gdy już weszli do środka. Zatrzymał się i spojrzał z zasepioną miną na pełne książek półki ciągnące się od podłogi aż po sufit.

- Cholera, to będzie jak szukanie igły w stogu siana.

Następnie dżoker poprowadził ich do małej sypialni, gdzie było jednoosobowe łóżko, stolik z lampą, staroświecka szafa oraz kolejne regały.

- Będziemy musieli sprawdzić te wszystkie cholerne książki - poskarżył się. - Któraś może być wydrążona albo coś.

- Jezu, Włochacz - sprzeciwił się niski i chudy Wilkołak.

- Naogładałeś się za dużo fil...

Przerwał nagle. Ze ściany wynurzyła się atrakcyjna blondynka, wysoka i szczupła, odziana w czarne bikini ze stringami. Zamigotała, zmaterializowała się i wymierzyła w nich pistolet z tłumikiem.

- Nie ruszać się.

Zamarli w bezruchu, raczej zdziwieni niż przerażeni.

Włochacz przełknął ślinę.

- Hej, chcieliśmy tylko pogadać. Przysłali nas ważni ludzie.

Kobieta skinęła głową.

- Wiem.

- Wiesz? - zdumiał się dżoker.

- Ja jej powiedziałem.

Wszyscy odwrócili się w stronę Brennana, który tymczasem otworzył szufladę stolika i teraz również miał pistolet - dziwnie wyglądającą broń o długiej lufie. Celował z niej we Włochacza. Dżoker wybałuszył otoczone włosami oczy.

- Kowboju, co ty wyprawiasz, do cholery? Co tu jest grane? Brennan popatrzył na niego z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Poruszył nadgarstkiem i dwa razy nacisnął spust.

Nastąpiły dwie ciche, niemal całkowicie bezgłośnie eksplozje. Wilkołaki spojrzały ze zdumieniem na sterczące z ich piersi strzałki. Ten wysoki i chudy otworzył usta, by coś powiedzieć, ale westchnął tylko, zamknął oczy i osunął się na podłogę. Drugi nawet nie próbował nic mówić.

- Kowboju!

Brennan potrząsnął głową.

- Nie nazywam się Kowboj. Właściwie nie nazywam się też Yeoman, ale to wystarczy.

Twarz dzokera przybrała wyraz niemal komicznego przerażenia.

- Posłuchaj, nikomu nie powiem. Daję słowo. Zaufaj mi. Osunął się na kolana, splatając dłonie w błagalnym geście. Po kudłatych policzkach spływały mu łzy.

Wiatrówka wystrzeliła po raz kolejny i Włochacz osunął się twarzą na dywan. Brennan zwrócił się w stronę Jennifer.

- Cześć, Zjawo.

Kobieta rzuciła pistolet na łóżko.

- Czy... nie możesz puścić ich wolno?

Potrząsnął głową.

- Wiesz, że nie mogę. Wiedzą, kim jestem. Zdradziliby moją tożsamość, a to zniszczyłoby cały nasz plan.

- Czyli muszą umrzeć?

Podszedł bliżej, ale nie próbował jej dotknąć.

- Wmieszałaś się w śmiertelnie groźny interes. - Wskazał na trójkę uśpionych Wilkołaków. - Jeśli nie chcesz zginąć, nikt poza mną nie może odejść stąd żywy. - Zatrzymał się i spojrzał na nią z zakłopotaną miną. - Ale i tak nie ma gwarancji...

Westchnęła.

- Ich śmierć obciąży moje sumienie.

- Sami wybrali drogę życiową, która doprowadziła ich tutaj. Byli gotowi zgwałcić cię, okaleczyć i zabić. Ale... - Odwrócił wzrok od Jennifer, wpatrując się we własne wnętrze. - Ale...

Głos Brennana umilkł. Jennifer dotknęła dłonią jego policzka. Skierował na nią spojrzenie ciemnych oczu, udręczonych wspomnieniami śmierci i zniszczenia, za-wsze bliskimi powierzchni jego myśli, pomimo wszy-stkich ćwiczeń zen i całej nieustępliwej koncentracji.

Uśmiechnęła się blado.

- Podobają mi się twoje nowe oczy.

Odwzajemnił jej uśmiech i niemal mimo woli położył dłoń na jej ręce.

- Muszę już iść. Wkrótce zrobi się ciemno, a ja muszę zająć się nimi... - Wskazał głową na nieprzytomne Wilkołaki.

- ...a także zadbać o inne szczegóły.

Skinęła głową.

- Czy jeszcze się zobaczymy? To znaczy wkrótce?

Cofnął dłoń, odwrócił się częściowo i wzruszył ramionami.

- Za mało masz kłopotów?

- Hej, król zbrodni z Nowego Jorku wydał na mnie wyrok śmierci. Dużo gorzej już nie będzie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Posłuchaj, lepiej już znikaj. Mam sprawy do załatwienia.

Popatrzyła na niego bez słowa.

- Zadzwoń do ciebie.

- Obiecujesz? - zapytała.

Skinął głową. Jennifer obrzuciła Wilkołaki zakłopotanym spojrzeniem i z powrotem zniknęła w ścianie. Brennan nie miał zamiaru dotrzymywać obietnicy. Nawet najmniejszego. Nie ma mowy. Gdy jednak zarzucił sobie na ramiona pierwszego nieprzytomnego dzokera, determinacja zaczęła już go opuszczać.

## V

Gdy Brennana wpuszczono do komnaty audiencyjnej, Znikacz, Siu Ma i Trupiołowy byli pogrążeni w rozmowie. Ten ostatni recytował bełkotliwym głosem listę nazwisk, adresów, telefonów, numerów kont oraz kontaktów w sferach rządowych. Wszystko, co Covello przechowywał w skrytkach swego mózgu, stało się własnością szalonego asa. Wszystko, co wiedział don...

Yeomana nawiedziła nagle pewna myśl. Tylko umarli mogli wiedzieć wszystko. Ich życie się skończyło i dlatego tylko oni mogli w pełni poznać Dżokerowo. Nie potrzebowali już nowej wiedzy. Podobnie jak on, kiedy przebywał w górach. Tam jego życie było spokojne, niezmiennie i pogodne. A także martwe. A teraz żył znowu. Prześladowające go coraz częściej poczucie niepewności oraz utraty panowania nad sytuacją było ceną, jaką za to płacił. To była wysoka cena, uświadomił sobie jednak, że jak dotąd może sobie na to pozwolić.

Znikacz i Siu Ma wymienili zaniepokojone spojrzenia, widząc, że Brennan wrócił sam.

- Co się stało? - zapytał as.

- To była pułapka. Ten szalony skurczybyk Yeoman. Zastrzelił Włochacza i dwójkę jego Wilkołaków, a mnie przyszpilił do ściany za cholerną rękę.

Brennan uniósł prawą dłoń, owiniętą w brudne bandaże, oderwane od jego koszuli. Bolało go jak cholera, kiedy przebijał ją strzałą. Doszedł do wniosku że to pokuta za wszystko, co uczynił od chwili przybycia do miasta.

- Darował ci życie? - zapytała Siu Ma.

- Chciał, żebym przekazał wiadomość od niego. Powiedział, że to na nic mu się nie zda.

Pokazał im dziennik Kiena. Jego treść uległa wymazaniu, gdy Jennifer zdematerializowała go, przenosząc książkę przez ścianę sejfu Kiena. Wściekało go jak diabli, że oddaje dziennik Wietnamczykowi i upewnia go, że nie musi się bać ujawnienia zawartych w nim treści. Musiał mu jednak dać coś konkretnego, żeby odczepił się od Jennifer.

Znikacz wziął od niego dziennik i ze zdziwioną miną przerzucił czyste kartki.

- Czy... czy Yeoman to zrobił?

Brennan potrząsnął głową.

- Powiedział, że to się wydarzyło, kiedy Zjawa go ukradła.

- Znakomicie - stwierdził z uśmiechem Znikacz. - Naprawdę znakomicie.

Nawet Siu Ma miała zadowoloną minę.

- Jest jeszcze jedno. - Brennan narzucił sobie ton obojętnego posłańca, choć w rzeczywistości pragnął wypalić te słowa Znikaczowi na czole, żeby Kien uświadomił sobie, że wspiera je żelazna wola.

Znikacz i Siu Ma popatrzyli na niego z wyczekiwaniem.

- Kazał mi przekazać wiadomość. Mam poinformować Kiena, tak powiedział, Kiena, że Yeoman wie, gdzie on mieszka, tak samo jak Kien wie, gdzie mieszka Zjawa. Kazał też

powtórzyć, że ich spór wykracza poza życie i śmierć, jest kwestią honoru i sprawiedliwej kary, ale jeśli Zjawę spotka coś złego, zadowolony się życiem Kiena. Powiedział, że ma strzałę z jego imieniem i ta strzała czeka... po prostu czeka.

Przed kilkoma miesiącami wygłosił podobną obietnicę, choć w imię innej kobiety. Jednakże Poczwarka odmówiła przyjęcia jego opieki, być może słusznie, i postanowiła wyjechać. Natomiast Jennifer skinęła tylko głową, gdy przedstawił jej swój plan. Zaakceptowała go, jakby ufała Brennanowi bez zastrzeżeń.

- Rozumiem. - Znikacz i Siu Ma wymienili zaniepokojone spojrzenia. - No cóż, przekażę tę wiadomość. - As pokiwał stanowczo głową. - Przekażę ją z całą pewnością - dodał, nerwowo przygryzając dolną wargę.

Siu Ma wstała.

- Dobrze się spisałeś - oznajmiła. - Mam nadzieję, że twoja współpraca z Widmowymi Pięściami będzie długa i owocna. Brennan popatrzył na nią i pozwolił sobie na uśmiech.

- Z pewnością taka będzie - odparł. - Z pewnością.



# **I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie**

**GEORGE R.R. MARTIN**

## **I**

W korytarzu, w którym kazała mu czekać inspektorka kredytowa, Tom znalazł najnowszy numer „Aces!”

Na okładce przedstawiono Żółwia przelatującego nad Hudson Rover na tle spektakularnego jesiennego zachodu słońca. Tom po raz pierwszy widział tę fotografię w „Life” i korciło go wtedy, żeby oprawić ją w ramki. To jednak było dawno temu. Nawet widoczna na zdjęciu skorupa zniknęła, porzucona gdzieś w przestrzeni przez kosmitów, którzy porwali go ostatniej wiosny.

Pod spodem, czarnymi literami na tle zabarwionych słonecznym szkarłatem chmur, umieszczono pytanie: „Czy Żółw zginął?”.

- Kurwa - warknął poirytowany Tom.

Sekretarka zerknęła na niego z dezaprobatą. Zignorował ją i zaczął kartkować czasopismo w poszukiwaniu artykułu o sobie. Jak mogli pisać, że nie żyje, do licha? Przecież wrócił, tak? Wziął starą skorupę, przeleciał w niej nad rzeką, a potem przemknął nad Dżokerowem. To było o świcie w dzień, który nastał po Dniu Dzikiej Karty. Z pewnością widziały go tysiące ludzi. Co jeszcze mógłby zrobić?

Znalazł artykuł. Autor mocno podkreślał fakt, że od wielu miesięcy nikt nie widział Żółwia. Być może jednak zginął, a to, co widziano później, było tylko zbiorową halucynacją. Przejawem myślenia życzeniowego, sugerował jeden ekspert. Balonem meteorologicznym, utrzymywał drugi z nich. Albo może Wenus.

- Wenus! - warknął Tom z niejakim oburzeniem. Stara skorupa, której wtedy użył, była cholernym volkswa-genem garbusem, pokrytym pancernymi płytami. Jak, do licha, mogli ją wziąć za Wenus? Przerzucił stronę i ujrzał przed sobą ziarniste zdjęcie fragmentu skorupy wyrzuconego przez rzekę. Metal wyginał się na zewnątrz, wypaczony wskutek jakiegoś straszliwego wybuchu. Jego krawędzie były ostre i wyszczerbione. „I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie złożyć znów Żółwia nie byli już w stanie” - głosił podpis.

Toma wkurzało, kiedy próbowali być dowcipni.

- Panna Trent przyjmie teraz pana - oznajmiła sekretarka.

Panna Trent nawet w najmniejszym stopniu nie poprawiła mu humoru. Była szczupłą, młodą kobietą, na nosie miała za duże okulary w rogowej oprawie, a jej ciemne włosy zdobiły blond smużki. Była całkiem ładna, co najmniej dziesięć lat młodsza od Toma.

- Panie Tudbury - odezwała się, spoglądając na Toma znad nieskazitelnego, chromowanego blatu stalowego biurka.

- Komisja kredytowa sprawdziła pańskie podanie. Ma pan znakomitą historię kredytową.  
- Aha - zgodził się Tom. Usiadł na krześle, pozwalając sobie na chwilę nadziei. - Czy to znaczy, że dostanę forszę?  
- Obawiam się, że nie - odparła panna Trent, uśmiechając się ze smutkiem.  
Z jakiegoś powodu tego właśnie się spodziewał. Spróbował się tym nie przejmować. Banki nigdy nie dawały ci pieniędzy, jeśli myślały, że ich potrzebujesz.  
- A co z moją historią kredytową? - zapytał.  
- Zawsze spłacał pan wszystkie pożyczki na czas i wzięliśmy to pod uwagę. Komisja uznała jednak, że całkowita suma pańskiego zadłużenia jest już za wysoka, biorąc pod uwagę pańskie obecne dochody. Nie możemy w tej chwili przyznać panu dalszego kredytu bez zabezpieczenia. Przykro mi. Być może jakiś inny kredytodawca zdecyduje inaczej.  
- Inny kredytodawca - powtórzył ze znużeniem Tom. Marne szanse. To był już czwarty bank, w którym próbował. Wszędzie mówiono mu to samo. - Oczywiście. - Zmierzając ku drzwiom zobaczył oprawiony w ramki dyplom wiszący na ścianie. - Rutgers - powiedział do kobiety. - Rzuciłem tam naukę. Miałem na głowie ciekawsze sprawy niż ukończenie collegeu. Ważniejsze sprawy.  
Przyglądała mu się bez słowa. Jej ładna, młoda twarz miała zdziwiony wyraz. Przez chwilę Tom miał ochotę wrócić do biurka, usiąść na krześle i opowiedzieć jej o wszystkim. Wyglądała na wyrozumiałą kobietę, przynajmniej jak na pracownicę banku.  
- Nieważne - dorzucił.  
Droga powrotna do samochodu ciągnęła się długo.



Zbliżała się północ, gdy Joey wreszcie go znalazł. Tom opierał się o zardzewiałą poręcz, wpatrzony w lśniące w blasku księżyca wody Kill Van Kull. Park znajdował się po drugiej stronie ulicy od jego domu oraz osiedla mieszkaniowego, w którym się wychowywał. Już w dzieciństwie często tu przychodził, by znajdować pocieszenie w czarnych, pokrytych oleistą warstewką wodach, światłach Staten Island po drugiej stronie oraz wielkich tankowcach płynących przez noc. Joey o tym wiedział. Przyjaźnili się od podstawówki. Choć różnili się od siebie jak dzień od nocy, byli braćmi we wszystkim oprócz nazwy.

Tom usłyszał kroki za swymi plecami, obejrzał się przez ramię, zobaczył, że to tylko Joey, i ponownie wpatrzył się w Kill Van Kull. Przyjaciel zatrzymał się obok niego i wsparł ręce na poręczy.

- Nie dostałeś kredytu - stwierdził.  
- Nie dostałem. Powiedzieli mi to samo, co zawsze.  
- Pierdolić ich.  
- Nie - sprzeciwił się Tom. - Mają rację. Za bardzo się zadłużyłem.  
- Wszystko w porządku, Tuds? - zapytał Joey. - Długo już tu siedzisz?  
- Parę chwil. Musiałem trochę pomyśleć.  
- Nie cierpię, kiedy myślisz.  
- Aha, wiem - odparł z uśmiechem Tom. Odwrócił spojrzenie od wody. - Pora z tym skończyć, Joey.  
- A co to ma znaczyć, do chuja?

Tom zignorował to pytanie.

- Dręczy mnie nostalgia za ostatnią skorupą. Miała noktowizory, teleobiektywy, cztery wielkie monitory i dwadzieścia małych, magnetofon i korektor graficzny, wszystko włączane pilotem, najnowocześniejsze i skomputeryzowane. Pracowałem nad tym skurwysyństwem cztery lata, nocami, podczas weekendów, w wakacje, kiedy tylko mogłem. Zainwestowałem w nie całą wolną forszę. I co się stało? Latałem cholerstwem tylko przez pięć miesięcy, nim popierdoleni kuzyni Tachiona wyrzucili je w kosmos.

- No i chuj z tym - burknął Joey. - Masz jeszcze na złomowisku kilka starych skorup. Weź jedną z nich.

- Ta, którą wyrzucili Takizjanie, była piąta - odparł Tom, starając się okazać cierpliwość. - Kiedy ją straciłem, wróciłem do czwartej. To była ta, którą spalili napalmem. Jeśli chcesz zobaczyć jej kawałki, kup najnowszy numer „Aces”. Tam jest świetne zdjęcie. Z drugiej i trzeciej już przed laty wyjęliśmy wszystkie użyteczne części. Tylko pierwsza pozostała w mniej więcej nienaruszonym stanie.

- I co z tego? - zapytał Joey.

- Pytasz co? Ona ma przewody, Joey, nie obwody scalone, a przewody sprzed dwudziestu lat. Przeszarżałe kamery z tylko umiarkowaną zdolnością śledzenia ruchu, ślepe pola, czarno-białe ekrany, lampy elektronowe, jebany piecyk gazowy i najgorszy system wentylacji, jaki w życiu widziałeś. Nadal nie mam pojęcia, jak zdołałem we wrześniu dolecieć nią do Dżokerowa. Byłem w szoku po wybuchu. Inaczej nigdy bym nie próbował czegoś tak debilnego. Przepaliło się tyle lamp, że z powrotem leciałem w połowie na oślep.

- Możemy to wszystko naprawić.

- Zapomnij o tym - odpowiedział Tom z pasją silniejszą niż ta, którą czuł w rzeczywistości. - Te skorupy są jakby symbolem całego mojego przejebanego życia. Rzygać mi się chce, kiedy tu stoję i o nich myślę. Cała ta forsa, którą w nie władowałem, wszystkie te godziny pracy. Gdybym włożył tyle energii w prawdziwe życie, mógłbym zostać kimś. Spójrz na mnie, Joey. Mam czterdzieści trzy lata. Mieszkam sam. Mam dom i porzucone złomowisko, jedno i drugie z hipoteką obciążoną na maksa. Pracuję czterdzieści godzin tygodniowo, sprzedając komputery i odtwarzacze wideo. Udało mi się kupić jedną trzecią sklepu, ale teraz ten sklep nie prosperuje za dobrze. Ha, ha, ale ze mnie frajer. Ta kobieta z banku była dziesięć lat młodsza ode mnie i pewnie zarabia trzy razy tyle co ja. Jest też ładna i nie ma obrączki. Sekretarka powiedziała o niej „panna Trent”. Może miałbym ochotę się z nią umówić, ale wiesz co? Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że lituje się nade mną.

- Jakaś głupia pizda popatrzyła na ciebie z góry. To jeszcze nie powód, żeby rozpaczać - stwierdził Joey.

- Nie - sprzeciwił się Tom. - Miała rację. Jestem więcej wart, niż się jej zdawało, ale nie mogła o tym wiedzieć. To, co we mnie najlepsze, włożyłem w Żółwia. Astronom i jego zbiry omal mnie nie zabili. Kurwa, Joey, rzucili napalm na moją skorupę, a jeden z nich zrobił coś, od czego poczułem się tak słabo, że aż zemdlałem. Mogłem zginąć.

- Ale żyjesz.

- Miałem farta - skwitował Tom głosem pełnym ferworu.

- Cholernie wielkiego farta. Byłem przypięty do fotela w tym skurwysyństwie, wszystkie moje instrumenty padły, a całe to wielotonowe kurestwo zmierzało prosto na dno rzeki. Nawet gdybym był przytomny, nie miałbym szans dotrzeć do klapy i otworzyć jej ręcznie, zanim się utopię. Zakładając, że w ogóle bym ją znalazł. Jebane światła zgasły, a do środka lała się woda!

- Myślałem że nie pamiętasz tego syfu - zauważył Joey.

- Bo nie pamiętałem. - Tom potarł skronie. - Nie świadomie. Ale czasami mam takie sny... kurwa, nieważne, rzecz w tym, że byłem już trupem. Miałem szczęście, niewiarygodne szczęście. Coś rozerwało cholerną skorupę na kawałki, wywaliło mnie na zewnątrz, nie zabijając mnie, i udało mi się wypłynąć na powierzchnię. Gdyby nie to, leżałbym w stalowym grobie na dnie Hudson River, a węgorze włożyłyby mi do oczu.

- Ale tam nie leżysz, tak?

- A co będzie następnym razem? - zapytał Tom. - Zapracowywałem się na śmierć, szukając jakiegoś sposobu, by sfinansować nową skorupę. Kombinowałem, że może opchnę udziały w sklepie albo sprzedam dom i przeniosę się do jakiegoś mieszkania. Ale w końcu pomyślałem sobie, no dobra, sprzedam jebany dom i zbuduję nową skorupę, a potem cholerni Takizjanie zjawią się znowu albo okaże się, że Astronom miał brata, który wkurzył się jego śmiercią, czy może wydarzy się jakiś inny syf, szczegóły są nieważne, ale coś się stanie i nową skorupę szlag trafi, tak samo jak dwie poprzednie. Na chuj się męczycy?

Joey patrzył mu w oczy. Joey, który wychowywał się razem z nim, który znał go lepiej niż ktokolwiek na świecie.

- Aha, może i tak się stanie - odezwał się wreszcie. - Ale czemu mam wrażenie, że jest coś, o czym mi nie mówisz?

- Byłem bystrym dzieciakiem - upierał się Tom, odwracając nagle wzrok - ale kiedy dorosłem, czemuś zgłupiałem. Ten syf z podwójnym życiem jest gównem wart. Większości ludzi wystarczająco trudno jest poradzić sobie z jednym życiem. Skąd przyszło mi do łba, że potrafię żonglować dwoma? - Potrząsnął głową. - Do diabła z tym. Skończone. Zmądrzałem, Joey. Myślę, że Żółw nie żyje? I bardzo dobrze. Niech spoczywa w pokoju.

- Jak sobie życzysz, Tuds - odparł Joey i położył szorstką dłoń na ramieniu przyjaciela. - Ale to cholerna szkoda. Mój chłopak się popłacze. Żółw jest jego bohaterem.

- A moim był Śmig - stwierdził Tom. - On również zginął. Na tym właśnie polega dorosłość. Prędzej czy później wszyscy twoi bohaterowie umierają.

## Koncert dla syreny i serotoniny

ROGER ZELAZNY

### I

Skryty w półmroku wypełniającym boks we włoskiej restauracji Vita, o niezwyklej porze, gdy ruch jest niewielki, pochłaniający cały wzgórek linguine, mający czarne i lśniące jak butelkowe szkło włosy, sztywne od spreju albo pomady, jedyny gość restauracji przyciągnął uwagę personelu, prowokując go do kilku zakładów, jako że to było już jego siódme danie, gdy nagle wysoki cywil z dłonią w kształcie maczugi wszedł do środka z ulicy i skierował na niego przekrwione oczy.

Gapił się na jedzącego dość długo, aż wreszcie ten również zwrócił ku niemu zwierciadlane soczewki.

- Czy to pan jest tym, którego szukam? - zapytał nowy przybysz.

- Może i tak - odparł gość restauracji, opuszczając widelec.

- O ile w grę wchodzi pieniądze oraz pewne szczególne talenty.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się. Następnie uniósł prawą rękę i opuścił ją. Jego dłoń uderzyła o krawędź stołu, pozbawiając go rogu, rozdarła obrus i szarpnęła go ku przodowi. Linguine posypały się na kolana ciemnowłosego mężczyzny.

Ten odskoczył i jego okulary się przekrzywiły, odsłaniając parę błyszczących, fasetkowych oczu.

- Kutas! - zawołał. Jego ręce wystrzeliły raptownie ku przodowi, w kierunku maczugowatej kończyny przybysza.

- Skurwysyn! - zawołał tamten, wyszarpując rękę. - Kurwa, poparzył mnie pan!

- Kurwa, poraziłem - poprawił go tamten. - Niech się pan cieszy, że pana nie usmażyłem! O co tu chodzi? Dlaczego rozwalił pan mój stół?

- Wynajmuje pan pierdolonych asów, tak? Chciałem panu pokazać, co potrafię.

- Nie wynajmuję żadnych asów. Myślałem, że pan to robi, skoro tak pan tu wszedł.

- Nie, do cholery, ty owadooki sukinsynu!

Pierwszy mężczyzna pośpiesznie poprawił okulary

- To cholernie nieprzyjemne widzieć dwieście szesnaście obrazów tego samego dupka - oznajmił.

- Ja ci pokażę dupka! - ryknął olbrzym, unosząc rękę.

- Sam się pan o to prosił - rzekł pierwszy. Między jego dłońmi rozszalała się nagle elektryczna burza. Olbrzym cofnął się o krok. Po chwili burza minęła i mężczyzna opuścił ręce. - To byłoby całkiem zabawne, gdyby nie linguine na moich kolanach - oznajmił.

- Zabawne?

- Niech się pan nad tym zastanowi - odparł pierwszy.

- Mam na imię Croyd - dodał po chwili.

- Croyd Crenson?

- Aha. Maczuga, zgadza się?

- Tak. Ale dlaczego zabawne?

- Przykład pomyłonej tożsamości - wyjaśnił Croyd.

- Dwóch facetów bierze się nawzajem za kogoś innego, tak? Maczuga zmarszczył głęboko czoło na kilka sekund, aż wreszcie rozciągnął usta w niepewnym uśmiechu. Potem parsknął śmiechem, który zabrzmiał jak cztery warkliwe kaszlnięcia.

- Jasne, kurewsko zabawne! - zawołał i raz jeszcze wydał z siebie ten sam odgłos.

Następnie wśliznął się do boksu, nie przestając chichotać. Croyd udał się do męskiej toalety, a Maczuga zamówił kufel piwa u kelnera, który przyszedł posprzątać. Po paru chwilach do lokalu wszedł od strony kuchni mężczyzna w czarnym garniturze i stanął pośrodku, trzymając kciuki za pasem i marszcząc lekko brwi. W jego zębach powoli poruszała się wykałaczka. Po chwili podszedł bliżej i zatrzymał się przy łoży.

- Chyba skądś pana znam.

- Jestem Maczuga - przedstawił się drugi, unosząc rękę.

- Chris Mazzucchelli. Tak, słyszałem o panu. Podobno potrafi pan rozwalić tą swoją łapą prawie wszystko.

- Jasne, kurwa - zapewnił z uśmiechem Maczuga.

Mazzucchelli również się uśmiechnął, nie wypuszczając z zębów wykałaczki. Wsunął się do łoży i usiadł na miejscu Croyda.

- Wie pan, kim jestem? - zapytał,

- Jasne, do cholery. - Maczuga pokiwał głową. - Jest pan bossem.

- To prawda. Pewnie słyszał pan, że zanoszą się na kłopoty i potrzebują żołnierzy szczególnego rodzaju.

- Jeśli trzeba rozbić trochę pierdolonych łbów, radzę sobie z tym bardzo dobrze - zapewnił Maczuga.

- Nieźle pan to ujął. - Mazzucchelli sięgnął pod marynarkę. Wyjął kopertę i rzucił ją na stół. - Zaliczka.

Maczuga wziął kopertę, rozerwał ją i przeliczył powoli banknoty, poruszając wargami.

- Kurwa, forsa jest w porządku. I co teraz?

- Jest tam też adres. Zgłosi się pan tam jutro o ósmej rano i otrzyma rozkazy. Jasne?

Maczuga schował kopertę i wstał.

- Jak cholera - zgodził się. Wziął w rękę kufel piwa, wypił wszystko i beknął.

- Kim jest ten drugi facet? - zapytał Mazzucchelli. - Ten, który siedzi w kiblu?

- Kurwa, to jeden z naszych - odparł Maczuga. - Nazywa się Croyd Crenson. Lepiej z nim nie zaczynać, ale ma świetne poczucie humoru.

Mazzucchelli skinął głową.

- Życzę miłego dnia.

Maczuga beknął raz jeszcze, pomachał zniekształconą ręką i oddalił się. Croyd wahał się tylko przez krótką chwilę, zanim wrócił do sali i popatrzył na siedzącego na jego miejscu Mazzucchellego. Podszedł bliżej i uniosł dwa palce w drwiącym salucie.

- Jestem Croyd - przedstawił się, podchodząc bliżej. - Czy pan jest werbownikiem?

Mazzucchelli obejrzał go od stóp do głów, zatrzymując spojrzenie na wielkiej wilgotnej plamie

z przodu spodni.

- Coś pana przestraszyło? - zapytał.

- Tak. Zajrzałem do kuchni - odparł Croyd. - Szuka pan talentów?

- A jaki talent pan ma?

Croyd sięgnął do małej lampy stojącej na stoliku, wykręcił żarówkę i uniósł ją przed sobą. Po chwili się zapaliła. Rozjarzała się coraz jaśniej, aż nagle zgasła.

- A niech to - mruknął. - Trochę przesadziłem z prądem.

- Za półtora dolara mogę sobie kupić latarkę - zauważył Mazzucchelli.

- Brakuje panu wyobraźni - stwierdził Croyd. - Potrafię zrobić bardzo ciekawe rzeczy z alarmami przeciwwłamaniowymi, komputerami i telefonami, nie wspominając już o każdym, któremu uściskę dłoń. Ale jeśli nie jest pan zainteresowany, to trudno. Nie umrę z głodu.

Zaczął się odwracać.

- Niech pan siada! - zawołał Mazzucchelli. - Słyszałem, że ma pan poczucie humoru. To mi się podoba i myślę, że mógłbym skorzystać z pana usług w pewnej sprawie. Pilnie potrzebuję utalentowanych ludzi.

- Coś pana przestraszyło? - zapytał Croyd, siadając na miejscu opuszczonym przez Maczugę.

Mazzucchelli łypnął na niego z irytacją.

- Poczucie humoru - wyjaśnił ze śmiechem Croyd. - Co mogę dla pana zrobić?

- Pańskie nazwisko brzmi Crenson - odparł tamten.

- Słyszałem o panu. Wiem o panu bardzo wiele. To był tylko taki żart. Poczucie humoru. Wiem, że jest pan niezły i z reguły wykonuje to, do czego się zobowiąże. Musimy jednak obgadać pewne sprawy, zanim będziemy mogli porozmawiać o innych. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Nie - przyznał Croyd. - Ale chętnie się tego dowiem.

- Chce pan coś zamówić na czas rozmowy?

- Mam ochotę na jeszcze jedno linguine. I jeszcze jedną butelkę chianti.

Mazzucchelli uniósł rękę i strzelił palcami. Kelner przybiegł natychmiast.

- *Linguine, e una bottiglia* - rzekł Włoch. - *Chianti*.

Mężczyzna oddalił się pośpiesznie. Croyd zatarł dłonie.

Rozległ się cichy trzask.

- Ten, który przed chwilą wyszedł... - odezwał się po dłuższej chwili Mazzucchelli - Maczuga...

- Tak? - zapytał Croyd, odczekawszy odpowiedni moment.

- Będzie dobrym żołnierzem - dokończył Włoch.

- Sądzę, że tak - zgodził się pierwszy mężczyzna.

- Ale pan ma również inne zdolności poza tymi, które dał panu wirus. Jak rozumiem, jest pan również zdolnym człowiekiem-muchą. Znał pan starego Bentleya.

Croyd ponownie skinął głową.

- Był moim nauczycielem. Poznałem go, kiedy jeszcze był psem. Widzę, że wie pan o mnie więcej niż większość ludzi.

Mazzucchelli wyjął z zębów wykałaczkę i popił łyk piwa.

- Na tym polega moje zajęcie. - Przerwał na chwilę. - Wiem wiele różnych rzeczy. Dlatego właśnie nie chciałem, żeby został pan zwykłym żołnierzem.

Kelner wrócił z talerzem linguine, kieliszkiem oraz butelką. Podał Croydowi zastawę z sąsiedniego boksu i ten natychmiast zaczął jeść z szalonym apetytem, który Mazzucchellemu

wydał się lekko niepokojący.

Croyd przerwał na wystarczającą chwilę, by zapytać:

- Co więc pan dla mnie zaplanował?

- Coś bardziej subtel nego, o ile jest pan odpowiednim człowiekiem do tego zadania.

- Subtel nego. Z subtelnością sobie radzę.

Mazzucchelli uniósł palec.

- Najpierw jedna z tych rzeczy, o których musimy porozmawiać, zanim przejdziemy do innych spraw.

Zauważywszy, z jaką szybkością opróżnia się talerz Croyda, Włoch strzelił palcami i kelner przybiegł z kolejną porcją linguine.

- A co to za rzecz? - zapytał Croyd, odsuwając na bok pierwszy talerz, by zrobić miejsce dla drugiego.

Mazzucchelli położył dłoń na jego lewym ramieniu w niemal ojcowskim geście.

- Jak rozumiem, ma pan problemy.

- Co ma pan na myśli?

- Słyszałem, że bierze pan spid - wyjaśnił Włoch - a od czasu do czasu zmienia się pan w oszalałego maniaka. Zabija pan ludzi, niszczy nieruchomości i sieje ogólny chaos, dopóki nie zabraknie panu pary albo jakiś znajomy as nie ulituje się nad panem i nie położy pana spać.

Croyd odłożył widelec i wypił kieliszek wina.

- To prawda - przyznał. - Choć na ogół nie lubię o tym rozmawiać.

Mazzucchelli wzruszył ramionami.

- Każdy ma prawo od czasu do czasu trochę się zabawić - oznajmił. - Pytam wyłącznie z powodów zawodowych. Nie chciałbym, żeby zaczął się pan zachowywać w ten sposób, gdy będzie pan dla mnie wykonywał jakieś ważne zadanie.

- Zachowanie, o którym pan mówi, nie jest rozrywką - wyjaśnił Croyd. - Staje się czymś w rodzaju konieczności, jeśli pozostaję przytomny dłużej niż pewien określony okres.

- A czy zbliża się pan już do tego punktu?

- Bynajmniej - uspokoił go Croyd. - Jeszcze przez długi czas nie ma pan powodów do obaw.

- Gdybym miał pana wynająć, wolałbym nie niepokoić się o to w ogóle. Zdaję też sobie sprawę, że nie ma sensu prosić człowieka, żeby przestał brać. Chcę jednak dowiedzieć się jednego. Czy kiedy zacznie pan łykać spid, ma pan wystarczająco wiele rozsądku, żeby uważać, by nikt nie skojarzył pana ze mną? Potem może sobie pan pójść na całość w jakimś miejscu niezwiązanym z usługami, które mi pan świadczy.

Croyd przyglądał mu się przez chwilę, po czym skinął powoli głową.

- Jeśli tego będzie wymagało zadanie, z pewnością mogę. Nie ma sprawy.

- Jeśli rozumiemy się w tej sprawie, jestem gotowy przyjąć pana do pracy. Ale będzie chodziło o coś bardziej subtel nego niż rozwalanie głów. I nie będzie to też proste włamanie.

- Robiłem już wiele dziwnych rzeczy - zapewnił Croyd.

- I subtelnych również. Niektóre były nawet legalne.

Obaj się uśmiechnęli.

- Niewykluczone, że w tym przypadku nie zetknie się pan z przemocą - dodał Mazzucchelli. - Jak już mówiłem, moja robota polega na tym, że wiem różne rzeczy. Chcę, żeby zdobył pan dla mnie pewne informacje. Najlepiej w ten sposób, żeby nikt się nie dowiedział, że one wyciekły. Ale z drugiej strony, jeśli będzie pan musiał sprawić komuś poważny ból, to również jest dopuszczalne. Pod warunkiem, że dobrze pan potem posprząta.



- Rozumiem. Czego chce się pan dowiedzieć i gdzie mogę znaleźć te dane?

Mazzucchelli parsknął krótkim, warkliwym śmiechem.

- Najwyraźniej w tym mieście prowadzi działalność również inna firma - oznajmił. - Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak - potwierdził Croyd. - A w jednym kwartale z reguły nie ma miejsca dla dwóch delikatesów

- W rzeczy samej - zgodził się Mazzucchelli.

- I dlatego szukacie nowych pracowników, by kontynuować rywalizację przy użyciu bardziej intensywnych środków.

- Nieżle pan to ujął. Jak już mówiłem, chcielibyśmy wydobyć z tej drugiej firmy pewną informację. Dobrze zapłacę, jeśli ją pan dla mnie zdobędzie.

Croyd pokiwał głową.

- Jestem gotowy podjąć taką próbę. O jakie dokładnie informacje panu chodzi?

Mazzucchelli pochylił się ku niemu i ściszył głos, ledwie poruszając wargami.

- Prezes rady nadzorczej. Chcę się dowiedzieć, kto kieruje tym interesem.

- Szef? Chce pan powiedzieć, że nawet nie przysłał wam śniętej ryby w czyichś portkach? Myślałem, że w tych sprawach obowiązują pewne formy?

Mazzucchelli wzruszył ramionami.

- Ci faceci nie mają pojęcia o etykiecie. Banda cudzoziemców.

- Ma pan jakieś wskazówki, czy będę musiał zaczynać od zera?

- W zasadzie to misja zwiadowcza. Dam panu listę miejsc, w których niekiedy operują. Mam też nazwiska kilku osób, które czasami dla nich pracują.

- Czemu po prostu nie złapiecie jednej z nich, żeby ją wypytać?

- Myślę, że to są niezależni pracownicy, a nie członkowie rodziny, podobnie jak pan.

- Rozumiem.

- I to może nie być jedyne, co ich z panem łączy - dodał po chwili Mazzucchelli.

- Są asami? - zapytał Croyd.

Mazzucchelli skinął głową.

- Jeśli mam zadzierać z asami, to będzie kosztowało więcej niż w przypadku zwykłych cywilów.

- Jestem gotowy zapłacić - zapewnił Mazzucchelli, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki kolejną kopertę.

- Tu jest zaliczka razem z listą. Może pan uznać zaliczkę za dziesięć procent całkowitej zapłaty.

Croyd otworzył kopertę i przeliczył szybko pieniądze, a potem się uśmiechnął.

- Gdzie odbierzecie dostawę? - zapytał.

- Kierownik tego lokalu zawsze może się ze mną skontaktować.

- A jak on się nazywa?

- Theotocopulos. Wystarczy Theo.

- W porządku - zgodził się Croyd. - Właśnie wynajął pan subtelność.

- Po przebudzeniu staje się pan innym człowiekiem, tak?

- Zgadza się.

- Jeśli to się wydarzy, nim wykona pan robotę, ten nowy facet nadal będzie miał ze mną kontrakt.

- Pod warunkiem, że dostanie forszę.

- Rozumiemy się nawzajem.

Uścisnęli sobie ręce. Croyd wstał, opuścił boks i ruszył ku drzwiom. Kiedy wyszedł, przez otwarte drzwi wpadły do sali wielkie jak śmy płatki śniegu. Mazzucchelli sięgnął po kolejną wykałaczkę.

Po wyjściu na dwór Croyd wrzucił sobie do ust czarną pigułkę.

Odziany w szare spodnie, niebieski sweter oraz krawat koloru zakrzepłej krwi, mający włosy ondulowane w fale srebrnawego koloru i wypielęgnowane dłonie, Croyd siedział sam przy za małym stoliku obok okna w Wieży Asów i spoglądał na światła miasta widoczne za chmurami niesionego wiatrem śniegu, widoczne za jego pieczonym łososiem. Popijał Chateau d'Yquem, zastanawiając się nad następnym etapem swego śledztwa, i flirtował z Jane Dow, która przechodziła tędy już dwa razy, a teraz zbliżała się znowu. Doszedł do wniosku, że to z pewnością coś więcej niż przypadek, do tego dobry znak. Pragnął jej już w różnych sercach - niekiedy po kilku naraz - i wielokrotnie miał nadzieję, że znajdzie okazję, by dać wyraz tym żądzom. Gdy się zbliżyła, unióśł rękę i dotknął jej ramienia.

Przeskoczyła między nimi mała iskra.

- Ojej! - zawołała dziewczyna i zatrzymała się, by potrzeb miejsce, w który doszło do wstrząsu.

- Przepraszam... - zaczął Croyd.

- To na pewno ładunek elektryczny - stwierdziła dziewczyna.

- Na pewno - zgodził się. - Chciałem tylko powiedzieć, że zna mnie pani, nawet jeśli nie poznaje mnie pani w obecnym wcieleniu. Jestem Croyd Crenson. Spotykaliśmy się przelotnie tu i ówdzie. Zawsze chciałem chwilę z panią porozmawiać, ale z jakiegoś powodu nasze ścieżki nigdy nie skrzyżowały się w odpowiednim momencie.

- To bardzo interesująca odzywka - stwierdziła Jane, przesuując palcem po wilgotnym czole. - Wymienił pan jedyne go asa, co do którego nigdy nie można mieć pewności. Jestem pewna, że mnóstwo groupies się na to łapie.

- To prawda - przyznał z uśmiechem Croyd, rozpościerając szeroko ramiona. - Ale potrafię to pani udowodnić. Wystarczy poczekać pół minutki.

- Na co? Co pan robi?

- Wypełniam dla pani powietrze jonami ujemnymi. Dla tej rozkosznie pobudzającej chwili, jak przed burzą. A to tylko zapowiedź tego, co mógłbym pani pokazać...

- Proszę przestać! - Zaczęła się od niego odsuwać. - To czasami prowokuje reakcję.

Dłonie Croyda były wilgotne, jego twarz również, włosy zamokły i woda zaczęła mu spływać po czole.

- Przepraszam - rzekła.

- A co tam - odparł. - Zróbmy z tego prawdziwą burzę.

Między jego palcami zatańczyły błyskawice. Wybuchnął śmiechem. Inni goście lokalu spoglądali ku nim.

- Niech pan przestanie - odezwała się. - Proszę.

- Zrobię to, jeśli usiądzie pani ze mną na minutkę.

- Zgoda.

Usiadła naprzeciwko niego. Croyd wytarł twarz i dłonie serwetką.

- Przepraszam - rzekł. - To moja wina. Powinienem uważać z burzowymi efektami w towarzystwie kogoś, kogo zwą Lilią Wodną.

Uśmiechnęła się.

- Pańskie okulary są mokre - powiedziała i wyciągnęła rękę, by zdjąć je z jego oczu. - Wytrę je...

- Dwieście szesnaście widoków wilgotnego piękna - skomentował, gdy gapiała się na niego. - Wirus jak zwykle dał mi zbyt wiele pod niektórymi względami.

- Rzeczywiście widzi mnie pan w tylu obrazach?

Skinął głową.

- Zmiany czasami przynoszą mi takie dzokerskie akcenty. Mam nadzieję, że to pani nie odstręcza.

- Wyglądają rewelacyjnie - zapewniła.

- Jest pani bardzo miła. A teraz proszę mi oddać okulary.

- Chwileczkę.

Wytarła soczewki brzeżkiem obrusa i wręczyła mu okulary.

- Dziękuję. - Włożył je z powrotem na nos. - Postawić pani drinka? Obiad? Kupić spaniela dowodnego?

- Jestem w pracy - odparła. - Dziękuję. Przepraszam. Może innym razem.

- Właściwie ja też teraz pracuję. Ale jeśli mówi pani poważnie, dam pani parę numerów telefonów i jeden adres. Może mnie nie być pod żadnym z nich, ale wiadomość do mnie dotrze.

- Niech mi pan je da - zgodziła się.

Napisał je szybko w notesie, wyrwał kartkę i podał ją dziewczynie.

- A co to za praca? - zapytała.

- Subtelne dochodzenie - wyjaśnił. - Chodzi o wojnę gangów.

- Naprawdę? Słyszałam, jak ludzie mówili, że jest pan w miarę uczciwy. A także trochę szalony.

- W połowie mają rację - przyznał. - Proszę zadzwonić albo do mnie wpaść. Wypożyczę kostium płetwonurka i świetnie się zabawimy.

Uśmiechnęła się i zaczęła wstawać.

- Może i tak zrobię.

Wyjął z kieszeni kopertę, odsunął na bok plik banknotów i wyciągnął kartkę, na której coś napisano.

- Hmm... zanim pani pójdzie. Czy nazwisko James Spector coś pani mówi?

Zamarła w bezruchu i pobladła. Croyd znowu poczuł wilgoć.

- Co takiego powiedziałem? - zapytał.

- To nie żart? Naprawdę pan nie wie?

- Nie mam pojęcia.

- Zna pan wyliczankę asów?

- Fragmenty.

- A ten Złoty Chłopiec każdemu dokopie. A jeśli to Zgon, zabije cię on. To o nim. Zgon naprawdę nazywa się James Spector.

- Nie wiedziałem o tym - wyznał. - Nigdy nie słyszałem żadnych zwrotek o sobie - dodał po chwili.

- Ja też żadnych nie pamiętam.

- Niech pani da spokój. Zawsze się nad tym zastanawiałem.

- Śpioch spid łyka, każdy zmyka - odpowiedziała powoli.

- Śpioch gdy wstanie, żre śniadanie.

- No tak.

- Jeśli zadzwonię do pana, a pan będzie w takim stanie...
  - W takim stanie nie odbieram telefonów.
  - Dam panu parę suchych serwetek - zaproponowała.
  - Przepraszam za tę burzę.
  - Nie ma za co. Czy ktoś kiedyś pani powiedział, że jest pani piękna, kiedy wydziela wilgoć?  
Wlepiała w niego spojrzenie.
  - Suchą rybę też przyniosę.
- Croyd uniósł rękę, by przesłać jej całusa, i poraził sam siebie.

## Zerwanie

LEANNE C. HARPER

Dwóch ochroniarzy najpierw wpuściło do środka Giovanniego. Ich ukryte za ciemnymi okularami oczy natychmiast zaczęły skanować ulicę, wypatrując kłopotów. Gdy mężczyzna stojący po prawej skinął dłonią, kolejny ochroniarz wyszedł na ulicę, poprzedzając don Tomassa, głowę Rodziny Anselmi. Donowi trzeba było pomagać przy chodzeniu. Był zgarbionym, starym mężczyzną i cierpiał wyraźny ból, ale jego staromodny garnitur był szyty ręcznie i wyprasowany w kant. Tomasso również rozejrzał się po ulicy, kręcąc drżącą głową między przygarbionymi ramionami niczym stary żółw. Czerwono-zielony neon restauracji na przemian oświetlał i skrywał w ciemności jego pomarszczoną twarz.

Czarna limuzyna marki Mercedes należąca do don Tomassa parkowała równolegle do drugiego samochodu tuż przed wejściem do lokalu Giovanniego. Otoczony swoimi ludźmi don podszedł do samochodu, trzymając głowę tak wysoko, jak tylko potrafił, rzucając w ten sposób wyzwanie niewidocznym obserwatorom, którzy mogli gdzieś tu się kryć. Za mercedesem Tomassa zatrzymało się ciemne bmw. Don przywitał kierowcę skinieniem głowy, a potem wsiadł do limuzyny. Jeden z ochroniarzy podążył za nim, a pozostali wrócili do bmw. Oba pojazdy ruszyły, nim jeszcze drzwi drugiego z nich zdążyły się zamknąć.

Na chodniku, przed kamienicą odległą o pół przecznicy od restauracji, dwoje dzieci bawiło się w słabym blasku pomarańczowych świateł ulicznych. Chłopiec właśnie rzucił młodszej dziewczynce piłkę bejsbolową, gdy nagle mercedes eksplodował. W mgnieniu oka bmw również uległo zniszczeniu. Kule ognia rozkwitły i spotkały ze sobą. Fragmenty samochodów i cegły z pobliskich budynków posypały się na ziemię.

Rosemary Muldoon nie przestawała przyglądać się płomieniom na przesadnie wielkim ekranie, który miała przed sobą. Siedziała bez ruchu na rzeźbionym fotelu z orzecha czarnego, aż taśma się skończyła i obraz ustąpił miejsca śnieżeniu. Ręce jednak zaciskała na poręczach tak mocno, że aż knykcie jej dłoni zbieleły.

Chris Mazzucchelli wstał z sąsiedniego krzesła, żeby wyjąć taśmę z odtwarzacza. Rosemary rozejrzała się po bibliotece ojca. Tu zawsze odbywały się strategiczne narady Rodziny Gambione. Prawie wszystko w penthousie pozostawiła bez zmian, sprowadziła tylko trochę nowoczesnego sprzętu, takiego jak komputer i odtwarzacz wideo, by pomógł jej w zarządzaniu imperium, które odziedziczyła. W tej chwili pomieszczenie wydawało jej się bardzo puste, jakby nawet ojciec ją opuścił.

Chris wrócił do stołu konferencyjnego, odłożył taśmę i pogłaskał Rosemary po ciemnobrązowych włosach. Kiedy objął dłonią jej twarz, kobieta wstała.

- Zostało nas tylko dwoje. Don Calvino i ja. W ciągu kilku tygodni zabito trzech donów, a my nawet nie wiemy, kto nam to robi. Wiemy tylko, z czyich usług korzysta. - Rosemary potrząsnęła głową. - Pięć Rodzin nigdy dotąd nie stanęło przed taką groźbą. Nie jesteśmy gotowi do wojny na tak wielką skalę. Straciliśmy większą część handlu narkotykami w Dżokerowie.

Harlem przestał nam płacić działkę za gry liczbowe. Uderzają w nas z góry i z dołu. Przejęli największą fabrykę prochów w Brooklynie.

- Musimy się przygotować. Jesteś jedynym zdolnym do akcji donem, jaki nam pozostał. Rozmawiałem z capos Tomassa. Są z nami, tak samo jak cała reszta. W tej chwili staram się utrzymać interes w ruchu, żebyśmy mieli pieniądze, by przetrwać i. podjąć walkę. Calvino próbuje negocjacji, ale jak dotąd to chyba nic nie dało. Cały czas obserwowaliśmy obu żyjących donów. Właśnie w ten sposób zdobyliśmy tę taśmę. - Chris wziął kasetę w rękę i podrzucił w powietrze. - Ładunek odpalili zdalnie. Zakładamy, że drogą radiową. Zapewne mieli samochody w zasięgu wzroku, by upewnić się, że dostaną don Tomassa.

- To znaczy, że wiedzieli o dzieciakach - stwierdziła Rosemary, która uniosła głowę, usłyszawszy słowo „zapewne”.

Chris wzruszył ramionami.

- Do tej pory nie przejmowali się zbyt ofiarami wśród cywilów. To terroryści.

- To skurwysyny.

Chris skinął głową. Rosemary wiedziała, że mężczyzna zastanawia się już nad sposobami odkrycia źródła materiałów wybuchowych. Podczas kilku miesięcy współpracy z nim nauczyła się, że świetnie się adaptuje do jej celów oraz pragnień i realizuje je dzięki pozycji jej figuranta, reprezentującego ją przed rodzinami. Wiedziała, że capos nigdy nie zaakceptują jej jako głowy Rodziny Gambione. Dlatego potrzebowała mężczyzny, który zgodzi się zostać jej marionetką. Chris miał oficjalnie kierować wszystkim, podczas gdy ona, Maria Gambione, będzie pociągała za sznurki zza kulis. Ale ten plan nie do końca się udał. Chris niemalże czytał w jej myślach. Miał praktyczne doświadczenie, którego jej brakowało Tworzyli znakomity tandem. Bez Chrisa nigdy by sobie nie poradziła z tym wszystkim.

- Towarzystwo Widmowej Pięści sprawia nam kłopoty, ale nie sądzę, by mieli zasoby potrzebne, by osiągnąć to wszystko. Z drugiej strony wiemy, że współpracują z Niepokalanymi Czaplami i Wilkołakami z Dżokerowa. Wspólnie mogą nam zadać poważne straty, ale grupka gangów...

- Z odpowiednim przywódcą... - Rosemary rozpostarła dłonie. - Z odpowiednim przywódcą wszystko jest możliwe. Ale powinniśmy coś o nim słyszeć. Jak mogą go ukrywać tak skutecznie?

Chris wzruszył ramionami.

- Spróbuję to sprawdzić, ale nie liczyłbym na zbyt wiele. Mam inny pomysł. Zastanów się nad zamordowaniem Tomassa. Tych samochodów z pewnością strzeżono przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak więc zdołali podłożyć te bomby?

Chris obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Jak?

Rosemary nauczyła się już powściągać niecierpliwość, gdy czasami zdarzało mu się odwoływać do metody sokratejskiej. Wiele się dzięki temu nauczyła, zupełnie jak w szkole.

- Ponownie chodzi o asów. Tak samo jak z donem Pic-chiettim. Któż inny mógłby dostać się do środka i uciec niepostrzeżenie? Nikt nie wie, ilu ich jest, kim są i jakimi możliwościami dysponują. Co, jeśli niektórzy doszli do wniosku, że noszenie dziwacznych kostiumów i altruizm to głupota? Nie zapominajmy też o dżokerach. Spójrz na Wilkołaków. Chcą się odegrać na natolach. Mówimy o bardzo groźnej armii. Zastanów się, gdzie zawsze dzieje się najwięcej. W Dżokerowie. Może dlatego, że to my nad nim panujemy i przeciwnik stara się nas stamtąd wyprzeć, a może dlatego, że dżokerzy doszli do wniosku, że chcą otrzymać własną część tortu. -

Chris pochylał się na krzesło, by podkreślić swe słowa. - Może nie wszyscy z tych facetów są asami, ale na pewno pracują dla nich asy. Myślę, że to jest właściwy kierunek. Jeśli nie będziemy mieli własnych asów, wyróżną nas. Nie będziemy mieli szans.

- To mi się podoba. Mogłabym wykorzystać biuro prokuratora do poszukiwania ochotników. Odpowiednie ukierunkowanie ich wysiłków może oszczędzić nam wielu kłopotów. W ten sposób zdobędziemy też asów wyższej jakości. Szkoda, że tylu tych najślawniejszych wyruszyło na wyprawę Światowej Organizacji Zdrowia. - Rosemary pokiwała głową. Ten plan wzbudził w niej entuzjazm, jakiego nie czuła już od dawna. - W porządku. Czy możesz kogoś w to wciągnąć?

- Szczerze mówiąc, już to zrobiłem. Mamy detektywa imieniem Croyd, który prowadzi dla nas pewne dochodzenia, oraz mięśniaka znanego jako Maczuga, który przyda się w walce. Oczywiście nie reprezentują „wyższej jakości”, ponieważ zwerbował ich element przestępczy, czyli ja.

Chris wyprostował się i spojrzał w dół na nią, starając się ukryć uśmiech.

- Mogą być. Element przestępczy nie jest taki zły.

Rosemary uniosła rękę i pociągnęła Chrisa ku sobie, żeby go pocałować.



Trampula szła tłocznią ulicą w East Village, starając się nie okazywać zniecierpliwienia zachowaniem C.C. Ryder podziwiającej wystawy. Kobieta o rudych, sterczących sztywno włosach co jakieś trzy metry zauważała coś, co po prostu musiała mieć - pod warunkiem, że nie będzie zmuszona wchodzić do środka i rozmawiać z ludźmi na ten temat. Trampula chciała już zasugerować powrót do loftu piosenkarki, gdy nagle usłyszała za swymi plecami głos przemawiający z akcentem z Bayou.

- Hej, wy, *que pasa?*

Ciało hiperaktywnej nastolatki noszącej trykot w tygrysie pasy oraz tenisówki ze złotej lamy na nogach należało do siostrzenicy Jacka, Cordelii. Dziewczyna odwróciła się od drzwi restauracji, do której zamierzała wejść, i złapała Trampulę oraz C.C. za łokcie, by zaprowadzić je do Riviery, nim któraś z nich zdążyła się sprzeciwić. Kiedy znalazły się wewnątrz, C.C. uwolniła rękę, ale żadna z kobiet nie stawiała oporu, gdy Cordelia błyskawicznie znalazła im stolik. Trampula nauczyła się już, że z siostrzenicą Jacka nie warto się kłócić, chyba że ktoś chciał mieć na głowie śmiertelnie obrażoną nastolatkę.

- Widziałyście Rosemary w telewizji? Wygłosiła apel do asów. - Cordelia jednym ruchem otworzyła i zamknęła menu.

- Przyłączysz się, Trampula?

- Nikt mnie o to nie prosił. - Trampula postanowiła poświęcić menu trochę więcej czasu. - A ty?

Spojrzała na Cordelię nad przesadnie wielkim jadłospisem i zdumiała się, widząc wyraz odrazy na twarzy dziewczyny. Po raz pierwszy udało jej się naprawdę zaskoczyć siostrzenicę Jacka.

- Hmm, już się tym nie zajmuję. - Cordelia znowu otworzyła menu i wlepiła w nie spojrzenie. - No wiesz, mogłabym zrobić komuś krzywdę. Nigdy już tego nie zrobię. To złe.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Straż obywatelska asów nie jest tym, czego potrzebujemy w tym mieście.

C.C. przeniosła spojrzenie z Cordelii na Trampulę, a potem powiedziała, że musi udać się na stronę.

- Widziałas ostatnio Jacka? - zapytała dziewczyna, uważnie śledząc spojrzeniem zmierzającą ku tyłowi restauracji piosenkarkę. Po chwili spojrzała na Trampulę, szeroko otwierając niewinne oczy.

- Tak. Pytał, czyja ciebie widziałam. Przychodzi ci czasem do głowy, żeby zadzwonić do wujka?

W ochryplym głosie Trampuli wyraźnie słyszało się irytację.

- Byłam okropnie zajęta pracą w Globalnym Centrum Gier i Rozrywki, a do tego...

- A do tego nie miałaś ochoty z nim rozmawiać, prawda?

- Nie wiem, co ci powiedzieć... - Cordelia się zarumieniła.

- No wiesz, czuję się tak, jakbym już go nie znała. Nie rozumiesz tego. Wychowywałam się jako katoliczka. Uczono mnie, że homo... to, kim jest Jack, to jeden z najcięższych grzechów.

- To nie jest zaraźliwe, a on jest twoim wujkiem. Ryzykował dla ciebie życie, a ty nawet nie chcesz do niego zadzwonić. Cieszę się, że tak dobrze odróżniasz dobro od zła. - Trampula zrobiła zniesmaczoną minę i nieświadomie machnęła ręką ze wzgardą. - Dobrze mu się układa z Michaeliem. Nigdy nie widziałam, by Jack był taki szczęśliwy.

- Michael to Świnia! W zeszłym tygodniu widziałam go w klubie w East Village. Przyszedł tam z jakimś facetem i to nie był wujek Jack.

Cordelia była wyraźnie wściekła.

- Wszystko w porządku? - zapytała C.C., siadając na krześle i spoglądając kolejno na obie kobiety.

- Hej, spokojnie. - Cordelia wezwała gestem kelnerkę.

- Wystąpi pani na mojej imprezie dobroczynnej? - zapytała piosenkarkę.

- Ciągłe mnie o to pytasz, a ja ciągle ci odmawiam. - C.C. potrząsnęła głową z sympatią zmieszaną ze zniecierpliwieniem. - Chcę tylko pisać nowe piosenki i czasem nagrywać coś w domu. Nie potrzebuję żywej widowni, a już z pewnością jej nie chcę.

- C.C., widownia pani potrzebuje. Zbieramy fundusze nie tylko dla ofiar AIDS, lecz również dla ofiar dzikiej karty. Pani z pewnością powinna się zidentyfikować z tą sprawą.

Trampula zauważyła, że twarz C.C. zamarła w bezruchu na wzmiankę o wirusie dzikiej karty. Potrzeba było wielu lat brania leków, terapii i Bóg wie, czego jeszcze, by przywrócić jej człowieczeństwo. Nie przestawał jej dręczyć bardzo realny koszmar, wizja, że znowu może się stać żywym wagonem metra składającym się wyłącznie z nienawiści. Albo czymś jeszcze gorszym. Opowiedziała Trampuli bardzo niewiele na ten temat.

C.C. Ryder bardzo pewnie kontrolowała swe emocje, nigdy nie pozwalając, by wykroczyły ponad określony, dość niski poziom. Kiedy brała środki antydepresyjne, które jej przepisano, nie potrafiła tworzyć, a niemożność pisania piosenek była dla niej jeszcze gorsza niż wizja powrotu do poprzedniego stanu. Dlatego unikała wszelkich sytuacji, które mogłyby wykroczyć poza granice jej tolerancji. Nawet Tachion nie umiał jej powiedzieć, co mogłoby spowodować serię wewnętrznych zmian, które doprowadziłyby do kolejnej transformacji. Trampula nie mogła pojąć, jak C.C. może żyć w nieustannym strachu i nadal tworzyć piosenki, rozumiała jednak, dlaczego jej przyjaciółka woli się trzymać z dala od większości ludzi. Rozumiała to i aprobowała jej decyzję.

- Nie - oznajmiła C.C. głosem równie napiętym, jak jej mięśnie, choć równie łatwo było zauważyć, że panuje nad działaniem, jakie wywiera na nią ta rozmowa.



- To mógłby być dla pani wielki *comeback*...

- Cordelio, nie można mieć *comebacku*, jeśli nigdy nie było się na szczycie - przerwała jej C.C. z wymuszonym uśmiechem. - Jestem pewna, że znajdziesz wielu lepszych kandydatów.

- Ale pani piosenki nagrywali najlepsi. Peter Gabriel... - Przyniesiono burgery, ale Cordelia przerwała swą diatrybę tylko na mgnienie oka. - Simple Minds, U2... Pora już, by pokazała pani wszystkim, co potrafi.

Trampula znudziła się już tą rozmową i była przekonana, że C.C. da radę się obronić. Sięgnęła swymi zmysłami do miasta, by wędrować przez gąszcz zwierzęcych umysłów. Ciemność, jaskrawe światło; głód, nasycenie; pełne napięcia oczekiwanie łowcy, zimny, wywołujący dreszcze strach ofiary; śmierć, narodziny; ból. Tak wiele bólu w każdej minucie życia. Dlaczego głupi ludzie uparcie zadawali sobie ból nowymi małymi gierkami? Grali własnym życiem. Dotknęła wiewiórki z przetrąconym grzbietem. Potrącił ją samochód w pobliżu Washington Park. Jej serce i mózg przestały działać w tej samej chwili. W Central Parku bury syn czarnego kocura i szylkretki wbiegł do dębowego gaju i skrył się w chaszczach, a potem zawrócił nagle i drapnął w nos ścigającego go dobermana. Trampula czuła przez chwilę triumf kota, ale po chwili zwierzę rozpoznało jej dotyk i syknęło gniewnie. Wycofała się, nie czując potrzeby wymuszania kontaktu. Poświęciła jeszcze chwilę na upewnienie się, że najnowszy miot czarnego kocura i szylkretki ma się dobrze w tunelu obsługi pod Czterdziestą Drugą Ulicą.

Gdy jej oczy znowu skierowały się na świat zewnętrzny, Trampula zorientowała się, że rozmowa między Cordelią a C.C. ustała.

- Suzanne, dobrze się czujesz?

Piosenkarka przesunęła spojrzeniem po twarzy Trampuli, a potem skinęła głową.

- Nic jej nie jest, Cordelio - rzekła C.C., przyciągając uwagę dziewczyny z powrotem do siebie, by dać Trampuli czas na powrót do rzeczywistości. Czasami bezdomnej kobiecie trudno było odzyskać kontakt z powolnym, rozgadany światem ludzi. *Któregoś dnia nie wrócę* - pomyślała, spoglądając na piosenkarkę. C.C. była jedyną spotkaną przez nią w życiu osobą, która to rozumiała. Pewnego dnia będzie musiała zapytać C.C., jak się czuła jako Inna. Jej przyjaciółka rzadko o tym wspominała, ale gdy to robiła, Trampula dostrzegała w oczach piosenkarki palącą tęsknotę.

- Hmm, w porządku. No, wie pani, GCGiR z radością pomogłoby pani powrócić. Gabinet Luster to kameralny lokal. Doskonale się nadaje dla pani i pani muzyki. - Cordelia pochyliła się ku C.C., wyciągając rękę. - Wie pani, że Xavier Desmond to pani wielki fan?

- Jezu, dziewczyno, zmieniasz się w pieprzoną agentkę. - C.C. odchyliła się do tyłu na pokrytym plastikowym obiciem krzesła w stylu lat pięćdziesiątych. - Mam już jedną agentkę. To wystarczy z nawiązką.

- W takim razie cześć, muszę już lecieć do domu. Jest późno. Miło było was spotkać. - Cordelia rzuciła na blat kilka banknotów i wstała, zdejmując z oparcia krzesła torebkę z pancernikaa. Zauważywszy, że Trampula spogląda na martwe zwierzę, dziewczyna trąciła torebkę łokciem, przesuując ją na plecy, i zaczęła się cofać ku drzwiom, nie przestając pracować nad C.C. - Ma pani jeszcze kilka tygodni na podjęcie decyzji. Koncert odbędzie się dopiero pod koniec maja. Bono powiedział, że bardzo chciałby panią spotkać. Little Steven też.

- Dobranoc, Cordelio. - Cierpliwość C.C. najwyraźniej w końcu się wyczerpała. - Jestem już za stara na takie rzeczy, Suzanne.



Wiercąc się w niewygodnym kostiumie o wyścielanych ramionach, który kupiła jej Rosemary, Trampula wysiadła z windy na piętrze, na którym mieściło się biuro jej przyjaciółki. Recepcjonistka poznała ją natychmiast.

- Dzień dobry, pani Melotti. Zaraz zawiadomię panią Muldoon.

- Dziękuję, Donnis.

Trampula usiadła na jednym z krzeseł w poczekalni. Nie czuła się tu wygodnie.

- Obawiam się, że pan Goldberg wyszedł kilka minut temu. Ma dziś parę wystąpień w sądzie.

Starsza kobieta siedząca za komputerem uśmiechnęła się wyrozumiale i wpisała interkomowy numer Rosemary, by zawiadomić ją o przybyciu Suzanne.

- Choć raz wszystko dzieje się na czas. Może pani wejść.

Trampula skinęła głową i stanęła na wysokich obcasach.

Zwróciła się plecami do recepcjonistki i zamrugała, czując nagły ból w stopach. Nie znosiła tych dni, gdy musiała się przebierać w elegancki strój, by porozmawiać z Rosemary. Podeszła do zamkniętych drzwi jej gabinetu i zapukała dwa razy. Potem weszła do środka i zobaczyła, że zastępca prokuratora siedzi na krześle ze słuchawką telefonu wspartą na ramieniu. Sama jak zwykle przysiadła na wielkim dębowym biurku i zaczęła przysłuchiwać się rozmowie.

- Znakomicie, poruczniku. Bardzo się cieszę z informacji o fabryce produkującej dopalacze.

Rosemary zerknęła na Trampulę, zataczając oczami, a następnie podpisała dokument.

- Zatem to nie była operacja mafii. Jakież wskazówki, kto mógł być właścicielem? Jeśli się nie dowiemy, kto stoi za tą bezsensowną wojną wśród przestępców, nie będziemy w stanie jej powstrzymać. - Rosemary skinęła głową do niewidocznego rozmówcy i omal nie upuściła słuchawki na podłogę. - To prawda, ale nie tylko eliminują siebie nawzajem, lecz przy okazji zabijają niewinnych ludzi.

Może pan być pewien, że natychmiast prześlę do pana wszystkich nowych asów, którzy się zgłoszą. Ma pan rację. Nieskoordynowana działalność jest niebezpieczna dla wszystkich stron. Po prostu cieszę się, że mogę wam pomóc. W porządku, będę w kontakcie. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę.

- Dziś w nocy zlikwidowaliśmy fabrykę narkotyków. - Rosemary wsparła podbródek na dłoni i uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Cieszę się z tego.

Trampula skinęła głową, spoglądając na ciemne drewniane drzwi gabinetu.

- Zastanawiam się, dlaczego się nie zgłosiłaś - rzekła Rosemary, wstając i podchodząc do drzwi, by się upewnić, czy są porządnie zamknięte.

Trampula już chyba po raz setny zauważyła, że jej przyjaciółka nie ma najmniejszych trudności z poruszaniem się na wysokich obcasach. Uniosła wzrok i zauważyła, że Rosemary przygląda jej się z nerwowym drżeniem mięśnia żuchwy.

- Nie prosiłaś mnie o to - odpowiedziała, czując się skrępowana. Nie znosiła tego. Poczucie winy było dobre dla ludzi. Albo dla zwierząt domowych.

- Nie sądziłam, że muszę to robić. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

Kobiety patrzyły na siebie ze złością jak dwa koty walczące o terytorium. Po chwili Rosemary przerwała impas.

- Pewnie, że nimi jesteśmy. - Usiadła na krześle i oparła się wygodnie. - Powinnam była cię poprosić. I teraz to robię. Potrzebuję twojej pomocy.

Jej uśmiech przypominał Trampuli ziewnięcie tygrysa. Zęby, mnóstwo zębów. Przeszył ją chłód.

- A co ja mogę zrobić? Rozmawiam z gołębiami.

Trampula uważnie przyglądała się twarzy drugiej kobiety w poszukiwaniu oznak fałszu.

- Gołębie widzą różne rzeczy. Jestem pewna, że niekiedy ciekawe. Chciałabym się czegoś dowiedzieć o tych rzeczach.

- Jako kto? Jako prokurator czy jako don mafii?

Rosemary zerknęła nagle na drzwi. Potem jej spojrzenie wróciło do Trampuli, która po chwili wahania uśmiechnęła się do siedzącej za biurkiem kobiety.

- Zdziwiłabyś się, jak często ich interesy przeplatają się ze sobą.

- Tak, zdziwiłabym się. - Trampula potrząsnęła głową.

- Nie. Nie sądzę, bym mogła ci pomóc.

- Daj spokój, Suzanne. Ludzie cierpią. Możemy to zakończyć. - Rosemary wyciągnęła rękę ku oknu. - Ludzie zabijają się nawzajem.

- I bardzo dobrze - odparła Trampula. - Im mniej takich ludzi, tym lepiej.

- Widzę, że robisz dziś trudności. - Rosemary wróciła na krzesło. - Ten tekst już słyszałam.

- Mówię poważnie - odparła bezdomna kobieta, spoglądając z góry na starą przyjaciółkę.

- Wiem. Ale jesteś mi potrzebna. Potrzebuję twoich kontaktów. Twoich informacji. Nie tylko ludzie cierpią. - Rosemary rozpostarła palce na leżących na biurku papierach. Obie kobiety wlepily spojrzenia w jej drżące dłonie. Po chwili zacisnęła je w pięści. - Don Picchietti i don Covello już nie żyją. A teraz załatwili don Tomassa. Był moim ojcem chrzestnym. Proszę, Trampulo, pomóż mi. - Rosemary spojrzała na przyjaciółkę. Zarówno jej głos, jak i twarz wyrażały błaganie. - Picchiettiemu wbito w ucho szpikulec do lodu. Nikt wokół niego nic nie zauważył. - Rozciągnęła usta w wypaczonym, pozbawionym wesołości uśmiechu. - Choć raz nie kłamali.

- Nie wiesz, co robisz. Ale z drugiej strony moja pomoc w niczym nie zaszkodzi.

Usta Trampuli wypełnił gorzki smak kapitulacji. Była zła na siebie, ale nie mogła porzucić przyjaciółki.

- Dziękuję. - Rosemary uspokoiła się wyraźnie. Wzięła w rękę długopis i zaczęła obracać go w palcach. - Rozmawiasz czasem z Jackiem?

- Prawie nigdy.

Trampula przesunęła część swojej jaźni do szczura, któremu nakazała obserwować wędrującego w tunelach metra Jacka Robicheaux. Najpierw poczuła jego zapach. Potem zwróciła głowę gryzonia w tamtym kierunku i ujrzała obraz słabym, nierozróżniającym kolorów wzrokiem stworzenia.

- Czy mogłabyś mu przekazać, że chciałabym się z nim zobaczyć? - zapytała Rosemary, wyraźnie znużona słownymi utarczkami z przyjaciółką.

- Mogę mu to powiedzieć. Ale niczego nie obiecuję. U którego porucznika mam się meldować?

- Nie bądź śmieszna, Suzanne. Wszystko, czego się dowiesz, przekazuj bezpośrednio mnie.

Gdy Rosemary spojrzała jej w oczy, Trampula nie znalazła w niej nawet śladu przyjaźni.



Prokurator Muldoon wyglądała przez okno swego gabinetu, zaciskając dłonie na stosie teczek z aktami. Bała się o Chrisa. Dopóki się nie dowiedzą, kto stoi za wojną z Rodzinami, będzie mu groziło wielkie niebezpieczeństwo, jako oficjalnemu szefowi Rodziny Gambione. Nadal mieli bardzo mało wskazówek, choć mafia codziennie ponosiła kolejne straty. Przechwycili wielu kolektorów, dilerów, zbirów niskiej rangi i rekieterów, próbując odnaleźć trop wiodący na szczyt. Nic z tego. Komórki drobnych przestępców nie otrzymywały żadnych informacji o komórkach postawionych wyżej. Ktoś wykazał się świetnym talentem organizacyjnym i organizacja, którą stworzył, niszczyła jej ludzi. Potrząsnęła nieświadomie głową. Jedną część jej jaźni zaprzętała obawa o Rodziny, drugą zaś próbowała skupić na sprawach zawodowych. Coraz częściej musiała polegać na pomocy asystentów, by przygotować akt oskarżenia w sprawach, którymi jeszcze przed kilkoma miesiącami zajęłaby się sama. Zadała sobie pytanie, czy ktoś to zauważył, i powiedziała sobie, że musi być ostrożniejsza. Trudno jednak było zrównoważyć to wszystko. Znacznie trudniej, niż to sobie wyobrażała.

- Ktoś chce się z panią zobaczyć, pani Muldoon.

Cichy głos Donnisa wyrwał ją z zamyślenia tak nagle, że Rosemary aż podskoczyła.

- Kto to jest, Donnisi? Mam na biurku pełno spraw.

- Mówi, że nazywa się Jane Dow, pani Muldoon.

Znała skądś to nazwisko, choć przez chwilę nie potrafiła sobie uświadomić skąd. Nagle do niej dotarło: Lilia Wodna. Czego mogła od niej chcieć?

- Zobaczę się z nią.

Dziewczyna - nie, młoda kobieta, poprawiła się natychmiast Rosemary - o kasztanowych włosach weszła do gabinetu i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

- Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć, pani Muldoon.

- Proszę usiąść, pani Dow. Co mogę dla pani zrobić?

Lilia Wodna opuściła wzrok, spoglądając na swe załamane dłonie. Rosemary zauważyła, że na czole jej gościa pojawiły się kropelki. Zadała sobie pytanie, czy pot to wszystko, na co stać moc asa Lilii Wodnej. To wiele jej nie pomoże.

- Hmm, pomyślałam sobie, że ja mogłabym coś zrobić dla pani. Słyszałam, że szuka pani asów. Wiem, że moja moc nie jest zbyt wiele warta, ale przyszło mi do głowy, że mogłabym się na coś przydać. - Lilia Wodna po raz pierwszy spojrzała w oczy Rosemary i wzruszyła ramionami. - O ile znajdzie pani dla mnie jakieś zadanie.

- Niewykluczone, że znajdę. - Rosemary westchnęła. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co to mogłoby być za zadanie, ale w obecnej sytuacji nie zamierzała odrzucać niczyjej pomocy.

- Niech mi pani powie, co dokładnie może osiągnąć pani moc.

- No cóż, panuję nad wodą. Bardzo dobrze radzę sobie z powodziami.

Lilia Wodna poróżowiła. Na jej twarzy zalśniła warstewka wilgoci. Wydawała się bardzo młoda. Rosemary usłyszała kapanie, ale postanowiła to zignorować.

- Dowolną wodą, w każdym miejscu? To znaczy, czy ma pani maksymalny zasięg? Generuje pani wodę, czy wykorzystuje tę, która znajduje się w otoczeniu? - Przerwała i uśmiechnęła się przeproszająco. - Przepraszam, to już zakrawa na tortury. Po prostu chciałam ustalić, co pani potrafi.

- Odległość musi być niewielka. Potrafię wykorzystać każdą wodę w okolicy i kontrolować jej przepływ. Umiem też zmienić równowagę elektrolitów w czymś ciele i pozbawić taką osobę przytomności. - Gdy tylko się zorientowała, że traktują ją poważnie, Lilia Wodna nie była już taka zawstydzona. Kapanie umilkło. - Pomyślałam sobie, że mogę być użyteczna do kontroli nad

tłumem. Potrafię wywołać małą powódź, która zbije ludzi z nóg, nie robiąc im większej krzywdy, albo odwracać ich uwagę, gdyby okazało się to użyteczne.

- A co z innymi postaciami wody, na przykład parą pod wysokim ciśnieniem?

- Nie mam pojęcia. Nigdy tego nie próbowałam.

Ten pomysł wyraźnie zaintrygował młodą askę.

- W porządku, wygląda na to, że może się pani do czegoś przydać. Witam na pokładzie, Lilio Wodna. Czy może woli pani imię Jane?

Rosemary pomyślała o ataku na prowadzone przez Widmowe Pięści operacje przemytu narkotyków. Zamierzała go przeprowadzić już wkrótce. Kilka pękniętych rur mogło spowodować zdumiewająco wielkie straty. Uśmiechnęła się szeroko do młodszej kobiety, choć właściwie w ogóle jej nie widziała.

- Jane, jeśli mogę prosić. Może mnie pani znaleźć w Wieży Asów. Przyniosłam wizytówkę. Wystarczy, że zawiadomi mnie pani, co mogę dla pani zrobić - zapewniła Jane, wyraźnie ucieszona z tego, że ją zaakceptowano.



Rosemary poświęciła pół godziny na zaznajomienie się z leżącymi przed nią aktami, nim wezwała Paula Goldberga. Doświadczenie czyniło go oczywistym kandydatem na jej najbliższego pomocnika i Rosemary wykorzystwała tę okazję.

Paul wszedł do środka i usiadł na krześle, nie czekając na pozwolenie. Przyniósł ze sobą gruby stos papierów i położył go z łoskotem na blacie.

- Najnowsze informacje o naszych sprawach. Wygraliśmy proces przeciwko Malerucciemu.

Rosemary oderwała spojrzenie od papierów, usłyszawszy to nazwisko.

- Wiem, że nie miała pani zbyt dobrej opinii o naszych dowodach, ale postanowiłem to zrobić. Udało się. Być może pani o tym nie wie, ale ostatnio krytykują nas z powodu liczby oskarżeń przeciwko mafii, które wnosimy. Czy raczej których nie wnosimy. Gliniarze już kilka razy skarżyli mi się, że wykonują całą robotę, a urząd prokuratorski ich nie wspiera.

- Gliniarze zawsze się skarżą. Wie pan o tym, Paul. Nie rozumieją, że musimy się przejmować takim drobiazgiem, jak konstytucja i nie możemy stawiać przed sądem każdego. Wykonał pan świetną robotę w sprawie Malerucciego, ale to było ryzykowne. Przy takich dowodach każdy werdykt sądu był możliwy.

- Zwłaszcza po tym, jak ktoś włamał się do policyjnego laboratorium i zniszczył większą część kokainy. - Paul skrzyżował nogi na biurku Rosemary, rozpięrając się wygodnie na krześle. - Nie udało się nam jeszcze ustalić źródła tego przecieku.

- Na przyszłość proszę się trzymać instrukcji co do tego, w których sprawach wnosić oskarżenie. Jako pańska szefowa byłabym z tego zadowolona.

Rosemary uśmiechnęła się do niego i oparła wygodnie.

- Szefowo, zauważyłem pewien trend w tym, które sprawy postanawia pani wszczynać. Nie jestem jedyny. Dlaczego nie zajmujemy się mafią? Trwa wojna gangów. Moglibyśmy to wykorzystać i zamknąć mnóstwo wrednych typów. Za bardzo rozciągnęli siły i nie są w stanie chronić wszystkich swoich ludzi. - Wyciągnął rękę i postukał sztywnym palcem wskazującym w stos papierów. - Wszystko jest tu zapisane. Mam nawet dowody uchylania się od płacenia podatków przeciwko Chrisowi Mazzucchellemu. I co pani na to? Niech mi pani pozwoli się nim

zając.

- Nie - Rosemary zrobiła swoją najlepszą minę nieprzeniknionej madonny. - Chcę zaczekać, aż wojna wytrząśnie coś więcej. Mafia najwyraźniej i tak niszczy się sama. Możemy sobie zaoszczędzić wiele wysiłku.

- Wie pani, że jeśli wsadzimy część tych ludzi za kraty, możemy uratować im życie? - zapytał Paul, obserwując ją uważnie.

Jego spojrzenie zaniepokoiło Rosemary.

- Ja tu podejmuję decyzje.

Jej głos miał uciszyć Paula i spełnił swoje zdanie, ale nie spodobało jej się spojrzenie, którym ją obrzucił.

Gdy już opracowali strategię dla dwudziestu najpilniejszych procesów, które mieli na głowie, Rosemary rozluźniła się nieco i Paul również. Pod wieloma względami przypominało jej to współpracę z Chrisem. Ona tworzyła plan, a on wprowadzał go w życie. Tyle że wszystko, co robili z Paulem, było legalne.

Było już po szóstej i odprowadzała Paula z jego stosem akt ku drzwiom, gdy ten odwrócił się nagle i spojrzał na nią raz jeszcze.

- Chodziła pani do Świętych Młodzianków? - zapytał, wymieniając od niechcienia nazwę katolickiej szkoły podstawowej, do której uczęszczała.

- Ja? Chyba pan żartuje! To szkoła dla bogatych włoskich dzieciaków. Ja ukończyłam dobrą starą dziewięćdziesiątą drugą w Brooklynie.

- Nie sądzę. Mój kumpel tam poszedł. Opowiadał mi wczoraj szalone rzeczy. Mówił, że wygląda pani zupełnie jak dorosła Rosa Maria Gambione. Nonsens, prawda? Ona umarła we wczesnych latach siedemdziesiątych. Do zobaczenia rano.

Paul pożegnał się i Rosemary zadawała sobie pytanie, czy widzi w jego oczach ostrzeżenie, czy akt oskarżenia.



Trampula przemieszczała się szybko przez tunele obsługi metra. Towarzyszył jej czarny kocur oraz jedna z jego potomków - ruda, łaciata kotka jeszcze większa od niego. Kobieta obserwowała przez oczy kolejnych szcurków, jak Jack wraca do swego starego domu w opuszczonej, dziewiętnastowiecznej stacji metra. Czekala, by go złapać, gdy jeszcze będzie pod powierzchnią. Zawsze czuła się lepiej, gdy rozmawiała z nim pod ziemią. Kiedy spotykali się na górze, był inny. Oboje byli inni. Podciągnęła wystrzępiony, niebieski płaszcz powyżej kolan i przyspieszyła kroku, by przeciąć mu drogę, zanim wyjdzie na górę. Czarny kocur nadal szedł u jej boku, a jego córka wybiegła naprzód, by wypatrywać kłopotów.

Trampula dotarła do drzwi i otworzyła je. Ujrzała Jacka, który właśnie zamierzał nacisnąć klamkę. Krępy, blady mężczyzna uśmiechnął się z zaskoczeniem.

- Cześć.

Postawił na podłodze trzymaną w rękach skrzynkę i uklęknął, pozwalając, by czarny kocur obwąchał jego rękę. Kotka trzymała się na dystans, stojąc przed Trampulą, by ją osłaniać.

- Długo cię nie widziałem. Trochę się niepokoiłem. - Jack spojrzał na odzianą w wystrzępiony strój kobietę. - Usiądź, proszę.

- Miałeś mnóstwo zajęć.

Trampula pozwoliła, by skołtunione włosy opadały jej na twarz i przygarbiła się, odziana w stertę niepasujących na nią sukni. Wiedziała, że ochryply głos i drzenie rąk sprawiają, że wygląda na co najmniej sześćdziesiąt lat.

- Ty też. - Jack przyglądał się jej z wahaniem, gdy schodziła po pokrytych dywanem schodach. Uśmiechnął się szeroko. - No wiesz, mogłabyś dostać za to nagrodę Tony. Znam jednego producenta z Broadwayu. Poszukuje aktorek.

- To przyjaciel Michaela? - Trampula wyprostowała się, siadając na skraju kanapy wyściełanej końskim włosiem. Ruda kotka przycupnęła nerwowo u jej stóp. Czarny kocur oparł się o nogę Jacka i uniósł łeppek, spoglądając na niego.

- Tak, to jego przyjaciel. Dlaczego nie wpadniesz nas odwiedzić? Jeśli poznasz Michaela, na pewno go polubisz.

- A dlaczego ty nie chcesz poznać Paula?

Trampula podciągnęła nogi pod siebie i popatrzyła na Jacka, który siedział naprzeciwko niej na krześle równie antycznym jak kanapa.

- Nie sądzę, by taki yuppie jak on dostrzegł zbyt wiele w robotniku pracującym w metrze.

- A ja nie sądzę, by Michael zaaprobował moje poczucie stylu.

Trampula rozpostarła na kanapie liczne warstwy swego niedobranego stroju.

- Nie ma wyjścia, hmm? Żadne z nas nie lubi tego faktu, ale oboje jesteśmy uwięzieni w swym drugim życiu normalnych ludzi. - Jack zrobił smutną minę. - Widziałaś się z Cordelią?

- Aha. - Trampula wzruszyła ramionami. Kolejny taki gest, kolejna ucieczka od odpowiedzialności. - Próbowалам. Ale sama nie wiem.

- Kiedy znowu ją zobaczysz, powiedz jej... powiedz jej, że to rozumiem. Sam się tam wychowywałem. - Przesunął dłońmi po mocno wygniecionych, czarnych dżinsach. - Udało ci się mnie wytropić. Co mogę dla ciebie zrobić?

Wyciągnął rękę, by podrapać czarnego kocura za uszami. Przez chwilę oboje z Trampulą słuchali głośnego mrużenia.

- Rosemary chce się z tobą zobaczyć.

Kobieta podciągnęła kolana, otaczając się swą zbroją. Nie chciała patrzeć Jackowi w oczy.

- Nie.

- Jack, ona stara się uspokoić sytuację. Przydałaby się jej pomoc.

- Jezu, Trampula, ona stoi po stronie tych złych. Jest szefową pieprzonej mafii. - Kanalarz podniósł się i zaczął spacerować po orientalnych dywanach. Czarny kocur wstał, by do niego dołączyć, ale potem popatrzył na Trampulę i siadł z powrotem. Kobieta odebrała od niego nagłe ostrzeżenie. Nie wiedziała, czy było skierowane do niej, czy to Jacka. - Zresztą do czego jestem jej potrzebny? Niech to szlag.

- Mógłbyś się zająć zbieraniem danych. Mieć uszy otwarte i nasłuchiwać, czy nie dzieje się coś dziwnego.

- Jasne. Mam być jej wtyczką w społeczności gejowskiej? Nie, może myśli, że gady też są przeciwko niej. A może po prostu chce, żebym w strategicznym momencie odgryzł parę nóg.

- Jack spojrział na nią. - Niech spierdala.

- Jack, ona po prostu potrzebuje kogoś, kto byłby po jej stronie.

- Po jej stronie! Ma całą mafię. Trudno mi uwierzyć, że jeden aligatorolak mógłby wiele zmienić. - Jack podszedł do kanapy i spojrział z góry na Trampulę. - Suzanne, nie mieszaj się do tego. Ty już jej nie obchodzisz. Ciebie również wykorzysta. Wyśle cię na śmierć i nawet nie mrugnie.

Czarny kocur wstał i zajął pozycję między Jackiem a Trampulą. Ruda kotka wydała z siebie głęboki, gardłowy warkot. Włosy na jej karku zjeżyły się nagle. Jack cofnął się o kilka kroków.

Trampula ześliznęła się z kanapy i spojrzała prosto w zielone oczy Jacka.

- To moja przyjaciółka. Wychodzi na to, że jedyna.

Ruszyła ku schodom. Koty poszły za nią. Ruda kotka nie odwracała wzroku od Jacka, oddalając się od niego. Czarny kocur postąpił kilka kroków naprzód, a potem odwrócił się i spojrzał jeszcze na kanalarza. Następnie skoczył na schody i podążył za towarzyszkami.



- Kimkolwiek są, dostarczasz im sporo zajęć.

Chris wziął sobie kawałek tuńczyka z grilla z jej talerza.

- Mówiłeś, że nie jesteś głodny - zauważyła Rosemary, odpychając jego widelec.

- Kłamałem. To z pewnością nie yakuza. Oni również obrywają. Najwyraźniej nasi przyjaciele są gotowi zaatakować każdego, jeśli nie dostaną mafii na śniadanie. Ale twój program utrudniania im życia legalnymi środkami zaczyna przynosić rezultaty. Nie padli na kolana, ale z pewnością odczuli cios. Masz jakieś kłopoty z tą sprawą?

- Nie. Odkąd capos zaczęli przestrzegać naszych instrukcji, wiem o wszystkim, co dzieje się w rodzinach. To ułatwia sprawę.

- Mówię to z wielką niechęcią, ale chyba będziesz musiała zorganizować akcję przeciwko nam. Nic zbyt poważnego, tylko coś, co złagodzi podejrzenia. - Chris rozejrzał się po jasnej kuchni, jedynym radosnym miejscu w mrocznym i posępnym penthousie. - Masz jakieś ciasteczka?

- Obawiam się, że nie. Czy wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? - zapytała, spoglądając Chrisowi prosto w oczy.

- Nie. Po prostu jestem zwolennikiem prewencji. Nie chciałbym, żeby ktoś spostrzegł pewne regularności w poczynaniach naszych asów.

- Nic mi nie grozi. Kto połączyłby zastępcę prokuratora okręgowego z Rodziną Gambione? Bardziej się boję o ciebie. - Rosemary odsunęła talerz. Nie zamierzała wspominać Chrisowi o podejrzeniach Paula. Wiedziała, co by jej odpowiedział. - Jaką masz ochronę?

- Berettę, oczywiście.

Chris rozsunął czarną, skórzaną kurtkę.

- Nie o to pytałam.

- No dobra. Czasami zupełnie brak ci poczucia humoru. Znam kilku facetów, którym mogę zaufać. Pilnują mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeden stoi teraz pod drzwiami. Trzech następnych czeka na dole. Mam obstawę, kochanie. Wszyscy oni mają wobec mnie zobowiązania. Ich dusze należą do mnie.

- Opowiedz mi, jak idą nasze regularne operacje.

Irytowało ją, że Chris traktuje grupę jej ludzi jako swoją własność, ale doszła do wniosku, że po prostu ulega wrodzonej podejrzliwości.

- Nie martw się o to. Zadbalem o wszystko. Każda z pozostałych Rodzin ma przedstawiciela, który melduje mi o wszystkim. Jeśli pojawiają się jakieś problemy, rozwiązuję je. Musisz się w jakiś sposób dowiedzieć, kim są nasi przeciwnicy i jak możemy ich załatwić. - Uśmiechnął się do sufitu. - Wiesz co? Myślę, że te chłopaki nadal nie lubią mojego mysiego ogonka.

- Pracuję nad tym. Sprawdzałeś Wietnamczyków? Towarzystwo Widmowej Pięści z



Dzokerowa ma z tym coś wspólnego. To przynajmniej stało się już oczywiste.

Rosemary postanowiła nie poruszać tego tematu na oficjalnym spotkaniu. Chris miał rację. Miała na głowie ważniejsze sprawy.

- Szukam kogoś, kogo moglibyśmy umieścić w ich szeregach. Masz pojęcie, jak trudno jest znaleźć Azjatę w mafii? - Mężczyzna westchnął demonstracyjnie. - Spróbuję pożyczyc kogoś z yakuza.

- Świetny pomysł. Posłuchaj, Chris, muszę dziś w nocy pobyć sama, dobra? - Zawahała się. - Żeby przygotować plany.

- Znajdę sobie jakieś zajęcie - odparł z uśmiechem, który zaniepokoił Rosemary.

- Unikaj kłopotów. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Ja też nie wiem. - Mężczyzna wstał i pocałował ją w czubek głowy. - W ciągu kilku najbliższych dni mogę nie być osiągalny. Nie martw się o mnie. Muszę się zająć interesami.

Po odejściu Chrisa Rosemary poszła do biblioteki. Starła się nie mieszać ze sobą swych dwóch żyć, ale stawało się to coraz trudniejsze. Obiecała sobie, że wyprowadzi mafię z handlu narkotykami i stręczycielstwa, ale dopóki trwała wojna, nie było to możliwe. Rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy. Próby obrony własnych ludzi sprawiały jej kłopoty w pracy. Paul Goldberg otwarcie zapytał ją, czy jej informatorzy mogliby znaleźć więcej faktów obciążających mafię. A potem ta uwaga o Marii Gambione. Jezu. Musi podjąć jakieś kroki w jego sprawie. Zabić go, zanim zdąży podzielić się z kimś swoimi podejrzeniami? Ale on był chłopakiem Suzanne. Co robić?

Myślała, że łatwo jej będzie kierować organizacją zza pleców Chrisa, ale on w coraz większym stopniu przejmował kontrolę nad wszystkim, co działo się na ulicach. Nic nie szło zgodnie z jej planem. Rosemary wsparła czoło na blacie między rozpostartymi rękami.

Wiedziała, że nie wykonuje swych zadań w biurze prokuratora. Było jednak tylko kwestią czasu, zanim ta cholerna wojna się skończy, a ona znowu zajmie się tym, czym powinna się zajmować. Będzie mogła uwolnić się od prochów, prostytucji i korupcji. Gdy tylko wygrają wojnę.

Obudziła się z koszmaru z cichym krzykiem, szybko stłumionym przez przytłaczającą atmosferę panującą w bibliotece. Znajdowała się w religijnym obrazie przedstawiającym ukrzyżowanie, który widziała w dzieciństwie. Ale to jej połamane ciało zawieszono na centralnym krzyżu. Po prawej wisiał Chris, a po lewej jej ojciec. Oplotła się ramionami, by powstrzymać drżenie.



Trampula ocknęła się błyskawicznie. Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem było ostre jak kocie pazury wbijające się w jej skórę. Oddzieliła od siebie strumienie myśli wnikające w jej umysł i znalazła ten, który zawierał błaganie o pomoc. Z szokiem poznała w zaułku Jacka Robicheaux. Siła i klarowność wezwania uświadomiły jej, że stworzeniem obserwującym scenę jest czarny kocur. A więc tam siedział przez kilka ostatnich dni. Kiedy sobie poszedł, nie śledziła go myślą zbyt dokładnie. Upewniała się tylko, że żyje i nic mu się nie stało.

Powiedziała mu bezgłośnie, by wracał do domu. Warknął na tę sugestię. On i Jack byli sobie bliscy już od pierwszego spotkania. Czarny kocur zainteresował się człowiekiem, który jednocześnie był wielkim jaszczurem. To stworzyło między nimi więź. Jacka dopadł znacznie

potężniejszy mężczyzna, który drwił z niego teraz. Trampula mimo woli pozwoliła, by kocur przekazywał jej coraz więcej informacji. To wciągnęło ją w bieg wydarzeń.

- Hej, jebany pedale! Chyba nie trzeba było skręcać w ten zaułek, hej?

Trzymający Jacka olbrzym był brzydki, miał oczy osadzone blisko siebie i pochyłe czoło. Trampula nagle go poznała. Maczuga. Widziała go w więzieniu Tombs, gdy była tam z Rosemary. Był dokładnie tak głupi i wredny, jak na to wyglądał. Jack miał kłopoty, ale potrafił sobie poradzić.

- Chciałem tylko się trochę zabawić. Wiem, że pedały lubią na ostro.

- Kolego, ze mną lepiej nie zaczynać - ostrzegł go Jack, przyciśnięty do płotu zamykającego zaułek. - Jestem groźniejszy, niżby się zdawało.

- Och, ale ja chcę z tobą zacząć, chłoptasiu. Zacznę od twojej twarzy, a potem zejdem w dół, ty z boku. A kiedy skończę, nikt już cię nie zechce.

Maczuga wyciągnął łapsko do Jacka, ale mniejszy mężczyzna uchylił się zgrabnie.

- Proszę. Nie chcę pana skrzywdzić. Proszę mi tylko dać spokój. - Głos Jacka drżał. Trampula nie rozumiała, co go tak przestraszyło.

- Wydaje ci się, że znasz te chinolskie sztuczki, co? - Maczuga ryknął głośnym śmiechem.

Nawet Trampula skrzywiła się, usłyszawszy dźwięk brzmący jak zgrzyt zatartych przekładni.

- Proszę bardzo. Jestem teraz członkiem rodziny. Mam ubezpieczenie.

Czarny kocur stał się bardziej natarczywy, gdy tylko wyczuł, że Trampula nie zamierza pomóc drugiemu ze swych ludzkich przyjaciół. W umyśle kobiety przełożyło się to na ból. Odesłała stworzeniu wspomnienie chwili, gdy Jack odmówił pomocy jej i Rosemary, ale kot nie dawał za wygraną. Zmęczona obserwacją utarczki dwóch mężczyzn Trampula kazała mu wracać, przesyłając mu obraz transformacji kanalarza w aligatora. Jack nie chciał jej pomóc. Proszę bardzo. Nie będzie go do tego zmuszała. Jeśli uważał, że jej nie potrzebuje, to trudno.

Uderzył w nią gniew wściekłego na nią czarnego kocura. Przerwała połączenie. To już nie był jej problem. Uniosła ręce i delikatnie dotknęła obolałych skroni. Kocur przebił się przez jej osłony, ponieważ nie spodziewała się ataku. Jezu, co się działo ze wszystkimi? Dlaczego nagle ją znienawidzili?

Zwinięta na stosie szmat w tunelu obsługi pod powierzchnią Trampula przespała wiele godzin. Pomimo wszelkich wysiłków ból głowy nadal się utrzymywał. Nie była też w stanie dotrzeć do czarnego kocura, choć wiedziała, że nie zginął. Przeszukała sterty swych ubrań, aż wreszcie znalazła zegarek bez paska, którego zawsze używała, gdy musiała śledzić upływ czasu. Została niespełna godzina do pory umówionego spotkania z Paulem. Spóźni się. Potrzebowała pół godziny, by dotrzeć do mieszkania C.C., gdzie przechowywała sukienki i kostiumy, które musiały wisieć na wieszakach. Głupia zabawa. Jeśli szczęście się do niej uśmiechnie, to C.C. Będzie pracowała w studiu i nawet nie zauważy, że Trampula ją odwiedziła.

Po raz pierwszy od tygodnia szczęście rzeczywiście jej sprzyjało. Na drzwiach studia C.C. paliło się czerwone światło, więc Trampula mogła bez straty czasu wejść do mieszkania, a potem je opuścić. Jednak zawsze się spóźniający Paul stał już przed barem na Zachodniej Czwartej Ulicy, gdzie mieli zjeść kolację przed filmem. Posiłek był przyjemny, ale wyczuwała, że mężczyzna nie jest w pełni z nią, nawet gdy zasypywał ją opowieściami o najnowszych wykrętach oskarżonych, z jakimi zetknął się w ostatnim tygodniu.

- No i wtedy ten facet zaczyna mówić, że jego, jak go tam zwał, jego kontakt ze starożytniej Persji powiedział mu, że ten drugi nędzarz jest w rzeczywistości starożytnym Grekiem i jego dawnym wrogiem. I wtedy zaczął odgrywać medium na sali sądowej. Chrząkał, tarzał się po

podłódze i mówił językami. Kto pozna, czy to perski? Sędzia rozwalił dwa młotki, wzywając do zachowania spokoju, a adwokat skurczybyka na zmianę domagał się wezwania lekarza albo próbował opierać linię obrony na tym napadzie szału. Udało mu się uzyskać odroczenie. To znaczy, że w przyszłym tygodniu znowu będziemy musieli się użerać z tymi idiotami. Aj waj, jak mawiała moja świętej pamięci matka. - Paul Goldberg uśmiechnął się do Trampuli nad kawałkiem sernika. - A jak tobie minął tydzień?

- Wszystkie zwierzęta są w porządku. Nie było żadnych problemów.

- Na pewno paskudnie jest być weterynarzem w tym mieście. Złapana w pułapkę między pudłami a rottweilerami. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym radzisz.

- Dlatego staram się trzymać kotów. Od czasu do czasu trafia się też egzotyczny szczur albo szop.

Odwzajemniła jego uśmiech, zastanawiając się, dlaczego wymyśliła akurat taką historyjkę. Nastrój Paula nagle się zmienił.

- Posłuchaj, muszę z tobą porozmawiać - rzekł. - Czy możemy dzisiaj darować sobie film?

Mężczyzna wpatrzył się w kubek z kawą, jakby mógł wyczytać swą przyszłość w wirach śmietanki.

- To zabrzmiało poważnie.

- Bo to jest poważne. A przynajmniej tak mi się zdaje. Jesteś rozsądną kobietą. Powiesz mi, czy jestem szalony.

- Tylko nie zacznij mówić po persku.

- W porządku. - Wziął do ręki rachunek. - Tym razem ja płacę. Nie próbuj się sprzeciwiać.

Pojechali taksówką do wielkiego, dwukondygnacyjnego mieszkania Paula w Upper East Side. Po drodze mężczyzna nie mówił prawie nic. Przyglądał się tylko jej dłoniom z ich krótkimi, tępo zakończonymi paznokciami i żartował sobie z niej, mówiąc, że nie ma szponów. Gdy już dotarli na miejsce, zaparzył kawę i puścił Paula Simona. Gdy wreszcie usiadł, zrobił to na krześle, które przyciągnął do Tramp uli, by patrzeć jej prosto w oczy, a nie na kanapie obok niej.

- W biurze dzieją się dziwne rzeczy. Dlatego muszę kogoś zapytać o zdanie. Zapewne nie jesteś najlepszą kandydatką, z wielu różnych powodów, ale jesteś moją przyjaciółką, a tego właśnie w tej chwili potrzebuję - mówił, obracając w dłoniach kubek kawy.

- Jestem tutaj - zapewniła Trampula, wiedząc, że nie spodoba się jej to, co usłyszy.

- Myślę, że ktoś się sprzedaje. Mam ludzi na ulicach, informatorów, wszyscy z nas ich mają. Pojawiły się pogłoski o biurze prokuratora okręgowego. O kontaktach z mafią.

- Jakiego rodzaju kontaktach?

Trampula wstała i zaczęła spacerować po całkowicie białym salonie.

- Trudno to dokładnie określić. Niemniej trzy ostatnie akcje przeciwko mafii nic nam właściwie nie dały. Zatrzymaliśmy tylko kilku mało ważnych żołnierzy i nie znaleźliśmy żadnych narkotyków ani broni. Rzucają nam ochłapy, żebyśmy byli zadowoleni, ale nie możemy znaleźć nic, co wyrządziłoby im realne szkody. - Paul spojrzął na Trampulę. - Wykorzystują nas. Akcje przeciwko wrogom mafii są dobrze przygotowane i niemal zawsze kończą się sukcesem. I myślę, że wiem dlaczego.

- I co zamierzasz w tej sprawie zrobić?

Trampula upiła łyk kawy, zastanawiając się nad swym następnym krokiem. Widziano ją z nim i gdyby go teraz zabiła, byłaby podejrzana. Rosemary mogłaby zapewnić jej ochronę, ale mogłaby też tego nie zrobić.

- Nie mogę zaufać nikomu w biurze prokuratora. A nie jestem też zbyt pewien pracowników

burmistrza. - Odstawił kubek i przeszedł na drugą stronę pokoju, stając przed kominkiem. - Chcę pójść z tym do prasy. Do „New York Timesa”.

- Czy jesteś absolutnie pewien swoich informacji?

Trampula wpatrzyła się w płomień widoczny za jego plecami. Rosemary odłoniła się całkowicie przed atakiem z tej strony. Zapomniała o ostrożności.

- Absolutnie. Potrafię potwierdzić wszystko, co powiedziałem. - Odwrócił się do niej plecami, by ogrzać dłonie przy ogniu. Trampula gapiła się na tył jego głowy. - Mam jednak nadzieję, że sytuację da się jeszcze uratować. Jeśli osoba, o której mowa, odzyska rozsądek, może uda się uniknąć najgorszego. Niektóre z moich informacji zdają się pochodzić od samej mafii. Tego nie rozumiem.

Trampula przypomniała sobie Chrisa Mazzucchellego. Nigdy mu nie ufała, choć Rosemary wyraźnie miała do niego słabość. Czy to on ją zdradził?

- Musisz postąpić tak, jak nakazuje ci sumienie. Ale jeśli to rzeczywiście są mafiosi, czy nie grozi ci niebezpieczeństwo?

Przypomniała sobie, że Rosemary zapewniała, iż pod jej kierownictwem wszystko się zmieni. Jej przyjaciółka dokonała wyboru.

- Masz rację. To jeden z powodów, dla których ci o tym mówię. Powiedziałem też kilku innym osobom i pokazałem im dowody. Nie chciałem cię narażać.

Paul wyraźnie poczuł ulgę, kiedy Trampula nie rozpoznała otwarcie Rosemary na podstawie opisu. Czy ta rozmowa była swego rodzaju pułapką? A jeśli tak, to czy w nią wpadła, czy jej uniknęła?

Objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Nie opierała się, ale też nie zachęcała go. Odwzajemniła niezgrabnie jego uścisk.

- Mogłabyś zostać na noc - rzekł i pocałował ją w czoło.

- Nie, Paul. Nie jestem gotowa, by się tak zaangażować. Pewnie po prostu jestem staromodna. - Odsunęła go od siebie. - Potrzebuję czasu.

- Spotykamy się już od miesięcy, a ja nadal nie wiem, gdzie mieszkasz. Z jakiego powodu mi nie ufasz?

Paul stanął przed nią. Ręce zwisały mu luźno u boków.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. - Unikała jego spojrzenia. - Daj mi czas. Albo nie dawaj. Wybór należy do ciebie.

- Do mnie? - Potrząsnął z rezygnacją głową. - Byłoby mi łatwiej, gdybyś nie była tak cholernie intrygująca. Umówmy się na kolację w następny piątek. Obiecuję, że tym razem pójdziemy do kina. Zgoda?

- Zgoda. Życzę szczęścia. W pracy - dodała, nic nie wiedząc, czy życzy go Paulowi, czy Rosemary.



Okrążając budynek, Trampula widziała rozbłyski strażaków i słyszała huk pistoletów, karabinów oraz śrutówek, niszczący nocną ciszę. Pomagając sobie niewielką armią szczurów, kotów oraz kilkoma zdziczałymi psami, patrolowała obwód, jak ujęła to Rosemary podczas ich spotkania przed dwoma dniami. Gdy tylko jacyś ludzie próbowali ucieczki, razem ze swymi zwierzętami zaganiała ich wprost na czekającą policję.

Omali nie potknęła się o ciało z twarzą ostrzelaną pociskami ze śrutówki. Cofając się, wpadła na czarnoskórego gliniarza. Mężczyzna złapał ją delikatnie i pomógł jej odzyskać równowagę.

- Lepiej niech pani poszuka sobie dzisiaj innego miejsca do spania.

Jego wielkie dłonie odwróciły ją od bitwy ku cichym okolicznym ulicom. Dotyk rąk przypomniał jej Maczuga, wyciągającego łapska ku Jackowi. Wyszarpnęła się, pozostawiając w jego rękach brudny, skórzany płaszcz, i oddaliła się szybko, utykając.

Skryła się w ciemności i ponownie nawiązała kontakt ze zwierzętami. Ruda kotka towarzyszyła jej przez cały czas, ale cała reszta krążyła wokół budynku. Przez oczy szczura przycupniętego na stercie śmieci obserwowała wysiłki młodego Azjaty, który posuwał się powoli naprzód, próbując uciec przed walką. Zostawiał za sobą ślady krwi, skapującej mu z prawej nogawki spodni. Trampula poczuła jej woń, podobnie jak zdziczały rottweiler, który nagle wypełnił wylot zaułka. Wietnamczyk wciągnął gwałtownie powietrze i zaczął cofać się ostrożnie w głąb uliczki. Trampula powstrzymała psa, każąc mu usiąść i wezwać pomoc donośnym wyciem.

Wszędzie było pełno wody. Rosemary powiedziała, że w akcji będzie dziś uczestniczyła nowa aska, znana jako Lilia Wodna. Piętnaście dolnych centymetrów płaszcza i spódnicy Trampuli przesiąkło całkowicie, podobnie jak jej buty. Skąd wzięło się tyle wody? Miała nadzieję, że dzisiejszej nocy nie będzie w Dżokerowie żadnych pożarów.

Mimo że zdradzało to jej obecność, Trampula ustanowiła kordon dziko żyjących kotów, niepozwalających dżokerom zbliżać się bardziej niż na dwie przecznice do miejsca, gdzie toczyła się walka. Znajdujący się pośrodku tego pierścienia magazyn był według Rosemary jedną z największych składnic broni Widmowych Pięści. Trampuli coraz trudniej było utrzymać koncentrację. Rosemary nie poświęciła zbyt wiele uwagi kwestii, jak jej aska zdoła kierować w skoordynowany sposób setkami zwierząt i obserwować okolicę za pośrednictwem ich zmysłów

Ruda kotka prychnęła wściekle, wyrывая Trampulę z zamyślenia. Kobieta odsunęła się od muru, o który się opierała, żeby zachować siły. Kolejny Wietnamczyk, trzymający w rękach uzi, posuwał się naprzód ciemną uliczką, przeskakując bezgłośnie od cienia do cienia. Trampula skupiła na nim uwagę i wezwała szczury. Po kilku sekundach setka gryzoni zaatakowała mężczyznę, zmuszając go do odwrotu. Skakały mu na nogawki spodni, obłaziły poruszające się szaleńczo ramiona, gryzły go w twarz i szyję. Samą liczebnością zbiły go z nóg, gdy tylko pokryły cały grunt pod jego stopami. Mężczyzna zaczął krzyżeć. Rozległy się strzały z uzi, które nie chciały umilknąć. Odbijały się echem od ścian budynków, tworząc niesamowity kontrast z wrzaskiem Wietnamczyka. Oba dźwięki nasilały się z każdą chwilą, aż wreszcie zabrakło nabożów, a gardło mężczyzny stało się zbyt obolałe, by mógł wydawać dalsze dźwięki. Potem ciszę mąciły wyłącznie odgłosy wydawane przez walczące o łup szczury. Trampula odesłała je na inną pozycję. Niepokoił ją widok leżącego w kałuży krwi mężczyzny. Nie powinien był stawiać oporu.

Niebo nad budynkiem przeszły wiązki laserowego światła, dzieląc je na części z chirurgiczną precyzją. Kiedy uderzały w kałuże stworzone przez Lilię Wodną, w powietrze wzbijały się obłoki pary. Ten widok przypominał Trampuli wizję piekła stworzoną przez Kena Russella.

Rosemary wezwała ją za pośrednictwem kota, którego Trampula jej zostawiła. Bezdonna odwróciła się, porzucając zwłoki. Wietnamczyk nie zrobił jej nic złego. Jego ciało nie nakarmi ani jej, ani jej zwierząt. Nie miała prawa go zabić.

Po przybyciu Trampuli Rosemary cofnęła się w głąb cienistej niszy, by na nią zaczekać. Bezdonna kobieta posuwała się naprzód przy murze, przypominając sobie Wietnamczyka, który przed paroma minutami poruszał się w taki sam sposób. Nikt jej nie zauważył.

- Co widziałaś? - zapytała Rosemary bez zbędnych wstępów.  
- Mam wszystkich. Nikt nie wymknął się moim oczom.  
- Świetnie, świetnie. Skurwysyny nie zapomną o tym tak szybko.  
Zadowolona Rosemary, myślami była gdzie indziej.  
- Widzisz? Wiedziałam, że możesz zrobić dla mnie bardzo wiele.  
Rosemary wyszła na ulicę. Jeden z policjantów podszedł do niej, aby ją przywitać.  
- Świetna robota! Ci pani asowie naprawdę się sprawdzili, choć przyznają to z wielką niechęcią. Ten czarny facet... Młot czy jakoś tak? Przechodziły mnie ciarki, gdy zbliżał się w tym swoim płaszczu.

Kapitan wyciągnął rękę, by pogratulować Rosemary.

- Cieszę się, że mogliśmy wam pomóc, kapitanie. Ale Młot Harlemu nadal przebywa za granicą. Jest pan pewien, że to nie był jeden z waszych agentów? - Uścisnęła z uśmiechem jego dłoń. - Swoją drogą, czy któryś z waszych ludzi mógłby wyprowadzić stąd tę kobietę? - Rosemary wskazała głową na czekającą przy niszy Trampulę. - Chyba się zgubiła.

Nim gliniarz zdążył ją zatrzymać, bezdomna oddaliła się i zniknęła w zaułku. Poświęciła chwilę na rozproszenie zgromadzonych zwierząt, a potem zeszła za rudą kotką do kanałów, wejściem, które wcześniej zostawiła otwarte. W wilgotnej ciemności pod ulicami zastanowiła się nad tym, co zdołała dziś osiągnąć. I w jakim celu? Po to, by mafia mogła dalej funkcjonować? Straciła co najmniej dwadzieścia szczurów, jednego kota i jednego psa. *Nigdy więcej, Rosemary. Twoje gierki nie są dla mnie tyle warte.* Dostrzegła błysk w oczach kotki i podążyła za nią tunelami do domu.



Gdy Rosemary dotarła do penthouse u Gambione, Chris już tam na nią czekał. Siedział na krześle na honorowym miejscu za stołem w bibliotece jej ojca. Nie odezwał się ani słowem, gdy usiadła obok niego.

- Mam kłopoty. - Chris wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.  
- Paul Goldberg wie, kim jesteś.  
- Skąd?

Rosemary jednocześnie poczuła strach oraz lekką, osobliwą ulgę na myśl, że maskarada wreszcie się skończyła.

- Nie wiemy, ale to już nie ma większego znaczenia, prawda? Sprawdziliśmy twoje biuro z czystej ostrożności i znaleźliśmy to w jego pokoju.

Przysunął do niej leżącą na blacie kopertę. Otworzyła ją i znalazła w środku zdjęcia przedstawiające ją z ojcem, akta i wszystko, czego potrzeba, by ją przygwoździć.

- Musimy się go pozbyć. - Chris zabębnił palcami o blat.  
- Ale chciałem, żebyś najpierw to zatwierdziła. W końcu to jeden z twoich pracowników.  
- Oczywiście, natychmiast. - Rosemary gapiała się na fotografie, przesuując je nieustannie. - Czy pokazywał to komuś? Kto jeszcze o tym wie?  
- Myślę, że zorientowaliśmy się na czas. - Chris wziął w rękę jedno ze zdjęć i popatrzył na nie niemal machinalnie.

- Sugeruję jednak, żebyś sprawdziła swą drogą przyjaciółkę, Suzanne. Widywano ich razem.  
- Jezu, ona spotykała się z Paulem. Nie wiem, jak zareaguje, jeśli go załatwimy. Nie zawsze jest

zrównoważona.

- Chcesz, żebyśmy z tym zaczekali? Daj spokój, wiesz, że albo ty, albo on.

Chris odchylił się na masywnym krześle, unosząc jego przednie nogi.

- Nie, załatwcie go. Natychmiast. Jeśli nie zdążył nikomu powiedzieć, nadal będę bezpieczna.

Pokręciła głową z boku na bok, jakby szukała drogi ucieczki.

- To jedyny rozsądny wybór. Zajmę się tym. Chyba że...

Przednie nogi krzesła opadły na podłogę z cichym stuknięciem, szybko stłumionym przez gruby dywan.

- Nie. Ty to zrób. - Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję.

Uśmiechnął się szeroko, pochylił nad blatem i pocałował ją.

- Nie ma sprawy. Po to tu jestem.



Mijając róg wysokościowca, w którym mieszkał Paul, Trampula pociągnęła spódnicę w dół, jednocześnie starając się omijać kałuże pozostałe po popołudniowym deszczu. Strażnik otworzył przed nią masywne szklane drzwi z uśmiechem świadczącym, że widział, co przed chwilą zrobiła. Zastanawiała się, czy nie obrzydzić mu trochę życia, każąc gołębiowi zrobić swoje nad jego głową, ale nie był wart takiego wysiłku. Zresztą miała na głowie ważniejsze sprawy. Nie była jeszcze pewna, ale niewykluczone, że zostanie dziś z Paulem na noc. Nadal czuła lekki niepokój na tę myśl.

Pomachała ręką do Martyego, który skinął głową i odhaczył ją w spisie gości. Jak zwykle czuła się lekko zażenowana, słysząc stukot wysokich obcasów o marmurową posadzkę. Winda wciąż nie przyjeżdżała. Była zdeterminowana, bo wszyscy, którzy ją widzieli, wiedzieli, co myśli o Paulu, gdy kabina wreszcie się zjawiała. To było śmieszne. Jezu, była dorosła. Zaczerpnęła głęboki oddech, wsiała do windy i ruszyła do mieszkania Paula, znajdującego się na trzydziestym drugim piętrze.

Gdy z niej wysiadła, na korytarzu na szczęście nie było nikogo. Ruszyła bezgłośnie po dywanie, miękkim jakby miał z dziesięć centymetrów grubości, podeszła do drzwi mieszkania Paula i zadzwoniła. Po kilku minutach za-dzwoniła po raz drugi i zaczęła nasłuchiwać dolatujących z mieszkania dźwięków. Nic nie usłyszała. Poszukała wewnątrz jakichś zwierząt, myszy albo szczura, ale ten apartamentowiec był na to stanowczo zbyt luksusowy i nie udało się jej nic znaleźć. Przywołała gołębia i kazała mu zajrzeć przez okno. W środku paliło się parę świateł, lecz nigdzie nie zauważyła Paula.

Rewelacja. Nie miał kiedy wystawić jej do wiatru. Świetnie wybrałeś moment, Paul. Ruszyła z powrotem do windy z lekką ulgą, którą ciągle spychała w głąb umysłu.

Jadąc w dół, uświadomiła sobie, że ochroniarze z pewnością spodziewali się jej wizyty, bo inaczej nie wpuściliby jej do środka. Po raz pierwszy zaczęła się niepokoić o Paula.

Marty, strażnik, widział go przed kilkoma godzinami. Rozmawiali chwilę o tym, że naprawdę udało mu się wy-grać sprawę i miał trochę czasu, by się odprężyć przed przyjściem Trampuli. Marty zaczerwienił się, wspominając, że pan Goldberg powiedział mu, że się jej spodziewał. Dodał też, że będą razem świętować. Nie odnotowano, by Paul wychodził z budynku, żaden ze strażników nie widział też, by to robił. Marty poprosił jednego z nich, by zajął jego miejsce i

wziął ze sobą klucz uniwersalny, pozwalający otworzyć drzwi do mieszkania Paula.

Gdy tylko Maryje otworzył, Trampula natychmiast się zorientowała, że coś jest nie w porządku. Kierowana nagłym strachem, zaprowadziła strażnika prosto do łazienki. Paul leżał nago w czarnym, marmurowym jacuzzi. Krew wirowała wokół niego w pełnej bąbelków wodzie. Strzelono mu w oko z bliskiej odległości. Trampula gapiła się na niego, podczas gdy Mary w pośpiechu dzwonił na policję.

Zabrali ją na posterunek i przesłuchiwali całymi godzinami. Z początku próbowali zmusić ją, by przyznała się do popełnienia zbrodni. Gdy przybył wstępny raport koronera, dali za wygraną i zaczęli pytać o to, co wie o jego poczynaniach. Kto mógł pragnąć jego śmierci? Raz po raz przychodziła jej do głowy Rosemary, ale zapewniała, że nic na ten temat nie wie.

Czyjej przyjaciółka mogła kazać go zlikwidować? Wiedziała, że Trampuli zależy na Paulu. Sama ich zachęcała do tego związku. Czy była zdolna do zamordowania człowieka, z którym współpracowała i którego szanowała? Trampula nie pozwalała sobie odpowiedzieć na te pytania.



Była prawie szósta rano, gdy C.C. wreszcie pozwolono zabrać ją do domu. Podczas jazdy taksówką do loftu piosenkarki Trampula nie odzywała się ani słowem. Sięgnęła umysłem do kotów i z drzeniem przyciągnęła je mentalnie do siebie. C.C. podniosła poranną gazetę z chodnika przed jej budynkiem i wetknęła ją sobie pod pachę. Następnie zaprowadziła przyjaciółkę do windy. Gdy już znalazły się w lofcie, bezdomna wpatrywała się bez wyrazu w przeciwległą ścianę, podczas gdy jej gospodyni robiła herbatę.

Po chwili Trampula uświadomiła sobie, że piosenkarka raz po raz woła ją po imieniu. To przywołało ją z powrotem do rzeczywistości. Wołałaby poszerzyć swą świadomość na całe miasto. W ten sposób rozprzestrzeniałaby swój ból. Tylko natarczywy ton C.C. kazał jej skupić uwagę na gazecie leżącej przed nią.

Jedną czwartą pierwszej strony zajmowało zdjęcie Rosemary Gambione Muldoon.



Rosemary zachowywała lodowaty spokój. Ostrzeżenie nadeszło od autora nekrologów, który miał wielki dług w Las Vegas. Wykupiła go już dawno temu, a dziś nadszedł dzień zapłaty. Usłyszał w newsroomie podekscytowane głosy i sprawdził, o co chodzi. Gdy tylko zobaczył jej zdjęcie na makiecie pierwszej strony, zadzwonił do swego kontaktu z Rodziną. Chris załomotał do drzwi Rosemary o drugiej w nocy. Wspólnie wrzucili ubrania do walizki.

Przyprowadził ze sobą czterech swych najlepszych ludzi, którzy mieli jej pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Następnie wsiedli w szóstkę do czarnej limuzyny, która zawiozła ich do jednej z kryjówek utrzymywanych przez Rodzinę Gambione. Rosemary milczała. Cóż mogłaby powiedzieć? Część jej życia została zniszczona. Pozostała jej tylko Rodzina. Zakończy życie tak samo, jak je zaczęła.

Siedziała sama w domu. Jej ochroniarze patrolowali otoczenie, obserwując wszystkie okna i drzwi. Chris opuścił ją, by zorganizować bezpieczniejszą kryjówkę, z której mogłaby nadal kierować Rodziną Gambione. Czuła się wolna i bardziej pełna życia niż w czasach, gdy próbowała grać dwie role jednocześnie. W jej głowie kłębiły się plany, które ocalą Rodzinę i



pozwolą im dalej funkcjonować. Teraz, gdy mogła się skoncentrować na najważniejszych problemach, wszystko będzie wyglądało inaczej. Paul wyświadczył jej przysługę. Szkoda, że musiał zginąć z tego powodu, ale w końcu nie mogła sobie pozwolić na okazanie słabości. Zastanawiała się, kiedy wróci Chris. Miała z nim do omówienia bardzo wiele spraw.

## I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie

### II

Gdzieś w ciemnej, gorącej ciasnocie rozległo się posępne bulgotanie. Jego świat obrócił się i przechylił, opadając coraz głębiej. Czuł się zbyt słaby i oszołomiony, by mógł się poruszać. Na jego nodze zaciskały się lodowate palce, wspinające się coraz wyżej. Nagle doznał szoku, gdy woda dotarła mu do krocza. Ocknął się i zerwał pasy odrętwiałymi palcami, ale było już za późno. Zimno pieściło mu pierś. Zerwał się nagle i podłoga przechyliła się pod jego stopami. Stracił punkt oparcia. Woda nakryła mu głowę i nie mógł oddychać. Wszędzie była ciemność, nieprzenikniona, grobowa ciemność. Musiał się wydostać, musiał się wydostać...

Tom obudził się, chwytając gwałtownie powietrze. Krzyk rodził się w jego gardle, usiłując się wyrwać na zewnątrz.

W chwili oszołomienia, tuż po powrocie na jawę, usłyszał słaby brzęk pękającej szyby, która wypadła z ramy okiennej, by rozbić się na podłodze sypialni. Zacisnął powieki, starając się uspokoić. Serce tłukło mu się w piersi jak szalone, a podkoszulek lepił do ciała. Powtarzał sobie, że to był tylko sen, ale nadal czuł, jak spadał, ślepy i bezradny zamknięty w trumnie z rozgrzanej stali, a wody rzeki zamykały się nad nim. *To był tylko sen* - powtórzył sobie raz jeszcze. Miał szczęście, coś w skorupie eksplodowało i wydostał się na zewnątrz. Było po wszystkim, żył i nic mu nie groziło. Zacerpnął głęboki oddech i zaczął liczyć do dziesięciu. Gdy dotarł do siedmiu, drzenie ustało. Otworzył oczy.

Spał na materacu leżącym na podłodze w pustym pokoju. Usiadł. Splątana pościel zwisała z jego ciała. Pierze z rozdartej poduszki opadało leniwie na podłogę w snopach słonecznego blasku wpadającego do środka przez rozbite okno. Budzik, który kupił w zeszłym tygodniu, poleciał na drugi koniec pokoju i odbił się od ściany. Na jego ledowym wyświetlaczu jeszcze przez chwilę rozbłyskiwała seria czerwonych liczb. Potem wszystko zgasło. Zupełnie nagie, jasnozielone ściany przesywała rosnąca pajęczyna pęknięć. Tom skrzywił się boleśnie, wyplątał z pościeli i wstał.

Którejś nocy jego pierdolona podświadomość zwali mu na głowę cały dom. Zastanawiał się, co by na to powiedzieli sąsiedzi. Już w tej chwili przerobił większość mebli w sypialni na szczapy, a ściany z kartongipsu również nie trzymały się zbyt dobrze. Podobnie jak on.

W łazience Tom zrzucił przepocone ubranie, cisnął je do kosza i przejrzał się w lustrze wiszącym nad umywalką. Przyszło mu na myśl, że wygląda na dziesięć lat więcej, niż ma. Parę miesięcy nieustannych koszmarów działało tak na człowieka.

Wszedł pod prysznic i zasunął zasłonę. W wypełnionej wodą mydelniczce leżało na wpół rozpuszczone mydło. Skupił się. Mydło uniosło się w górę i wsunęło się prosto do jego ręki. Było śliskie w dotyku. Tom zmarszczył brwi i mocno szarpnął mocą umysłu kurek od zimnej wody. Skrzywił się, gdy popłynął na niego lodowaty strumień. Bardzo szybko złapał ręką za kurek od ciepłej wody, odkręcił go i po chwili zadrzał z ulgi.

Namydlając się, pomyślał, że idzie mu coraz lepiej. Przez dwadzieścia parę lat żył jako Żółw i jego telekinetyczne talenty uległy niemal całkowitej atrofii, pomijając tylko chwile, gdy przebywał w skorupie. Dopiero doktor Tachion pomógł mu zrozumieć, że blokada ma psychiczne, nie fizyczne podłoże. Od tamtej chwili nie przestawał nad tym pracować, aż wreszcie dotarł do punktu, gdy sztuczki z kawałkami mydła oraz kurkami od zimnej wody były dla niego jak bułka z masłem.

Wsadził głowę pod prysznic i uśmiechnął się, gdy ciepła woda spłynęła po jego ciele, spłukując ostatnie pozostałości koszmaru. Szkoda, że podświadomość nie zdawała sobie sprawy z granic jego pierdolonych możliwości. Czułby się wtedy nieporównanie bezpieczniej, kładąc się spać, i może rano jego sypialnia nie przypominałaby pobojuwiska. Gdy jednak nadchodził koszmar, Tom stawał się Żółwiem. Był słaby, dręczyły go zawroty głowy, opadał na dno i lada moment miał się utopić, ale nadal pozostawał Wielkim i Potężnym Żółwiem, który zonglował lokomotywami i miażdżył czołgi mocą umysłu.

Nieżyjącym wielkim Żółwiem. *I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie* - pomyślał Tom.

Zakręcił kurki, zadrżał w nagłym chłodzie i wylazł spod prysznicza, żeby się wytrzeć.

W kuchni wziął sobie kubek kawy i miseczkę otrębów owsianych. Zawsze uważał, że smakują jak wilgotna tektura, a te nowe, superdietetyczne wręcz jak trociny, ale jego lekarz upierał się, że musi jeść więcej błonnika, a mniej tłuszczu. Powinien też ograniczyć kawę, ale w tym przypadku sprawa była beznadziejna. Uzależnił się od niej.

Włączył mały telewizor stojący przy mikrofalce i zaczął oglądać CNN. Władze miejskie wszczęły śledztwo na pełną skalę w sprawie korupcji w biurze prokuratora. To było z pewnością nieuniknione, biorąc pod uwagę fakt, że jedna z zastępców prokuratora okręgowego okazała się donem mafii. Zapowiedziano postawienie zarzutów. Nadal trwały poszukiwania Rosy Marii Gambione, znanej też jako Rosemary Muldoon. Zniknęła bez śladu. Z pewnością zaszyła się w jakiejś kryjówce. Tom nie sądził, by miała się znaleźć zbyt szybko.

Czuł się winny, gdy zignorował apel Rosemary Muldoon, która prosiła asów o zgłaszanie się na ochotnika, by powstrzymać szalejącą w Dżokerowie wojnę gangów. Odrzucanie prośby o pomoc nie było w stylu Żółwia. Gdyby miał działającą skorupę albo pieniądze na jej zakup, jego determinacja mogłaby osłabnąć w stopniu wystarczającym, by Żółw powrócił zza grobu. Nie miał jednak ani skorupy, ani pieniędzy i dlatego nie wrócił, a teraz się z tego cieszył. Impuls, Lilia Wodna, Pan Magnes i inni asowie, którzy się zgłosili, narażali życie, a teraz interesowni politykierzy w wieczornych wiadomościach domagali się śledztwa w sprawie ich związków z przestępczością zorganizowaną.

W takich chwilach Tom czuł się naprawdę zadowolony, że Żółw nie żyje.

Zaczęły się wiadomości z zagranicy. Na początek nadano relację z ekspedycji asów. Już od dawna wiadano, że Sokolica jest w ciąży, a dzięki Bogu nie doszło do nowych aktów przemocy, jak w Syrii. Tom z lekką zazdrością obserwował przekaz z lądowania „Ułożonej Talii” w Japonii. Zawsze pragnął podróżować do odległych, egzotycznych krajów, zobaczyć na własne oczy wszystkie sławne miasta, o których czytał w dzieciństwie, ale nie było go na to stać. Kiedyś sklep wysłał go z delegacją na wystawę do Chicago, ale weekend w hotelu Conrad Hilton w towarzystwie trzech tysięcy sprzedawców sprzętu elektronicznego z pewnością nie był spełnieniem marzeń z jego dzieciństwa.

Powinni byli zaprosić Żółwia na wyprawę. Rzecz jasna, transport skorupy nastęrczałby problemy, a poza tym nie dostałby paszportu, gdyby nie podał im prawdziwego nazwiska, a tego nie czuł się gotowy zrobić. Te sprawy można by jednak jakoś załatwić, gdyby komuś na tym

zależało. Może naprawdę myśleli, że nie żyje, choć przynajmniej doktor Tachion powinien był wiedzieć lepiej.

Dlatego nadal siedział w Bayonne i żuł owsiane otręby, podczas gdy Mistral, Soko, Grubas i cała reszta siedzieli pod pagodą i jedli, co tam właściwie Japończycy jedzą na śniadanie. To go wkurzało. Nie miał nic przeciwko Soko czy Mistral, ale one nie zapłaciły takiej ceny jak on. Jezu, zaprosili nawet tę świnie Jacka Brauna. Ale nie jego, o nie, to by sprawiło im za dużo pierdolonych kłopotów. Musieliby jakoś rozwiązać problem skorupy, a do tego mieli określoną liczbę miejsca dla asów i dzokerów, a nikt nie wiedział, do której z tych grup pasuje Żółw.

Tom przełknął kolejny łyk kawy, wstał z krzesła i wyłączył telewizor. *Pierdolić to wszystko* - pomyślał. Skoro już postanowił, *it* Żółw nie wróci do życia, nadszedł czas, by pochować jego szczątki. Miał parę pomysłów, jak to zrobić. Jeśli dobrze wszystko rozegra, być może w przyszłym roku o tej porze on również będzie mógł sobie pozwolić na podróż dookoła świata.

## Koncert dla syreny i serotoniny

### II

Croyd upewnił się, że nikt go nie widzi, i wrzucił dwie czarne pigułki do swojej kawy espresso. Jego westchnienie przerodziło się w ciche przekleństwo. Nie szło mu tak, jak się tego spodziewał. Wszystkie ślady, które sprawdził w ostatnich dniach, prowadziły donikąd, a do tego brał znacznie więcej spidu, niżby należało. W normalnej sytuacji nie przejmowałby się tym, ale po raz pierwszy w życiu złożył dwie odrębne obietnice odnoszące się do prochów i swych poczynań - jedną związaną z interesami, a drugą osobistą. Czuł się złapany w pułapkę. Z pewnością będzie musiał mieć na sobie oko - a przynajmniej kilka fasetek - by nie spieprzyć roboty. Nie chciałby też zrazić Lili Wodnej na pierwszej randce. Na ogół jednak wyczuwał nadciągającą paranoję. Postanowił, że tym razem amfetamina będzie dla niego wskaźnikiem poziomu rozsądku, jaki zachował.

Krażył po całym mieście, próbując zlokalizować dwie pierwsze osoby ze swej listy, które najwyraźniej zniknęły. Sprawdził miejsca, w których ponoć je widziano, ale najwyraźniej były to tylko przypadkowe spotkania. Następnym był James Spector.

Choć nie poznał tego nazwiska, znał Zgon. Spotykał go przelotnie przy kilku różnych okazjach. Zawsze miał wrażenie, że to jeden z najpaskudniejszych asów.

- A jeśli to Zgon, zabije cię on - zamruczał, wzywając kelnera.

- Słucham pana?

- Jeszcze espresso, ale tym razem w większym kubku, dobra?

- Oczywiście.

- A jeśli już o tym mowa, proszę mi przynieść cały dzbanek.

- Proszę bardzo.

Zaczął nucić głośniej, poruszając do taktu nogą.

- Zgon, to on. Zabił go Zgon - mrucał. Podskoczył nagle, gdy kelner postawił przed nim kubek.

- Proszę się tak do mnie nie podkradać!

- Przepraszam. Nie chciałem pana przestraszyć.

Kelner zaczął napełniać kubek.

- Niech pan nie stoi za mną, kiedy pan nalewa. Proszę stanąć z boku, żebym pana widział.

- Oczywiście.

Kelner przesunął się na jego prawą stronę. Odchodząc, zostawił dzbanek na stole.

W miarę, jak Croyd pochłaniał kolejne kubki kawy, zaczęły mu przychodzić do głowy myśli, jakie nie nawiedzały go od dłuższego czasu. Dotyczyły snu, śmiertelności i transfiguracji. Po pewnym czasie zamówił kolejny dzbanek. To był z całą pewnością dwudzbankowy problem.



Wieczorny śnieg wreszcie przestał padać, ale jego kilkucentymetrowa warstwa pokrywająca chodniki nadal skrzyła się w blasku latarni. Wicher tak zimny, że aż parzył, niósł białe obłoczki wzdłuż Dziesiątej Ulicy. Wysoki, chudy mężczyzna w grubym, czarnym płaszczu ostrożnie posuwał się naprzód. Mijając róg, obejrzał się za siebie. W mroźnym powietrzu jego oddech zamieniał się w parę. Od chwili wyjścia ze sklepu monopolowego miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Faktycznie dostrzegł około stu metrów za sobą jakąś postać, idącą drugą stroną ulicy w mniej więcej tym samym tempie co on. James Spector doszedł do wniosku, że może byłoby warto zaczekać na tego faceta i zabić go, po to tylko, by uniknąć późniejszych trudności. W końcu miał jeszcze w torbie dwie duże flaszki Jack Daniels i sześciopak Schlitz, a gdyby ktoś zaatakował go nagle na oblodzonym chodniku... Skrzywił się na myśl, że butelki mogłyby się potłuc, a on byłby zmuszony ponownie pokonać drogę do sklepu.

Z drugiej strony, jeśli zaczeka na nieznanego i zabije go tutaj, trzymając w rękach torbę, również może się pośliznąć, choćby wtedy, gdy będzie się schylał, by sprawdzić zawartość kieszeni ofiary. Lepiej byłoby znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mógł ją odstawić. Rozejrzał się wkoło.

Nieco dalej zauważył schody prowadzące do drzwi. Podszedł do nich i postawił bagaż na trzecim stopniu, opierając go o żelazną poręcz. Strzepnął kołnierz i postawił go, znalazł w kieszeni paczkę papierosów. Wytrząsnął jednego z nich i zapalił, osłaniając go dłonią. Potem oparł się o poręcz i czekał, obserwując narożnik ulicy. Po chwili pojawił się facet w szarych spodniach i niebieskim swetrze. Ciemne włosy miał rozczochrane, a krawat powiewał mu na wietrze. Zatrzymał się i popatrzył na Jamesa, a następnie skinął głową i ruszył naprzód. Gdy podszedł bliżej, Spector zobaczył lustrzanki na jego oczach. Poczul nagły atak paniki, uświadomiwszy sobie, że niezajomy posiada adekwatną osłonę przed jego mocą. Z pewnością nie był to przypadek. Nie pośrodku nocy Musiało chodzić o coś więcej niż zwykły rabunek. Spector zaciągnął się papierosem i cofnął powoli o kilka kroków, wspinając się na schody, by zyskać wysokość potrzebną do zadania tamtemu kopniaka w głowę i strącenia tego cholerstwa z jego oczu.

- Hej, Zgon! - zawołał mężczyzna. - Muszę z panem porozmawiać!

Spector wytrzeszczył oczy, próbując sobie przypomnieć tego faceta. W jego wyglądzie ani nawet w głosie nie było jednak nic znajomego. Mężczyzna podszedł bliżej i zatrzymał się z uśmiechem.

- Zabiorę panu tylko minutkę, góra dwie - zapewnił. - Sprawa jest ważna. Bardzo mi się śpieszy, a jednocześnie staram się zachować choć odrobinę subtelności, a to niełatwe.

- Czyja pana znam? - zapytał Zgon.

- Spotkaliśmy się. W innych życiach, że tak powiem. Moich życiach. Mam też wrażenie, że pracował pan kiedyś jako księgowy dla firmy mojego szwagra w Jersey. Nazywam się Croyd.

- Czego pan chce?

- Muszę poznać nazwisko szefa nowej grupy, próbującej przejąć działalność prowadzoną od mniej więcej pół wieku w tym mieście przez starą, dobrą mafię.

- Chyba pan żartuje - stwierdził Zgon. Zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na schody i zgasił go palcami nogi.

- Bynajmniej - zaprzeczył Croyd. - Z całą pewnością muszę zdobyć tę informację, by móc spokojnie zasnąć. Jak rozumiem, wykonywał pan dla tych facetów pewne zadanie niemające nic wspólnego z księgowością. Niech mi pan powie, kto kieruje tą operacją, a zostawię pana w

spokoju.

- Nie mogę tego zrobić - odparł Zgon.

- Jak już mówiłem, staram się być subtelny. Wolałbym nie być zmuszony do użycia brutalnych metod.

Zgon kopnął go w twarz. Okulary Croyda spadły na ziemię za jego plecami i Spector spojrzął prosto w dwieście szesnaście lśniących fasetek. Nie był w stanie wejrzeć w świetliste punkciki.

- Jest pan asem - stwierdził. - Albo dzokerem.

- Jestem Śpioch - odparł Croyd. Złapał Zgona za prawe ramię i złamał je o poręcz. - Trzeba było pozwolić mi na subtelność. To by mniej bolało.

Zgon wzruszył ramionami, choć jednocześnie skrzywił się z bólu.

- Proszę bardzo, niech pan złamie i drugą. Nie mogę panu powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

Croyd przyjrzał się kończynie Spectora zwisającej bezwładnie. Zgon złapał ją drugą ręką, nastawił i przytrzymał.

- Rany goją się panu bardzo szybko, prawda? - zapytał Śpioch. - Nawet w parę minut. Teraz sobie przypominam.

- To prawda.

- A czy odrośnie panu ręka, jeśli ją urwę?

- Nie wiem i wolałbym tego nie sprawdzać. Niech pan posłucha. Słyszałem, że jest pan psycholem i wierzę w to. Powiedziałbym panu, gdybym to wiedział. Regeneracja nie jest przyjemna. Ale wszystko, co dla nich zrobiłem, to jeden marny kontrakt. Nie mam pojęcia, kto nimi kieruje.

Croyd wyciągnął obie ręce i złapał Spectora za nadgarstki.

- Połamanie panu kości może nie dać zbyt wiele - przyznał. - Ale wciąż mogę skorzystać z subtelniejszych metod. Leczone pana kiedyś elektrowstrząsami? Niech pan spróbuje tego.

Gdy Zgon przestał się trząść, Croyd puścił jego nadgarstki.

- Nadal nie mogę panu tego powiedzieć - odezwał się Spector, gdy tylko odzyskał zdolność mowy. - Po prostu nie wiem.

- W takim razie stracimy jeszcze trochę neuronów - zaproponował Śpioch.

- Chwileczkę - sprzeciwił się Zgon. - Nie poznałem nazwisk szefów. Chuj mnie to obchodziło. I nadal chuj mnie obchodzi. Ale spotkałem faceta o ksywce Oko. To dzoker. Ma tylko jedno, wielkie oko i nosi na nim monokl. Spotkał się ze mną na Times Square, dał mi zlecenie i zapłacił. Tylko to się liczy. Wie pan, jak to jest. Sam jest pan wolnym strzelcem.

Croyd westchnął.

- Oko? Chyba gdzieś o nim słyszałem. Gdzie można go znaleźć?

- Jak rozumiem, bywa w klubie Martwy Nicholas. Gra tam w karty w piątkowe wieczory. Mam ochotę wybrać się tam i zabić skurwysyna, ale jakoś nigdy nie mogę się zebrać. Straciłem przez niego stopę.

- Martwy Nicholas? - zapytał Croyd. - Chyba nie słyszałem o takim lokalu.

- Kiedyś to była kostnica Nicholasa Kinga. To blisko Dżokerowa. Żarcie i gorzała, muzyka i tańce, a w pokoju na zapleczu hazard. Otworzyli się niedawno. Dekoracja z halloweenowymi motywami. To zbyt ponure, jak na mój gust.

- W porządku - stwierdził Croyd. - Mam nadzieję, że nie wciska mi pan kitu, Zgon.

- To wszystko, co wiem.

Śpioch skinął z namysłem głową.

- To mi wystarczy. - Puścił drugiego asa i odsunął się od niego. - Może wreszcie będę mógł

zasnąć - mruknął.

- To było subtelne. Naprawdę subtelne - dodał po chwili. Podniósł torbę Spectora i wsunął mu ją w ramiona. - Proszę. Niech pan nie zapomni o swoich rzeczach. I proszę uważać na siebie. Robi się ślisko.

Croyd cały czas oddalał się tyłem, mamrocząc coś do siebie. Wreszcie dotarł do rogu, odwrócił się i zniknął.

Zgon osunął się na schody, usiadł na nich, otworzył butelkę Jacka Danielsa i pociągnął długi łyk.



# Jezus był asem

ARTHUR BYRON COVER

*W czasach kłopotów i mrocznych plag, w tej żyznej krainie, gdzie wysiłki szatana są bliskie przyniesienia owoców, nie musimy kombinować z Marksem ani wsadzać nosa we Freuda, nie potrzebujemy pomocy liberałów, takich jak Tachion, i nie powinniśmy otwierać się przed nikim poza Jezusem, ponieważ to on był pierwszym i największym ze wszystkich asów!*

*- wielbny Leo Barnett*

## I

Między Dżokerowem a Lower East Side znajduje się szeroki na kilka kwartałów obszar, zamieszkały zarówno przez natoli, jak i przez ofiary wirusa, zwany Pograniczem. Nikt nie wie, która grupa dała początek temu określeniu, ale obie posługują się nim równie często. Dżoker mógłby go uważać za pogranicze Nowego Jorku, a natol za pogranicze Dżokerowa.

Ludzie przybywają na Pogranicze z tego samego powodu, dla którego niektórzy oglądają filmy o psychopatycznych mordercach, chodzą na koncerty speedmetalowe albo ćpają najmodniejsze dopalacze. Zwabia ich tu iluzja niebezpieczeństwa, słaba i ulotna, ale dająca im coś, czym będą mogli się chwalić na przyjęciach przed tymi, którzy są zbyt bojaźliwi, by przyjść tu sami.

O tym właśnie myślał młody kaznodzieja, obserwując ekipę telewizyjnych dziennikarzy przez okno łazienki w tanim hotelowym pokoju. Wynajął go na całą dobę, choć zamierzał z niego korzystać tylko przez kilka godzin. Ekipa składała się z reportera w płaszczu i krawacie, operatora minikamery oraz dźwiękowca. Reporter zatrzymywał przechodniów - natoli i dżokerów, bez różnicy - podtykał im mikrofon pod nos i próbował ich nakłonić, aby coś powiedzieli. Przez długą, dręczącą chwilę młody kaznodzieja obawiał się, że sprawą, która przyciągnęła tu łowców sensacji, jest jego schadzka z Belindą May, pocieszył się jednak myślą, że ludzie z telewizji z pewnością rutynowo odwiedzają tę okolicę w poszukiwaniu newsów. W końcu gdzie mogliby znaleźć mocniejszą czołówkę do wiadomości o jedenastej? Młody kaznodzieja nie lubił, gdy nawiedzały go grzeszne myśli, ale w aktualnej sytuacji pozwolił sobie żywić nadzieję, że uwagę łowców sensacji odwróci jakiś spektakularny wypadek samochodowy kilka przecznic stąd - z całą masą atrakcji, takich jak ogień i zgniecione maski, ale bez ofiar śmiertelnych, oczywiście.

Młody kaznodzieja opuścił cienką, białą zasłonę i załatwił potrzebę. Myjąc ręce szybkimi i sprawnymi ruchami, przyglądał się trupiemu odbiciu gapiącemu się nań z lustra nad zardzewiałym zlewem. Czy naprawdę był aż tak niezdrowy, czy może ta blada, żółtawa cera była efektem blasku dwóch nieosłoniętych żarówek umieszczonych nad lustrem? Młody kaznodzieja był blondynem, miał niebieskie oczy i niedawno ukończył trzydzieści pięć lat. W jego atrakcyjnej twarzy uwagę przyciągały wysoko osadzone kości policzkowe oraz kwadratowy podbródek z zaznaczonym dołeczkiem. W tej chwili miał na sobie tylko biały T-shirt,

jasnoniebieskie bokserki oraz skarpetki. Okropnie się pocił. Było naprawdę gorąco, a miał nadzieję, że wkrótce zrobi się jeszcze goręcej.

Mimo to wciąż czuł się nie na miejscu w małym, tanim pokoiku hotelowym, w towarzystwie kobiety będącej jedną z kluczowych członków jego nowej misji w Dżokerowie. Nie chodziło o brak doświadczenia. Robił to przedtem już wiele razy, z kobietami różnych rodzajów, w pokojach podobnych do tego. Kobiety przyciągała jego sława albo lubiły słuchać jego kazań, bądź też chciały się w ten sposób zbliżyć do Boga. Czasami, gdy sam miał trudności z tą bliskością, robiły to dla pieniędzy. Zapłatę przekazywał im któryś z członków jego wewnętrznego kręgu zaufanych. Niektóre z nich w swej głupocie wierzyły, że się w nim zakochały, ale na ogół nie miał większych kłopotów z rozwianiem tych złudzeń - gdy już zaspokoił ich cielesne pragnienia, rzecz jasna.

Nic, czego dotąd doświadczył, nie przygotowało go jednak na kobietę taką jak Belinda May, która najwyraźniej przyszła tu dla samej radości, która się z tym wiązała. Zastanawiał się, czy jej podejście jest typowe dla chrześcijańskich kobiet z wielkich miast. *W jakiej części świata pojawi się Jezus, gdy wreszcie nadejdzie pora jego powrotu?* Otworzył drzwi sypialni i nim zrobił krok, przeżył największy szok w życiu. Belinda May siedziała po turecku na łóżku, paląc papierosa, piękna, jak tylko można by tego zapragnąć, i naga jak Bóg ją stworzył. Rzecz jasna, spodziewał się, że zobaczy ją naga, ale nie natychmiast. Spodziewał się też, że schowa się dyskretnie pod pościelą.

- Najwyższy czas, żebyś się zjawił - skwitowała. Zgasiła papierosa i rzuciła się w jego ramiona, zanim zdążył zaczerpnąć tchu. Teraz już wiedział, jak czuje się patelnia stojąca na gorącym piecu. Belinda May wtuliła się w niego, jakby chciała wciągnąć się na jego ciało. Poczul się niewiarygodnie podniecony dotykiem jej piersi przyciskających się do jego klatki piersiowej oraz tym, jak dosiadła jego uda, ocierając się o nie, jakby było wierzchowcem. Jej język był jak węgorz wciskający się do jego ust. Jedną dłoń wsunęła pod jego koszulkę, a drugą do spodenek, by pieścić jego pośladki.

- Mmm, pysznie smakujesz - wyszeptała mu do ucha po chwili przypominającej wieczność spędzoną w miejscu będącym dziwnym połączeniem stratosfery nieba z głębokimi czeluściami piekła. Belinda May z pewnością była znacznie bardziej agresywna seksualnie niż kobiety, do jakich był przyzwyczajony.

- No już, chodźmy do łóżka - wyszeptała, ciągnąc go za sobą za rękę. Wdrapała się na łóżko, uklękła, wskazała mu, by stanął obok, i delikatnie wsunęła jego prawą rękę w swoją cipkę.

Choć młody kaznodzieja czuł głęboką i długotrwałą satysfakcję za każdym razem, gdy jego gra wstępna doprowadzała ją do orgazmu, cała scena wydawała mu się dziwnie odległa, jakby oglądał ją przez lustro weneckie w ścianie. Znowu zaczął z zażenowaniem zadawać sobie pytanie, co właściwie robi w tej norze z farbą złączającą ze źle otynkowanych ścian, niegustownymi lampami, łóżkiem o skrzypiących sprężynach i bezsensnym oknem telewizora, które nie przestawało gapić się na niego. Żałował, że ustąpił prośbom Belindy May i zgodził się wynająć pokój w tym miejscu, na Pograniczu. Niepokoiła go myśl, że jakąś częścią duszy bardzo przypominał ludzi, którzy regularnie przychodzili na Pogranicze w poszukiwaniu łatwych przygód. Pragnął wierzyć, że wszystkie liczące się puste miejsca w jego sercu wypełnił już Bóg.

Łatwo dostępna uroda Belindy May niepokoiła go jednak na poziomie głębszym niż wszelkie niepożądane wątpliwości. Popchnął ją delikatnie na łóżko z dziwnym dreszczykiem, przypominającym nieco ten, który poczuł w młodości, gdy po raz pierwszy klękł przed ołtarzem. Jej blond włosy rozpostarte na poduszce wyglądały jak skrzydła anioła. Wierciła się

kuszaco, gdy zaczął całować jej ucho, a potem przeszedł do szyi. Po chwili dotarł do piersi i znowu poczuł ciepło w owłosionej skórze głowy, gdy kobieta dała wyraz swej namietności, przeczesując palcami jego włosy i jęcząc cicho. Wkrótce potem dotarł do brzucha, przesuwając językiem po brzegach jej wypukłego pępka. Miał nadzieję, że jego dotyk był delikatny i mistrzowski. Ucieszył się ponad wszelkie zrozumienie, gdy wreszcie rozłożyła nogi. Niemal natychmiast skorzystał z zaproszenia, zatopił w niej twarz i zaczął ją lizać z pogańską gwałtownością. Nigdy nie był z kobietą, która smakowałaby tak dobrze. Nigdy nie pragnął tak gorąco służyć komuś, zamiast pozwalać, by to jemu usługiwano. Nigdy nie oddawał czci u ołtarza miłości z równą żarliwością i pokorą. Nigdy nie poniżał się z taką chęcią i bezwstydem...

- Leo? - odezwała się Belinda May, wspierając się na łokciach. - Czy coś się stało?

Młody kaznodzieja wsparł się na łokciach i spojrzał między swe nogi. Jego członek dyndał bezwładnie jak wisielec. *Panie, czemu mnie opuściłeś?* - pomyślał z rozpaczą, powściągając przyływ dziecinnej paniki. Uśmiechnął się z zażenowaniem, oderwał spojrzenie od ołtarza z jego wciąż rozwartymi bramami, od jej spoconego ciała i lśniących piersi, kierując je na rozciągniętą w słodkim uśmiechu twarz.

- Nie wiem. Chyba po prostu nie jestem dziś w formie.

Belinda May wyduła usta i przeciągnęła się tak niewinnie i naturalnie, jakby była sama.

- Szkoda. Czy mogę ci jakoś pomóc?

W ciągu kilku następnych sekund młody kaznodzieja rozważał różne czynniki. Większość z nich miała do czynienia z zachowaniem niezbędnej równowagi między szczerością a dyplomacją. W końcu doszedł do wniosku, że Belinda May dobrze zareagowałaby na szczerość, nie był jednak pewien, jak daleko może się w niej posunąć. Uśmiechnął się drapieżnie.

- Masz ochotę coś zjeść?

Całe jego dotychczasowe życie przesunęło mu się przed oczami, gdy Belinda May przełożyła nogi nad jego głową i zeszła z łóżka.

- Świetny pomysł! - zawołała. - Po drugiej stronie ulicy jest bar sushi! Możesz mi postawić kolację!

Jej pośladki kołysały się kusząco, gdy szła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi i odkręciła kran. Następnie, najwyraźniej zanim zabrała się do rzeczy, wystawiła jeszcze głowę na zewnątrz.

- Potem możemy spróbować jeszcze raz.

Młody kaznodzieja zaniemówił. Przetoczył się na plecy i wpatrzył w sufit. Pokrywająca go chaotyczna sieć przecinających się pęknięć była enigmatycznym symbolem całego jego życia w tym momencie. Westchnął ciężko. Przynajmniej perspektywa, że krążący na zewnątrz łowcy newsów dowiedzą się o jego schadzce, przestała być najgorszym, co mogło go spotkać.

Najgorsze by było, gdyby się dowiedzieli, że nie chciał mu stanąć.

Nie sposób było ocenić strat, jakie wyrządziłoby to jego politycznym ambicjom. Amerykanie byli gotowi wybaczyć kandydatowi na prezydenta wiele grzechów, ale z pewnością wymagali od swych grzeszników kompetencji.

- Masz naprawdę świetną parę rąk - zawołała z łazienki Belinda May. - Wiedziałeś o tym?

*Rewelacja* - pomyślał Leo Barnett, z coraz większym wysiłkiem trzymając się krawędzi nad przepaścią rozpacz. *Żegnaj, Biały Domu; witaj, niebo.*

Dzisiejszej nocy czuł w swym wnętrzu miasto i sam w nim przebywał. Czuł jego stal i zaprawę murarską, cegły i kamień, marmur i szkło, czuł, jak jego własne narządy dotykają różnych budynków i miejsc w Dżokerowie, jak składające się na nie atomy zmieniają fazę po drodze, przesuając się między różnymi płaszczyznami rzeczywistości. Niektóre z jego cząsteczek muskały chmury, zbliżające się do miasta niczym fala z czarnej bawełny, mieszały się z powietrzem ciężkim od wilgoci i zapowiedzi nadejścia wody w znacznie większych ilościach, drżały od wibracji odległych piorunów. Dzisiejszej nocy czuł niezniszczalną więź łączącą go z przeszłością i przyszłością Dżokerowa. Nadchodząca burza nie będzie się niczym różniła od poprzedniej, a następna również będzie identyczna. Tylko stal i zaprawa murarska były niezmiennie, tylko cegły i kamienie trwały wiecznie, tylko marmur i szkło były nieśmiertelne. Dopóki miasto będzie stało, on również zachowa istnienie, choćby nawet niepewne.

Zwał się Quasiczłowiekiem. Kiedyś nosił inne imię, ale z poprzedzającego zarażenie wirusem życia pamiętał tylko tyle, że był ekspertem od materiałów wybuchowych. Obecnie pracował jako dozorca w kościele Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej. Jak ciągle powtarzał Ojciec Kałamarnica: „Strata saperskiej branży stała się zyskiem branży Boga”.

Z reguły Quasiczłowiek pamiętał tylko takie nagie fakty, ponieważ atomy jego mózgu, podobnie jak te, które składały się na resztę jego ciała, nieustannie, losowo, zmieniały fazę, wznosząc się ku wielowymiarowym królestwom i opadając z nich z powrotem. Działo to dwójście, czyniąc go jednocześnie kimś więcej niż geniuszem i kimś mniej niż idiotą. W większość dni Quasiczłowiek uważał za sukces, jeśli zdołał zachować całość własnego ciała.

Dzisiaj jednak nawet ten skromny cel trudniej będzie osiągnąć niż zwykle. W powietrzu unosiły się krew i pioruny. Dzisiaj Quasiczłowiek wybierze się na Pogranicze.

Gdy dotarł do prowadzących na dach drzwi na szczycie schodów taniej kamienicy, w której mieszkał, fragmenty jego mózgu zajrzały w najbliższą przyszłość. Czuł już chłód w nocnym powietrzu, widział odległe błyskawice, czuł, jak pokrywający dach żwir chrzęści pod podeszwami jego tenisówek, i widział starą dżokerkę, bezdomną, śpiącą przy wylocie przewodu wentylacyjnego. Cały jej dobytek stał obok w wózku, który wciągnęła na górę po schodach przeciwpożarowych.

Skrzyżowanie przyszłości z teraźniejszością stało się silniejsze i bardziej wyraziste, gdy dotknął klamki, a kiedy ją nacisnął, nasiliło się jeszcze bardziej. Quasiczłowiek przyzwyczał się już do takich przejawów słabego jasnowidzenia. Różne poziomy czasu nieustannie zderzały się w jego umyśle z dźwiękiem fałszywie brzmących cymbałów. Już dawno zaakceptował jedyny wniosek możliwy dla kogoś, kogo umysł bytował w takim świecie - rzeczywistość była tylko fragmentami snu roztrząsanego przed świtem istnienia.

Gdy wyszedł na dach, przyszłość i teraźniejszość połączyły się w jednolitą całość. Odległe błyskawice, żwir pod jego stopami i śpiąca staruszka - wszystko to było na miejscu. Wiedział, że tak będzie. Nie przewidział jednak, że brzmący jak dźwięk przecinającej gwoździe piły zgrzyt zardzewiałych zawiasów z łatwością przebije się przez dobiegające z dołu odgłosy ruchu ulicznego i obudzi bezdomną z niespokojnego snu. Kobieta miała brązową, pokrytą łuskami skórę i twarz bezwłosego szczura. Rozciągnęła usta, odsłaniając ostre, białe kły.

- Kurwa, kim jesteś? - zapytała z fałszywą brawurą.

Garbaty mężczyzna ze sztywnym lewym biodrem zignorował ją i powlókł się ze swobodną gracją do krawędzi dachu niczym tancerz na stałe pochłonięty jakimś niezdrowym, drwiącym żartem.

Bez chwili wahania zeskoczył z dachu.

Staruszka, błędnie przekonana, że mężczyzna popełnia samobójstwo, krzyknęła, ale Quasiczłowiek nie zwrócił na to uwagi.

Był zbyt zajęty tym, co zawsze robił po zejściu z dachu - przenoszeniem się aktem woli w miejsce, do którego pragnął dotrzeć. Czas i przestrzeń zwinęły się wokół niego. W następnej chwili jego szybko zanikający intelekt ze wszystkich sił starał się trzymać własnego wyobrażenia o sobie. Przez ciągnącą się uporczywie nanosekundę był bliski rozpuszczenia się w płynnym kosmosie. Wytrzymał jednak, a gdy ten moment się skończył, znalazł się w zaułku na Pograniczu. Był teraz o sekundę bliżej piorunów, o krok bliżej krwi, o jedno wydarzenie bliżej zapadnięcia ostatecznego mroku.

### III

Dzisiejszej nocy Vito wreszcie osiągnie przełomowy sukces. Szef z pewnością nie zabrałyby go ze sobą na ten mały wypad na Pogranicze, gdyby nie zademonstrował mu już, że potrafi sobie poradzić. Oczywiście, oznaczało to również, że Vita w zasadzie można poświęcić, ale tak to już było. Mógł to zaakceptować. Jeśli ktoś chciał się wybić w Rodzinie Calvino, musiał podejmować ryzyko.

Ostatnio w hierarchii Rodziny pojawiło się sporo wolnych miejsc. Vito był ambitnym młodzieńcem i miał nadzieję pożyć wystarczająco długo, by awansować o kilka szczebli, wystarczająco wysoko, by mógł kazać komuś innemu podejmować ryzyko za niego.

Niestety, zanosilo się na coś w rodzaju rozejmu, jeśli można było wierzyć plotkom, które usłyszał od kilku chłopaków, gdy czekał na limuzynę Szefa. Najwyraźniej Szef planował załatwić jakiś ważny interes z dzokerskim ważniakiem, stojącym za zabójstwami, które ostatnio dziesiątkowały Pięć Rodzin.

*Z jakimś dzokerem o ksywce Żmij. Tak jest, tak właśnie się nazywał.* Vito kroczył nerwowo chodnikiem w samym środku Pogranicza, klucząc w tłumie złożonym z turystów i dzokerów, a być może nawet garstki asów. Wytężał uwagę, wypatrując ewentualnych zagrożeń. Nie na tym jednak polegało jego zadanie. Miał tylko wejść do holu taniego hotelu znajdującego się przed nimi i odebrać klucz do pokoju, w którym Szef miał się spotkać z dzokerem. Miał jednak nadzieję, że wypatrzy jakieś znaczące zagrożenie. Być może dzięki temu Szef i chłopaki nie będą już tak bardzo skłonni spisywać go na straty.

Niemniej po wejściu do holu Vito poczuł się nagle jak ślepy niedźwiedź, który wlaźł do obozowiska pełnego myśliwych. Starał się trzymać prosto i zaciskał mocno zęby - widział, jak chłopaki tak robili, mając do czynienia z frajerem, który się stawiał. Podszedł do recepcji i walnął otwartą dłońią o blat w - miał nadzieję - autorytatywnym geście.

- Reprezentuję jednego z waszych, hmm, najwa-żniejszych klientów - oznajmił. Niestety, głos załamał mu się w pewnej chwili.

Recepcjonista - stary, zaniedbany mężczyzna o białych włosach, noszący czarną przepaskę na oku, zapewne dzoker udający natola - ledwie oderwał wzrok od magazynu ze zdjęciami dziewczyn, który czytał. Na tylnej stronie reklamowano jakiś artykuł o dzokerskich fetyszach, a niewyraźne zdjęcie przedstawiało muskularnego faceta dosiadającego okrakiem stworzenia o pięknych, seksownych oczach, poza tym przypominającego wielką gałkę lodów waniliowych o chudych rękach i nogach oraz maleńkich dłoniach i stopkach. Recepcjonista przerzucił stronę od niechcienia.

Vito odchrząknął.

Staruszek odpowiedział tym samym. Po długiej przerwie uniósł wreszcie wzrok.

- Mamy mnóstwo ważnych klientów, młody człowieku. Którego z nich pan reprezentuje?

- Tego, któremu bardzo wiele zawdzięczacie.

Gdy tylko Vito wypowiedział te słowa, staruszek poderwał się nagle, zdjął klucz z haczyka i podbiegł do kontuaru, by wręczyć go Vitowi.

- O wszystko zadbaliśmy, proszę pana - zapewnił. - Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

- To nie moja opinia się liczy - odparł Vito, wrywając klucz z dłoni staruszka. - Niech pan uważa, żeby te strony się nie posklejały - dodał, zwracając się w stronę wyjścia.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien sprawdzić pokoju, ale wydane mu instrukcje były bardzo zwięzłe i jednoznaczne. „Idź do hotelu i przynieś klucz”. Vito widział już, jak kilku gości przekonało się na własnej skórze, że chłopaki raczej nie lubią wykazywania inicjatywy.

Dlatego wyszedł w wieczorny chłód i zwiesił nisko głowę, jakby szedł pod silny wiatr, choć w rzeczywistości wietrzyk był ledwie wyczuwalny, a w tej pozycji czarne, przetłuszczone włosy opadały mu na oczy. Pewność, że wszystko pójdzie dziś zgodnie z jego pragnieniami - oparta na tym, co wydarzyło się do tej pory - opuściła go nagle, gdy zobaczył, że ze wszystkich stron otaczają go mężczyźni, których znał. Stali na chodnikach po obu stronach ulicy, siedzieli za stolikami w tanich restauracjach albo w zaparkowanych samochodach. Z reguły członkowie Rodziny zjawiali się tak licznie tylko na pogrzebach. Teraz jednak nie mieli na sobie przyciągających uwagę żałobnych strojów, lecz starali się wtopić w otoczenie. Vito nie poznawał kilku gości towarzyszących chłopakom, lecz coś w ich spokojnej pewności siebie sugerowało ledwie powstrzymywane okrucieństwo. Nawet najtwardsi z chłopaków mieli przy nich niespokojne miny.

Umysł wypełniały mu setki pytań. Vito przyspieszył kroku, zmierzając w stronę rogu ulicy, na którym czekał na niego Ralphy. Był on jednym z najbardziej zaufanych pomocników Szefa. Krążyły pogłoski, że jest zabójcą tak zdolnym, że kiedyś zastrzelił kandydata na burmistrza z odległości dwustu metrów i zniknął w tłumie na oczach telewizyjnych kamer. Vito zatrzymał się z szacunkiem w odległości kilku metrów i spojrzał na naznaczone dziobami policzki tamtego oraz jego zimne, brązowe oczy. Wyczytał w nich, że Ralphy załatwiłby go z równą łatwością, jak rozdeptałby robala.

Wyciągnął klucz.

- Proszę! - zawołał, być może odrobinę za głośno.

- Dobrze - stwierdził Ralphy ochryplym głosem, ale nie wziął klucza. - Sprawdziłeś pokój?

- Nie. Nie kazano mi tego robić.

- Dobrze. Teraz go sprawdź.

- Co jest grane? - wyrwało się Vitowi. - Słyszałem, że to mają być pokojowe rozmowy.

- Nic nie słyszałeś. Po prostu podejmujemy środki ostrożności. Właśnie zgłosiłeś się na ochotnika.

- Czego mam szukać?

- Poznasz to, jeśli to znajdziesz. Ruszaj.

Vito ruszył. Nie był pewien, czy powinien się cieszyć, czy niepokoić, że zlecono mu wykonanie tej części operacji. Z zamyślenia wyrwała go nagła kolizja z garbatym dzokerem o sztywnym biodrze, który wylazł z zaułka.

- Hej, uważaj! - warknął i odepchnął dzokera na bok. Zaśliniony garbus pochylił się jeszcze bardziej i pokiwał

ze strachem głową. W jego pozbawionych wyrazu oczach coś rozbłysło, ale trwało to tylko sekundę. Jednocześnie zacisnął i rozluźnił pięść, prostując się wyraźnie. Vito odniósł wrażenie, że dzoker mógłby kruszyć granit w swym potężnym łapsku.

Potem jednak garbus oklapł. Z ust popłynął mu kolejny strumień śliny. Dzoker cofnął się tyłem do zaułka, uderzając plecami o pojemnik na śmieci. Następnie zaczął w nim grzebać, ignorując Vita. Znalazł wyschniętego, niedojedzonego kurczaka, odgryzł pokaźny kęs i zaczął przeżuwać go z pasją.

Zniesmaczony Vito odwrócił wzrok i ruszył pośpiesznie w stronę hotelu. Dopiero gdy minął obrotowe drzwi prowadzące do holu, uświadomił sobie, że ubranie dzokera - flanelowa koszula w kratę i niebieskie dżinsy - było bardzo czyste i zadbane. Nigdy dotąd nie widział, by bezdomny zmuszony do grzebania w śmietnikach w poszukiwaniu jedzenia miał świeżo naszyte łąty na kolanach dżinsów.

Wzruszył ramionami, przestając myśleć o dzokerze. Minął recepcjonistę, nadal pograżonego w lekturze magazynu, i przyszło mu do głowy, że mógłby zostać uwięziony w windzie z jakimś podejrzanym typem, co zredukowałoby do zera jego szanse przeżycia konferencji pokojowej. Dlatego wspiał się na trzecie piętro, idąc schodami. W korytarzu panowała przygnębiająca ciemność. Słabe jarzeniówki produkowały tyle samo poświaty, co prawdziwe światło ledwo docierające do brudnych, brązowych ścian, nadając im nieprzyjemny połysk.

Znalazł pokój. Rozejrzał się po korytarzu. Nikogo tu nie było. Usłyszał stłumione dźwięki kilku telewizorów, dobiegające zza drzwi, a także coś, co brzmiało jak odgłos spuszczonej wody w pokoju po drugiej stronie korytarza. Vito nie wątpił, że są to typowe przykłady hotelowej aktywności, lecz mimo to czuł się nieswojo i niepewnie, jak zawsze, gdy był przekonany, że ktoś obserwuje go z ukrycia. Włożył drżącymi palcami klucz do zamka, a potem otworzył drzwi.

I ujrzał przed sobą oblicze wyjątkowo brzydkiego skurwysyna. Facet właściwie w ogóle nie miał żuchwy, a nos zastępowały mu dwa głębokie otwory nozdrzy. Z ust co chwila wysuwał mu się rozwidlony język. Dzoker uśmiechnął się i skierował na młodzieńca spojrzenie żółtych, drapieżnych oczu. Wyglądało to naprawdę złowieszczo. Vito był przyzwyczajony do bardziej banalnej, biznesowej postaci zła. Dzoker wyraźnie radował się świadomością, że udało mu się wystraszyć przybysza aż do szpiku kości.

- Widzę, że Rodzina Calvino przysyła teraz dzieci na spotkania - zadrwił. - Powiedz swojemu szefowi, że może przyjść. Jestem tu sam.

#### IV

- Może następnym razem powinieneś zdjąć skarpetki - zasugerowała psotnie Belinda May, gdy młody kaznodzieja zamknął za sobą drzwi. Skrzywił się, usłyszawszy jej żartobliwy ton, i sprawdził klamkę, by się upewnić, czy rzeczywiście są zamknięte. Kobieta zachichotała i objęła go ramieniem. - Rozluźnij się, wielebny. Traktujesz siebie zbyt poważnie. - Ucisnęła go i serce zabiło mu szybciej. Spróbował się uśmiechnąć.

- Pamiętaj, co powiedział Norman Mailer - wyszeptala mu uwodzicielsko do ucha. - Czasami pożądanie po prostu nie wystarcza. To nie znaczy, że nagle przestałeś być mężczyzną.

- Nie czytam Mailera - odpowiedział, gdy szli do windy.

- Uważasz, że jego książki są zbyt nieprzyzwoite?

- Tak słyzałem.

- On po prostu pisze o życiu. Życie jest tym, co nas teraz spotyka.
- Biblia mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć o życiu.
- Nie pierdziel.

Wstrząśnięty jej rzuconym od niechcienia wulgaryzmem, otworzył usta, by zaprotestować, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Już trochę za późno, by udawać niewiniątko.

Młody kaznodzieja stłumił gniew. Na ogół okazywał gniew tylko wtedy, gdy przemawiał do swej kongregacji, i nie był przyzwyczajony, by mu odszczekiwno. Nie przywykł też do towarzystwa kobiet, które sugerowały, że jego interpretacja moralnych dylematów miłości, życia i pogoni za szczęściem również może podlegać krytyce. Co więcej, w tym przypadku musiał przyznać - choć nie na głos w rozmowie z Belindą May - że nie miał racji. Czytał książki Normana Mailera, zwłaszcza *Pieśń kata* - dogłębne studium przypadku młodego, udręczonego asa, którego stracono za to, że zamienił dziewięć niewinnych osób w słupy soli. Młody kaznodzieja nadal miał egzemplarz wydania w miękkiej okładce, ukryty w szufladzie szafki w domu w południowo-zachodniej Wirginii. Było mało prawdopodobne, by ktokolwiek poza nim miał go tam zobaczyć. W tej samej szufladzie trzymał też wiele innych wątpliwych moralnie książek. Schował je tam przed oczami swych najbliższych współpracowników, podobnie jak inni ewangelikalni kaznodzieje mogli ukrywać zawartość swoich barków.

Cóż więcej mu pozostało, poza pozwoleniem, by Belinda May postawiła na swoim? Odegra się za to później na jej ciele, lej umysł i tak nie interesował go zbyt.

Gdy czekali na windę, uścisnęła go raz jeszcze. Dreszczyk, który poczuł, był dwa razy silniejszy niż poprzednio, ponieważ zacisnęła dłoń na jego pośladku.

- Masz naprawdę świetny tyłek, jak na kandydata na prezydenta - poinformowała go. - Większość tegorocznych kandydatów wygląda przy tobie jak wyleniałe kundle.

Rozejrzał się wokół podejrzliwie.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go. - Nikogo tu nie ma.

Drzwi windy się otworzyły i ujrzeli przed sobą czterech mężczyzn o pozbawionych wyrazu twarzach i twardych jak stal oczach. Młody kaznodzieja poczuł, że kolana mu drżą. Tym razem uścisk Belindy May wyrażał strach i prośbę o opiekę - pierwotny i bezpośredni przekaz.

Uwagę młodego kaznodziei przyciągnęli dwaj mężczyźni stojący pośrodku. Pierwszy był niski i korpulentny, miał rumianą twarz i mięsiste wargi. Na czubek głowy zaczesał sobie długi kosmyk białych włosów w daremnej próbie ukrycia lśniacej w blasku jarzeniówek łysiny. Jego wielkie oczy sprawiały wrażenie, że mogłyby wyskoczyć z oczodołów, gdyby ktoś za mocno uderzył go w twarz. Palce miał grube i pulchne. Mimo że miał na sobie uszyty na miarę czarny garnitur z czerwonym goździkiem w klapie, szarą kamizelkę oraz dobrze uprasowaną białą koszulę, jego gust trzeba było uznać za w najlepszym razie wątpliwy, z uwagi na czerwony krawat, o barwie wyglądającej niemal na odblaskową. Mężczyzna ze spokojem zaciągnął się wielkim hawańskim cygarem. Tytoń na samym końcu pociemniał od jego śliny, nadając cygaru wygląd wyschniętego łajna.

Mężczyzna wydmuchnął tytoniowy dym prosto w twarz młodego kaznodziei. To był celowo nieuprzejmy akt i kaznodzieja mógłby zareagować, gdyby nie zimny wyraz ciemnych oczu wysokiego mężczyzny o pokrytej dziobami twarzy, który stał obok grubasa. Miał wąskie, blade usta, przypominające niemal bliznę, a brązowe włosy zaczesane tak blisko czaszki, że kaznodzieja pomyślał, iż z pewnością sypia w pończosze na głowie. W prawej kieszeni beżowego płaszcza rysowała się wyraźna wypukłość. Po bokach stało dwóch muskularnych



drabów. Obaj opuścili runda kapeluszy, kryjąc w ich cieniu większą część swych twarzy. Jeden z nich skrzyżował ręce na piersi, a drugi - co z opóźnieniem zauważył młody kaznodzieja - skinął na parę, nakazując im zejść z drogi.

Posłuchali go. Czterej mężczyźni opuścili windę i ruszyli naprzód, nie oglądając się za siebie. Młody kaznodzieja nie potrafił się powstrzymać przed gapieniem się na nich, choć Belinda May wpadła już do windy.

- Chodź, Leo! - wyszeptała, blokując ciałem zamykające się drzwi.

Wszedł szybko do środka.

- Co to za ludzie?

- Nie teraz. - Dopiero gdy winda ruszyła w dół, Belinda May dodała: - To był przywódca Rodziny Calvino. Widziałam go kiedyś w wiadomościach!

- Co to jest Rodzina Calvino?

- Mafia.

- Ach, rozumiem. Tam, skąd pochodzę, nie ma mafii.

- Mafia jest tam, gdzie chce być. W mieście jest pięć wielkich Rodzin, ale w tej chwili mają tylko trójkę przywódców. A może dwójkę. Ostatnio wojny gangów zdarzają się bardzo często.

- Jeśli to taki ważniak, to co właściwie tu robi?

- Idę o zakład, że przyszedł tu w interesach. *Numero uno* Rodziny Calvino zapewne każe spalić swoje półbuty, gdy tylko opuści to miejsce.

Drzwi windy otworzyły się i ujrzeli przed sobą hol. Kompletnie nie zważając na fakt, że przed wejściem stoi kilka osób, w tym muskularny dzoker z gębą nosorożca, Belinda May ujęła młodego kaznodzieję za łokieć i zapytała:

- Pamiętałeś przynieść środki zapobiegawcze?

Poczuł, że twarz zaczerwieniła mu się gwałtownie. Jeśli jednak któryś z tych ludzi go rozpoznał, niczym tego po sobie nie okazał. Nie usłyszał terkotu kamery ani nikt nie wypowiedział jego nazwiska. Gdy przechodzili przez obrotowe drzwi, uświadomił sobie, że ulga, którą poczuł na myśl, że uniknął rozpoznania, może być iluzoryczna. Jeśli śledzi go łowca skandali, młody kaznodzieja nigdy się o tym nie dowie, dopóki nie zobaczy dowodów w wieczornych wiadomościach albo nie przeczyta o sobie na pierwszych stronach jakiegoś supermarketowego szmatławca.

- Belindo, dlaczego zapytałaś o...

- Słucham? Chodzi ci o te środki zapobiegawcze? - zapytała niewinnie, wyjmując z małej torebki papierosa i zapalniczkę. - Wydaje mi się, że to rozsądne pytanie. To bardzo ważne, by ludzie, którzy prowadzą aktywne życie seksualne, dobrze się zabezpieczali, nie sądzisz?

- Tak, ale dlaczego przy tych wszystkich ludziach?

Zatrzymała się na skraju chodnika, odwróciła plecami do towarzyszącego jej mężczyzny, osłoniła dłonią trzymanego w ustach papierosa i zapaliła go. Następnie znowu zwróciła się w stronę młodego kaznodziei, wypuszczając dym z ust.

- A czemu miałyby to ich obchodzić? Poza tym - dodała z figlarnym uśmiechem - powinieneś docenić mój wrodzony optymizm.

Młody kaznodzieja zasłonił twarz, zaciskając drugą dłoń w pięść. Miał wrażenie, że wszyscy na ulicy kierują na niego spojrzenia, choć pobieżna ocena sytuacji wskazywała, że po prostu ulega paranoi.

- Dokąd chcesz iść na kolację? - zapytał.

Belinda May wymierzyła mu żartobliwego kuksańca w zębra.

- Weź się w garść, wielebny! To był żart. Za bardzo się przejmujesz. Jeśli nie przestaniesz się martwić, będziemy siedzieli w tym pokoju całymi tygodniami, a nie jestem pewna, czy moja karta kredytowa to wytrzyma.

- O to się nie martw. Dopilnuję, żeby nasz Kościół zwrócił ci wydatki pod jakimś pretekstem. To jak z tą kolacją?

- To miejsce wygląda nieźle - odparła, wskazując na drugą stronę ulicy. - Koszerne Sushi Rudyego.

- Umowa stoi. - Ujął ją pod rękę i zaprowadził na róg ulicy. Kiedy światło zmieniło się na zielone, spojrzął w obie strony ulicy, nie tylko po to, by się upewnić, że samochody się zatrzymają - czego żaden mieszkaniec wielkiego miasta nigdy nie uważał za oczywiste - lecz również po to, by sprawdzić, czy nie ma tu nikogo, kogo obecność mogłaby być niepokojąca. Ludzie z telewizji rozmawiali z jakąś młodą kobietą na końcu następnego kwartału, ale poza tym nie zauważył nikogo podejrzanego. Był przekonany, że gdy reporterzy wrócą, oboje będą już siedzieli bezpiecznie w restauracji.

Nim jednak zeszli z chodnika, jakiś przechodzień wpadł na niego niespodziewanie. W normalnej sytuacji młody kaznodzieja nadstawiłby drugi policzek, ale w normalnej sytuacji nie czuł się tak sfrustrowany.

- Hej! Patrz, gdzie idziesz! - zawołał i z nagłym przerażeniem uświadomił sobie, że jego ostre słowa zostały skierowane pod adresem dzokera.

Wyglądał na niedorozwiniętego, był garbaty, miał mętne spojrzenie i rude, kędzierzawe włosy. Był ubrany w świeżo wyprasowaną flanelową koszulę w kratę oraz drelichowe dżinsy.

- Przepraszam - powiedział dzoker. Następnie wsadził sobie palec do nosa, a potem, jakby zastanowił się co robi, zadowolony się wytarciem go nadgarstkiem. Młody kaznodzieja podejrzewał, że to miał być uprzejmy gest. Stał się tego pewien, gdy dzoker uklonił się sztywno i dodał: - Chyba po prostu zagubiłem się we własnym świecie. Wybacz mi pan, prawda?

Dzoker zszedł z chodnika, jakby nagle postanowił się udać w zupełnie innym kierunku, niż planował poprzednio. Po chwili po podbródku spłynęła mu strużka śliny.

Młody kaznodzieja otworzył szeroko oczy z dezorientacji i postąpił kilka kroków za dzokerem, nim Belinda May go zatrzymała.

- Dokąd idziesz, Leo? - zapytała.

- Hmm, za nim, oczywiście.

- A po co?

Młody kaznodzieja zastanawiał się nad tym pytaniem przez wyjątkowo krępującą chwilę.

- Pomyślałem sobie, że mógłbym mu opowiedzieć o naszej misji. Zapytać, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy. Wygląda na to, że potrzebuje.

- To miłe, ale wiesz, że nie możesz tego zrobić. Jesteś tu incognito, pamiętasz?

- Tak. Masz rację.

Zresztą i tak już nie widział garbusa. Nieszczęsne stworzenie zniknęło w tłumie.

- Chodź, zapchajmy sobie czymś usta - zaproponowała, ponownie biorąc go pod ramię. Ruszyli naprzód, klucząc między samochodami stojącymi w korku na skrzyżowaniu.

Młody kaznodzieja nadal oglądał się za siebie, wypatrując garbusa, gdy oboje zatrzymali się nagle. Odwrócił się i zobaczył podetknięty mu pod twarz mikrofon. Drogę zablokowała im telewizyjna ekipa.

- Wielebny Leo Barnett - odezwał się reporter, schludny mężczyzna o czarnych, kędzierzawych włosach, noszący okulary oraz trzyczęściowy, granatowy garnitur. - Co pan właściwie robi na

Pograniczu, biorąc pod uwagę pana powszechnie znaną opinię na temat praw dzokerów?

Młody kaznodzieja zobaczył, że całe jego życie przesuwa mu się przed oczami. Zdołał uśmiechnąć się blade.

- Ach, po prostu ja i moja towarzyszka chcieliśmy coś zjeść.

- Ma pan jakieś informacje dla naszej kroniki towarzyskiej? - zapytał reporter z chytrym uśmiechem.

Kąciki ust młodego kaznodziei nagle się uniosły.

- Z zasady nigdy nie odpowiadam na pytania natury osobistej. Umówiliśmy się na wspólny wieczór z tą młodą damą pracującą w misji utworzonej przez mój Kościół w Dżokerowie, a ona zasugerowała, byśmy spróbowali znakomitej kuchni, jaką można znaleźć na Pograniczu.

- Niektórym komentatorom wydaje się dziwne, wręcz osobliwe, że człowiek, który z taką pasją sprzeciwiał się prawom dzokerów, zaczął się nagle interesować ich codziennymi kłopotami. W jakim właściwie celu otworzył pan tę misję?

Młody kaznodzieja doszedł do wniosku, że nie podoba mu się zachowanie reportera.

- Musiałem dotrzymać złożonej obietnicy - odparł krótko, jakby próbował zasugerować, że to koniec wywiadu. Było to jednak dokładne przeciwieństwo jego prawdziwej intencji.

- A co to za obietnica? Komu pan ją złożył? Swojej kongregacji?

Reporter połknął przynętę. Młody kaznodzieja musiał tylko zachować odpowiednią intonację. Do tej pory nikomu nie zdradzał tych informacji, a instynkt podpowiadał mu, że to właśnie jest odpowiednia chwila.

- No cóż, skoro pan nalega.

- Na ten temat krąży bardzo wiele spekulacji. Uważam, że ludzie mają prawo poznać prawdę.

- No cóż, spotkałem kiedyś młodego człowieka, który zaraził się wirusem dzikiej karty i wpadł z tego powodu w bardzo poważne kłopoty. Prosił, bym go odwiedził, i zrobiłem to. Modliliśmy się razem i powiedział, że wie, że nie mogę nic dla niego zrobić, ale chce, bym obiecał, że pomogę tylu dzokerom, ilu tylko będę mógł, by nie wpadli w takie kłopoty, jak on. Byłem bardzo wzruszony i złożyłem mu tę obietnicę. Po kilku godzinach stracono go na krześle elektrycznym. Widziałem, jak dwadzieścia tysięcy wolt uderzyło go gwałtownym impulsem i usmażyło niczym kawałek boczku. Zrozumiałem, że muszę dotrzymać tej obietnicy, bez względu na to, co pomyślą sobie ludzie.

- Stracono go? - zapytał głupio reporter.

- Tak, za morderstwo z premedytacją. Zamienił kilka osób w słupy soli.

- Złożył pan tę obietnicę Gary emu Gilmoreowi? - zapytał z niedowierzaniem reporter. Jego twarz przybrała popielaty kolor.

- Jak najbardziej. Być może nie był dzokerem, lecz tym co niektórzy ludzie nazywają asem, a przynajmniej człowiekiem obdarzonym mocami, których oczekuje się od asa. Nie wiem tego. Dopiero zaczynam się zaznajamiać z tą problematyką.

- Rozumiem. A czy fakt otwarcia przez pana misji w Dżokerowie wpłynął w jakiś sposób na pańską opinię w kwestii praw dzokerów?

- Bynajmniej. Zwyczajnym ludziom należy się ochrona. Zawsze jednak podkreślałem, że musimy okazać współczucie ofiarom wirusa.

- Rozumiem.

Twarc reportera nadal miała popielaty kolor. Dźwiękowiec i kamerzysta uśmiechali się z wyraźnym zadowoleniem. Najwyraźniej, podobnie jak młody kaznodzieja, zdawali sobie sprawę, że reporter jest za mało bystry, by zadać narzucające się pytanie.

Ponieważ jednak młody kaznodzieja był w wyrozumiałym nastroju, gdy już się upewnił, że zdobył swoje sześćdziesiąt sekund w wiadomościach, nie miał nic przeciwko temu, by dać reporterowi jeszcze jedną szansę.

Ale tylko jedną.

- Ja i moja towarzyszka chcemy coś zjeść, ale myślę, że znajdę czas na jeszcze jedno pytanie.

- Tak, jest coś jeszcze, czego nasi widzowie z pewnością chcieliby się dowiedzieć. Nie kryje pan swych prezydenckich ambicji.

- To prawda, ale w tej chwili naprawdę nie mam nic do dodania na ten temat.

- Niech pan jednak powie mi jedno. Niedawno skończył pan trzydzieści pięć lat, minimalny wiek potrzebny, by kandydować, ale niektórzy pańscy przeciwnicy utrzymują, że trzydziestopięcioletni mężczyzna nie może mieć doświadczenia życiowego potrzebnego do sprawowania tej funkcji. Jak pan by to skomentował?

- Jezus miał tylko trzydzieści trzy lata, gdy nieodwołalnie zmienił świat. Z pewnością człowiek, który osiągnął czcigodny wiek trzydziestu pięciu lat również może wywrzeć pewien pozytywny wpływ. A teraz, proszę mi wybaczyć...

Ujął Belindę May pod rękę, odepchnął na bok reportera i jego ekipę, a następnie wszedł do restauracji.

- Przepraszam, Leo, nie wiedziałam...

- Nie ma sprawy. Myślę, że dobrze sobie z nim poradziłem, a poza tym już od dłuższego czasu zamierzałem o tym opowiedzieć.

- Naprawdę spotkałeś Garyego Gilmorea?

- Tak. Tej tajemnicy strzeżono dość pilnie. Do tej pory nie było właściwie potrzeby jej ujawniać, choć mogłoby to nieco pomóc misji, gdy chodzi o public relations.

- A może Mailera też spotkałeś? Mówił, że nie był w stanie potwierdzić tożsamości wszystkich ludzi, którzy widzieli się z Gilmoreem, nim nastął koniec.

- Proszę, musimy zachować przed sobą choć kilka tajemnic. W przeciwnym razie, cóż pozostałoby nam do odkrycia jutro?

- Życzycie sobie państwo stolik dla dwojga? - zapytał szef sali, odziany w smoking mężczyzna o twarzy ryby, noszący wypełniony wodą hełm umożliwiający mu oddychanie. Słowa dobiegające z głośnika hełmu miały niesamowicie bulgoczące brzmienie.

- Tak, gdzieś z tyłu, jeśli można - odparł młody kaznodzieja. Gdy już zostali sami, Belinda May zapaliła papierosa.

- Jeśli inni reporterzy się o nas dowiedzą, to czy to w czymś pomoże, jeśli ich zapewnimy, że robimy to tylko w pozycji misjonarskiej? - zapytała.

## V

Quasiczłowiek nie bał się śmierci, a śmierć z całą pewnością nie bała się jego. Zawsze nosił w swej duszy kawałek śmierci, odprysk przerażenia i piękna, krwi i piorunów. Fragmenty jego przyszedłego zgonu nieustannie zderzały się w jego mózgu z urywkami przedwirusowej przeszłości.

Jak odległe były te fragmenty? Odnosił nieodparte wrażenie, że ta przyszłość może być bliższa, niżby tego pragnął.

Dowlókł się do kiosku i stanął przed wystawą pełną czasopism ze zdjęciami dziewczyn. W

twarży człowieka, na którego wpadł, było coś niepokojąco znajomego, coś, co wymykało się mu, gdy części jego mózgu sięgały do innych wymiarów. Porzuciłby wszystkie czynności i zacząłby, aż mózg scali mu się w stopniu wystarczającym, by mógł to sobie przypomnieć, ale w tej chwili uważał, że ważniejsze jest pytanie, po co właściwie przybył dziś wieczorem na Pogranicze.

Nagle jego dłoń zrobiła się bardzo zimna. Przyjrzał się jej. Odeszła w jakieś inne miejsce. Jego nadgarstek kończył się kikutem, jakby dłoń w pewnej chwili stała się przezroczysta. Wiedział, że nadal jest połączona z ciałem, ponieważ w przeciwnym razie czułby dojmujący ból, jak wtedy, gdy stworzenie z innego wymiaru pożarło jego zbłąkany palec u nogi. Cała kończyna aż po bark zdrętwiała mu z zimna, ale nie mógł nic na to poradzić. Musiał cierpieć, dopóki dłoń nie wróci, co nastąpi wkrótce. Zapewne.

Nie mógł jednak powstrzymać myśli o tym, jak Jezus odwiedził synagogę i uzdrowił człowieka z uschlą ręką.

Coś w jego sercu, co przypominało wiarę, powiedziało mu, że Ojciec Kałamarnica wysłał go tu dziś z jakąś misją. Pytanie, czy pomysł tej misji zrodził się w rozgorączkowanym umyśle duchownego, nie miało znaczenia. Wielu ludzi wędrujących przez życie najrozmaitszymi ścieżkami zgłaszało się z prośbą o pomoc do Kościoła Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej i Ojciec Kałamarnica z radością im jej udzielał, jeśli tylko był przekonany, że wyniknie z tego jedynie dobro.

Quasiczłowiek włóczył się w tę i we w tę po ulicy, obserwując otoczenie. Jego podejrzenia wzbudzili niektórzy z mężczyzn siedzących za ustawionymi na chodniku stolikami. Jeśli już o tym mowa, zmięte ubranie człowieka, którego widział przy kiosku, raczej nie sugerowało, by poświęcał zbyt wiele czasu na czytanie czasopism dla biznesmenów. Na koniec, w samochodach również siedziało wyjątkowo wielu facetów o groźnych twarzach, którzy czujnie obserwowali wydarzenia. Wyraźnie na coś czekali. W mózgu Quasiczłowieka objawiły się małe kawałki śmierci. Na szczęście wszystkie wskazywały na owych mężczyzn o złowrogich obliczach.

Przez krótką chwilę Quasiczłowiek odnosił wrażenie, że ulice spływają krwią. Na szczęście, gdy przyjrzał się dokładniej, okazało się, że to tylko złudzenie optyczne, spowodowane przez czerwony blask neonów, odbijający się w wodzie zbierającej się w kilku wielkich, choć płytkich, dziurach w nawierzchni.

To jednak nie wyjaśniało, skąd wziął się fetor krwi i strachu, unoszący się w powietrzu niczym wspomnienie czegoś, co się jeszcze nie wydarzyło.

Wtem ważna grupa mięśni w jego prawym udzie przeszła na inną płaszczyznę bytu, gdzie powietrze miało nieco bardziej kwasowy charakter. Quasiczłowiek powłókł się na róg ulicy.

Tam, udając żebraka, będzie czekał, aż krew i strach staną się realne. W jego uszach niosło się echem wspomnienie gromu.

## VI

- Wojna szkodzi interesom - oznajmił filozoficznie SzeF. Siedział na krześle w kącie pokoju, krzyżując nogi w kostkach. Przed sobą miał stół i drugie krzesło.

- Zwłaszcza jeśli się przegrywa - zauważył z uśmiechem siedzący na drugim krześle Żmij.

Vito stał przy drzwiach z rękami założonymi na piersi. Czuł, że coś w jego wnętrzu zamienia się w lód. Zakładał - zapewne podobnie jak SzeF i chłopaki - że dzoker okaże się po prostu

kolejnym biznesmenem, którego interesy leżą poza granicą prawa, podobnie jak ich interesy. Vito nie mógł jednak uwolnić się od wrażenia, że Żmij ma jakieś ukryte plany.

Jeśli nawet przywódca klanu Calvino czuł się równie zaniepokojony jak Vito, nie okazał tego po sobie. Trzymał się mocno, bezpieczny w swej pozycji człowieka pociągającego za sznurki czterech pozostałych mężczyzn przebywających w pokoju. Mike i Frank byli zwykłymi mięśniakami. Vito nie bał się ich szczególnie, ale też nie chciałby im podpaść. Natomiast zawsze było rozsądnie choć trochę bać się Ralphyego, nawet jeśli był w dobrym nastroju.

Mimo to Vito nie mógł nie zauważyć, że SzeF celowo okazuje szacunek dzokerowi, który nie potrafił utrzymać w ustach rozwidlonego języka. Do tej pory, gdy tylko Żmij podnosił głos, SzeF próbował go uspokoić. Gdy Żmij stawiał żądania, SzeF odpowiadał, że zobaczy, co on i chłopaki będą mogli zrobić, by przywrócić równowagę. A kiedy Żmij próbował sprowokować SzeFa do przekroczenia jakiejś granicy, SzeF uprzejmie odmawiał. Vito musiał przyznać, że niepokoi się o przyszłość Pięciu Rodzin, jeśli musiały bić pokłony dzokerom, żeby przetrwać.

- Tak sssię ssskłada, że wszyssscy codziennie po trochu umieramy - oznajmił Żmij z enigmatycznym uśmiechem.

- Czy to ma znaczenie, jeśśli ktośś umrze w jednej chwili?

SzeF ryknął śmiechem, a potem uśmiechnął się protekcyjnie. Jeśli Żmij zauważył niewypowiedzianą obelgę, nie okazał tego w żaden sposób.

- Kiedyś też tak myślałem - zaczął SzeF. - Cieszyłem się, gdy nadchodziły kłopoty, radowałem się z upadku wrogów, ale potem się ożeniłem, założyłem rodzinę i zacząłem tęsknić za bardziej uporządkowanymi sposobami rozwiązywania konfliktów. Dlatego spotkaliśmy się tu teraz, by porozmawiać jak przystało ludziom cywilizowanym.

- Ja raczej nie jessstem człowiekiem.

SzeF skinął głową. Twarz mu poczerwieniała.

- Przepraszam. Nie chciałem pana obrazić.

Vito zerknął na Ralphyego, który stał obok biurka, oparty o ścianę. Jego policzkiem targał tik, świadczący o rodzących się podejrzeniach. Palce jego prawej dłoni również drżały. Ralphy i SzeF wymienili spojrzenia, a gdy SzeF ponownie zwrócił się w stronę dzokera, Ralphy popatrzył znacząco na Mikea i Franka, którzy siedzieli na łóżku, z uwagą obserwując wydarzenia. Obaj skinęli głowami.

Vito nie był pewien, co znaczą te sygnały, ale z pewnością nie zamierzał o to pytać.

- Doszło do wielu zabójstw, przelano mnóstwo krwi - ciągnął SzeF. - Iw imię czego? Nie potrafię tego zrozumieć. To wielkie miasto. Brama do całego kraju. Zysków wystarczy dla wszystkich.

Żmij wzruszył ramionami.

- Rzeczywiśście pan nie rozumie. Moim wssspół-pracownikom chodzi o cośś więcej niż wypchanie kieszeni.

- Nie to miałem na myśli - odparł SzeF. - Niech pan nie zrozumie mnie błędnie. Chciwość to wielka i wspaniała rzecz. To ona wprawia świat w ruch. Dzięki niej na giełdzie nadchodzi czas byka.

Żmij ponownie wzruszył ramionami.

- Byk czy niedźwiedź to wszysstko jedno dla tego, kto ma giełdę na włassnośść. Moi wssspółpracownicy domagają sssię należnego udziału we wszysstkich operacjach prowadzonych na tym rynku. To, co zossstanie dla wasss, to wasza sssprawa, ale najpierw mussście dogadać sssię z nami.

Ralphy wyprostował się gwałtownie. Mike i Frank sięgnęli po broń, którą mieli schowaną w kaburach pod marynarkami, ale SzeF powstrzymał ich, unosząc palec wskazujący. Cisza wypełniła pokój niczym woń pizzy piekącej się w mikrofalach. Żmij przesunął po twarzy rozwidlonym językiem, jakby nie mógł się doczekać nadchodzących smakołyków.

Vito zastanawiał się, w którą stronę paść na podłogę.

SzeF wpatrywał się w dzokera przez kilka chwil. Potarł z namysłem podwójny podbródek. Włożył do ust cygaro, wyjął z kieszeni zapalniczkę i po kilku sekundach pokój wypełniła ostra woń palonego kubańskiego tytoniu.

- Vito, zgłodniałem. - SzeF sięgnął po portfel. Ralphy wziął go od niego i przekazał młodzieńcowi. - Weź moje karty kredytowe, idź do tego baru sushi po drugiej stronie ulicy i kup pełen zestaw. Dla sześciu osób! Kto wie? Kiedy wrócisz, może negocjacje już się skończą i wszyscy razem będziemy oglądali mecz hokejowy. Mam rację, panie Żmiju?

Dzoker syknął na znak zgody.

- To zdumiewające, że gra z każdym rokiem staje się coraz bardziej ekscytująca - ciągnął SzeF, rozpięając się wygodnie na krześle. - Dzisiaj Rangersi powinni dobrze wypaść. Nieprawdaż, panie Żmiju?

Tym razem dzoker skinął tylko głową.

Pędząc korytarzem w stronę windy, Vito uświadomił sobie, jak wielką ulgę poczuł, gdy wreszcie opuścił towarzystwo Żmija. Przypuszczał, że SzeF czuł się podobnie i podziwiał go za to, jak sprawnie ukrywał swe uczucia. Żmij najwyraźniej niczego nie zauważył.

Oczywiście, nigdy nie wiadomo, czego dzoker nie zauważył, a co po prostu postanowił zignorować.

## VII

- Czego właściwie chcecie? - zapytał gniewnie SzeF, gdy Vito już sobie poszedł. - Obaj jesteśmy biznesmenami. Czy nie możemy rozsądnie żyć obok siebie?

- Tak, oto jest pytanie - wysyczał Żmij. - Organizacja, którą reprezentuję, jest bardzo duża, podobnie jak ta, której pan jest przedstawicielem. Ma już spore wpływy. I oczywiście pragnie je poszerzyć.

SzeF zaciągnął się cygarem.

- Wasze ambicje nie umknęły mojej uwadze - przyznał sarkastycznym tonem.

- Tak też sądziłem - odparł z uśmiechem Żmij. - Chciałem po prostu podkreślić, że podobnie jak pan nie mogę przemawiać w imieniu pozostałych.

- Och, ja mogę - odparł SzeF, subtelnym gestem powstrzymując Ralphyego przed wysłaniem sygnału Mikeowi i Frankowi. - Zakładam, że pan również może, bo w przeciwnym razie nie zadawałby pan sobie trudu, by przychodzić w pojedynkę na to spotkanie. Z pewnością musi pan posiadać jakieś atuty, bo w przeciwnym razie nie zjawiłby się pan tu zupełnie sam.

- Bo jest pan sam, prawda? - odezwał się nagle Ralphy, całkowicie ignorując pełne złości spojrzenie Szefa. Następnie okrążył Żmija i podszedł do okna, by wyrzucić na ulicę.

- Oczywiście - zapewnił dzoker.

Nagle z korytarza dobiegły głosy dwóch kłócących się mężczyzn. Ich ton szybko stał się gwałtowny. Usłyszeli dźwięk pięści uderzającej w szcękę. Ktoś chrząknął i walnął z łoskotem o ścianę tak mocno, że aż podłoga się zatrzęsała. Jeden z mężczyzn zaklął, po czym grzmotnął o

drugą ścianę ze stukiem dwa razy głośniejszym niż poprzednio.

Ralphy odwrócił się od okna.

- Sprawdźcie to - rozkazał Mikeowi i Frankowi.

Odgłosy bójki nadal nie milkły.

Mike i Frank wyszli z pokoju. Ralphy podszedł do drzwi i upewnił się, czy są zamknięte. Usłyszeli, że Mike coś powiedział. Potem w korytarzu zapadła cisza.

- Nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie - podjął Szef.

- A co to za pytanie? - zainteresował się Żmij, zerkając na Ralphyego, który ponownie zajął pozycję przy oknie.

- Co możemy zrobić, by móc żyć razem?

- Och, myśślę, że mogę udzielić panu rozsądnej odpowiedzi.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Co jest? - zawołał Ralphy.

- Lepiej tu przyjdź - zabrzmiał głos Franka.

- To dobrze - stwierdził Szef, odpowiadając na słowa Żmija. - Rodzina Calvino pragnie rozsądnego rozwiązania.

Żmij zasyczał, ponownie wysuwając język.

Ralphy otworzył drzwi.

- Co tu się dzieje, do licha? - warknął.

Odpowiedział mu strzał. Wychodząca z ciała kula zrobiła w jego plecach dziurę wielkości srebrnej dolarówki. Ralphy nie żył już, gdy padł na podłogę. Jego ciało szarpnęło się jeszcze, gdy martwe oczy wpatrywały się w sufit.

W drzwiach stanęło dwóch zbirów w płaszczach przeciwdeszczowych. Ich twarze skrywały się za plastikowymi maskami, które nawet w jego obecnym stanie zaskoczenia i szoku wydały się Szefowi niepokojąco znajome. Między sobą trzymali Franka, przystawiając mu pistolet do głowy.

Padł kolejny strzał. Krew i mózg eksplodowały ze skroni mafiosa, zbryzgując drzwi. Ciało osunęło się na podłogę.

- Mike? - zapytał cicho Szef. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio widział przemoc na własne oczy. Nie powstrzymał się od niej ze strachu czy z tego powodu, że złagodniał na starość. Po prostu prawnicy poradzili mu, by w ten sposób zarządzał swymi sprawami. Dlatego zareagował zbyt wolno. Za późno uświadomił sobie, że został zupełnie, w stu procentach sam.

Gdy wstał, zamierzając zawołać swych ludzi czekających na ulicach, Żmij zdążył już go złapać. Szef się wrywał, ale dzoker był zbyt silny. W jego objęciach głowa Rodziny Calvino była jak szmaciana lalka.

Ostatnim, co zobaczył Szef, była otwarta paszcza Żmija zbliżająca się do jego twarzy. Zaciśnął w panice powieki i nie otwierał oczu, gdy dzoker go całował. Pragnął krzyknąć, ale utracił świadomość, gdy Żmij odgryzł mu wargi i splunął nimi na drugą stronę pokoju.

## VIII

- Gdzie nasze jedzenie? - zapytał młody ksznidziej, na wpół niecierpliwie, a na wpół retorycznie. Zauważył, że kelnerka zmierza ku nim, niosąc na podejrzenie szerokich przedramionach cały zestaw talerzy.



Zatrzymała się przy czterech gościach siedzących dwa boksy od nich i postawiła na ich stoliku dwie porcje owoców morza gotowanych na parze, jeden schłodzony makaron w sosie z miso i orzechów, oraz kawałki mięsa i jarzyn smażone na głębokim tłuszczu jako tempura. Po chwili do dań dołączyła wielka miska ryżu oraz rozmaite przekąski.

Z klimatyzacji znowu popłynęła woń tempury. Młody kaznodzieja poczuł, że ślinka podchodzi mu do ust z niecierpliwością. Duszę gryzł mu robak zazdrości. Popatrzył przelotnie na szczęściarzy, którym już przyniesiono posiłki. To były dwie pary na podwójnej randce. Troje z nich, w tym również mężczyzna o azjatyckim wyglądem, sprawiało wrażenie normalnych, ale młody kaznodzieja nie był w stanie oderwać wzroku od mającej szkarłatną skórę ofiary wirusa, pięknej kobiety o fasetkowych oczach delikatnej różowej barwy, jak u motyla, oraz dwóch wielkich, krwawoczerwonych czułek sterczących z głowy. Włożyła suknię z głębokim dekoltem odsłaniającą kuszaco, a nawet zdumiewająco normalne kształty. Młody kaznodzieja doszedł do wniosku, że mieniąca się srebrna peleryna zawieszona na pobliskim wieszaku z pewnością należy do niej.

Główna sala baru sushi miała kształt litery L. Drzwi wejściowe oraz kasa znajdowały się u zbiegu długiego i krótkiego ramienia. Młody kaznodzieja i Belinda May siedzieli w jednym z boksów dyskretnie ułożonych na końcu krótszego korytarza, niewidocznego przez wielkie okno, zajmujące większą część ściany dłuższego korytarza. Młody kaznodzieja oderwał się od obserwowania pięknej aski, przenosząc spojrzenie na kelnera o rybiej twarzy, właśnie znajdującego miejsce dla jakiejś śmiejącej się, wymieniającej się żartami pary. Przy kasie zatrzymał się młody mężczyzna o lśniących czarnych włosach nadających mu wygląd młodocianego przestępcy z gangsterskiego filmu.

- Leo, gapisz się na tę kobietę - oskarżyła go Belinda May. W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

- Nieprawda. Patrzyłem na tamtego chłopaka.

- Hmm. Idę o zakład, że to początkujący gangster. Z jakiegoś powodu jest ich dziś mnóstwo na ulicach. Zauważyłeś to?

- Nie.

- Ale przedtem gapiłeś się na tę askę.

- No dobra, gapiłem się. Kim ona jest?

- Nazywa się Pestycyd. Zdobyła sporą popularność dzięki swojej kolumnie towarzyskiej w „Krzyku Dżokerowa”. Jeśli masz się dziś gapić na jakąś kobietę, to tylko na mnie.

Młody kaznodzieja uniósł kubek kawy, jakby wznosił toast.

- Umowa stoi.

Po chwili robak zazdrości wreszcie doznał porażki, gdy kelnerka przyniosła im zamówione dania. Po paru chwilach wszystkie myśli o rozmowie umknęły, wyparte przez halibuta o delikatnym, białym kolorze przywodzącym na myśl kość słoniową. Ryba przyzywała swym chłodnym białym blaskiem. Zimny ryż smakował przepysznie, podobnie jak sam halibut.

Belinda May zatrzepotała palcami nad wyborem sushi oraz tempury na swym talerzu. Szybko zdecydowała się na ciemnoczerwonego maguro. Przegryzła w pół kawałek tuńczyka i zaczęła go żuć z wyrazem ekstazy, który jej towarzysz pamiętał aż za dobrze.

Wziął sobie krewetkę i połknął ją w całości, pozostawiając tylko ogonek. Czuł, jak posuwała się w dół jego przełyku jak kamyk w wąskiej rurze ściekowej, gdy nagle przez bar sushi przemknął zimny powiew. Młody kaznodzieja uniósł wzrok i zauważył, że klienci siedzący w pozostałych łóżkach, w tym również Pestycyd, spojrzeli ku drzwiom. Do lokalu weszła banda

młodych zbirów, co do jednego odzianych w płaszcze przeciwdeszczowe. Nie ulegało wątpliwości, że mają złe zamiary.

Dżoker o rybiej twarzy zablokował coś do nich przez głośnik hełmu, zapewne każąc im natychmiast wyjść. Niski oprych, najwyraźniej dowodzący gangiem, uniósł w groźnym geście młotek, wskazując nim na hełm dżokera.

*Ich twarze* - pomyślał Leo, czując w brzuchu nagły skurcz mięśni. Ledwie zauważył, jak młodociany przestępca, jeśli rzeczywiście nim był, wymknął się na ulicę. *Coś w ich twarzach...*

Oblicza wszystkich członków bandy wyglądały tak samo. Były nieruchome i dziwnie pozbawione życia. Młody kaznodzieja uświadomił sobie, że włożyli plastikowe maski. Znajoma, uśmiechnięta twarz - przesadnie zadarty nos, blond kosmyk opadający na szerokie czoło - zniekształcona na sposób, który wydawałby się karykaturą, gdyby nie złowroga groźba emanująca od zbirów.

Z nagłym ukłuciem przerażenia uświadomił sobie, że to jego twarz. Napastnicy nosili maski Leo Barnetta!

Wychodząc z boksu, ledwie poczuł na ramieniu uspokajający dotyk Belindy May.

- Nie rób tego! - wyszczała kobieta. - Nie przyciągaj ich uwagi! To wilkołaki! Dżokerski gang! Wiedzą, kim jesteś!

Jej słowa przypomniły mu o licznych dżokerach, którzy publicznie przyznawali, że go nienawidzą z powodu politycznych i moralnych opinii, jakie głosił w przeszłości. Ich przesadna reakcja utwierdzała jego zwolenników w przekonaniu, że trzeba podjąć jakieś kroki, by wreszcie rozwiązać problem wirusa dzikiej karty. To z kolei przekonywało ofiary wirusa, że trzeba coś zrobić, by zakończyć polityczne represje. Młody kaznodzieja zadrżał. Co będzie, jeśli Wilkołaki go poznają?

Wstydił się szalonych, pełnych przerażenia myśli, które nagle zapłonęły w jego mózgu. Jeszcze przed chwilą był prawie anonimowym gościem baru sushi, a teraz stał się piorunochronem, na który ktoś mógłby wskazać, by odwrócić uwagę Wilkołaków.

- Siadaj, na Boga! - syknęła Belinda May, pociągając go w swoją stronę. Usiadł z głośnym łoskotem.

I przez ośrodek jego jaźni przemknął porażający dreszcz. Najbliższy z zamaskowanych napastników zwrócił twarz w jego stronę. Łoskot był wystarczająco głośny, by go usłyszał. Młody kaznodzieja odruchowo uniósł dłoń do ust, jakby chciał ukryć beknięcie albo niestosowną uwagę. Przez parę następnych chwil pozwolił sobie mieć nadzieję, że sztuczka się udała. Zbir uniósł tylko mackę i podrapał się nią po fałdach skóry zwisających spod maski.

Główny kelner zamarł w bezruchu, sparaliżowany groźbą młotka wymierzoną w jego hełm. Jeden z oprychów wyciągnął broń spod płaszcza przeciwdeszczowego. Na końcu baru doszło do zamieszania. Goście zaczęli reagować na zaistniałą sytuację.

Inny napastnik wyciągnął spod płaszcza maczetę i podrzucił ją w powietrze. Następnie postukał się w czoło maski w geście z pewnością mającym oznaczać, że jego telekinetyczna moc porusza bronią, która tymczasem zniknęła w głębi dłuższego korytarza niczym gigantyczna wersja śmiercionośnej gwiazdki używanej przez ninja w filmach kung-fu.

Rozległo się głośne *pszszz!*

Ludzie zaczęli krzyczeć. Dwóch kolejnych oprychów wyciągnęło noże i wpadło do dłuższego korytarza. Maczeta wróciła do ręki właściciela niczym bumerang. Mackowaty zbir skinął głową do dwóch swoich towarzyszy, wskazał dłonią na kogoś, potem na kogoś innego, a wreszcie na Leo. Cała trójka ruszyła w głąb krótszego korytarza. Młody kaznodzieja ledwie słyszał krzyki

dobiegające z drugiego.

*Słodki Jezu, tylko nie ja, nie pozwól, żeby szli po mnie* - pomyślał. Zaczął naprawdę się bać, że nawet najdrobniejszy ruch mógłby przyciągnąć uwagę Wilkołaków. Powstrzymał się nawet przed otarciem potu z czoła. Cokolwiek zaraz się stanie, uwaga całego kraju skieruje się na niego. Modlił się do Pana, prosząc o przewodnictwo.

Ale go nie otrzymał. Mógł jedynie czekać i mieć nadzieję. Kolejne sekundy ciągnęły się niczym eony, niekończące się odcinki czasu, przerywane dobiegającym z zewnątrz hukami strzałów, wizgiem opon i krzykami ludzi. Pogranicze stało się nagle strefą wojny.

Oprychy z nożami wróciły. Z ich broni spływała teraz krew.

- Co wy robicie, dupki? Zmiatajmy stąd - zawołał ich przywódca do tych, którzy podchodzili do młodego kaznodziei.

Mackowaty dzoker obejrzał się na niego na chwilę wystarczającą, by powiedzieć:

- Chwileczkę, człowieku. Mamy tu jeszcze interes do załatwienia.

Otyły zbir ze szczypcami homara zamiast rąk zatrzymał się przy boksie, w którym siedziała Pestycyd, ujął szczypcami podbródek dziewczyny i zwrócił jej twarz ku sobie. Jeden z towarzyszących asce mężczyzn omal nie zaprotestował, ale powstrzymał go trzeci napastnik, który machnął znacząco pistoletem.

- Jesteś ładniutka - stwierdził dzoker ze szczypcami.

- Nie obnosiłabyś się publicznie ze swoją buzią, gdyby wyglądała tak, jak moja gęba.

Mackowaty dzoker zwrócił się ku młodemu kaznodziei i skinął na niego, jakby chciał powiedzieć: *Zaczekaj na swoją kolej.*

Uwagę zbira napastującego Pestycyd odwróciło staccato karabinów maszynowych dobiegające z ulicy. Dziewczyna wykorzystała tę szansę, odtrąciła jego szczypce małą rączką i wstała dumnie. W porównaniu z zagrażającym jej mężczyzną wydawała się małą, krucha i bezradna.

Tymczasem narastające w młodym kaznodziei oburzenie przewyciężyło w końcu strach i zdrowy rozsądek.

W barze sushi zabrzmiał sygnał alarmowy. Jego ogłuszający hałas nie zamierzał umilknąć.

- To było głupie, rybia gębo! - stwierdził dowódca napastników i rozbił młotkiem hełm kelnera.

Dzoker natychmiast się rozkaszał, nie mogąc czerpać tlenu z powietrza. Pokaleczył sobie dłonie o kawałki szkła, gdy uniósł je do gardła, jakby próbował się osłonić przed niewidzialnym dusicielem.

Podczas gdy uwagę wszystkich przyciągnęły śmiertelne konwulsje kelnera, wewnątrz Pestycyd rozjarzyło się dziwne światło. Po chwili stało się tak jasne, że jej ubranie wyglądało jak pajęczyna rzucona na reflektor. Pojawił się szkielet aski, spowity zarysami skóry oraz widmowymi sylwetkami organów wewnętrznych.

Po chwili uwidoczniła się wzbierająca w niej czarna moc.

Dziewczyna otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć. Zamiast głosu wydobył się z nich jednak snop gorejącego światła, przypominający wiązkę z lasera. Blask padł na dzokera ze szczypcami.

Czarna moc przesunęła się do gardła Pestycyd A potem wypadła z jej ust.

I podążyła szlakiem wskazanym przez światło.

To była masa szkarłatnych owadów, skrzydlatych i ohydnych, ćwierkających nieustannie niczym jakiś koszmarny chór. Nim zbir zdążył zareagować, pokryły go niby rój szarańczy. Natychmiast przystąpiły do ataku, przegryzając się przez jego płaszcz, maskę oraz pokrywającą

szczypcie skorupę. W ciągu kilku sekund dotarły do wnętrza ciała.

Bandzior zwałił się z krzykiem na stół w pustym boksie. Potem przetoczył się na siedzenie i zaczął gorączkowo okładać się tym, co pozostało z jego szczypiec, bezskutecznie próbując powstrzymać makabryczną ucztę owadów. Pestycyd cały ten czas stała nieruchomo, wpatrując się w swą ofiarę martwymi oczami, które na tle wypełniającego ją blasku wyglądały jak hebanowe klejnoty.

Nie zauważyła, gdy napastnik z pistoletem wycelował w jej głowę. Wycie alarmu tylko w niewielkim stopniu zagłuszyło strzał. Mózg dziewczyny eksplodował na ścianę i na jej siedzących obok przyjaciół. Zginęła natychmiast i osunęła się w ramiona swego zabójcy. Zbir odsunął się i wycelował pistolet w jej przyjaciół, by powstrzymać ich atak.

- Ruszać się! - zawołał herszt napastników. - Spierdalamy stąd!

- Nie, Leo, nie! - zawołała Belinda May.

Ale gniew całkowicie już zawładnął młodym kaznodzieją, który rzucił się na dwóch stojących w korytarzu bandziorów. Nie miał pojęcia, co właściwie zamierza osiągnąć. Wiedział tylko, że Pestycyd nie była niczemu winna. Po prostu broniła się przed ich agresją, choć w dość osobliwy sposób.

Jego nieprzemysłane plany szybko spaliły na panewce, gdy powstrzymał go mackowaty Wilkołak. Jego kończyzna naprawdę się wydłużała, wysuwając się z rękawa! Owinęła się wokół szyi przeciwnika i uniosła go w górę, jakby był lalką złapaną w pętlę wisielca. Młody kaznodzieja wierzgał i wymachiwał rękami. Próbował też krzyczeć, ale uścisk macki był za silny. Mógł jedynie się dławić. Był w stanie oddychać, ale nic więcej. Mimo to nie przestawał wrywać się i kopać.

Coś twardego uderzyło go mocno w tył głowy. To był sufit. Poczul, że świat zawirował wokół niego, gdy dzoker skrócił nieco mackę, przyciągając go do siebie.

Młody kaznodzieja spojrział w dziwne, szare oczy widoczne pod maską.

- Widzisz, co mam? - zapytał dzoker. - Jak się czujesz, patrząc na własną twarz? Nie jest miło żyć w strachu, co?

Młody kaznodzieja wydał z siebie stłumiony krzyk.

Zbir roześmiał się nieprzyjemnie.

- Muszę ci podziękować za to, że dałeś nam coś do zabawy na czas po zakończeniu wieczornej imprezy. Nie obawiaj się, wróci do ciebie nieuszkodzona. Jedynie jej duma trochę ucierpi.

Młody kaznodzieja nagle zmienił się w zwierzę, oszalałe i złapane w pułapkę. Jego słabe pięści okładały mackę wściekle, ale bezsilnie. Usłyszał krzyk Belindy May, ale nie zobaczył, co właściwie się z nią dzieje, bo nagle poczul, że znowu unosi się pod sufit. Ostatnim, co zobaczył wyraźnie, było ciało zbira, nadal pożerane przez owady. Choć od chwili śmierci swej gospodyni poruszały się coraz wolniej, zdążyły już pochłonąć połowę tułowia ofiary, a także większą część jej kończyn. Ćwierkające stworzenia wyłaziły z oczu dzokera i wydobywały się spod resztek jego maski, by wydać ostatnie tchnienie.

No cóż, przynajmniej nikt nie będzie miał do mnie pretensji o to, że zemdlałem. Nie w takiej sytuacji.

To była jego ostatnia logiczna myśl.

Potem uderzył głową o belkę i światła zgasły.

*Nasza Pani Łaskawa, czy to koniec Vita?* - myślał młody gangster, uciekając z baru sushi na ulicę. Przez chwilę miał nadzieję, że poniosła go wyobraźnia, że to był tylko kolejny pozbawiony znaczenia napad Wilkołaków, a kiedy wróci do pokoju hotelowego, zastanie tam Szefa, który straszliwie się wkurzy, gdy usłyszy, że Vito uciekł z baru sushi, nawet nie złożony zamówienia. Potem rozległy się strzały.

Padł na chodnik, przetoczył się i skrył pod samochodem. Walnął boleśnie kolaniem o beton i zadrapał też sobie czoło o metal, ale w tej chwili nie przejmował się już takimi drobnymi obrażeniami. Tylko strużka krwi zalewająca lewe oko nieco mu przeszkadzała. Sądząc po tym, co wydarzyło się do tej pory, będzie miał farta, jeśli przeżyje noc.

Po drugiej stronie ulicy dwóch chłopaków zaatakowali kolejni członkowie ulicznego gangu Wilkołaków. Jeden z chłopaków zdołał pchnąć przeciwnika nożem w pierś, ale gdy krew trysnęła w powietrze, drugi Wilkołak zaszedł go od tyłu i poderżnął mu gardło od ucha do ucha. Trudno było odróżnić od siebie krew obu ofiar. Drugi chłopak zdążył wyciągnąć pistolet, ale zdołał oddać tylko jeden strzał. Trafił kolejnego Wilkołaka prosto między oczy plastikowej maski, ale potem zgraja napastników poszatkowała go na plasterki. Wilkołaki, najwyraźniej nie w pełni usatysfakcjonowane faktem, że ich przeciwnicy z pewnością nie żyją, rąbały ciała na kawałki z taką pasją, że Vito obawiał się, że zaraz zaczną rzucać ochłapy mięsa innym członkom gangu.

Rzecz jasna, reszta Wilkołaków była w tej chwili zbyt zajęta, żeby cokolwiek zauważyć. Na ulicach Pogranicza szalał chaos. Natole i dzokerzy biegali we wszystkie strony, wszędzie szukając schronienia. Ale schronienia nie było. Powietrze przecinało zbyt wiele kul, by ktokolwiek mógł się czuć bezpiecznie przez dłuższy czas. Te Wilkołaki, które nie toczyły bezpośredniej walki z ludźmi z Rodziny Calvino, strzelały na wszystkie strony z karabinów maszynowych. Niekiedy powalały własnych towarzyszy, chcąc załatwić każdego, kto choć trochę wyglądał jak Calvino. Ludzie z Rodziny odwzajemniali się tym samym, pomijając tych, którzy próbowali uciekać w swych samochodach.

Vito osłonił głowę dłońmi i przyglądał się, jak Wilkołak zagroził drogę nadjeżdżającemu samochodowi i zasypał przednią szybę serią kul. Młody gangster nie zauważył, czy kierowca oberwał, czy zdążył się pochylić, ale człowiek siedzący na miejscu dla pasażera stracił większą część mózgu. Pojazd wpadł na atakującego go Wilkołaka, a potem poniósł ze sobą kilku przypadkowych przechodniów, nim zmiażdżył ich o zaparkowany samochód. Kilku przeżyło wystarczająco długo, by sobie uświadomić, że ostatnie chwile życia spędzą na czekaniu, aż oba pojazdy eksplodują płomieniami. Wybuch był bardzo spektakularny. Kawałki rozżarzonego metalu i płonącego mięsa uniosły się wysoko, a następnie posypały się na ziemię. Vito był dotąd przekonany, że taki puszczony w zwolnionym tempie balet przemocy widuje się tylko w kinie.

Przesunął się pod tył samochodu, pod którym się schował, uważając, że będzie bezpieczniejszy, jeśli odsunie się jak najdalej od rozżarzonych szczątków. Nagle zobaczył, że tuż obok toczy się walka. Widział tylko nogi uczestniczących w niej ludzi, domyślał się jednak, że spanikowany turysta usiłuje wyrwać pistolet Wilkołakowi. Towarzyszka mężczyzny próbowała go powstrzymać. Vito nie zdążył jeszcze podjąć decyzji, komu powinien kibicować, gdy Wilkołak obalił przeciwnika na chodnik. Mężczyzna padł na tyłek, zgięty wpół po otrzymanym ciosie. Jego towarzyszka - czarnoskóra dziewczyna w obcisłej, zielonej, sięgającej kolan sukni - uklękła przy nim, mówiąc coś. Panujący wokół hałas nie pozwolił Vitowi zrozumieć jej słów, ale cokolwiek powiedziała, w niczym jej to nie pomogło. Po paru sekundach zasypał ich grad kul.

Oboje padli na chodnik w kałuży krwi. Młody mafioso z gwałtownym skurczem żołądka śledził wzrokiem oddalającego się Wilkołaka. Postanowił, że nie będzie się ruszać z miejsca, dopóki jedna ze stron nie zostanie całkowicie rozbita albo nie zjawią się gliny. Nie będzie się zachowywał jak jakiś dureń, który chciał się popisać przed swoją dziewczyną, ani nie będzie szukał czegoś, czym mógłby się jutro przechwalać przed niedobitkami klanu Calvino. Ocali życie. To wystarczy.

Po drugiej stronie ulicy dwóch durnych Wilkołaków rzucano koktajlami Mołotowa. Vito wyobraził sobie, że jest owadem ukrytym w stercie liści. Być może, jeśli będzie sobie to wmawiał wystarczająco mocno, rzeczywiście się nim stanie. Przyszło mu jednak na myśl, że nawet owad może się okazać za duży.

Odwrócił się i zobaczył znajomą parę nóg. Mężczyzna klęczący nad zabitą parą był tak niski, że Vito dostrzegł jego twarz. To był garbus, którego widział przedtem. Dżoker zrobił nad ofiarami znak krzyża. Młodzieniec nie mógł nie zadać sobie pytania, ile inteligencji ma właściwie ten świr.

Szalenie odwrócił nagle głowę i Vito spojrzał prosto w jego oczy.

Był przekonany, że zobaczył w nich bardzo wiele różnych rzeczy. Oczy garbusa szybko zaszyły mgłą, kierując się na jakiś odległy punkt za rogiem ulicy. Pojawił się w nich strach. Twarz dżokera utraciła wszelki kolor, a jego usta się otworzyły.

Cokolwiek jednak chciał powiedzieć, było już za późno. W ostatniej sekundzie, zanim pochłonęły go płomienie koktajlu Mołotowa, który eksplodował pod samochodem, Vito uświadomił sobie ze zdziwieniem, że garbus wzdrygnął się przed czymś, co jeszcze się nie wydarzyło.

## X

Młody kaznodzieja ocknął się na podłodze baru sushi. Pełno tu było ludzi szukających ucieczki przed panującym na zewnątrz chaosem. Sądząc po odgłosach, przypominał on co bardziej przerażające wizje z *Apokalipsy św. Jana*.

Miejsce, w którym leżał, było jednak prawie puste. Otaczało go tylko kilka trupów oraz mnóstwo martwych owadów.

Nigdzie nie widział Belindy May.

Wstał, strzepnął z siebie kilka martwych insektów przylegających do jego marynarki i spodni, po czym usiadł w najbliższym boksie i złapał się za obolałą głowę. Zdołał wymacać punkt, w którym ból był najsilniejszy. Kiedy cofnął palce, zobaczył na nich zakrzepłą krew.

Z zewnątrz dobiegły go przenikliwe dźwięki syren. Zbliżała się policja. Miał nadzieję, że gliniarzom towarzyszy pełen kontyngent ratowników medycznych. Rzecz jasna na ulicy nadał słyhać było krzyki, co sugerowało, że sceny rodem z Pisma Świętego jeszcze się nie skończyły.

Nagle barem sushi wstrząsnęła pobliska eksplozja. Młody kaznodzieja padł na podłogę. Uderzył głową o słupek boksu, ale nie przejął się tym zbyt. Przeszedł już tak wiele, że jeszcze odrobina dojmującego bólu z pewnością nic nie zmieni.

Poczołgał się po pokrytej martwymi owadami podłodze, obok bezwładnych nóg martwej Pestycyd, i zadał sobie pytanie, gdzie jest Belinda May. Nie był w stanie myśleć jasno, ale zdawał sobie sprawę, że nie może pozwolić, by zamroczenie przeszkodziło mu ją odnaleźć. Co by powiedzieli ludzie? Co by powiedział Pan albo reporterzy? Co gorsza, co ona by powiedziała,

gdyby zapragnął ją znowu posiąść, po tym, jak nie odważył się stawić czoła ogniovi i siarce, by zaszczyliła go, rozstępując się przed nim jak Morze Czerwone?

Niejasno uświadamiał sobie, że ludzie próbują go powstrzymać, gdy wstał i powlókł się ulicą ku miejscu, gdzie płonęły szczątki samochodu. Nie widział tak wielu uciekających, spanikowanych ludzi, jak się tego spodziewał. Na chodnikach walały się ciała, krwawiące albo spalone na węgiel. Miał nadzieję, że telewizja rejestruje to wszystko.

*Gdzie jest Belinda May?* - zastanawiał się.

I nagle ujrzał pośrodku ulicy mackowatego zbira. Wilkołak unosił nad głowę bezwładną postać Belindy May, prowokując innych, by spróbowali do niej wystrzelić.

Podszedł do dwóch mafiosów uzbrojonych w karabiny maszynowe. Wszyscy nieźle oberwali, ale nadal żyli. Unieśli broń.

Bandzior opuścił Belindę May. Zamierzał wykorzystać ją jako tarczę!

## XI

Dopiero teraz, gdy było już za późno, żeby cokolwiek zmienić, Quasiczłowiek przypomniał sobie, że Ojciec Kałamarnica wysłał go na Pogranicze po to, by przeszkodził Żmijowi w ataku na dona mafii.

Rzecz jasna, ani Quasiczłowiek, ani Kałamarnica czy człowiek, który przekazał mu informację o planowanym ataku, nie domyślał się, że Żmij zamaskuje swe ślady morzem krwi. Jego bezwzględny plan okazał się skuteczny. Choć Quasiczłowiek wiedział, że nikt nie będzie miał do niego pretensji o to, że nie zdołał powstrzymać masakry, sam nienawidził się za to, że nie zrobił nic, by zapobiec tym wszystkim cierpieniom.

Był świadkiem śmierci bardzo wielu ludzi. Kilka szczegółów się zagubiło, gdy fragmenty jego umysłu przeszły na inną płaszczyznę rzeczywistości, ale nic nie mogło umniejszyć głębokiego smutku, jaki go wypełniał. Najgorsza była śmierć tego chłopaka, który schował się pod samochodem. Quasiczłowiek widział, jak płomienie go pochłaniają, zanim jeszcze wydarzyło się to naprawdę. Może właśnie to tak nim wstrząsnęło.

Ale noc jeszcze się nie skończyła. Widział już krew, ale pioruny miały dopiero nadejść.

Z opóźnieniem usłyszał zbliżające się wycie syren i doszedł do wniosku, że równie dobrze może się stąd zmyć razem z resztą ocalałych. Garstka mafiosów i Wilkołaków nadal toczyła bitwę na ulicach, ale Żmij z pewnością dawno już się ulotnił. Quasiczłowiek zaczął sobie wyobrażać miejsce, w którym pragnął się znaleźć, gdy nagle zobaczył Wilkołaka, który trzymał nieprzytomną kobietę w uniesionej nad głową macce, idąc środkiem ulicy ku dwóm mafiosom, którzy nagle unieśli broń.

Dżoker nie potrzebował zdolności przewidywania, by wiedzieć, co się za chwilę wydarzy. Musiał jakoś pomóc tej kobiecie.

Miał już zamiar przenieść się tam przez przestrzeń, gdy nagle zobaczył mężczyznę o znajomej twarzy, biegnącego ku Wilkołakowi i kobiecie. Huk, który poniósł się echem w głowie Quasiczłowieka, nie był do końca piorunem.

## XII

Gdyby młody kaznodzieja poważnie zastanowił się nad sytuacją, padłby na kolana i zaczął się modlić. On jednak popędził prosto na Wilkołaka i zwałił go z nóg. Macka dzokera poruszyła się z szybkością bicia, ciskając Belindę May w bezpieczne miejsce. Dziewczyna wylądowała na masce samochodu. W tej samej chwili, gdy Wilkołak i młody kaznodzieja padli na ulicę, dwaj mafiosi nacisnęli spusty karabinów maszynowych.

O dziwo, młody kaznodzieja nie uradował się na myśl o nadchodzącym przyszłym życiu. Poczuł jedynie osobliwy żal, pomieszany ze szczególną, tylko nieco się z nim kłójącą ulgą. Skupił swój umysł, zacisnął go w mentalną kulę i cisnął ją w miejsce, do którego kiedyś nie odważył się zajrzeć.

Huk wystrzałów brzmiał jak uderzenia piorunów wzmocnione do nieskończonej głośności. Niemalże widział oczami umysłu przemykające przez lufy pociski. Jeśli to była ostatnia nanosekunda jego życia, no cóż, w takim przypadku przeżyje ją z radością. I tak zostało mu sporo czasu.

Otoczony zimnem, czuł, że spada. Spadał, spadał i spadał w piekło zimniejsze od wszystkich polarnych koszmarów. Czuł, że jego dusza się rozpada. Czy tak właśnie wyglądała śmierć? Czy wkrótce ujrzy siebie leżącego na ulicy pośród innych, którzy stracili życie przed nim? Czy potem nieodparcie przyciągnie go białe światło, w którym Matka Boska i Jezus Chrystus będą stali obok jego matki, czekając na niego z wyciągniętymi rękami? Czy wreszcie się dowie, jak jest, w niebie?

Jeśli tak, to dlaczego miał wrażenie, że coś rozrywa jego umysł, ciągnąc go w tysiącu kierunków jednocześnie? Sto impulsów intensywnego gorąca nastąpiło na zmianę ze stoma chwilami temperatury równej absolutnemu zeru. Nagle nabrał przekonania, że wszystkie jego wyobrażenia na temat wieczności są tylko urywkami czasu zaobserwowanymi podczas snu, a jego wizje nieskończoności ziarenkami piasku w piaskownicy. Młody kaznodzieja nie potrafił się uwolnić od wrażenia, że zjednoczył się z niewyobrażalnymi czasami i miejscami znajdującymi się poza granicami rzeczywistości.

Śmierć okazała się znacznie bardziej skomplikowanym doświadczeniem, niż to sobie wyobrażał. Zadał sobie pytanie, czy kule wniknęły już w jego ciało, czy właśnie roztrzaskują mu czaszkę i przebijają serce oraz płuca.

Na szczęście nie czuł bólu. Jeszcze. Być może ten nieprzyjemny aspekt śmierci będzie mu oszczędzony.

Niemniej to dziwne, że czuł się tak cały i kompletny, choć w rzeczywistości rozpadał się na kawałki.

Jeszcze dziwniejszy był fakt, że nicość, w pierwszej chwili niepojęta i nieopisana, nagle przerodziła się w pokrytą betonem powierzchnię, poprzeshywaną w różnych odstępach prostymi liniami, zupełnie jak chodnik.

Najdziwniejsze zaś było to, że nadał żył, zamiast leżeć martwy obok trupa mackowatego Wilkołaka. Chodnik pokrywały plamy krwi, ale na szczęście ani jedna jej kropla nie pochodziła od niego.

Co to jednak za ciężar go przygniatał? Skąd się tu wziął?

Ciężar zsunął się z niego na chodnik. To był garbaty dzoker, do którego przedtem przemówił nieuprzejmie. Ale tym razem garbus leżał na plecach jak trup. Zapadł w beton na głębokość około centymetra. Młody kaznodzieja nie wiedział, jak to się stało, był jednak przekonany, że dzoker płaci cenę za uratowanie mu życia.

Wtem ktoś podsunął mu pod nos mikrofon. Młody kaznodzieja uniósł wzrok i zobaczył, że to



telewizyjny reporter z towarzyszącą mu ekipą. Mężczyzna pochylał się nad nim. Miał świeżą ranę na czole, a jego dźwiękowiec nosił teraz prowizoryczny bandaż na nadgarstku. Kamera była włączona. Dźwięk się nagrywał.

- Wielebny Barnett, jak się pan czuje? Czy ma pan coś do powiedzenia swoim...

Nim młody kaznodzieja zdążył mu odpowiedzieć, pojawił się gliniarz i szarpnął reportera na bok. Drugi policjant złapał leżącego i spróbował odciągnąć go od garbusa. Rozległo się przenikliwe zawodzenie syren, a wirujące, czerwono-niebieskie światła kogutów nadawały całej scenie jeszcze bardziej surrealistyczny wygląd.

- Spierdalaj! - krzyknął młody kaznodzieja, wrywając się policjantowi.

Niejasno usłyszał głos mówiącego do mikrofonu reportera.

- Słyszeliście państwo w wiadomościach na kanale 4, jak duchowny publicznie posłużył się wulgaryzmem. Jestem pewien, że wielu zwolenników wielebnego Barnetta zadaje sobie pytanie, do czego to doszło...

Młody kaznodzieja poczuł nagły przypływ gniewu na tego impertynenckiego palanta, ale starał się okazać cierpliwość i błagał Boga, by przeklął go dopiero później. W tej chwili obchodził go wyłącznie los asa, dzokera, czy kim tam właściwie był człowiek, który uratował mu życie. Uklęknął obok garbusa, który zapadał się coraz głębiej w chodnik. Obok nich klęczał ratownik medyczny z wyraźnie zdezorientowaną miną.

- Niechpango uratuje! - błagał młody kaznodzieja. - Musi pan go uratować!

- Jak? - zapytał bezradnie mężczyzna. - Nie wiem, co mu się stało. Nawet nie mogę go dotknąć!

To była prawda. Jego dłonie wniknęły w ciało garbusa. Ratownik wyrwał je z nagłym piskiem i wetknął sobie pod pachy. Drżał, jakby nagle wsadzono go do lodówki. Młody kaznodzieja przypomniał sobie, że czuł zimno, kiedy myślał, że umiera. Mały, mroczny fragment tego chłodu nadal rezydował w jego duszy niczym niechciany przyjaciel.

Uświadomił sobie, że nic, co mógłby zrobić ratownik albo ktokolwiek inny, nie pomoże garbusowi. Dzoker powoli zamieniał się w zarys własnego ciała. Zapadł kolejny centymetr w beton. Zaszklone oczy nieszczęśnika wpatrywały się w niebo. Oddychał z wyraźnym wysiłkiem, jakby powietrze, które wciągał w płuca, było dla niego nieodpowiednie.

- Kim pan jest? - zapytał Leo. - Jak mogę panu pomóc?

Mężczyzna zamrugał. Trudno było określić, do jakiego stopnia jest przytomny.

- Nazywam się Quasiczłowiek - wyszeptał. - Nigdy dotąd nie jauntowałem z tak wielkim ciężarem... bardzo mi trudno... trudno nawet utrzymać się w całości...

Garbus zakasłał.

Młody kaznodzieja uniósł wzrok i zobaczył klęczącą obok Belindę May.

- Wszystko z tobą w porządku? - zapytał krótko, ale ze współczuciem.

- Tak - odpowiedziała. - Co się z tobą stało?

- Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że ten człowiek jest za to odpowiedzialny.

- Mój Boże! Pamiętam go! Leo, musisz mu pomóc.

- Jak? Nawet nie mogę go dotknąć.

W oczach Belindy May znowu rozbłyły figlarne ogniki.

- Jesteś kaznodzieją - oznajmiła tonem bardzo przypominającym ten, którym się posługiwała, mówiąc, że chce iść z nim do łóżka. - Uzdrów biednego skurczybyka!

Minęło wiele lat, odkąd młody kaznodzieja ostatnio dokonał aktu uzdrawiania wiarą.

Powstrzymywał się od tego, ponieważ powiedziano mu, że to nie wygląda dobrze w telewizji, zwłaszcza w wykonaniu kandydata na prezydenta.

Nie mógł jednak pozwolić, by ten szlachetny człowiek wyzionął ducha. Nie, jeśli było w jego... w bożej mocy mu pomóc. Spojrzał na niebo. Ciężkie od deszczu chmury od czasu do czasu przesywały błyskawice, ale ich głos był tylko cichym łoskotem. Wziął głęboki oddech. Sięgnął do tych chmur, do ziemi ukrytej pod miejskim betonem, do mrocznych mocy stworzenia. Przywołał je wszystkie do swego ducha i skupił w kulę energii.

A potem sięgnął do wnętrza Quasiczłowieka. Spektrum wrażeń wypełniających jego palce z pewnością wywodziło się z jakiegoś miejsca, którego nigdy nie ujrzy. Przynajmniej za życia.

Nakazał sobie zachować spokój i ignorować chłód, odgrodził się od swędzenia dłoni oraz narastającego odrętwienia palców. Gdy już był przekonany, że osiągnął ten cel, powiedział z całą pasją, na jaką potrafił się zdobyć:

- Wyzdrowiej, ty cholerny sukinsynu! Wyzdrowiej!

Wreszcie zaczęło padać. Grom uderzył nad jego głową, jakby niebo rozerwał wybuch jądrowy.

### XIII

Tej nocy na Pograniczu zginęło ponad pięćdziesiąt osób, a sto dodatkowych odniosło poważne obrażenia. Niemniej to nie ta rzeź była pierwszą wiadomością w dziennikach i nie jej poświęcono największe nagłówki na pierwszych stronach gazet w większości miast w całym kraju. W końcu wojna gangów trwała już od pewnego czasu i fakt, że jej ofiarą padło kilkudziesięciu przypadkowych, niewinnych ludzi, z pewnością był niefortunny, ale dla mediów nie miał zbyt wielkiego znaczenia.

Między Nowym Jorkiem a Los Angeles rozciąga się rozległy obszar, znany jako serce Ameryki, i dla ludzi, którzy tam mieszkają, wiadomością dnia była informacja, iż wielbny Leo Barnett ogłosił, że zamierza kandydować na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Położył dłonie na ledwie dostrzegalnej sylwetce jakiegoś biednego dzokera i przywołał go z powrotem z niedobrowolnej wycieczki w jakieś nieznane strony. Dokonał czegoś, co nie udało się dotąd nikomu innemu. Uzdrowił dzokera wyłącznie siłą swej wiary i dowiódł, że największą mocą na Ziemi jest miłość do Pana i Jezusa Chrystusa. Dotknął ową miłością nieszczęsnego stworzenia o ciele zanieczyszczonym przez obmierźłego wirusa z kosmosu. Nawet liberalne media, które sfilmowały to wydarzenie, były zmuszone przyznać, że wielbny Leo Barnett dokonał czegoś zdumiewającego. Być może nie oznaczało to, że zostanie prezydentem, ale z pewnością wyróżniało go z grona kandydatów jako zasługującego na uwagę.

Wielebnemu Leo Barnettowi pomógł też fakt, że zaraz po tym, jak uzdrowionego przez niego dzokera zabrano na noszach, nie pytał o zdanie doradców, nie czekał, jak pokażą ten incydent media ani jak zareaguje na niego opinia publiczna, lecz po prostu podszedł do skupiska kamer i mikrofonów, by oznajmić, że Bóg powiedział mu, iż nadeszła pora, by zgłosił swą kandydaturę. Jasno i jednoznacznie zademonstrował, że potrafi podejmować decyzje, a potem wprowadzać je w życie.

Niemal natychmiast zyskało mu to bardzo dobrą pozycję w sondażach. Rzecz jasna, garstka wyborców zadawała sobie pytanie, co właściwie robił na Pograniczu, zwłaszcza gdy chodziło o pokój hotelowy, który wynajął na spółkę z młodą pracownicą misji, ale w końcu oboje nie mieli małżonków. Mówiono też, że wkrótce mają ogłosić zaręczyny, choć żadne z nich tego nie

potwierdzało ani temu nie zaprzeczało. Okazało się, że kobiety popierające Demokratów szczególnie poruszył fakt, że wielbny Leo Barnett tej samej nocy odnalazł prawdziwą miłość i swe polityczne przeznaczenie. Jeśli było to prawdą, być może cała ta rzeź nie poszła na marne.

*Jeśli Bóg nie osądzi Ameryki, będzie musiał przeprosić Sodomę i Gomorę.*

- WIELEBNY LEO BARNETT, kandydat na prezydenta

## **I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie**

### **III**

Złomowisko znajdowało się tuż przy zielonych, zanieczyszczonych wodach Zatoki Nowojorskiej, na samym końcu Hook Road. Tom wcześniej dotarł na miejsce, przekręcił klucz w kłódce i szeroko otworzył bramę w wysokim drucianym płocie. Zaparkował hondę tuż przy starym baraku z blaszonym dachem, w którym Joey DiAngelis mieszkał z ojcem, Domem, w czasach, gdy złomowisko jeszcze funkcjonowało. Siedział tam przez chwilę, splatając ręce na szczycie kierownicy, i wspominał przeszłość.

Kiedy barak nadawał się jeszcze do zamieszkania, Tom spędził w nim wiele sobotnich popołudni, czytając Joeyowi stare zeszyty „Śmiga”, które zwędzili ze szkoły, ratując je przed spalaniem przez komitet rodzicielski.

Tuż za barakiem znajdowało się miejsce, w którym Joey pracował nad swymi samochodami na długo przed tym, nim został Joeyem Złomiarzem DiAngelisem, królem objazdowego autorodeo.

A daleko z tyłu, gdzie nikt nigdy nie zaglądał, za stertami zardzewiałych wraków, obaj z Joeyem przyspawali pancerne płyty do karoserii starego volkswagena i zbudowali jego pierwszą skorupę. Później, znacznie później, po śmierci Dorna, gdy Tom kupił złomowisko od Joeya i zamknął je, wykopali podziemny bunkier. Na początku nie było to jednak tak skomplikowane. Za zasłonę służyła im tylko przetłuszczona brezentowa płachta.

Tom wysiadł z samochodu i zatrzymał się z rękami głęboko w kieszeniach starej, luźnej, brązowej kurtki z zamszu, by odetchnąć słoną bryzą znad zatoki. Dzień był chłodny. Po wodzie wolno posuwała się wywożąca śmieci barka. Stada mew krążyły wokół niej niczym opierzone muchy. Widać było niewyraźny zarys Statui Wolności, ale cały Manhattan skrył się we mgle.

Skrył się czy nie, ale nadal tam był i w pogodną noc można było zobaczyć światła jego wieżowców. Piekielnie imponujący widok. W Hoboken i Jersey City walące się domy i ciasne mieszkania oferujące podobną panoramę można było sprzedać za sześciocyfrową sumę. Constable Hook uznano za teren przemysłowy i złomowisko Toma otaczały magazyn importowo-eksportowy, bocznicą kolejową, oczyszczalnia ścieków oraz porzucona rafineria. Steve Bruder powiedział jednak, że nic z tego nie ma znaczenia.

Taki spory kawał ziemi, położony na samym brzegu, to prawdziwa gratka dla deweloperów, rzekł mu Bruder, gdy Tom poinformował go, że myśli o sprzedaży starego złomowiska. Z pewnością wiedział, co mówi, został bowiem milionerem dzięki spekulacji nieruchomościami w Hoboken i Weehawken. Renowacja starych kamienic pozwalała mu przerabiać je na drogie apartamentowce dla yuppies z Manhattanu. Steve oznajmił, że potem przyjdzie kolej na Bayonne. Za dziesięć lat wszystkie te przestarzałe inwestycje przemysłowe znikną, ustępując miejsca nowym osiedlom mieszkaniowym, ale oni mogli być pierwsi i zgarnąć niezłą forszę.

Tom znał Stevea Brudera od dzieciństwa i przez większość tego czasu szczerze go nie znosił, ale te słowa były muzyką dla jego uszu. Bruder zaproponował, że kupi złomowisko od ręki.

Tomowi zakręciło się w głowie, kiedy usłyszał cenę, ale oparł się pokusie. Wszystko przemyślał sobie z góry.

- Nie - sprzeciwił się. - Nie sprzedam go. Chcę być współnikiem w całym przedsięwzięciu. Ja dam ziemię, a ty pieniądze i know-how. Zyskami podzielimy się równo.

Bruder rozciągnął powoli usta w godnym rekina uśmiechu.

- Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, Tudbury. Ktoś ci to podpowiedział, czy to twój własny pomysł?

- Może w końcu zmądrzałem - odparł Tom. - To jak, zgadzasz się czy nie? Sraj albo zwalnij kibel, dupku.

- Nieładnie jest nazywać współnika dupkiem, ofermo - odparł Bruder i wyciągnął rękę. Miał bardzo silny uścisk, ale Tom uważał, żeby się nie skrzywić.

Spojrzał na zegarek. Gdzieś za godzinę miał przyjechać Steve z bankierami. Zapewniał, że to tylko formalność. Ten teren miał ogromny potencjał. Gdy tylko otworzą im linię kredytową, załatwi się zmianę kwalifikacji gruntu. Do wiosny usuną cały złom i podzielą teren na działki budowlane.

Tom nie był pewien, dlaczego przyjechał tak wcześnie... chyba że chodziło mu o to, by trochę powspominać.

To dziwne, że tak wiele jego najważniejszych wspomnień miało swe korzenie na tym złomowisku... dziwne, ale na swój sposób sensowne, biorąc pod uwagę, jaki obrót przybrało jego życie.

Ale wszystko to wkrótce się zmieni. Na zawsze. Thomas Tudbury będzie bogaty.

Powoli okrążył barak. Kopnął leżącą na ziemi wytartą oponę, a potem uniósł ją mocą umysłu. Zawiesił ją półtora metra nad ziemią, popchnął swą telekinetyczną mocą, aż zawisła, a potem zaczął liczyć. Gdy doszedł do ośmiu, zakołysała się, a przy jedenastu spadła. Nieźle. Kiedy był nastolatkiem, nim jeszcze wlaźł do skorupy, potrafił utrzymywać tę oponę w powietrzu przez cały dzień... ale wtedy jeszcze moc należała do Toma. Dopiero potem oddał ją Żółwiowi. Moc, a wraz z nią wiele innych rzeczy.

- Chcesz sprzedać złomowisko? - zapytał Joey, gdy Tom opowiedział mu o swoim planie. - Mówisz poważnie? Spaliłbyś za sobą cholernie wielki most. A co, jeśli znajdą bunkier?

- Znajdą jebaną dziurę w ziemi. Będą się nad nią zastanawiać może przez dziesięć minut. Potem ją zasypią i spokój.

- A co ze skorupami?

- Nie ma żadnych skorup - przypomniał mu Tom. - Został po nich tylko złom. I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie, pamiętasz? Przyjdę tam któreś nocy i zmienię się na chwilę w Żółwia, żeby wrzucić je do zatoki.

- To cholerne marnotrawstwo - zauważył Joey. - Czy to nie ty mi mówiłeś, ile forsy i potu włożyłeś w te cholerstwa?

- Pociągnął łyk piwa i potrząsnął głową. Joey z każdym rokiem upodabniał się do swego ojca, Doma. Takie same wątłe ramiona, takie samo twarde jak kamień piwne brzuszysko, takie same upstrzone siwizną włosy. Tom pamiętał czasy, gdy były nieskazitelnie czarne i ciągle opadały jego przyjacielowi na oczy. W tamtych czasach, gdy nie sprzedawano jeszcze piwa w puszkach, Joey nosił na zawieszonym na szyi rzemieniu otwieracz do kapsli, nawet wtedy, gdy włożył tanią maskę żaby i udał się z Żółwiem do Dżokerowa, by pomóc mu wyrwać Tachiona z alkoholowego ciągu.

To było dwadzieścia trzy lata temu. Tachion się nie zestarzał, ale Joey tak. Tom również.

Zestarzał się, ale nie dorósł. Wszystko to teraz się zmieni. Żółw umarł, ale życie Toma Tudburyego dopiero się zaczynało.

Oddalił się nieśpiesznie od brzegu. Ze sterty samochodów spoglądały na niego ślepe oczy potłuczonych reflektorów. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że spoglądają na niego również żywe oczy. Odwrócił się i zobaczył wielkiego, szarego szczura wyglądającego z wilgotnego, przegniłego wnętrza pozbawionej nóg wiktoriańskiej kanapy. Nieco dalej przeszedł między dwoma szeregami staromodnych lodówek. Ze wszystkich starannie wyjęto drzwi. Dalej znajdował się płaski obszar nagiego gruntu. W ziemię wprawiono tam kwadratową metalową płytę. Była ciężka, Tom wiedział o tym z doświadczenia. Wlepił spojrzenie w wielki pierścień przytwierdzony do metalu, a potem skupił się i za trzecią próbą zdołał unieść drzwi, odsłaniając ciemny wylot tunelu.

Tom usiadł na brzegu otworu i zsunął się ostrożnie w ciemność. Gdy już był na dole, pomacał ścianę i znalazł latarkę, którą tam kiedyś zawiesił. Następnie ruszył zimnym, wilgotnym tunelem w stronę bunkra. Stare skorupy czekały tam na niego w milczeniu.

Wiedział, że wkrótce będzie się musiał ich pozbyć. Ale nie dzisiaj. Bankierzy nie będą zaglądać pod ziemię. Chcieli tylko zobaczyć nieruchomość, przyjrzeć się widokom i być może podpisać parę papierów. Cały ten złom nigdzie nie ucieknie. Miał jeszcze mnóstwo czasu, by wrzucić go do zatoki.

Na skorupie numer dwa namalowano stokrotki i pacyfy. Jaskrawa ongiś farba wyblakła już i obłaziła. Sam jej widok wystarczył, by przywołać dawne wspomnienia - stare piosenki, stare akcje, stare pewniki. Marsz na Waszyngton, dźwięki folk rocka płynące z głośników, „CZYŃCIE MIŁOŚĆ, NIE WOJNĘ” nabazgrane na jego skorupie. Gene McCarthy stanął na niej i przez dobre dwadzieścia minut przemawiał z typowym dla siebie humorem i elokwencją. Ładne dziewczyny w dzinsach i trykotowych bluzkach z odkrytymi plecami były się ze sobą o szansę przejechania się na skorupie. Tom szczególnie wyraźnie zapamiętał jedną z nich. Miała oczy modre jak bławatki, indiańską opaskę na głowie oraz blond włosy opadające poniżej tyłka. Leżąc na skorupie, wyszeptwała, że go kocha. Pragnęła, by uniósł pokrywę i wpuścił ją do środka. Chciała zobaczyć jego twarz i spojrzeć mu w oczy. Zapewniała, że nawet jeśli jest dzokerem, nic jej to nie przeszkadza. Kochała go i chciała, żeby przeleciał ją tu i teraz.

Stanął mu od tego tak mocno, że poczuł się, jakby miał w dzinsach łom, ale nie otworzył skorupy. Pragnęła Żółwia, a w środku skorupy siedział Tom Tudbury. Zastanawiał się, gdzie jest teraz, jak wygląda i co z tego zapamiętała. Mogła już mieć córkę w takim wieku, w jakim sama była, gdy chciała się wśliznąć do jego skorupy.

Przesunął dłonią po zimnym metalu i pod pyłem pokrywającym grubą warstwą pancierz wymacał kolejną pacyfę. Naprawdę wtedy uważał, że może coś zmienić. Był członkiem masowego ruchu, pragnął zakończyć wojnę i pomagać słabym. W dniu, gdy Żółw znalazł się na oficjalnej liście wrogów Nixona, poczuł się dumny jak prawie nigdy w życiu.

I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie.

Za pomalowaną skorupą znajdowała się druga, większa, nowsza i nie tak zdobna. Ona również wiele przeszła. Zatrzymał się przy wgnieceniu, pozostałym w miejscu, gdzie oberwał od jakiegoś szaleńca kulą armatnią. Dzwoniło mu potem w głowie przez kilka tygodni. Wiedział, że jeśli poszuka w odpowiednim miejscu, znajdzie odcisk drobnej ludzkiej dłoni, która zagłębiła się w płytę pancerną na jakieś dziesięć centymetrów. Tę pamiątkę pozostawiła mu aska kryminalistka zwana przez prasę Rzeźbiarką. Była naprawdę ładna, a metal i kamień przepływały przez jej dłonie niczym woda. Media ją kochały do chwili, gdy zaczęła wykorzystywać swe talenty do

tworzenia drzwi prowadzących do bankowych skarbców. Żółw oddał ją glinom, zastanawiając się, jak powstrzymają ją przed opuszczeniem celi, ale ona nigdy tego nie próbowała. Przyjęła ułaskawienie i zgodziła się pracować dla Departamentu Sprawiedliwości. Świat czasami bywał bardzo dziwny.

Ze skorup numer dwa i trzy nie pozostało zbyt wiele poza szkieletem i płytami pancernymi. Z ich wnętrza dawno usunięto wszystkie części. Kamery, elektronikę, grzejniki, wentylatory i tak dalej. Wszystko to sporo kosztowało, a Tom nigdy nie miał zbyt wiele pieniędzy. Dlatego wyjmował elementy ze starych skorup, by zamontować je w nowych, gdy tylko było to możliwe. To jednak zbyt mało mu nie pomagało. Skorupy nadal kosztowały go fortunę. Zgodnie z przybliżonymi wyliczeniami władował około pięćdziesięciu tysiąków w tę, którą Takizjanie tak po prostu wyrzucili przez śluzę. W dodatku pożyczył większość tych pieniędzy i nadal nie spłacił całego długu.

W najciemniejszym kącie bunkra znalazł najstarszą skorupę. Nawet warstwy kiepsko przyspawanych pancernych płyt nie mogły do końca zamaskować znajomych zarysów volkswagena garbusa, od którego zaczęli w zimie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego. Wiedział, że w środku jest ciemno i duszno, prawie nie ma miejsca, by się odwrócić, i brakuje tam wygód, jakie miał w nowszych skorupach. Przesunął światłem latarki po powierzchni skorupy i westchnął, zdumiewając się własną naiwnością. Czarno-białe telewizory, karoseria volkswagena, dwudziestoletnie przewody elektryczne, lampy elektronowe. Wszystko w przybliżeniu nietknięte, choćby tylko dlatego, że było tak beznadziejnie przestarzałe. Omal nie zdrzął na samą myśl, że przed kilkoma miesiącami przeleciał w tym czymś nad zatoką.

Ale... to była pierwsza skorupa i właśnie z nią wiązały się najsilniejsze wspomnienia. Przyglądał się jej przez dłuższy czas, myśląc o dawnych czasach. O tym, jak ją zbudował i wypróbował, jak w niej latał. Pamiętał, jak pierwszy raz poleciał w niej do Nowego Jorku. Śmiertelnie się przeraził, gdy natrafił na pożar. Przeniósł telekinetycznie kobietę w bezpieczne miejsce - nawet teraz, po tylu latach, bardzo wyraźnie widział okiem umysłu jej suknię oraz płomienie muskające tkaninę w chwili, gdy opuszczał kobietę na ulicę.

- Próbowałem - powiedział na głos. To słowo poniosło się osobliwym echem w pograżonym w mroku bunkrze.

- Zrobiłem trochę dobrego.

Usłyszał za sobą jakieś poruszenia. Pewnie szczury. Było z nim tak kiepsko, że rozmawiał ze szczurami. Kogo próbował przekonać? Popatrzył na trzy skorupy spoczywające na ziemi w krzywym rzędzie. Tak wiele złomu miało wylądować na dnie zatoki. Posmutniał na tę myśl. Przypomniał sobie słowa Joeya o marnotrawstwie. To nasunęło mu pewien pomysł. Wyjął z tylnej kieszeni notes i z uśmiechem napisał krótką notatkę do siebie samego. Przez dwadzieścia lat prowadził życie Żółwia, ale zawsze trafiały mu się tylko te złe chwile. Być może nadeszła pora, by zamienić te skorupy na coś lepszego.

Steve Bruder zjawił się czterdzieści pięć minut później w brązowej limuzynie lincoln town car. Towarzyszyło mu dwóch bankierów. Steve miał na sobie skórzane rękawiczki oraz płaszcz burberry. Tom pozwolił gościom mówić, oprowadzając ich po terenie. Bankierzy podziwiali widoki, uprzejmie nie zwracając uwagi na szczury.

Po południu podpisali umowy i uczcili to kolacją u Hen-dricka.

## Koncert dla syreny i serotoniny

### III

Wiatr nadchodził i cofał się niczym potężne fale przyboju, potrząsając szybami wychodzących na ulicę okien i zasypując grudkami lodu kamienne lwy strzegące wejścia. Te dźwięki nasiliły się jeszcze, kiedy drzwi kliniki w Dżokerowie się otworzyły. Gdy tylko mężczyzna wszedł do środka, zaczął strząsać śnieg z butów i strzepywać go z ciemnoniebieskiego swetra. Nawet nie próbował zamknąć za sobą drzwi.

Madeleine Johnson, niekiedy znana jako Pani Kurza Nóżka, zastępująca w nocy za biurkiem swego przyjaciela Drozda, z którym co nieco ją łączyło, oderwała spojrzenie od krzyżówki i pogłaskała się ołówkiem po indyjskim podgardlu.

- Niech pan zamknie te cholerne drzwi! - zaskrzeczała.

Nieznajomy opuścił chusteczkę, którą wycierał sobie twarz, i wlepił spojrzenie w kobietę. Uświadomiła sobie, że mężczyzna ma fasetkowe oczy. Zaciśnął, a potem rozluźnił mięśnie żuchwy.

- Przepraszam - mruknął i zamknął drzwi. Potem obrócił powoli głowę, przyglądając się wszystkiemu w pokoju, choć przy tego rodzaju oczach trudno było ocenić, na co patrzy.

- Muszę porozmawiać z doktorem Tachionem - oznajmił.

- Doktor wyjechał z miasta i nie wróci zbyt szybko - poinformowała go. - W czym mogę panu pomóc?

- Chcę, żeby mnie uspio.

- To nie jest klinika weterynaryjna - odparła i niemal natychmiast tego pożałowała.

Mężczyzna ruszył w jej stronę. Otoczył go wyraźny nimb i zaczął sypać iskrami niczym generator. Wątpiła by ta aureola była oznaką cnoty, ponieważ odsłonił zęby i zaciskał oraz rozluźniał pięści, jakby zamierzał zaraz zrobić z nich użytek.

- To nagły przypadek - poinformował ją. - Nazywam się Croyd Crenson. Zapewne macie mnie w kartotece. Lepiej niech pani to sprawdzi. Mogę się zrobić agresywny.

Zaskrzeczała raz jeszcze, a potem zerwała się na równe nogi i odeszła, pozostawiając za sobą dwa pióra, unoszące się w powietrzu przed mężczyzną. Croyd wyciągnął rękę, oparł się o blat biurka, a następnie znowu otarł czoło. Jego spojrzenie zatrzymało się na kubku kawy do połowy wypełnionym, stojącym obok gazety. Wziął go w rękę i wypił wszystko duszkiem.

Po paru chwilach z zaczynającego się za biurkiem korytarza dobiegł stukot. W progu stanął młody mężczyzna, jasnowłosy i niebieskooki. Przybysz wlepił spojrzenie w Croyda. Miał na sobie zielono-białą koszulkę polo, na szyi nosił stetoskop i uśmiechał się jak surfer. Od pasa w dół był izabelowatym kucykiem o ogonie powiązanym w piękne warkoczyki. Madeleine zatrzymała się za nim, trzepocząc skrzydłami.

- To on - poinformowała centaury. - Użył słowa „agresywny”.

Czworonożny młodzieniec wszedł do pomieszczenia, nie przestając się uśmiechać, i wyciągnął



rękę.

- Jestem doktor Finn - przedstawił się. - Posłałem po pańską dokumentację, panie Crenson. Proszę pójść ze mną do gabinetu. Zaczekamy, aż przyniosą dokumenty, a tymczasem będzie pan mógł mi opowiedzieć, co panu dolega.

Croyd uściskał jego rękę i skinął głową.

- Macie tam kawę?

- Myślę, że tak. Zrobimy panu kubek.



Croyd krążył po małym gabinecie, pijąc kawę, podczas gdy doktor Finn czytał jego historię choroby. W kilku chwilach parsknął głośno, a w jednej chwili wydał z siebie odgłos zdumiewająco podobny do rżenia.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jest pan Śpiochem - oznajmił wreszcie, zamykając teczkę i spoglądając na pacjenta.

- Część tego materiału trafiła do podręczników.

Postukał w teczkę starannie wypielęgnowanym paznokciem.

- Słyszałem o tym - przyznał Croyd.

- Najwyraźniej ma pan jakiś problem i nie może pan czekać na jego rozwiązanie do następnego cyklu - zauważył doktor Finn. - Na czym on polega?

Croyd zdołał uśmiechnąć się ponuro.

- Mam do wyboru: pieprzyć się dalej z tym syfem albo rzeczywiście położyć się spać.

- W czym kłopot?

- Nie wiem, jak wiele o tym napisano w dokumentacji, ale potwornie boję się zasnąć - odparł Croyd.

- Tak, jest tu wzmianka o pańskiej paranoi. Być może psychoterapia...

Croyd walnął pięścią w ścianę, wybijając w niej wielką dziurę.

- To nie jest paranoja, jeśli niebezpieczeństwo jest realne. Mogę umrzeć podczas hibernacji. Mogę się obudzić jako najbardziej odrażający dzoker, jakiego potrafi pan sobie wyobrazić, i to z normalnym cyklem snu i czuwania. Wtedy byłbym skazany na pozostanie w tej postaci. O paranoi można mówić jedynie wtedy, gdy strach jest bezpodstawny, prawda?

- No cóż - mruknął doktor Finn. - Zapewne moglibyśmy użyć tego słowa dla opisaną naprawdę potężnego strachu, nawet jeśli jest on usprawiedliwiony. Nie jestem psychiatrą. Napisano tu jednak, że z reguły bierze pan amfetaminę, by odłożyć chwilę zaśnięcia tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że jest to potężne chemiczne wzmocnienie już przedtem występujących objawów.

Croyd przesunął palcem po dnie wybitej w ścianie dziury, odrywając kawałki tynku.

- Rzecz jasna, to w pewnym zakresie tylko semantyczny spór - ciągnął doktor Finn. - Nie ma znaczenia, jak to nazwiemy. Krótko mówiąc, boi się pan zasnąć. Tym razem jednak uważa pan, że powinien pan to zrobić?

Croyd zaczął strzelać palcami, nie przerywając spacerowania po gabinecie. Zafascynowany doktor Finn liczył wszystkie trzaski. Gdy doszedł do siedmiu, zadał sobie pytanie, co robi Croyd, kiedy zabraknie mu palców.

*Osiem, dziewięć, dziesięć...* - liczył bezgłośnie. Croyd wybił kolejną dziurę w ścianie.

- Hmm, chciałby pan trochę kawy? - zapytał doktor Finn.

- Tak. Mniej więcej z galon.

Lekarz zerwał się nagle, jakby otworzyła się przed nim bramka startowa.

- Boję się podać panu jakiegokolwiek leki po tak wielkiej dawce amfetaminy - podjął po chwili, nie mówiąc Śpiochowi, że żłopana przez niego kawa jest bezkofeinowa.

- Obiecałem dwóm osobom, że tym razem spróbuję zasnąć i nie będę się opierał - stwierdził Croyd. - Ale jeśli nie może mnie pan szybko uśpić, chyba sobie pójdę, żeby nie znosić dłuższej niepewności. Jednakże w taldm przypadku szybko wrócę do pigułek. Niech mi pan poda środek nasenny. Jestem gotowy podjąć to ryzyko.

Doktor Finn potrząsnął grzywą.

- Wolałbym najpierw spróbować czegoś prostszego i znacznie bardziej bezpiecznego. Co by pan powiedział na odrobinę stymulacji fal mózgowych połączonej z sugestią?

- Nie znam tej procedury - odparł Croyd.

- Jest bezurazowa. Rosjanie eksperymentowali z nią od wielu lat. Po prostu włożę panu do uszu te miękkie zatyczki - oznajmił, dotykając płatków jego uszu czymś wilgotnym - a potem przepuścimy przez pana głowę prąd o niskiej częstotliwości, powiedzmy czterech herców. Pan nawet tego nie poczuje.

Poruszył pokrętełem urządzenia, od którego odchodziły przewody.

- I co teraz? - zapytał Śpioch.

- Niech pan zamknie oczy i uspokoi się na minutkę. Może ma pan wrażenie, że unosi się bezwładnie?

- Aha.

- Ale towarzyszy temu też ciężar. Pana ręce są ciężkie i pana nogi są ciężkie.

- Są ciężkie - przyznał Croyd.

- Trudno będzie panu myśleć o czymś szczególnym. Pański umysł będzie po prostu dryfował.

- Dryfuję - zgodził się Croyd.

- Powinien się pan poczuć bardzo dobrze. Zapewne lepiej niż przez cały dzień. Wreszcie ma pan szansę odpocząć. Proszę oddychać powoli i rozluźnić się w każdym punkcie, w którym czuje pan napięcie. Jest pan już blisko celu. Znakomicie.

Croyd spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobyło się tylko niezrozumiałe mamrotanie.

- Świetnie panu idzie. Jest pan w tym naprawdę niezły. Zwykle liczę w dół od dziesięciu, ale w pana przypadku zaczniemy od ośmiu w górę, bo już pan prawie śpi. Osiem. Jest pan daleko i czuje się dobrze. Dziewięć. Już pan zasnął, ale za chwilę sen stanie się jeszcze głębszy. Dziesięć. Nadejdzie głęboki sen bez strachu i bólu. Sen.

Croyd zaczął chrapać.

Nie mieli zapasowych łóżek, ale ponieważ pacjent zeszytywniał jak manekin, zanim przybrał jaskrawozielony kolor, a jego oddech i bicie serca przybrały tempo pośrednie między biciem serca niedźwiedzia hibernującego a martwego, Doktor Quinn postawił go w sztywnej pozycji pod tylną ścianą schowka na miotły, gdzie nie zajmował zbyt wiele miejsca. Następnie wbił gwóźdź w drzwi schowka i zawiesił na nim kartkę, na której napisał: „Pacjent skrajnie podatny na sugestię”.

**Maj 1987**

## **I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie**

### **IV**

- Potrzebuję maski - oznajmił.

Sprzedawca, groteskowo wysoki i chudy, spoglądał na niego z góry władczo niczym faraon, którego śmiertelną maskę nosił.

- Oczywiście. - Jego oczy były złote, tak samo jak skóra maski. - Życzy pan sobie czegoś szczególnego?

- Powinna wyglądać imponująco - odparł Tom. Tanią plastikową maskę można było kupić za mniej niż dwa dolce w każdym sklepiku ze słodyczami w Dżokerowie. To wystarczało, by ukryć twarz, ale wśród dżokerów tania maska była jak tanie ubranie, a Tom chciał, by dzisiaj traktowano go poważnie. Według „New York Magazine” Holbrooks był najbardziej ekskluzywnym sklepem z maskami w mieście.

- Jeśli pan pozwoli? - odezwał się sprzedawca, wyjmując centymetr.

Tom przytaknął. Gdy mierzono mu głowę, przyglądał się zdobnym plemiennym maskom wiszącym na przeciwległej ścianie.

- Wróć za minutkę - zapewnił wysoki mężczyzna i przeszedł na ukryte za ciemną aksamitną zasłoną zaplecze.

Trwało to dłużej niż minutka. Tom był jedynym klientem w sklepie - ciasnym, słabo oświetlonym i bogato zdobionym. Czuł się tu bardzo nieswojo. Po chwili sprzedawca wrócił z sześcioma pudełkami pod pachą. Postawił je na ladzie i otworzył pierwsze, pozwalając Tomowi obejrzeć zawartość.

Na czarnej bibułce spoczywała głowa lwa. Jego pysk wykonano z miękkiej, jasnej skóry, delikatnej w dotyku jak najlepszy zamsz. Otaczała go grzywa długich, złotych włosów.

- Z pewnością nic nie mogłoby być bardziej imponujące niż król zwierząt - twierdził sprzedawca. - Włosy są autentyczne. Każdy kosmyk pochodzi z lwiej grzywy. Zauważyłem, że nosi pan okulary. Jeśli dostarczy nam pan swoją receptę, sklep z przyjemnością wprawi odpowiednie soczewki.

- Jest bardzo ładna - przyznał Tom, dotykając palcami grzywy. - Ile kosztuje?

Sprzedawca obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

- Tysiąc dwieście dolarów. Bez szkieł optycznych.

Tom cofnął szybko rękę. Złote oczy osadzone w masce faraona popatrzyły na niego z protekcyjną uprzejmością połączoną z lekką drwiną. Tom odwrócił się bez słowa na pięcie i opuścił sklep.

Kupił gumową maskę żaby za 6,97 dolara w sklepie przy Bowery Street, mającym przy wejściu

stoisko z gazetami, a z tyłu dystrybutor napojów gazowanych. Gdy włożył maskę na twarz, przekonał się, że jest nieco za duża, a okulary balansują niepewnie na przesadnie wielkich zielonych uszach, ale jej wygląd miał dla niego wartość sentymentalną. Pieprzyć robienie dobrego wrażenia.



W Dżokerowie czuł się bardzo niepewnie. Wiele razy latał nad jego ulicami, ale chodzenie po nich to było coś całkiem innego. Na szczęście, Gabinet Luster znajdował się przy samej Bowery Street. Gliniarze unikali co bardziej mrocznych zaułków Dżokerowa, podobnie jak wszyscy zdrowi na umyśle ludzie, a odkąd zaczęła się wojna gangów, ta tendencja jeszcze się nasiliła. Jednak natole nadal odwiedzali dżokerskie kabarety, a wszędzie, dokąd udawali się turyści, podążały za nimi radiowozy. Pieniądze natoli były krwią gospodarki Dżokerowa, a ta krew i tak już była rzadka.

Nawet o tej godzinie na chodnikach panował intensywny ruch. Nikt nie zwracał zbytnej uwagi na Toma z jego źle dopasowaną żabią maską. Gdy dotarł do drugiego kwartału, czuł się już niemal swobodnie. W ciągu minionych dwudziestu lat widział na swych monitorach całą szpetotę, jaką miało do zaoferowania Dżokerowo. To był po prostu inny punkt widzenia.

W dawnych czasach przed Gabinetem Luster roiło się od taksówek wysadzających klientów oraz limuzyn czekających przy krawężniku na koniec drugiego przedstawienia. Dzisiejszej nocy było tu jednak zupełnie pusto. Nie widział nawet odźwiernego, a gdy Tom wszedł do środka, przekonał się, że w szatni również nikogo nie ma. Popchnął dwuskrzydłowe drzwi i sto różnych żab spojrzało na niego z posrebrzanych głębi sławnych luster lokalu. Mężczyzna na scenie miał głowę wielkości piłki bejsbolowej, a nagi tułów pokrywały mu wielkie, obwisłe torby z marmurkowanej skóry, które rozszerzały się i kurczyły niczym miechy albo dudy, wypełniając pomieszczenie niezwykle, smutną muzyką, powstającą, gdy powietrze wydostawało się z kilkunastu umieszczonych w niespodziewanych miejscach otworów. Tom przyglądał mu się z niezdrową fascynacją, gdy nagle pojawił się szef sali.

- Stolik, proszę pana?

Mężczyzna był niski i pękaty jak pingwin. Twarz zasłaniała mu maska Beethovena.

- Chciałbym się zobaczyć z Xavierem Desmondem - odparł Tom. Jego głos, stłumiony przez maskę żaby, zabrzmiał dziwnie w jego własnych uszach.

- Pan Desmond dopiero przed kilkoma dniami wrócił zza granicy - odpowiedział szef sali. - Uczestniczył jako delegat w wyprawie senatora Hartmanna - dodał z dumą. - Obawiam się, że jest bardzo zajęty.

- To ważne - zapewnił Tom.

Szef sali skinął głową.

- Kogo mam zapowiedzieć?

Tom zawahał się chwilę.

- Niech pan powie, że to... stary przyjaciel.

Gdy już szef sali zostawił ich samych, Des wstał i okrążył biurko. Poruszał się powoli, boleśnie zaciskając wąskie wargi, częściowo przesłonięte długą, różową trąbą wyrastającą w miejscu, gdzie normalny człowiek miał nos. Z bliska można było zobaczyć rzeczy niewidoczne na ekranie telewizora - na przykład to, jak bardzo jest stary i schorowany. Skóra wisiała na nim podobnie

jak jego ubranie, a oczy zaszły mu mgiełką bólu.

- Jak się udała podróż? - zapytał Tom.

- Była wyczerpująca - odparł Des. - Widzieliśmy całą nędzę świata, wszystkie cierpienia i nienawiść. Na własnej skórze doświadczyliśmy przemocy. Ale jestem pewien, że wiesz o tym wszystkim. Pisali o tym w gazetach. - Uniósł trąbę i palcami na jej końcu lekko dotknął twarzy Toma. - Wybacz, stary przyjacielu, ale nie przypominam sobie twojej twarzy.

- Moja twarz jest zasłonięta - zauważył Tom.

Des uśmiechnął się blado.

- Dostrzeganie twarzy pod maską to jedna z pierwszych rzeczy, których uczy się dzoker. Jestem starym dzokerem, a twoja maska jest bardzo kiepska.

- Dawno temu kupiłeś równie tanią maskę.

Des zmarszczył brwi.

- Mylisz się. Obawiam się, że nigdy nie czułem potrzeby ukrywania własnej twarzy.

- Kupiłeś ją dla Tachiona. To była maska kurczątką.

Desmond spojrział mu w oczy, zaskoczony i zaciekawiony, ale nadal nieufny.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Myślę, że wiesz - odparł Tom.

Stary dzoker milczał przez długą chwilę. Następnie skinął głową i osunął się na najbliższe krzesło.

- Krążą pogłoski, że nie żyjesz. Cieszę się, że to nieprawda.

Te proste słowa oraz szczerość, z jaką Desmond je wypowiedział, sprawiły, że Tom poczuł się skrępowany i zawstydzony. Przez chwilę myślał, że powinien po prostu odejść bez słowa.

- Usiądź, proszę - rzekł mu Des.

Tom usiadł, odchrząknął i zaczął się zastanawiać, od czego zacząć. Przez chwilę trwała krępująca cisza.

- Wiem - odezwał się wreszcie Desmond. - To z pewnością równie dziwne dla ciebie, jak i dla mnie, że siedzisz teraz w moim gabinecie. Miłe, ale dziwne. Ale coś musiało cię tu sprowadzić. Nie chodzi tylko o to, że zapragnąłeś mojego towarzystwa, Dzokerowo zawdzięcza ci bardzo wiele. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

Tom mu powiedział. Pomiął kierujące nim motywy, ale zapoznał go ze swoją decyzją i wyjaśnił mu, co pragnie zrobić ze skorupami. Mówiąc, odwracał spojrzenie od Desa, patrzył na wszystko, tylko nie na twarz starego dzokera. Wypowiedział jednak wszystkie niezbędne słowa.

Xavier Desmond wysłuchał go uprzejmie. Kiedy Tom skończył, Des wydał się starszy i bardziej zmęczony. Pociągnął nosem, ale nic nie powiedział. Palce jego trąby zaciskały się i rozluźniały.

- Jesteś pewien? - zapytał wreszcie.

Tom skinął głową.

- Dobrze się czujesz?

Des rozciągnął usta w bladym, znużonym uśmiešku.

- Nie - odparł. - Jestem za stary i zdrowie mi nie dopisuje, a do tego świat ciągle przysparza mi rozczarowań. W ciągu ostatnich dni podróży tęskniłem za domem, za Dzokerowem i za Gabinetem Luster. A teraz wróciłem do domu i co tu znalazłem? Interes idzie gorzej niż kiedykolwiek, na ulicach trwa wojna gangów, następnym prezydentem może zostać religijny szarlatan, który kocha mój lud tak bardzo, że pragnie nas poddać kwarantannie, a nasz najdawniejszy bohater postanowił porzucić walkę.

- Des przesunął palcami trąby po rzadniejących, siwych włosach, a potem zerknął z zawstydzieniem na Toma. - Wybacz. To było niesprawiedliwe. Ryzykowałeś bardzo wiele i wspierałeś nas przez dwadzieścia lat. Nikt nie ma prawa wymagać od ciebie więcej. Z pewnością ci pomogę, jeśli tego pragniesz.

- Wiesz, kim jest właściciel? - zapytał Tom.

- Dżokerem - odparł Desmond. - Dziwi cię to? Pierwsi właściciele byli natolami, ale on ich wykupił, och, już jakiś czas temu. To bogaty człowiek, ale woli nie przyciągać do siebie uwagi. No wiesz, bogaty dżoker łatwo może stać się celem. Z chęcią zaaranżuję spotkanie.

- W porządku - rzekł Tom. -- Zgadzam się.

Gdy już skończyli rozmowę, Desmond odprowadził go do drzwi. Tom obiecał, że zadzwoni za tydzień, by zapoznać się ze szczegółami spotkania. Des stanął obok niego na chodniku, a Tom spróbował zatrzymać taksówkę.

- Zawsze miałem nadzieję, że okażesz się dżokerem - odezwał się cicho.

- Skąd wiesz, że nim nie jestem? - zapytał Tom, przeszywając go ostrym spojrzeniem. Des uśmiechnął się tylko, jakby to pytanie nie zasługiwało właściwie na odpowiedź.

- Pewnie chciałem w to wierzyć, podobnie jak wielu innych dżokerów. Ukryty w skorupie, mogłeś być kimkolwiek. Asowie cieszą się wielkim prestiżem i sławą. Czemu miałbyś ukrywać swoją twarz i nazwisko, jeśli nie dlatego, że byłeś jednym z nas?

- Miałem swoje powody - odparł Tom.

- No cóż, to nieważne. Pewnie płynie z tego nauka, że asowie są asami, nawet ty, a dżokerzy muszą się nauczyć sami dbać o własne sprawy. Życzę ci szczęścia, stary przyjacielu.

Des uściśnął mu dłoń, odwrócił się i oddalił.

Minęła go kolejna taksówka. Tom próbował ją zatrzymać, ale nawet nie zwolniła.

- Myślą, że jesteś dżokerem - zawołał Des, stojący w drzwiach Gabinetu Luster. - To przez tę maskę - dodał ze współczuciem w głosie. - Zdejmij ją i pokaż im swoją twarz. Wtedy nie będziesz miał trudności.

Drzwi zamknęły się cicho za starym dżokerem.

Tom rozejrzał się po ulicy. Nie było tu nikogo, nikt nie zobaczy jego prawdziwej twarzy. Uniósł dłoń, ostrożnie i nerwowo, a potem ściągnął maskę żaby.

Następna taksówka zatrzymała się z piskiem hamulców tuż obok niego.

# Więzy krwi

MELINDA M. SNODGRASS

## I

- REZYGNUJĘ! REZYGNUJĘ! ON NIE POTRZEBUJE NAUCZYCIELA, TYLKO KURATORA! CHOLERNEGO TRESERA ZWIERZĄT! PARU LAT W ANCLU!

Drzwi trzasnęły tak głośno, że ze sterty papierów leżących na biurku niczym bastiony białej, celulozowej fortecy, posypały się kartki. Tachion, luźno trzymający w długich palcach umowę wynajmu, wpatrzył się w drzwi ze zdeprymowaną miną. Uchyliły się.

Para oczu, pływających za grubymi soczewkami niczym niebieskie księżyce, zajrzała ostrożnie do środka.

- Przepraszam - wyszeptła Dita. - Wszystko w porządku?

- Który to już raz?

Usiadła jednym kształtnym pośladkiem na rogu biurka. Spojrzenie Tachiona powędrowało ku jej białemu udu, odsłoniętemu przez minispódniczkę.

- Może szkoła?

- A może nie. - Tach stłumił drżenie na myśl o tym, jakie spustoszenia wywołałby jego wnuk w brutalnym świecie szkoły publicznej. Złożył z westchnieniem umowę wynajmu mieszkania i schował ją do kieszeni. - Muszę zajrzeć do domu i sprawdzić, co z nim. Spróbuję znaleźć jakieś nowe rozwiązanie.

- A co z tymi listami?

- Będą musiały poczekać.

- Ale...

- Niektóre czekają już od sześciu miesięcy Kilka dodatkowych dni nic nie zmieni.

- Obchody...?

- Wrócę na czas.

- Doktor Queen...

- Nie będzie ze mnie zadowolona. To zdarza się dość często.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Bo jestem zmęczony.

Rzeczywiście był zmęczony. Gdy szedł w dół schodami prowadzącymi do wejścia Kliniki imienia Blythe van Renssaeler, nawet nie pogłaskał po głowach kamiennych lwów ustawionych po jego obu bokach. W ciągu tygodnia, który minął od jego powrotu z ekspedycji Światowej Organizacji Zdrowia, mieli bardzo niewiele czasu na odpoczynek. Kłopoty atakowały go ze wszystkich stron - frustrująca impotencja, przez którą czuł, że żyje pod narastającym naciskiem; kandydatura Leo Barnetta; wojny gangów mącące spokój (spokój, ha!) mieszkańców Dżokerowa; James Spector, który nadal pozostawał na wolności i...

Wszystko to jednak wydawało mu się dziwnie odległe, nieważne i błahe w porównaniu z nową osobą, która pojawiła się w jego życiu. Witalny jedenastolatek zburzył całą rutynę jego życia. Uświadomił mu, jak małe może się wydawać mieszkanie z jedną sypialnią. A także to, jak trudno znaleźć coś większego i jak wiele musi to kosztować.

Dochodziła też kwestia mocy Blaisea. W dzieciństwie Tachion często się buntował przeciwko surowości wychowania takizjańskich psionicznych władców. Teraz jednak żałował, że nie może poddać takim samym karom swego krnąbrnego dziedzica, który w żaden sposób nie potrafił zrozumieć, jak ciężki grzech popełnia, bez zahamowań używając swych mocy przeciwko ślepym psionicznie ludziom, którzy go otaczali.

Szczerze mówiąc, problem nie polegał tylko na żałowaniu różgi. Na Takis dziecko walczyło o przetrwanie w gęstej od spisków atmosferze kobiecych pokojów. Otoczone przez innych mentatów, szybko uczyło się ostrożności w korzystaniu ze swych mocy. Bez względu na to, jak wielką moc miało, zawsze znalazł się jakiś starszy kuzyn, wujek albo rodzic, który był potężniejszy i bardziej doświadczony.

Po opuszczeniu haremu dziecku przydzielano służę-to- warzysza wywodzącego się z niższych sfer. Chodziło o to, by nowy psioniczny władca albo władczyni nauczył się, że ma obowiązki wobec prostych ludzi, którymi włada. Tak przynajmniej wyglądało to w teorii. W praktyce z reguły rodziło to pobłażliwą pogardę dla znacznej większości mieszkańców Takis oraz uczyło zachowywania dystansu, przekonania, że nakładanie przymusu na służbę jest niezbyt ciekawe i niesportowe. Zdarzały się jednak tragedie. Bywało, że panowie albo panie zmuszali służących do odebrania sobie życia pod wpływem kaprysu bądź nagłego ataku złości.

Tachion potarł czoło dłonią, rozważając stojące przed nim opcje. Mógł powtarzać Blaiseowi frazesy o dobroci, odpowiedzialności i obowiązku. Albo mógł stać się największą groźbą w jego życiu.

Ale pragnąłem jego miłości, nie strachu.



Chłopiec przypominał mu dzikie stworzenie z lasu. Zwinięty w wielkim fotelu, Blaise spoglądał nieufnie na dziadka, pociągając nerwowo za długie końce koronkowego kołnierza wyglądającego jak na obrazach van Dijka, opadające na ramiona białego płaszcza z diagonalu. Czerwone rajtuzy oraz otaczająca pas szarfa tej samej barwy stanowiły odbicie krwawej barwy włosów. Tach rzucił klucze na blat stolika do kawy i usiadł na poręczy kanapy, zachowując bezpieczny dystans do wrogo nastawionego dziecka.

- Cokolwiek powiedział, nie zrobiłem tego.

- Coś musiałeś zrobić.

Rozmawiali po francusku.

- Nie.

- Blaise, nie kłam.

- Nie lubiłem go.

Tach podszedł do fortepianu i zagrał kilka taktów sonaty Scarlattiego.

- Nauczyciele nie muszą być twoimi przyjaciółmi. Mają cię uczyć.

- Wiem już wszystko, co potrzebuję wiedzieć.

- Tak? - wycedził Tachion przeciągłym, zimnym jak lód głosem.



Podbródek dziecka zeszywniał i doktor odparł potężny atak mentalny.

- To wszystko, co muszę wiedzieć. Przynajmniej gdy chodzi o zwykłych ludzi. - Zaczerwienił się, gdy padło na niego spokojne spojrzenie dziadka. - Jestem niezwykle!

- Niestety, na tym świecie ignorancy prostytutki nie są zbyt rzadkością. Z pewnością znajdziesz sobie wielu towarzyszy.

- Nienawidzę cię! Chcę wrócić do domu.

To ostatnie słowo przeszło w łkanie. Blaise wtulił twarz w krzesło.

Tachion podszedł do płaczącego chłopca i wziął go w ramiona. - Nie płacz, kochany. Tęsknisz za domem, to naturalne. Ale we Francji nie masz już nikogo, a ja bardzo pragnę być z tobą.

- Tu nie ma dla mnie miejsca. Jestem dla ciebie tylko dodatkiem, jak nowa książka na półce.

- Nieprawda. Nadałeś mojemu życiu sens. - Te słowa były zbyt niejasne i dorosłe, by mogły dotrzeć do dziecka. Tachion ponowił próbę. - Chyba znalazłem dla nas nowe mieszkanie. Pojedziemy tam już dziś po południu i będziesz mógł mi powiedzieć, jak ci się podoba twój nowy pokój.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Otarł chusteczką twarz dziecka. - Ale na razie muszę wracać do pracy. Zabiorę cię na Maleńką, żeby opowiedziała ci parę historii o twojej krwi.

- *Tres bien.*

Tach poczuł nagły rozbłysk poczucia winy. Ten plan miał nie tyle sprawić Blaiseowi przyjemność, ile zapewnić, że będzie grzeczny. Zamkniętemu w ścianach świadomego i rozumnego takizjańskiego statku chłopcu nic nie będzie groziło, a świat zewnętrzny również będzie bezpieczny przed nim.

- Ale tylko po angielsku - dodał stanowczo Tachion. Mina Blaisea posmutniała.

- *Tant pis.*



Wrócił do kliniki, gdzie czekało go pięć godzin gorączkowej roboty. Niestety, w znacznej części papierkowej. Potem pojechał po Blaisea. Miał nadzieję, że historie opowiadane przez Maleńką były bardzo zajmujące. Zabrał dziecko ze statku i zawiózł je na lekcję karate. Usiadł w korytarzu, czytając „New York Timesa”, a jednym uchem nasłuchiwał dźwięków dobiegających z dojo. Tym razem Blaise był grzeczny

*W Gabinetach Luster odbędzie się koncert dobroczynny na rzecz ofiar dzikiej karty oraz AIDS.* To bardzo podobne do Desa, pomyślał Tachion. Ciekawe, że impreza miała się odbyć w Dżokerowie. Zapewne żaden inny lokal nie zgodził się ją obsłużyć. Pewnie chcieliby włożyć plastikowe pokrowce na fotele.

Między obiema klęskami istniały pewne emocjonalne analogie. Jako biochemik dostrzegał też inny związek, podobieństwo między AIDS a dziką kartą. Ale impreza dobroczynna na rzecz ofiar obu stanie się przyczyną powstania stanowczo zbyt wielu niefortunnych dowcipów o seksualnym podtekście.

Minister zdrowia ostrzega: Pierdolenie powoduje wiele groźnych chorób.

- No cóż, w takim przypadku pewnie dożyję dwóch tysięcy lat - mruknął Tachion, krzyżując nogi w kostkach.

Blaise wypadł z sali. Wyglądał pięknie w obcisłym, białym gi. Kierownik szkoły karate z

początku był bardzo niezadowolony z tego stroju. Z reguły gi były czarne, ale mimo że Tach spędził na Ziemi czterdzieści lat, nadal zachował uparte uprzedzenia przeciwko temu kolorowi. Na czarno ubierali się robotnicy, nie arystokraci.

Chłopiec wcisnął strój w ramiona dziadka.

- A ty się nie przebierzesz?

- Nie. - Tachion wspiął się na krzesło, by podziwiać liczne shurikeny, kusarigamy i naginaty.

- Czy bariera językowa stwarza jakieś problemy? - zapytał Tupuolę, wypisując czek.

- Nie. W ciągu kilku ostatnich dni jego angielski znacznie się poprawił.

- Jest bardzo bystry.

- To prawda - potwierdził Blaise, wchodząc na krzesło, by objąć dziadka za szyję. Tupuola zmarszczył brwi, obracając w palcach długopis.

- A może tak i mnie byś zademonstrował, jak bardzo poprawił się twój angielski? - zasugerował Tachion.

- Z tobą łatwiej mi się rozmawia po francusku - odparł chłopiec, przechodząc na ten język.

Tach pogłaskał wnuka po prostych, rudych włosach.

- Chyba będę musiał się nauczyć selektywnej głuchoty. Zachichotał nagle.

- Co jest? - zapytał Blaise, pociągając go za ramię.

- Przypomniałem sobie pewien incydent z dzieciństwa. Nie byłem wtedy wiele starszy niż ty teraz. Mogłem mieć z piętnaście lat. Doszedłem do wniosku, że fizyczne ćwiczenia są nudne i tylko sparingi naprawdę coś znaczą. Dlatego kazałem swym strażnikom osobistym toczyć ze mną walki ćwiczebne. - Tupuola ryknął śmiechem, a Tach potrząsnął ze smutkiem głową. - Był ze mnie nieznośny mały książę.

- I co się wydarzyło?

- Ojciec mnie przyłapał.

- I? - zapytał z zainteresowaniem Blaise.

- I skopał mi tyłek.

- Jestem pewien, że pańscy ochroniarze byli zachwyceni - skwitował z chichotem Tupuola.

- Och, byli stanowczo za dobrze wyszkoleni, by okazać jakiegokolwiek emocje, ale chyba sobie przypominam kilka wymownych ruchów warg. To było naprawdę upokarzające.

Tachion westchnął.

- Ja bym go powstrzymał - oznajmił Blaise z nagłym ogniem w oczach.

- Ach, ale ja szanowałem ojca i wiedziałem, że zasłużyłem na karę. Poza tym, gdybym wdał się w długi mentalny pojedynek z własnym ojcem na oczach służby, byłoby to pogwałceniem przykazań psioniki. Co więcej, mógłbym przegrać.

- Pstryknął chłopca palcem wskazującym w czubek nosa.

- Kiedy jest się Takizjaninem, zawsze trzeba brać pod uwagę taką możliwość.

- Przykazania psioniki. To brzmi jak jakaś mistyczna książka z lat sześćdziesiątych - zauważył Tupuola.

- Może któregoś dnia ją napiszę. - Tach wstał i zwrócił się ku wnukowi. - A jeśli już mowa o latach sześćdziesiątych, chciałbym, żebyś kogoś poznał.

- Czy to ktoś zabawny?

- Tak. A również dobry. To mój bliski przyjaciel.

Kąciki ust Blaisea opadły.

- To znaczy, że nie będę się mógł z nim bawić.

- Z nim nie, ale ma córkę.



- Patrz, Mark, wróciłem! - zawołał Tach i zdjął zamaszystym gestem kapelusz z piórem, stojąc w drzwiach sklepu z wyrobami tytoniowymi połączonego z delikatesami o nazwie „Kosmiczna Dynia (pokarm dla ciała, umysłu i ducha)”.

Doktor Mark Meadows, znany też jako Kapitan Trips, pochylał się nad ladą niczym bocian. Na czubkach jego palców delikatnie balansowała świeżo otwarta paczka tofu.

- Ach, cześć doktorku. Miło cię zobaczyć.

- Mark, to jest mój wnuk, Blaise. - Tachion wyciągnął chłopca zza swoich pleców i popchnął go delikatnie naprzód.

- Blaise, je *vous presente, Monsieur Mark Meadows.*

- *Enchante, monsieur.*

Mark pokazał Blaiseowi pacyfę, a Tacha przeszył ostrym spojrzeniem.

- Widzę, że masz mi mnóstwo do opowiedzenia.

- W rzeczy samej. Chciałem cię też prosić o przysługę.

- Co tylko zechcesz, brachu.

Tachion zerknął znacząco na wnuka.

- Chwileczkę. Chciałbym, żeby Blaise najpierw poznał Sprout.

- Hmm... jasne.

- Krótko mówiąc, to był koszmar. Śmierć, głód, choroby, ale na końcu... Blaise i nagle okazało się, że było warto. - Tachion zaprzestał nerwowego spacerowania po pomieszczeniu.

- Stał się ośrodkiem mojego życia. Chcę, żeby miał wszystko, Mark.

- Dzieci nie potrzebują wszystkiego, brachu. Potrzebują miłości.

Tach w czułym geście położył dłoń na chudym barku Ziemiańszaka.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, mój drogi przyjacielu.

- Nic mi nie opowiedziałeś. Gdzie go znalazłeś? Jak wygląda prawda o tym syfie, który wydarzył się w Syrii?

- Dlatego właśnie mówiłem, że to był koszmar.

Zaczęli rozmawiać. Tachion wspomniął o swych obawach o Sokolicę, a potem zdał relację z wydarzeń, które doprowadziły do odnalezienia Blaisea. Przemilczał tylko ostatnią konfrontację z Le Miroir, terrorystą kontrolującym ćwierć krwi takizjańskie dziecko. Wyczuwał, że łagodny, wrażliwy Mark mógłby przeżyć szok, gdyby się dowiedział, że Tachion z zimną krwią zlikwidował terrorystę. Spoglądając wstecz, doktor sam nie był z siebie zbyt dumny. Pomyślał z lekkim smutkiem, że choć spędził już na Ziemi prawie tyle samo lat, co na Takis, nadal był w znacznie większym stopniu Takizjaninem niż mieszkańcem swej nowej ojczyzny.

Spojrzał na zegarek wprawiony w obcas.

- Na płonące niebo, popatrz, która to już godzina - zawołał.

- Hej, świetne buty.

- Tak, znalazłem je w Niemczech.

- Hej, a co z Niemcami...

- Innym razem, Mark. Muszę już iść. Ach, jaki jestem głupi! Przyszedłem nie tylko dlatego, by mieć przyjemność cię zobaczyć, lecz również po to, by zapytać, czy mógłbyś mi od czasu do czasu pożyczać Durga. On jest w praktyce odporny na kontrolę umysłu, a ja nie mogę ciągnąć

wszędzie Blaisea za sobą ani zamykać go w Maleńkiej za każdym razem, gdy mam inne obowiązki.

- Durg jako niańka. We łbie się nie mieści.

- Tak, wiem. Uwierz mi, nie podoba mi się myśl, że potwór Zabba ma strzec mojego dziedzica, ale Blaise jest jak Matka Roju pośród planet, jeśli zostawić go bez nadzoru ze zwykłymi ludźmi. Rozumiesz, on w ogóle nie ma samodyscypliny, a ja za cholerę nie wiem, jak go jej nauczyć.

Trips położył rękę na barku Tachiona i obaj ruszyli ku drzwiom laboratorium.

- Czas, daj mu czas. Grunt to spokój, brachu. Nikt nie rodzi się ojcem.

- Ani nawet dziadkiem.

Mark popatrzył na delikatną, młodzieńczą twarz przyjaciela i zachichotał.

- Chyba trudno mu będzie zobaczyć w tobie dziadka. Będziesz musiał się zadowolić...

Na widok tego, co działo się w salonie, słowa zamarły na ustach Marka. Sprout, rozebrana do majteczek, zgrabnie tańczyła z misiem, śpiewając dziecienną piosenkę. Chichoczący Blaise podskakiwał na kanapie, manipulując dziewczynką jak marionetką.

- *K'ijdad*, czyż nie jest zabawna? Ma umysł tak prosty...

Moc Tachiona uderzyła i Sprout, nagle uwolniona spod przerażającej zewnętrznej władzy, zalała się łzami przerażenia i dezorientacji. Mark wziął ją w mocne objęcia.

- PROSTY? POKAŻĘ CI PROSTY UMYŚŁ! - Chłopiec miotał się sztywno po całym pokoju, podporządkowany bezwzględnemu imperatywowi umysłu dziadka. - CZY TO PRZYJEMNE!? PODOBA CI SIĘ...

- NIE, BRACHU, NIE! PRZESTAŃ! - Tachion zakołysał się, gdy przyjaciel potrząsnął nim mocno. - Wszystko w porządku - dodał Trips spokojniejszym tonem, gdy zniknęła maska diabła, która przed chwilą pojawiła się na zwykle spokojnej twarzy Tachiona.

- Przepraszam, Mark - wyszeptał Tach. - Serdecznie cię przepraszam.

- Wszystko w porządku, brachu. Po prostu... uspokójmy się wszyscy.

*Czy będziesz mógł mi kiedykolwiek wybaczyć?* - zapytał Tachion, przechodząc na telepatię.

Nie zrobiłeś nic, co wymagałoby wybaczenia, brachu.

Meadows opadł na jedno kolano przed płaczącym chłopcem i ujął go delikatnie za ramiona.

- Widzisz, przestraszyłeś się tak samo jak Sprout. Nie jest miło znaleźć się pod władzą kogoś innego. To prawda, że jej umysł jest słaby, ale to znaczy, że ktoś tak silny jak ty tym bardziej musi być dobry dla ludzi takich jak ona i opiekować się nimi. Rozumiesz?

Blaise skinął powoli głową, ale Tachion nie ufał skrytemu wyrazowi jego ciemnofioletowych oczu.

- Co za frajer! - skwitował chłopiec, gdy tylko znaleźli się na ulicy.

- WSIADAJ DO TAKSÓWKI.



- Przodkowie!

Szkoło zachręściło pod jego podeszwami. Na krótką, zapierającą dech w piersi chwilę, czas się cofnął i wspomnienie przeszłości przeszło mu gardło bólem niczym zaciskające kły zwierzę.

Pękające, sypiące się na podłogę szkło, lustra tłukące się wokół, posrebrzane noże przeszywające powietrze, krew tryskająca na rozbite zwierciadła.

Tachion otrząsnął się z koszmaru na jawie i przyjrzał się spustoszeniu wypełniającemu Gabinet Luster. Sprzątacze o tyłu rękach, że mógł sobie poradzić z trzema miotłami jednocześnie, zmiatał walające się po podłodze odłamki szkła. Des rozmawiał z jakimś facetem w garniturze. Marszczył brwi, a twarz miał poszarzałą.

- Nie jestem do końca pewien, czy pańska polisa...

- No jasne! Dlaczego dwadzieścia cztery lata zawsze opłacanych na czas składek i zero wypłacanych odszkodowań miałyby mnie do czegośkolwiek uprawniać? - warknął Des.

- Sprawdź to, panie Desmond, i wróć do pana.

- Co tu się dzieje, na czystość Ideą?

- Chcesz się napić?

- Chętnie. - Tachion wyciągnął portfel. Des popatrzył na banknoty z bladym uśmiechem na ustach. Palce na końcu jego dziwacznej trąby poruszyły się lekko. - Płacę za swoje trunki - dodał kosmita z lekkim rumieńcem.

- Teraz.

- To było dawno temu, Des.

- Masz rację.

Tachion kopnął odłamek lustra.

- Choć Bóg wie, że ten widok przywołuje dawne wspomnienia.

- Wigilia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Mai już od dawna nie żyje.

I ty też wkrótce umrzesz.

Nie, tych słów nie mógł wypowiedzieć na głos. Ale czy Des kiedykolwiek to przyzna? Tachion, rzecz jasna, szanował życzenia starego dzokera, pragnącego zachować prywatność, niemniej jego milczenie sprawiało mu ból. *Jak mam się z tobą pożegnać, stary przyjacielu? Wkrótce będzie za późno.*

Koniak przegnał ucisk z jego gardła, eksplodując w nim niczym rozżarzona do białości chmura. Tachion odstawił kieliszek.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważył.

- A co miałbym powiedzieć?

- Des, jestem twoim przyjacielem. Piłem w tym barze przez dwadzieścia lat. Zobaczyłem, że go zdewastowano i chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

- A po co ci ta wiedza?

- Może potrafię ci pomóc!

Tachion dopił trunek i zmarszczył brwi, spoglądając w wyblakłe oczy Desa.

- Od dwudziestu lat płaciłem za ochronę Rodzinie Gambione. Teraz wchrzanił się tu ten nowy gang i muszę płacić obu. Dość trudno mi związać koniec z końcem.

- Nowy gang? Co za nowy gang?

- Przybrali nazwę Widmowych Pięści. To zbiry z chińskiej dzielnicy.

- Kiedy to się zaczęło?

- W zeszłym tygodniu. Pewnie zczekali, aż wrócę do miasta.

- To znaczy, że dobrze znają Dżokerowo.

Des wzruszył ramionami.

- Czemu by nie? Są biznesmenami.

- Są bandziorami.

Kolejne wzruszenie ramion.

- Tym również.

- I co zamierzasz zrobić?
- Będę płacił obu stronom i miał nadzieję, że pozwolą mi spokojnie żyć.
- Jakkolwiek długo miałyby to potrwać - mruknął Tachion, wypijając kolejny kieliszek koniaku.
- Słucham?
- Doprawdy, Des. Nie jestem ślepy. Jestem też lekarzem. Co to jest? Rak?
- Tak.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Stary dzoker westchnął.
- Z wielu skomplikowanych powodów. Ale nie chciałem w tej chwili mówić o żadnym z nich.
- Ani nigdy?
- To również jest możliwe.
- Uważam cię za przyjaciela.
- Naprawdę, Tachy? Naprawdę?
- Tak. Czy możesz w to wątpić? Nie! Nie odpowiadaj mi. Dostrzegłem już odpowiedź. W twoich oczach i w twoim sercu.
- A czemu nie w moim umyśle, Tachion? Dlaczego jej tam nie wyczytałeś?
- Dlatego, że szanuję twoją prywatność i... - Wykrzywił nagle twarz i wessał gwałtownie powietrze w płuca. - Dlatego, że nie byłbym w stanie znieść tego, co mógłbym tam wyczytać - dokończył cicho. Rzucił na bar kilka banknotów i ruszył ku drzwiom. - Zobaczę, co dam radę zrobić, by twoja nadzieja mogła się spełnić.
- Słucham?
- Żebyś mógł dożyć swych dni w spokoju.



Taką samą sytuację zastał w delikatesach Erniego i Połykacza, w pralni Plamy oraz w tak wielu innych lokalach, że bał się nawet wyliczać nazwy wszystkich. Zasepiony Tachion rozerwał skórę pomarańczy. Zaszczypało go przelotnie od soku w niezauważonym dotąd skaleczeniu. Zbiry z chińskiej dzielnicy i zbiry z mafii, a pośrodku on ze swym głupim gadaniem, że coś w tej sprawie robi. *Na przykład co?*

Skończył obierać pomarańczę i włożył jedną cząstkę do ust. Lekki wietrzyk poruszył jego lokami i przyniósł dźwięk zachwyconego śmiechu Blaisea. Gdy tylko chłopiec usłyszał wzywający go bas Jacka Brauna, popędził przez park tak szybko, że jego odziane w czerwone rajtuzy nogi zmieniły się w zamazaną plamę. Braun odchylił się do tyłu, ściskając w wielkim łapsku piłkę futbolową i rzucił ją. Wyglądał jak gwiazdor filmowy. Wyblakłe na słońcu blond włosy opadały mu na czoło, spod jego spodenek safari wystawały opalone, żylaste nogi, a jaskrawa hawajska koszula wyglądała bardzo atrakcyjnie.

Tach rzucił garść okruchów chleba grupce zainteresowanych gołębi. *Cóż za ironia. Niedziela w parku z Jackiem.* Znienawidzony wróg przerodził się w... no cóż, może nie w przyjaciela, ale przynajmniej w kogoś, kogo obecność był w stanie tolerować. Jackowi nie zaszkodził też fakt, że przyszedł tu, bo chciał zobaczyć Blaisea. To bardzo poprawiło opinię Tachiona na jego temat. Miłość do Blaisea zawsze zdobywała uznanie doktora. Dzięki tej wycieczce Tachion wyrwał się

też wreszcie z brązowego gabinetu, w którym przesiadywał od chwili wizyty w Gabinetecie Luster.

Kawałek pomarańczy wreszcie przedostał się przez przełyk i żołądek Tachiona się zbuntował. Leżący na kocu Takizjanin przetoczył się z jękiem na plecy, by stłumić mdłości. To była cena niepokoju. W ostatnich dniach jego żołądek zmienił się w twardą, bolącą kulę. Tachion zaczął wyliczać dręczące go problemy.

Strach, który zawisł nad Dżokerowem niczym dotykalny całun. Leo Barnett oferuje, że uzdrowi dżokerów dzięki mocy swego boga, a jeśli mu się nie uda, z pewnością będzie to dowód na to, jak bardzo zgrzeszyli. Co, jeśli zostanie prezydentem?

Sokolica. Jej dziecko przyjdzie na świat za miesiąc. Przedwczoraj zrobił jej USG. Płód nadal był normalny i zdolny do życia, ale Tachion miał przerażającą, wnikającą w głąb duszy świadomość tego, jak stres porodowy może wpłynąć na dziecko z dziką kartą. *Na krew i ród, niech się urodzi normalne.* W przeciwnym razie to zniszczy Sokolicę.

Nadal też nie wybrał się na posterunek w Dżokerowie, by pomóc policyjnemu rysownikowi w stworzeniu portretu Jamesa Spectora...

Obok przetruchtała dziewczyna biegająca w towarzystwie charta afgańskiego. Warstewka potu nadawała jej skórze złocisty blask, a do nagich pleców lepiło się kilka pasm długich, czarnych włosów. Tach przyglądał się grze mięśni w jej nogach oraz obfitym piersiom podskakującym pod biustonoszem. Nagle poczuł, że penis wciska mu się w rozporek. To jednak było tylko gorzkie, irytujące wspomnienie o normalności. Po niezliczonych, pozbawionych nadziei schadzkach wiedział już, że gdy nadejdzie właściwa chwila, moc go opuści.

Przetoczył się z furią na brzuch i zaczął tłuc pięściami w ziemię - rozwścieczony własną impotencją oraz kapryśnym, niezdiscyplinowanym umysłem, który dawał się odciągnąć od myśli o asie zabójcy widokiem kobiecego ciała.

Ktoś szturchnął go stopą w żebra. Tachion zerwał się na równe nogi.

- Hej, hej. - Jack Braun uniósł ręce w uspokajającym geście. - Tylko bez nerwów.

- Gdzie Blaise? - zapytał Takizjanin z nagłym niepokojem.

- Dałem mu trochę pieniędzy na lody.

- Nie powinieneś go puszczać samego. Coś może się wydarzyć...

- Chłopak potrafi sobie poradzić. - Braun usiadł po tu-recku na kocu i zapalił papierosa. - Pozwolisz, że udzielę ci rady?

- Jasne.

- Nie jesteś na Takis, a on nie jest teraz księciem krwi.

Tachion parsknął cichym, gorzkim śmiechem.

- A nawet wręcz przeciwnie. Jest plugastwem. Na Takis czekałaby go śmierć.

- Hej?

Kosmita zebrał rozrzucone skórki pomarańczy i podszedł z nimi do kosza na śmieci.

- Najsurowsze kary są zarezerwowane dla tych, którzy rozrzucają nasienie poza granicami swej klasy. Jak moglibyśmy zachować władzę, gdyby wszyscy posiadali te same moce, co my?

Rzucił skórki do kosza.

- Pochodzisz z naprawdę uroczej kultury. Ale to tylko potwierdza moje słowa.

- Niby dlaczego?

- Przestań wpędzać go w szaleństwo. Wywierasz na niego zbyt silny nacisk. Oczekujesz, że będzie się zachowywał zgodnie z zasadami, które nie mają nic wspólnego z Ziemią, a do tego rozpieszczasz go niemożliwie. Lekcje muzyki, lekcje karate, lekcje tańca, nauka algebry,

biologii i chemii.

- W tym punkcie się mylisz. Jego trzeci nauczyciel zrezygnował i nadal nie znalazłem nowego. Dlatego właśnie muszę oczekiwać od niego tak wiele. Jego moc i pochodzenie czynią go kimś niezwykle. Przynajmniej dla mnie.

- Tachion, wysłuchaj mnie. Nie możesz dawać dzieciakowi każdej zabawki i błyskotki, której się domaga, ciągle mu powtarzać, że jest niezwykle, niezwykle, niezwykle, a potem liczyć na to, że nie zostanie małym, aroganckim skurczybyldem. Pozwól mu być dzieckiem. Na przykład jego ubranie.

- Co jest złego w jego ubraniu?

W ochrypłym głosie Takizjanina zabrzmiała groźba.

- Przynajmniej nie każ mu nosić spodni do kolan, koronek i kapeluszy. Kup mu dżinsy i czapkę Dodgersonów. Musi żyć w tym świecie.

- Ja postanowiłem, że się do niego nie dostosuję.

- Tak, ale ty jesteś świrem. W twoim przypadku to czysty ekstrawagancki popis. Jesteś też dorosłym mężczyzną i niewiarygodnie aroganckim sukinsynem. Nic cię nie obchodzi, co inni o tobie mówią. Nie chcesz, żeby Blaise nadużywał swej mocy, ale w praktyce zagwarantowałeś, że będzie zmuszony to robić. Nikt nie jest okrutniejszy od dzieci. Będą go dręczyć, dopóki się na nich nie odegra. A wtedy będziesz rozczarowany i okażesz dezaprobatę, on zaś będzie miał ci to za złe. Stworzyłeś piękny przykład błędnego koła.

- Powinieneś napisać książkę. Najwyraźniej twoje doświadczenie czyni cię autorytetem w kwestii wychowania dzieci.

- Do licha, Tachion. Lubię tego dzieciaka. Nawet ciebie czasami lubię. Kochaj go i odpręż się.

- Kocham go.

- Nieprawda. Kochasz to, co sobą reprezentuje. Masz obsesję na jego punkcie z powodu swojej im... - Przerwał nagle i zaczerwienił się mocno. - Do licha, przepraszam. Nie chciałem o tym wspominać.

- Skąd w ogóle o tym wiesz?

- Fantazja mi powiedziała.

- Suka.

- Hej, zachowaj spokój, a wszystko się ułoży. To nic wielkiego.

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to ważne. Potomstwo, kontynuacja... pierdolić to! Czy twoje nowe kasyno będzie też oferowało psychoterapię? Zajmij się tym, w czym jesteś najlepszy, Jack. Płyn z prądem i zarabiaj forszę. Ale mnie zostaw w spokoju!

- Z przyjemnością!

Tachion podniósł z ziemi koc i koszyk piknikowy, a następnie ruszył na poszukiwania Blaisea.

- Gdzie wujek Jack?

- Miał pilne spotkanie w Atlantic City.

- Znowu się pokłóciliście. Dlaczego robicie to tak często?

- Przez dawne czasy.

- Jeśli są dawne, powinniście o nich zapomnieć.

- Ty też? - burknął Tach i zatrzymał taksówkę.

- Dokąd jedziemy?

- Do Marka.

- No tak.





- Niech pan na mnie zaczeka - poleciał Tachion, gdy zatrzymali się przed „Kosmiczną Dynią”.
- Jasne, ale licznik chodzi - ostrzegł mężczyzna z silnym akcentem o nieokreślonym pochodzeniu.
- W porządku.
- Ja też zaczekam - rzekł cicho Blaise. Tachion zawstydził się na moment, przypominając sobie, jak utracił panowanie nad sobą podczas poprzedniej wizyty w „Dyńi”.
- Mark! - zawołał, wsadzając głowę do środka.
- Tak?
- Szybkie pytanie. Czy niepokoił cię wysłannicy rozmaitych organizacji przestępczych? Garstka gości z nowojorskiego uniwersytetu spojrzała na Tachiona, otwierając szeroko oczy.
- He?
- Poirytowany Takizjanin wypuścił powietrze z płuc.
- Czy chcieli, żebyś płacił za ochronę?
- Ach, o to ci chodziło. Tak, parę razy, kilka miesięcy temu, ale... no wiesz, wezwałem jednego z... przyjaciół i potem już nie wrócili.
- Gdyby tylko wszyscy mieli takich przyjaciół jak ty, Mark.
- Czy to wszystko?
- Wszystko.
- Mogę ci jakoś pomóc?
- Nie wydaje mi się.



- Tachion wrócił do taksówki i podał adres kliniki.
- Ooo, Dżokerowo. Pan jesteś ten doktor?
  - Tak.
  - Widziałem pana w telewizji. W *Grzędzie Soko Lichej*.
  - Sokolicy - poprawił go Tachion. - Tak, to byłem ja.
  - Jezus Maria!
- Nagły okrzyk taksówkarza przyciągnął uwagę Tachiona do drogi przed nimi. Hester Street blokowało skupisko radiowozów o migoczących światłach. Obok przemknęła jadąca na sygnale karetka.
- Cholera, to na pewno znowu, jak to tam zwał, zamach.
  - Niech się pan zatrzyma.
- Tach wypadł z taksówki i pochylił się, przechodząc pod taśmą policyjną. Słysząc było przeraźliwe krzyki kobiety. Takizjanin zauważył znajomego policjanta, Maseryka, i przepchnął się do niego.
- Co się stało?
  - Jak do licha... ach, dzień dobry, doktorze.
- Policjant popatrzył ze zdziwieniem na małego chłopca, który gapił się zafascynowany na ciała leżące w wysadzonej restauracji.
- Wracaj do taksówki i zaczekaj tam - rozkazał Blaiseowi Tachion.

- Ale...

- Natychmiast!

- Wygląda na kolejne małe przyjęcie - stwierdził Maseryk, gdy Blaise oddalił się niechętnie. - Ale tym razem w tłum wmieszał się nieproszony gość.

Wskazał głową na płaczącą kobietę, czepiającą się małego worka na ciało ładowanego do karetki.

Tachion podbiegł do noszy, otworzył worek i przyjrzał się chłopcu. Dzieciak nawet za życia nie wyglądał atrakcyjnie

- ciężkie, pękate ciało osadzone na szerokich płetwach. Po odstrzeleniu połowy głowy prezentował się znacznie gorzej. Takizjanin odwrócił się błyskawicznie i objął mocno kobietę.

- MOJE DZIECKO! MOJE DZIECKO! NIE POZWÓLCIE IM ZABRAĆ MOJEGO DZIECKA!

Pojawił się ratownik medyczny ze strzykawką w dłoni. Tachion uspokoił łkającą matkę lekkim dotknięciem mocy i przekazał ją mężczyźnie.

- Niech pan obchodzi się z nią delikatnie.

- To chyba chłopaki Gambione - zawołał Maseryk, przyglądając się z namysłem kolejnemu ciału. Z ust trupa wysuwało się kilka nitek spaghetti, a na jego podbródku zostały czerwone ślady. - Pięści przyjechały i otworzyły ogień z samochodu. Samochód się znajdzie i okaże się, że był kradziony. Kolejny ślepy zaułek. Szkoda dzieciaka. Jak to mówią, znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Policjant zorientował się, że Tachion milczy. Zerknął na niego.

- Nie chcę ślepych zaułków, Maseryk. Chcę dorwać tych ludzi.

- Pracujemy nad tym.

- Może nadszedł już czas, bym sam się w to włączył.

- Jezu, tylko nie to. Ostatnie, czego potrzebujemy, to cywile pałętający się nam pod nogami. Niech się pan w to nie miesza.

- Nikt nie będzie zabijał moich ludzi w moim mieście!

- Hę? Burmistrz bardzo się zdziwi, kiedy usłyszy, że przegrał z panem w ostatnich wyborach - zawołał gliniarz za oddalającym się Tachionem.



- Koniak - warknął Tachion do Saschy, ślepego barmana z Kryształowego Pałacu. Rzucił na bar niebieski, aksamitny kapelusz wyszywany perłami i cekinami, a potem wychylił duszkiem trunek i uniósł kieliszek. - Jeszcze jeden.

Poczuł woń egzotycznych perfum z frangipani. Poczwarka usiadła na krześle obok. Niebieskie oczy unoszące się w kostnych zagłębieniach popatrzyły na niego bez wyrazu.

- Dobrą brandy powinno się smakować, a nie łykać duszkiem jak menel tanie wino. Chyba że tym właśnie pragniesz się stać.

- Mówisz jak naganiaczka Anonimowych Alkoholików.

Poczwarka wyciągnęła rękę i owinęła sobie rudy lok wokół palca wskazującego.

- O co chodzi, Tachy?

- O tę bezsensowną wojnę gangów. Dzisiaj jej ofiarą padło niewinne dzokerskie dziecko. Myślę, że chłopiec mieszkał gdzieś tutaj. Pamiętam, że widziałem go w ostatni Dzień Dzikiej

Karty.

- Och - mruknęła, nie przestając się bawić jego włosami.
- Przestań to robić! Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?
- A co jeszcze miałabym powiedzieć?
- Może by tak okazać odrobinę oburzenia?
- Moim towarem jest informacja, nie oburzenie.
- Boże, potrafisz być naprawdę zimną suką.
- Warunki mnie do tego zmusiły, Tachion. Nikogo nie proszę o litość i nikomu jej nie okazuję. Robię to, co konieczne, by przetrwać z tym, co mi dano. Z tym, kim się stałam.

Odsunął się, słysząc gorycz w jej głosie. Była jednym z jego bękarcich dzieci, zrodzonych z jego porażki i bólu.

- Poczwarko, musimy coś zrobić.
  - Na przykład co?
  - Nie dopuścić do tego, by Dżokerowo stało się polem bitwy.
  - Już nim jest.
  - W takim razie postarajmy się, żeby toczenie walki w tym miejscu stało się dla nich zbyt niebezpieczne. Pomożesz mi w tym?
  - Nie. Jeśli opowiem się po którejś ze stron, utracę neutralność.
  - Wolisz sprzedawać broń wszystkim, tak?
  - Jeśli okaże się to konieczne.
  - Czego właściwie pragniesz, Poczwarko?
  - Bezpieczeństwa.
- Zsunął się ze stołka.
- Nie znajdziesz go po tej stronie grobu.
  - Idź wygłaszać płomienne przemowy gdzie indziej, Tachion. Jeśli przyjdzie ci do głowy coś bardziej konkretnego niż nieokreślone pragnienie obrony Dżokerowa, możesz mnie o tym zawiadomić.
  - A po co? Żebyś sprzedała mnie temu, kto da najwięcej? Tym razem to ona odsunęła się od niego. Krew wypełniła widmowe mięśnie jej twarzy niczym ciemna fala.



- Dobra, przejdźmy do rzeczy! - zawołał Des, stukając lekko łyżeczką w kieliszek do brandy. Skłębiony tłum zadrżał raz jeszcze niczym jakaś zapadająca w sen bestia i w Gabinetie Luster nastąpiła cisza. Mark Meadows, który w krzywych zwierciadłach zdobiących ściany lokalu wyglądał jeszcze głupiej i absurdalniej niż zwykle, wyróżniał się swą normalnością. Reszta gości przywodziła na myśl zgromadzenie pokazywanych na jarmarkach dziwolągów. Ernie Jaszczurka postawił kryzę, która pod wpływem emocji przybrała ciemnoszkarłatny odcień. Arachne trzymała w ośmiu nogach wydzielaną przez jej cebulowate ciało nić i spokojnie tkła szal. Połyk wiercił się nerwowo na krześle. Klucha, olbrzymi i miękki, siedział obok niego. Mors, odziany w jedną ze swych barwnych hawajskich koszul, wyciągnął gazetę ze swojego wózka i wręczył ją Połykaczowi. Wysoki na ponad dwa i pół metra Troll oparł się o drzwi, jakby przygotowywał się do odparcia ewentualnych intruzów.

- Doktorze?

Des osunął się na krzesło jak zrzucony garnitur. Tachion wysunął się naprzód, zastanawiając się, ile czasu minie, nim staruszek będzie zmuszony po raz ostatni udać się do szpitala.

- Panie i panowie, słyszeliście o śmierci Alexa Reichmanna? - Odpowiedziały mu szepty potwierdzenia, współczucia i oburzenia. - Pechowo natknąłem się na tę scenę, chwilę po tym, jak Widmowe Pięści dokonały ataku i zdołały zabić nie tylko swój wybrany cel, lecz również jednego z nas. Wróciłem do kraju dopiero przed kilkoma tygodniami. Słyszałem o aktach zastraszenia i wandalizmu, ale sądziłem, że będę mógł zachować neutralność. Jestem lekarzem, nie policjantem, że zacytuję słowa innego, być może sławniejszego medyka.

Kilka osób w audytorium parsknęło śmiechem.

- Ale policja nie wykonuje swych obowiązków - ciągnął Tachion. - Być może nie jest to celowe zaniedbanie. Być może powstrzymanie tej wojny po prostu wykracza poza jej możliwości. Dlatego pragnę dziś zaproponować, żebyśmy powołali własne siły pokojowe. Straż obywatelską na wielką skalę, a także coś więcej. Wielu z was należy do niefortunnej kategorii dzokeroasów. - Kosmita wskazał głową na Erniego i Trolla, o których nadludzkiej sile powszechnie wiedziano.

- Proponuję, byśmy powołali też grupy szybkiego reagowania. Pary złożone z dzokerów i asów zdolne zjawić się na wezwanie każdego obywatela Dżokerowa. Des zaproponował już, że Gabinet Luster stanie się głównym ośrodkiem, że tak powiem centralą przyjmującą wezwania. Ludzie, którzy zgodzą się uczestniczyć w naszej operacji, poinformują nas, kiedy mają wolny czas, a także podadzą adresy, domowe i miejsca pracy. Dyżurny będzie mógł zestawić odpowiednią parę i wysłać ją na wskazane miejsce.

- Jeden drobiazg, Tachy - zawołał Jube. - Ci faceci mają broń.

- To prawda. Ale z drugiej strony to tylko natole.

- A niektórych z hmm... „przyjaciół” Kapitana kule się nie imają - dodał Mark Meadows.

- Podobnie jak Żółwia, Jacka i Młota...

- To znaczy, że zamierzasz wykorzystać też asów? - zapytał Des. Między jego brwiami pojawił się lekki mars.

- Tak - potwierdził Tachion, spoglądając na niego z lekkim zaskoczeniem.

- Czy mogę wskazać, że w marcu Rosemary Muldoon próbowała tego samego, a potem okazało się, że sama była członkinią mafii? To pozostawiło po sobie niesmak, gdy chodzi o użycie asów.

Tachion zbył ten argument machnięciem dłoni.

- Nie wydaje się prawdopodobne, by któryś z nas okazał się członkiem mafii. I co wy na to? Jesteście gotowi podjąć współpracę?

- A co o tym sądzi Poczwarzka? - zapytał Połykacz. - Czy to przypadek, że jej tu nie ma?

- No cóż - zaczął Tach, wierząc się nerwowo.

- Tak jest - zawołał Skrzelak. - Jeśli Poczwarzka tu nie przyszła, to musi coś znaczyć. Na pewno o czymś wie.

Tachion wpatrywał się z trwogą w morze twarzy przed sobą. Wszystkie odgradzały się od niego jak nocne kwiaty, zamykające się przy pierwszym dotknięciu słońca.

- Poczwarzka i Des zawsze byli dwiema najważniejszymi postaciami w Dżokerowie. Nie zaufam niczemu, w czym ona nie chce uczestniczyć - zawołał Połykacz. Na jego dziobie podskakiwała czerwona narośl.

- A co ze mną? - zapytał Tachion.

- Nie jesteś jednym z nas. I nigdy nie będziesz - zawołała jakaś kobieta z tyłu sali. Tachion nie zdołał jej wypatrzeć. Gdy usłyszał te słowa, w sam środek jego piersi spadł miazdzący ciężar.

- Posłuchaj, nie uważamy, że to zły pomysł - odezwało się Kuriozum. - Chcemy po prostu

powiedzieć, że bez Poczwaraki brakuje ważnego elementu.

- A jeśli ją przekonam? - zapytał Tachion z lekką desperacją.
- Wtedy cię poprzemy.



Kopacz Downs zbiegał truchtem po schodach z prywatnych pokoi Poczwaraki położonych na drugim piętrze. Tachion łypnął na niego z irytacją i skinął głową. Zauważył, że dziennikarz trzyma pod pachą najnowszy „Time”, ze zdjęciem Hartmanna na okładce i napisem „Czy wystartuje?”, a także egzemplarz *Who's Who in America*.

- Cześć, Tachy! I Des. Co dobrego słysząc?

- Spadaj, Kopacz.

- Hej, chyba nie masz mi nadal za złe...?

- Spadaj.

- Opinia publiczna ma prawo do informacji. Mój artykuł o ciąży Sokolicy był użyteczny społecznie, bo wskazał na niebezpieczeństwa grożące dzieciom zarażonym dziką kartą.

- To był goniący za sensacją syf.

- Jesteś wkurzony, bo Soko wściekła się na ciebie. Nigdy nie będziesz miał u niej szans, doktorku. Słyszałem, że ona i jej chłopak planują...

Tachion zapanował nad jego umysłem, kazał mu zejść ze schodów, a następnie wyprowadził go z Kryształowego Pałacu przez drzwi wejściowe.

- Ja bym to uznał za napaść - ostrzegł go Des.

- Niech mi spróbuje coś udowodnić.

- Czasami naprawdę brak ci wrażliwości, Tachion.

Kosmita odwrócił się, oparł o poręcz i zasepił się, spoglądając z góry na dzokera.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, Des?

- Nie wciągaj w to asów. To powinien być dzokerski projekt. A może uważasz, że sami sobie nie poradzimy?

- Och, na płonące niebo! Czemu jesteś taki drażliwy? Nie chciałem was obrazić, zapraszając asów. Po prostu uważałem, że im więcej siły ognia, tym lepiej.

- Dlaczego to robisz?

- Dlatego, że oni krzywdzą mój lud, a na to nikomu nie pozwolę.

- I?

- I Dżokerowo to mój dom.

- I?

- I co!

- Pochodzisz z arystokratycznej kultury, Tachion. Czy przypadkiem nie uważasz nas za swe prywatne lenno?

- To niesprawiedliwe, Des - zawołał, ale jego ból złagodziło nagłe ukłucie poczucia winy. Pokonał jeszcze kilka schodów, zanim się zatrzymał.

- W porządku, nie będzie asów.



Poczwarka czekała na nich, siedząc na krześle o wysokim oparciu i obiciu z czerwonego aksamitu. W pokoju było pełno wiktoriańskich antyków, a na ścianach wisiały liczne lustra. Tach powstrzymał drżenie, zastanawiając się, jak dzokerka to wytrzyma. Ponownie wypełniło go poczucie winy. Jeśli chciała na siebie patrzeć, jakie miał prawo ją osądzać? Był jej stwórcą w więcej niż jednym sensie tego słowa. Spojrzał z zasępioną miną na Desa. Wolałby, żeby stary dzoker nie wzbudzał w nim tak wiele kłopotliwych uczuć.

- Zatem beze mnie nie dostaniecie swoich zbirów - wycedziła z udawanym brytyjskim akcentem.

- Powinienem był przewidzieć, że już o tym usłyszałaś.

- Na tym polega moja robota, Tachy.

- Poczwarko, proszę, potrzebujemy cię.

- A co mi za to dacie?

Des usiadł naprzeciwko, splótł dłonie między kolanami i pochylił się w stronę kobiety.

- Spraw sobie prezent, Poczwarko.

- Słucham?

- Choć raz w życiu zapomnij o zyskach i marży. Jesteś dzokerką. Pomóż swoim współpracownikom. Poświęciłem dwadzieścia trzy lata na walkę o prawa dzokerów, o ten kawałek ziemi. Dwadzieścia trzy lata pracy dla DLZ i bardzo nieliczne sukcesy. A teraz umieram i widzę, że to wszystko się rozpada. Leo Barnett nazywa nas grzesznikami i mówi, że nasze deformacje to kara boża. Dla Pięści i dla mafii jesteśmy tylko konsumentami. Najbrzydszymi i najbardziej znienawidzonymi ze wszystkich, ale zawsze konsumentami, a nasze miasto to ich najważniejszy rynek zbytu. Jesteśmy dla nich wyłącznie rzeczami, Poczwarko. Rzeczami, które wstrzykują sobie ich herę w ramiona i wtykają kutasy w ich kobiety. Rzeczami, które mogą terroryzować i zabijać. Pomóż nam ich powstrzymać. Pomóż nam zmusić ich, by zobaczyli w nas ludzi.

Jej oczy wpatrywały się w niego z przezroczyściej, obojętnej twarzy. Czaszki pozbawionej uczuć.

- Poczwarko, podziwiasz wszystko, co brytyjskie. Uhonoruj więc stary brytyjski zwyczaj i spełnij ostatnie życzenie umierającego. Pomóż Tachionowi. Pomóż naszemu ludowi.

Takizjanin uniósł rękę, splótł swoje palce z palcami na końcu trąby Desa, a następnie przyciągnął go do siebie i objął. Pożegnał się z nim.

## Koncert dla syreny i serotoniny

### IV

Po przebudzeniu Croyd odepchnął na bok mop, wszedł w wiadro i runął na twarz. Drzwi schowka nie stawiły zbyt poważnego oporu potężnemu uderzeniu jego wyciągniętych rąk. Kiedy się otworzyły, padł na podłogę. Światło zakłuło go w oczy. Zaczął sobie przypominać, co się wydarzyło, nim położył się spać. Doktor-centaur Finn i jego dziwna maszyna do zasypiania, tak jest... Kolejna mała śmierć oznaczała kolejne przeobrażenie.

Leżąc w korytarzu, policzył swoje palce. Miał ich dziesięć, tak jak trzeba, ale jego skóra zrobiła się trupio biała. Stracił wiadro z nogi, wstał i znowu się potknął. Jego lewa ręka opuściła się nagle, dotknęła podłogi i odepchnęła się od niej. Wstał i ponownie poleciał do tyłu. Wykonał salto w powietrzu, wylądował na nogach i raz jeszcze runął w tył. Wyciągnął ręce ku podłodze, by powstrzymać upadek, ale powstrzymał się w porę i po prostu pozwolił sobie zwalić się na plecy. Dzięki latom doświadczenia podejrzewał już, jaki nowy czynnik wkroczył do jego życia. Te przesadne reakcje powiedziały mu coś o szybkości jego odruchów.

Kiedy wstał znowu, poruszał się bardzo powoli, ale w miarę, jak badał otoczenie, wszystko wracało do normy. Kiedy znalazł łazienkę, wszelkie ślady nadmiernej bądź niedostatecznej szybkości zdążyły już zniknąć. Przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze i zobaczył, że nie tylko jest teraz wyższy i chudszy, lecz również ma różowe oczy, białą czuprynę i czoło wysokie jak czoło lodowca. Pomasażował sobie skronie, oblizał wargi i wrzucił ramionami. Albinizm nie był dla niego nowością. Nie pierwszy raz obudził się z niedostatkami pigmentu.

Poszukał lustrzanek, ale przypomniał sobie, że Zgon stracił mu je kopniakiem. Kupi sobie nowe, a do tego jakiś krem z filtrem przeciwsłonecznym. Doszedł do wniosku, że powinien też ufarbować włosy, żeby nie przyciągać zbyt wielkiej uwagi.

Tak czy inaczej, żółądek gorączkowo informował go, że jest pusty. Nie było czasu na formalności, na przepisowe wypisywanie się ze szpitala - o ile rzeczywiście przyjęto go tu zgodnie z przepisami. Nie był pewien, czy rzeczywiście tak było. Lepiej unikać pracowników kliniki, jeśli nie chciał, by zatrzymali go w drodze do jedzenia. Może wpadnie tu przy innej okazji, by podziękować Finnowi.

Skierował się ku wyjściu, maksymalnie wyęzając wszystkie zmysły, jak kiedyś nauczył go Bentley.



- Cześć, Jube. Wszystkie po jednym egzemplarzu, jak zwykle.

Mors przyjrzał się wysokiemu, chudemu jak trup mężczyźnie. Z zasłaniających tamtemu oczy lustrzanek spoglądały na niego odbicia jego tłustej, wyposażonej w kły twarzy.

- Croyd? To ty, stary?

- Aha. Dopiero co wstałem. Tym razem zdrzemnąłem się w klinice Tachiona.
- Pewnie dlatego nie słyszałem ostatnio żadnych historii o katastrofach wywołanych przez Croyda Crensona. Naprawdę wszedłeś łagodnie do tej dobrej nocy?
- Croyd skinął głową, czytając nagłówki.
- Można by to tak określić - przyznał. - Niezwykłe okoliczności. Dziwaczne wrażenie. Hej! Co to jest? - Uniósł gazetę i przyjrzał się jej uważniej. - „Jatka w Klubie Wilkołaków”. Co tu jest grane? Jebana wojna gangów?
- Jebana wojna gangów - potwierdził Jube.
- Cholera! Muszę szybko wrócić w kurs.
- Jaki kurs?
- Kurs w sensie metaforycznym - odparł Croyd. Jeśli dziś piątek, to musi być Martwy Nicholas.
- Dobrze się czujesz?
- Nie, ale dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy kalorii byłoby krokiem we właściwym kierunku.
- To powinno cię trochę uspokoić - przyznał Jube. - Hej, wiesz, kto wygrał w zeszłym tygodniu wybory miss Dżokerowa?
- Kto? - zapytał Śpioch.
- Nikt.



Croyd wszedł do klubu Martwy Nicholas przy akompaniamencie organów grających „Wolverine Blues”. Okna zasłaniały czarne draperie, stoły były trumnami, a kelnerzy nosili całuny.

Ścianę krematorium usunięto. Jej miejsce zajęło otwarte palenisko obsługiwane przez dżokerów o demonicznym wyglądem. Po wejściu do sali Croyd zauważył, że trumny mają szklane blaty, pod którymi leżały makabryczne postacie - zapewne wykonane z wosku - w rozmaitych, dalekich od spoczynku pozach.

Natychmiast pojawił się pozbawiony warg, nosa i uszu dżoker, równie bladej jak sam Croyd. Położył mu na ramieniu kościstą dłoń.

- Przepraszam, czy mógłby mi pan pokazać kartę członkowską? - zapytał.
- Śpioch wręczył mu pięćdziesięciodolarowy banknot.
- Oczywiście - zgodził się ponury kelner. - Przyniosę panu kartę do stolika. Razem z piwem na koszt firmy. Jak rozumiem, zje pan u nas kolację?
- Tak. Słyszałem, że gracie tu w karty.
- Na zapleczu. Ale zwyczaj wymaga, by inny gracz pana wprowadził.
- Oczywiście. Właściwie chodziło mi o faceta, który powinien się tu dziś pokazać. Nazywa się Oko. Czy już się zjawił?
- Nie. Pan Oko został pożarty. To znaczy częściowo. Przez aligatora. We wrześniu. W kanałach. Przykro mi.
- O kurde - zmartwił się Croyd. - Nie widywałem się z nim zbyt często. Ale jak już się spotykaliśmy, zwykle miał dla mnie jakieś drobne zlecenie.
- Kelner przyjrzał mu się z uwagą.
- Jak się pan właściwie nazywa?



- Zadymka.

- Nie interesuje mnie, czym się pan zajmuje - zapewnił kelner. - Ale jest tu taki facet, nazywa się Topniak. On dobrze znał Oko. Może będzie mógł panu pomóc, a może nie. Jeśli zechce pan zaczekać, przyślę go, kiedy się zjawi.

- W porządku. Tymczasem coś zjem.

Croyd popijał piwo z nowojorskiego browaru, czekając na dwa steki. W pewnej chwili wyjął z bocznej kieszeni talię kart, potasował ją i położył na blacie jedną kartę zakrytą, a obok niej drugą odkrytą. Z przezroczystego blatu patrzyła na niego dziesiątka kier. Pod szkłem kobieta o wydatnych kłach wykrzywiała twarz w śmiertelnym grymasie. Serce miała przebite drewnianym kołkiem, a obok jej ust lśniło kilka czerwonych kropelek. Croyd odwrócił zakrytą kartę. Okazało się, że to siódemka pik. Odwrócił ją, rozejrzał się wkoło, a potem odwrócił raz jeszcze. Tym razem dziesiątce dotrzymywał towarzystwa walet trefl. Gdy poprzednio miał podrasowany refleks, ćwiczył tę sztuczkę dla zabawy. Ta zdolność wróciła do niego niemal natychmiast. Zadał sobie pytanie, jakie jeszcze czynności drzemią w przedczołowej korze jego mózgu. Trzepotanie skrzydłami? Zaciskanie gardła, umożliwiające wydawanie ultradźwiękowych pisków? Koordynacja ruchów dodatkowych kończyn?

Wzruszył ramionami i zaczął rozdawać karty, dając sobie pokerowe ręce odrobinę lepsze od tych, które przypadały w udziale kobiecie z kołkiem w sercu. Po chwili przyniesiono jedzenie.

Przy chyba trzecim deserze kelner podszedł do stolika w towarzystwie osobnika o ciele wyglądającym, jakby spływało z niego niczym topiący się воск ze świecy. Jego twarz nieustannie zniekształcały guzowate wypukłości przesuwające się pod skórą.

- Powiedział pan, że chciałby się spotkać z Topniakiem - oznajmił kelner.

Croyd wstał i wyciągnął rękę.

- Mów mi Zadymka - przedstawił się. - Siadaj. Postawię ci kolejkę.

- Jeśli chcesz mi coś sprzedać, zapomnij o tym - odparł Topniak. Croyd potrząsnął głową i kelner się oddalił.

- Słyszałem, że gracie tu w karty, a nie mam nikogo, kto by mnie wprowadził - oznajmił as.

Topniak przymrużył powieki.

- To znaczy, że jesteś graczem?

- Czasami sprzyja mi szczęście - odparł z uśmiechem Śpioch.

- Naprawdę? I znałeś Oko?

- Wystarczająco dobrze, żeby z nim grać.

- I to wszystko?

- Możesz zapytać Zgona. Zajmujemy się podobnymi sprawami. Obaj jesteśmy byłymi księgowymi, którzy znaleźli sobie lepszą robotę. Moja ksywka mówi sama za siebie.

Topniak rozejrzał się pośpiesznie, a potem usiadł.

- Lepiej nie mówmy o tym tak głośno, dobra? Szukasz teraz pracy?

- W tej chwili nie. Chciałem tylko pograć trochę w karty.

Topniak oblizał wargi, gdy wypukłość spłynęła po jego lewym policzku, przeszła barierę żuchwy i rozciągnęła mu szyję.

- Masz mnóstwo zielonych do rozdania?

- Wystarczy mi.

- Dobra, wprowadzę cię - zgodził się dzoker. - Chętnie trochę ich wezmę.

Croyd uśmiechnął się, zapłacił rachunek i podążył za Topniakiem do pokoju na zapleczu. Stół w kształcie trumny, na którym grano, miał nieprzezroczysty, matowy blat. Początkowo graczy

było siedmiu, ale przed północą trzech się splukało. Stosy pieniędzy przed Croydem, Topniakiem, Owadzi Alfonsiem i Biegaczem rosły i kurczyły się na przemian aż do trzeciej nad ranem. Wreszcie Biegacz ziewnął, przeciągnął się i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki buteleczkę z pigułkami.

- Ktoś chce łyknąć coś, żeby nie zasnąć? - zapytał.
- Będę się trzymał kawy - odparł Topniak.
- Daj mi - poprosił Owadzi Alfons.
- Nie biorę tego do ust - oznajmił Croyd.

Pół godziny później Owadzi Alfons złożył karty i mruknął coś o tym, że musi sprawdzić, co słychać u dzokerskich laleczek, które sprzedawał natolom spragnionym perwersyjnym rozkoszy. O czwartej Biegacz też się splukał i musiał sobie pójść. Croyd i Topniak popatrzyli na siebie.

- Obaj jesteśmy do przodu - stwierdził Topniak. - Naprawdę.
- Powinniśmy wziąć forszę i zmiatać? - zapytał Croyd z uśmiechem.
- Czuję to samo - zgodził się Topniak. - Jeszcze jedno rozdanie.

Przez witrażowe szyby do środka wpadły pierwsze promienie słońca i zakurzone mechaniczne nietoperze podążyły na spoczynek w ślad za elektronicznymi duchami. Topniak pomasaował skronie i potarł powieki.

- Przyjmiesz mój marker? - zapytał.
- Nie - odparł Croyd.
- W takim razie niepotrzebnie zgodziłeś się zagrać jeszcze jedno rozdanie.
- Nie powiedziałeś mi, że jesteś aż tak splukany. Myślałem, że możesz wypisać czek.
- Niech to szlag. Nie mam forsy. Co chcesz zrobić?
- Pewnie wezmę coś innego.
- Na przykład co?
- Nazwisko.
- Czyje nazwisko? - zapytał Topniak, sięgając pod marynarkę i drapiąc się po piersi.
- Osoby, która wydaje ci rozkazy.
- Jakie rozkazy?
- Te, które przekazujesz facetom takim jak Zgon.
- Chyba żartujesz. To by mnie kosztowało własną dupę.
- To będzie cię kosztowało własną dupę, jeśli tego nie zrobisz - stwierdził Croyd.

Topniak wyciągnął rękę spod marynarki i wycelował w pierś Croyda automatyczny pistolet kalibru trzydzieści dwa.

- Nie boję się zwykłych mięśniaków. Są w nim kule dum-dum. Wiesz, co one mogą zrobić?

Nagle broń zniknęła z dłoni Topniaka. Spod paznokcia palca, który trzymał na spuście, sączyła się krew. Croyd powoli wygiął pistolet w rękach, a potem wyrwał magazynek i wysunął z niego pocisk.

- Miałeś rację, to kule dum-dum - przyznał. - Tylko popatrz na te małe skurczybyki o płaskich nosach. Swoją drogą, nie nazywam się Zadymka. Jestem Croyd Crenson, Śpioch, i nikomu nie pozwolę się oszukać. Może słyszałeś, że mam trochę nie po kolei w głowie. Jeśli podasz mi nazwisko, nie będziesz musiał się przekonywać na własnej skórze, jak wiele w tym prawdy.

Topniak obliznął wargi. Wypukłości pod jego lśniąca od potu skórą zaczęły się przemieszczać szybciej.

- Jeśli kiedykolwiek się o tym dowiedzą, będę trupem.
- As wzruszył ramionami.

- Jeśli ty im nie powiesz, ja z pewnością tego nie zrobię.  
- Przesunął stertę banknotów w stronę Topniaka. - To twoja działka za to, że wprowadziłeś mnie do gry. Podaj mi nazwisko, weź forszę i odejdz. W przeciwnym razie zostawię cię tu w trzech takich skrzyńkach.

Croyd kopnął trumnę.

- Danny Mao - wyszeptał Topniak. - Z Wypaczonego Smoka. To na granicach chińskiej dzielnicy.

- On daje ci listę celów i przekazuje forszę?

- Tak jest.

- A kto pociąga za sznurki?

- Kurwa, skąd mam wiedzieć? Znam tylko jego.

- Kiedy można go spotkać w tym Wypaczonym Smoku?

- Chyba często się tam pokazuje. Ludzie go znają. Dzwoni do mnie, jadę tam i zostawiam płaszcz w szatni. Jemy kolację albo wypijamy kilka kolejek. Nie wspomina o interesach, ale gdy odbieram płaszcz, znajduję w kieszeni kartkę z jednym nazwiskiem albo dwoma czy trzema i kopertę z forszą. Z Okiem było tak samo. Tak właśnie pracował.

- A za pierwszym razem?

- Za pierwszym razem poszliśmy na spacer i wytłumaczył mi, jak to działa. Potem już zawsze tak to wyglądało.

- I to już wszystko?

- Wszystko.

- W porządku, jesteś wolny.

Topniak zebrał swoje banknoty i wsadził je do kieszeni. Otworzył wypaczone usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Po chwili zmienił je znowu.

- Lepiej nie wychodźmy razem.

- Nie mam nic przeciwko temu. No to cześć.

Dżoker ruszył ku bocznym drzwiom, ulokowanym między dwoma grobowcami. Croyd zebrał wygraną i zaczął myśleć o śniadaniu.



Śpioch wszedł do windy i ruszył do Wieży Asów. Żałował, że w tak piękny wiosenny wieczór brak mu mocy latania. Po dotarciu na miejsce wszedł do sali, zatrzymał się i rozejrzał wkoło.

Za sześcioma stolikami miejsca zajęło dwanaście par, a ciemnowłosa kobieta w srebrnej bluzce z głębokim dekoltem siedziała sama przy dwuosobowym stoliku i kręciła parasolką w jakimś egzotycznym drinku. Trzej mężczyźni i jedna kobieta usiedli za barem. W chłodnym powietrzu unosiły się ciche dźwięki nowoczesnego jazzu, akompaniament do śmiechów i dźwięków miksera, pluskania płynów oraz stukotu lodu i szkła. Croyd podszedł do baru.

- Jest Hiram? - zapytał barmana. Mężczyzna spojrzał na niego, a potem potrząsnął głową. - A spodziewacie się go dzisiaj?

Barman wzruszył ramionami.

- Ostatnio nie zjawia się zbyt często.

- A co z Jane Dow?

Mężczyzna znowu na niego popatrzył.

- Jej też nie ma - oznajmił po chwili.
- To znaczy, że naprawdę pan nie wie, czy któreś z nich się zjawi?
- Nie mam pojęcia.

Śpioch skinął głową.

- Jestem Croyd Crenson i zamierzam zjeść tu dziś kolację. Jeśli Jane przyjdzie, chciałbym się o tym dowiedzieć.

- Najlepiej będzie, jeśli zostawi pan kartkę w recepcji, zanim usiądzie pan przy stoliku.
- Ma pan jakiś kawałek papieru? - zapytał Croyd.

Barman sięgnął pod kontuar i wydobył stamtąd papierowy bloczek oraz ołówek. Podsunął je Śpiochowi, który napisał wiadomość na kartce.

Gdy odsunął bloczek, jego dłoń nakryła druga, delikatna i smagła, o jaskrawoczerwonych paznokciach. Przesunął wzrokiem wzdłuż kończyny, docierając do dekoltu srebrnej bluzki. Odczekał jedno uderzenie serca, a potem wstał. To była samotna kobieta z egzotycznym drinkiem. Przyjrzawszy się jej bliżej, zorientował się, że skądś ją zna.

- Croyd? - zapytała cicho. - Ciebie też wystawiono do wiatru?

Popatrzył w jej ciemne oczy i z jego wspomnień wyłoniło się imię.

- Veronica - rzekł.

- Zgadza się. Jak na psychola masz niezłą pamięć.

- Dzisiaj mam wolny wieczór. Jestem czysty jak łąza.

- Z białymi bokobrodami wyglądasz jak dojrzały, dystygowany mężczyzna.

- Cholera, nie ma jej. Czy twój kii... chłopak naprawdę nie przyszedł?

- Aha. Chyba oboje chcieliśmy dziś kogoś spotkać?

- To prawda. Jadłaś już kolację?

Potrząsnęła z uśmiechem włosami.

- Nie, a miałam dziś ochotę na coś niezwykłego.

Ujął ją pod rękę.

- Znajdę nam stolik. A coś bardzo niezwykłego przyszło mi już do głowy.

Croyd zgniótł kartkę i zostawił ją w popielniczce.



Nasunęła mu się myśl, że kłopot z kobietami polega na tym, że choćby nawet były nie wiedzieć jak dobre w łóżku, prędzej czy później pragnęły użyć tego mebla do spania, a tej czynności nie mógł ani nie chciał z nimi dzielić. Dlatego gdy wyczerpana Veronica w końcu zasnęła, Croyd wstał i zaczął spacerować po swym mieszkaniu w Morningside Heights, do którego w końcu dotarli gdzieś po północy.

Wrzucił do rondla zawartość puszki zupy jarzynowej z wołowiną i postawił na ogniu. Przygotował dzbanek kawy. Czekając, aż zupa zacznie pyrkotać, zadzwonił do swoich mieszkań, w których miał automatyczne sekretarki, i zdalnie wysłuchał nagranych wiadomości. Nic nowego.

Zjadł zupę, sprawdził, czy Veronica nadal śpi, a następnie wyjął klucz ze skrytki i otworzył wzmocnione drzwi do małego pokoiku bez okien. Zapalił jedyną żarówkę, zamknął się od środka i usiadł obok szklanego posągu spoczywającego na tapczanie. Ujął rękę Melanie i zaczął jej zdawać relację ze wszystkiego, co ostatnio się wydarzyło - najpierw powoli, ale po chwili

słowa zaczęły szybciej się wydobywać z jego ust. Opowiedział jej o doktorze Finnie i jego maszynie do zasypiania, o mafii, Zgonie, Oku i Dannym Mao, którego nie udało mu się dotąd znaleźć, a potem o tym, jak wspaniale kiedyś było. Mówił, aż głos mu ochrypl. Potem wyszedł, zamknął za sobą drzwi i schował klucz.

Po jakimś czasie, gdy blade światło pojawiło się na wschodzie niczym infekcja, wszedł do sypialni, z której zaczęły dobiegać jakieś dźwięki.

- Hej, chcesz kawy, moja pani? - zawołał. - I coś na moment pędu. Stek...

Umilkł, ujrawszy narkotykowe przybory rozłożone przez Veronicę na stoliku nocnym. Uniosła wzrok, mrugnęła do Croyda i uśmiechnęła się.

- Kawa byłaby w sam raz, kochanie. Z mlekiem i bez cukru.

- W porządku - zgodził się. - Nie wiedziałem, że bierzesz.

Zerknęła na swe nagie ramiona i skinęła głową.

- Nie widać tego. Nie można się szprycować. To odstrasza klientów.

- W takim razie jak...

Złożyła strzykawkę i napełniła ją. Następnie wysunęła język, ujęła jego koniuszek w palce lewej ręki i wstrzyknęła narkotyk w jego dolną powierzchnię.

- Uch - mruknął Croyd. - Gdzie się nauczyłaś tej sztuczki?

- W poprawczaku. Mogę ci też zrobić.

Croyd potrząsnął głową.

- Nie ta pora miesiąca.

- Mówisz, jakbyś był biedny.

- Dla mnie to sezonowa potrzeba. Kiedy nadejdzie czas, będę łykał fioletowe serca albo benzetki.

- Ach, *bombitas*. Si - rzekła, kiwając głową. - Spidówki, STP, wysokooktanowe prochy. Kuchnia szaleńca. Słyszałam o twoich nawykach. Ten syf jest naprawdę *loco*.

Croyd wzruszył ramionami.

- Próbowałem wszystkiego.

- Chyba nie yagé?

- Tego też. Nic nadzwyczajnego

- Desoxyn? Desbutol?

- Aha. Ujdą.

- Khat?

- Jasne. A nawet hudca. Brałaś kiedyś pituri? To jest dopiero niezły syf. Ale sposób zażywania jest nieprzyjemny. Nauczyłem się tego od prawdziwego Aborygena. A co powiesz na kratom? Pochodzi z Tajlandii...

- Chyba żartujesz.

- Nie.

- Jezu, nigdy nie zabraknie nam tematów do rozmowy. Widzę, że mogę się od ciebie wiele nauczyć.

- Postaram się o to.

- Naprawdę nie chcesz zastrzyku?

- Na razie wystarczy mi kawa.

Do pokoju napłynął blask poranka, oświetlając ich powolne ruchy.

- Jest też coś, co się nazywa Fioletowa Małpa Oferuje Brzoskwinie, A Potem Ją Odbiera - wyszeptał Croyd. - Nauczyłem się, to znaczy usłyszałem o tym, od kobiety, która dała mi

kratom.

- Niezły syf - szepnęła Veronica.



Croyd przyszedł do Wypaczonego Smoka po raz trzeci w ciągu trzech kolejnych dni, ruszył prosto w stronę baru, usiadł pod czerwoną papierową lampą i zamówił Tsingtao.

Dwa miejsca na lewo od niego siedział jakiś biały mężczyzna o groźnym wyglądzie. Całą twarz pokrywały mu zdobne blizny. Croyd zerknął na niego, odwrócił wzrok, a potem zerknął znowu. Przez przegrodę nosa mężczyzny przenikało światło. Miał tam sporą dziurę, a na koniuszku nosa różowawy strup. Najwyraźniej niedawno przymusowo rozstał się z kółkiem w nosie.

- Stałeś za blisko karuzeli? - zapytał z uśmiechem Croyd.

- Hę?

- A może to po prostu efekt miejscowego feng shui? - ciągnął as.

- Co to jest feng shui, do cholery?

- Zapytaj któregoś z tych facetów - odparł Śpioch, zataczając krąg ręką. - A najlepiej Dannyego Mao. To sposób, w jaki energia przepływa przez świat. Czasami może wpakować cię w kłopoty. Opowiadała mi o tym jedna kobieta z Tajlandii. Zabójcze qi mogłoby wpaść przez tamte drzwi, odbić się od tego lustra, rozszczepić się na tej siatce bagua i... - Wypił piwo, zszedł ze stołka i podszedł do nieznanego. - ...walnąć cię w nos.

Ruch Croyda był za szybki, by mężczyzna był w stanie prześledzić go wzrokiem. Nieznajomy wrzasnął, gdy poczuł, że palec napastnika przeszedł przez dziurę w jego nosie.

- Przestań! Boże! Przestań! - wołał. Croyd ściągnął go ze stołka.

- W tej norze już dwa razy próbowano mnie zżyć - oznajmił głośno. - Dzisiaj obiecałem sobie, że pierwsza osoba, którą tu spotkam, będzie musiała ze mną porozmawiać.

- Porozmawiam z tobą! Porozmawiam! Czego chcesz się dowiedzieć?

- Gdzie jest Danny Mao? - zapytał Croyd.

- Nie wiem! Nic nie... Aaach!

Croyd zgiął palec, nakreślił nim ósemkę, a następnie go wyprostował.

- Proszę - jęczał mężczyzna. - Puść mnie. Tu go nie ma. Jest w...

- Ja jestem Danny Mao - rozległ się dźwięczny głos dobiegający od stolika częściowo zasłoniętego przez zakurzoną palmę w doniczce. Właściciel głosu wstał i okrążył palmę. Był Azjatą średniego wzrostu, o twarzy pozbawionej wyrazu, pomijając tylko jedną uniesioną brew.

- Czego tu szukasz, białasie?

- To prywatna rozmowa - odparł Croyd. - Chyba że chcesz stanąć na ulicy i krzyczeć.

- Nie udzielam wywiadów nieznanym - odparł Danny i ruszył ku niemu.

Mężczyzna, którego nos Śpioch włożył sobie na palec, jęknął z bólu, gdy as się odwrócił, ciągnąc go za sobą.

- Bez obaw - uspokoił Dannyego Croyd. - Przedstawię ci się, kiedy zostaniemy sami.

Pięść Dannyego uderzyła błyskawicznie, ale as z równą szybkością poruszył wolną ręką i zatrzymał cios otwartą dłonią. Danny wyprowadził trzy kolejne, ale Croyd za każdym razem odbijał je w taki sam sposób. Kopnięcie przechwycił za piętę, unosząc nogę wysoko i szybko. Danny Mao wykonał salto w tył, wylądował na nogach i odzyskał równowagę.

- Cholera! - warknął Croyd, szybko poruszając drugą ręką.

Nieznajomy zawył, gdy coś w jego nosie się urwało, po czym poleciał naprzód i uderzył w Dannyego Mao. Obaj mężczyźni zwalili się na podłogę. Z nosa płaczącej ofiary Croyda popłynął czerwony strumień.

- Niedobre feng shui - dodał as. - Musisz uważać na takie rzeczy. To zawsze cię załatwi.

- Danny - rozległ się głos dobiegający z za rzeźbionego drewnianego parawanu umieszczonego za podstawą baru.

- Muszę z tobą pogadać.

Croyd miał wrażenie, że poznaje ten głos. Z za zasłony wyjrzał mały, pokryty łuskami dzoker o długich kłach i pomarańczowym obliczu, znany jako Łącznik. Miał on nieprzewidywalne zdolności telepatyczne i często pracował jako obserwator.

- To może być dobry pomysł - rzekł do Dannyego Mao Śpioch.

Facet z krwawiącym nosem pokuśtykał do łazienki. Danny wstał z gracją, otrzepał spodnie, przeszył Croyda palącym spojrzeniem, a potem podszedł do Łącznika.

Po trwającej kilka minut rozmowie Danny Mao wrócił z za parawanu i zatrzymał się przed Croydem.

- Jesteś Śpioch - stwierdził Danny.

- Aha.

- St. John Latham z firmy prawniczej Latham i Strauss.

- Słucham?

- Nazwisko, o które pytałeś. Podałem ci je. St. John Latham.

- Bez dalszego oporu? Za darmo, gratis i bez zapłaty?

- Bynajmniej. Zapłacisz za to. Jestem przekonany, że z powodu tej informacji wkrótce zaśniesz wiecznym snem. Żegnam, panie Crenson.

Danny Mao odwrócił się i odszedł. Croyd miał zamiar zrobić to samo, ale mężczyzna z krwawiącym nosem wyszedł nagle z łazienki, przyciskając do twarzy wielki kłęb papieru toaletowego.

- Mam nadzieję, że wiesz, iż znalazłeś się na czarnej liście Kanibali Łowców Głów - oznajmił, pociągając nosem.

Croyd pokiwał ze spokojem głową.

- Powiedz im, żeby pamiętali o zabójczym qi - rzekł mu.

- I wytrzymaj sobie nos.

## Drugie przyjście Buddy'ego Holly'ego

EDWARD BRYANT

Środa

Umarły mężczyzna przebił pięścią sosnowe drzwi. Nie złamał sobie knykci, ale rozerwał na nich skórę. Po drzazgach sterczących z framugi spłynęła krew. Bolało, ale nie tak, jakby należało. Nie, właściwie w ogóle go nie zabolalo, jeśli wziąć pod uwagę inne sprawy. Inne sprawy - coś za eufemistyczne określenie ludzi i łączących go z nimi związków, miłosnych albo rodzinnych. Wszystkich tych brudnych, żalonych rozgrywek opartych na zdradzie i odrzuceniu. Jezu, to dopiero bolało.

*To bardzo dojrzałe zachowanie, przyjacielu* - pomyślał Jack Robicheaux. Przechodził przez proces umierania z prędkością dziesięciu machów. Pomiął fazę zaprzeczenia, docierając od razu do użalania się nad sobą. To bardzo dojrzałe, jak na czter- dziesięcioletniego faceta. Pierdolić to.

Odsunął ostrożnie rękę od rozbitych drzwi. Rzecz jasna długie drzazgi zwracały się w niewłaściwym kierunku. To było tak, jakby próbował uwolnić kończynę z jakiejś zębatej pułapki.

Odwrocił się i ruszył z powrotem do zrujnowanego pokoju. Nadal wyglądał jak prywatna kajuta kapitana Nemo na „Nautilusie” po tym, jak olbrzymia kałamarnica zaatakowała łódź podwodną podczas sztormu stulecia na Atlantyku.

Kochał ten pokój. „Kochał”. Dziwnie się czuł, używając teraz tego słowa. Odkopnął na bok stłuczony, antyczny sekstans i podszedł do drzwi wejściowych - tych, które prowadziły do tunelu obsługi metra - i zasunął rygiel. W tej samej chwili poczuł ostatni powiew ostrej, cytrusowej woni płynu po goleniu Michaela. W miejscu zajmowanym przez drzwi pojawiła się wizja jego kochanka. Michael cofał się, pochylając barki w geście zaprzeczenia, aż wreszcie zniknął, przestał istnieć, nawet bez skomlenia.

Jack przeszedł nad staromodnym telefonem wykonanym na podobiznę Hueya Longa. Jakimś cudem wylądował na podłodze pionowo, a słuchawka nadal spoczywała w uniesionej prawej ręce Hueya. Stary sukkinsyn świetnie dogadywał się z ludźmi. Dlaczego Jack tego nie potrafił?

Nie mógł zadzwonić do Trampuli. Nie chciał zadzwonić do Cordelii.

A nie było nikogo innego, z kim chciałby porozmawiać. Miał zresztą wrażenie, że gadał już za dużo. Rozmawiał z Tachionem. Higieniczny tryb życia mu nie pomógł. Z Michaeliem też mówił. Kto jeszcze mu pozostał? Książd? Nie ma mowy. Gminę Atelier zostawił daleko za sobą. Zbyt wiele lat. Za dużo wspomnień.

Wszedł za rzeźbiony, mahoniowy kredens z mosiężnymi okuciami. Otwierając barek, poczuł woń zakurzonej, aksamitnej zasłony. Brandy kosztowała prawie sześćdziesiąt dolców. Drogo, jak na zarobki pracownika metra, ale co tam, często czytał w powieściach marynistycznych, że



ocalałym z katastrofy morskiej zawsze podaje się brandy, a poza tym kryształowa karafka świetnie pasowała do wiktoriańskiego wystroju.

Nalał sobie potrójną porcję, przełknął ją jak podwójną i znowu napełnił kieliszek. Z reguły nie żłopał trunków tak szybko, ale...



- Z panem Kaposim wiąże się pewien interesujący fakt - mówił Tachion. Jego lekarski fartuch lśnił niepokalaną bielą. Musiał mieć albedo prawie jak arktyczne pole śnieżne. Rude włosy Takizjanina niemalże płonęły w jasnym oświetleniu gabinetu. - Niedługo przed tym, nim odkrył i opisał swojego mięsaka w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim, zmienił nazwisko. Przedtem nazywał się Kohn.

Jack gapił się na niego, niezdolny sformułować słów, które pragnął wypowiedzieć. O czym on, kurwa, gadał?

- Rzecz jasna, w jego kraju doszło do pogromów - ciągnął Tachion, z ekspresyjnym gestem smukłych palców. - Zareagował w ten sposób na płynące z ignorancji uprzedzenia, które są przekleństwem zarówno dzokerów - nie wspominając o asach, oczywiście - jak i ofiar AIDS. Egzotyczne wirusy najwyraźniej są odpowiednikiem złego oka.

Jack popatrzył na swą nagą pierś, z wielką ostrożnością dotykając sinoczarnych znaków nad żebrami.

- Niepotrzebna mi podwójna klątwa. Po jednej na klienta, tak?

- Przykro mi, Jack. - Tachion się zawahał. - Trudno jest określić, kiedy się zaraziłeś. Guzy są już duże, ale biopsja i nietypowe wyniki badań sugerują, że między dziką kartą a wirusem HIV atakującym twój układ odpornościowy może istnieć synergia. Podejrzewam, że mamy do czynienia z galopującym procesem.

Jack potrząsnął głową, jakby słuchał go tylko jednym uchem.

- W zeszłym roku miałem negatywny wynik.

- Zatem moje obawy są słuszne - stwierdził doktor.

- Nie potrafię przewidzieć dalszych postępów choroby.

- Ja potrafię - mruknął Jack.

Tachion wzruszył ze współczuciem ramionami.

- Muszę cię zapytać, czy używasz nałogowo azotynu amylu?

- Chodzi ci o poppersy? - zapytał Jack. Potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Nie lubię narkotyków.

Tachion zaznaczył coś w jego historii choroby.

- Ich używanie często wiąże się z mięsakiem Kaposiego.

Jack raz jeszcze potrząsnął głową.

- Jest jeszcze jedna sprawa - rzekł doktor.

Jack wlepił w niego spojrzenie. Czuł się tak, jakby wyglądał z wnętrza bloku lodu. Ogarnęło go odrętwienie. Wiedział, że psychiczny szok wkrótce minie. A wtedy...

- Słucham?

- Muszę cię zapytać o nazwiska twoich kontaktów.

Jack wziął głęboki oddech.

- Był tylko jeden. I nadal jest. Tylko jeden.

- Powinienem z nim porozmawiać.  
- Chyba żartujesz - obruszył się Jack. - Ja pogadam z Michaeliem. I przyślę go do ciebie. Ale najpierw muszę z nim pomówić. Tak jest, pomówić - dodał ściszym głosem.  
Przypomniał jeszcze Tachionowi o zachowaniu tajemnicy obowiązującym między pacjentem a lekarzem. Doktor wyglądał na obrażonego, ale Jack wyszedł, nie przepaszając go.  
To było rano.



Okazja była szczególna. Czuł się, jakby pił na własnej stypie.  
- Cajunowie urządzają świetne stypy - stwierdził na głos, nalewając sobie po raz kolejny. Czy na początku karafka była pełna? Nie pamiętał tego. Teraz zostało tylko trochę więcej niż połowa.  
Ponownie zerknął na telefon. Po co, do licha, miałyby z kimkolwiek rozmawiać? W końcu nikt nie chciał rozmawiać z nim. Jeśli się nad tym zastanowić, przez kilka ostatnich miesięcy życia z Michaeliem czuł się, jakby był sam. A teraz będzie mógł umrzeć w samotności. *Przestań się uzalać nad sobą.* Ale to było takie łatwe...



- Co się stało? - zapytał Michael, zamknąwszy drzwi za sobą, zanim uściskał Jacka. Nie przywitał go w żaden inny sposób. Nie było żadnych wstępów. Jego jasne włosy żywo kontrastowały z czarnymi włosami Jacka. Był wysoki, smukły i miał długie kończyny. Zawsze przynosił ze sobą do podziemnego mieszkania swego kochanka odrobinę blasku wiosennego słońca. Ale nie dzisiaj. Jack w ogóle nie potrafił go odczytać.  
- Hę? - zapytał Michael.  
Jack odwrócił twarz i uwolnił się z jego objęć. Potem cofnął się o krok.  
- Coś jest nie tak?  
Jack przyjrzał się kochankowi. Jego twarz była żywym obrazem zdrowia i niewinności.  
- Może lepiej usiądź - rzekł Jack.  
- Nie. - Michael wlepił w niego spojrzenie. - Powiedz mi, co masz do powiedzenia.  
Jack poczuł suchość w ustach.  
- Poszedłem dziś do kliniki.  
- I?  
- Testy... - Musiał zacząć od nowa. - Są pozytywne.  
- Testy? - zapytał Michael, patrząc na niego bez wyrazu.  
- AIDS.  
Wypowiedział znenawidzoną nazwę, czując nagły ucisk w żołądku.  
- Nie - sprzeciwił się Michael, potrząsając głową. - Nie. Nie ma takiej możliwości.  
- Tak - potwierdził Jack.  
- Ale kto... - Michael wlepił w niego spojrzenie. - Jack, czy...  
- Nie - zaprzeczył kanalarz, patrząc mu prosto w oczy.  
- Nie było nikogo. Nikogo poza tobą, *mon cher*.  
Michael uniósł głowę.

- Musiał ktoś być. Nigdy bym...
- To nie jest niepokalane poczęcie, Michael. Cudu nie było. Musiał ktoś być.
- Nie - upierał się kochanek Jacka. Potrzęsnał gwałtownie głową. - To niemożliwe. Opuścił nagle wzrok. Następnie odwrócił się na pięcie i wyszedł.
- Nie - usłyszał jeszcze Jack na pożegnanie.



Poczuł, że w brzuchu obraca mu się zardzewiały nóż.

Przyszło mu na myśl, że brandy jest jak emocjonalne szczepienie przeciwko tężcowi. Ale tym razem nie okazała się skuteczna. Pogorszyła tylko sytuację, bo utracił przez nią zdolność panowania nad uczuciami.

Nagle poczuł się tak, jakby zużył cały tlen, który miał w mieszkaniu. Pragnął stąd wyjść, po prostu wyjść na ulicę. Odsunął od siebie karafkę z ostrożnością, o której wiedział, że jest przesadna, a następnie wyszedł przez te same drzwi, co przedtem Michael. Podążył śladem ducha do tuneli i drabin, które zaprowadziły go na powierzchnię.

Szedł pieszo. Mógł pojechać elektryczną maszyną torową, ale chciał wyjść na powierzchnię. Noc była nieco zbyt chłodna, lecz to również mu nie przeszkadzało. Chciał ostrych doznań, które go oczyszczą, zmyją z niego siniaki, pozostawiając tylko zdrowe ciało. Uświadomił sobie, że pragnie realnego bólu.

Zmierzał ku górnej części Manhattanu, nie wiedząc, gdzie właściwie jest, aż do chwili, gdy dotarł do Fantazji Młodzieńca. Przyszło mu na myśl, że gdzie jak gdzie, ale tutaj z pewnością nie powinien przychodzić. Tu właśnie poznał Michaela. Powinien unikać całego West Village. A już z pewnością tego baru. Było już jednak za późno. Przyszedł tu. Cholera. Odwrócił się, by odejść.

- Hej, chłopczyku, chcesz, żeby cię przetrząść? A może wolisz sam kogoś przetrząść?

Głos był aż zanadto znajomy. Jack uniósł wzrok i ujrzał zapadającą w pamięć dzięki przesadnej muskulaturze twarz - nie wspominając już o ciele. Maczuga wynurzył się z ukrytego w cieniach wejścia do pralni usytuowanej pod barem. Jack zaczął się oddalać.

Usłyszał stukot brogansów rozmiar 18 uderzających o chodnik. Palce grubości niemieckich kiełbas zacisnęły się na ramieniu Jacka i odwróciły go.

- Te piękne oczy mają to do siebie, że wystarczy, że wcisnę w nie kciuki i pękną jak zielone wisienki na italiańskich ciasteczkach - oznajmił Maczuga.

Jack strzepnął palce z siebie. Czuł się zniecierpliwiony i nie przejmował się ostrożnością. Po prostu było mu wszystko jedno.

- Pierdol się - warknął.
- Tobie też się przyda.

Maczuga uniósł wzgardzone palce do Własnego policzka i dotknął nierównej, zaczerwienionej blizny biegnącej od kącika prawego oka aż po bulwiasty podbródek.

Jack przypomniał sobie triumfalny wrzask czarnego kocura Trampuli. Zwierzę było stare, ale nadal wystarczająco zwinne, by uchylić się przed pięściami Maczugi i przeorać pazurami jego brzydką gębę.

- Zadrapania przez kota mogą się paskudzić - ostrzegł Maczugę Jack, nadal cofając się w kierunku ulicy. - Powinieneś coś z nimi zrobić. Znam naprawdę dobrego lekarza.

- Taki cykor jak ty potrzebuje raczej przedsiębiorcy pogrzebowego - ostrzegł go Maczuga. - Pan Maz bardzo się ucieszy, jeśli przyniosę mu twojego kutasa w papierowej torebce. Ci wszyscy Gambione bardzo lubią robić kiełbasy, zwłaszcza z takich tchórzliwych skurwieli jak ty.

- Nie mam na to czasu - stwierdził Jack.

- Znajdziemy trochę. - Maczuga rozciągnął usta w uśmiechu, od którego dzieci mogłyby się rodić zdeformowane.

- Stać nas na to, by poświęcić chwilę na zapasy z aligatorem. Drzwi Fantazji Młodzieńca otworzyły się nagle i na ulicę wyszło kilkunastu facetów. Maczuga zamarł niepewnie w pół kroku.

- Świadkowie - odezwał się Jack. - Zmiataj, chłopcze.

- Załatwię wszystkich - oznajmił Maczuga, przyglądając się kandydatom na ofiary. Uderzył zmutowaną prawą kończyną, przypominającą pałkę, w otwartą lewą dłoń. Zabrzmiało to tak, jakby pieczeń wołowa spadła z drabiny na pokrytą kafelkami podłogę.

- Masz ochotę dokopać paru gejom? - zapytał mężczyzna najwyraźniej będący przywódcą grupy i spojrzał z niesmakiem na Maczugę. - Wciąż się tu kręcisz, śmierdząca gębo? - Wsadził rękę do kieszeni marynarki i wy dobył stamtąd lśniąca broń. - Chcesz zobaczyć, jak naśladuję Berniego Goetza?

- Roześmiał się. - To naprawdę zabójczy widok.

Maczuga przyjrzał się półokrągowi zwróconych ku niemu twarzy.

- Muszę bronić swojej roboty - rzekł wreszcie Jackowi. - Tobie wypruję flaki kciukiem - oznajmił mężczyźnie z pistoletem. - Tylko zaczekaj. A tobie... - Znowu spojrzał na Jacka. - Tobie zadam prawdziwy ból.

- Ale innym razem - odparł kanalarz.

- Masz kurewską rację.

Maczudze najwyraźniej nie nasunęło się żadne lepsze pożegnanie. Wypowiedziawszy te słowa, oddalił się od coraz liczniejszej grupy gapiów.

- To niebezpieczny typ - ostrzegł Jacka mężczyzna z pistoletem, chowając broń pod płaszczem. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Dziękuję - odparł kanalarz. - Nie znam go. Zatrzymał mnie i poprosił o ogień.

Odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, ignorując szept.

- Skoro tak mówisz - skwitował mężczyzna z pistoletem.

- Życzę szczęścia.

Jack minął róg i ruszył w stronę ciemniejszego kwartału. Jezu, ależ było zimno. Oplótł się ramionami. Nie zabrał ze sobą płaszcza. Chłód spowalniał jego ruchy. To zły znak. Dotknął na próbę grzbietu lewej dłoni palcami prawej. Jego skóra zrobiła się szorstka i łuskowata. Zaczynała się transformacja. Nie! Zerwał się do biegu. Nie potrzebował jeszcze tego. Nie dzisiaj. Objawy stresu. Omal nie zachichotał.

Szukał wejścia do metra. Wszystko jedno którego. Czerwona albo zielona kula. BMT, IRT albo PATH. W górę bądź w dół Manhattanu. Grunt, żeby schody prowadziły w dół.

Wypatrywał pary bijącej ze studzienki. Mogą być i kanały. To nawet lepsze. W kanałach będą ludzie. Ciepłe, wypełnione szlamem tunele poprowadzą go w stronę zatoki. To były dobre tereny łowieckie. Jack nie miał nic przeciwko temu. Wyobraził sobie, jak jego gadzie zęby rozszarpują niszczuka albinosa. To będzie w porządku. Trampula nie przejmie się zmutowaną rybą. Żer. Krew. Śmierć. Wyczerpanie. Pustka.

Jack ruszył w głębszą ciemność, kierując się ku ciepłej kracie. *Zatracam się* - pomyślał. Zobaczył twarz Michaela. Trampuli. Cordelii. Tak jest, rzeczywiście się zatracił. Całkowicie. Jack pogrążył się w nocy.

Czwartek

Dźwięki bootlegowego mixu nowego albumu George a Harrisona były tak głośne, że oprawione w ramki zdjęcia na ścianach gabinetu drżały lekko. Z drugiej jednak strony rozmiary gabinetu nie wystarczały, by mógł on stanowić poważne wyzwanie dla wzmacniacza kasetowego magnetofonu. Pomieszczenie nie było duże i nie zajmowało miejsca w kącie biurowca, ale był to jej prywatny gabinet, ze stałymi ścianami i oknem.

Cordelia Chaisson czuła się szczęśliwa z tego powodu.

Na starym, drewnianym biurku oprócz komputera spoczywały liczne albumy, taśmy oraz pakiety prasowe. Na przeciwległej ścianie wisiały zdjęcia Sokolicy, Davida Bowiego, Fantazji, Tima Curryego, Lou Reeda oraz innych artystów, asów czy nie. Między zdjęciami wisiał oprawiony w ramki kawałek materiału, na którym wyhaftowano napis: „JESTEM CHOLERNIE DOBRA”. Po prawej stronie do ściany przybito wielką, prostokątną tablicę pokrytą przekreślonymi napisami, znakami zapytania oraz stenograficznymi notatkami, takimi jak „zob rozp zdj”, „rei fanatyk” albo „nie zagra bryt hol”.

Odezwał się telefon. Minęło kilka chwil, zanim Cordelia to zauważyła. Ściszyła muzykę i podniosła słuchawkę.

- Słodki Boże, Cordelio - odezwała się Luz Alcala, jedna z jej przełożonych. - Czy naprawdę nie możesz używać słuchawek?

- Przepraszam - odparła dziewczyna. - Poniosło mnie. To świetny album. Już ściszyłam.

- Dziękuję - powiedziała Alcala. - Wiesz już, kto nagra dla nas klipy?

- Sprawdzam listę. Może Jagger. - Dziewczyna się zawahała. - Nie odmówił.

- Dzwoniłaś do niego w ostatnim tygodniu?

- Hmm... nie.

- Cordelio, podziwiam to, co udało ci się osiągnąć z tym koncertem dobroczynnym - rzekła Alcala z lekkim wyrzutem w głosie. - Ale GCGiR pracuje też nad innymi projektami.

- Wiem - zapewniła Cordelia. - Przepraszam. Muszę sobie radzić z mnóstwem spraw jednocześnie. - Zmieniła temat, próbując wyrzucić bardziej optymistyczne wrażenie.

- Dziś rano przyszły pozwolenia z Chin. To znaczy, że będzie nas odbierała ponad połowa świata.

- Nie wspominając o Australii - dodała z chichotem Alcala.

- Łącznie z Australią.

- Zadzwoń do agenta Jaggera, dobra?

- Jasne - odparła Cordelia i odłożyła słuchawkę. Następnie wzięła w rękę małą, zdobnie rzeźbioną kamienną figurkę w kształcie jaszczurki, leżącą dotąd na blacie pod stertą ilustrowanych magazynów. W rzeczywistości przedstawiała ona australijskiego krokodyla, ale dziewczynę zapewniono, że to jej kuzyn i w związku z tym będzie odpowiednim fetyszem. Wolą jednak uważać go za aligatora. Zastąpiła figurkę małym czarno-białym zdjęciem młodego Aborygena, oprawionym w ramki. Chłopak łypał na nią ze zdjęcia z poważną miną.

- Wyungare - wyszeptła, układając usta w całus.

Następnie obróciła krzesło ku wiszącej na ścianie tablicy, wyjęła gruby marker i zaczęła wykreślać nazwiska. Na liście, która jej pozostała, widniały U2, Bruce Springsteen, Little Steven, The Coward Brothers i Girls With Guns. *Całkiem nieźle* - pomyślała. *Naprawdę całkiem nieźle*. Ale było jeszcze coś więcej. Zachichotała z satysfakcją i znowu sięgnęła po marker.



Zjadły we trójkę wczesny lunch w Akropolu przy Dziesiątej Ulicy, tuż przy Szóstej Alei. Cordelia zaproponowała, że zabierze je do bardziej eleganckiego lokalu. W końcu pokrywali jej wydatki, a Akropol był zwykłą kawiarnią, nieróżniącą się od tysięcy innych w mieście.

- Riviera jest tylko kilka przecznic stąd - oznajmiła. - To niezła knajpa.

Ale C.C. Ryder nie chciała o tym słyszeć. Pragnęła się spotkać w anonimowym miejscu i prosiła, by odbyło się to dobrze przed porą obiadową, gdy ruch nie będzie zbyt wielki. Zażyczyła też sobie obecności Trampuli.

Cordelia spełniła wszystkie życzenia piosenkarki, ponieważ jej potrzebowała. Dlatego siedzieli teraz w boksie o obitych skajem siedzeniach. C.C. i Trampula zajęły miejsca naprzeciwko Cordelii, zwrócone twarzami ku drzwiom. Dziewczyna oderwała z uśmiechem spojrzenie od karty.

- Mogę polecić koktajl owocowy.

C.C. nie odwzajemniła jej uśmiechu. Miała poważną minę. Zdjęła niemal bezkształtny kapelusz z szerokim rondem i potrząsnęła sztywnymi, rudymi włosami. Cordelia zauważyła, że zielone oczy piosenkarki bardzo przypominają oczy wujka Jacka. *Muszę do niego zadzwonić* - pomyślała. Nie miała na to zbytnej ochoty, ale nie mogła tego uniknąć.

- Widzisz te podkrążone oczy? - zapytała C.C., wskazując na własną twarz. Dzisiaj nie przypominała zbyt wiele jednej z najlepszych rockowych wokalistek i autorek tekstów. To był celowy efekt. Miała na sobie dzinsy tak stare i znoszone, że wyglądały jak wyprane w kwasie. Luźno zwisająca koszulka z podobizną Johna Hiatta była niemal równie wyblakła.

- Nie widzę - zaprzeczyła Cordelia. Cera C.C. była gładka i jasna, prawie jak u albinoski.

- Powinnam mieć podkrążone - stwierdziła C.C. - W ogóle nie mogę spać przez ten koncert dobroczynny.

Cordelia milczała, patrząc piosenkarce prosto w oczy.

- Wiem, że to ma być pożegnanie Desa - ciągnęła C.C.

- I wiem też, że to słuszna sprawa. Już dawno powinno się urządzić połączoną imprezę dobroczynną na rzecz ofiar AIDS i dzięki karty.

Cordelia skinęła głową. Sprawy szły w dobrym kierunku.

C.C. wzruszyła ramionami.

- Pewnie i tak będę musiała w którejś chwili przezwyciężyć lęk i wystąpić przed żywymi widzami. - Wreszcie się uśmiechnęła. - To znaczy, że się zgadzam.

- Super! - Cordelia pochyliła się nad blatem i gwałtownie uściskała piosenkarkę.

Zaskoczona Trampula zaczęła się podnosić z siedzenia. Cordelia, która widziała jej ruch kącikiem oka, odnosiła wrażenie, że bezdomna kobieta jest gotowa rozerwać jej gardło, gdyby naprawdę zaatakowała jej przyjaciółkę. Dziewczyna usłyszała ciche warknięcie, przypominające głos jednego z kotów Trampuli. Odsunęła się od C.C. i wróciła na miejsce.

- Cudownie! - zawołała, ale entuzjazm ją opuścił, gdy zobaczyła wyraz twarzy bezdomnej. Potrafiła go odczytać. Spoważniała nagle. - Przepraszam. Od tak dawna kochałam pani muzykę i teksty. Niczego nie pragnęłam bardziej, niż zobaczyć pani występ.

- To nie będzie łatwe - przyznała C.C. Trampula spojrzała na nią z niepokojem. - Ile mamy czasu? Dziesięć dni?

Cordelia skinęła głową.

- Zaledwie.

- Będę potrzebowała każdej minuty.

- Dostanie ją pani. Przydzielę pani kogoś, kto załatwi wszystko, co będzie potrzebne. Kogoś, komu obie ufamy.

- Kto to będzie? - zapytała z wyraźną podejrzliwością Trampula. Zaciśnęła mięśnie wychudłej twarzy i przymrużyła ciemne oczy. Dziewczyna zaczerpnęła głęboko powietrze.

- Wujek Jack - odpowiedziała.

Wyraz twarzy bezdomnej nie był miły.

- Dlaczego on? - zapytała Trampula. C.C. zerknęła na nią z ukosa. - Czemu nie ja?

- Możesz pomagać C.C., ile tylko zechcesz - zapewniła pośpiesznie Cordelia. - Ale chcę w to włączyć wujka Jacka. Jest kompetentny, spokojny i godny zaufania. To wszystko wykracza poza moje możliwości - przyznała szczerze. - Potrzebuję tyle pomocy, ile tylko zdołam znaleźć.

- A Jack o tym wie? - zapytała Trampula.

Cordelia się zawahała.

- Hmm... mam zamiar do niego zadzwonić. - Uświadomiła sobie, że gdy robi się zdenerwowana, jej cajuński akcent staje się wyraźniejszy. Wzięła się w garść. - Zostawiałam mu wiadomości na sekretarce, ale mi nie odpowiedział.

Trampula oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Minęła chyba minuta. Wydawało się, że trwa to bardzo długo. Grecki kelner przyszedł przyjąć zamówienia, ale C.C. powiedziała mu, żeby wrócił za chwilę.

Wreszcie Trampula otworzyła oczy i potrząsnęła głową, jakby chciała w niej sobie rozjaśnić.

- Nie jestem pewna, kiedy nasz chłopak ci odpowie.

- Słucham?

Cordelia z narastającym przygnębieniem pomyślała, że jej plany są kartkami papieru sypiącymi się na podłogę z gładkiego blatu.

- Wszystko poszło w diabły - poinformowała ją Trampula.

- Jack wyniósł się z domu, chyba do Zatoki Nowojorskiej. Zabawia się walką ze stworzeniami, jakich nie zobaczysz w akwarium w Castle Clinton. Żre tyle surowego mięsa, ile tylko znajdzie.

- Uśmiechnęła się bez śladu wesołości. - Nie sądzę, by w najbliższym czasie wrócił do domu na kolację.

- *Quelle damnation* - mruknęła Cordelia. - Tak czy inaczej - dodała, zwracając się do C.C. - niech pani zadzwoni do biura jutro rano. Przyślę pani kogoś, czy to będzie wujek Jack, czy ktoś inny.

- Lepiej ktoś inny - burknęła Trampula.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej uspokajająco. Wrócił kelner i zamówiła koktajl owocowy.



Wzięła gruby, czarny marker i wpisała na listę wykonawców nazwisko C.C.

- Niech to pies - powiedziała na głos do siebie. - Jestem naprawdę dobra.

Potem się zawahała i zerknęła na leżący na biurku nowy numer „Village Voice”. Małe zawiadomienie o występie, wydrukowane mikroskopijną czcionką, zakreślono czerwonym kółkiem.

Napisała na tablicy kolejne nazwisko.

Piątek

*Merde.*

Nie sposób było określić tego inaczej. Tak właśnie się czuł, gdy wczesnym rankiem dowlókł się do domu. Z pewnością nie ucieszył się na widok wypełniającego pokój chaosu. Potykał się o walające się na podłodze szczątki. Przed sobą widział rozwalone drzwi sypialni. Ręka nadal go bolała, ale teraz doszły do niej również zęby. Głowa, dłonie... chyba wszystkie kości w jego ciele.

- *Enfer* - zaklął, ujrawszy migające czerwone światło automatycznej sekretarki. Przez chwilę udawało mu się ignorować jednookiego demona, ale potem pochylił się i nacisnął przycisk odtwarzający nagrania.

Trzy wiadomości pochodziły od jego kierownika. Jack wiedział, że musi mu później odpowiedzieć, żeby nie stracić roboty. Lubił to podziemne mieszkanie, a także przywilej, jakim była płatna praca w ciemnościach.

Osiem pozostałych wiadomości pochodziło od Cordelii. Nie zawierały zbyt wielu informacji, ale też nie wyglądały na pilne. Powtarzała mu, że powinien się z nią skontaktować, ale nic nie sugerowało, by groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przewinął taśmę na początek i wyłączył urządzenie, a potem poszedł do kuchni. Zerknął na lodówkę, ale nie pofatygował się, by ją otworzyć. Wiedział, co jest w środku, poza tym po prostu nie był głodny. Przypominał sobie niejasno, co pożarł w ciągu minionej doby i wołał o tym nie myśleć. Ślepy niszczuk albinos. Czegoś takiego nie znajdzie się w menu żadnej cajuńskiej restauracji w Nowym Jorku.

Następnie poszedł do sypialni i zwałił się na łóżko. Nie zwracał sobie głowy zdejmowaniem ubrania. Poruszył się tylko lekko, by przykryć się staromodną kołdrą, i zapadł w sen.



Stojący przy łóżku telefon obudził go dokładnie o ósmej rano. Wiedział to, ponieważ czerwone cyfry na wyświetlaczu wypaliły się na jego siatkówkach, gdy wreszcie otworzył oczy i wyciągnął rękę, by uciszyć przenikliwy dźwięk, rozdzierający na strzępy jego ucho wewnętrzne.

- Hmmm. Słucham?

- Wujek Jack?

- Hę? Cordie?

Ocknął się błyskawicznie.

- To ja, wujku. Przepraszam, jeśli cię obudziłam. Już od przeszło doby próbuję się do ciebie



dodzwonić.

Ziewnął i położył słuchawkę tak, by nie spadła z poduszki.

- Nie ma sprawy, Cordie. Muszę zadzwonić do szefa i powiedzieć mu, że złapałem jakieś choróbsko. Przez parę dni nie mogłem się z nim nawet skontaktować.

- Naprawdę jesteś chory? - zapytała zaniepokojona Cordelia.

Jack ziewnął raz jeszcze, przypominając sobie, co mógłby powiedzieć.

- Nic mi nie jest. Po prostu poszedłem w tango.

- Trampula mówiła...

- Trampula?

- Tak. - Cordelia sprawiała wrażenie, że ostrożnie dobiera słowa. - Poprosiłam ją, żeby cię poszukała. Odpowiedziała, że jesteś w zatoce i, hmm, polujesz na różne stworzenia.

- Można by to tak określić - przyznał Jack.

- Stało się coś złego?

Zaczekał kilka sekund, zanim jej odpowiedział. Wziął głęboki oddech.

- To tylko stres, Cordie. Musiałem chwilę odsapnąć.

- Skoro tak mówisz, wujku Jacku - odparła, ale w jej głosie nie było przekonania. - Posłuchaj, czy masz coś przeciwko temu, żebym po pracy wpadła do ciebie z przyjaciółką?

- Co to za przyjaciółka? - zapytał ostrożnie Jack.

- C.C.

Przypomniał sobie, jak odwiedzał ją w klinice Tachiona. Miał na półkach w sąsiednim pokoju wszystko, co w życiu nagrała - zarówno na albumach, jak i na taśmach.

- Pewnie nie mam - zgodził się. - Będę miał pretekst, żeby posprzątać mieszkanie.

- Nie musisz tego robić - zapewniła dziewczyna.

- Och, z pewnością muszę - odparł ze śmiechem.

- Może być wpół do szóstej?

- W porządku. A swoją drogą, o co ci chodzi?

- Potrzebuję twojej pomocy, wujku - odpowiedziała szczerze i zdała mu relację z przygotowań do imprezy dobroczynnej. - Ugrzęzłam - oznajmiła. - Nie zrobię wszystkiego sama.

- Nie mam pojęcia o organizowaniu takich imprez.

- Ale masz pojęcie o rock and rollu - zauważyła. - A co ważniejsze, potrafisz sobie ze wszystkim poradzić.

*Prawie ze wszystkim* - pomyślał. Ujrzał oczami duszy twarz Tachiona, a potem Michaela.

- Schlebiasz mi - powiedział.

- *Verite*.

Minęło parę chwil.

- Muszę cię o coś zapytać - odezwał się wreszcie Jack. - Nie mówiliśmy zbyt wiele...

- Wiem - przerwała mu. - Wiem. W tej chwili staram się o tym nie myśleć.

- To znaczy, że jeszcze nie zdecydowałaś?

- Jeszcze nie.

- Dziękuję za szczerść.

Mijały kolejne sekundy. Wydawało się, że Cordelia pragnie coś powiedzieć.

- W porządku. W takim razie dziękuję, wujku Jacku - rzekła tylko. - Przyjdę z C.C. o wpół do szóstej. Cześć.

Jack słuchał ciszy, aż wreszcie połączenie się przerwało. Potem zamierzał zadzwonić do swego kierownika z wydziału transportu. Będzie musiał się skupić, by przekonująco udawać chorego.



Otworzywszy późnym popołudniem drzwi C.C. i Cordelii, Jack uświadomił sobie, że sprzątanie bałaganu w salonie zapewne okaże się łatwiejszym z zadań, przed którymi miał dziś stanąć. Jego siostrzenica przymrużyła oczy, jakby widziała dwa obrazy wujka jednocześnie, i próbowała zdecydować, który z nich uzna za prawdziwy.

- Witaj, wujku Jacku.

Nastąpiła krępująca chwila. Cordelia najwyraźniej zastanawiała się, czy go uściskać.

Towarzyszająca jej kobieta rozładowała napięcie.

- Jack! - zawołała. - Cieszę się, że znowu cię widzę! - C.C. weszła pierwsza do środka, omijając Cordelię, a potem uściskała mocno mężczyznę i pocałowała go ciepło w usta.

- Wiesz co? - zapytała. - Mimo że przez długi czas nie miałam pojęcia, co właściwie się dzieje, twoje wizyty w klinice znaczą dla mnie bardzo wiele. Jeśli cokolwiek ci się stanie, na pewno będę przy tobie, gdy tylko mi na to pozwolą. Dobra? - zapytała z uśmiechem.

- Dobra - zgodził się.

- *Mon Dieu* - odezwała się Cordelia, rozglądając się po mieszkaniu Jacka. - Co tu się wydarzyło?

Jego próby przywrócenia porządku nie zakończyły się całkowitym sukcesem. Niektóre fragmenty uszkodzonych antyków zgromadził pod ścianą. Nie miał serca wynieść ich na górę, do kontenera na śmieci. Przy odpowiednim wysiłku i staranności może jeszcze uda się je naprawić.

- Pośliznąłem się, wracając nocą do domu.

- Postrzelony przy próbie ucieczki - zażartowała Cordelia. - Cokolwiek się wydarzyło, bardzo mi przykro z tego powodu, wujku Jacku. To było naprawdę piękne mieszkanie.

- Nadal nie jest takie złe - zauważyła piosenkarka, siadając na dwuosobowej kanapie. Rozpostarła ramiona, zapadając się w miękką wyściółkę. - To jest naprawdę świetne. Masz kawę? - zapytała z uśmiechem.

- Jasne - potwierdził. - Wszystko jest przygotowane.

- Trampula zamierzała przyjść... - zaczęła C.C.

- Ale miała parę spraw do załatwienia na mieście - przerwała jej Cordelia.

- Na pewno chciałyby, żebyś powiedziała ci „cześć” - dodała piosenkarka.

- W porządku.

*No jasne* - pomyślał.

Siostrzenica zaproponowała, że pomoże mu z kawą, ale przegonił ją z powrotem do salonu.

- I co? - zapytał Jack, gdy wszyscy już zasiedli przy dzbanku gorącej kawy oraz talerzu bułeczek z truskawkami.

- To, że twoja siostrzenica ma wielki dar przekonywania - odparła C.C. - Ale moje ego jest równie wielkie. Muszę wyjść z odosobnienia i wziąć udział w tym koncercie, Jack. Wrócić do publicznych występów. Pójść na całość. Żadnych półśrodków. Dwa miliardy potencjalnych widzów. Pokazać się Bogu i wszystkim. - Zachichotała. - Ostrej agorafobii najlepiej spojrzeć prosto w oczy.

- Nie brak ci odwagi - przyznał Jack. - Cieszę się, że się na to zdecydowałaś. Zaśpiewasz nowe kawałki?

- Trochę starych i trochę nowych - odpowiedziała. - Trochę tego i trochę owego. Zależy, ile czasu da mi szefowa.

C.C. wskazała na Cordelię.

- Dwadzieścia minut - odparła dziewczyna. - Wszyscy dostaną tyle samo. Bruce Springsteen, Girls With Guns i pani.

- Równość to piękna rzecz. - C.C. znowu spojrzała na Jacka. - Pomożesz mi przygotować się do tego wielkiego wieczoru?

- Hmm - mruknął mężczyzna.

- GCGiR może przekonać kierownictwo metra, żeby dali ci wolne - dodała pośpiesznie Cordelia. - Rozmawiałam z jednym z ich facetów od relacji z lokalną społecznością. Uważają, że byłoby wspaniale, gdyby pracownik metra wziął udział w takiej imprezie.

- Hmm - powtórzył Jack.

- Dostaniesz płatny urlop - zapewniła Cordelia. - I GCGiR też zapłaci ci honorarium.

- Mam oszczędności - odparł cicho kanalarz.

- Wujku Jacku, potrzebuję cię.

- Już to kiedyś słyszałem. - Tym razem jego głos zabrzmiał łagodniej.

- A teraz słyszysz to znowu.

Głos, mina i oczy Cordelii zdawały się wyrażać tę samą, skoordynowaną prośbę.

- Miło byłoby z tobą współpracować - rzekła C.C. Jej szmaragdowe oko mrugnęło do niego znacząco. - Wolny wstęp za kulisy. Okazja spotkania z gwiazdami.

Jack przenosił spojrzenie z jednej kobiety na drugą.

- Zgoda - oznajmił wreszcie. - Umowa stoi.

- Świetnie - ucieszyła się Cordelia. - Zapoznam cię ze szczegółami, ale najpierw muszę wspomnieć o jeszcze jednej sprawie.

- Dlaczego czuję się w tej chwili jak aligator wystrzegający się osęki? - zapytał Jack.

- Masz jakieś plany na jutrzejszy wieczór? - zapytała Cordelia.

- Myślałem, że może spróbuję naprawić parę krzesel - odparł, rozkładając dłonie.

- Pojedziesz z nami do New Brunswick.

- W stanie New Jersey?

Skinęła głową.

- Pojedziemy do Holidome, obejrzeć Buddy'ego Holly'ego.

- Tego Buddy'ego Holly'ego? - zdziwił się Jack. - Myślałem, że on nie żyje.

- Od lat występuje po knajpach. Zauważyłam notatkę o nim w „Village Voice”.

- Chce, żeby wziął udział w jej koncercie - wyjaśniła C.C.

- Nostalgia? - zapytał Jack.

Cordelia naprawdę się zaczerwieniła.

- Wychowałam się na jego muzyce. Uwielbiam go. No wiesz, niczego jeszcze nie uzgadnialiśmy. Chcę tylko zobaczyć, czy nadal gra tak, jak kiedyś.

- Może cię spotkać nieprzyjemna niespodzianka - ostrzegła ją C.C. - Kolos z glinianą gitarą i tak dalej.

- Podejmę to ryzyko.

- „Not Fade Away” to jedna z moich ulubionych piosenek - oznajmił Jack. - Możecie na mnie liczyć.

- Powiedz mu - rzekła dziewczynie C.C.

- Trampula też jedzie - wyznała z niechęcią Cordelia.

- No nie wiem - mruknął jej wujek. Pomyślał o swym pierwszym spotkaniu z Maczugą, gdy czarny kocur uratował go przed psychopatycznym prześladowcą gejów. Czy kot działał z własnej inicjatywy, czy też spełniał życzenia Trampuli? Nigdy jej o to nie zapytał. Może zrobi to jutro wieczorem.

- Wujku Jacku? - zapytała Cordelia.

- Zagrajmy rocka - odpowiedział z uśmiechem.

Sobota

- O mój Boże - mruknęła C.C., tak cicho, że tylko Jack to usłyszał.

- On gra Princea! Cholernego Princea!

- I to nie za dobrze - zauważył kanalarz.

W Holland Tunnel samochody posuwały się naprzód w zółwym tempie i Cordelia obawiała się, że ich czwórka spóźni się na pierwszy występ Buddyego Hollyego. Niepokoiliła się również, że wyrostki z New Jersey mogą zwęździć mercedesa, którego pożyczyły od Luz Alcali.

- To jest Holiday Inn - stwierdził Jack, gdy podjechali pod wejście.

- I co z tego?

- Parking jest oświetlony.

- Obok wejścia jest wolne miejsce - zauważyła z ulgą Cordelia.

- Mam dać dziesiątaka portierowi, żeby miał oko na samochód?

- Zrobiłbyś to? - zapytała poważnym tonem.

Zaparkowali, zadbali o bezpieczeństwo mercedesa i weszli do Holidome w New Brunswick.

Podróż przez miasto była nerwowa. Cordelia prowadziła, a Jack siedział obok niej. Trampula zajęła miejsce z tyłu po przeciwnej stronie, tak daleko od Jacka, jak tylko mogła. C.C. i Cordelia ze wszystkich sił starały się podtrzymać rozmowę. Kanalarz doszedł do wniosku, że to nie jest odpowiednia chwila, by zapytać Trampulę, czy jego koci wybawca działał z własnej inicjatywy, czy też na rozkaz swej pani.

- To będzie świetne - zapowiedziała dziewczyna, wkładając do odtwarzacza firmy Blaupunkt kasetę z największymi przebojami grupy Buddy ego Holly ego & The Crickets. Głośniki z nawiązką spełniały wszelkie wymagania.

- Cordelio - odezwała się Trampula. - Bardzo lubię Buddy ego, ale czy mógłby nie ranić moich uszu?

- Och, przepraszam - odparła dziewczyna i ściszyła muzykę do poziomu ledwie możliwego do zniesienia.

Potem późnosobotni ruch zwolnił do pełnienia z przerwami przez tunel. W powietrzu unosiły się widoczne chmury cuchnących spalin, a czworo siedzących w mercedesie ludzi zdążyło wysłuchać wszystkich nagrań Buddyego Hollyego posiadanych przez Cordelię, nim wreszcie dotarli do New Jersey.

Z upływem czasu dziewczyna stawała się coraz bardziej podenerwowana.

- Może jakaś grupa wystąpi przed nim - mruknęła.

Nie wystąpiła, ale okazało się, że to nie miało znaczenia. Po wejściu do Holidome przekonali się, że niepotrzebnie martwili się o miejsca. Chyba z połowa boksów i stolików była wolna. Najwyraźniej centrum sobotnich bachanaliów w New Brunswick znajdowało się gdzie indziej. Usiedli za stolikiem oddalonym najwyżej trzy metry od niskiej sceny. Jack i Trampula zajęli

miejsca naprzeciwko siebie. C.C. i Cordelia tworzyły barierę dzielącą ich od siebie. A Buddy Holly grał Princea.

Jack poznał go ze zdjęć na okładkach albumów. Wiedział, że Holly ma czterdzieści dziewięć lat i jest w wieku zbliżonym do niego. Wyglądał jednak starzej. Jego twarz była zbyt tłusta, a błyszcząca srebrna marynarka nie do końca maskowała spory brzuszek. Nie nosił już sławnych czarnych okularów w rogowej oprawie, lecz modne, przeciwsłoneczne awiatorki, spod których widniały ciemne wory pod oczami. Nadal jednak grał na swej gitarze Fender Telecaster jak anioł.

Nie można jednak było powiedzieć tego samego o jego muzykach. Gitarzysta rytmiczny i basowy wyglądali na jakieś siedemnaście lat. Ich gra nie była porywająca. Bełkotliwy montaż dźwięku również im nie pomagał. Perkusista walił w bębny ile sił w rękach, a wydobywający się z głośników łoskot skutecznie zagłuszał wokal Buddy ego.

Wykonawca szybko przeszedł od Princea do kiepskiej wersji Billyego Idola, a potem do jako takiej wersji Bon Joviego.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknęła C.C., łykając spory łyk campari z tonikiem. - Gra tylko kawałki z pierwszej czterdziestki listy przebojów.

Cordelia słuchał. Entuzjazm szybko ulatniał się z jej twarzy.

- Niepotrzebnie tu przyjeżdżaliśmy - stwierdziła Trampula, potrząsając głową z dezaprobatą.

*Może czeka na właściwy moment* - pomyślał Jack.

- Daj mu trochę czasu.

Gdy już umilkły apatyczne brawa po odważnej próbie zagrania Teda Nugenta, ktoś w głębi sali zawołał:

- Dobra, Buddy, zagraj nam trochę starych kawałków!

Mówiącego wsparł słaby aplauz. Najgłośniejsz klaskano przy stoliku Cordelii.

Buddy Holly zawiesił telecastera na szyi i pochylił się ku widzom.

- Dobra - rzekł. Jego akcent z zachodniego Teksasu nadal był łatwo zauważalny. - Na ogół nie gram koncertu życzeń, ale dla takiej wspaniałej widowni...

Cofnął się w głąb sceny i zagrał błyskawiczne otwarcie. Towarzyszący mu muzycy powtórzyli je z większym lub mniejszym sukcesem.

- O Boże - wyszeptała C.C. i pociągnęła kolejny łyk, gdy Buddy Holly zaczął grać „Hurray for Hazel” Tommyego Roe. Potem wykonał szybką wersję „Sheili”, a następnie smętną, niemal bluesową wersję „Red Roses for a Blue Lady” Bobbyego Vintona. Dalej grał w tym samym stylu, wykonując kolejne utwory spopularyzowane przez Bobbych i Tommych w latach pięćdziesięciu albo sześćdziesiątych.

- Chcę usłyszeć „Cindy Lou”, „That’ll Be the Day”, „It’s So Easy” albo „T-town”, a nie ten syf - poskarżyła się Cordelia, kręcąc z roztargnieniem dżinem z tonikiem w szklance.

*Ja zadowolilibym się „Not Fade Away”* - pomyślał Jack. Z coraz większym przygnębieniem słuchał, jak Buddy Holly kontynuuje swą okropną popową retrospektywę. Zrodziła się w nim myśl, że lepiej byłoby, gdyby artysta umarł u szczytu swej początkowej sławy, zamiast przerodzić się w tę żalną autoparodię.

Pijackie rozmowy i śmiechy przy sąsiednich stolikach robiły się coraz głośniejsze. Większość obecnych w sali ludzi najwyraźniej zapomniała już, że na scenie występuje Buddy Holly.

Ostatni numer Buddy zapowiedział bardzo prosto:

- To będzie coś nowego.

Nieliczni widzowie nie chcieli o tym słyszeć. Zrobili się wręcz agresywni.

- Pierdol się! - zawołał ktoś. - Włącz szafę grającą!

Holly wzruszył ramionami, odwrócił się i zszedł ze sceny.

Wspierający go gitarzyści po prostu odłożyli instrumenty.

Perkusista wstał i położył pałki na wzmacniaczu.

- Dlaczego nie gra swoich klasycznych kawałków? - zapytała Cordelia. - Zaczekajcie - rzekła do swych towarzyszy, a następnie wstała i dopadła zmierzającego w stronę baru. Buddyego Hollyego. Widzieli, jak rozmawiała z nim poważnie. Potem poprowadziła go do ich stolika, przyciągnęła krzesło i skłoniła go, by usiadł na nim, chyba tylko samą siłą woli. Holly sprawiał wrażenie zdeprymowanego tą sytuacją. Cordelia przedstawiła mu wszystkich. Muzyk kiwał uprzejmie głową i ścisnął kolejno ich dłonie.

Jack zauważył, że dłoń Hollyego jest ciepła i silna, nawet w najmniejszym stopniu nie zwiotczała.

- Wszyscy czworo jesteśmy pana wielkimi fanami - oznajmiła dziewczyna.

- Trochę mi przykro, że dziś tu przyszlście - przyznał Holly. - Czuję się, jakbym był wam winny przeprosiny. To nie był dobry występ. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, większość wieczorów w knajpach wygląda podobnie.

Uśmiechnął się zawstydzony.

- Dlaczego nie gra pan własnej muzyki? - zapytała bez zbędnych wstępów Trampula.

- Swoich starych kawałków - dodała Cordelia. - Tych najlepszych.

Holly przyjrzał się siedzącym przy stoliku.

- Mam powody - odparł. - Nie chodzi o to, że nie chcę ich grać. Nie mogę.

- Może przekonam pana do zmiany zdania - odparła z uśmiechem Cordelia i rozpoczęła swoją przemowę o koncercie dobroczynnym w Gabinetach Luster. Powiedziała Hollyemu, że mógłby tam wystąpić na początku koncertu w przyszłą sobotę i zagrać serię kawałków, które w latach pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych pozwoliły mu zdobyć pozycję supergwiazdy. Kto wie, może koncert i transmisja przywrócą życie jego karierze? - Tak samo, jak wtedy gdy Szeff znalazł Garyego U.S. Bondsę grającego w podobnych lokalach - zakończyła.

Buddy Holly sprawiał wrażenie szczerze zdumionego wybuchem entuzjazmu Cordelii. Wsparł łokcie na blacie, wpatrując się w wodę sodową z limonką, którą przyniosła mu kelnerka. Wreszcie uniósł wzrok i spojrzał z lekkim uśmiechem na Cordelię.

- Proszę mnie wysłuchać - zaczął. - Dziękuję pani. Naprawdę szczerze dziękuję. Pani słowa poprawiły mi humor na cały dzień. Cholera, na cały rok. - Odwrócił spojrzenie. - Ale nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

- Może pan - zapewniła Cordelia. Buddy potrząsnął głową. - Niech pan to przemyśli.

- To nic nie da - odparł. - Nie uda się - Pogłaskał ją po dłoni. - Ale dziękuję za propozycję.

Skinął głową do nich wszystkich, wstał i powlókł się na scenę na drugą część występu.

- Cholera - mruknęła Cordelia.

Jack obserwował plecy wracającego na scenę muzyka. Wyczuwał w jego posturze coś znajomego. Przegrana. Zastanowił się, kiedy ostatnio widział takie lekko pochylone ramiona i zwieszoną głowę. Dziś rano, kiedy spojrzał w lustro.

Zadał sobie pytanie, ilu lat i jakich katastrof trzeba było, by złamać Buddyego Hollyego. *Gdybym...* - W pierwszej chwili ta myśl nie chciała się skończyć. *Gdybym tylko mógł mu pomóc* - powiedział sobie wreszcie.

- Chcesz tu zostać czy wyjechać? - zapytała Cordelię C.C.

- Wyjechać - odpowiedziała dziewczyna. - Ale wrócę - dodała tak cicho, że ledwie było

słysząc.

- Jak MacArthur? - zapytała Trampula.
- Raczej jak sierżant Preston z Kanadyjskiej Policji Konnej - odparła dziewczyna.

Niedziela

- Kogo nazywa pan laleczką? - spytała Cordelia głosem zimniejszym niż ocean przy Jones Beach.

- Powiedziałem tylko - odparł mężczyzna pełniący poranny dyżur w recepcji Holiday Inn - że nie podajemy numerów pokoi naszym gości każdej laleczce, która o nie zapyta. - Uśmiechnął się do niej. - Takie są zasady.

- Chce się pan dowiedzieć, jak wcześnie musiałam wstać, żeby złapać pociąg? - zapytała Cordelia. - Albo ile czasu czekałam na taksówkę na dworcu w New Brunswick?

- Przykro mi - odparł mężczyzna. Swobodny uśmiezek zaczął znikać z jego ust.

- Nie jestem cholerną grupie! - Cordelia walnęła w blat drogą, tłoczoną wizytówką. - Chcę zrobić z Holly ego gwiazdę.

- Już nią był. - Recepcjonista wziął w rękę wizytówkę i przyjrzał się jej. Pod nazwiskiem dziewczyny widniało „asystentka producenta”. Ten górnolotny tytuł przyznano jej zamiast podwyżki. - Nie wciska pani kitu? Naprawdę pracuje pani dla GCGiR? Tej samej firmy, która prowadzi show Roberta Townsenda i wszystkie te programy Spikea Lee?

Mówił, jakby choć trochę mu to imponowało.

- Nie wciskam - zapewniła dziewczyna, próbując się uśmiechnąć. - To prawda.

- I wyciągnie pani Buddy ego z tej dziury?

- Spróbuję.

- Dobra - zgodził się z uśmiechem recepcjonista i spojrzął na spis numerów.

- Pokój osiem tysięcy czterysta dwadzieścia - oznajmił i spojrzął znacząco na Cordelię.

- I?

- To numer drogi zaczynającej się w Lubbock. Autostrada do Nashville - wyjaśnił tonem sugerującym „nic pani nie wie”.

- Rozumiem - odparła Cordelia.



Buddy Holly spał, gdy o dziewiątej dwadzieścia pięć Cordelia zapukała do drzwi pokoju numer 8420. To było oczywiste, gdy otworzył drzwi. Czarne włosy usiane smużkami siwizny miał rozczochrane, a okulary nieco przekrzywione.

- To ja. Cordelia Chaisson. Pamięta pan? Wczorajszy wieczór?

- Hmm, tak. - Holly wyraźnie wziął się w garść. - W czym mogę pani pomóc?

- Chciałam pana zaprosić na śniadanie. Muszę z panem porozmawiać. To ważne.

Buddy Holly potrząsnął głową, wyraźnie skonsternowany.

- Jest pani niepowstrzymaną siłą? Czy może niewzruszonym obiektem?

Wzruszyła ramionami.

- Proszę mi dać dziesięć minut - rzekł Holly. - Spotkamy się w holu.

- Obiecuje pan? - zapytała.

Uśmiechnął się lekko, skinął głową i zamknął drzwi.



Buddy Holly zjawił się przy stoliku w wyprasowanych w kant dżinsach, westernowej koszuli w kwiaty oraz brązowej, zamszowej marynarce. Sprawiał wrażenie nieco znużonego, ale poza tym nic mu nie dolegało.

- Znowu będzie mnie pani nawracać? - zapytał, siadając.

- Spróbuję. Porozmawiamy o tym, jak już wypijemy trochę kawy.

- Wolę herbatę. Ziołową. Przyniosłem własną. Tu mają dość kiepski wybór.

Kelnerka podeszła do stolika i przyjęła zamówienie.

- To na pani szyi... - powiedział Holly, wskazując wzrokiem. - To fetysz? Zauważyłem go wczoraj, ale byłem zaprzętnięty innymi sprawami.

Cordelia odpięła zameczek i podała wisiorek Buddyemu. Mocna nić z wyschniętych wnętrzności łączyła małego srebrnego aligatora i kopalny ząb z delikatnym owalnym kawałkiem piaskowca.

Holly obracał przedmiot w palcach, przyglądając mu się z uwagą.

- Nie wygląda na amerykański. Południowo-zachodnia Polinezja? Może Australia?

- Nieźle - pochwaliła go Cordelia. - Jest aborygeński.

- Jakie plemię? Arandów znam dość dobrze, wiem też trochę o Wik-Mungkanach i Murnginach, ale tego po prostu nie poznaję.

- Zrobił go młody Aborygen z miasta - wyjaśniła Cordelia. Zawahała się na moment. Myśli o Wyungarem ekscytowały ją, lecz jednocześnie sprawiały jej ból. Zastanawiała się też, jak rozwija się jego tak zwana środkowoaustralijska rewolucja. Była zbyt zajęta przygotowaniami do imprezy, by zwracać uwagę na wiadomości. - To pożegnalny prezent od niego.

- Niech mi pani pozwoli zgadnąć - rzekł Holly. - Piaskowiec jest z Uluru? - Cordelia skinęła głową. Uluru to była skała, której Europejczycy nadali nazwę Ayers Rock. - A gad to pani totem, oczywiście. - Uniósł przedmiot pod światło, zanim oddał go dziewczynie. - Ma w sobie sporą moc. To nie jest zwykła pamiątka.

Zawiesiła sobie fetysz na szyi.

- Skąd pan wie?

Uśmiechnął się do niej z przekąsem.

- Tylko proszę się nie śmiać, zgoda?

- Zgoda - powtórzyła zdziwiona Cordelia.

- Odkąd wszystko diabli wzięli... odkąd wszystko się rozsypało, mniej więcej w siedemdziesiątym drugim - ciągnął niepewnie - nie przestaję szukać.

Pociągnął z namysłem łyk herbaty.

- Czego pan szuka? - zapytała dziewczyna.

- Czegokolwiek, co miałoby znaczenie. Po prostu szukam.

- Chodzi o sprawy duchowe? - zapytała dziewczyna po chwili zastanowienia.

Holly pokiwał z pasją głową.

- Absolutnie. Straciłem limuzyny i domy, prywatny samolot i luksusy... - Przerwał w pół zdania. - Wszystko to zniknęło. Uznałem, że musi istnieć coś jeszcze poza flaszką i stoczeniem



się na dno.

- I znalazł pan to?

- Nadal szukam. - Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

- Kupę lat i cała masa kilometrów. Wie pani co? W Afryce i w całej reszcie świata jestem znacznie bardziej popularny niż tutaj. W siedemdziesiątym piątym agent dał mi ostatnią szansę i załatwił mi to wariackie tournee po całej Afryce. Ale wszystko się spieprzyło. Czy raczej sam wszystko spieprzyłem. Zerwałem koncert w Johannesburgu, zdołałem jakoś ukraść land-rovera, pojechałem do buszu i wyłopałem półtora litra Jima Beama. Wie pani, jak wygląda zatrucie alkoholem? Kurde, niewiele brakło.

Cordelia gapiła się na Buddyego, zafascynowana jego zachodnioteksaskim akcentem. Potrafił świetnie opowiadać.

- Znaleźli mnie buszmeni, mieszkańcy Kalahari. Kiedy się ocknąłem, szaman Kungów pochylał się nade mną, wydając z siebie najbardziej bezbożne krzyki, jakie w życiu słyszałem. Później dowiedziałem się, że wciągał chorobę w siebie, a następnie wypuszczał ją w powietrze. - Holly z zamyśloną miną dotknął kciukiem własnych siekaczy. - To był początek.

- A co wydarzyło się potem? - zapytała Cordelia.

- Ciągłe poszukiwanie. We wszystkich możliwych miejscach. Kiedy grałem w serii barów w obu Dakotach i na Środkowym Zachodzie, usłyszałem o Dudniącym Gromie i o pokoleniach Czarnego Karibu. Im więcej się o nich dowiadywałem, tym bardziej narastała moja ciekawość. - Jego głos przybrał marzycielski ton. - Kiedy znalazłem się wśród Lakotów, zapragnąłem wizji. Szaman przeprowadził mnie przez ceremonię *inipi*, a potem wysłał na wzgórze, bym spotkał *wakan*, święte istoty.

- Holly uśmiechnął się z żalem. - Grzmiące Istoty przybyły, ale na tym koniec. Tylko zmokłem i zmarzłem. - Wzruszył ramionami. - Zdarza się.

- Ale nadal pan szuka - zauważyła Cordelia.

- To prawda - zgodził się Holly. - Uczę się. Po Afryce Południowej rzuciłem picie. Prochów też nie biorę. A jeśli chodzi o to, czego się nauczyłem, zatwardziało mi się baptyście trudno jest dorosnąć, ale starałem się osiągnąć ten cel.

Cordelii nasunęła się myśl, że bez względu na wszystkie swe słowa Buddy Holly jest bardzo mocno zakorzeniony w fizycznym wszechświecie. Nie wyczuwała w nim eterycznego oddalenia, jakie postrzegała u gwiazd rocka, które przeszły duchową transformację, takich jak Cat Stevens albo Richie Furay. Skubnęła kawałek zapomnianej mufinki.

- Większości tego, co wiem na ten temat, nauczyłam się od swego aborygeńskiego przyjaciela, ale wiele myślałam na ten temat. W związku ze swą pracą czasami zadaję sobie pytanie, czy gwiazdy rocka, pop i inni sławni artyści są w dzisiejszej Ameryce odpowiednikiem szamanów

Holly pokiwał z powagą głową.

- Ludzie obdarzeni mocą. Tak jest.

- Mają w sobie magię.

- Na szczęście ci, którzy naprawdę w to wierzą, na ogół nic nie mają - odparł ze śmiechem Buddy Holly. - A ci, którzy posiadają prawdziwą moc, nie są tego świadomi.

Cordelia skończyła mufinkę.

- Wszyscy, którzy wystąpią na dobroczynnym koncercie w przyszłą sobotę, mają moc.

Holly popatrzył na nią nieufnie.

- Zmieniam temat - dodała od niechcienia dziewczyna.

- Nie sędzę, by sytuacja zbyt się zmieniła od wczorajszego wieczoru. Pragnie pani, bym

zagrał stare standardy, a ja po prostu nie mogę tego zrobić.

- Czy... - Cordelia przerwała na chwilę, szukając odpowiednich słów. - Czy chodzi o brak pewności siebie?

- To zapewne część problemu.

- To samo zdarzyło się C.C. Ryder - zauważyła Cordelia.

- Ale ona zmieniła zdanie i wystąpi.

- Brawo dla niej. - Holly się zawahał. - Prawda wygląda tak, że nie mogę zagrać tych piosenek, o które pani chodzi.

- A to dlaczego?

- Nie są już moją własnością. Na długo przed tym, nim wszystko poszło w diabły, nowojorska firma Muzyczna Dzierzba wykupiła cały mój katalog. To bardzo mili ludzie. Widziała pani kiedyś ich logo? Ćwierćnuta nadziana na szpikulec. Zakazali wykonywania wszystkich moich kawałków. Wścieka mnie to, ale nie mogę nic na to poradzić. - Holly rozpostarł bezradnie dłonie.

- Przekonamy się - odparła bez chwili wahania Cordelia. - GCGiR ma spore wpływy. Czy nie ma już innych przeszkód?

- Myśli pani, że może dokonać wszystkiego, tak? - Holly potrząsnął głową i uśmiechnął się, tym razem szczerze. Zęby miał równe i białe. - W porządku. Jeśli zdoła pani uwolnić moją muzykę, może się dogadamy. W imię dawnych czasów.

- Nie rozumiem - odparła Cordelia.

- Coś pani opowiem - zaczął Buddy Holly. Jego twarz i głos wypełniło ożywienie. - Chodziłem do liceum w Lubbock. Założyliśmy grupę z Bobem Montgomerym i nagrywaliśmy różne szalone kawałki. Poznałem wtedy jedną dziewczynę. Wydawało mi się, że jest... - Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się nieśmiało. - Zna pani ten tekst. W ogóle mnie nie zauważała. To o niej myślałem, gdy parę lat później nagrywałem w Nashville „Girl on My Mind”. Decca Records chciały wtedy, żebym brzmiał jak wszyscy, którzy mieli w pięćdziesiątym szóstym jakiś rockandrollowy przebój. Można powiedzieć, że to był dla mnie nietypowy utwór. - Potrząsnął głową. - Tak czy inaczej, przypomina mi ją pani. Ona też potrafiła sobie radzić.

Oparł się wygodnie na krzesło, przyglądając się jej z uwagą.

- To świetna historia - stwierdziła dziewczyna. - Zupełnie jak...

- Rock and roli - dokończył Holly.

Oboje parsknęli śmiechem. *Wszystko wraca na właściwe tory* - pomyślała Cordelia.

## Poniedziałek

Cordelia siedziała za biurkiem i rozmyślała o swoich grzechach, czekając na połączenie z wydziałem praw i zezwoleń Muzycznej Dzierzby. Tło muzyczne w słuchawce tworzył jakiś ponury, klasyczny kawałek przypominający tren. Cordelia podejrzewała, że to celowa zagrywka psychologiczna.

Gdy przyglądała się swoim paznokciom, przyszło jej na myśl, że jeszcze nie próbowała się skontaktować z Mickiem Jaggerem. Luz Alcalá nie będzie zadowolona. Dobrze chociaż, że oddała jej mercedesa bez żadnych wgnieceń czy zadrapań. No cóż, istniała pewna hierarchia priorytetów. Cordelia uważała, że to bardzo ważne, by Buddy Holly wystąpił w Gabinecie Luster.

Przejrzała kartki z wiadomościami leżące na biurku. Menedżer U2 zawiadomił ją, że w weekend The Edge przytrzasnął sobie palce drzwiami samochodowymi i zespołowi może zabraknąć gitarzysty. *Może uda się namówić Bono na akustyczny występ?* - pomyślała.

Dział techniczny zostawił kartkę z informacją, że satelita ShowSat III sprawia trudności nad Oceanem Indyjskim. Pracowali nad tym. Byli w miarę przekonani, że awarię uda się usunąć. *W miarę?* - zadała sobie pytanie. Niech to szlag. Lepiej, żeby „w miarę” przekształciło się w „absolutnie”. Wiedziała, że jej wpływy z pewnością nie wystarczają, by skłonić GCGiR do opłacenia lotu wahadłowca w okresie pięciu najbliższych dni. Albo w jakimkolwiek okresie. Jezu, o czym myślała? Przełknęła łyk kawy i łypnęła ze złością na telefon. Jak długo jeszcze każą jej czekać?

Następna kartka pochodziła od Tami, półkwi Eskimoski będącej gitarzystką prowadzącą Girls With Guns. Najlepsza na świecie czysto kobieca grupa neopunkowa ugrzęzła w Billings. Czy Cordelia mogłaby im przysłać wystarczająco dużo gotówki, by cała grupa dotarła na sobotę do Nowego Jorku? Zapewne tak. *Pogadaj z Luz* - zapisała sobie.

Rozległ się podwójny sygnał.

- Panna Delveccio, prawa i zezwolenia - zabrzmiał głos.

Cordelia przedstawiła się, starając się okazać całą pewność siebie, spokój i opanowanie, na jakie było ją stać. Uważała, że dobrze jej to wychodzi.

- Chciałam pomówić o katalogu Buddyego Hollyego. Jak rozumiem, prawa do niego należą do Dzierzby. W Globalnym Centrum Gier i Rozrywki bardzo byśmy się ucieszyli, gdyby pan Holly mógł wykonać serię swych starych utworów na koncercie dobroczynnym, który odbędzie się w najbliższy weekend.

Zapadła chwila ciszy.

- Na czym rzecz?

Cordelii nie spodobał się akcent kobiety. Zapewne południowy Bronx.

- Hmm, ofiar AIDS i dzikiej karty. Program na żywo obejrzy...

- Ach, ten koncert - przerwała jej panna Delveccio. - Niestety, nie będziemy mogli współpracować w tej sprawie z centrum, pani Chaisson. Bardzo mi przykro.

Jej głos bynajmniej tego nie sugerował.

- Z pewnością dałoby się...

- Dzierzba posiada wyłączne prawa na muzykę pana Hollyego. Nie będziemy mogli udzielić pani rzezbędnych pozwoleń.

„Koniec dyskusji” - zabrzmiało jednoznacznie.

- Może gdybym porozmawiała z kierownikiem wydziału...

- Obawiam się, że pana Lazarusa nie ma dziś w pracy.

- W takim razie może...

- Dziękuję, że pani o nas pomyślała, pani Chaisson - oznajmiła panna Delveccio. - Życzę miłego dnia.

Kobieta odłożyła słuchawkę.

Cordelia gapiła się na telefon przez minutę albo dwie. Niech to szlag. Życzyła panie Delveccio maksymalnie trudnego okresu. Po następnej minucie włączyła komputer, by zajrzeć na sieciową stronę „Variety”. Sprawdziła na oślep kilka elektronicznych stron, aż wreszcie uruchomiła modem i zajrzała do indeksu „Variety”. Znalazła wiele odniesień do Muzycznej Dzierzby, ale tylko kilka do Buddyego Hollyego. Jeden artykuł łączył się z obydwoma hasłami. Napisano go przed niespełna trzema miesiącami, gdy była w Australii. Najwyraźniej Muzyczna Dzierzba

podpisała wielomilionowy kontrakt z drugą pod względem wielkości amerykańską firmą reklamową. Firma ta była klientem wielkiej ewangelikalnej organizacji, pragnącej spopularyzować swe parki rozrywki oraz inne komercyjne przedsięwzięcia za pomocą, jak ujął to Leo Barnett, „niewinnej, lecz pełnej energii nostalgii, jaką cechuje się muzyka Buddyego Hollyego”.

*Tylko nie to* - pomyślała Cordelia. Nic dziwnego, że Dzierzba nie chciała, by piosenki Hollyego kojarzono z ich koncertem. Będą problemy.

- Dzień dobry, Cordelio - odezwała się Luz Alcala, wsadzając głowę do jej pokoju. - Weekend się udał?

Dziewczyna uniosła wzrok.

- Z pewnością. Dostała pani kluczyki, tak? Raz jeszcze dziękuję za samochód.

Luz skinęła głową.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz niewyraźnie.

- To tylko poniedziałkowy poranek.

Luz skinęła głową ze współczuciem.

- Swoją drogą, czy już skontaktowałaś się z naszym likantropicznym przyjacielem?

Dziewczyna potrząsnęła głową, zastanawiając się pośpiesznie.

- Nadal nie mogę go złapać.

- Pozwól, że coś ci zasugeruję. Jeśli nie możesz się dogadać z ich menedżerami, zwróć się do prezesów firm, dla których nagrywają. Kiedy nie możesz osiągnąć satysfakcji, idź wyżej. To prawie zawsze skutkuje.

*Aha!* - pomyślała Cordelia.

- Dziękuję - powiedziała.

Luz gadała z nią jeszcze przez chwilę. Kiedy wyszła, dziewczyna znowu zadzwoniła do Dzierzby i poprosiła o połączenie z gabinetem prezesa. Po sforsowaniu bariery dwóch sekretarek dotarła do niejakiego Anthony ego Michaela Cardwella. Cardwell okazał się sympatyczniejszy niż panna Delveccio, ale również w niczym nie pomógł Cordelii.

- To prawda, że Muzyczna Dzierzba ma odpowiedzialność wobec społeczeństwa i uczestniczymy w wielu pożytecznych przedsięwzięciach, ale w ostatecznym rozrachunku odpowiadamy przed udziałowcami i właścicielami. Z pewnością rozumie pani, że nasza pozycja jest trudna.

*Pieprzys* - pomyślała rozwścieczona Cordelia. Na głos powiedziała coś o zbliżonym znaczeniu. Była stanowczo zbyt szczerą. Prezes Muzycznej Dzierzby natychmiast zakończył rozmowę.

Odłożywszy słuchawkę, Cordelia zaczęła bębnić palcami o blat. Luz powiedziała jej „idź wyżej”. Dziewczyna dotknęła klawiatury komputera, przywołała listę baz danych dotyczących przemysłu rozrywkowego i zaczęła poszukiwać korzeni korporacyjnego drzewa Dzierzby. Zadała sobie pytanie, co słychać u Jacka.



Rzecz jasna, wujek uwierzył Cordelii, gdy powiedziała mu w niedzielę wieczorem, że nie powinno być problemów z uzyskaniem dla Hollyego pozwolenia zagrania jego własnej muzyki. Co więcej, GCGiR załatwi Jackowi zwolnienie na poniedziałek rano. To pozwoli mu pomóc

Buddyemu w przeniesieniu się na Manhattan. Cordelia załatwiła już pokój w hotelu California, gdzie najczęściej zatrzymywali się odwiedzający Nowy Jork muzycy.

- Kierownictwa nie obchodzi, co się dzieje w hotelu, pod warunkiem, że koszty strat zostaną pokryte - oznajmiła. - Karty Platinum Amex są miłe widziane.

W poniedziałkowe południe, gdy Cordelia bawiła się w komputerową Nancy Drew, Jack pomógł Buddyemu Hollyemu wprowadzić się do pokoju na ósmym piętrze w hotelu California.

- Ma pan otwarty kredyt - poinformowała Buddyego recepcjonistka, więc obaj zamówili sobie suty obiad.

Holly wypakował magnetofon kasetowy i pudełko z kasetami. Miał w nim eklektyczną kolekcję Windhama Hilla - mnóstwo nowegoalbumów, kasety o prostych etykietach, zawierające relaksujące nagrania wiatru, burzy, morza i deszczu, a także liczne egzemplarze z wczesnym rockiem, bluesem oraz country.

- Mam tu trochę rzadkich nagrań - pochwalił się Holly, wyjmując kilka kaset ewidentnie nagranych własnoręcznie.

- Tiny Bradshaw, Lonnie Johnson, Bill Doggett, King Curtis.

I nieco lepiej znanych rzeczy. Ray Orbison, Buddy Knox, Doug Sahm. - Zachichotał. - Te ostatnie chłopaki to prawdziwa teksaska kolekcja. Mam też odrobinę Georgea Jonesa. Tego chłopaka też bardzo lubię. W pięćdziesiątym piątym grałem jego kawałki ze swoją pierwszą grupą w show Hanka Cochran.

- A co to jest? - zapytał Jack, wskazując na jedyną winylową płytę w pudełku pełnym kaset.

- Jestem z tego bardzo dumny. - Holly uniósł małą płytę gramofonową. - „Jole Błon”. Pierwsze nagranie Waylona Jenningsa. Byłem jego producentem w czasach, kiedy grał z The Crickets.

Jack wziął bardzo ostrożnie płytę w rękę, jakby trzymał relikwie.

- Chyba słyszałem to w WSM.

- Aha - zgodził się Holly. - Wszyscy artyści z tamtych czasów, których szanuję, uczyli się muzyki, słuchając „Grand Ole Opry”.

Jack odłożył płytę. Zalała go potężna ospałość. Zerknął na resztki obiadu. Chwyciły go mdłości. Usiadł na kanapie.

- Przed przyjazdem do Nowego Jorku cały czas słuchałem „Opry” - zaczął, starając się zachować spokojną intonację.

- A gdy tu przybyłem, znalazłem stację w Wirginii, która ją nadawała.

- Pochodzisz z tej samej okolicy, co twoja siostrzenica? - zapytał z zainteresowaniem Holly.

Jack skinął głową.

- Aligator jest również twoim totemem?

Kanalarz milczał, starając się zapanować nad nowym bólem, który nagle pojawił się w jego brzuchu.

- To potężny zwierzęcy duch opiekuńczy - stwierdził Holly. - Nie chciałbym z nim zadzierać.

Jack zgiął się wpół, starając się powstrzymać jęk bólu.

Holly natychmiast znalazł się u jego boku.

- Coś ci dolega? - Przesunął dłońmi po piersi i brzuchu kanalarza. Jego palce zatrzepotały lekko nad jego żołądkiem.

- O kurde. Myślę, że masz jakieś kłopoty.

- Tak - przyznał z jękiem Jack. W poprzednich latach raczej nie miewał trudności z opieraniem się wirusom grypy żołądkowej, ale Tachion opowiadał mu o zakażeniach oportunistycznych.

Jack natychmiast wyobraził sobie, że zarazki zmierzają ku niemu ze wszystkich niezdrowych zakamarków świata. - Pewnie to tylko grypa.

Holly potrzęsła głową.

- Wyczuwam naprawdę potężne zakłócenia.

- To wirus.

- Ale zdołał cię zakazić dlatego, że twoja osłona, twój osobisty płaszcz jest uszkodzony.

- Sam nie potrafiłbym ująć tego lepiej - zgodził się Jack.

Holly zdjął dłonie z jego brzucha.

- Przepraszam, nie bierz tego do siebie. Nie wiem, czy Cordelia ci o tym wspominała, ale... kapujesz, wiem trochę o takich sprawach. - Jack popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Potrzebujesz tradycyjnej terapii - ciągnął z powagą Holly.

- Czegoś, co wysie zakłócenia. Myślę, że to jedyny sposób.

Jack nie potrafił się powstrzymać. Zaczął chichotać, a następnie ryknął gromkim śmiechem. Sprawiało mu to ból, lecz jednocześnie poczuł się od tego lepiej. Buddy Holly gapił się na niego z wyraźnym zdumieniem. Po chwili Jack zdołał się wyprostować.

- Przepraszam. Po prostu nie wydaje mi się, by, hmm, wysysanie zakłóceń z mojego ciała było w tej chwili najlepszym pomysłem.

- Nie zrozum mnie źle - odparł Holly. - Chodzi mi o mentalny zabieg, wyciągnięcie z ciebie przyczyny cierpienia mocą duszy i umysłu.

- Wiem.

Jack znowu zaczął się śmiać. *Dieu*, z pewnością poczuł się od tego lepiej.



O drugiej po południu Cordelia sprawdziła już informacje o Muzycznej Dzierzbie w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej oraz w Biurze Rejestrów Publicznych w Albany. Zabazgrała kilka kartek liczbami i notatkami. To przypominało jedną z tych złożonych z tysiąca elementów układanek, których nigdy nie miała cierpliwości skończyć.

Muzyczna Dzierzba była jednostką zależną, w całości należącą do Monopoly Holdings, korporacji mającej siedzibę w Nowym Jorku. Cordelia zadzwoniła do nowojorskiej centrali, próbując się połączyć z prezesem. Udało jej się dotrzeć do wicedyrektora do spraw korporacyjnych, który powiedział jej, że nie ma uprawnień, by wypowiadać się w sprawie Buddyego Hollyego, ale powinna wysłać szczegółowy list do prezesa Monopoly, niejakiego Connela McCraya. Cordelia zapytała, czy nie mogłaby porozmawiać z nim bezpośrednio, ale usłyszała w odpowiedzi, że prezes jest niedysponowany i trudno przewidzieć, kiedy wróci do pracy.

W Rejestrach Publicznych dowiedziała się, że Monopoly Holdings są działem korporacji Infundibulum, konsorcjum kontrolowanego przez CariBank w Nassau. Próby dodzwonienia się do Infundibulum kosztowały ją dwadzieścia frustrujących minut oczekiwania na równie mało satysfakcjonującą rozmowę z asystentem prezesa zarządu. Zamiejscowa rozmowa z Nassau pozwoliła jej pogadać z mówiącym z mocnym bahamskim akcentem facetem zapewniającym, że nigdy nie słyszał o żadnym Hollym.

Odłożyła słuchawkę i obrzuciła telefon pełnym frustracji spojrzeniem.

- Muszę iść do domu - powiedziała sobie.

Czas na przerwę. Potem będzie mogła wrócić do biura i przepracować całą noc.



Veronica i Cordelia dzieliły ze sobą mieszkanie w wieżowcu przy Maiden Lane, w dolnej części Manhattanu. Widok nie był zbyt efektowny. Okna salonu wychodziły na wąskie podwórko, a sąsiednie jedenastopiętrowe budynki znajdowały się w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Z początku Cordelia czuła się tu tak, jakby oglądała wyjątkowo nudny program na wielkim ekranie telewizyjnym, ale szybko nauczyła się ignorować otoczenie. Cieszyła się, że ma mały pokój tylko dla siebie. Z resztą mieszkania Veronica mogła robić, co zechce.

Swój własny pokój starała się wykorzystać maksymalnie. Wynajęła cieślę z Soho, który zrobił tanią ramę z desek, podtrzymującą łóżko. Prowizoryczny stryszek do spania. Musiała tylko uważać, żeby nie stoczyć się z niego nocą. Prawie dwa metry wolnego miejsca poniżej materaca dało miejsce na szafkę, półki na książki oraz na albumy. To z kolei pozwoliło zakryć pozostałą część ścian obrazkami i plakatami. Nad jedną ze ścian dominował kolorowy plakat przedstawiający Ayers Rock o świcie. Na przeciwległej wisiał znany plakat z napisem „GDY ZNAJDZIESZ SIĘ PO TYŁEK W ALIGATORACH”, ale zakończenie tej starej maksymy zmieniono czarnym markerem na „WIESZ, ŻE JESTEŚ W DOMU”.

Cordelia wkładała do magnetofonu kasetę Suzanne Vega, gdy do pokoju weszła jej współlokatorka. Veronica miała na sobie białą, seksowną suknię. Włożyła też platynową perukę i fioletowe szkła kontaktowe.

- Maskarada? - zapytała Cordelia.

- Tylko randka. - Veronica zatoczyła oczami. - To facet z Malty. Kocha się jednocześnie w Marilyn Monroe i w Liz Taylor. - Zmieniła temat. - Posłuchaj, masz jeszcze dobre bilety na sobotę?

- Dwa i pół tysiąca dolarów za sztukę - odparła Cordelia.

- Nie stać mnie na takie prezenty.

- Nie ma sprawy. One są dla kierownictwa. Miranda i Ichiko mogą sobie na to pozwolić. Chciałyby tylko mieć wybór stolika. Blisko sceny, dobra?

- Zobaczę, co da się zrobić.

Cordelia zapisała to w Księdze Rzeczy do Zrobienia i schowała ją z powrotem do torebki.

- Jak ci idzie praca? - zapytała niewinnie Veronica.

Cordelia jej opowiedziała.

- Mam wrażenie, że przydałby ci się prawdziwy detektyw.

- Gdybym jakiegoś znała, zwróciłabym się do niego. Jestem zdesperowana.

- Niewykluczone, że będę mogła ci pomóc - odparła Veronica.

- Czy mogłabyś powiedzieć mi coś więcej?

Cordelia pomyślała, że dobrze by było przekazać tę sprawę komuś innemu.

- Jeszcze nie. Daj mi nad tym popracować. I postaraj się, żeby to były dobre miejsca.

- Jeśli pomożesz mi sprowadzić Buddyego Hollyego przed kamery, pozwolę Ichiko i Mirandzie siedzieć na scenie za monitorami - zapewniła Cordelia. - Będą mogły trzymać mikrofony albo co tylko zapragną.

- Umowa stoi. I jeszcze jedno - dodała Veronica - zanim pojedą do górnej części Manhattanu.

Kto dzisiaj kupuje karmę dla kota?



Obaj mężczyźni siedzieli w pokoju, słuchając muzyki. Buddy Holly pił napoje gazowane, a Jack ciemne piwo. Obsługa spełniała ich wszystkie życzenia. Rozmawiali. Holly od czasu do czasu wstawał, by zmienić kasetę. Słuchali Jimmiego Rodgersa i Carla Perkinsa, Hanka Williamsa i Jerryego Lee Lewisa, Elvisa Presleya i Conwaya Twitty ego. Jack był zdziwiony, że muzyk ma też kasyety nowszych wykonawców - Lylea Lovetta, Dwighta Yoakuma i Steve'a Earle'a.

- Jak powiedziała mała, trzeba nadążać za ewolucją - wyjaśnił prosto Holly.

Rozmawiali o latach pięćdziesiątych. O Luizjańskiej kra- nie Bayou i suchych pustkowiach zachodniego Teksasu.

- Coś ci powiem - rzekł Holly. - To nie świadczy zbyt dobrze o Lubbock, ale właściwie jedynym miejscem, do którego można się wybrać w sobotni wieczór, jest Amarillo. Wróciłem tam, kiedy skończył się naftowy boom, a potem znowu, po krachu, i nic się zbytnio nie zmieniło.

- Nie obchodzą dnia Buddyego Hollyego? - zapytał Jack.

- Chyba najpierw będę musiał umrzeć.

Jack doszedł do wniosku, że mają ze sobą bardzo wiele wspólnego. Pomijając fakt, że w gminie Atelier nikt nigdy nie będzie obchodził dnia Jacka Robicheaux. Nawet po jego śmierci. Pogrzebał w pudełku i wyjął z niego kasetę oznaczoną tylko napisem „nowe”.

- Co to jest?

- Ech, nic takiego - odparł Holly. - Z pewnością nie chciałbyś tego słuchać.

Kanalarz pomyślał, że sprzeciw tamtego zabrzmiał dziwnie. Gdy Buddy Holly poszedł do łazienki, Jack włożył tajemniczą kasetę do magnetofonu i nacisnął „play”. Muzyka była prosta i surowa. Nie było tła, podwójnych ścieżek ani warstw dźwięku. W pierwszej piosence śpiew był pełen zadumy, a w drugiej radosny. Teksty były dojrzałe. Słyszało się w nim charakterystyczną czkawkę. To był Buddy Holly. Jack nigdy nie słyszał tych piosenek.

Drzwi łazienki otworzyły się za jego plecami.

- Po tym, jak samolot rozbił się z całą moją rodziną, a Dzierzba wykupiła prawa do wszystkich moich utworów, ludzie najwyraźniej doszli do wniosku, że nie będę już więcej komponował. I przez kilka następnych lat faktycznie tego nie robiłem.

Zaczęła się trzecia piosenka.

- To wszystko jest nowe - rzekł z nabożeństwem Jack. - Mam rację?

- Świeże jak zmartwychwstanie - potwierdził Buddy Holly cichym, lecz potężnym głosem.

Wtorek

Gabinet Luster nie był Carnegie Hall i - podobnie jak niemal każdy klub na Manhattanie - nie wyglądał zbyt korzystnie w świetle dnia. Dziś rano lustra były zakurzone i pokryte plamami. W sobotę wyczyści się je na wysoki połysk. Jack rozejrzał się po sali. Widział przede wszystkim ułożone na stołach krzesła. Przez nieliczne okna i świetliki do środka wpadały snop blasku



wiosennego słońca, oświetlający niezliczone drobiny pyłu tańczące w powietrzu. Wyczuwało się tu zapach stęchlizny, mieszający się z wonią maszynowego smaru.

Jack stał obok Buddy ego Holly ego. Buddy stał obok C.C Ryder. Po drugiej stronie C.C. przystanąła Trampula. Tego wymagał nienaruszalny protokół. Bezdonna kobieta podjęła się roli nieodłącznej towarzyszk i opiekunki piosenkarki. Jack zdawał sobie sprawę, że świadomie zajął podobną pozycję u boku Buddyego Hollyego. Szczerze go polubił. Nie chodziło tylko o nostalgię za latami pięćdziesiątymi i sześćdziesiątymi. Czuł, że on i Teksasczyk zaprzyjaźniają się ze sobą. *Wasza przyjaźń nie potrwa zbyt długo* - szeptał jednak paskudny głos w jego umyśle. Dziś rano widział się z doktorem Tachionem. Takizjanin zaproponował, że przyjmie go do szpitala.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Jack.

Tachion zaapelował do jego rozumu.

- Czy potrafisz przewidzieć, jak zachowa się moja wersja wirusa? - zapytał w odpowiedzi kanalarz.

Kosmita przyznał, że właściwie nie potrafi. Istniały jednak środki zapobiegawcze... Jack wzruszył z żalem ramionami i wyszedł.

Xavier Desmond przyglądał się przygotowaniom. Zwiędła trąba opadała mu na pierś. Poruszał się powoli, jak ktoś, kto wie, że śmierć jest już blisko, lecz jednocześnie przepajała go niewysłowiona duma. Na ten jeden wieczór oczy całego świata zwrócą się na jego ukochany Gabinet Luster.

Ciasne wnętrza klubu dodatkowo ograniczały przewody kamer poprowadzone przed sceną i po jej bokach. Technicy zręcznie zawiesili na suficie smukły jib.

- Tylko żeby nie muskał żyrandola! - zawołał Des, gdy operator poruszył na próbę modliszkowatym wysięgnikiem kamery

Mimo że w lustrzanych kulach odbijały się promienie słońca, wewnątrz klubu panowała szarość.

Buddy Holly podrapał się po głowie.

- Kurde, widziałem już gorsze sceny.

- Ja występowałam na gorszych - dodała ze śmiechem C.C.

- Ale chyba nie otoczą jej drucianą siatką, co?

Piosenkarka wzruszyła ramionami.

- Joe Ely opowiadał mi o lokalach tak szemranych, że trzeba było porzygać się trzy razy i pokazać nóż, zanim wpuścili cię do środka - oznajmiła, naśladowując silny teksaski akcent.

- I to tylko wtedy, gdy miałeś w nich śpiewać.

- Lokal Desa reprezentuje wyższą klasę - zapewnił Jack.

- Ludzie, którzy płacą dwa i pół tysiąka za bilet, raczej nie będą rzucać w scenę butelkami piwa Corona.

- Gdyby to robili, całość wyglądałaby autentyczniej. - Holly zerknął na C.C. - Muszę ci powiedzieć, że naprawdę ekscytuje mnie myśl, że zobaczę twój występ.

- Nawzajem - odparła kobieta. - Choć nadal okropnie się denerwuję. Na pewno się zdecydowałeś?

- Masz jakieś wiadomości od siostrzenicy? - zapytał Holly, spoglądając na Jacka.

Kanalarz potrząsnął głową.

- Rozmawiałem z nią dziś rano. Sprawy z Dzierzbą chyba idą powoli, ale powiedziała, że nie ma powodu się martwić. To tylko biurokratyczne formalności.

C.C. dała Hollyemu kuksańca w żebra.

- Posłuchaj, jeśli ty wystąpisz, to ja też.

- Wyzwanie? - Buddy powoli rozciągnął usta w uśmiechu. - Myślisz, że to będzie równie ekscytujące, jak wyścigi uliczne? A co tam. Zgadzam się. Wystartuję pierwszy, jak Duch Minionych List Przebojów. Jeśli będę musiał, zaśpiewam cover, hmm, Billy ego Idola.

- Nie! - sprzeciwiła się Trampula. - Nie zgadzam się.



Cordelii nie szło zbyt dobrze. Dotarła do pracy o siódmej. Była tak rozkojarzona, że zapomniała o różnicy stref czasowych. Menedżer Little Stevensa nie był zbyt zadowolony, gdy obudziła go w pokoju hotelowym tuż po czwartej rano.

Ale z drugiej strony około dziesiątej nadeszły lepsze wieści. Badanie rentgenowskie wykazało, że palce The Edgea są tylko lekko skręcone, a nie złamane. Dzisiejszy występ U2 w Seattle odwołano, ale do soboty gitarzysta powinien wydobrzeć.

Pozostawała sprawa Muzycznej Dzierzby. Cordelia sporządziła wspaniały schemat blokowy, pełen linii i strzałek przedstawiających płataninę zależności kierownictwa tej firmy. Miała listę prezesów, przewodniczących, wiceprezesów oraz kierowników działów promocji. A także prawników. Boże, były ich całe hordy. Ale nikt nie chciał z nią rozmawiać. *Dlaczego?* - zastanawiała się. *Czyżby śmierdziało mi z ust?* Zachichotała. *To tylko zmęczenie* - skonkludowała. Nadeszły stanowczo zbyt wcześnie. Po sobocie będzie miała czas walnąć się do łóżka. Zrobiła sobie kolejny kubek wysokokofeinowej kolumbijskiej kawy. Zaczęła się poważnie zastanawiać nad Dzierzbą i jej właścicielami, także nad tym, dlaczego wszyscy unikają rozmowy z nią, jakby była członkiem komisji dochodzeniowej Kongresu szukającą frajera, z którego da się wydusić trochę forsy.

Zadzwonił telefon. To dobrze. Może któryś z kilkunastu VIP-ów mających powiązania z Dzierzbą albo z jej bizantyńską strukturą własności postanowił odpowiedzieć na jej telefon.

- Cześć - odezwał się jej lokatorka. - Masz dla mnie bilety?

- A czy ty znalazłaś Spensera albo może Sama Spadea?

- Nawet lepiej - pochwaliła się Veronica. - Mam tu kogoś i chciałabym, żebyś z nim porozmawiała.

- Veronico... - zaczęła Cordelia. Dlaczego wszyscy bawili się w tajemnicze intrygi?

- Mówi Croyd - odezwał się nieznajomy, męski głos.

- Już się spotkaliśmy. Mieliśmy małą randkę we troje, ty, ja i Veronica.

- Pamiętam - przyznała Cordelia - ale...

- Zajmuję się dochodzeniami - przerwał jej bez ogródek.

- Chyba o tym wiedziałam, ale nie sądziłam...

- Posłuchaj - rzekł Croyd. - To pomysł Veroniki, nie mój. Może potrafię ci pomóc, a może nie. Chcesz się czegoś dowiedzieć o Muzycznej Dzierzbie?

- Jasne. Musimy się z Buddym Holłym dowiedzieć, kto jest właścicielem jego muzyki. Żeby mogła zdobyć dla niego pozwolenie wykonania jego własnych utworów. To pozwoli mi przekonać go, żeby w sobotę wystąpił...

- To znaczy, że Dzierzby nie ma w książce telefonicznej? - zapytał Croyd.

- Odmawiają rozmowy, jakby byli mafią albo czymś w tym rodzaju.

Odpowiedział jej ironiczny chichot.

- Może rzeczywiście są.
- Będę bardzo wdzięczna za wszystko, co zdołasz...
- Zobaczę, co się da zrobić - przerwał jej znowu Croyd.
- Zadzwoń do ciebie.

Usłyszała trzask przerywanego połączenia.

Cordelia odłożyła słuchawkę i pozwoliła sobie na uśmiech. Skrzyżowała palce. W obu dłoniach. Potem wzięła z biurka kolejny liścik czekający na jej uwagę. Tym razem sprawa była prostsza. Może uda się jej ustalić w niespełna godzinę, co właściwie spowodowało, że Girls With Guns ugrzęzły w Cleveland.

Środa

GCGiR zdecydowało, że klubowa grupa Gabinetu Luster będzie akompaniowała zarówno CG. Ryder, jak i Buddyemu Hollyemu. Mówiąc ściślej, to C.C. zaakceptowała muzyków. GCGiR tylko im zapłaciło.

- Wszyscy znają się na rzeczy - zapewniła Holly ego piosenkarka. - Jak dla mnie wystarczą.

Buddy z uwagą przyglądał się i słuchał, jak dwaj gitarzyści, perkusista, keyboardzistka i saksofonista stroją instrumenty.

Jack również to robił. Ćwiczenia będą długie i nudne, ale dla obserwatora to był show-biznes w akcji. Coś frapującego. Wspaniałego. Jak niebo.

C.C. zaprowadziła Hollyego na scenę. Trampula usiadła przy stoliku na przedzie, choć sprawiała wrażenie, że robi to z przymusu. Jack wiedział, że bezdomna wcale nie chciała przychodzić tu z przyjaciółką.

- Czy mogę się dosiąść? - zapytał, kładąc dłoń na oparciu krzesła stojącego naprzeciwko kobiety. Na moment skierowała na niego gorejące spojrzenie, po czym wzruszyła ramionami. Jack usiadł.

- W porządku - mówiła C.C. do muzyków na scenie.

- Oto od czego zacznę. Albo na tym skończę. Jeszcze nie wiem, niech to szlag. Wiem tylko, że to nowy materiał i wykonam go w ciągu swoich dwudziestu minut. - Ujęła w ręce swą hebanową dwunastostrunową gitarę i zagrała serię akordów. - Mamy całe trzy dni na to, żeby się zgrać. Pamiętajcie, że mamy przewagę nad takimi facetami, jak Bruce Springsteen i nad całym U2. - Wszyscy się uśmiechnęli. - No dobra, zróbmy to. Ten kawałek nazywa się: „Kochanie, dostałaś najlepsze karty”. Raz, dwa, trzy...

Gdy tylko C.C. zaczęła grać, na jej twarzy pojawiła się przerażona mina. Jack pomyślał, że słowo „niepokój” byłoby stanowczo zbyt łagodnym określeniem. Nie było tu tłumu widzów ani właściwie żadnego audytorium poza muzykami, technikami od świateł i dźwięku oraz garstką gości, takich jak on sam i Trampula. Dźwięk jej gitary zabrzmiał przeraźliwie płasko. Przestała grać i spojrzała na scenę. Wszyscy w klubie wstrzymali oddech. Piosenkarka uniosła spojrzenie. Jack miał wrażenie, że sprawiło jej to mnóstwo trudności. Jej palce popieściły struny.

- Przepraszam - powiedziała.

To było wszystko. Potem zaczęła grać.

*Kochanie, karty już rozdano. Kochanie, masz w ręku najlepszą kartę...*

Perkusista zaczął wybijać rytm. Wsparł go basista. Wolne miejsca wypełniły ciche dźwięki gitary rytmicznej. Jack zauważył, że Buddy Holly lekko głaszcząc palcami struny swego telecastera, mimo że instrument nie był podłączony do prądu.

*Grali tobą przez cały czas, grali, aż się zestarzałaś, a ty o niczym nie wiedziałaś, bo zawsze mówiłaś pas...*

Keyboardzistka wydobyła z organów Yamaha szalony, przenikliwy tryl. Holly uśmiechnął się pod nosem. Instrument zabrzmiał jak staromodne organy Farfisa, które oboje pamiętali z czasów poprzedzających powstanie syntezatorów.

*Kochanie, nigdy nie mów pas, bo najlepsze karty masz w dłoni...*

Gdy C.C. skończyła, w Gabinecie Luster na długą chwilę zapadła głucha cisza. Następnie technicy zaczęli klaskać. I wspierający muzycy również. Wszyscy krzyczeli głośno. Trampula wstała. Jack spojrział na stojącego w głębi sali Xaviera Desmonda. Po twarzy dzokera spływały łzy.

Buddy Holly podrapał się z uśmiechem po głowie. *Trochę przypomina Willa Rogersa* - pomyślał Jack.

- Wiesz co, moja droga? - zapytał. - Chyba właśnie mieliśmy zaszczyt usłyszeć największą atrakcję koncertu.

C.C. pobladła na twarzy, zdołała się jednak uśmiechnąć.

- Nie, to było niedopracowane. Będzie coraz lepiej.

Holly potrząsnął głową.

C.C. Ryder podeszła dziarsko do niego.

- Teraz twoja kolej, koleżko.

Mężczyzna ponownie potrząsnął głową, ale jego palce pieściły gitarę.

C.C. postukała się palcem w skroń.

- Ja pokazałam ci swoje.

Holly wzruszył ramionami.

- A co tam. Pewnie kiedyś będę musiał to zrobić.

- Tylko bez Billy ego Idola - ostrzegła go Trampula.

- Jego nie będzie - zgodził się ze śmiechem Holly. Brzdąkał przez chwilę, pogrążony w głębokim zamyśleniu.

- To będzie coś nowego. - Obejrzał się na Jacka. - Tego kawałka nie ma nawet na taśmie, którą słyszałeś. - Dźwięk gitary stał się głębszy i przybrał na sile. - Nazywa się „Cóż za bestia”.

Buddy Holly zaczął grać.



- To było niewiarygodne, Cordie. Dawny Buddy Holly, ale z dodatkiem dojrzałości - mówił Jack rozentuzja-zmowanym, bezkrytycznym tonem. - Grał same nowe kawałki. Absolutna rewelacja.

- Nowe, tak? - Cordelia postukała się w kolczyk prawym palcem wskazującym. - Czy są równie dobre, jak „That’ll Be the Day” albo „Oh, Boy”?

- A czy „Maxwells Silver Hammer” jest lepszy niż „I Want to Hold Your Hand”? - Głos Jacka nadal przepajał entuzjazm.

- Tego nie da się ze sobą porównywać. Nowe kawałki są tak samo pełne energii jak stare, tylko bardziej... - Przerwał na chwilę, szukając odpowiedniego słowa. - ...wyrafinowane.

Cordelia gapiała się na zdjęcia wiszące na przeciwległej ścianie gabinetu, ale właściwie ich nie widziała.

Pstryk. To tak, jakby w mojej głowie nagle zgaszono żarówkę - pomyślała. *Muszę zwolnić, bo mnóstwo spraw mi umyka.*

- Wyobrażam sobie, że Dzierzba nie ma żadnych praw do nowych utworów. Dam radę go wepchnąć w sam środek występu. Może ograniczę mu czas do dziesięciu minut.

- Musi dostać dwadzieścia - oznajmił stanowczo Jack.

- Tyle samo, co wszyscy.

- Może i tak - odparła dziewczyna. - Tak czy inaczej, będzie w samym środku. Widzowie zdążą się rozgrzać, ale nie będą mieli czasu zdecydować, czy są rozczarowani, że Buddy Holly nie zaśpiewał „Cindy Lou”.

W słuchawce zapadła cisza.

- Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu - stwierdził po chwili Jack.

- W porządku. Bardzo się cieszę. To znacznie uprości sprawę. Będę mogła powiedzieć tym przeżartym alkoholem skurczybykom z Dzierzby, żeby spadali. - Cordelia poczuła, że z głowy spada jej przygniatający ciężar. - Jesteś pewien, że zagra nowy materiał?

- Lody chyba przełamano. - Mężczyzna wyraził tonem wzruszenie ramion. - Oboje z C.C. wspierają się nawzajem. Myślę, że wszystko będzie dobrze.

- To świetnie. Dziękuję, wujku Jacku. Informuj mnie o dalszym rozwoju sytuacji.

Cordelia odłożyła słuchawkę w radosnym nastroju. Hollyego załatwiła. Mogła poprosić Croyda, żeby zaprzestał poszukiwań. Gdy jednak zadzwoniła do jego mieszkania, odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka.

*Może od tej chwili będzie z górki* - pomyślała optymistycznie.

## Czwartek

Cordelia uświadomiła sobie, że nuci „Real Wild Child”. Szybki utwór świetnie harmonizował z radosnym nastrojem, towarzyszącym jej przez całe popołudnie. Gdy już zidentyfikowała melodię, zaczęła się zastanawiać, gdzie ją słyszała. Z pewnością nie było jej na żadnym z albumów Buddyego Hollyego które miała. Piosenka chyba po prostu unosiła się w powietrzu.

Stukając palcami w rytm rozbrzmiewających w jej głowie dźwięków gitary, zabrała się do przewidzianych na porę poobiednią rozmów telefonicznych. Dodzwoniła się do Gabinetu Luster w tej samej chwili, gdy dostarczono jej wietnamską zupę. Telefon odebrał Jack.

- Próby idą świetnie - zapewnił. - C.C. i Buddy bardzo dobrze się dogadują. A Trampula nawet skinęła do mnie głową, kiedy jej powiedziałem „dzień dobry”.

- A jak z muzyką?

- Oboje grają przeważnie nowe kawałki. To znaczy, Buddy wyłącznie nowe.

- Ale czy da radę wypełnić całe dwadzieścia minut? - zapytała dziewczyna.

- Jak już mówiłem, nie będzie z tym żadnych problemów. Właściwie powinnaś mu dać godzinę.
- Nie jestem pewna, jak by to przyjęli U2 i Bruce Springsteen - zauważyła z przekąsem Cordelia.
- Idę o zakład, że byliby zachwyceni.
- Ale nie zamierzam tego sprawdzać. - Poczowała woń krabów i szparagów, dobiegającą ze styropianowego kubka z zupą.
- Muszę już kończyć, wujku Jacku. Przynieśli mi jedzenie.
- Dobra. - Mężczyzna się zawahał. - Cordie?
- Hmm? - mruknęła, mając już pełne usta.
- Dziękuję, że mnie w to wciągnęłaś. To było cudowne doświadczenie. Jestem ci bardzo wdzięczny. Pomogłaś mi... zapomnieć o całej reszcie.
- Dziewczyna przełknęła łyk gorącej zupy.
- Postaraj się, żeby C.C. i Buddy Holly byli zadowoleni.
- I Trampula też, o ile to w ogóle możliwe.
- Spróbuję.



Około drugiej, gdy Cordelia zadzwoniła do wynajętej przez GCGiR firmy próbującej wyegzorcyzmować demony ze Show- Sat III, nagle zauważyła kącikiem oka, że w drzwiach jej gabinetu stoi ktoś nieznamy. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na dystyngowanego mężczyznę w średnim wieku, mającego na sobie kremowy jedwabny garnitur, z pewnością wart dwie albo trzy jej miesięczne pensje. Skrojony z dokładnością do jednego angstrema. A fularowy krawat zawiązano z niezwykłą precyzją. Mężczyzna uniósł głowę i przeszył dziewczynę ostrym spojrzeniem.

- Jest pan za dobrze ubrany na Toma Wolfea - zauważyła Cordelia.
- W rzeczy samej, nie jestem nim - odparł bez śladu uśmiechu. - Czy mogę wejść i chwilę z panią porozmawiać?
- A czy jesteśmy umówieni? - zapytała zdziwiona dziewczyna. Spojrzała w swój kalendarz. - Obawiam się, że...
- Akurat byłem w okolicy - przerwał jej mężczyzna. - Mamy wyznaczone spotkanie. Obawiam się, że po prostu pani o nim nie poinformowano. - Wyciągnął rękę. - Proszę mi wybaczyć, że się nie przedstawiłem. St. John Latham, do usług. Reprezentuję firmę Latham i Strauss. Jak sądzę, słyszała pani o nas.
- Ściskając jego dłoń, Cordelia zauważyła błysk bardzo wypielęgnowanych paznokci. Rękę miał suchą, a uścisk niedbały.
- Firma prawnicza - stwierdziła dziewczyna. - Fłmm, proszę usiąść.
- Zajął miejsce na krześle dla gości. Na tle jego garnituru Breuer nie prezentował się nadzwyczajnie.
- Przejdźmy do rzeczy, pani Chaisson. Albo Cordelio, jeśli można?
- Jak pan sobie życzy.
- Dziewczyna spróbowała zebrać myśli. Fakt, że starszy wspólnik jednej z najdroższych i najwredniejszych kancelarii adwokackich na Manhattanie siedział właśnie w jej gabinecie, z

pewnością nie był dobrym znakiem.

- Poinformowano mnie - zaczął Latham, składając palce w piramidkę tak, że palce wskazujące ledwie muskały jego chudy podbródek - że spowodowała pani spore zamieszanie w pewnych korporacjach będących klientami firmy Latham i Strauss. Jak z pewnością pani odkryła, łączy nas kontrakt z grupą CariBank i w związku z tym interesują nas jej spółki zależne.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem...

- Bardzo zręcznie posługuje się pani komputerem i modemem, Cordelio. Nie zachowała też pani zbytnej dyskrecji, dzwoniąc do różnego rodzaju przedstawicieli firm.

Nagle wszystko zrozumiała.

- Och. Chodzi o Muzyczną Dzierzbę i Buddyego Hollye- go, prawda? - rzekła.

- Najwyraźniej bardzo się pani interesuje działalnością grupy CariBank. - Ton Lathama osiągnął temperaturę nadprzewodnika.

Cordelia uniosła z uśmiechem rękę.

- Hej, nie ma sprawy, panie Latham. Nie muszę już sobie zawracać tym głowy. Holly ma całą kolekcję nowych utworów, których Dzierzba nie może tknąć.

- Pani Chaisson... Cordelio... Muzyczna Dzierzba jest najmniej ważną z firm, o których szukała pani informacji. W firmie Latham i Strauss czujemy się zaniepokojeni pani zainteresowaniem innymi elementami grupy CariBank. Informacje na ich temat mogłyby się okazać... nieco kłopotliwe.

- Nie ma sprawy - powtórzyła stanowczo Cordelia.

- Daję słowo, panie Latham. Nie ma powodów do obaw.

- Uśmiechnęła się do niego. - Jeśli pan wybaczy, mam okropnie dużo roboty...

Latham wlepił w nią wzrok.

- Ma pani zaprzestać tych poczynań, pani Chaisson. Proszę pilnować własnego nosa. Zapewniam, że w przeciwnym razie gorzko pani tego pożałuje.

- Ale...

- Naprawdę gorzko. - Latham wpatrywał się w nią intensywnie, aż wreszcie mrugnęła. - Mam nadzieję, że mnie pani zrozumiała.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, szeleszcząc drogimi tkaninami.

Nagle coś sobie uświadomiła.

*Niech mnie powiesz na corde a boyau - pomyślała. Przed chwilą groził mi jeden z najpotężniejszych i najbardziej drapieżnych prawników na Manhattanie. A niech to.*

Miała jednak mnóstwo zajęć, które pomogły jej zapomnieć o wizycie Lathama. Zadzwoiła do techników od przekazów satelitarnych i z radością odkryła, że ShowSat III znowu działa. W wielu krajach położonych po drugiej stronie Ziemi będzie jednak można obejrzeć koncert z Gabinetu Luster.

- Gremliny chyba wyjechały na wakacje - stwierdził rozmawiający z nią inżynier.

Potem centralka GCGiR przełączyła do niej rozmowę zamiejscową z Pittsburgha. Dzwoniła Tami.

- Co tam robisz, do licha? - zapytała Cordelia. - Wysłałam już forszę. Wszystkie możecie dziś polecieć do Newark.

- Nie uwierzysz w to - odparła Tami.

- Pewnie masz rację.

- Kupiliśmy mnóstwo piór.

- A nie koki?

- Jakiej koki? - oburzyła się artystka. - Znalazłyśmy dziewczynę, która ma niewiarygodną kolekcję. Potrzebujemy ich do kostiumów, w których wystąpimy w sobotę.  
- Pióra nie kosztują sześciuset dolarów.  
- Te kosztują. To rzadkie pióra.  
- A czy pomogą wam polecieć o własnych siłach? - zapytała Cordelia z groźbą w głosie.  
- Hmm... nie - przyznała Tami.  
- Prześlę wam jeszcze trochę forsy. Podaj mi adres. - Cordelia westchnęła. - Lubicie jeździć autobusem?

## Piątek

Obejrawszy próbę Springsteena, Jack i Buddy Holly ruszyli do szatni tego drugiego. Ostatnią próbę Buddyego wyznaczono na dziesiątą wieczorem. Little Steven, The Boss i Coward Brothers wystąpili wczesnym popo-łudniem. The Edge krzywił się z bólu, ale zagrał. Potem przyszła kolej na Springsteena i innych gości zza rzeki.

- Jest całkiem niezły - zauważył Holly.  
- Springsteen? - zapytał Jack. - Masz cholerną rację. Zasłużył na ksywkę The Boss. I jak się czułeś, kiedy patrzył na ciebie, jakby jeden z facetów z Mount Rushmore wrócił nagle do życia na jego oczach?

- To było ciekawe.

Holly nie powiedział nic więcej.

- Byłem pod wrażeniem, kiedy cię zapytał, czy zaśpiewasz „Cindy Lou”.

Holly zachichotał.

- Zabawna sprawa z tą piosenką. Wiesz, że niewiele brakowało, by wcale się tak nie nazywała?

Jack obrzucił go pytającym spojrzeniem.

Minęli róg biegnącego za sceną korytarza. Oświetlenie nie było tu zbyt dobre.

- Uważaj na przewody na podłodze - ostrzegł towarzysza Holly. - Dobra, stara „Cindy Lou”. To był jej oryginalny tytuł, ale gdy mieliśmy ją nagrać z The Crickets, Jerry Allison, nasz perkusista, zapytał, czy mógłbym to zmienić.

- Zmienić melodię? - zdziwił się Jack.

- Tylko sam tytuł. Jerry miał się żenić z dziewczyną o imieniu Peggy Sue i pomyślał sobie, że narzeczona pęknie z zachwyty, jak się dowie, że nazwano piosenkę na jej cześć.

- Ale się nie zgodziłeś.

Holly ryknął śmiechem.

- Rzuciła go. Zerwała zaręczyny, zanim zdążyliśmy to zmienić. Dlatego nadal mamy „Cindy Lou”.

- Wolę ten tytuł - stwierdził Jack.

Minęli ostatni zakręt i dotarli do pokoiku, gdzie Holly trzymał gitarę oraz inne rzeczy sprowadzone z hotelu. Buddy wszedł pierwszy do środka, ale gdy nacisnął włącznik światła, nic się nie wydarzyło.

- Cholerna żarówka się przepaliła.

- Niezupełnie - dobiegł ze środka czyjś głos.

Jack i Holly podskoczyli gwałtownie.

- Kto tu jest? - zapytał kanalarz.



Drugi mężczyzna zaczął się cofać w stronę korytarza.

- Spokojnie - odezwał się głos. - Nic wam nie grozi, pod warunkiem, że jesteście Buddy Holly i Jack Robicheaux.

- Zgadza się - potwierdził Holly.

- Nazywam się Croyd.

- Nie znam żadnego Croyda.

- Ja znam - odezwał się Jack. - A przynajmniej wiem, kim pan jest.

Odpowiedział mu chichot.

- Trochę mi się śpieszy, a staram się być subtelny. Może tak weszlibyście do środka i zamknęli za sobą drzwi?

Obaj mężczyźni go posłuchali. Croyd wydobył kieszonkową latarkę i na ich twarze padł snop światła.

- W porządku. Jesteście tymi, za kogo się podajecie. - Położył latarkę na toalecie, ale jej nie zgasił. - Mam pewne informacje dla pańskiej siostrzenicy - poinformował Jacka - ale w jej biurze nie wiedzą, gdzie można ją znaleźć, a ja nie mam czasu na nią czekać.

- W porządku - zgodził się Jack. - Słucham. Wszystko jej przekażę. Cordelia skacze jak żaba w wannie z sosem tabasco. Musi przed jutrzejszym wieczorem załatwić dziesięć tysięcy różnych spraw.

- Prosiła mnie, żebym się przyjrzał Muzycznej Dzierzbie - wyjaśnił Croyd.

- Naprawdę? - zapytał z zainteresowaniem Holly.

- Myślałem, że to może być jedna z przykrywek Rodziny Gambione. No wiecie, operacja służąca praniu pieniędzy.

- I co? - zapytał Jack. - Czy Rosemary Muldoon w tym również maczała palce?

- Nie - zaprzeczył Croyd. - Nie sądzę, żeby tak było. Czymkolwiek jest Dzierzba, a nie wątpię, że to mocno podejrzany interes, nie wydaje się, żeby miała cokolwiek wspólnego z Rodziną Gambione albo z innymi mafijnymi rodzinami. Może pan to przekazać Cordelii Chaisson.

- Jest coś jeszcze?

- Tak. O ile moje informacje są prawdziwe, mózgiem stojącym za Dzierzbą jest Kruczek. No wie pan, ten prawnik. St. John Latham. Jeśli mam rację, lepiej niech pan powie siostrzenicy, żeby była ostrożna. Kruczek to cholernie niebezpieczny skurwysyn.

- W porządku - zgodził się Jack. - Powiem jej.

- Gdyby dowiedział się pan czegoś więcej... - zaczął Holly.

- Nie zrobię tego. W tej chwili mam na głowie inne sprawy.

Croyd zachichotał z ironią.

- Trudno - mruknął Buddy. - Tak czy inaczej, dziękuję panu. Przynajmniej wiem, że moje piosenki nie są umaczane w makaronie.

- Niech pan posłucha - odezwał się Croyd z niejakim ożywieniem w głosie. - „Shake, Rattle and Roll” to jeden z najlepszych rockandrollowych kawałków, jakie kiedykolwiek nagrano. Niech pan nie wierzy nikomu, kto panu powie, że jest inaczej. Chciałem to panu powiedzieć, zanim sobie pójdę.

- No cóż - mruknął Holly. - Serdecznie panu dziękuję. - Ruszył ku skrytej w mroku toaletce. - Uścisknę rękę każdemu człowiekowi, który powie mi coś takiego.

- Cóż mogę na to rzec? - zapytał Croyd. - Już od dawna lubiłem pańską muzykę. Cieszę się, że pan wrócił.

Jack ujrzał przelotnie w mroku bladą twarz albinosa. Różowe oczy rozbłysły w blasku gaszonej

latarki.

- Życzę panu udanego koncertu.

W drzwiach pojawiła się niewyraźna sylwetka Croyda. Mężczyzna wyszedł.

- Dobra - odezwał się Jack. - Poszukajmy nowej żarówki.

Skrzywił się nagle. Wracął ból. Ból, a także coś innego. Dotknął w ciemności swej twarzy i poczuł łuski na skórze. Wirus pozbawiał go panowania nad sobą. Coraz trudniej było mu zachować... Nie miał ochoty kończyć tego zdania. Słowem, którego szukał, było „człowieczeństwo”.

Sobota

Dźwiękowe grzywacze U2 uderzyły w słuchaczy. Zręczne palce The Edgea wyzdrowiały na czas. Bono zaczął śpiewać „With or Without You” swym żywiołowym, za każdym razem inaczej brzmiącym głosem. Był w świetnej formie.

C.C. nagle obrzuciła Buddyego Hollyego pełnym niepokojem spojrzeniem. Wyciągnęła rękę, by go podtrzymać. Jack podszedł do niego z drugiej strony.

- Hej, co się stało? - Dotknęła jego czoła grzbietem prawej dłoni. - Masz gorączkę.

- Potrzebujesz lekarza? - zapytała Trampula z zaniepokojoną miną.

Wszyscy czworo odsunęli się na bok, schodząc z drogi kamerzyście ze steadicamem, pędzącemu w stronę sceny.

Holly się wyprostował.

- Wszystko w porządku - zapewnił. - To tylko trema.

- Jesteś pewien? - zapytała z niedowierzaniem C.C.

- A może to była chwila melancholii - odparł Holly. Na twarzach trojga jego towarzyszy pojawiło się niezrozumienie.

- Czekanie na wyjście na scenę dziwnie na mnie działa. Patrzę na to wszystko i myślę o Ritchiem i o Bopperze. O tym, jak obaj zginęli z Bobbym Fullerem w tym beechcrafcie w sześćdziesiątym ósmym, kiedy Bobby próbował comebacku. Boże, bardzo mi ich brak.

- Ty żyjesz, a oni nie - zauważyła Trampula.

Wlepił w nią spojrzenie, a potem powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

- Prosto to wyraziłaś - zauważył. - To prawda, żyję.

- Powinieneś na chwilę usiąść - mruknął Jack. - Potrzebujesz odpoczynku.

- Przypomnij mi, kiedy przyjdzie moja kolej.

- Następni są The Coward Brothers. Potem Little Steven i ja - odpowiedziała C.C. - Rozgrzeję ich przed twoim występem. Po tobie będą Girls With Guns i Springsteen.

- Wygodne miejsce w hamaku, tak? Między wielkimi gwiazdami. - Holly potrząsnął głową. - Wiesz, jak bardzo zmieniłby się świat, gdyby ktoś rzucił na ten klub bombę atomową? W ogóle by się nie zmienił. - Zachwiał się. - No, może tylko odrobinę.

- Musisz usiąść - oznajmiła stanowczo C.C.

Jack spojrział na scenę. To był zapewne pierwszy w jego życiu koncert rockowy, na którym w powietrzu nie unosiły się kłęby dymu. W ciasnym Gabinetie Luster kierownictwo, Minister Zdrowia oraz niektórzy wykonawcy na spółkę domagali się wstrzemięźliwości. Technicy posługiwali się maszyną do tworzenia mgły, by uzyskać odpowiednie oświetlenie. Jack nic nie widział, bo światło biło mu prosto w oczy, ale wiedział, kto jest tu z nim.



Cordelia siedziała obok małej, oddzielonej sznurami przestrzeni, na której zamknięto kierowniczkę planu z jej monitorami. Wszystko działało prawidłowo. Przekaz satelitarny obiegał całą kulę ziemską, choć jeden Bóg wiedział, czy ktokolwiek ogląda program.

Wszystkie krzesła były zajęte. Ludzie płacili po dwa tysiąki tylko za miejsca stojące. Cordelia rozejrzała się wkoło, gdy zapowiedziano U2. Przy stoliku za jej plecami siedział młodszy senator z New Jersey, jego żona - przewodnicząca wydziału rozwoju kulturalnego w Hoboken - atrakcyjny aktor uwielbiany przez nastolatki oraz jego agentka z ICM. Następny stolik przydzielono senatorowi Hartmannowi i towarzyszącej mu grupie. Był tam również Tachion. Rozpromieniony Xavier Desmond zajął miejsce na samym przedzie.

Siedzące po prawej stronie Miranda i Ichiko zauważyły, że Cordelia na nie patrzy. Pomachały do niej rękami i uśmiechnęły się. Odwzajemniła uśmiech. Luz Alcalá i Polly Rettig, jej kierowniczki z GCGiR, siedziały przy stoliku Cordelii i od czasu do czasu wygłaszały pod jej adresem należycie pochlebne uwagi. Najwyraźniej były zadowolone z dotychczasowego przebiegu koncertu. *Wielki hit* - pomyślała Cordelia. *Tak, jutro opiszę to w „Variety”.* *Lepiej, żeby tak było.*

U2 zakończyło występ i zeszło ze sceny. Aplauz nie milkł przez długą chwilę i irlandzki kwartet szybko wrócił na bis. Harmonogram koncertu to przewidywał.

Po bisie z sufitu Gabinetu Luster opadła kurtyna, omal nie uderzając w jib. Pojawił się krótki spot reklamujący Nowojorski Projekt Pomocy Ofiarom AIDS. Ta reklama nikomu jednak nie przeszkadzała. Cordelia zastanawiała się, czy powinna zajrzeć za kulisy, by się upewnić, czy wszystko w porządku. Postanowiła jednak, że tego nie zrobi. Zostanie na miejscu, by czekać na poważne kryzysy. Nie było sensu ich szukać.

The Coward Brothers pojawili się na scenie przy akompaniamencie głośnych braw. T-Bone i Elvis rozżarzyli audytorium do białości, za pomocą „The People Limousine” oraz szesnastu minut dalszej muzyki, które minęły w mgnieniu oka.

W przerwie, gdy satelita nadawał przekaz z taśmy, realizator światła skierował reflektory na lustrzane kule oraz żyrandol Gabinetu Luster. Wnętrze klubu eksplodowało fantasmagorią rozproszonego światła.

Pojawił się Little Steven ze swoją grupą. Pracownicy techniczni szybko i sprawnie uporali się ze swoimi zadaniami. Muzycy podłączyli instrumenty do prądu i zaczęli grać. Little Steven do każdego kolejnego utworu wkładał nową apaszkę. Widzowie byli zachwyceni.

Potem nadeszła pora na C.C. Ryder. Piosenkarka ści-skała w obu dłoniach gryf lśniące, czarnej, dwunasto-strunowej gitary.

- Tylko jej nie uduś - ostrzegł ją Holly, otaczając luźno jej dłonie własnymi.

- Połamanie nóg - dodał Jack i uściskał kobietę.

Trampula nie miała nic przeciwko temu.

Potem sama tuliła ją przez kilka sekund.

- Będziesz świetna.

- Jeśli nie, mam nadzieję, że tym razem zostanę ekspresem - odparła C.C.

Jack wiedział, że miała na myśli transformację dzikiej karty, która spotkała ją przed laty, gdy pod wpływem traumy zmieniła się w całkiem niezłą imitację wagonu miejscowego metra.

C.C. zaczęła na pełnych obrotach i nie zatrzymywała się nawet na chwilę. To było tak, jakby zarzuciła na widownię sieć mocy. Chwilę po rozpoczęciu zawahała się na chwilę, ale potem zebrała siły. Energia zdawała się napływać w siedzących za stolikami widzów, wzmacniała się w nich i wracała do piosenkarki. *To magia prawdziwej empatii* - pomyślał Jack.

Zacząła od jednego ze swych starych standardów, ale szybko przeszła do nowych ballad. Dla Jacka jej dwadzieścia minut minęło w mgnieniu oka. C.C. zakończyła piosenką, którą po raz pierwszy wykonała publicznie na pierwszej próbie.

*Kochanie, nigdy nie mów pas, bo najlepsze karty masz w dłoni...*

*...najlepsze karty masz w dłoni*, brzmiał refren. C.C. pochyliła głowę. Aplauz eksplodował z megatonową siłą. Schodząc ze sceny, piosenkarka zaczęła, aż znajdzie się za kurtyną, a następnie osunęła się na deski. Jack i Trampula złapali ją jednocześnie.

- Co się stało? - zapytała bezdomna. - Och, C.C.

- To nic - zapewniła i uśmiechnęła się do nich. Na jej twarzy pojawiły się bruzdy zmęczenia. - Absolutnie nic.



- W porządku - mruknęła Cordelia, gdy nad jej głową wyświetlał się spot reklamujący klinikę w Dżokerowie. - Następny będzie Buddy Holly.

Pomimo tego, co powiedział jej wujek Jack, zastanawiała się, czy powinna krzyżować palce. Może te u nóg też.

- Zaczekajcie chwilkę - odezwała się kierowniczką planu. Pochyliła się ku Cordelii. - Zmiana planów.

*Niech to szlag* - pomyślała dziewczyna.

- Co się stało?

- Wśród muzyków chyba wybuchł drobny bunt. Nadal nie rozstrzygnęli sporu.

- Lepiej niech się pośpieszą. - Cordelia zerknęła na wyświetlacz na konsoli kierowniczką planu.

- Zostały im dwadzieścia dwie sekundy.



- Ale teraz moja kolej - upierał się Buddy Holly.

- Rzecz w tym, że Springsteen i Girls With Guns zdecydowali, że chcą wystąpić wcześniej i zostawić finał tobie.

Trampula spojrzała za ich plecy.

- The Boss i Tami siłują się na ręce. Wygląda na to, że dziewczyna wygrywa.

- Ale to mój występ - nie ustępował Holly.

- Zamknij mordę - warknęła ze sporą dawką sympatii Tami, liderka Girls With Guns, i podeszła do Buddyego, pocierając prawy bark. - Ja i on... - Wskazała na Springsteena, który uśmiechał się ze smutkiem. - ...uważamy, że prawie wszystkiego, co umiemy, nauczyliśmy się od ciebie. Dlatego finał będzie twój. Koniec dyskusji, Bud.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Holly miał zdziwioną minę.

Kierowniczką planu gestykulowała gorączkowo.

Szklane oczy steadicamów zrobiły nieubłagane zbliżenie. Girl With Guns podniosły stawkę, wydzierając serce ze sztafpowego standardu Tommyego Boycea i Bobbyego Harta „I Wonder What She’s Doing Tonight”, przerabiając go na dżem, rozsmarowując resztki na uśmiechniętych szyderczo ustach i wywołując ogólne zamieszanie. Na koniec zaśpiewały „Proud Flesh”, ostry jak brzytwa hymn romantycznego nihilizmu.

- A teraz spróbuj to przebić - zawołała Tami do Springsteena, gdy schodziła dumnie ze sceny, prowadząc za sobą siostry.

The Boss dał z siebie wszystko.



O Boże - pomyślała Cordelia, gdy echa wreszcie ucichły. The Boss uniósł ręce nad głowę. W jednej ścisnął gitarę, a drugą zaciskał w pięść. *Niech Buddy emu się uda. Proszę.* Springsteen raz jeszcze pokłonił się widzom, a następnie zszedł z muzykami za kulisy.

Nagle zamrugła. Wydało jej się, że przy jednym ze stolików z tyłu klubu widzi St. Johna Lathama. *No cóż, pieniądze firmy Latham i Strauss są równie dobre jak każde inne.* Problem w tym, że Latham gapił się prosto na nią.

Westchnęła, gdy zgasło przedostatnie światło i kierowniczką planu skierowała jib na scenę. Na monitorze pojawiło się szerokie ujęcie z ruchomej kamery przesuwającej się nad sceną.

- I... start! - powiedziała kobieta do mikrofonu. *Proszę* - błagała w duchu Cordelia.

- Cześć, Lubbock! - zawołał Buddy Holly do garstki obecnych w sali widzów oraz ich pięciuset milionów elektronicznych cieni. Wszyscy się uśmiechnęli.



Jack również rozciągnął usta w uśmiechu. Przykucnął na skraju sceny, by nie przeszkadzać poruszającej się kamerze. Ból wypełniał mu brzuch w regularnych odstępach i mężczyzna nie był pewien, jak długo zdoła zachować tę pozycję. Uświadomił sobie, że najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnie się położyć. Potrzebował odpoczynku. *Już niedługo czeka mnie wieczny odpoczynek* - pomyślał z przygnębieniem.

Holly zagrał pierwszą nutę, a potem musnął palcami strunę. Magiczne dotknięcie Buddyego Holly ego. Teraz mogło być standardem, ale przed trzema dziesięcioleciami zapowiadało rewolucję.

*C-ó-ó-ó-ó-ó-ż za bestia*

Charakterystyczna czkawka była na miejscu, choć nikt ze słuchaczy nigdy dotąd nie słyszał tej piosenki Buddyego Hollyego.

*Gdy księżyc opada,  
A miłość zniszczono,  
Ja do drzwi zapukam,  
Żeby mnie wpuszczono.*

Jackowi przypominało to Boba Dylana z jego najlepszych czasów. Być może z domieszką Lou Reeda. Ale przede wszystkim był to czysty Holly.

*C-ó-ó-ó-ó-ó-ż za bestia*

Głos śpiewaka zabrzmiał niemal jak wycie.  
Jack uświadomił sobie, że zaraz może się rozplakać.

*Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze,  
Przyjaciele mnie opuszczają,  
A to, co nas łączyło,  
Za pieniądze oddają.*

Jack rzeczywiście się rozplakał.

*Gdy wszystko się rozpadnie,  
Bestia mnie dopadnie.*

Telecaster Buddyego Hollyego łkał. Nie z żalu nad samym sobą, lecz ze szczerą rozpaczą.

*Bez przyjaciół, bez miłości na wieki.*

Jack był zachwycony muzyką, ale ból był straszliwy. Gdy nie mógł już go dłużej znieść, wstał i wyszedł z sali. Nie został na bis.



Cordelia czekała z niecierpliwością na ostatnie, ekstrawaganckie wyjście, gdy wszyscy artyści pojawią się na scenie i staną w szeregu, trzymając się pod rękę. Zamrugła ze zdziwieniem, uświadomiwszy sobie, że Buddy Holly - który jeszcze przed chwilą stał spokojnie, słuchając braw za swoją ostatnią piosenkę - wygląda, jakby zaraz miał paść na twarz. Była wystarczająco blisko, by zobaczyć rumieniec na jego twarzy.

Holly zachwiał się na nogach. *Jezu, on jest chory* - pomyślała. *Zaraz zemdleje.*

Ale nie zemdleł. To było tak, jakby rumieniec przerodził się w falę ciepła, która przebiegła przez jego ciało od głowy aż po stopy.

*Co u licha?* - pomyślała Cordelia.

Jego skórę pokryły drobne fale. Holly wyglądał, jakby wypełnił go nimb transformującej energii. Uniósł przed sobą gitarę Fender Telecaster i nagle wydarzyło się coś zdumiewającego. Stalowe struny zrobiły się ciągliwe, topiły się jak toffi, odstawały od progów, rozciągały się coraz bardziej niczym linie srebrzystych iskieł. Owijały się wokół kamer i reflektorów, przyczepiając się do kamer i reflektorów jak węże.

*Iluzja?* - pomyślała Cordelia. A może to była telekineza. Struny gitary spowijały scenę czymś w rodzaju dżungli. Buddy Holly rozejrzał się wkoło, a potem popatrzył na własne ręce. Uniósł

powoli głowę i spojrzął w górę, najwyraźniej widząc coś, czego nikt poza nim nie potrafił pojąć. Rozciągnął stopniowo usta w radosnym uśmiechu.

Następnie zaczął tańczyć. Najpierw powoli i z namysłem, ale tempo zwiększało się z każdą chwilą. Buddy Holly szalał na scenie, a zdumieni widzowie gapili się na niego.

Cordelia widziała już przedtem ten taniec. A przynajmniej bardzo podobny. Przywołała to wspomnienie. Wyungare. Widziała, jak młody Aborygen tańczył w ten sposób w głębinie Czasu Snów, pośrodku środkowoaustralijskiej pustyni. To był taniec szamana.

Holly uśmiechał się coraz szerzej. Podskakiwał i wirował. Nawet Screamin' Jay Hawkins i James Brown nie mogliby być w tym lepsi. Nagle skoczył bardzo wysoko, wpadając w migotliwą, niemal niewidoczną sieć srebrnych iskier.

Zawirował i jego prawa dłoń odpadła, ucięta w nadgarstku. Z kikuta trysnął karmazynowy dym. Ktoś na widowni zadyszał.

Holly nie przestawał tańczyć. Druga dłoń. Prawa ręka w łokciu. Lewa noga w kolanie. Szkarłatny dym tworzył łukowate ślady na podobieństwo płomieni koła ognistego.

Dziewczyna usłyszała głos kierowniczkii planu.

- Czy powinniśmy puścić spot? - zapytała zaniepokojona kobieta.

Cordelia wreszcie zrozumiała.

- Nie - zaprzeczyła. - Zostawmy to, jak jest. Nadawajcie wszystko.

Buddy Holly nie przestawał wirować w gąszczu roziskrzonych smug. Rozpadał się na części, a widzowie szeptali i krzyczeli.

- Boże wszechmogący, to zupełnie jak Dinochłopiec - wyszeptala Polly Rettig, siedząca przy stoliku obok Cordelii.

- Nie - zaprzeczyła głośno dziewczyna. - To coś zupełnie innego. Przedstawienie o śmierci i zmartwychwstaniu. To żart. Rozrywka.

- Rozrywka? - powtórzyła Polly Rettig. - On się zabija.

- Nie sądzę - zaprzeczyła Cordelia. - To transformacja, nie śmierć. Szamańska sztuczka.

Ostatni fragment Buddyego Hollyego, niemal całkowicie pozbawiony kończyn tułów, zachwiał się i runął na scenę. Pozostałe fragmenty wały się chaotycznie na deskach. W górę tryskały fontanny iskier.

Widzowie gapili się na to, nie wiedząc, jak zareagować.

Cordelia była spokojna i pewna siebie. Ufała Wyungaremu. Zastanawiała się, czy transformacja Hollyego była bezpośrednim skutkiem działania wirusa dzikiej karty. To tłumaczyłoby jego nagłą chorobę.

Sterna kawałków rąk i nóg poruszyła się nagle. Kości łączyły się ze sobą w stawach. Mięśnie i ścięgna owijały się wokół nich. Skóra wciągała się na kończyny, a te łączyły się z ciałem.

Buddy Holly stanął przed nimi, znowu cały. Nie był jednak dokładną kopią oryginału. Ten Buddy Holly był szczuplejszy, zniknęła opona otaczająca go w pasie oraz worki pod oczami, jego włosy odzyskały lśniąca czarną barwę. Siwizna zniknęła. Skórę miał gładką i wolną od zmarszczek.

Tłum zaczął bić brawo. Aplauz się nasilał w miarę, jak z widzów odpływało napięcie.

- Kurwa, to był występ życia - odezwał się ktoś za plecami Cordelii.

Gitara również złożyła się w całość. Holly podniósł telecastera, trzymając go luźno w dłoni.

*Dostał to, czego chciał* pomyślała Cordelia.

- Został szamanem - oznajmiła.

- Buddy Holly and the Shamans - dobiegł głos zza jej pleców. - Bombowa nazwa. Po tym, co

się tu wydarzyło, będzie się sprzedawała jak bielizna Fawn Hall. Kurde, ten Holly mógłby teraz kandydować na prezydenta.

Cordelia odwróciła się i zobaczyła, że mówiącym jest człowiek z ICM. Przeszyła go lodowatym spojrzeniem i znowu zwróciła się ku scenie. Nowa istota, którą stał się teraz Buddy Holly, uśmiechnęła się uspokajająco. Następnie przesunęła dłoń po strunach gitary. Dudniący dźwięk zdawał się wpadać w rezonans z biciem serc wszystkich widzów.

Ten dźwięk ułatwia nadejście stanów wyostrojonej świadomości - pomyślała Cordelia. *Na tym polega potęga rock and rolla.* Później Buddy Holly, narodzony na nowo i obdarzony mocą, zagrał najlepszą wersję „Not Fade Away”, jaką kiedykolwiek wykonano.

Cordelia doszła do wniosku, że to z pewnością omen.



Jack wymknął się do zaułka za Gabinetem Luster. Serce i ciało wypełniało mu cierpienie. *Trzeba było zostać na bis Buddyego* - pomyślał. Ale Holly sobie poradzi.

Coś zaskrobało o asfalt, jakby ktoś o nadludzkiem ciężarze przestąpił z nogi na nogę.

Jack zatrzymał się nagle, gdy padł na niego cień głębszy niż mrok wypełniający resztę zaułka.

- Tak też sobie pomyślałem, że taka pedalska impreza dla elity przyciągnie wszystkich moich małych znajomków - odezwał się Maczuga. - Ale nie liczyłem na to, że ty będziesz pierwszym skurwysynem, który się tu zjawi.

Poruszył się bez żadnego ostrzeżenia. Wyciągnął zdeformowaną prawą łapę, chwycił Jacka za głowę i uderzył nim w ceglany mur.

Kanalarz poczuł, że coś w jego ciele pękło - nie był pewien, czy kość, czy chrząstka. Wiedział tylko, że oddała się od światła. Pragnął ciemności, ale jeszcze nie teraz, nie w ten sposób. Próbował się wyrwać. Zdawał sobie sprawę, że Maczuga mocno zaciska rękę, utrzymując go w pozycji pionowej. Napastnik rozerwał szarpnięciem pasek Jacka i ściągnął mu spodnie.

- Mam coś dla ciebie na pożegnanie - oznajmił. - Na pewno będziesz zachwycony. Założę się, że twoja siostrzenica Cordelia też, jak się już do niej zabiorę.

Jack wysiłkiem woli spróbował odzyskać pełną świadomość. Nagle poczuł, że Maczuga wciska się między jego pośladki. Do jego ciała. Szarpie je i rozrywa. Nic nigdy nie bolało go równie mocno. Nic!

- Dziewczynkę zostawię sobie na później - dodał Maczuga.

*Jezu* - pomyślał dręczony bólem Jack. *Cordelia.*

- Nie waż się jej tknąć. Skurwysyn! *Cochon!*

- Kije i kamienie kości mi połamią - zaczął Maczuga, wydając z siebie piskliwy chichot - ale tylko Grubas...

Pchnął mocno biodrami i kanalarz krzyknął.

*Gdzie jest ten drugi?* - myślał zdesperowany Jack, gdy jego mózg pogrążał się w niszczycielskiej mgłę cierpienia. *Potrzebuję cię.* Teraz. Muszę się przeobrazić. Ten jeden raz. Żeby zabić tego skurwiela.

Poczuł, że zmiana nadchodzi. Wiedział też, że umiera.

*Cieszę się* - pomyślał. *Z jednego i z drugiego.* Maczugę czekała niespodzianka.

Poczuł, że z wydłużającego się pyska wyrastają mu zęby. *Zginiesz, skurwysynu. Od zarazy albo od pazurów.* Gwałtowny gniew pomógł mu wytrzymać jeszcze chwilę.



Mrok nocy wypełniła jego myśl.  
Trampula! Usłysz mnie! Ratuj Cordelię!  
*Dziewczynkę zostawię sobie na później.* Groźba Maczugi poniosła się echem pod jego czaszką,  
wypłynęła w pustkę i umilkła.  
Martwy mężczyzna runął w ciemność.

## Wieży krwi

### II

Zmiana pełniąca służbę od siódmej do północy opuszczała już Kryształowy Pałac. Z ulic Dżokerowa nadciągali ci, którzy dyżurowali od północy do piątej rano. Słychać było kaszel, charkot i nieliczne ciche śmiechy. Ludzie stawali w szeregach przy ustawionych na kozłach stołach, czekając na posiłki. Ich wydawaniem kierował Hiram Worchester, niezwykle gruby i elegancki właściciel Wieży Asów. W ten właśnie sposób udzielał wsparcia patrolującym Dżokerowo grupom, a wiecznie zmęczeni ochotnicy bardzo się z tego cieszyli.

Tachion, który siedział na blacie, wspierając na krześle obutą nogę, powęszył z uznaniem. *Coq au vin*. Zauważył, że Sascha zatrzymał się na chwilę, by porozmawiać z Hiramem. Masywny as wskazał głową na jeden z boksów położonych na uboczu i obaj ruszyli w tamtym kierunku. Z pewnością załatwiali jakiś interes. Jak wszyscy w Kryształowym Pałacu.

Drzwi lokalu otworzyły się nagle i Pan Grobek rozejrzał się po sali. Wysoki, żylasty mężczyzna przyniósł ze sobą niemożliwy do opisania zapach i grobowy chłód. Na głowie miał absurdalny kapelusz z szerokim rondem, a twarz zasłaniała mu maska uśmiechniętej szyderczo czaszki, ozdobiona czarnymi i białymi piórami. Niektórzy z zebranych tu dżokerów wymamrotali przekleństwa. Nawet pyszne jedzenie przyrządzone przez Hiramą trudno będzie przełknąć, jeśli cały lokal zasmrodzi fetor Pana Grobka.

Tachion uniósł do nosa wyperfumowaną chusteczkę. Chciał już zsunąć się na podłogę i stanąć w kolejce, lecz nagle unieruchomił go arogancki głos Kopacza Downsa.

- O nie, doktorze. Pora udzielić wywiadu.

- Dlaczego ja?

- Dlatego, że jesteś mi coś winien za to, że w zeszłym tygodniu zapanowałeś nad moim umysłem. Nieładnie się zachowałeś, Tachy. Nieładnie.

- Kopacz, gdybyś nie był tak cholernie irytujący i pozbawiony skrupułów...

- Kapitan Ellis nie aprobuję tej akcji - nie ustępował reporter. - Mówi, że ktoś na pewno ucierpi z tego powodu i to nie będą złoczyńcy.

- Chętnie przypomnielibym naszej pani kapitan, że do tej pory ochronę oferowała tylko jedna strona. Myślę też, że przesadza z pesymizmem. Musimy sami zadbać o własne interesy. Ideał wie, że mamy w tym wystarczająco wiele wprawy - dodał z przekąsem, przypominając sobie czasy, gdy gliniarze wykazywali dziwny brak zainteresowania, kiedy pobito lub zamordowano dżokera, ale zjawiali się w mgnieniu oka, jeśli tylko poskarżył się któryś z turystów. Teraz sytuacja się poprawiła, ale stosunki między nowojorskimi dżokerami a nowojorską policją nadal były napięte.

Kopacz polizał koniuszek długopisu. To był głupi, afektowany gest.

- Wiem, że moi czytelnicy chcieliby się dowiedzieć, dlaczego te patrole składają się wyłącznie z dżokerów. Jeśli już zdecydowaliście się na taką akcję, czemu by nie ściągnąć ciężkich dział? Na przykład takich jak Młot, Mistral, Skaczący Ognik albo Gwiazdny Blask.

- To jest dzokerska dzielnica. Potrafimy sami rozwiązywać własne problemy.
- Sugerujesz, że między dzokerami a asami istnieje wrogość?
- Kopacz, nie bądź dupkiem. Czy to takie niezwykle, że ci ludzie pragną sami sobie radzić? Uważa się ich za dziwolągów, traktuje jak niedorozwinięte dzieci i ignoruje, wysuwając na pierwszy plan ich bardziej fartownych i efekciarskich braci. Czy mogę wskazać, że twoje czasopismo nazywa się „Aces!” i nikt się nie śpieszy z założeniem jego odpowiednika o nazwie „Jokers!”? Rozejrzyj się wkoło. Mamy do czynienia z aktywnością zrodzoną z miłości i dumy. Jak mógłbym powiedzieć tym ludziom, że nie są wystarczająco twardzi i bystrzy, by mogli bronić się sami? Prosić ich o pozwolenie na wezwanie asów?

Rzecz jasna, to właśnie zamierzał zrobić, dopóki Des nie otworzył mu oczu. Ale o tym Kopacz nie musiał wiedzieć. Tach zarumienił się jednak, gdy bezwstydnie przywłaszczył sobie wykład Desa i przekazał go dziennikarzowi.

- Jakies komentarze na temat Leo Barnetta? - zapytał Kopacz.
- To szerzący nienawiść szaleniec.
- Czy mogę zacytować te słowa?
- Proszę bardzo.
- Zatem kto będzie białym rycerzem? Hartmann?
- Być może. Nie wiem.
- Myślałem, że wy dwaj jesteście ze sobą blisko.
- Znamy się, ale nie łączy nas bliska przyjaźń.
- Jak pan uważa, dlaczego Hartmann tak bardzo sprzyja dzokerom? Dla osobistych korzyści? Jego żona jest nosicielką. Być może ukrywają gdzieś nieślubne dzokerskie dziecko?
- Myślę, że sprzyja dzikim kartom, ponieważ jest dobrym człowiekiem - odparł Tachion dość zimnym tonem.
- Hej, jeśli już mowa o monstualnych dzokerskich dzieciach, jak brzmią ostatnie wieści o ciąży Sokolicy?

Takizjanin zeszytywniał z wściekłości. Następnie rozluźnił powoli pięści i uspokoił się.

- Nie, Kopacz. Drugi raz nie uda ci się mnie podejść. Już zawsze będę żałował, że wymknęło mi się, iż ojciec dziecka Soko jest asem.
- Mogę ci postawić drinka, Tachy? - zapytał dziennikarz, spoglądając z nadzieją na prawie pusty kieliszek.
- NIE!
- Tylko jakiś drobiazg, żeby uspokoić wszystkich zafascynowanych fanów, niepokojących się o Soko.

- Idź już sobie, Kopacz, dobra? Jesteś bardziej natrętny od gza. - Tachion wskazał dłonią w kierunku dzokerów. - Przeprowadzaj wywiady z nimi, a mnie zostaw w spokoju. Jestem w tej sprawie znacznie mniej ważny od nich.

- Jezu, Tachy! Skromność? W twoich ustach?

Takizjanin przeszył go twardym spojrzeniem. Kopacz wziął do ręki kieliszek i wylał sobie na głowę resztkę brandy.

- Nie jestem... w tej chwili... w zbyt dobrym nastroju - oznajmił kosmita.
- Dziennikarz otarł mokry kark.
- Niech cię chuj! To już drugi raz, Tach. Jesteś mi wkrótce winien następny wywiad.
  - Będę prowadził rachunki.
  - Dupek.

Tachion wpatrzył się ponuro w pusty kieliszek, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu kelnera. Durg at'Morakh bo-Isis Vayawand-sa ze spokojem pochłaniał stertę jedzenia leżącą na wielkim talerzu, ale Tachion zauważył, że spojrzenie bladych oczu zabójcy co chwila wędruje ku schodom. Wkrótce pojawiła się Poczwarka i Morakh, poruszający się bardzo lekko pomimo niewiarygodnej masy, podszedł szybko do niej, z dworską gracją uniósł jej dłoń i ucałował namiętnie. Poczwarka cofnęła nagle rękę i obrzuciła najemnika zimnym spojrzeniem. Przyciągnięty tym mimo woli Tach podszedł bliżej, próbując coś podsłuchać. Poczwarka uniosła gwałtownie rękę i w zatłoczonym barze poniósł się echem głośny trzask.

- Tachion! - warknęła. Posłusznie podążył za nią do prywatnego stolika. Kobieta wzięła w rękę talię antycznych kart, przetasowała ją pośpiesznie kilka razy i zaczęła układać pasjansa. - Trzymaj swojego dziwoląga z dala ode mnie!

- On nie jest mój. Należy do Marka. W czym problem?

- Pragnie mnie.

- Dobry Boże!

Przez jego głowę przemknęła płatanina sprzecznych emocji.

Niesmak i zdumienie na myśl, że Durg czuje pociąg do dzokerki. Mógł być potworem, ale nadal pozostawał Takizjaninem.

Wstyd z powodu tej reakcji i litość dla Poczwarki, prześladowanej przez monstrualnego zalotnika.

- Każesz mu się odczepić?

- Zrobię, co tylko będę mógł, ale pamiętaj, że od dziecka uczono go nienawiści i pogardy do mnie. Najpierw robił to Vayawand, a potem mój kuzyn Zabb. Obecnie mnie toleruje, ale wyłącznie ze względu na Marka.

- Proszę.

- Zgoda, ale błagam, bądź dla niego bardziej wyrozumiała. Morakhowie mogą być wypaczeni, ale nadal pozostają Takizjanami i w związku z tym przywykli, że powierzchniowcy spełniają ich wolę. Nie zapominaj, że to maszyna do zabijania.

- Serdecznie ci dziękuję, Tachy. Od razu poczułam się lepiej.

- Przepraszam.

- No cóż, może Mafia albo Pięści rozwałą mi głowę, zanim on zdąży to zrobić. I pomyśleć, że pozwoliłam, żebyś mnie do tego namówił. To wszystko twoja wina, wiesz? Och, nie rób takiej zrozpaczonej miny. To był żart.

- Nie dla mnie.



Dita ruszyła ku niemu korytarzem, stukając niewiarygodnie wysokimi obcasami o wyblakłe kafelki podłogi.

- Doktorze, pan Marion zrezygnował!

Tachion oderwał wzrok od karty pacjenta, której się przyglądał.

- Kto?

- Pan Marion, nauczyciel.

- Kurwa. - Kobieta wytrzeszczyła oczy, zdumiona rzadkim w ustach doktora przekleństwem. - Dito, jestem zbyt zajęty, by zająć się tym w tej chwili. Ponieważ i tak już nic na to nie

poradzimy, znajdź, proszę, nowego nauczyciela.

- Ale nie mam pojęcia, czego szukać.

- Gruntownej znajomości matematyki i nauk ścisłych. Powinien też wiedzieć co nieco o historii i literaturze. Nie zaszkodzi też znajomość muzyki, a przynajmniej upodobanie do niej.

Rozległy się trzaski i syk centralki. Z głośnika popłynął gładki głos.

- Doktor Tachion proszony do nagłego przypadku. Doktor Tachion proszony do nagłego przypadku.

- Ale...

- Użyj zdrowego rozsądku. - Tach zawiesił sobie słuchawki na szyi i odebrał telefon z dyżurki pielęgniarek na drugim piętrze. - Co jest?

- Dzika karta - odpowiedział krótko doktor Finn.

Tachion ruszył ku windzie, nie tracąc więcej czasu.



Dziecko szarpało się na stołe do badań. Finn stukał nerwowo kopytami o kafelki, starając się przytrzymać dziewczynkę. Był pierwszym dzokerem pracującym jako lekarz w Klinice imienia Blythe van Renssaeler. Dzokerska społeczność z początku sprzeciwiała się jego zatrudnieniu, obawiając się, że ukończył studia dzięki akcji afirmatywnej, a nie dzięki wiedzy. Po dwóch tygodniach pracy z młodzieńcem Tach mógł jednak zapewnić mieszkańców Dżokerowa, że ich obawy są nieuzasadnione.

Matka dziecka gapiła się na Takizjanina z przerażeniem w oczach.

Powierzchnie wyglądała na natolkę, ale rzecz jasna jej geny mogły mówić co innego. Ujawnienie się cechy czy nowe zakażenie? Tylko testy mogą odpowiedzieć na to pytanie.

- Wstępne badania nie wykazały żadnych transformacji. Udało nam się ustabilizować ciśnienie oraz akcję serca. Zleciłem też podanie atutu, ale...

- Dziękuję, doktorze. Pani...?

- Wilson - podpowiedziała pielęgniarka.

- Wilson. - Tachion ujął ją pod rękę i odprowadził od targanego konwulsjami dziecka. - Pani córka zaraziła się dziką kartą. Wydaje się oczywiste, że wyciągnęła Czarną Damę.

Kobieta wciągnęła nagle powietrze, jęknęła i zakryła usta dłonią.

- Musimy bardzo szybko podjąć decyzję. Możemy podać jej dawkę antidotum, które stworzyłem...

- Zróbcie to!

- Ale muszę panią ostrzec, że jest ono skuteczne tylko w dwudziestu procentach przypadków. Najczęściej stan pacjenta pozostaje niezmienny i infekcja toczy się normalnym torem. Istnienie też bardzo niewielka szansa śmiertelnej reakcji na atut.

- Ona i tak umiera. Nie ma znaczenia, jeśli to się stanie szybciej.

Obok kobiety pojawiła się pielęgniarka z antidotum.

Tachion przygotowywał już strzykawkę. Finn potrzebował pomocy trzech pielęgniarek, by unieruchomić dziecko. Strzykawka wbiła się w ciało. Tachion ujął nadgarstek dziewczynki i wyczuł palcami tętno. Słabsze, coraz słabsze. Linia na monitorze zrobiła się płaska. Śmiertelny pisk aparatu odbił się echem w krzyku matki.

Wszystko, co wydarzyło się później, jak zwykle było okropne. Nieadekwatne słowa

pocieszenia, uzyskanie zgody na sekcję, próby krwi obojga rodziców - niestety, w tym przypadku niekompletne. Beth Wilson była samotną matką na zasiłku, a mężczyzna, który spłodził małą Sarę, dawno już zniknął z jej życia. Ostatnie trzydzieści dolarów z opieki społecznej wydała na taksówki. Jeździła od szpitala do szpitala, ale wszędzie ją odsyłano, gdy tylko wykryto wirusa. Wreszcie trafiła do kliniki w Dżokerowie. Tach dał jej pieniądze i kazał Riggsowi odwieźć ją do domu limuzyną.

Takizjanin usiadł wygodnie w fotelu, wyciągnął manierkę z szuflady biurka i pociągnął długi łyk.

- Czy mógłbym też się napić? - zapytał Finn.

Spoczywał na podłodze. Wszystkie cztery nogi podwinął zgrabnie pod tułów. Złocista skóra na jego zadzie zdrzała lekko. Wykreślił ciało, żeby się podrapać. Tach odchylił się w fotelu, przyjrzał młodemu mężczyźnie i doszedł do wniosku, że Finn wygląda jak postać z kreskówek Disneya. Drobną twarz o ostrym podbródku, niebieskie oczy o uniesionych ku górze zewnętrznych koniuszkach, gęsta biała grzywa opadająca na czoło i ciągnąca się wzdłuż kręgosłupa. Ogon rozpościerał się za nim niczym biały płaszcz. Kiedy wchodził na salę operacyjną, podciągali mu go w górę i podtrzymywali taśmą chirurgiczną. Tachion zasugerował, żeby go sobie przystrzygł, lecz otrzymał w odpowiedzi przerażone spojrzenie. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że opadające do podłogi włosy są dumą i radością Finna.

Gapiąc się na cztery kopyta wielkości filiżanek, Tach miał ochotę zapytać, czy Finn urodził się w takiej postaci, czy też dopiero później przeszedł transformację. W tym pierwszym przypadku z pewnością konieczne byłoby cesarskie cięcie. Takie pytanie byłoby jednak nietaktowne. Choć Finn sprawiał wrażenie niewiarygodnie dobrze przystosowanego, Takizjanin pierwszy by przyznał, że nie zna go zbyt dobrze.

Finn obrócił manierkę w palcach i wpatrzył się w dal z zasepioną miną.

- O co chodzi? - zapytał kosmita.

- Nigdy dotąd nie pracowałem wśród dżokerów.

- Naprawdę?

- Tak jest, Mój stary ma mnóstwo forsy i wielkie wpływy. Wysłał mnie na najlepsze uczelnie i załatwił pozycję rezydenta w Cedars, w Los Angeles.

- A dlaczego trafiłeś tutaj?

- Pomyślałem sobie, że najwyższy czas przyjrzeć się dżokerom. Poznać ich życie.

- To bardzo szlachetne.

- Nie, to poczucie winy. Wychowywałem się w hiszpańskim pałacu kolonialnym w Bel Air. Tata przekupywał ludzi, żeby mnie zaakceptowali, a tych, których nie mógł przekupić, zastraszał.

- Czym zajmował się twój ojciec?

- Nadal się tym zajmuje. Jest producentem filmowym. Bardzo sławnym.

- A ty zostałeś lekarzem.

- No cóż, aktorem raczej nie mogłem zostać.

- To prawda. - Tachion wstał. - Jeśli chcesz lepiej się przyjrzeć życiu dżokerów, właśnie wybieram się do Kryształowego Pałacu na codzienny raport. Czy zechciałbyś mi towarzyszyć?

- Jasne. Lepsze to, niż siedzieć tutaj i czekać, aż przywiozą kolejną Czarną Damę. Szkoda, że nie poddaliście ksenowirusa Takis-A dokładniejszym testom laboratoryjnym, zanim postanowiliście wypróbować go w warunkach naturalnych.

- Ależ Finn, według wszelkich standardów to był wielki sukces.

- Jasne. Powiedz to pani Wilson.



Zgaszono wszystkie światła, z uwagi na bezpieczeństwo chudej nastolatki, skulonej na krześle obok Poczwardki. Wideo była niewyrośniętą szesnastolatką, która nigdy nie zatańczy na balu na zakończenie roku szkolnego, nie pójdzie do kina ani, krótko mówiąc, nie będzie mogła skorzystać z żadnych nowoczesnych udogodnień czyniących życie wygodniejszym. Bliskość dowolnego sprzętu elektrycznego wywoływała u niej migotanie komór, które prowadziłyby do śmierci, gdyby natychmiast nie udzielono jej pomocy.

Jeśli ktoś nie zauważył jej oczu, Wideo wyglądała normalnie. Długie brązowe włosy, uczesane z przedziałkiem pośrodku, opadały jej na ramiona. Za ich zasłoną kryła się szczupła, zmartwiona twarz. I oczy. Białe i idealnie okrągłe, kłębiące się niczym piana na grzywaczach albo chmury rozrywane przez wiatr.

- Cześć, doktorze Tachionie - wymamrotała z gumą do żucia w ustach.
- Cześć, Wideo. Jak się dzisiaj czujesz?
- W porządku.
- To jest doktor Finn.
- Cześć.
- I co nam dzisiaj przyniosłaś?
- Chodziłam w różne miejsca, więc mam całkiem sporo.
- Znakomicie.
- Hmm, doktorze?
- Słucham?
- Hmm... znasz senatora Hartmanna, prawda?
- Tak.
- Czy będzie kandydował?
- Na prezydenta?
- Tak.
- Nie wiem, Wideo.
- Chciałabym, żeby kandydował. Mojego kolegę pobili obok misji Barnetta.
- Czy to byli ludzie Ognioustego?
- Nie wiem. On myśli, że tak. Ale gliny mówią, że to zapewne były Wilkołaki.
- Innymi słowy, nie ma dowodów.
- Paul był tego pewien - oznajmiła z upartą miną.
- Ale to nie jest dowód.
- Tak czy inaczej, nie chcę, żeby ten facet został prezydentem.
- Wątpię, by miał nim zostać, Wideo - odparł Tachion. Gdyby tylko rzeczywiście czuł taką pewność
- Senator Hartmann powinien kandydować.
- Powiem mu to, gdy tylko się spotkamy.
- Głosowałabym na niego. Gdybym miała osiemnaście lat.
- To też mu powiem. A teraz pokaż nam zapisy.
- Och. Już się robi.

Dziewczyna wpatrzyła się intensywnie w pustą przestrzeń przed stolikiem Poczwaraki. Pojawiły się sylwetki.

Azjata noszący barwy gangu wsunął koniuszek noża sprężynowego w szczelinę nosową Połykacza. Jeden ruch i po dziobie staruszka spłynęła krew. Dżoker padł z krzykiem na podłogę. Wysoki i chudy ulicznik, noszący brudne skórzane spodnie i łańcuchy owinięte wokół skórzanej kurtki, uśmiechnął się. Szkarłatne i czarne blizny na jego twarzy rozciągnęły się, tworząc ohydny płaskorzeźbę. Dzięki uczesany na punka włosom wyglądał, jakby miał dobrze ponad dwa metry wzrostu. Napastnik złapał dżokera za pióra sterczące mu z łysej czaszki i pociągnął go na nogi. Pióra zostały mu w ręce.

- Zatknię je sobie w kapelusz - zawył radośnie wyrostek.

Nagle do delikatesów wpadł Elmo i natychmiast rzucił się na wysokiego, naznaczonego bliznami Azjatę. Zaczęli się ze sobą siłować. Karzeł wyciągnął szyję i zacisnął potężne szczęki na zabandażowanym nosie przeciwnika. Potem odchylił się do tyłu. Wyrostek wrzasnął i uniósł rękę ku krwawiącej dziurze, którą miał teraz zamiast nosa. Elmo wypluł odgryziony nos na własną dłoń.

- To obrzydliwe - stwierdził Finn.

Wypaczone Siostry zadrżały, jeszcze mocniej, obejmując się nawzajem w talii. Siwe włosy owijały się wokół ich chudych ciał niczym dym - delikatne i niematerialne jak pajęczyny i sugestywne jak westchnienie. Wsuwały się do środka przez nozdrza i usta. Gęstniały, aż wreszcie wypełniły tchawice i płuca niczym bawełna. Napastnicy osunęli się na podłogę delikatesów jak przekłute balony.

Dwóch mężczyzn w poliestrowych kurtkach sportowych, z mnóstwem złotych łańcuchów na szyjach, wsadziło głowę Plamy do jednej z pralek w jej pralni o nazwie Plamy Precz. Po chwili wyciągnęli dżokerkę, zdyszana i ociekającą wodą. Do jej srokatych włosów i skóry przylegało mydło. Pan Grobek wsunął się ukradkiem do środka, poruszył palcami i położył dłoń na ramieniu jednego ze zbirów. Mężczyzna krzyknął, wygiął się w tył i runął na podłogę. Drugiego wkrótce spotkał taki sam los.

- Czym on się posługuje? - zapytał Tachion, zerkając na Poczwarakę.

- Hipotermią.

- Aha.

Doktor skinął dłonią na Wideo, każąc jej odtworzyć kolejny zapis.

Uchylone drzwi na zapleczu piekarni. Światło sączące się do zaułka. Krzyki dobiegające z kuchni. Widmowe Pięści zatrzymujące się w zaśmieconej uliczce niczym czujne psy, by po chwili ruszyć do walki ze swymi rywalami z mafii. Przerażeni dżokerzy stojący pod ścianami, dym buchający z pączków palących się na popiół w gorącym oleju.

Wyrazne gwizdanie dobiegające z oddali, poprzez jazgot klaksonów i łoskot metra. Temat z filmu *W samo południe...*

Tachion ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wiedziałem, że tam byłeś.

- Potrafię się świetnie skradać - oznajmiła z dumą Wideo.

Poczwaraka przeszła Takizjanina pełnym ironii spojrzeniem.

- To bardzo interesujące. Nasz mały doktor rusza do boju u boku pospolitego ruszenia. Pokaż to, Wideo. Chcę to zobaczyć.

- Piekarnia Douga jest tylko jedną przecznicą od kliniki. Rano kupuję tam pączki. Gdy nadeszło wezwanie, akurat byliśmy z Trollem w pobliżu.



- No pewnie - wycodziła Poczwarzka.

Tachion, ściskający w drobnej dłoni magnum kalibru .357 niczym armatę wszedł do piekarni z zaułka, a Troll wdarł się do środka przez drzwi frontowe, zacisnął wielką jak szynka pięść i walił nią napastników po łbach, jakby grał na bongosach. Jeden ze zbirów z mafii wyciągnął pistolet kalibru .22 i strzelił z bliska w potężną pierś dzokera. Kula odbiła się ze świstem od grubej, zielonkawej skóry. Mafioso pobladł. Troll złapał go za koszulę i uniósł nad podłogę.

- Nie trzeba było tego robić. Teraz naprawdę się wkurzyłem.

Dzoker spokojnie złamał mu obie ręce, a potem nogi. Następnie cisnął go w kąt jak pusty worek. Worek, który krzyczał.

Tachion popatrzył kolejno na wszystkich napastników. Każdy osuwał się, chrapiąc, na podłogę, gdy tylko zatrzymało się na nim spojrzenie niezwykłych, liliowych oczu Takizjanina. Jeden z Widmowych Pięści zdołał wyciągnąć samopowtarzalną czterdziestkę piątkę, ale Tachion wystrzelił mu broń z dłoni. Następnie uniósł pistolet do ust i dmuchnął lekko w lufę.

- Lubisz się popisywać - oskarżyła go Poczwarzka.

- Jestem dobrym strzelcem - odparł kosmita, wzruszając ramionami.

- Ani na moment nie uwierzyłam, że nie wiedziałeś o obecności Wideo. To z pewnością był występ na użytek rozentuzjasmowanych mas.

- Ranisz mnie, Poczwarzko.

- Tachion, jesteś aroganckim skurczybykiem. Nie próbuj mi wmawiać, że jest inaczej.

- Nie wiedziałem, że w tym uczestniczysz - zdziwił się Finn.

- Zorganizowałem to... a przynajmniej pomogłem zorganizować. Nie powinienem się uchylać od ryzyka. - Takizjanin dopił trunek, a następnie uklonił się Wideo oraz Poczwarzce. - Dziękuję paniom. - Zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

- Swoją drogą, Poczwarzko, jak sobie radzimy?

- Myślę, że zmusiliśmy ich do ucieczki. Mam nadzieję, że nie spróbują się odwinąć.

- Boisz się?

- Możesz na to postawić swoją słodką, takizjańską dupkę. Wiem o tym wszystkim więcej od ciebie. Wiem, kto za tym stoi.

- Ale mi nie powiesz.

- Masz stuprocentową rację.

Czerwiec 1987

## I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie

### V

„WSTĘP TYLKO DWA I PÓŁ DOLARA” - głosił napis nad kasą u frontowych drzwi Sławnego Groszowego Muzeum Dzikiej Karty przy Bowery Street.

Kasa była pusta, a drzwi muzeum zamknięte. Tom nacisnął dzwonek przy okienku kasy. Po jakiejś minucie zadzwonił jeszcze raz. Ze środka dobiegły odgłosy szurania. Drzwi z tyłu kasy się otworzyły. Pojawiło się oko, jasnoniebieskie i zaropiałe, osadzone na długiej, mięsistej szypułce owijającej się wokół framugi. Oko skierowało się na Toma i zamrugało dwa razy.

Do kasy wszedł dzoker. Miał dwanaście oczu na długich giętkich szypułkach, wyrastających mu z czoła i poruszających się nieustannie jak węże. Poza tym nie wyróżniał się niczym szczególnym.

- Nie umie pan czytać? - zapytał cienkim, nosowym głosem. - Nieczynne.

W jednej ręce trzymał małą wywieszkę, którą wsunął przed okno kasy. Napisano na niej „NIECZYNNE”.

Ruchy oczu dzokera przyprawiły Toma o lekkie mdłości.

- Pan Dutton?

Oczy zwróciły się ku niemu jedno po drugim i znieruchomiały. Po chwili wszystkie już gapiły się na niego z uwagą.

- Dutton się pana spodziewa? - zapytał dzoker. Tom skinął głową. - W porządku, w takim razie może pan wejść.

Dzoker odwrócił się i opuścił pomieszczenie, ale dwoje albo troje niemrugających oczu nadal wpatrywało się z zaciekawieniem w Toma aż do chwili, gdy drzwi się zamknęły.

Boczne wejście tworzyły masywne metalowe drzwi przeciwpożarowe wychodzące na zaułek. Tom czekał niespokojnie, aż zamki się otworzą, a rygle odsuną. O zaułkach Dzokerowa krążyło wiele opowieści, a ten wydawał mu się szczególnie mroczny i posepny.

- Tędy - powiedział dzoker, gdy drzwi wreszcie się otworzyły.

W muzeum nie było okien. W korytarzach panowała ciemność jeszcze głębsza niż w zaułku. Tom rozglądał się z zainteresowaniem wkoło podczas długiej drogi, mijając zakurzone mosiężne poręcze oraz dioramy z figurami woskowymi. Tysiące razy przelatywał nad Groszowym Muzeum jako Żółw, ale nigdy nie postawił nogi w jego wnętrzu.

Pod nieobecność światła skryte w cieniu figury wyglądały całkiem jak żywe. Doktor Tachion stał na kopcu białego piasku. Z tyłu namalowano jego statek oraz podenerwowanych żołnierzy wysiadających z dżipa. Śmig ścisnął własną pierś, gdy doktor Tod z twarzą ze stali ładował w niego kolejne kule. Blondynka w podartym body szarpała się w dłoni Wielkiej Małpy, wdrapującej się na Empire State Building. Kilkunastu dzokerów, jeden bardziej wypaczony od

drugiego, tańczyło sugestywnie w jakiejś wilgotnej piwnicy. Wokół nich walały się porozrzucane ubrania.

Jego przewodnik zniknął za rogiem. Tom podążył za nim i ujrzał przed sobą pokój pełen potworów. W półmroku stworzenia wyglądały tak realistycznie, że Tom stanął jak wryty. Pająki wielkości furgonetek, latające poczwary ociekające kwasem, gigantyczne robaki o segmentach pełnych drobnych zębów, humanoidalne monstra o skórze drżącej jak żelatyna. Wszystko to tłoczyło się za łukowatą szybą, otaczało ze wszystkich stron i śliniło się z pragnienia wydostania się na zewnątrz.

- To nasza najnowsza diorama - odezwał się cichy głos za jego plecami. - Ziemia kontra Rój. Niech pan spróbuje nacisnąć guziki.

Tom opuścił wzrok. W panel przy poręczy wprawiono sześć dużych, czerwonych guzików. Nacisnął pierwszy. Umieszczony wewnątrz dioramy reflektor oświetlił woskową figurę Modułowego, zawieszoną pod sufitem. Z dwóch obrotowych wieżyczek zamontowanych na jego barkach trysnęły snopy czerwonego światła. Lasery trafiły w jedno ze stworzeń z Roju. W górę wzbily się wąskie smużki dymu, a z niewidocznych głośników popłynął syk bólu.

Tom nacisnął drugi guzik. Modułowy zniknął w cieniu, a światło padło na Wyjca, odzianego w żółty strój bojowy. Jego sylwetka rysowała się na tle dymu bijącego z płonącego czołgu. Usta figury się otworzyły. Z głośników popłynął krzyk. Stworzenie z Roju zadrżało z bólu.

- Dzieci to uwielbiają - ciągnął głos. - To pokolenie wychowane na efektach specjalnych. Obawiam się, że wymagają czegoś więcej niż zwykłych figur woskowych. Trzeba się przystosować do nowych czasów.

W drzwiach obok dioramy stał wysoki mężczyzna w garniturze o staromodnym kroju. Towarzyszył mu dzoker z oczami na szypułkach.

- Jestem Charles Dutton - przedstawił się mężczyzna, wyciągając urękawiczoną dłoń. Na ramiona zarzucił ciężką, czarną pelerynę. Wyglądał, jakby przed chwilą wysiadł z dorożki w wiktoriańskim Londynie - pomijając tylko kaptur skrywający jego twarz.

- Wygodniej nam będzie w gabinecie - oznajmił Dutton.

- Proszę tędy.

Toma nagle ogarnął głęboki niepokój. Po raz kolejny zadał sobie pytanie, co właściwie tu robi. Unosić się nad Dżokerowem jako Żółw, ukryty w bezpiecznej stalowej skorupie to coś całkiem innego, niż zapuścić się na jego ulice we własnej, narażonej na atak osobie. Zaszedł już jednak daleko i było za późno, by się cofnąć. Przeszedł za gospodarzem przez drzwi z napisem „NIEZATRUDNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”. Następnie zeszli po wąskich schodach, przeszli przez kolejne drzwi do ogromnego warsztatu w piwnicy, a wreszcie dotarli do małego, lecz wygodnego gabinetu.

- Napije się pan czegoś? - zapytał zakapturzony mężczyzna. Podeszedł do stojącego w kącie barku i nalał sobie brandy.

- Dziękuję, nie - odparł Tom. Miał słabą głowę, zbyt łatwo ulegał wpływowi alkoholu, a dzisiaj musi myśleć jasno. Poza tym picie przez tę cholerną maskę żaby byłoby dość trudne.

- Niech mi pan powie, jeśli zmieni pan zdanie. - Dutton oddalił się od barku, ściskając kieliszek w rękach, i zasiadł za antycznym biurkiem z lwimi łapami. - Proszę usiąść. Na pewno okropnie panu niewygodnie, kiedy pan tak stoi.

Tom go nie słuchał. Jego spojrzenie przyciągnęło coś innego. Na biurku leżała głowa.

Dutton zauważył jego zainteresowanie i obrócił spoczywający na blacie przedmiot. Twarz była bardzo atrakcyjna, ale idealne rysy zamarły w grymasie zaskoczenia. Włosów nie było. Szczyt

czaszki stanowiła plastikowa kopała, pod którą umieszczono talerz radaru. Plastik był pęknięty. Z wyszczerbionego kikuta szyi zwisały przerwane kable, poczerniałe i na wpół stopione.

- To Modułowy - stwierdził wstrząśnięty Tom, osuwając się na fotel o oparciu z poprzeczkami.

- Tylko jego głowa - zauważył Dutton.

Tom powiedział sobie, że to z pewnością woskowa replika. Wyciągnął rękę i dotknął głowy.

- To nie jest wosk.

- Z pewnością nie - obruszył się Dutton. - To autentyk. Kupiliśmy ją od jednego z pomocników kelnera w Wieży Asów. Muszę przyznać, że słono kosztowała. Nasza nowa diorama będzie przedstawiała atak Astronoma na Wieżę Asów. Zapewne pamięta pan, że podczas walki zniszczono Modułowego. Jego głowa z pewnością doda naszej dioramie autentyzmu, nie sądzi pan?

Ten pomysł przyprawił Toma o mdłości.

- Ciało Dinochłopca również zamierza pan eksponować? - zapytał z irytacją.

- Chłopaka skremowano - odparł rzeczowym tonem Dutton. - Z pewnego źródła wiemy, że jego ciało zamieniono na niezidentyfikowane zwłoki, a potem oczyszczono szkielet za pomocą mrzyków i sprzedano Michaelowi Jacksonowi.

Tomowi zabrakło słów.

- Jest pan wstrząśnięty - zauważył Dutton. - Nie byłby pan, gdyby pod tą maską ukrywała się twarz dzokera. Jesteśmy w Dzokerowie. - Uniósł rękę i ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając twarz. Do Toma uśmiechnęła się trupia czaszka - ciemne oczy ukryte głęboko pod masywnymi łukami brwiowymi, sucha, żółta skóra rozciągnięta na pozbawionej nosa, warg i włosów twarzy, zęby obnażone w nieruchomym grymasie.

- Jeśli ktoś mieszka tu wystarczająco długo, nic już go nie szokuje. - Dutton znowu postawił kaptur, ukrywając żywą czaszkę, ale Tom nadal czuł ciężar jego spojrzenia. - Przejdźmy do rzeczy - podjął gospodarz. - Xavier Desmond dał mi do zrozumienia, że ma pan do zaoferowania nowy, wyjątkowy eksponat.

Tom przez wiele lat żył jako Żółw i widział mnóstwo dzokerów, ale zawsze z daleka, na ekranach swoich telewizorów, gdy dzieliła go od nich pancerna skorupa. To było coś całkiem innego, niż siedzieć w mrocznej piwnicy z zakapturzonym mężczyzną, którego twarz była poślizgniętą czaszką.

- To prawda - potwierdził niepewnie.

- Zawsze interesują nas nowe eksponaty, im bardziej spektakularne, tym lepiej. Des nie jest skłonny do przesady, więc kiedy mi powiedział, że oferuje nam pan coś naprawdę wyjątkowego, poczułem się zainteresowany. Co to właściwie za eksponat?

- Skorupy Żółwia - odparł Tom.

Dutton umilkł na chwilę.

- To nie replika? - zapytał wreszcie.

- Autentyk - zapewnił Tom.

- Skorupę Żółwia zniszczono w ostatni Dzień Dzikiej Karty - zauważył dzoker. - Jej szczątki wyciągnięto z dna Hudson River.

- To była tylko jedna skorupa. Były też wcześniejsze modele. Mam trzy, w tym również ten najwcześniejszy. Karoseria volkswagena pokryta blachą pancerną. Część lamp się przepaliła, ale poza tym jest nietknięta. Mógłby pan ją wyczyścić, uruchomić telewizory w systemie zamkniętym i przywrócić do stanu użyteczności. Pobierać dodatkowe opłaty za wpuszczanie ludzi do środka. Dwie pozostałe to tylko puste szkielety, ale i tak powinny przyciągnąć spore

zainteresowanie. Jeśli ma pan wystarczająco wielką salę, mógłby pan zawiesić je pod sufitem, jak samoloty w Instytucie Smithsona. - Tom pochylił się nad biurkiem. - Jeśli chce pan zrobić z tego miejsca prawdziwe muzeum, a nie tylko pokaz dziwolągów dla natolskich turystów, potrzebuje pan prawdziwych eksponatów.

Dutton pokiwał głową.

- Brzmi intrygująco. Przyznaję, że to mnie kusi. Ale każdy mógłby zbudować skorupę. Będziemy potrzebowali jakiegoś potwierdzenia autentyczności. Czy mogę zapytać, w jaki sposób te skorupy znalazły się w pana posiadaniu?

Tom zawahał się. Xavier Desmond zapewnił go, że Duttonowi można zaufać, ale trudno było zapomnieć o dwudziestu czterech latach ostrożności.

- Są moje - przyznał wreszcie. - Ja jestem Żółwiem.

Tym razem Dutton milczał jeszcze dłużej.

- Niektórzy twierdzą, że Żółw nie żyje.

- Mylą się.

- Rozumiem. Zapewne nie może mi pan przedstawić dowodu?

Tom wziął głęboki oddech, zacisnął dłonie na poręczach fotela i skupił się, wpatrzony w biurko. Głowa Modułowego uniosła się kilkadziesiąt centymetrów nad blat i obróciła się powoli, kierując oczy na Duttona.

- Telekineza to dość pospolita moc - stwierdził obojętnie dzoker. - Żółw nie wyróżnia się samym faktem posiadania TK, lecz jej mocą. Niech pan podniesie to biurko. To mnie przekona.

Tom zawahał się. Nie chciał zawalić transakcji, przyznając, że nie potrafi podnieść biurka, kiedy przebywa poza skorupą. Nagle, bez zastanowienia, powiedział:

- Jeśli kupi pan skorupy, przylecę tu nimi. Wszystkimi trzema.

Słowa z łatwością wymknęły się z jego ust. Dopiero gdy je usłyszał, Tom uświadomił sobie, co powiedział.

- Moglibyśmy sfilmować pańskie przybycie, a potem odtwarzać to w pętli w sali z eksponatami - stwierdził Dutton po chwili zastanowienia. - Tak jest, myślę, że to byłaby wystarczająca weryfikacja. Jakiej sumy pan żąda?

Na moment Tomem zawładnęła ślepa panika. Głowa Modułowego opadła ze stukiem na blat biurka.

- Sto tysięcy dolarów - palnął. To było dwa razy więcej, niż zamierzał zażądać.

- Za dużo. Mogę panu dać czterdzieści tysięcy.

- Pierdolić to - skwitował Tom. - Ten eksponat jest jedyny w swoim rodzaju.

- Chciał pan powiedzieć jedyne trzy w swoim rodzaju - skontrolował Dutton. Podniosę sumę do pięćdziesięciu tysięcy.

- Sama historyczna wartość jest większa. Ten pierdolony lokal zyska w ten sposób na prestiżu. Będzie pan miał kolejki na całą przecznicę.

- Sześćdziesiąt pięć tysięcy - rzekł Dutton. - Obawiam się, że to moja ostatnia propozycja.

Tom wstał. Ulżyło mu, ale jednocześnie czuł się nieco rozczarowany.

- W porządku. Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas. Nie zna pan przypadkiem numeru Michaela Jacksona?

Dutton nie odpowiedział. Tom ruszył ku drzwiom.

- Osiemdziesiąt tysięcy - zawołał dzoker za jego plecami.

Tom się odwrócił. Dutton kaszlnął przepraszająco.

- To maksimum. Naprawdę. Nie mógłbym dać panu więcej, nawet gdybym chciał. Musiałbym

sprzedać parę innych interesów, które prowadzę, a tego nie jestem skłonny zrobić.

Tom zatrzymał się w drzwiach. O mało co by uciekł, ale teraz znowu znalazł się w pułapce. Nie widział żadnego rozwiązania, które pozwoliłoby mu nie wyjść na głupka.

- Będę potrzebował gotówki.

Dutton zachichotał.

- Nie sądzę, by łatwo było zrealizować czek wystawiony na Wielkiego i Potężnego Żółwia. Minie kilka tygodni, nim zdołam zorganizować tak wielką sumę, ale powinno mi się to udać. - Zakapturzony mężczyzna wstał z krzesła i okrążył biurko. - Umowa stoi?

- Zgoda, ale musi pan dorzucić głowę.

- Głowę? - powtórzył Dutton z zaskoczeniem i lekką wesołością. - Jest pan sentymentalny, tak?

- Uniósł głowę Modułowego i wpatrzył się w jego niewidzące oczy. - No wie pan, to tylko maszyna. Zepsuta maszyna.

- Był jednym z nas - stwierdził Tom z pasją, która jego samego zaskoczyła. - To nie jest w porządku, żeby tak tu leżał.

- Ech, ci asowie - odparł z westchnieniem Dutton. - No cóż, pewnie możemy zastąpić ją woskową repliką w dioramie przedstawiającej atak na Wieżę Asów. Głowa należy do pana, pod warunkiem że dostarczy pan skorupy.

- Dostanie je pan, gdy tylko otrzymam pieniądze - zapewnił Tom.

- Umowa stoi - zgodził się Dutton.

*Jezu* - pomyślał as. *Co ja zrobiłem?* Chwilę później wziął się w garść. Osiemdziesiąt tysięcy dolarów to piekielna kupa forsy.

Za taką sumę warto było po raz ostatni zostać Żółwiem.

## Koncert dla syreny i serotoniny

### V

Croyd wyświadczył Veronice drobną przysługę, zawiadomił Theotocopulosa o poczynionych postępkach i zadzwonił do firmy Latham i Strauss, by umówić się na spotkanie. Następnie zabrał Veronicę na kolację i zdał jej relację ze swego dnia. Potrząsnęła głową, gdy opowiedział jej o St. Johnie Lathamie.

- Chyba oszalałeś - rzekła. - Jeśli rzeczywiście jest taki wpływowy, to po co z nim zadzierasz?
- Ktoś chciał się dowiedzieć, co on kombinuje.

Zmarszczyła brwi.

- Wreszcie znalazłam faceta, który mi odpowiada. Nie chciałabym stracić go tak szybko.
- Nic mi się nie stanie.

Westchnęła, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Mówię poważnie.
- Ja też. Potrafię o siebie zadbać.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy on jest bardzo niebezpieczny?
- Mam robotę do wykonania i myślę, że jestem już blisko celu. Zapewne wkrótce zakończę sprawę bez dalszych przeszkód, wezmę forszę i może zrobię sobie krótkie wakacje, zanim znowu zasną. Moglibyśmy pojechać razem w jakieś fajne miejsce. Na przykład, na Karaiby.
- Ach, Croyd - mruknęła, biorąc go za rękę. - Pomyślałeś o mnie.
- Pewnie, że o tobie pomyślałem. Umówiłem się z Lathamem na czwartek. Może uda mi się zakończyć sprawę w weekend. Potem będziemy mieli trochę czasu tylko dla siebie.
- Bądź ostrożny.
- Do licha, to już prawie koniec. Do tej pory nie miałem żadnych problemów.



Croyd zatrzymał się w jednym ze swoich banków, by pobrać dodatkowe fundusze, a następnie wziął taksówkę i pojechał do budynku, w którym mieściła się siedziba firmy Latham i Strauss. Umówił się, opisując fikcyjny przypadek, mający zapowiadać kosztowny proces, i zjawił się piętnaście minut przed czasem. Przed wejściem do poczekalni stłumił nagłe pragnienie połknięcia tabletki. Spotkanie się z Veronicą wyraźnie skłaniało go do wybiegania myślą w przyszłość.

Podał recepcjonistce fałszywe nazwisko, usiadł i pograżył się w lekturze czasopisma.

- Panie Smith, pan Latham teraz pana przyjmie.

Croyd skinął głową, wstał i wszedł do gabinetu. Latham wstał z krzesła i wyciągnął rękę. Miał na sobie elegancko skrojony szary garnitur, był nieco niższy od Croyda, a jego twarz o rzeźbionych rysach nic nie wyrażała.

- Witam, panie Smith. Zechce pan usiąść?

- Nie - odpowiedział Croyd.

Latham uniósł brwi, po czym sam usiadł.

- Jak pan sobie życzy. Czy mógłby mi pan opowiedzieć o swojej sprawie?

- Nie mam żadnej sprawy. Chodzi mi o informacje.

- Tak? A jakie?

Zamiast odpowiedzieć, Croyd rozejrzał się po gabinecie. Nagle wyciągnął rękę i podniósł z biurka pomarańczowo-zielony kamień służący jako przycisk do papieru. Rozległ się głośny chrzęst. As otworzył dłoń i na biurko posypała się garść żwiru.

Twarz Lathama nadal była pozbawiona wyrazu.

- O jakie właściwie informacje panu chodzi?

- Wykonywał pan pewne zadania dla nowej grupy, która próbuje zastąpić mafię - odparł Croyd.

- Jest pan z Departamentu Sprawiedliwości?

- Nie.

- Z biura prokuratora okręgowego?

- Nie jestem gliną ani prokuratorem - zapewnił Croyd.

- Tylko kimś, kto poszukuje odpowiedzi.

- A jak brzmi pytanie?

- Kto jest głową tej nowej rodziny? To wszystko, czego chcę się dowiedzieć.

- A po co?

- Być może ktoś chciałby się spotkać z tą osobą.

- To ciekawe - stwierdził Latham. - I pragnie pan, żebym zorganizował podobne spotkanie.

- Nie. Chodzi mi tylko o informację, kim jest głowa tej grupy.

- Nie ma nic za darmo - zauważył prawnik. - Co oferuje pan w zamian?

- Jestem gotowy oszczędzić panu wysokich rachunków od ortopedów i fizjoterapeutów.

Prawnicy wiedzą wszystko o takich sprawach, nieprawdaż?

Latham rozciągnął usta w całkowicie sztucznym uśmiechu.

- Jeśli mnie pan zabije, będzie pan trupem. Jeśli mnie pan zrani, będzie pan trupem. Jeśli spróbuje mi pan grozić, będzie pan trupem. Ta sztuczka z kamieniem nic nie znaczy. Mogę wezwać na pomoc asów o znacznie większych mocach. Co to była za groźba?

Croyd odwzajemnił uśmiech.

- Panie Latham. Wkrótce umrę, by odrodzić się w zupełnie innej postaci. Nie zabiję pana. Założmy jednak, że spowodowałbym, że zacznie pan mówić, by powstrzymać ból, a potem zaproponuje pan swoim kumplom kontrakt na człowieka, którego widzi pan teraz przed sobą. To nic by nie dało, bo on nie będzie już istniał. Jestem seria biologicznych efemeryd.

- Jest pan Śpiochem.

- Tak.

- Rozumiem. A co pana zdaniem mi grozi, jeśli podam panu tę informację?

- Nic. Kto się o tym dowie?

Latham westchnął.

- Stawia mnie pan w trudnej sytuacji.

- Taki miałem zamiar. - Croyd zerknął na zegarek.

- W dodatku bardzo mi się śpieszy. Powiniennem zacząć pana bić już półtorej minuty temu, ale staram się być uprzejmy. To jak będzie, panie prawniku?



- Zgodzę się z panem współpracować - odparł Latham - ale wyłącznie dlatego, że nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło w bieżących wydarzeniach.

- Z jakiego powodu?

- Mogę panu podać nazwisko, ale nie adres. Nie wiem, gdzie mieści się siedziba ich organizacji. Zawsze spotykaliśmy się na ziemi niczyjej albo rozmawialiśmy przez telefon. Nie potrafię nawet podać panu numeru, ponieważ jak dotąd to oni kontaktowali się ze mną. Mówię, że to nic nie zmieni, ponieważ uważam, że ludzie, których pan reprezentuje, nie są w stanie poważnie im zaszkodzić. Ta grupa ma zbyt wielu asów. Jestem też przekonany, że wkrótce dokona tego, co można, by nazwać „wrogim przejęciem”. Gdyby pański pracodawca pragnął uratować życie swoje i swoich ludzi, a być może nawet zachować trochę pieniędzy w postaci premii za przejście w stan spoczynku, z chęcią postarałbym się przedstawić mu warunki podobnej ugody.

- Niestety, nie wydano mi żadnych instrukcji w podobnej sprawie - stwierdził Croyd.

- Zdziwiłbym się, gdyby je wydano. - Latham zerknął na telefon. - Ale nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby zechciał pan przekazać moją sugestię.

Croyd nie ruszył się z miejsca.

- Przekażę ją razem z nazwiskiem, które mi pan poda.

Latham pokiwał głową.

- Oczywiście. Moja propozycja negocjacji nie oznacza jednak akceptacji jakichkolwiek warunków i czuję się zobowiązany ostrzec pana, że to może nie być do przyjęcia dla drugiej strony.

- To również im powiem - zapewnił Croyd. - Jak brzmi nazwisko?

- Żeby być całkowicie w porządku, powinienem też panu powiedzieć, że jeśli zmusi mnie pan do podania nazwiska mojego klienta, mam obowiązek poinformować go o tym, a także zawiadomić go, komu je przekazałem. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za kroki, jakie może w tej sprawie podjąć.

- Nazwisko mojego klienta również nie padło.

- W życiu często musimy się kierować z góry przyjętymi założeniami.

- Dość już tych wykrętów. Proszę mi podać nazwisko.

- Proszę bardzo - zgodził się Latham. - Siu Ma.

- Niech pan to powtórzy.

Prawnik wykonał jego polecenie.

- Lepiej będzie je zapisać.

Latham napisał nazwisko na karteczce, oderwał ją i wręczył Croydowi.

- Azjatyckie - mruknął Croyd. - Jak rozumiem ten facet jest głową tongu, triady albo yakuzy? Jednego z tych klubów miłośników kultury azjatyckiej?

- To nie jest facet.

- Kobieta?

Prawnik skinął głową.

- Wyglądu również nie potrafię panu podać. Przypuszczam, że jest niska.

Croyd przyjrzał się prawnikowi, ale nie potrafił określić, czy na jego ustach czai się jeszcze cień uśmiechu.

- Idę o zakład, że nie figuruje też w książce telefonicznej Manhattanu - zasugerował.

- Można bezpiecznie przyjąć to założenie. Dałem panu to, po co pan przyszedł, choć nie sądzę, by to w czymkolwiek panu pomogło. - Wstał, podszedł do okna i wpatrzył się w ruch drogowy. -

Czyż nie byłoby świetnie, gdyby udało się jakoś załatwić, żeby wszystkie dziwolągi od dzikiej karty mogły złożyć pozew zbiorowy przeciwko Takizjanom?

Croyd wyszedł, nie do końca zadowolony z myśli o tym, w co się wplątał.



Potrzebował restauracji położonej blisko ulicznego telefonu. Znalazł to, czego szukał, za trzecią próbą, zajął miejsce, złożył zamówienie i pośpiesznie wykonał pierwszy telefon. Słuchawkę podniesiono po czwartym sygnale.

- Włoska Restauracja Vita.

- Mówi Croyd Crenson. Chcę porozmawiać z Theo.

- Niech pan zaczeka. Hej, Theo! - Nastała chwila ciszy.

- Już idzie.

Minęło pół minuty. Minuta.

- Słucham?

- Czy to Theo?

- Tak.

- Niech pan przekaże Chrisowi Mazzucchellemu, że Croyd Crenson ma dla niego nazwisko i pyta, w którym miejscu pragnąby je usłyszeć.

- Jasne. Proszę zadzwonić za pół godziny. Albo lepiej za czterdzieści pięć minut. Może być?

- Oczywiście.

Następnie Croyd zadzwonił do Tavern on the Green i udało mu się zarezerwować miejsce dla dwojga o dwudziestej piętnaście. Następnie wybrał numer Veroniki. Odebrała telefon przy szóstym sygnale.

- Halo?

Jej głos wydawał się słaby i odległy.

- Veronico, kochanie. Mówi Croyd. Nie chcę dać się ponieść optymizmowi, ale mam wrażenie, że już prawie skończyłem z tą robotą. Mam ochotę to uczcić. Może spotkalibyśmy się gdzieś o wpół do ósmej, by zacząć świętowanie?

- Och, Croyd, czuję się naprawdę okropnie. Wszystko mnie boli, nie mogę niczego utrzymać w żołądku. Jestem taka słaba, że ledwie daję radę unieść słuchawkę. To na pewno grypa. Nie nadaję się do niczego poza spaniem.

- Przykro mi. Potrzebujesz czegoś? Aspiryny? Lodów? Hery? Koki? *Bombitas*? Powiedz czego, a ci to przyniosę.

- Ach, jesteś naprawdę słodka, kochanie. Ale nie. Nic mi nie będzie. Nie chciałabym cię narażać na zakażenie. Chcę tylko spać. Zgoda?

- W porządku.

Croyd wrócił do stolika. Po paru chwilach przyniesiono mu jedzenie. Kiedy skończył, zamówił kolejne porcje, kręcąc dwiema pastylkami między kciukiem a palcem wskazującym. Wreszcie je połknął i popił łykiem mrożonej herbaty. Następnie złożył trzecie zamówienie i w oczekiwaniu na kolejne dania sprawdził, czy nie ma wiadomości na kilku swych osobistych telefonach. Zajął się jedzeniem, po czym znowu zadzwonił do Theo.

- I co powiedział?

- Nie udało mi się z nim skontaktować, Croyd. Nadal próbuję. Niech pan zadzwoni może za

jakąś godzinę.

- W porządku - zgodził się as. Następnie zadzwonił do Tavern on the Green, by odwołać zamówienie, i wrócił do stolika na kilka deserów.

Zadzwonił ponownie przed upływem godziny. Miał jeszcze sporo spraw do załatwienia. Na szczęście Theo zdołał się tymczasem skontaktować z Mazzucchellim i przekazał mu adres mieszkania w Upper East Side.

- Proszę tam przyjść o dziewiątej wieczorem. Chris chce, żeby złożył pan kierownictwu pełen raport.

- To tylko pieprzone nazwisko - powiedział Croyd. - Mogę mu je powiedzieć przez telefon.

- Ja tylko przekazuję wiadomości. Tak brzmi wiadomość.

Croyd odwiesił słuchawkę, a potem zapłacił rachunek. Miał przed sobą wolne popołudnie.

Gdy wyszedł z lokalu, z bramy odległej o jakieś trzy metry na lewo wyłonił się niski, barczysty mężczyzna o azjatyckim wyglądem. Ręce miał schowane pod niebieską, aksamitną marynarkę, a wzrok wbity w ziemię. Zwracając się w stronę Croyda, uniósł nagle głowę i ich spojrzenia spotkały się na moment. Potem as miał wrażenie, że w tej właśnie chwili zorientował się, co się wydarzy. Tak czy inaczej, wkrótce się upewnił. Azjata wysunął prawą dłoń spod marynarki. Palce zaciskał w niezwykłym chwycie na rękojeści długiego, nieco zakrzywionego noża. Klingę wsparł na przedramieniu, ostrą krawędzią na zewnątrz. Podchodząc bliżej, wysunął lewą rękę. Miał w niej taki sam nóż, trzymany w identyczny sposób. Przyśpieszył i oba noże poruszyły się jednocześnie. Nadzwyczajny refleks Croyda zaczął działać. Śpioch ruszył na spotkanie napastnika. Wszystko wokół nagle zwolniło. Odwrócił się, unikając dwóch ostrzy, wyciągnął rękę nad linię lśniącego metalu, złapał przeciwnika za dłoń i odwrócił ją do wewnątrz. Sztych broni zwrócił się ku brzuchowi mężczyzny, wbił się w jego ciało i przesunął ukośnie w górę. Na zewnątrz wypłynęła krew i wnętrzności. Gdy napastnik zgiął się wpół, Croyd ujrzał białą czapkę zdobiącą plecy jego stroju.

Nieopodal w oknie pękła nagle szyba. Uszy asa wypełnił huk strzału. Śpioch odwrócił się, ciągnąc bezwładne ciało napastnika, i zobaczył ciemny, nowoczesny samochód jadący powoli wzdłuż krawężnika. W pojeździe siedziało dwóch mężczyzn, kierowca i pasażer na tylnym siedzeniu. Ten drugi wysuwał pistolet przez otwarte okno, celując w Croyda.

As podszedł bliżej i wepchnął do samochodu mężczyznę, którego trzymał. Nie chciał się zmieścić w oknie, ale Croyd pchał z całej siły i w końcu się zmieścił, tracąc po drodze zaledwie kilka kawałków. Jego ostatnie krzyki zmieszały się z rykiem silnika. Samochód nagle przyśpieszył i odjechał.

Śpioch uświadomił sobie, że to dowód na to, że Latham powiedział mu prawdę i tylko prawdę, choć niekoniecznie całą prawdę. Poczł się poniekąd zadowolony z tego, czego dokonał. Teraz jednak będzie musiał uważnie oglądać się za siebie, dopóki nie dostanie forsy. A to było irytujące.

Przeszedł nad walającymi się po chodniku kawałkami napastnika i sięgnął do kieszeni po jedno z pudełek z pastylkami. Naprawdę irytujące.



Wieczorem, gdy Croyd zbliżał się do budynku, w którym wyznaczono spotkanie, zauważył, że mężczyzna siedzący w parkującym przy wejściu samochodzie gapi się na niego, mówiąc do

czegoś, co wyglądało jak małe walkie-talkie. Od chwili niedawnego zamachu na jego życie zaczął poświęcać więcej uwagi zaparkowanym samochodom. Pomasował knykcie dłoni, odwrócił się nagle i podszedł do samochodu.

- Croyd - odezwał się cicho nieznajomy.

- Zgadza się. Mam nadzieję, że jesteśmy po tej samej stronie.

Mężczyzna skinął głową i przesunął gumę do zucia pod lewy policzek.

- Może pan wejść na górę. Drugie piętro, mieszkanie numer trzydzieści dwa. Nie musi pan dzwonić. Facet przy drzwiach pana wpuści.

- Chris Mazzucchelli tam jest?

- Nie, ale wszyscy poza nim się zjawili. Chris nie mógł przyjechać, ale to nieważne. Powie pan tym ludziom to, czego chcą się dowiedzieć. To tak samo, jakby powiedział pan jemu.

Croyd potrząsnął głową.

- Chris mnie wynajął. Chris mi płaci. Będę rozmawiał tylko z nim.

- Proszę chwilkę poczekać.

Mężczyzna nacisnął guzik walkie-talkie i zaczął coś mówić po włosku. Po paru chwilach zerknął na Croyda, uniósł palec wskazujący i skinął głową.

- Co tu jest grane? - zapytał Śpioch. - Nagle go znaleźliście?

- Nie - odpowiedział strażnik, ponownie przesuwając gumę. - Ale za minutkę będziemy mogli pana zapewnić, że wszystko w porządku.

- Zgoda - odparł Croyd. - Zróbcie to.

Czekali. Po kilku minutach z budynku wyszedł mężczyzna w ciemnym garniturze. Croyd przez chwilę myślał, że to Chris, ale przyjrząwszy się uważniej, zorientował się, że nieznajomy jest chudszy i trochę wyższy. Przybysz podszedł do strażnika, który wskazał głową na Croyda.

- To on - oznajmił.

- Jestem bratem Chrisa - poinformował Śpiocha mężczyzna, uśmiechając się blado. - W tej chwili nie możemy panu zaproponować nic lepszego. Mam prawo przemawiać w jego imieniu. Może pan powiedzieć ludziom zebranim na górze, czego się pan dowiedział.

- W porządku - zgodził się Croyd. - Mogę to zaakceptować. Ale liczyłem też na to, że dostanę od niego resztę forsy.

- Nic na ten temat nie wiem. Lepiej niech pan zapyta Vincea Schiaparellego. On czasami wypłaca pieniądze. Ale może lepiej tego nie robić.

Croyd zwrócił się w stronę strażnika.

- Ma pan gadającą skrzynkę. Niech pan go zapyta. Druga strona próbowała mnie już dziś załatwić za to, co udało mi się osiągnąć. Jeśli nie macie pieniędzy, żegnam.

- Chwileczkę - uspokajał go brat Chrisa. - Nie ma powodu się denerwować. Niech pan zaczeka.

Wskazał kciukiem na walkie-talkie. Strażnik powiedział coś do aparatu, słuchał przez chwilę, zaczął i zerknął na Croyda.

- Wyślą na dół Schiaparellego - oznajmił. Jeszcze przez chwilę słuchał cichych dźwięków, powiedział coś, znowu słuchał i ponownie spojrzął na Śpiocha. - Ma forszę - zapewnił.

- Świetnie - ucieszył się Croyd. - Niech ją znieś na dół.

- Nie. Pan musi wejść na górę.

As zaprzeczył głową.

Mężczyzna gapił się na niego przez chwilę, oblizując wargi, jakby nie miał zbyt wielkiej ochoty przekazywać jego słów.

- To nie wywrze zbyt dobrego wrażenia. Można by pomyśleć, że pan nam nie ufa.

- W rzeczy samej - przyznał Croyd. - Proszę im to powtórzyć.

Strażnik zrobił to i po chwili z budynku wyszedł masywny mężczyzna o siwiejących włosach. Przybysz wlepił wzrok w asa. Śpioch odwzajemnił jego spojrzenie.

Mężczyzna podszedł bliżej.

- Pan Croyd?

- Zgadza się.

- Chce pan teraz dostać pieniądze?

- Na to wygląda.

- Oczywiście, mam je ze sobą - zapewnił mężczyzna, sięgając pod marynarkę. - Chris je przysłał. Zasmuci się, gdy dowie się o pana podejrzliwości.

Croyd wyciągnął rękę. Gdy włożono mu w nią kopertę, otworzył ją i przeliczył banknoty. Następnie skinął głową.

- Chodźmy - rzekł i podążył za Schiaparellim oraz bratem Chrisa do wnętrza budynku. Człowiek z walkie-talkie potrząsnął głową.

Na górze przedstawiono Croyda grupie mężczyzn - starszych i w średnim wieku - a także ich ochroniarzom. Poczęstowano go alkoholem, ale odmówił. Chciał tylko podać im nazwisko i odejść. Przyszło mu jednak na myśl, że za takie pieniądze może poświęcić trochę czasu na to, by opowiedzieć im, w jaki sposób zdobył tę informację. Dlatego wyjaśnił wszystko krok po kroku, od Zgona aż po Kruczka. Potem opowiedział o zamachu na jego życie, który nastąpił po rozmowie, a na koniec podał im nazwisko Siu Ma.

Padło oczekiwane pytanie:

- Gdzie możemy ją znaleźć?

- Nie wiem - przyznał Croyd. - Chris pytał mnie o nazwisko, nie o adres. Jeśli chcecie mi zapłacić za to, żebym go zdobył, pewnie mógłbym to zrobić, ale chyba taniej wyjdzie, jeśli skorzystacie z usług własnych ludzi.

To wywołało kilka gniewnych odpowiedzi, ale Croyd wzruszył ramionami, powiedział „dobranoc” i wyszedł, przyspieszając do tempa błyskawicy, gdy stojący w drzwiach mięśniak rozejrzał się wkoło, jakby czekał na rozkazy.

Dopiero po dwóch przecznicach dwójka podobnych ulicznych żołnierzy dopadła go, próbując zyskać refundację. Wyrwał kratę kanalizacji, wrzucił ich ciała do środka, po czym znowu położył ją na miejsce, zamykając sprawę w ten subtelny sposób.

## Odcień umysłu

STEPHEN LEIGH

Środa, 9.15

Przez siedem dni po przybyciu do Nowego Jorku Misza każdego wieczoru spotykała się z dzokerem Gimlim oraz plugastwami, które zgromadził wokół siebie.

Przez siedem dni mieszkała w ropiejącym wrzodzie zwanym Dżokerowem i czekała. Przez siedem dni nie nawiedzały jej wizje. To było najważniejsze.

Wizje zawsze władały jej życiem. Była Kahiną, jasnowidzącą. Zesłane przez Allaha sny pokazały jej Hartmanna, szatana władającego lalkami, których sznurki trzymał w szponiastych dłoniach. Pokazały jej Gimlego i Sarę Morgenstern. Zesłane przez Allaha wizje zaprowadziły ją z powrotem do meczetu na pustyni, do dnia, gdy poderżnęła gardło bratu i otrzymała od jednego z wiernych coś, co pozwoli jej wyrzucić zemstę i doprowadzić do upadku Hartmanna: dar Allaha.

Dzisiaj był dzień nowiu. Misza uznała to za omen zapowiadający wizję. Rankiem modliła się do Allaha przez z górą godzinę, ściskając w ramionach dar, który jej zesłał.

Allah nie przyznał jej wizji.

Gdy wreszcie wstała z podłogi, otworzyła lakierowany kufer stojący przy rozklekotanym łóżku, zdjęła czador oraz zasłony i znowu przebrała się w długą spódnicę oraz bluzkę. Nie znosiła lekkich, jaskrawych ubrań, sugerujących nagość i grzech. Odsłonięte ramiona i twarz sprawiały, że czuła się bezbronna.

Ukryła dar Allaha pod czadorem, którego nie odważyła się tu nosić. Gdy tylko schowała go pod czarną bawełną, usłyszała za sobą odgłos kroków.

Wciągnęła powietrze ze strachu i gniewu. Zatrzasnęła pokrywę kufra i wyprostowała się.

- Co tu robisz? - Odwróciła się błyskawicznie, nawet sobie nie uświadamiając, że krzyczy po arabsku. - Wynoś się z mojego pokoju.

Nigdy nie czuła się w Dżokerowie bezpiecznie, choć spędziła tu już cały tydzień. Dotąd zawsze towarzyszył jej mąż, Sajjid, albo brat, Nur. Byli też służący i ochroniarze.

A teraz przebywała nielegalnie w obcym kraju, mieszkała sama w mieście pełnym przemocy, a jedyni ludzie, których tu znała, byli dzokerami. Nie dalej niż przedwczorajszej nocy kogoś zastrzelono na ulicy tuż pod tą walącą się rudera nieopodal East River. Powtarzała sobie, że to był tylko dzoker i jego śmierć nie miała znaczenia.

Dżokerzy byli plugastwem przeklętym przez Allaha.

A teraz jeden z nich stał w drzwiach obscurnego pokoju i gapił się na nią.

- Wynoś się - zażądała drżącym głosem, mówiąc po angielsku z silnym akcentem. - Mam broń.

- To mój pokój - oznajmił intruz. - Przyszedłem go odzyskać. Jesteś tylko natolką. Nie powinnaś tu mieszkać.

Chudy dzoker postąpił krok naprzód, wchodząc w snop światła wpadającego do środka przez

jedyne okno. Misza natychmiast go poznała.

Czoło miał owinięte szarobiałymi pasami podartej tkaniny. Brudne bandaże były pokryte brązowymi plamami zakrzepłej krwi. Włosy mu od niej zeszywniały. Ręce miał zabandażowane w podobny sposób. Gęste czerwone krople przesączającej się przez tkaninę cieczy skapywały na podłogę. Ubranie spowijające jego wychudzone ciało uwypuklało się tu i ówdzie. Misza wiedziała, że kryją się pod nim inne sączące się, niemogące się zagoić rany.

Widowała go codziennie. Obserwował ją z uwagą. Czaił się w korytarzu pod drzwiami albo na ulicy pod kamienicą, chodził za nią krok w krok. Nigdy się nie odzywał, ale łatwo było dostrzec jego gniew.

- To Stygmat - wyjaśnił Gimli, gdy pierwszego dnia wyznała, że się go boi. - Tak się nazywa. Krwawi przez cały czas. Okaż odrobinę litości, do cholery. Styg nikogo nie skrzywdzi.

Misza jednak bała się spojrzenia jego poźółkłych, zapadniętych oczu. Stygmat zawsze był blisko i zawsze krzywił się, gdy na niego spojrzała. Był dzokerem. To wystarczyło. Jednym z dzieci szatana, diabłem naznaczonym dziką kartą.

- Wynoś się - powtórzyła Misza.

- To mój pokój - sprzeciwił się tonem naburmuszonego dziecka i zaszurał nerwowo nogami.

- Mylisz się. Zapłaciłam za niego.

- Ale najpierw był mój. Zawsze tu mieszkalem, od czasu...

- Zamknął mocno usta i zacisnął prawą dłoń w pięść, unosząc ją nad głowę. Z bandaży skapywał deszcz szkarłatnych kropli. Jego głos brzmiał jak piskliwy skrzek. - Od czasu, gdy spotkało mnie to. Przyszedłem tu tej samej nocy, gdy wyciągnąłem dziką kartę. Dziewięć lat temu. Ale teraz mnie wykopali, bo od dwóch miesięcy nie płaciłem czynszu. Obiecałem, że zapłacę, ale oni nie chcieli czekać. Wolą brać forszę od natoli.

- To mój pokój - powtórzyła Misza.

- Masz moje rzeczy. Zostawiłem tu wszystko.

- Właściciel je zabrał, nie ja. Leżą zamknięte w piwnicy.

Nagle Stygmat skrzywił się

- To natol. - Wypluwał z siebie słowa bliskim krzyku tonem, jakby parzyły go w język. - Ty też jesteś natolką. Nie chcemy was tutaj. Nienawidzimy was.

Jego zarzuty sprawiły, że z Miszy wylała się maskowana dotąd frustracja. Zawładnęła nią zimna furia. Kobieta wyprostowała się, wskazując palcem na dzokera.

- Jesteście wyrzutkami! - krzyczała na Stygmata i na całe Dżokerowo, jakby znowu znalazła się w Syrii i pouczała dzokerów żebrzących pod bramami Damaszku. - Bóg was nienawidzi! Żałuj za grzechy, a może ci wybaczy, ale nie wylewaj swojej trucizny na mnie.

W samym środku tyrady nagle poczuła znajomą, przyprawiającą o zawrót głowy dezorientację.

- Nie - zawołała, próbując powstrzymać nadejście wizji, lecz potem uświadomiła sobie, że przed hikmą, boską mądrością, nie ma ucieczki. - *In sha ' Allah*.

Allah przyjdzie, kiedy zechce i tak, jak zechce.

Izba i Stygmat zafalowały przed jej oczami. Dotknęła jej dłoń Allaha. Opadł na nią koszmar na jawie, wymazując odrażającą rzeczywistość Dżokerowa, brudny pokój i groźby Stygmata.

Była na pustyni Badiyat Ash-sham, w meczecie brata.

Nur al-Allah stał przed nią. Smaragdowy blask jego skóry przesłoniły niewiarygodnie obfite strumienie krwi, wypływającej spod jego dżelaby. Jego drżąca dłoń oskarżycielskim gestem wskazała na Miszę. Następnie unióśł podbródek, odsłaniając ziejącą ranę o bliznowatych, białych jak kość brzegach przecinającą jego gardło. Spróbował coś powiedzieć, ale jego głos, tak

kiedyś dźwięczny i nieodparty, brzmiał jak zdławiony chrzęst żwiru i piasku. Nie zrozumiała nic, poza nienawiścią w jego oczach. Wciągnęła powietrze, gdy padło na nią złowieszcze, oskarżycielskie spojrzenie.

- To nie byłam ja! - załkała, padając przed nim błagalnie na kolana. - Moją ręką kierował szatan. Wykorzystał moją nienawiść i zazdrość. Proszę... Próbowała wytłumaczyć bratu, że jest niewinna, ale gdy uniosła wzrok, nie zobaczyła już Nur al-Allaha, lecz Hartmanna.

Senator ryknął śmiechem.

- Jestem bestią, która rozszarpuje zasłony umysłu - oznajmił i wyciągnął ku niej szponiastą rękę. Odsunęła się trwożnie, ale było już za późno. Jego paznokcie wbiły się w jej oczy i rozorały miękką skórę twarzy. Oślepiąca kobieta krzyczała, odchylając w udreće głowę, szarpała się, ale nie była w stanie odsunąć się od Hartmanna. Jego palce wbijały się coraz głębiej.

- Tutaj nie nosimy zasłon. Nie nosimy masek. Pokażę ci prawdę leżącą wewnątrz. Pokażę ci kolor kryjącej się pod spodem dżokerki.

Zacisnął palce jeszcze mocniej, rozszarpując jej ciało. Wyrywał z niej płaty mięsa. Poczwała gorącą krew, spływającą po jej zmasakrowanym obliczu. Jęczała i łkała, próbując odepchnąć go rękami. Nie przestawał szarpać, odrywając skórę od mięśni, a mięśnie od kości.

- Twoja twarz będzie naga - mówił Hartmann. - Wszyscy będą uciekali od ciebie z grozą. Spójrz, spójrz na kolory wewnątrz twojej głowy. Jesteś dżokerką, grzesznicą taką samą jak wszyscy. Widzę twój umysł. Czuję jego smak. Jesteś taka sama jak wszyscy. Taka sama.

Uniosła wzrok, spoglądając przez strumienie krwi. Choć zjawą nadal była Hartmannem, miała teraz twarz młodego mężczyzny Otaczało go brzęczenie tysiąca rozjuszonych os. Udreńczona Misza poczuła na swym ramieniu niosącą pocieszenie dłoń. Odwróciła się i zobaczyła Sarę Morgenstern.

- Wybacz - powiedziała jej Sara. - To moja wina. Pozwól mi go odesłać.

Zesłana przez Allaha wizja rozproszyła się. Zdyszana Misza leżała na podłodze. Dygotała. Zlewał ją pot. Uniosła ręce do twarzy i ze zdumieniem poczuła pod palcami nieuszkodzone ciało.

Stygmat gapił się na łkającą kobietę leżącą na rozszczepiających się sosnowych deskach.

- Nie jesteś cholerną natolką - stwierdził. W jego głosie pojawiła się nuta udzielanego z oporami współczucia. - Jesteś jedną z nas. - Westchnął. Krople krwi wezbrały powoli na jego bandażach i skapnęły na podłogę. - To nadal jest mój pokój i chcę go odzyskać - dodał, ale z jego głosu zniknęła gorycz. - Ale zaczekam. Zaczekam.

Podszedł cicho do drzwi.

- Jedną z nas - powtórzył, potrząsając zabandażowaną, krwawiącą głową, po czym wyszedł.

Piątek, 18.10

- Zatem wszystkie te pogłoski są prawdziwe. Wróciłeś.

Głos dobiegał zza jego pleców, z cienia przepelnionego pojemnika na śmieci. Gimli odwrócił się błyskawicznie. Jego nogi wzbily w górę pokrytą warstewką oleju wodę z kałuż po popołudniowych ulewach.

- Kim, do cholery, jesteś? - Karzeł zacisnął w pięść lewą dłoń. Prawa zawisała bardzo blisko rozpiętej poły kurtki przeciwdeszczowej, pod którą kryła się trzydziestka ósemka z tłumikiem. - Masz dwie sekundy, nim sam zostaniesz pogłoską.



- Jesteś porywczy jak zawsze, co?

Dzoker doszedł do wniosku, że to głos młodego mężczyzny. W świetle latarni padającym na pojemnik pojawiła się czyjaś sylwetka.

- To ja, Gimli - oznajmił mężczyzna. - Croyd. Możesz odsunąć rękę od tej cholernej pukawki. Nie jestem gliniarzem.

- Croyd? - Gimli przyjrzał mu się uważniej. Uspokoił się lekko, choć nadal pochylał muskularne, przysadziste ciało.

- Twoja moc asa tym razem wykręciła ci niezły numer. Nigdy nie widziałem, żebyś tak wyglądał.

Mężczyzna zachichotał bez śladu wesołości. Jego twarz i ramiona miały szokująco białą, porcelanową barwę, źrenice były matoworóżowe, a ciemne, rozczochrane włosy tylko podkreślały bladość skóry.

- Cholera, masz rację. Muszę unikać słońca, ale przecież zawsze wolałem nocny tryb życia. Ufarbowałem włosy i kupiłem ciemne okulary, ale gdzieś je zgubiłem. Przynajmniej znowu dostałem siłę. To się cholernie przydaje - dodał z namysłem.

Gimli czekał. Jeśli ten facet rzeczywiście był Croydem, to w porządku, ale jeśli nim nie był, dzoker nie zamierzał dać mu szansy ataku. Od chwili powrotu do Nowego Jorku czuł się niespokojny. Poliakov nie chciał się z nimi spotkać przed poniedziałkiem, gdy Hartmann miał ponoć zgłosić swoją kandydaturę. Pierdolona Arabka nienawidziła dzokerów i na zmianę powtarzała religijne bzdury albo miała wizje, jego dawni towarzysze z DSS utracili zapał po pobycie w Europie albo w Rosji, a wojna między mafią i Widmowymi Pięściami oraz nienawistne podżeganie w wykonaniu Barnetta sprawiały, że nikt nie czuł się bezpiecznie.

Mimo to irytowało go ciągłe siedzenie w magazynie.

Powiedział sobie, że wieczorny spacer trochę go uspokoi.

Kurwa, kolejny kiepski pomysł.

Gimli widział wrogów w każdym cieniu. Tylko w ten sposób mógł zachować życie i wolność. Wystarczająco nieprzyjemny był fakt, że Hartmann nakazał władzom federalnym i stanowym zająć się członkami dawnej siatki DSS i nękać wszystkich. Gdy zaczęła się wojna między dzokerskimi a natolskimi przestępcami, wszystkie cholerne gliny z Nowego Jorku ściągnęły do Dżokerowa. Gimlego zbyt łatwo było rozpoznać, by mógł się czuć bezpiecznie na ulicach, nawet jeśli stosował wszelkie możliwe środki ostrożności. Nie zamierzał sobie wmawiać, że Hartmann nie wolałby, by Gimlego zastrzelono „podczas próby ucieczki”, zamiast wsadzić go do paki. Aż taki głupi to nie był.

Lepiej zachować ostrożność. Lepiej się ukrywać. Lepiej popełnić błąd i odebrać życie komuś innemu, niż dać się złapać.

- Posłuchaj, Croyd. W tej chwili jestem raczej nieufny. Nie podoba mi się, kiedy widzą mnie ludzie, których nie znam.

Śpioch zbliżył się o krok. Przygryzał dolną wargę krzywymi zębami. Dziaśła albinosa miały zdumiewająco czerwoną barwę. Wyglądał trochę jak zombie z filmu klasy B.

- Masz może trochę spida, Gimli? Zawsze miałeś dobre kontakty.

- Długo mnie tu nie było. Wszystko się pozmieniało.

- Nie masz spida? Niech to szlag.

Gimli potrząsnął głową. Nieznajomy przynajmniej mówił jak Croyd. Mężczyzna zmarszczył brwi, przestępując z nogi na nogę.

- Zdarza się - stwierdził. - Mam inne źródła, ale one wysychają albo giną. Posłuchaj, na ulicach

mówią, że DSS próbuje się zreformować. Po tym, co wydarzyło się w Berlinie, powinniście dać spokój Hartmannowi. On stoi po stronie dobra, bez względu na to, co o nim sądzisz. Lepiej załatwcie tego sukinsyna Barnetta. Sam mógłbym się nad tym zastanowić, gdybym tylko obudził się z odpowiednią mocą. Wszyscy w Dżokerowie byliby ci wdzięczni.

- Rozważ tę możliwość.

Albinos ponownie wydał z siebie suchy chichot.

- Nie wierzysz mi, prawda?

Gimli wzruszył ramionami. Jego dłoń ponownie przesunęła się w stronę rozpięcia kurtki. Zauważył, że mężczyzna uważnie śledzi jego ruchy.

- Nadal żyjesz, tak? To spory wyczyn.

Albinos, który mógł być Croydem albo nim nie być, przysunął się tak blisko, że Gimli czuł woń jego oddechu.

- Aha - zgodził się. - I może przy następnej okazji postaram się, żeby twoja głowa znalazła się znacznie bliżej chodnika niż teraz. Croyd pamięta, Miller.

Mężczyzna kaszlnął, pociągnął nosem i wytarł go w rękaw. Następnie oddalił się z przesadnym, przekrwionym uśmiechem. Gimli śledził go wzrokiem, zastanawiając się, czy popełnił błąd. Jeśli to nie był Croyd...

Pozwolił mu odejść. Potem zaczekał chwilę w zaułku, nim wyszedł na ulicę i ponownie ruszył w drogę, skręcając kilka razy, by się upewnić, czy nikt go nie śledzi.

Po pewnym czasie dotarł do tylnych drzwi rozsypującego się magazynu w pobliżu East River.

Zauważył na dachu Wideo. Pomachał do niej ręką i skinął głową do Całuna, który zmaterializował się nagle w cieniu przy wejściu. Skrzywił się z niezadowoleniem, słysząc trwającą wewnątrz sprzeczkę. Dwa głosy brzmiały jak łoskot nadchodzącej zza horyzontu burzy.

- Kurwa, nie, znowu to samo - mruknął.

Całun poprawił pas pistoletu maszynowego i wzruszył ramionami.

- Potrzebujemy jakiejś rozrywki - stwierdził. - To prawie tak samo dobre jak Berlin.

Gimli pchnął drzwi. Stłumione słowa stały się zrozumiałe.

Pilnik krzyczał na Miszę, która stała z rękami założonymi na piersiach i miną sprawiedliwej. Fistaszek starał się powstrzymać dzokera o chropowatej skórze. Pilnik uniósł pięść, grożąc nią Arabce, a jednocześnie odepchnął na bok drugiego dzokera.

- ...twój egocentryczny, ślepy fanatyzm! Ty i Nur jesteście po prostu Barnettami w arabskim przebraniu. Macie w swych pyszałkowatych duszach taką samą nienawiść. Pokażę ci nienawiść, ty suko! Przekonasz się, jak to smakuje.

Gdy zardzewiałe zawiasy drzwi zazgrzytały, Fistaszek obejrzał się za siebie, nadal obejmując rękami Pilnika. Podrapał się, próbując go powstrzymać; na przedramionach miał długie, krwawiące ślady. Skóra natola zdarłaby się całkowicie, ale chitynowa powłoka dzokera była bardziej odporna.

- Gimli - rzekł błagalnym tonem.

Potem krzyknął z bólu, gdy Pilnik obrócił się w jego uścisku i wskazał na Miszę, kierując spojrzenie na karła.

- Pozbądź się jej! - zawołał. - Nie będę już dłużej tolerował tego gadania.

Wyrwał się Fistaszkowi, który tym razem nie próbował go powstrzymać.

- Co tu się, do chuja, dzieje? - Gimli zatrzasnął za sobą drzwi i przeszył ich wściekłym spojrzeniem. - Słyszałem was pół kwartału stąd.

- Nie będę już dłużej tolerował zniewag.

Pilnik ruszył w stronę Miszy z groźbą na twarzy, ale Gimli stanął między nimi.

- Powiedziała, że Ojciec Kałamarnica pójdzie do piekła, jak umrze - dodał Fistaszek, pocierając chusteczką zadrapania. - Tłumaczyłem Pilnikowi, że ona po prostu nic nie rozumie, ale...

- Mówiłam prawdę. - W głosie Miszy pobrzmiwało zdumienie, jakby nie potrafiła uwierzyć, że nie pojmują jej słów. Potrząsnęła głową i rozpostarła szeroko ręce, demonstrując, że to nie jej wina. - Bóg pokazał, że nie jest zadowolony z kapłana, czyniąc go dzokerem. Tak, ten Ojciec Kałamarnica może pójść do piekła, ale Allah jest nieskończenie miłosierny.

- Widzisz? - Fistaszek uśmiechnął się niepewnie do Pilnika. - Wszystko w porządku, he?

- Jasne. Ja też jestem dzokerem, podobnie jak ty i Gimli. Wszystkich nas spotkała kara, tak? Gówno prawda. Nie mam zamiaru słuchać takich bzdur. Pierdol się, pizdo.

Wskazał palcem na Miszę, odwrócił się w miejscu i zatrzasnął za sobą drzwi. Odgłos niósł się echem jeszcze przez kilka sekund.

Gimli obejrzał się przez ramię na Miszę. Jego zdaniem kobieta świetnie wyglądała w tej pieprzonej czarnej sukni żałobnej, ale nigdy nie czuła się swobodnie w zachodnich strojach. Swym połączonym ze szczerością mistycyzmem wyprowadzała z równowagi jego ludzi. Pilnik, Całun, Nagietek i Wideo nienawidzili jej gorąco, natomiast Fistaszek wydawał się wręcz w niej zakochany, mimo że Misza okazywała upośledzonemu umysłowo dzokerowi wyłącznie pogardę.

Gimli doszedł do wniosku, że on również nienawidzi Arabki. Żałował impulsu, który kazał mu spotkać się z nią po berlińskim fiasku. Niepotrzebnie skontaktował ją z Poliakovem. Gdyby nie dowody przeciwko Hartmannowi, które ponoć miała, a także fakt, że nadal czekali na informacje od Rosjanina, do Departamentu Sprawiedliwości napłynąłby już anonimowy donos. Karzeł z chęcią by się przekonał, co jebany Hartmann kazałby im z nią zrobić.

Była cholerną aską, a asowie nie dbali o nikogo poza sobą. Byli gorsi od natoli.

- Jesteś wyjątkowo taktowna, wiesz?

- Zadał mi pytanie. Powiedziałam mu to, co usłyszałam od Allaha. Jak prawda może być zła?

- Kurwa, jeśli chcesz dłużej przeżyć w Dżokerowie, lepiej naucz się trzymać gębę na kłódkę. To jest prawda.

- Nie boję się męczeństwa w imię Allaha - odparła wyniośle z akcentem zamazującym twarde spółgłoski. - Ucieszyłabym się z niego. Zmęczyło mnie już to czekanie. Wolałabym otwarcie zaatakować bestię, jaką jest Hartmann.

- On bardzo dużo zrobił dla dzokerów - zaczął Fistaszek, ale Gimli nie dał mu dokończyć.

- Niedługo wrócę. Rozmawiałem dziś wieczór z Jubeem. Podobno Hartmann ma w poniedziałek przemawiać na wiecu w Parku Roosevelta. Wszyscy myślą, że zgłosi swoją kandydaturę. Poliakov powiedział, że skontaktuje się z nami, gdy tylko Hartmann ogłosi to oficjalnie. Wtedy przystąpimy do akcji.

- Musimy się skontaktować z Sarą Morgenstern. Wizje...

- Nic nie znaczą - przerwał Miszy Gimli. - Zaplanujemy wszystko, gdy tylko Poliakov wreszcie się tu zjawi.

- W takim razie pójdę do parku. Chcę znowu zobaczyć Hartmanna. I usłyszeć go.

Jej smagła twarz miała niemal komicznie gwałtowny wyraz.

- Zostaniesz tutaj, do cholery - oznajmił głośno Gimli.

- Przy całym tym syfie, który dzieje się teraz w mieście, będzie się tam roiło od glin.

Wlepiła w niego spojrzenie bardziej intensywne, niż się tego spodziewał. Zamrugał.

- Nie jesteś moim ojcem ani bratem - oznajmiła tonem, jakim przemawia się do upośledzonego dziecka. - Nie jesteś moim mężem ani Nurem. Nie masz prawa rozkazywać mi, tak jak tamci.

Karzeł poczuł, że wzbiera w nim ślepy, bezużyteczny gniew. Stłumił go. *Już niedługo. Jeszcze tylko kilka dni.*

Oboje gapili się na siebie, okazując sobie wzajemną niechęć.

- Hartmann może być dobrym prezydentem... - odezwał się Fistaszek bliskim szeptu głosem, przenosząc spojrzenie to na jednego, to na drugiego z nich. Zignorowali go. Z zadrapań na jego przedramionach sączyła się krew.

- Nienawidzę tego miejsca - oznajmiła Misza. - Nie mogę się doczekać wyjazdu stąd.

Zadrzała, zrywając kontakt wzrokowy z Gimlim.

- Aha, cholernie wiele osób podziela twoją niecierpliwość.

Kobieta zmrużyła oczy, usłyszawszy te słowa. Karzeł uśmiechnął się niewinnie.

- Jeszcze tylko kilka dni. Bądź cierpliwa - ciągnął. *A potem wszystko stanie się możliwe. Pozwolę Pilnikowi i pozostałym zrobić z tobą, co tylko zechcą.* - Do tej chwili zatrzymaj swoje pieprzone opinie dla siebie - zakończył.

Poniedziałek, 14.30

Misza, znana kiedyś jako Kahina, pamiętała kazania. Jej brat, Nur al-Allah, wykazywał się maksymalną elokwencją, opisując cierpienia czekające ludzi w życiu przyszłym. Jego sugestywny, dźwięczny głos spadał na wiernych z minbaru z siłą młota. W samo południe w meczecie na Badiyat Ash-sham panował straszliwy żar i słuchaczom wydawało się, że pod ich stopami otwierają się piekielne czeluście.

W piekle Nur al-Allaha pełno był odrażających, płasających radośnie dzokerów, ukaranych przez Allaha za popełnione grzechy wirusem dzikiej karty. Dzokerzy byli doczesnym obrazem wiecznych męczarni czekających wszystkich grzeszników. W plugawym podziemnym świetle roiło się od wypaczonych stworzeń będących szyderstwem w ludzkiej postaci; ociekających ropą płynącą z wrzodów na ich twarzach; śmierdzących nienawiścią, odrazą i grzechem.

Nur jednak nie wiedział o czymś, czego Misza się teraz dowiedziała. Piekło było Nowym Jorkiem. Było Dzokerowem. Było Parkiem Roosevelta w czerwcowe popołudnie. Sam wielki szatan tańczył tu na oczach uwielbiających go wyznawców. Hartmann, diabeł ze sznurkami przyczepionymi do koniuszków palców, fantom przesładujący ją w snach na jawie. Ten sam, który posłużył się rękami Miszy, by zniszczyć głos jej brata.

Widziała gazety, których nagłówki wysławiały Hartmanna za opanowanie, jakim wykazał się w chwili kryzysu, za jego współczucie i wysiłki zmierzające do położenia kresu cierpieniom dzokerów. Wiedziała, że tysiące ludzi przybyły tu dziś, pragnąc go zobaczyć, i wiedziała też, co mają nadzieję od niego usłyszeć. Zdawała sobie sprawę, że większość uważa Hartmanna za jedyny głos zdrowego rozsądku, sprzeciwiający się nienawistnym, bogobojnym bredniom wygłaszanym przez Leo Barnetta i innych jemu podobnych.

Lecz Allah w swych snach ukazał jej prawdziwego Hartmanna i włożył też w jej ręce dar, który pozwoli zniszczyć szatana. Rzeczywistość parkowego wiecu zamigotała na moment, gotowa ustąpić miejsca koszmarowi. Misza omal nie krzyknęła głośno.

- Nic ci nie jest? Drżysz.

Fistaszek dotknął jej ramienia. Misza poczuła, że mimo woli odsuwa się od dotyku jego sztywnych, zrogowaciałych palców. Zobaczyła ból w oczach dzokera, niemalże niknących w zagłębieniach pokrytej łuskami skorupie jego czaszki.

- Nie powinieneś tu przychodzić - rzekła mu. - Gimli powiedział...

- Nic nie szkodzi, Miszo - wyszeptał. Ledwie mógł poruszać ustami. Jego głos był ochrypłym charkotem kiepskiego bruchomówcy. - Ja też nienawidzę własnego wyglądu. No wiesz, jak Stygmat i wielu z nas. Rozumiem cię.

Odwróciła się od płynącego z poczucia winy bólu, jaki czuła, słysząc współczucie w jego zniszczonym przez dziką kartę głosie. Ręce ją swędziały, by opuścić zasłony i ukryć twarz przed Fistaszkiem. Ale czador i zasłony leżały zamknięte w kufrze w jej pokoju. Rozpuszczone włosy opadały na jej ramiona.

„W Nowym Jorku nie możesz ubierać się na czarno, nie w letni dzień. I tak już będą podejrzewali, że tam jesteś. Jeśli pragniesz zachować wolność, postaraj się przynajmniej wtopić w tłum, gdy tylko wyjdiesz na ulicę. Ciesz się, że w ogóle będziesz mogła to robić za dnia. Gimli nie śmie nikomu pokazać swej twarzy.”

Tak powiedział jej Poliakov, zanim opuściła Europę. Jego słowa zbytnio jej nie pocieszyły.

Wbrew temu, co mówił jej wczoraj Gimli, w Parku Roosevelta nie groziło jej, że przyciągnie uwagę. Wszędzie kłębił się chaotyczny tłum. Niezwykłe, bujne życie Dżokerowa wylało się na parkową trawę. Wrócił rok siedemdziesiąty szósty. Dżokerzy radośnie odrzucili maski. Chodzili odsłonięci, nie wstydząc się klątwy Allaha, pokazywali wszystkim piętno swych grzechów, mieszając się swobodnie z tymi, których zwalili naciągaczami. Pokraczne sylwetki tłoczyły się wokół sceny ustawionej na północnym końcu parku, najbliżej Dżokerowa, nagradzając głośnymi brawami mówców głoszących przyjaźń i solidarność. Misza słuchała i patrzyła. Znowu zaczęła drżeć, jakby popołudniowy upał był tylko chimera, fantomem zrodzonym ze snu, podobne jak cała reszta.

- Faktycznie nienawidzisz dżokerów, prawda? - wyszeptał Fistaszek, gdy zbliżyli się do sceny. Trawa pod ich stopami była błotnista i zdeptana, wałyły się na niej gazety i polityczne ulotki. To była kolejna rzecz, której nie znosiła w tym piekle - zawsze było tu tłoczno i brudno. - Całun opowiadał mi, co głosi twój brat. Nur nie różni się od Barnetta aż tak bardzo.

- Wierzymy... Koran głosi, że Bóg bezpośrednio wpływa na świat. Nagradza dobrych i karze złych. Nie wydaje mi się to straszne. Wierzysz w Boga?

- Jasne. Ale Bóg nie karze ludzi żadnym cholernym wirusem.

Kahina skinęła głową. Jej ciemne oczy miały poważny wyraz.

- W takim razie wasz Bóg jest albo niewiarygodnie okrutny, ponieważ skazuje bardzo wielu niewinnych ludzi na życie wypełnione cierpieniem, albo słaby i żaloszny, ponieważ nie potrafi temu zapobiec. Tak czy inaczej, po co oddawać cześć takiemu Bogu?

Jej ostra odpowiedź zbiła Fistaszka z tropu. Misza przekonała się już, że dżoker jest miły, ale bardzo prosty. Spróbował wzruszyć ramionami, unosząc całą górną część ciała. Oczy wypełniły mu łzy.

- To nie nasza wina...

Jego ból wzruszył Miszę, powstrzymał ją przed przerwaniem mu. Po raz kolejny pożałowała, że nie ma zasłony, która ukryłaby jej empatię. *Czy nie słuchałeś, co Tachion i inni sugerowali między wierszami?* - pragnęła na niego nakrzyczeć. *Nie widzisz tego, czego nie odważę się powiedzieć? Wirus wzmacnia wasze słabości i przywary. Wykorzystuje tylko to, co znajdzie w umyśle zarazonej osoby.*

- Przepraszam - wydyszała. - Serdecznie cię przepraszam, Fistaszku. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po ramieniu. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak bardzo drżały jej palce i jak ulotny był jej dotyk. - Zapomnij o moich słowach. Mój brat jest okrutny i brutalny. Czasami za

bardzo się do niego upodabnam.

Fistaszek pociągnął nosem. Na jego twarzy o ostrych rysach wykwitł uśmiech.

- W porządku, Miszo - zapewnił. Jego natychmiastowe wybaczenie zabolowało ją mocniej niż cała reszta. Zerknął na scenę i na jego szorstkiej skórze pojawiły się bruzdy - Popatrz, to Hartmann. Nie wiem, dlaczego oboje z Gimlim tak go nie lubicie. Tylko on pomaga...

Słowa Fistaszka umilkły. Wszyscy w tłumie unieśli pięści ku niebu i zakrzyknęli głośno. Na scenie pojawił się szatan.

Misza poznawała niektóre z otaczających go osób. Doktor Tachion w absurdalnie jaskrawym stroju; Hiram Worchester, otyły i obrzękły; człowiek zwany Carnifexem, wpatrujący się w tłum tak intensywnie, że natychmiast zapragnęła się ukryć. Obok senatora stała kobieta, ale to nie była Sara, którą tak często widywała w snach i z którą rozmawiała w Damaszku. To musiała być jego żona, Ellen.

Hartmann potrząsnął głową i uśmiechnął się bezradnie na widok uwielbienia tłumu. Uniósł ręce i aplauz nasilił się jeszcze. Ryk tłumu odbijał się echem od drapaczy chmur na zachodzie. Nieopodal sceny zaczęto skandować nazwisko senatora. Wkrótce chóralne krzyki ogarnęły cały park.

- Hartmann! Hartmann! - wołali ludzie. - Hartmann! Hartmann!

Uśmiechnął się szerzej, nie przestając potrząsać głową z niedowierzaniem, i podszedł do baterii mikrofonów. Jego głos był klarowny, głęboki i przepojony współczuciem dla tych, których miał przed sobą. Przypominał Miszy jej brata. Kiedy przemówił, samo brzmienie jego głosu było prawdą.

- Jesteście cudowni - oznajmił.

Odpowiedziało mu wycie, huragan dźwięku, który omal nie ogłuszył Arabki. Dżokerzy tłoczyli się wokół sceny. Misza i Fistaszek przesuwali się bezradnie do przodu, niesieni falą pływu. Krzyki i skandowanie nie milkły przez dobrą minutę. Wreszcie Hartmann uniósł ręce i zapadła cisza, pełna niespokojnego oczekiwania.

- Nie będę powtarzał wam frazesów, których nauczyliście się oczekiwać od polityków takich jak ja - zaczął po chwili. - Długo mnie tu nie było i, szczerze mówiąc, to, co zobaczyłem na świecie, bardzo mnie przestraszyło. A jeszcze większy strach poczułem, gdy po powrocie do domu ujrzałem tu te same uprzedzenia, nietolerancję i brak człowieczeństwa. Pora skończyć z politykowaniem i wybieraniem bezpiecznego, uprzejmego kursu. Czasy nie są bezpieczne ani uprzejme. Są pełne zagrożeń.

Przerwał, by wziąć głęboki oddech, który wstrząsnął głośnikami.

- Prawie dokładnie jednaście lat temu, na tej samej trawie Parku Roosevelta, popełniłem „polityczny błąd”. W minionych latach bardzo często myślałem o owej chwili i przysięgam na Boga, że po dziś dzień nie rozumiem, dlaczego powinienem się tego wstydzić. Ujrzałem wówczas na własne oczy nagą, bezsensowną przemoc. Nienawiść i uprzedzenia wyrwały się na swobodę, a ja straciłem panowanie nad sobą. Wściekłem się!

Ostatnie dwa słowa Hartmann wykrzyczał i dżokerzy odpowiedzieli mu krzykiem poparcia. Zaczekał, aż się uspokoją i wznowił przemowę posępnym, smutnym głosem.

- Istnieją maski inne od tych, z których zasłynęło Dżokerowo. Jedna z nich skrywa szpetotę wykraczającą poza wszystko, co może spowodować dzika karta. Zakażenie kryjące się za tą maską jest aż za bardzo ludzkie. Słyszałem jego głos w kamienicach czynszowych Rio, w *kraalach* Afryki Południowej, na pustyniach Syrii, w Azji, Europie i Ameryce. Ten głos jest dźwięczny i przepojony pewnością siebie. Uspokaja tych, którzy nienawidzą, mówiąc im, że ich

nienawiść jest słuszna. Zapewnia, że każdy, kto jest inny, jest w związku z tym gorszy. Być może jest czarny, jest Żydem albo Hindusem bądź też po prostu dzokerem.

Usłyszawszy, z jaką emfazą wypowiedział to ostatnie słowo, bestia, którą był tłum, znowu zawyła. Jej głos był ścianą bólu. Misza zadrzała. Słowa Hartmanna stanowiły niepokojące echo jej snów. Niemalże czuła, jak jego paznokcie orzą jej twarz. Spojrzała w prawo i zobaczyła, że Fistaszek gapi się na scenę razem z pozostałymi, a z jego rozdziawionych ust płyną okrzyki zgody.

- Nie mogę do tego dopuścić - podjął Hartmann. Mówił teraz głośniej i szybciej, dostosowując się do uczuć tłumu. - Nie mogę przyglądać się biernie, gdy jestem w stanie coś zmienić. Zbyt wiele widziałem. Słuchałem podstępного głosu nienawiści i nie mogę już dłużej znosić jego brzmienia. Chcę zerwać maskę i odsłonić kryjące się pod nią fałsz i szpetotę. Szpetotę nienawiści. Przeraza mnie stan, w którym znalazł się ten kraj i cały świat. Tylko jedno pozwoli mi złagodzić ten strach.

Znowu przerwał. Tym razem wydawało się, że cały park wstrzymał oddech. Misza zadrzała. *To słowa ze snu. Snu zesłanego przez Allaha.*

- Z dniem dzisiejszym zrezygnowałem z miejsca w senacie oraz z pozycji przewodniczącego SKAZA. Zrobiłem to po to, by móc poświęcić całkowitą uwagę nowemu zadaniu. Będę w nim potrzebował również waszej pomocy. Niniejszym ogłaszam, że zamierzam ubiegać się o nominację na kandydata Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym.

Jego ostatnie słowa zagłuszył tytaniczny aplauz. Misza nie widziała już Hartmanna. Zasłoniło go falujące morze rąk i chorągwi. Nie wyobrażała sobie dotąd tak potężnego hałasu.

- Hartmann! Hartmann! - skandowali dzokerzy, unosząc rytmicznie pięści.

Hartmann! Hartmann!

Piekiło było pełne hałasu i chaosu. Nienawiść Miszy utonęła w radości tłumu. Fistaszek skandował razem z całą resztą. Popatrzyła na niego z odrazą i rozpaczą.

Jest bardzo silny. Allahu, silniejszy od Nura. Pokaż mi, że to właściwa ścieżka. Zapewnij, że moja wiara spotka się z nagrodą.

Sen jednak nie nadszedł. Słyszała tylko głos bestii - dzokerów oraz szatana napawającego się ich uwielbieniem. Przynajmniej wreszcie się zacznie. Dzisiejszej nocy. Dzisiejszej nocy spotkają się i zastanowią nad tym, jak zniszczyć diabła.

Poniedziałek, 19.32

Poliakow przybył do magazynu jako ostatni.

To wkurzyło Gimlego. Wystarczająco nieprzyjemny był już fakt, że nie był pewien, czy może zaufać dawnym członkom nowojorskiego oddziału DSS. I że od blisko dwóch tygodni musiał tu siedzieć z Miszą, znosząc jej pogardę wobec dzokerów. Że asowie z Departamentu Sprawiedliwości, pozostający na usługach Hartmanna, krążyli po Dżokerowie, szukając go we wszystkich zakamarkach. Że nienawistna propaganda Bar netta skierowała na dzokerów uwagę natolskich gangów, a trwająca wojna między przestępczymi organizacjami czyniła ulice niebezpiecznymi dla wszystkich.

Na domiar złego czuł, że nadciąga przeziębienie. Kichnął i wysmarkał się w wielką, czerwoną chustkę.

W Dżokerowie nastaly paskudne czasy.

Przybycie Poliakowa dodatkowo pogorszyło nastrój Gimlego. Rosjanin wszedł do środka bez pukania, otwierając drzwi z donośnym trzaskiem.

- Dżokerka na dachu jest widoczna w blasku latarni - oznajmił głośno. - Każdy dureń mógłby ją zobaczyć. Co, gdybym był z policji? Wszystkich was by aresztowano albo zabito. Amatorzy!

Dyletant!

Gimli otarł obrzękłe, obolałe nozdrza i spojrział na chustkę.

- Dżokerka na dachu to Wideo. Przekazała twój obraz wszystkim obecnym w pokoju, żebyśmy wiedzieli, że się zbliżasz. Potrzebuje do tego celu światła. Gdybym cię nie rozpoznał, Fistaszek i Pilnik załatwiłby cię w drzwiach. - Karzeł schował wilgotną chusteczkę do kieszeni i walnął dwa razy pięścią w ścianę. - Wideo! - zawołał do sufitu. - Pokaż naszemu gościowi replay, dobra?

Powietrze pośrodku magazynu zamigotało. Zapadła tam ciemność. Na moment wszyscy ujrzeli zaulek przed magazynem i tęgiego mężczyznę stojącego w cieniu. Mrok skupił się, zapulsował i nagle ujrzeli zbliżenie nieznanego. To był Poliakov, gapiący się na Wideo z grymasem niezadowolenia. Rozległ się gromki śmiech Gimlego.

- Kurwa, nie zauważyłeś Całuna za swoimi plecami, co?

W cieniu za Poliakovem zmaterializowała się smukła sylwetka i wymierzyła palec wskazujący w plecy byłego KGB- isty.

- Pif-paf - wyszeptał Całun. - Nie żyjesz. Jak rosyjski dżoker.

Stojący przy drzwiach Fistaszek i Pilnik uśmiechnęli się szeroko.

Gimli musiał przyznać, że Poliakov przyjął to spokojnie, jak na natola. Muskularny mężczyzna skinął tylko głową, nawet nie spoglądając na Całuna.

- Przepraszam. Z pewnością znasz swoich ludzi lepiej ode mnie.

- No jasne. - Karzeł pociągnął nosem. Kapało mu z niego jak ze starego kranu. Skinął dłonią do Całuna. - Dopilnuj, żeby nikt więcej nie wszedł do środka. Wszyscy, którzy mają zaproszenia, już się zjawili.

Niski dżoker o lekko zamazanej sylwetce skinął głową.

- Czas na jatkę - odrzekł, znowu szeptem. Na jego niewyraźnie widocznej twarzy pojawił się uśmiech. Potem Całun rozpuścił się w cieniu.

- To znaczy, że mamy asów - odezwał się Poliakov.

Gimli roześmiał się bez wesołości.

- Jeśli Wideo znajdzie się w pobliżu jakiegoś elektrycznego urządzenia, jej układ nerwowy się przeładuje. Wystarczy, że usiądzie przed cholernym telewizorem, a dostanie arytmii serca. Jeśli podejdzie bliżej, umrze. A Całun z dnia na dzień staje się coraz mniej materialny, jakby parował. Za rok będzie martwy albo zdematerializuje się całkowicie. Asów, też coś. To dżokerzy, Poliakov, tak samo, jak cała reszta. No wiesz, jak ci, których eksterminujecie w rosyjskich laboratoriach.

Rosjanin zbył tę obelgę chrząknięciem. Gimli poczuł się rozczarowany. Poliakov skinął głową, przesuając palcami po siwych włosach ostrzyżonych na jeża.

- Rosja popełniła błędy, podobnie jak Ameryka. Wolałbym, żeby do wielu wydarzeń nigdy nie doszło, ale teraz spotkaliśmy się tutaj, by zmienić to, co możemy, nieprawdaż? - Wlepił w Gimlego niemrugające spojrzenie. - Czy syryjska aska przybyła?

- Jestem tutaj.

Głos Miszy dobiegł spod tylnej ściany magazynu. Gimli zauważył, że kobieta obrzuciła ostrym



spojrzeniem Fistaszka i Pilnika. Zawsze była skwaszona i wyniosła. Zachowywała się tak, jakby się spodziewała, że będą jej usługiwać. Jej smagła, arabska cera mogła się wydawać Gimlemu atrakcyjna, ale poza nocnymi fantazjami nie wmawiał sobie, że cokolwiek mogłoby z tego wyniknąć. Wiedział, jak wygląda. „Mały, brodawkowaty, odrażający muchomor pasożytujący na gnijącej kłodzie ego”. Tak nazwał go Wilde.

Gimli był dzokerem. Dla tej suki nic więcej się nie liczyło. Jasno dała mu do zrozumienia, że toleruje go wyłącznie dlatego, że pragnie zemsty na Hartmannie. W ogóle nie widziała w nim człowieka. Był dla niej jedynie narzędziem, które wykorzystywała, ponieważ nie miała pod ręką nic innego. Ta świadomość powracała za każdym razem, gdy na nią spjrzał. Sam widok Miszy sprawiał, że miał ochotę na nią nawrzesz cześć.

Któregoś dnia zrobię z ciebie swoje narzędzie, ty suko.

- Jestem gotowa zacząć. Wizje... - Uśmiechnęła się i karzeł skrzywił się w odpowiedzi. - ...były dziś optymistyczne.

Karzeł prychnął pogardliwie.

- Senator z pewnością się nie przejmie twoimi cholernymi snami.

Odwróciła się gwałtownie z błyskiem w oczach.

- Drwisz z daru Allaha. Być może właśnie za tę pogardę uczynił cię skurczoną parodią mężczyzny.

To wystarczyło, by pozbawić Gimlego resztek powściągliwości. Wypełnił go nagły, gorejący gniew.

- Ty jebana suko! - wrzasnął. Stanął na szeroko rozstawionych, muskularnych nogach, nadymając potężną klatkę piersiową. Zacisnął dłoń w pięść, a następnie wysunął palec, wskazując na Miszę. - Nie pozwolę tak się traktować! Ani tobie, ani nikomu innemu!

- PRZESTAŃCIE! - zawołał Poliakov, gdy tylko Gimli postąpił krok w stronę kobiety. Karzeł odwrócił głowę, usłyszawszy jego ryk. Pulsujący ból, który ją wypełniał, nasilił się jeszcze. - Amatorzy! - warknął Rosjanin. - Mołnia opowiadał, że taka głupota zgubiła was w Berlinie, Tomie Miller. Teraz wierzę w jego słowa. Te małostkowe swary muszą się skończyć. Łączy nas wspólny cel. Na nim skupcie swój gniew.

- Piękne przemowy gównem znaczą - burknął Gimli, ale zaraz umilkł. Opuścił pięść i rozluźnił palce. - Dziwni z nas spiskowcy, nieprawdaż? Dzoker, aska i natol. Może na tym polega błąd, he? Nie jestem już taki pewien, że nasz cel jest wspólny - zakończył, łypiąc ze złością na Miszę.

Poliakov wzruszył ramionami.

- Nikt z nas nie chce, by Hartmann zdobył polityczną władzę. Każde z nas ma swoje, odrębne powody, ale w tym jednym się zgadzamy. Ja nie chciałbym, żeby as dysponujący nieznanymi mocami został prezydentem państwa będącego rywalem mojej ojczyzny. Wiem, że Kahina pragnie zemsty za brata. Ty również masz zadawnione powody, by nienawidzić senatora. Możesz nie lubić tej kobiety, ale ona dała nam dowody przeciwko Hartmannowi.

- Tak przynajmniej twierdzi. Ale na razie nie widzieliśmy tych dowodów, tak?

Poliakov chrząknął.

- Cała reszta to tylko poszlaki, pogłoski i spekulacje. Zacznijmy. Ja z pewnością pragnę zobaczyć „dar” Miszy.

- Najpierw porozmawiajmy o rzeczywistości. Potem będziemy mogli się oddawać religijnym fantazjom - sprzeciwił się Gimli. Czuł, że kontrola nad zebraniem wymyka mu się z rąk. Rosjanin miał charyzmę i dar przekonywania. Pozostali zaczęli już widzieć w nim przywódcę grupy. *Zapomnij o tym, jak paskudnie się czujesz. Musisz go uważnie obserwować, bo inaczej*

*przejmie władzę.*

- Nie zgadzam się - zaprotestował Rosjanin.

Gimli uniósł głowę i popatrzył na niego. Poliakov odpowiedział mu pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Po chwili karzeł odkaslnął i pociągnął nosem.

- W porządku - burknął. - Scena należy do ciebie, Kahino.

Gdy na nią zerknął, odpowiedziała szybkim, triumfalnym uśmiechem. To przekonało go ostatecznie. Gdy już będzie po wszystkim, Misza zapłaci za swą arogancję. Jeśli okaże się to konieczne, sam wymierzy jej karę.

Arabka przeszła na koniec sali i wróciła z wielkim rulonem tkaniny.

- Kiedy asowie zaatakowali nas w meczecie, Hartmann został ranny - zaczęła. - Jego ludzie zbadali go pośpiesznie, ale zaraz się wycofali. Ja... - Przerwała. Jej twarz pociemniała od bolesnych wspomnień. - Ja już wtedy uciekłam. Mój brat i Sajid, obaj straszliwie ranni, zwołali swych zwolenników i skryli się na pustyni. Następnego dnia miałam wizję, która kazała mi wrócić do meczetu. Tam dano mi to. Marynarkę, którą miał na sobie Hartmann, gdy go postrzelono.

Rozwinęła tkaninę na betonowej podłodze.

Szara, sportowa marynarka w kratę nie wyglądała zbyt imponująco. Była brudna i złachmaniona. Biła od niej słaba woń stęchlizny. Wystrzępioną dziurę na prawym ramieniu otaczała nieregularna, czerwonobrazowa plama ciągnąca się ku piersi. Na rozwiniętej marynarce leżał plik papierów w szarej kopercie. Misza je przerzuciła.

- Poszłam z tą marynarką do czterech lekarzy w Damaszku - podjęła. - Wszyscy niezależnie od siebie zbadali plamy krwi i każdy z nich stwierdził, że z pewnością pochodziła ona od osoby zarażonej wirusem dzikiej karty. To była krew grupy A plus, co zgadza się z grupą krwi Hartmanna. Człowiek, który dał mi marynarkę, zapewnił, że należała do Hartmanna. Zabrał ją po walce, pragnąc ją zachować jako relikwię Nura.

- Kurwa, zapewnienia terrorysty i krew mogąca pochodzić od kogokolwiek - zachnął się Gimli.

- Posłuchaj, wszyscy tu obecni mogą uwierzyć, że to krew Hartmanna, ale to jeszcze nic nie znaczy. Skurwysyn upublicznił wyniki swych badań. Myślisz, że dzięki swym kontaktom nie mógłby uzyskać kolejnego ujemnego wyniku testu?

Poliakov skinął z namaszczeniem głową.

- Mógłby to zrobić i zrobiłby.

- W takim razie zaatakujcie go fizycznie - zaproponowała Misza. Nie potrafiła pojąć tych ludzi.

- Jeśli nie chcecie mojego daru, zabijcie Hartmanna. Pomogę wam.

Na widok jej miny Gimli ryknął śmiechem, który jednak po chwili przeszedł w dręczący, mokry kaszel.

- Jezu, tylko przeziębienia potrzeba mi jeszcze do szczęścia

- mruknął. - Jesteśmy dziś bardzo krwiożerczy, co? - dodał.

Misza skrzyżowała ramiona poniżej piersi w wyzywającym geście.

- Ja się nie boję. A ty?

- Nie, do cholery. Po prostu jestem realistą. Posłuchaj, twój brat miał strażników uzbrojonych w uzi, a Hartmannowi udało się zwiać, prawda? Ja przywiązałem skurwysyna do krzesła, wszyscy mieliśmy broń, a potem opuściliśmy pokój jeden po drugim, choć po godzinie żaden z nas nie wierzył, że podjął taką decyzję. Następnie ten cały Mackie Majcher, który i tak był naładowanym pistoletem bez bezpiecznika, wpadł w amok i poszatkował na kawałki wszystkich, którzy tam pozostali, ale naszego dobrego senatora jakimś cudem nawet nie drasnął. - Karzeł

splunął. - Potrafi skłaniać ludzi, by robili, co im każe. Na pewno to właśnie jest jego moc. Otacza go mnóstwo asów. Nie mamy szans do niego dotrzeć, nie w ten sposób.

Poliakow pokiwał głową.

- Niestety, muszę się zgodzić z tą opinią. Miszo, nie znasz Mołni, agenta, który towarzyszył Gimlemu w Berlinie. Mógłby zabić Hartmanna jednym dotknięciem. Toczyłem z nim długą rozmowę. Zrobił tam parę rzeczy, które świadczyły o nieudolności i nie miały sensu u kogoś tak doświadczonego i lojalnego. To zachowanie pozostawało w sprzeczności z całym dotychczasowym przebiegiem służby Mołni. Manipulowano nim. Jego zeznania to część dowodów, które posiadam.

Pilnik trącił łokciem Fistaszka.

- Pamiętam siedemdziesiąty szósty - oznajmił Gimlemu.

- Rozmawiałeś z Hartmannem, kiedy przygotowujemy się do wymarszu. I nagle kazałeś nam zawrócić i ruszyć z powrotem do parku.

To wspomnienie było dziś równie nieprzyjemne, jak jedenaście lat temu. Gimli zastanawiał się nad nim bardzo często. W siedemdziesiątym szóstym DSS było bardzo bliskie uznanie za oficjalną reprezentację dzokerów, ale w jakiś sposób zdołał zaprzepaścić wszystko. Po zamieszkach DSS i sam Gimli utracili wpływy. Po Berlinie i po spotkaniu z Miszą, jego przemyślenia wkroczyły na inne tory.

Teraz wiedział, kto był winien jego niepowodzeń.

- Masz cholerną rację. Dlatego właśnie chcę załatwić sukinsyna. W przypadku Barnetta i innych natolskich polityków wiemy, na czym stoimy. Znamy ich. A Hartmanna nie. Dlatego jest bardziej niebezpieczny od nich. Fistaszek, pamiętasz Mrównika? Zginął w Berlinie, razem z wieloma innymi. Jego śmierć i cała reszta tego skurwysyństwa to w ostatecznym rozrachunku wina Hartmanna.

Fistaszek poruszył całym ciałem, jakby próbował potrząsnąć głową.

- To nie jest w porządku, Gimli. Naprawdę. Hartmann wiele zrobił dla dzokerów. Uwolnił nas od Ustawy o Kontroli Egzotycznych Mocy, przemawia do nas uprzejmie, odwiedza Dżokerowo...

- Jasne. Ja też bym tak robił, gdybym chciał uspić podejrzenia wszystkich. Mówię ci, wiemy, czego się spodziewać po Barnecie. Możemy go załatwić w każdej chwili. Hartmanna boję się bardziej.

- W takim razie zrób coś w jego sprawie - wtrąciła Misza.

- Mamy jego marynarkę. Mamy opowieść twoją i Poliakowa. Idźcie z tym do waszej prasy. Niech ona go załatwi.

- Nadal głównie mamy. Hartmann wszystkiemu zaprzeczy. Przedstawi kolejne badanie krwi. Oznajmi, że „dowody” pochodzą od dzokera, który porwał go w Berlinie, Rosjanina powiązanego z KGB, oraz kobiety przekonanej, że sny powiedziały jej, iż Hartmann jest asem, a także ulegającej urojeniom, że ktoś zmusił ją do ataku na jej brata, który jest terrorystą. Kurewsko klasyczny przykład przeniesienia poczucia winy.

Gimli ucieszył się na widok rumieńca na twarzy Miszy. *Tak jest, to było celne. Prawda, suko?*

- Mamy poszlaki - przyznał - ale jeśli je przedstawimy, Hartmann po prostu je wyśmieje, a prasa razem z nim. Musimy się skontaktować z kimś, kto zrobi to za nas.

- Jak rozumiem, masz kogoś na myśli? - zapytał Poliakow.

Karzeł miał wrażenie, że usłyszał w jego głosie lekką nutę wyzwania.

- Tak jest, mam - potwierdził. - Uważam, że powinniśmy z tym pójść do Poczworki. Słyszałem,

że ona również bardzo się interesuje Hartmannem, choć nie ma żadnych powodów, by pragnąć zemsty na nim. Nikt nie wie więcej od niej o wszystkim, co dzieje się w Dżokerowie.

- Znam kogoś, kto wie więcej o Hartmannie - sprzeciwiła się Misza, zbywając skinięciem dłoni sugestią Gimlego. - To Sara Morgenstern. Ujrzałam jej twarz w snach zesłanych przez Allaha. To ona zniszczy Hartmanna, nie Poczwarzka.

- No jasne. To kochanka Hartmanna. Uważamy, że on potrafi panować nad umysłami. Kogo w pierwszej kolejności podporządkowałby swej władzy? - Ból rozsadzał skronie Gimlego. Miał wrażenie, że głowę wypełnia mu śluz. - Musimy się zwrócić do Poczwarzki.

- Nie wiemy, czy będzie chciała nam pomóc. Może Hartmann ją również kontroluje. Wizje...

- Twoje wizje to gówno, moja pani. Jestem już kurewsko zmęczony słuchaniem o nich.

- To dar Allaha.

- To dar dzikiej karty, a każdy dżoker wie, ile to warte.

- Gimli usłyszał otwierające się drzwi magazynu. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył stojącego w nich Poliakovą. - Dokąd się wybierasz, do jasnej cholery?

Rosjanin nagle wypuścił powietrze z płuc.

- Dość już się nasłuchałem. Nie mam zamiaru zadawać się z głupcami. Idźcie do Poczwarzki albo do Sary Morgenstern, wszystko mi jedno. Nawet życzę wam szczęścia. Kto wie, może się uda. Ale nie mam zamiaru w tym uczestniczyć.

- Idziesz sobie? - zapytał zdumiony Gimli.

- Jak już wspominałem, łączy nas wspólny cel. To wszystko. Róbcie, co chcecie, nie jestem wam do tego potrzebny. Zajmę się sprawą na swój sposób. Jeśli odkryję coś interesującego, skontaktuję się z wami.

- Jeśli spróbujesz coś zrobić na własną rękę, wzrośnie prawdopodobieństwo, że mogą cię złapać. To zaalarmuje Hartmanna, że ktoś chce go załatwić.

Poliakov wzruszył ramionami.

- Jeśli rzeczywiście jest taki groźny, jak sądzicie, z pewnością już o tym wie.

Pożegnał Gimlego, Miszę, Pilnika i Fistaszkę skinieniem głowy, a potem wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Karzeł poczuł, że spojrzenia pozostałych padły na niego. Wskazał obscenicznym gestem na drzwi.

- Do diabła z nim - oznajmił głośno. - Nie potrzebujemy go.

- W takim razie pójdę do Sary - upierała się Misza. - Ona nam pomoże.

Nie masz wyboru. Już nie.

Gimli skinął z niechęcią głową.

- Zgoda. - Westchnął. - Fistaszek kupi ci bilet na samolot do Waszyngtonu. A ja pogadam z Poczwarzką. - Dotknął dłonią czoła. Było podejrzanie ciepło. - Ale na razie muszę chwilę poleżeć.

Wtorek, 22.50

Gimli powiedział jej, by się upewniła że nikt nie obserwuje mieszkania Sary. Misza uważała, że karzeł ulega paranoi, ale poczekała kilka chwil, zanim przeszła na drugą stronę ulicy, obserwując z uwagą. Nigdy nic nie wiadomo. Sajjid, jej mąż, który w swoim czasie był odpowiedzialny za wszystko, co wiązało się z bezpieczeństwem sekty Nura, z pewnością byłby

tego samego zdania.

„Żaden amator nigdy nie zauważy profesjonalisty, chyba że ten chce, by go zauważono”.

Pamiętała, że kiedyś tak jej powiedział. Myśli o Sajjidzie przywołały bolesne wspomnienia - jego przesycony pogardą głos, apodyktyczne zachowanie i monstrialne ciało. Gdy powalono go na jej oczach, poczuła ulgę zmieszaną z przerażeniem. Jego kości pękły jak suche gałązki, zmiażdżone ciało osunęło się na podłogę, a z ust wyrwał się cichy, zwierzęcy jęk...

Zadrżała i przeszła na drugą stronę.

Nacisnęła przycisk domofonu, po raz kolejny zdumiewając się amerykańską obsesją na punkcie nieskutecznych środków bezpieczeństwa. Drzwi były z fazowanego szkła. Raczej nie powstrzymałyby nikogo, kto byłby zdeterminowany wejść do środka.

- Halo? Kto tam? - zapytał ostrożny, znużony głos.

- Jestem Misza. Kahina. Błagam, muszę z tobą porozmawiać.

Zapadła długa cisza. Misza pomyślała już, że Sara jej nie odpowie, lecz nagle z głośnika dobiegł cichy trzask.

- Możesz wejść - oznajmiła Sara. - Pierwsze piętro. Korytarzem na wprost.

Zabrzęczał sygnał. Misza wahała się przez chwilę, niepewna, co zrobić. Potem pchnęła drzwi, znalazła się w klimatyzowanym holu i weszła po schodach na górę. Drzwi były uchylone. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła w szparze przyglądające się jej oko. Po chwili oko się odsunęło i Arabka usłyszała grzechotanie łańcucha. Drzwi otworzyły się szerzej, ale tylko na tyle, by ją przepuścić.

- Wejdz - powiedziała Sara.

Była chudsza niż wtedy, gdy Misza widziała ją ostatnio, niemal zabiedzona. Twarz miała pożółkłą i zapadniętą, a pod oczami ciemne worki. Opadające na ramiona włosy były pozbawione blasku i wyglądały na niemyte od wielu dni. Kobieta zamknęła drzwi za gościem, a następnie oparła się o nie.

- Zmieniłaś się, Kahino - zauważyła Sara. - Nie nosisz czadoru ani zasłon, nie masz ochroniarzy. Ale pamiętam twój głos i oczy.

- Obie się zmieniliśmy - zauważyła cicho Misza i ujrzała błysk bólu w ciemnych oczach Sary.

- Pewnie masz rację. Takie jest życie, hę?

Sara odsunęła się od drzwi, pocierając oczy knykциями dłoni.

- Pisałaś o mnie po... po tym, co wydarzyło się na pustyni. Czytałam to. Rozumiesz mnie. Jesteś dobra.

- Ostatnio nie piszę zbyt wiele. - Przeszła na środek salonu. Paliła się tu tylko jedna lampa. Sara odwróciła się w półmroku. - Usiądź, proszę. Przyniosę coś do picia. Co byś chciała?

- Wodę.

Dziennikarka wzruszyła ramionami. Poszła do kuchni i po paru minutach wróciła z dwiema szklankami. Jedną wręczyła Miszy. Arabka czuła bijącą z drugiej szklanki woń alkoholu. Sara usiadła na kanapie naprzeciwko gościa i pociągnęła długi łyk.

- Nigdy nie bałam się bardziej niż tego dnia na pustyni...

- zaczęła. - Myślałam, że twój brat... - Zawahała się, spoglądając na Miszę znad brzegu szklanki. - Myślałam, że jest całkowitym szaleńcem. Wiedziałam, że wszyscy zginiemy. I wtedy...

Pociągnęła długi łyk.

- Wtedy poderznięłam mu gardło - dokończyła Misza. Te słowa jak zwykle sprawiły jej ból.

Żadna z kobiet nie patrzyła na drugą. Arabka odstawiła szklankę na stolik ustawiony obok

kanapy. Stukot kostek lodu uderzających o szkło zabrzmiał niewiarygodnie głośno.

- To musiała być bardzo trudna decyzja.

- Nie uwierzyłybyś, jak bardzo - odparła Misza. - Nur był... nadal jest... prorokiem Allaha. Jest też moim bratem. Człowiekiem, któremu służył mój mąż. Kocham go z powodu Allaha, więzów krwi i męża. Nigdy nie byłaś kobietą żyjącą w naszym społeczeństwie, nie znasz naszej kultury. Nie widzisz setek lat uwarunkowań. To, co zrobiłam, było niemożliwe. Prędzej uciąłabym sobie rękę, niżbym jej na to pozwoliła.

- Ale zrobiłaś to.

- Nie sądzę - odparła cicho Misza. - I myślę, że ty również w to nie wierzysz.

Twarz Sary kryła się w mroku, otoczona aureolą podświetlonych włosów. Misza widziała tylko błysk w jej oczach i ślinę na ustach, gdy dziennikarka ponownie uniosła szklanke.

- Znowu sny Kahiny? - zadrwiła Sara, ale Arabka słyszała drzenie w jej głosie.

- Przyjechałam do ciebie w Damaszku z powodu snu, który zesłał mi Allah.

- Pamiętam.

- W takim razie na pewno przypominasz sobie również, że w tej wizji Allah powiedział mi, że ty i senator jesteście kochankami. Pamiętasz, że widziałam nóż i Sajjida, który próbował mu go wyrwać. A także to, że Hartmann przekształcił twoją nieufność w oddanie, podobnie jak przeobraził moje uczucia, by wykorzystać je przeciwko mnie.

- Mówiłaś wtedy mnóstwo różnych rzeczy - sprzeciwiła się Sara i wcisnęła się głębiej w kanapę, przyciągając kolana do piersi. - Wszystko to były symbole i dziwne obrazy, mogące znaczyć cokolwiek.

- Karzeł też był w tej wizji - upierała się Misza. - Musisz to pamiętać. Mówiłam ci o tym. Ten karzeł to był Gimli w Berlinie. Tam Hartmann zrobił to samo.

- Berlin... - wydyszała ochryple Sara. - To był zbieg okoliczności. Gregg to ciepły i współczujący człowiek. Znam go lepiej niż ty czy ktokolwiek inny. Widziałam go. Byłam z nim.

- Czy to zbieg okoliczności? Obie wiemy, kim jest. To ukryty as.

- Mówię ci, że to niemożliwe. Zrobili mu próbę krwi. A nawet jeśli to prawda, co by to zmieniło? Tak czy inaczej, Gregg walczy o prawa i godność wszystkich ludzi, w przeciwieństwie do ludzi takich jak Barnett, twój brat czy terroryści z DSS. Nie dałaś mi nic poza insynuacjami pod adresem Gregga.

- Allah zesłał mi sny...

- To nie Allah ci je zesłał - przerwała gniewnie Sara. - To tylko cholerna dzika karta. To chwile jasnowidzenia. Jest garstka asów mających tę zdolność. Widzisz urywki możliwych przyszłości, to wszystko. Małe, bezużyteczne wizje, niemające nic wspólnego z żadnym bogiem - ciągnęła Sara, podnosząc głos. Gdy dziennikarka znowu sięgnęła po szklanke, Misza zauważyła, że jej dłoń drży.

- O co go podejrzewałaś, Sara? - zapytała. - Dlaczego kiedyś go nienawidziłaś?

Misza sądziła, że Sara może temu zaprzeczyć, ale nie zrobiła tego.

- Myliłam się. Sądziłam... sądziłam, że mógł zabić moją siostrę. Były pewne zbiegi okoliczności, ale myliłam się. Myliłam się, Miszo.

- Widzę jednak, że boisz się tego, że mogłaś mieć rację, bo moje słowa mogą się okazać prawdą. Sny powiedziały mi, że... że zastanawiasz się nad tym od berlińskich wydarzeń. Że boisz się, ponieważ pamiętasz jeszcze jedno, co powiedziałam ci w Damaszku. Że to, co mi uczynił, zrobi również tobie. Czy nie zauważyłaś, jak twoje uczucia do niego zmieniają się,

kiedy jest blisko? Czy to nie skłania cię do zastanowienia?

- Niech cię szlag! - zawołała Sara i cisnęła szklanę na bok.

Naczynie uderzyło z łoskotem o ścianę. Dziennikarka wstała z kanapy.

- Nie masz prawa!

- Mam dowód - odpowiedziała cicho Misza, nie zważając na gniew Sary. Spojrzała spokojnie w pełne gniewu oczy kobiety.

- Sny - warknęła Sara.

- Coś więcej niż sny. Podczas walki w meczecie senatora postrzelono. Mam jego marynarkę. Kazałam poddać krew analizie. Jest zakażona wirusem dzikiej karty.

Dziennikarka potrząsnęła szaleńczo głową.

- Nie. Po prostu chcesz, żeby badania to wykazały.

- Albo Hartmann sfałszował wyniki. To nie sprawiłoby mu trudności, nieprawdaż? - nie ustępowała Misza. Bolały ją straszliwe cierpienia Sary, ale nie zamierzała dać za wygraną. Dziennikarka była kluczem. Tak mówiły wszystkie wizje.

- A to mogłoby znaczyć, że miałaś rację w sprawie siostry. I wyjaśniałoby to, co mnie spotkało. A także wydarzenia w Berlinie. Wyjaśniałoby wszystko, odpowiedziałyby na wszelkie twoje pytania.

- W takim razie idź do prasy ze swoim dowodem.

- Właśnie to zrobiłam. W tej chwili.

Sara zakołysała się w przód i w tył w akcie upartej odmowy.

- To nie wystarczy.

- Samo w sobie, być może. Będziemy potrzebowali wszystkiego, co możesz nam powiedzieć. Musimy poznać więcej faktów. Inne niezwykle incydenty, dalsze ofiary...

Sara nadal potrząsała głową, ale ramiona jej opadły, a gniew ją opuścił. Odwróciła się od Miszy.

- Nie mogę ci zaufać - rzekła. - Proszę, zostaw mnie.

- Spójrz na mnie, Saro. Ta sprawa uczyniła nas siostrami. Obie ucierpiałyśmy i pragnę sprawiedliwości za to, co nam uczyniono, a także za to, co spotkało twoją siostrę. Płacemy i krwawimy. Nie będzie dla nas uzdrowienia, dopóki nie poznamy prawdy. Saro, wiem, że obie potrafimy łączyć ze sobą miłość i nienawiść. Pod tym dziwnym, straszliwym względem jesteśmy krewniaczkami. Obie dałyśmy się zaślepić miłości. Kocham brata, ale jednocześnie nienawidzę jego czynów. Ty kochasz Hartmanna, ale pod jego fasadą kryje się inna, mroczniejsza wersja.

Nie możesz wystąpić przeciwko niemu, ponieważ w ten sposób przyznałabyś, że pomyliłaś się, oddając się mu. Ponieważ, gdy jest przy tobie, możesz myśleć tylko o tym Hartmannie, którego kochasz. Musiałabyś przyznać, że popełniłaś błąd. Że pokochałaś kogoś, kto cię wykorzystywał. Dlatego czekasz.

Odpowiedź nie padła. Misza skinęła z westchnieniem głową. Nie mogła powiedzieć nic więcej, dopóki każde jej słowo zadawało Sarze widoczną ranę. Ruszyła ku drzwiom, dotykając delikatnie po drodze pleców dziennikarki. Poczwała, że jej plecy drżą, targane bezgłośnym płaczem. Gdy Misza chwyciła kłamekę, usłyszała za plecami zdławiony głos Sary.

- Przysięgasz, że to jego marynarka? Masz ją?

Arabka nie zdejmowała dłoni z kłameki. Nie odważyła się odwrócić, nie pozwalała sobie poczuć nadziei.

- Tak.

- Ufasz Tachionowi?

- Kosmicie? Nie znam go. Gimli chyba go nie lubi. Ale jeśli ty mu ufasz, jestem skłonna zrobić to samo.

- Pod koniec tygodnia muszę być w Nowym Jorku. Spotkaj się ze mną w czwartek o szóstej trzydzieści wieczorem przed kliniką w Dżokerowie. Przynieś marynarkę. Damy ją Tachionowi do zbadania i przekonamy się, co się stanie. Przekonamy się, to wszystko. Czy to wystarczy?

Misza omal nie westchnęła głośno z ulgi. Chciało się jej śmiać, pragnęła uściskać mocno dziennikarkę i płakać razem z nią. Ale tylko skinęła głową.

- Będę tam. Obiecuję, Saro. Chcę tylko poznać prawdę, nic więcej.

- A jeśli Tachion powie, że to niczego nie dowodzi?

- Wtedy będę się musiała pogodzić z myślą, że sama jestem winna tego czynu. - Misza zaczęła przekreślać gałkę, ale zatrzymała się nagle. - Jeśli nie przyjdę, wiedz, że to on mnie powstrzymał. Będziesz musiała zdecydować, co robić dalej.

- To ci daje wygodną wymówkę - zauważyła ze wzgardą Sara. - Wystarczy, że się nie zjawisz.

- Chyba w to nie wierzysz, co?

Odpowiedziało jej milczenie.

Misza przekreśliła gałkę i wyszła.

Wtorek, 22.00

Poczwarka otworzyła drzwi swego gabinetu, ledwie zwracając uwagę na karła, który siedział na jej krześle, wspierając boscie stopy na blacie biurka. Zamknęła za sobą drzwi i odgłosy kolejnej ruchliwej nocy w Kryształowym Pałacu przeszły w odległy szum przypominający fale przyboju.

- Dobry wieczór, Gimli.

Karzeł czuł się paskudnie. Brak zaskoczenia w zdumiewających oczach Poczwarki pogorszył tylko jego stan.

- Powiniennem już się nauczyć, że ciebie nigdy nie da się zaskoczyć.

Rozciągnęła w uśmiechu mocno zaciśnięte wargi, widoczne na tle siatki mięśni i ścięgien.

- Już od kilku tygodni wiedziałam, że wróciłeś. To stare wieści. Jak twoje przeziębienie?

Gimli ciągnął nosem przez dłuższą chwilę. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu kolejny dreszcz, jakby po plecach spływały mu kostki lodu.

- Beznadziejnie. Okropnie się czuję. Już od dwóch dni mam gorączkę, której niczym nie mogę zbić. A teraz dowiedziałem się, że mam w organizacji kogoś, kto nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

Skrzywił się z żalem.

- Nie przeziębilibyś się, gdybyś nosił buty. Wiem też, że przyniosłeś mi paczkę.

- Kurwa - warknął Gimli. Zdjął nogi z blatu i zeskoczył z krzesła z grymasem złości. Od nagłego ruchu zakręciło mu się w głowie. Wsparł się dłonią o biurko, by zachować równowagę.

- Równie dobrze mógłbym wejść frontowymi drzwiami. Dlaczego nie darujemy sobie tej rozmowy i nie udzielisz mi odpowiedzi?

- Właściwie jeszcze nie słyszałam pytania. - Jej śmiech był krótki i pozbawiony wesołości. - W końcu wszystko ma swoje granice, a w ostatnich czasach miałam na głowie sprawy bardziej bezpośrednie niż polityka. Tu nie jest bezpiecznie dla żadnego dżokera, nie tylko dla ciebie. Spróbuję jednak zgadnąć - ciągnęła Poczwarka. - Twoja wizyta ma coś wspólnego z senatorem Hartmannem.



Gimli prychnął pogardliwie.

- Cholera, po wpadce w Berlinie nietrudno się tego domyślić.

- To tobie imponuje, jak dużo wiem, nie mnie. To ty musiałeś się zaszyć w dziurze przy East River, żeby nie capnęli cię federalni.

- To musiał być cholernie wielki przeciek. - Gimli potrząsnął głową, zatoczył się na biurko i ponownie podciągnął na krzesło. Zamknął na chwilę oczy. *Po powrocie musisz się znowu położyć do łóżka. Może tym razem obudzisz się zdrowy.*

- Boże, ależ paskudnie się czuję.

- Mam nadzieję, że to nie zaraźliwe.

- Kurwa, oboje już raz złapaliśmy najgorszego możliwego wirusa. - Karzeł skierował przekrwione oczy na Poczwarkę, łypiąc na nią z ukosa. - Jeśli już o tym mowa, pewnie już wiesz, że nasz senator Hartmann jest cholernym asem?

- Naprawdę?

Gimli prychnął pogardliwie.

- Ja też wiem parę rzeczy, moja pani. Na przykład to, że Downs zadawał dziwne pytania i że oboje często się ostatnio widujecie. Domyślam się, że myślicie o tym samym.

- A jeśli nawet, to co? Nawet gdybym przyznała, że masz rację, a wcale nie przyznaję, co ci do tego? Może dobrze by było, gdybyś został prezydentem? Wiele osób uważa, że Hartmann zrobił dla dzokerów więcej niż DSS.

Gimli zerwał się na te słowa, zapominając o chorobie. Gniew wyrzeźbił głębokie bruzdy w jego tłustej twarzy.

- Cholerna DSS była jedyną organizacją, która powie-działa pierdolonym natolom, że nie mogą nami pomiatać, zamiast stać grzecznie z kapeluszem w wyciągniętej trąbie, jak ten stary lizus Des. DSS zmusiła ich do zwrócenia na nas uwagi, nawet jeśli trzeba im było w tym celu przywalić w pysk. Nie zamierzam wysłuchiwać pierdoł o tym, że Hartmann jest od nas lepszy.

- W takim razie sugeruję, żebyś sobie poszedł.

- Jeśli to zrobię, nie zobaczysz tej pierdolonej paczki.

Widział, że Poczwarka zastanawia się nad jego słowami.

Uśmiechnął się, szybko zapominając o gniewie. *Tak jest, pragniesz to zobaczyć. Nasza Poczwarka tylko udaje obojętną. Wiedziałem, że będzie chciała ujrzeć to, co mam. Jeśli Misza będzie niezadowolona, pieprzyć ją.*

- Nigdy nie oddawałeś nic za darmo, Gimli. Jakiej ceny żądasz?

- Musisz opublikować te materiały. Razem z resztą tego, co mam, oraz wszystkim, co mogliście wygrzebać z Downsem. Wyeliminujemy Hartmanna z wyścigu.

- Dlaczego? Dlatego, że jest asem? A może to mała osobista zemsta Gimlego?

Karzeł zazgrzytał zębami, ale nagle kichnięcie zniszczyło obraz, który chciał zaprezentować.

- Dlatego, że to żądny władzy sukinsyn. Niczym się nie różni od innych chciwych, egoistycznych biurokratów rządowych, ale pomaga mu moc asa. Jest niebezpieczny.

- Jeśli pozbędziesz się Hartmanna, następnym prezydentem może zostać Leo Barnett.

- Cholera. - Gimli splunął. Poczwarka z niesmakiem popatrzyła na kapkę flegmy na dywanie. - Może zdobyć nominację, ale to jeszcze nie czyni go prezydentem. Barnett to tylko natol. jeśli okaże się to konieczne, można go będzie usunąć. W jego przypadku przynajmniej wiemy, czego się spodziewać. Hartmann to kurewska niewiadoma. Nie mamy pojęcia, na czym polega jego moc i w jaki sposób zamierzają wykorzystać.

- Na przykład może to i owo naprawić.

- Albo pogorszyć. Nie chodzi o mnie, tylko o dżoke- rów. Przyjrzyj się cholernym faktom, które tak wysoko cenisz. Wszystko, czego tknie Hartmann, ginie. On wykorzystuje ludzi. Żuje ich i wypluwa skorupę, gdy już utracą smak. Wykorzystał mnie i siostrę Nura, zamieszał w głowach moim ludziom w Berlinie. Jest jak butelka cholernej nitrogliceryny. Jeden Bóg wie, co jeszcze mógł zrobić.

Przerwał, czekając na sprzeciwy Poczwarcki. Nie wygłosiła ich jednak. Gimli wyciągnął z kieszeni zwitek chusteczek, wydmuchał nos i uśmiechnął się do kobiety.

- Ty również go podejrzewasz - ciągnął. - Kurwa, wiem o tym, bo w przeciwnym razie nie słuchałabyś mnie tak długo. Chcesz zobaczyć moje dowody, ponieważ mogą się okazać prawdziwe.

- „Dowody” to mgliste pojęcie. Przyjrzyj się Garyemu Hartowi. W jego przypadku nikt nie potrzebował „dowodów”. Wystarczył brak zaprzeczenia.

- Mam dowód. Dziką kartę we krwi. Krwi Hartmanna.

- Gimli wydobyl z pakunku marynarkę dostarczoną przez Miszę, rozłożył na blacie zakrwawiony ubiór i opowiedział o wszystkim Poczwarce.

Kiedy skończył, na przezroczystej skórze kobiety pojawił się lekki rumieniec. Siatka naczyń krwionośnych poszerzyła się pod wpływem podniecenia. Karzeł parsknął śmiechem, choć w głowie łupało go od gorączki.

- Oddam ci ją za darmo - oznajmił. Dopadł go atak spazmatycznego kaszlu. Gimli zczekał, aż mu przejdzie, i wytarł nos w rękaw. - Znasz mnie, Poczwarcko. Mogę być winny wielu rzeczy, ale nigdy nie kłamię. Nie kłamałem też, mówiąc, że to krew Hartmanna. Ale to nie wystarczy. Będzie trzeba czegoś więcej. Musisz coś w tej sprawie zrobić. Jesteś zainteresowana?

Ujęła tkaninę w palce, dotykając niepewnie plam krwi.

- Pozwól mi ją zachować - poprosiła. - Chcę, żeby mój znajomy przeprowadził testy. To może potrwać kilka dni. Jeśli krew rzeczywiście pochodzi od asa to, tak jest, będziemy mogli zawrzeć umowę.

- Tak też sądziłem - stwierdził Gimli. - To znaczy, że masz coś na Hartmanna, prawda? Uważaj na tę marynarkę. Później do ciebie wpadnę. Na razie muszę się położyć do cholernego łóżka i umrzeć.

Czwartek, 23.45

Wychodząc od Poczwarcki, Gimli dygotał z powodu gorączki. Pilnik przywiózł go tu na pace swej furgonetki, ale karzeł powiedział mu, że wróci do domu sam. „Pierdolić ryzyko - oznajmił mu. - Mam już dość zabawy w zbiega. Będę ostrożny.”

Opuścił Kryształowy Pałac przez tylne drzwi. W zaułku cuchnęło starym piwem i gnijącą żywnością. Nagle dopadły go mdłości. Wsparł się jedną ręką o pojemnik na śmieci i zwymiotował gwałtownie. Już pierwsza fala całkowicie opróżniła jego żołądek. Następnie przyszła kolej na puste wymioty. Nie poczuł się potem lepiej. Nadal dręczył go ucisk w brzuchu, mięśnie miał obolałe, jakby go pobito, a gorączka narastała z każdą chwilą.

- Niech to chuj - wydyszał i splunął sucho.

Żałował, że nie posłuchał Pilnika i nie pozwolił mu zczekać. Odepchnął się od pojemnika i ruszył w stronę magazynu, trzymając się za brzuch. *Sześć cholernych przecznic. To nie jest aż tak daleko.*

Gdy przemierzył cztery, jego żołądek znowu się zbuntował. Tym razem było znacznie gorzej. Nie miał w nim zupełnie nic. Wlókł się przed siebie, starając się ignorować mdłości.

- Jezu! - zawołał nagle. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie niespodziewanego cierpienia. Opadł na kolana za szeregiem puszek na śmieci, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć powietrza w przerwach między atakami suchych wymiotów, jego wnętrzności płonęły, głowę wypełniał mu ból, a ubranie nasiąkło potem. Walił pięściami w beton, licząc na to, że zewnętrzny ból złagodzi wewnętrzną udrkę, aż wreszcie z rozerwanej skóry popłynęła krew.

Było coraz gorzej. Wszystkie mięśnie jego ciała jednocześnie ogarnęły spazmy. Gimli wydał z siebie przenikliwy, nieludzki wrzask. Toczył się po chodniku, dręczony drgawkami. Mięśnie zbuntowały się. Wierzgał nogami, zaciskał pięści, wyginał rozpaczliwie plecy. Kość ramienna pękła pod naciskiem kurczących się mięśni - dwugłowego i trójgłowego. Jej wyszczerbiony koniec przebił skórę, wysuwając się na zewnątrz. Kość poruszała się przed jego oczami niczym żywa istota, poszerzając ranę. Jelita paliły go, jak polane kwasem, ale wydawało się, że ból słabnie. To przeraziło go najbardziej. Zaczynał się wstrząs.

Spazmy skończyły się nagle. Leżał skurczony w pozycji płodu. Nie był w stanie się ruszać. Próbował zmusić się do mrugnięcia powiekami albo zgięcia palca, ale całkowicie utracił kontrolę nad własnym ciałem. Przez chwilę myślał, że atak się kończy. Ktoś go znajdzie, ktoś z pewnością usłyszał jego krzyki. Mieszkańcy Dżokerowa wiedzieli, co robić w takim przypadku. Zabiorą go do Tachiona.

Ale to jeszcze nie był koniec. Złamana ręka leżała tuż przed jego otwartymi, nieruchomymi oczami. Zauważył, że koniec sterczącej z ramienia kości zaczyna się topić jak świeca postawiona na piecu. Czuł, że jego ciało się zapada, zamienia się w płyn. Czuł jakieś ruchy w swym wnętrzu. Jego skóra rozděła się niczym wielki balon wypełniony wrzątkiem do granic wytrzymałości. Spróbował krzyknąć, ale nie mógł nawet otworzyć ust. Jego oczy również odmówiły posłuszeństwa. Pojemniki na śmieci, mur, jego złamana ręka - wszystko to rozpląnęło się i wypaczyło, gdy świat pogrążył się w mroku, a potem zniknęło. Nie był w stanie złapać oddechu. Poczul, że się dusi, pozbawiony dostępu do powietrza.

*Dobrze, że przynajmniej Poczwarzka dostała marynarkę. Zaskoczyła go ta ostateczna myśl.*

Przypominający rozdzieranie papieru dźwięk zaskoczył ciekawskiego szczura, który podkrađł się do niezwykłego wzgórka. Gimli nic nie widział ani nie słyszał, ale poczul nagły żar, jakby w kręgosłup wciskano mu rozżarzony pogrzebacz. Pośrodku jego pleców pojawiło się małe rozdarcie, które powoli się powiększało. Ciało odrywało się od niego długimi, wystrzępionymi pasami.

W tej bezdźwięcznej, bolesnej pustce Gimli zadawał sobie pytanie, czy już umarł. Czy to właśnie było wiekuiste piekło, czekające według Miszy wszystkich dżokerów. Krzyczał w myślach, przeklinając Miszę, Hartmanna, dziką kartę i cały świat.

Na szczęście z czasem stracił przytomność.

Środa, 0.45

Sen na jawie ogarnął ją, gdy tylko dotarła do drzwi magazynu. Graffiti spłynęło, a drzwi stopiły się niczym ołowiana figurka ciśnięta do ognia.

W ciemności za nią rozległ się śmiech. Śmiech Hartmanna. W powietrzu przed jej oczami zatańczyły sznurki marionetki. Misza wzdrygnęła się trwożnie. Sznurki zacisnęły się i uniosły.

Zobaczyła garbatą postać dyndającą na ich końcach. Wstrząsnęła nią złośliwość, którą wyczytała w rysach twarzy. Twarzy pryszczatego chłopaka, ale przepojonej złem do tego stopnia, że sam jego oddech wydawał się trucizną. Pamiętała tę twarz ze swych wizji. Uśmiech młodzieńca był wypaczony i okrutny, a błyszczące oczy zapowiadały ból. Stworzenie gapiło się na nią, kołyszając się na sznurkach, milczące i nieruchome. Nad wszystkim unosił się grzmiący śmiech Hartmanna.

Wizja zniknęła. Widziała przed sobą drzwi oraz własną rękę, gotową przekręcić klucz.

- Allahu - wydyszała, potrząsając głową. Ten ruch nie osłabił dręczącego ją lęku. Obrazy ze snu nadal jej towarzyszyły. Słyszała łomotanie własnego serca.

Zamek otworzył się z trzaskiem i Misza popchnęła drzwi, otwierając je szeroko.

- Gimli? - zawołała. - Halo?

W magazynie było ciemno jak w jej wizji, a do tego pusto.

Głowę kobiety wypełniał łoskot jej tętna. Bała się, że demon ze snu może powrócić, wyłonić się z ciemnych zakamarków, z wirujących plam światła, które pojawiły się raptownie przed jej oczami wraz z nadejściem zawrotów głowy.

Drzwi gabinetu otworzyły się szeroko. Nagły blask lamp omal nie oślepił Arabki. W wejściu pojawił się jakiś niewyraźny cień. Kobieta krzyknęła.

- Przepraszam, Miszo - rzekł Fistaszek. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ją poklepać po ramieniu, ale ona odsunęła się od niego i dłoń zawisła krępująco w powietrzu. Zmarszczyła brwi, biorąc się w garść.

- Gdzie jest Miller? - zapytała ostro.

Dżoker opuścił rękę, spoglądając ze smutkiem na brudną, betonową podłogę. Wzruszył niezgrabnymi, masywnymi ramionami.

- Nie wiem. Powinien wrócić już kilka godzin temu, ale nie widziałem go. Pilnik, Wideo i Całun tu byli, ale sobie poszli. Powiedzieli, że wrócą później. Nie chcieli zostać ze mną.

- O co chodzi, Fistaszek? Nieraz już zostawałeś sam.

- Dzwonił Poliakov. Kazał powtórzyć Gimlemu, że Mackie tu jest. To znaczy w Stanach. Mówił, że papierowy ślad to tylko oficjalne, rządowe dokumenty. Miałem przekazać Gimlemu, że boi się, że Hartmann o wszystkim wie.

- Czy Gimli o tym słyszał?

- Jeszcze nie. Dopiero mam mu powiedzieć. Zostaniesz ze mną?

- Nie. - Wypowiedziała to słowo zbyt szybko i brutalnie, ale nie zamierzała łagodzić odmowy wyjaśnieniami. - Rozmawiałam z Sarą. Przyjechałam po marynarkę. Zawieziemy ją do Tachiona.

- Nie możesz dostać marynarki. Gimli zabrał ją ze sobą. Musisz poczekać.

Kobieta wzruszyła tylko ramionami, czym zaskoczyła Fistaszka, który spodziewał się ataku wściekłości.

- Idę do siebie. Przyjdę później.

Zwróciła się ku wyjściu.

- Wcale cię nie nienawidzę - dobiegł ją zza pleców głos Fistaszka. - Nie nienawidzę cię z tego powodu, że tobie poszczyściło się z dziką kartą, a mnie nie. Ani nawet za to, co ty i Nur robicie ludziom takim jak ja. Myślę, że mam więcej powodów do nienawiści od ciebie, ale nie nienawidzę cię, bo myślę sobie, że ten cholerny wirus mógł ci zrobić większą krzywdę niż mnie.

Misza zeszytniała, stojąc odwrócona plecami do niego.

- Ja też cię nie nienawidzę, Fistaszek - zapewniła. Czowała się zmęczona długim dniem, ucieczką, rozmową z Sarą i nie określonym lękiem, który nie przestawał jej towarzyszyć. Nie miała sił na

spory ani wyjaśnienia.

- Nur nienawidzi dzokerów. Barnett również. Czasami nawet dzokerzy nienawidzą swych braci. A ty, Gimli i Rosjanin chcecie skrzywdzić jedyne go człowieka, który chce coś w tej sprawie zrobić. Nie rozumiem tego. - Fistaszek westchnął. - Nawet jeśli jest asem, to co z tego? Może to wyjaśnia, dlaczego tak bardzo się stara pomóc dzokerom. Ja też starałbym się zachować to w tajemnicy, gdybym tylko mógł. Wiem, jak ludzie traktują tych, którzy są inni. Gapią się na nich i próbują udawać, że to nie ma znaczenia, mimo że ma.

- Nie słuchałeś tego, co mówiliśmy? - Misza odwróciła się z westchnieniem. - Hartmann manipuluje ludźmi. Bawi się swoją mocą. Wykorzystuje ją dla własnych celów. Krzywdzi i zabija innych z jej pomocą.

- Nadal nie jestem pewien, czy w to wierzę - upierał się Fistaszek. - A nawet gdyby tak było, czy to, co głosiliście z Nurem, nie zabijało ludzi? Czy nie staliście się przyczyną śmierci setek dzokerów?

Łagodny ton, z jakim wypowiadał te słowa, czynił zawartą w nich prawdę jeszcze boleśniej.

- Fistaszek... - zaczęła, ale nagle umilkła. Pragnęła skryć się za zasłoną, ukryć swe uczucia za czarną tkaniną. Nie mogła jednak tego zrobić. Mogła jedynie tu stać, niezdolna odwrócić wzroku od jego smutnej, pomarszczonej twarzy. - Jak to możliwe, że mnie nie nienawidzisz?

Niemalże się uśmiechnął.

- Kiedyś cię nienawidziłem. Przynajmniej dopóki cię nie poznałem. Hej, twoje społeczeństwo cię wypaczyło. To samo dzieje się ze wszystkimi, tak? Widzę, że walczysz przeciwko temu i w głębi duszy nasz los cię obchodzi. Gimli mówił też, że nie podobało ci się wiele z tego, co głosi Nur. - Tym razem uśmiechnął się naprawdę, niepewnie rozsuwając brzegi stwardniałych warg. - Może powinienem pójść z tobą, żeby bronić cię przed Stygmatem.

Nie mogła nie odwzajemnić jego uśmiechu.

- Czyż to nie wzruszające? - rozległ się głos, tak całkowicie niespodziewany, że oboje odwrócili się błyskawicznie. Słowa wypowiedziano z silnym niemieckim akcentem. Garbaty, anemiczny młodzieniec przeszedł przez ścianę magazynu, jakby była mgłą. Misza natychmiast rozpoznała jego szczupłą, okrutną twarz, dostrzegła obłęd czający się w głębi oczu. Nagły puls strachu, który wypełnił jej ciało, był wystarczającym przypomnieniem. W dodatku chłopak zachowywał się z taką samą drapieżną swobodą, jak postać wisząca na sznurkach Hartmanna.

- Kahino - rzekł szybkim, roztrzęsionym głosem. Gdy tylko usłyszała ten tytuł, uświadomiła sobie, że to koniec. Chłopak oddychał jak nerwowy koń pełnej krwi, rozciągając usta w krzywym uśmiešku. *Hartmann wie. Udało mu się nas wytropić.* - Już czas.

Mogła jedynie potrząsnąć głową.

Fistaszek podszedł bliżej, stając między intruzem a Miszą. Młodzieniec skierował na niego ironiczne spojrzenie.

- Gimli nie opowiedział ci o Maćkiem? Kurde, Mackiego wszyscy się boją jak cholera. Szkoda że nie widziałeś oczu tej suki z Frakcji w chwili, gdy ją załatwiłem. Mam moc asa najlepszą ze wszystkich...

W chaotycznym bredzeniu Mackiego pobrzmiwała nuta niecierpliwości i satysfakcji. Sięgnął po Miszę. Fistaszek spróbował odtrącić jego rękę, ale ta nagle zamigotała i zaczęła wibrować. Rozległo się gwałtowne buczenie.

Fontanna krwi trysnęła niewiarygodnie wysoko. Odcięta w przedramieniu ręka Fistaszka upadła na podłogę.

Dzoker gapił się przez chwilę z niedowierzaniem na czerwony płyn wypływający z kikuta.

Potem zaczął krzyczeć. Nogi ugięły się pod nim i osunął się na podłogę. Mackie ponownie uniósł rękę. Dobiegło niskie buczenie piły mechanicznej.

- Nie! - zawołała Misza.

Mackie zawahał się, spoglądając na nią. Zrobiło się jej niedobrze na widok przyjemności malującej się na jego twarzy. Taki sam wyraz widziała u swego brata oraz u Hartmanna w snach zesłanych przez Allaha.

- Nie rób tego - błagała. - Proszę. Pójdę z tobą. Zrobię, co zechcesz.

Mackie oddychał głośno i ochryple. Emocje przebiegały przez jego zapadniętą twarz z szybkością rzucanych przez chmury cieni. Leżący na podłodze Fistaszek jęczał.

- To cholerny dzoker. Myślałem, że życzysz im wszystkim śmierci. Mogę go wykończyć dla ciebie. Zrobię to szybko. To będzie dobra śmierć. Jego twarz nagle przybrała poważny wyraz. Widoczny na niej obłęd przypominał żądzę.

- Proszę.

Mackie nie odpowiedział. Misza oderwała pas tkaniny z obrębka sukni i uklękła obok rannego, szamoczącego się na podłodze dzokera.

- Wybacz, Fistaszek - wyszeptła. Owinęła tkaninę wokół jego ramienia, zacisnęła ją mocno, aż krwotok ustał, a potem zawiązała supeł. - Nigdy cię nie nienawidziłam. Po prostu nie potrafiłam się zdobyć na to, by to powiedzieć.

Mackie dotknął jej ramienia. Misza wzdrygnęła się trwożnie. Straszliwa vibracja zniknęła, ale zacisnął palce tak mocno, że aż krzyknęła z bólu.

- Idziemy - rozkazał i spojrzał na Fistaszka. - Kiedy spotkasz Gimlego, powiedz mu, że Mackie mówi *Auf Wiedersehen* - dorzucił swobodnym tonem.

Potem znowu się uśmiechnął, i pociągnął Miszę, by ta stanęła na nogi.

- Nie bój się - rzekł. - To będzie świetna zabawa. Naprawdę świetna.

Jego szalony śmiech wbił się w nią niczym tysiąc odprysków szkła.

Czwartek, 3.40

W zaułku za Kryształowym Pałacem potężna postać opatulona w czarny płaszcz podeszła do mężczyzny w masce klauna. Zakapturzona twarz ukrywała się za czymś, co wyglądało jak maska szermiercza.

- W porządku, senatorze. Wszyscy goście już sobie poszli. Personel też. Lokal jest pusty. Poczwarka siedzi na górze z Downsem - oznajmiła zjawą cichym, kobiecym głosem, co oznaczało, że Kuriozum pozostaje dziś pod kontrolą osobowości Patti. O ile Gregg dobrze to rozumiał, dzoker był kiedyś trzema osobami, dwoma mężczyznami i kobietą połączonymi długotrwałym romansiem. Dzika karta stopiła ich w jedno jestestwo, choć unia była niekompletna i płynna. Pod płaszczem coś nieustannie się poruszało. Ciało Kuriozum nigdy nie pozostawało w spoczynku. Gregg widział je kiedyś bez osłony tkaniny i ten widok głęboko go zaniepokoił. Kuriozum nieustannie przechodziło (czy może „przechodzili”, bo mówiąc o sobie, z reguły używało liczby mnogiej) nieustanne metamorfozy. Było Patti, Johnem i Evanem, ale nigdy nie żadnym z nich w całości, nigdy się nie stabilizowało, zawsze toczyło wewnętrzną walkę. Kości trzeszczały, ciało się wypuklało i wypaczało, rysy twarzy pojawiały się i znikwały.

Ten nieustanny proces był bardzo bolesny. Lalkarz wiedział o tym najlepiej. Kuriozum samym swym istnieniem dostarczało mu emocjonalnej strawy, której łaknął. Świat dzokera był jednym

strumieniem bólu, a potrójne matryce jego umysłu łatwo popadały w ponurą, mroczną depresję.

Jedynym stałym elementem życia Kuriozum była siła jego ciągle się przeobrażającego ciała. Pod tym względem przerastało Carnifexa i mogło nawet dorównywać Mordecaiowi Jonesowi albo Braunowi. Było też bardzo lojalne wobec senatora Hartmanna.

W końcu wiedziało, że Gregg jest współczującym człowiekiem, którego obchodzi los dzokerów. Głosem rozumu, sprzeciwiającym się fanatykom, takim jak Leo Barnett. Senator był jedną z bardzo niewielu osób, które zapytały Kuriozum o jego dzieje i ze współczuciem wysłuchały jego długiej opowieści. Gregg mógł być natolem, ale często spotykał się z dzokerami, rozmawiał z nimi, ścisnął ich dłonie, a potem dotrzymywał politycznych obietnic.

Kuriozum zrobiłoby wszystko, o co poprosiłby senator Hartmann. Ukryty w głębi Gregga Lalkarz, aż podskakiwał z radości na samą myśl. Dzisiejsza noc... dzisiejsza noc zapowiadała się rozkosznie.

Lalkarz miał już dość ostrożności, nawet jeśli Gregg się z nim nie zgadzał.

Senator zepchnął swą ukrytą osobowość do zakamarków umysłu.

- Dziękuję, Patti. - Za pośrednictwem Lalkarza wyczuł ukłucie przyjemności w umyśle dzokera. Kuriozum lubiło, kiedy rozpoznawał poszczególne osobowości. - Wiesz, co robić dalej?

Kuriozum skinęło głową. Pod lewą połą płaszcz uwypukliło się ospale coś, co mogło być piersią.

- Obserwuję lokal. Nikt nie może wejść ani wyjść poza tą dwójką, o której pan mówił. Prosta sprawa.

Słowa stały się niewyraźne, gdy kształt ust ukrytych pod szermierczą maską nagle się zmienił.

- Świetnie. Jestem ci wdzięczny.

- Nie ma sprawy, senatorze. Wystarczy, że pan poprosi.

Gregg uśmiechnął się. Zmusił się do poklepania Kuriozum po ramieniu. Pod spodem coś się poruszało. Stłumił drżenie i zacisnął lekko dłoń.

- Jeszcze raz dziękuję. Wrócę za jakieś dwadzieścia minut.

Ukryty w jego jaźni Lalkarz roześmiał się, czując wdzięczność i lojalność promieniujące od dzokera. Gregg poprawił maskę klauna. Kuriozum oparło się o tylne drzwi. Łańcuch zamykający je od środka pękł ze zgrzytem metalu. Gregg popchnął osuwające się drzwi i wszedł do środka.

- Zamknięte.

Poczwarka stała w drzwiach z groźnie wyglądającym pistoletem w rękach. Za jej plecami Gregg widział Downsa.

- Spodziewaliście się mnie - oznajmił cicho senator. - Wysłaliście mi wiadomość.

Zdjął maskę klauna. Choć kobieta nie była jego lalką, wyczuwał w niej strach mieszający się z nieustępliwością. Ten gorzki metaliczny smak podniecił Lalkarza. Gregg zachichotał, wkładając w ten dźwięk odrobinę swego niepokoju.

Skąd te obawy?

To powinno być oczywiste. Nawet informacje przekazane przez Wideo nie powiedziały nam wszystkiego. Gimli jej nie ufał. Niektóre fakty przed nią ukrywał. Mają to, co mieli Gimli i Kahina.

A ty masz mnie.

Gregg dobrze to zaplanował. Wideo już od lat była jego znakomitą, posłuszną lalką. Choć jednak miał przesłane przez nią informacje oraz fakty, które uzyskał od rządowych agencji wywiadowczych, nadal poruszał się w półmroku. Jeśli popełni choć jeden błąd, będzie po

wszystkim.

Gregg zawsze był ostrożny, zawsze starał się wybierać bezpieczny kurs. Nie czuł się komfortowo, podejmując ryzyko, a to, co teraz robił, z pewnością było ryzykowne. Odnosił jednak wrażenie, że od czasu Syrii i Berlina wydarzenia zmuszają go do wyboru tej ścieżki.

- Przykro mi, że nie mogłem się zjawić, gdy lokal był czynny - ciągnął niemal przeproszającym tonem. - Uważałem, że nasze spotkanie powinno mieć charakter prywatny.

Świetnie. Pozwól im myśleć, że negocjuję z pozycji siły, przynajmniej przez chwilę. Musisz się dowiedzieć, co mają.

Poczwarka opuściła pistolet. Mięśnie na jej przezroczystym ramieniu i klatce piersiowej poruszyły się. Suknia, którą miała na sobie, nie osłaniała zbyt wiele. Wydęła czerwone wargi widoczne na tle szklistego ciała.

- Senatorze - wydyszała z fałszywym akcentem, którego Gregg nie lubił. - Sądzę, że wie pan, o czym ja i pan Downs chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Gregg zaczerpnął powietrza. Uśmiechnął się.

- Chcecie rozmawiać o asach - stwierdził. - Zwłaszcza o tych, które, że tak powiem, są ukryte w rękawie i zamierzają tam pozostać. Chcecie się dowiedzieć, co mógłbym dla was zrobić. Z reguły zwie się to szantażem.

- Ojej, to bardzo brzydkie słowo. - Poczwarka cofnęła się do gabinetu. Zaciśnęła usta, a powieki osadzonych w czaszce oczu, wyglądających jak wyjęte z filmu grozy, zamrugały.

- Proszę wejść.

Gabinet Poczwarki był luksusowo urządzone. Biurko z polerowanej dębiny, eleganckie, obite skórą fotele, drogi dywan leżący pośrodku parkietu, drewniane regały, na których równo ustawiono książki, których tytuły wypisano płatkami złota na grzbietach. Siedzący w fotelu Downs wiercił się nerwowo. Na widok Gregga uśmiechnął się do niego niepewnie.

- Cześć, senatorze. Jak leci?

Gregg nie raczył mu odpowiedzieć. Przeszył dziennikarza ostrym spojrzeniem. Niski mężczyzna pociągnął nosem i z powrotem zapadł w fotel. Poczwarka przeszła obok niego, ciągnąc za sobą zapach perfum, i zajęła miejsce za biurkiem. Następnie wskazała na jeden z pustych foteli.

- Proszę usiąść, senatorze. Rozmowa nie powinna potrwać długo.

- A o czym właściwie mamy mówić?

- O tym, że zastanawiam się, czy powinnam zawiadomić opinię publiczną, że jest pan asem. Jestem pewna, że byłby pan z tego bardzo niezadowolony.

Gregg spodziewał się, że Poczwarka będzie mu groziła. Z pewnością była przyzwyczajona do tego, że podobna taktyka przynosi jej sukcesy, nie wątpił też, że jest przekonana, iż w tym miejscu fizyczna przemoc jej nie grozi. Kącikiem oka obserwował dziennikarza. Podczas podróży dookoła świata Downs udowodnił, że jest nerwowym człowiekiem. Teraz również nie mógł zapanować nad podnieceniem. Na jego czole perlił się pot, zacierał dłonie i wiercił się w fotelu. Poczwarka mogła przyjmować to wszystko ze spokojem, ale nie on.

*To świetnie. Lalkarz ożywił się nagle. To był błąd, że go nie wzięliśmy. Pozwól mi to zrobić teraz.*

Nie. Jeszcze nie. Zaczekaj.

- Jest pan asem, senatorze, nieprawdaż? - zapytała Poczwarka, udając nonszalancję.

Wiedział, że spodziewają się, że temu zaprzeczy. Dlatego uśmiechnął się tylko.

- Tak - odpowiedział łagodnie.



- Sfałszował pan badania krwi?
- I mogę to zrobić znowu, ale nie sądzę, bym miał być do tego zmuszony.
- Widzę, że jest pan bardzo pewien swej mocy.

Gregg patrzył raczej na Downsa niż na Poczwarzkę i dostrzegł niepewność reportera. Znał jego myśli. *Nadający telepata? Panowanie nad umysłem, jak u Tachiona? Co, jeśli nie zdołamy nad nim zapanować?*

Gregg uśmiechnął się spokojnie, by dodać wiarygodności tym błędnym przypuszczeniom.

- Pani przyjaciel Downs nie jest tak pewny siebie - zauważył. - Wszyscy w Dżokerowie wiedzą o tym, że wczorajszej nocy znaleziono w zaułku pustą skórę Gimlego. Zastanawia się nad tym, czy mogłem mieć z tym coś wspólnego.

- To był błąd. Gregg był równie zaskoczony (i zachwycony) tą wiadomością jak wszyscy, zauważył jednak, że twarz reportera utraciła wszelkie kolory. - Zastanawia się, czy dzięki swej mocy asa mógłbym zmusić was do współpracy.

- Nie mógłby pan. A cokolwiek spotkało Gimlego, nie miało to nic wspólnego z panem. Nie bezpośrednio - odparła z emfazą Poczwarzka. - Bez względu na to, co myśli Downs. Domyślałem się, że ma pan moc panowania nad umysłami, ale o raczej ograniczonym zasięgu. Nawet gdyby nakazał nam pan teraz powiedzieć „tak”, nie byłby pan potem w stanie wymusić naszego posłuchu.

*Ona wie!* - Wycie Lalkarza poniosło się echem w głowie Gregga. *Musisz ją zabić. Proszę. To będzie smaczne. Moglibyśmy zmusić do tego Kuriozum...*

*Tylko podejrzewa* - zapewnił Gregg.

Co za różnica? Każ ich zabić. Mamy lalki, którym sprawi to przyjemność. Każ ich zabić i nie będziemy się musieli martwić.

Jeśli ich teraz zabiję, będziemy mieli kolejne tropy do ukrycia. Misza nie chciała nic powiedzieć. Nadal nie wiemy, jakie dowody dała Poczwarzce. Gimli sam się usunął ze sceny, ale w pamięci Wideo był jeszcze jeden człowiek. Rosjanin. I Sara.

Pogarda Lalkarza była ostra jak cierń. *Zamknij się. Nad Sarą możemy zapanować. Poczwarzka na pewno poczyniła jakieś plany na wypadek swojej śmierci. Nie możemy podjąć takiego ryzyka.*

Wewnętrzna debata trwała tylko chwilę.

- Jestem politykiem. Nie mieszkamy we Francji, gdzie dzika karta jest modna. Toczę walkę, w której Leo Barnett użyje jako narzędzia nienawiści wobec dżokerów. Widziałem już, jak insynuacje zniszczyły karierę Gary ego Harta. Nie pozwolę, by to samo spotkało mnie. Niemniej niektórzy mogliby przyrzec się waszym dowodom i zacząć się zastanawiać. Mógłbym stracić głosy. Ludzie powiedzieliby, że sfałszowałem badania krwi, zaczęliby z podejrzliwością spoglądać na wydarzenia w Syrii i w Berlinie. Nie mogę dopuścić do tego, by spekulacje zaszkodziły moim szansom.

- A to znaczy, że możemy dojść do porozumienia - stwierdziła z uśmiechem Poczwarzka.

- Albo i nie. Myślę, że nadal mamy pewien problem.

- Senatorze, prasa ma swoje obowiązki... - zaczął Downs, ale szybko umilkł, gdy Hartmann przeszył go miazdzącym spojrzeniem.

- „Aces!” raczej trudno byłoby uznać za poważną prasę. Ujmę to tak: Pana problem polega na tym, że nie wie pan, do czego jestem zdolny. Mogę pana zapewnić, że to, co wydarzyło się w Berlinie i w Syrii, nie było przypadkiem. Że właśnie w tej chwili policja aresztuje garstkę współpracowników Gimlego. A także, że jeśli zapragnę pana znaleźć, nigdzie się pan przede mną nie ukryje. - Zwrócił głowę ku drzwiom. - Mackie! - zawołał.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł uśmiechnięty Mackie, podtrzymujący potykającą się kobietę spowitą w długi płaszcz. Zerwał z niej płaszcz, odsłaniając nagie, zakrwawione ciało. Następnie popchnął kobietę tak mocno, że aż runęła na dywan tuż przed przerażoną Poczwardką.

- Jestem rozsądnym człowiekiem - oznajmił senator, gdy Poczwardka i Downs gapili się na jęczącą postać. - Proszę tylko o to, byście się nad tym zastanowili. Pamiętajcie, że w razie potrzeby mogę przedstawić ujemne wyniki badań krwi. Weźcie pod uwagę fakt, że nie życzę sobie usłyszeć nawet najmniejszego szeptu ani plotki. I uświadomcie sobie, że pozwoliłem wam żyć dlatego, że jesteście najlepszymi źródłami informacji, jakie znam. Słyszycie o wszystkim, co się dzieje. Tak mnie przynajmniej zapewniacie. Znakomicie. Skorzystajcie ze swoich źródeł, bo jeśli usłyszę jakieś pogłoski, zobaczę artykuł w „Aces!” albo zorientuję się, że ludzie zadają dziwne pytania, jeśli ktoś mnie zaatakuję, zaszkodzi mi albo poczuję się choćby trochę zagrożony, będę wiedział, do kogo się zgłosić.

Downs gapił się na Miszę. Szczeka mu opadła. Poczwardka wcisnęła plecy w fotel za biurkiem. Spróbowała spojrzeć Greggowi w oczy, lecz nie zdołała tego dokonać.

- Rozumiecie, to ja was wykorzystam, a nie na odwrót - ciągnął senator. - Czynię was odpowiedzialnymi za milczenie i moje bezpieczeństwo. Jesteście cholernie dobrzy w tym, czym się zajmujecie. Zajmijcie się identyfikacją moich wrogów i powstrzymywaniem ich. Jestem mściwy i niebezpieczny. Wszystkie obawy Gimlego i Miszy są prawdziwe. Jeśli ktokolwiek inny pozna moją tajemnicę, uznam, że to wasza wina. Jeśli postanowicie zostać bohaterami, możecie zaszkodzić mojej kampanii prezydenckiej, ale na tym koniec. Niczego mi nie udowodnicie. W końcu nigdy nikogo nie skrzywdziłem ani nie zabiłem osobiście. Gdy już będzie po wszystkim, nadal pozostanę na wolności i bez trudu was znajdę. A potem potraktuję was tak, jak zawsze traktuję wrogów.

Lalkarz chichotał pożądliwie w jego umyśle. Gregg uśmiechnął się do Poczwardki i do Downsa. Następnie uściskał Mackie - go, który spoglądał na niego z zapałem.

- Baw się dobrze - rzekł mu senator. Skinął lekko głową do Poczwardki w nonszalanckim, mrozącym krew w żyłach geście, a potem wyszedł z gabinetu. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, czekając, aż usłyszy dźwięk mocy Mackiego.

Potem pozwolił Lalkarzowi dotrzeć do niezwykłego, jaskrawego obłądzenia młodzieńca. Prawie nie musiał go popędzać.

Mackie uklękł i wziął w ramiona głowę Miszy. Poczwardka i Downs nie ruszali się z miejsca.

- Miszo - zanucił. Kobieta tworzyła oczy i as westchnął na widok bólu, który ujrzał w jej oczach. - Taka dobra, mała męczennica - rzekł jej. - No wiecie, nie chciała mówić, bez względu na to, co jej robiłem - oznajmił z podziwem pozostałym. W jego oczach pojawił się błysk. - Mogłaby zostać świętą. Milczała w obliczu cierpienia. Cóż za skubana szlachetność. - Uśmiech, którym obdarzył Miszę, był niemalże czuły. - Najpierw wziąłem ją jak chłopca, zanim skaleczyłem ją po raz pierwszy. Masz teraz coś do powiedzenia, Miszo?

Obróciła powoli głowę z boku na bok.

Chłopak uśmiechnął się przelotnie. Oddychał głęboko i szybko.

- Z pewnością wcale nie nienawidzisz dzokerów - ciągnął, wpatrując się w jej twarz. - Nie możesz ich nienawidzić, bo w przeciwnym razie byś mówiła.

W jego słowach pobrzmiwał dziwny smutek.

- *Szahida*.

To słowo było szeptem wydostającym się z jej obrzękłych ust. Mackie pochylił się bliżej, by je usłyszeć.

- To po arabsku - poinformował dwoje pozostałych.
- Nie rozumiem tego języka.

Jego ręce zaczęły donośnie buczeć. Przesunął palcami po piersiach Miszy w geście przypominającym pieszczotę. Popłynęła krew. Kobieta krzyknęła ochryple. Downs zakrztusił się, po czym zwymiotował. Poczwarła zachowywała stoicki spokój aż do chwili, gdy Mackie przesunął dłoń na brzuch swej ofiary i jelita wylały się na zewnątrz.

Kiedy skończył, wstał i strzepnął krew z przodu swego ubrania.

- Senator powiedział, że wiecie, jak posprzątać bałagan. Mówił, że wiecie wszystko i znacie wszystkich.

Zachichotał, piskliwie i szaleńczo, a potem zaczął gwizdać melodię z „Opery za trzy grosze” Brechta.

Ruszył swobodnie przed siebie, przeszedł przez ścianę i zniknął.

Czwartek, 19.35

Sara stała na rogu South Street, naprzeciwko kliniki w Dżokerowie. Z Kanady nadciągnął chłodny front atmosferyczny i z niskich, niesionych wiatrem chmur spadały pierwsze zwilżające chodnik krople.

Ponownie zerknęła na zegarek. Misza spóźniła się już o ponad godzinę. *Będę tam. Obiecuję, Saro. Jeśli nie przyjdę, wiedz, że to on mnie powstrzymał.*

Sara zakłęta pod nosem. Gdybyż tylko wiedziała, co myśleć i co czuć.

Będziesz musiała zdecydować, co robić dalej.

- W czym mogę pomóc, pani Morgenstern?

Poderwała się nagle, słysząc głęboki głos Tachiona. Kosmita o szkarłatnych włosach przyglądał jej się z głęboką troską na twarzy. W innej sytuacji jego mina wydałaby się Sarze komiczna. Podczas niedawnej wyprawy nieraz dawał jej do zrozumienia, że uważa ją za atrakcyjną. Parsknęła śmiechem, nienawidząc histerycznej nuty, którą w nim słyszała.

- Nie, doktorze, nic mi nie jest. Po prostu... czekałam na kogoś. Miałyśmy się tu spotkać...

Tachion skinął z powagą głową, nie odwracając zdumiewających oczu od Sary.

- Byłaś podenerwowana. Obserwowałem cię z kliniki. Pomyślałem sobie, że może mógłbym w czymś pomóc. Na pewno niczego nie potrzebujesz?

- Na pewno. - Jej odpowiedź była nieco zbyt ostra i głośna. Sara zmusiła się do uśmiechu, by złagodzić ten efekt. - Naprawdę. Dziękuję za propozycję. I tak miałam już iść. Jeśli do tej pory się nie zjawiła, to chyba już nie przyjdzie.

Skinął głową, przyglądając się z uwagą kobiecie. Po chwili wzruszył ramionami.

- No cóż - mruknął. - Cieszę się, że znowu się spotkaliśmy. Nie musimy stać się sobie obcy tylko dlatego, że podróż się skończyła, Saro. Może umówimy się któregoś dnia na kolację?

- Dziękuję, ale... - Podekscytowana kobieta przygryzła dolną wargę. Chciała tylko, by Tachion sobie poszedł. Musiała się zastanowić, musiała stąd iść. - Może gdy następnym razem odwiedzę Nowy Jork?

- Trzymam cię za słowo.

Tachion pochylił głowę niczym wiktoriański lord, gapiąc się dziwnie na Sarę, a potem się odwrócił. Śledziła go wzrokiem, gdy przechodził przez ulicę, wracając do kliniki. Z nieba siąpił już miarowy deszczyk. Zapadał zmierzch. Zapalano latarnie. Rozejrzała się w obie strony. Jakiś

dżoker o twardej skorupie i osobliwie wypaczonych nogach zszedł z chodnika, kryjąc się na ganku. Zaśmieczone rynsztoki powoli wypełniała woda.

Ta sprawa uczyniła nas siostrami.

Sara zeszła z chodnika i zamachała do parkującej nieopodal taksówki. Natolski taksówkarz przyjrzał się jej we wstecznym lusterku. Jego spojrzenie było chamskie i bezpośrednie. Kobieta odwróciła twarz.

- Dokąd pani jedzie? - zapytał z wyraźnym słowiańskim akcentem.

- Na górny Manhattan - odparła. - Muszę się stąd wydostać.

Że to, co uczynił mnie, zrobi również tobie. Czy nie zauważyłaś, jak twoje uczucia do niego zmieniają się, kiedy jest blisko? Czy to nie skłania cię do zastanowienia?

Ach, Andreo. Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Sara siedziała w taksówce, obserwując przez mokre od deszczu okno wieżowce Manhattanu.

## Więzy krwi

### III

Na ekranie komputera pojawił się schematyczny plan Manhattanu między Osiemdziesiątą Siódmą a Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą. Tachion nacisnął klawisz, wyświetlając kolejny, szeroki na trzydzieści kwartałów, sektor. Przyjrzał się dwóm czerwonym punktom. Gdyby tylko miał naprawdę duży ekran, na którym zmieściłby się plan całej wyspy. Doszedł do wniosku, że bez względu na wciąż nowe kryzysy pojawiające się w szpitalu musi spędzić kilka godzin na pokładzie Maleńkiej. Jej elektroniczne i biologiczne obwody były znacznie doskonalsze od wszystkiego, co można było znaleźć na Ziemi. Z pewnością pomoże mu zlokalizować to tajemnicze, nieuchwytnie źródło wirusa dzikiej karty.

Victoria Queen, szefowa oddziału chirurgii, weszła do gabinetu bez pukania.

- Tachion, nie pociągniesz tak dłużej. Chodzisz z dzokerami na patrole, pracujesz z pacjentami, prowadzisz badania i biegasz za swoim wnuczkiem, bawiąc się w supertatę.

Potarł kciukami szczypiące oczy, po czym zastukał knykциями w ekran.

- Odpowiedź gdzieś tu się kryje. Muszę ją tylko odnaleźć. Osiemnaście nowych przypadków dzikiej karty w ciągu czterech dni. To niewytłumaczalne. Nic takiego nie powinno się zdarzyć. Miałem nadzieję, że to będzie coś prostego. Nieodkryty dotąd pakiet zarodników. Ale lokalizacja dowodzi, że to niemożliwe. Zadzwoiłem do Krajowej Służby Meteorologicznej i przysłali mi taśmy z zapisami pogody z dwóch ostatnich tygodni. Może dzięki temu znajdę klucz. Powodem nowej epidemii może być jakaś klimatyczna albo sejsmiczna anomalia.

- To bezsensowne i beznadziejne. Marnujesz czas, którego i tak masz za mało.

- NIECH TO SZLAG! - Wstał z krzesła, wspierając się na blacie. - Cholerna prasa depcze mi po piętach, domagając się jakichś odpowiedzi, które uspokoiłyby czytelników. Jak długo mogę się ograniczać do pocieszających frazesów, zanim wybuchnie panika na wielką skalę? Tylko pomyśl, jak to wykorzysta Barnett.

Złapała go za nadgarstki i przycisnęła jego ręce do biurka. Następnie pochyliła się ku niemu, aż ich nosy niemal się zetknęły.

- Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za wszystko, co dzieje się na całym cholernym świecie! Za wojnę gangów w Dżokerowie i prawicowych świrów kandydujących na prezydenta! Ani za dziką kartę.

- Mam odpowiedzialność w genach. We krwi i w kościach. Zapisywała się tam przez tysiąc pokoleń. To moje miasto i moi ludzie. MÓJ WNUK, MOJA KLINIKA I, TAK JEST, MÓJ WIRUS!

- NIE BĄDŹ Z NIEGO TAKI KUREWSKO DUMNY!

- WCALE NIE JESTEM DUMNY!

Wyrwał ręce z jej uścisku i zaczął miotać się po gabinecie.

- ZACHOWUJESZ SIĘ AROGANCKO I IRRACJONALNIE!

- CO WIĘC SUGERUJESZ? KOMU POWINIENEM PRZEKAZAĆ

ODPOWIEDZIALNOŚĆ? NA CZYJE BARKI ZWALIĆ BRZEMIEŃ NIENAWIŚCI I POCZUCIA WINY? TAK JEST, MOIM LUDZIOM, A W GRUNCIE RZECZY WSZYSCY MNIE NIENAWIDZĄ!

Oparł głowę o ścianę, targany gwałtownym łkaniem.

Twarz kobiety stwardniała. Victoria napełniła szklankę w łazience, szarpnęła Tachiona za ramię, odwracając go do siebie, i chlusnęła mu wodą w twarz.

- Dość tego! Weź się w garść! - warknęła, podkreślając każde słowo gwałtownym potrząśnięciem.

Takizjanin kaszlnął, otarł twarz i wziął drżący oddech.

- Dziękuję. Już wszystko w porządku.

- Wracaj do domu, prześpij się i zacznij wreszcie przyjmować pomoc od innych, do cholery.

- A Blaise? Co mam z nim zrobić? - Potarł twarz. - To on jest w moim życiu najważniejszy, a ja go zaniedbuję.

- Tachion, twój problem polega na tym, że w twoim życiu wszystko jest najważniejsze - skwitowała, wychodząc z gabinetu.



Rutynowa appendektomia. Nie powinien był marnować na to czasu, ale Tommy był siostrzeńcem Starego Pana Świerszcza, a dawnych przyjaciół nie wolno ignorować. Tach zrzucił jadownicę żółtozielony fartuch, uczesał krótko obcięte włosy, skrzywił się i ruszył na obchód wszystkich czterech kondygnacji kliniki.

Światła w szpitalu przygaszono już na wieczór. Z sal dobiegały stłumione dźwięki telewizorów, ciche rozmowy, a z jednej z nich ciche, pozbawione nadziei łkanie. Po chwili wahania wszedł do środka. Skierowała się ku niemu twarz o potężnych żuwaczkach, owalnych, nieprzejrzystych oczach i siwych, zwisających w strąkach włosów. Pod szpitalną koszulą kryło się wynędzniałe kobiece ciało.

- Słucham panią?

Zerknął na kartę. Pani Willma Banks. Siedemdziesiąt jeden lat. Rak trzustki.

- Och, doktorze, tak mi przykro. Nie chciałam... Właściwie nic mi nie jest. Nie chciałam zawracać panu głowy... ale ta pielęgniarka była taka obcesowa....

- Wcale nie zawraca mi pani głowy. Która pielęgniarka?

- Nie chcę na nikogo kablować ani sprawiać niepotrzebnych kłopotów.

Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie robi, ale Tachion wysłuchał jej cierpliwie. Wymagał od swego personelu uprzejmej obsługi nawet najbardziej uciążliwych pacjentów. Jeśli ktoś pogwałcił tę podstawową zasadę, chciał o tym wiedzieć.

- Dzieci nigdy mnie nie odwiedzają. Niech mi pan powie, co za pożytek z dzieci, jeśli porzucają nas wtedy, gdy ich najbardziej potrzebujemy? Pracowałam codziennie przez trzydzieści lat, żeby wszystko im zapewnić. Mój syn, Reggie, jest maklerem, pracuje w dużej firmie na Wall Street, ma dom w Connecticut i żonę, która nie może na mnie patrzeć. Byłam w tym domu tylko raz, kiedy wyjechała z moimi wnukami.

Tachion nie wiedział, co jej powiedzieć. Siedział, ściskając jej dłoń, i słuchał. Przyniósł jej szklankę soku żurawinowego z dyżurki pielęgniarek, a potem powiedział personelowi kilka ostrych słów i ruszył dalej.

Kawa, którą pił przez cały dzień, podchodziła mu do gardła, kwaśna od soków żołądkowych. No cóż, zgaga zgadzała się z jego nastrojem. Otworzył drzwi izolatki i wszedł do środka. Nie bardzo mógł sobie pozwolić na marnowanie miejsca, ale żaden pacjent nie zasługiwał na to, by dzielić salę ze straszliwym, pogrążonym w śpiączce stworzeniem, które tu leżało. Pracował z ofiarami dzikiej karty już od czterdziestu lat i sądził, że jest całkowicie uodporniony na ich widok, ale wypaczony mężczyzna spoczywający na łóżku pozbawił go złudzeń.

Uwięzione w połowie transformacji z człowieka w aligatora ciało Jacka wykręcało się pod wpływem nienaturalnych napięć wywołanych przez interakcję dzikiej karty z wirusem AIDS. Kości czaszki wydłużyły się, tworząc pysk aligatora. Niestety, żuchwa nie uległa podobnemu przeobrażeniu. Mała i bezbronna, zwisała pod ostrymi jak brzytwa zębami górnej szczęki. Podbródek był pokryty zarostem, a na tułowiui skóra przechodziła w łuski. Granice między tymi obszarami miały barwę gniewnej czerwieni i sączyła się z nich surowica.

Tachion zdrzął. Miał nadzieję, że pogrążony w głębokiej śpiączce Jack nie czuje bólu. W przeciwnym razie z pewnością cierpiałby straszliwie. Przez wiele lat wiernie i cierpliwie odwiedzał w klinice C.C. Ryder. O ironio, teraz ona wyzdrowiała i zaczęła nowe życie, a wierny, cierpliwy Jack zajął jej miejsce.

- Och, Jack, kim jest kochanek, który cię opłakuje? A może umarł, zanim ciebie spotkała ta śmierć za życia? - wyszeptał Tachion.

Wziął do ręki historię choroby i przeczytał własne notatki, mówiące, że wirus AIDS nie czyni postępów, gdy Jack ma postać aligatora.

Wspomnienia walały się wokół niego niczym liście, czarne i uschnięte. Tachion chodził pośród nich, dręczony poczuciem winy. Był tu intruzem. W głębi umierającego umysłu Jacka kryła się słaba iskierka światła. Ludzka dusza. Jeszcze głębiej znajdował się punkt, którego dotknięcie całkowicie zmieni kanalarza w aligatora. Wystarczy, że Takizjanin go dotknie, a transformacja stanie się całkowita.

Był lekarzem. Miał obowiązek ratować życie. Nad Jackiem Robicheaux wisiał wyrok śmierci. Obecność dzikiej karty, wmontowanej w kod jego komórek, powstrzymywała obecnie wirusa AIDS. Ale to tylko odwlekało nieuniknione. Prędzej czy później Jack umrze.

Chyba że...

Chyba że Tachion przekształci go na dobre. Jeśli przestanie być człowiekiem, nie będzie mógł umrzeć na ludzką chorobę.

Ale czy warto było ratować życie za taką cenę? Czy miał prawo to zrobić?

Jak powinienem postąpić, Jack? Czy mogę zdecydować za ciebie, skoro sam nie możesz tego zrobić?

Czy to różniło się od wyłączenia respiratora? *Och, tak.*

Później, oparty o ścianę windy, zjeżdżającej powoli na parter, ponownie zastanowił się nad słowami doktor Queen, która radziła mu, by poprosił o pomoc innych. *Ale wiele z tych rzeczy mogę zrobić jedynie ja. A ja jestem tylko jeden. I wszyscy domagają się kawałka mnie.* Potrząsnął głową jak zmęczony kucyk i wszedł do pokoju badań.

Omam nie wpadł na pielęgniarkę, która wbiegła do pomieszczenia z ampułką atutu. *Trzydzieści dwa* - pomyślał, dodając do listy kolejną pozycję, po czym wszedł za zasłonę, podążając za kobietą. Finn przygotowywał już zastrzyk. Tachion podszedł do wózka, by pośpiesznie przebadac pacjentkę. Jej rozpięta bluzka odsłaniała skórę o intensywnej barwie kawy z mlekiem. Do klatki piersiowej przypięto elektrody, a pielęgniarka trzymała maskę tlenową na ustach i nosie kobiety. Jej skórę pokrywał śluz o niezdrowym wyglądzie, sączący się ze wszystkich

porów skóry i zwilżający ubranie. Potrafił zachować profesjonalny dystans do tego stopnia, że nie poznał pacjentki, dopóki nie uniósł jej powieki. Pielęgniarka zdjęła maskę, by zrobić mu miejsce, i...



Dręczony mdłościami, odepchnął na bok sole trzeźwiące i wyrwał się trzymającym go ręką.

- Co się stało?

- Doktorze?

- Wypij to.

- Zostawcie mnie! - Wstał, czepiając się ramienia pielęgniarki jak pijany, złapał Finna za nadgarstek i odepchnął na bok rękę ze strzykawką. - CO TY WYPRAWIASZ, DO LICHA?

- To... to nasza jedyna szansa... to dzika karta.

- NIEMOŻLIWE! ZNAM TĘ KOBIETĘ. ONA JEST ASKĄ!

Dżoker cofnął się przed szaleństwem malującym się na twarzy Tachiona. Takizjanin wznowił badanie. Finn podszedł bliżej i złapał go mocno.

- Marnujesz czas! Odbierasz jej jedyną szansę! To dzika karta!

- Wykluczone! Wirusa skonstruowano w ten sposób, by opierał się mutacji. To stabilna aska. Nie może się ponownie zarazić.

- Popatrz na nią!

Zdyszany Tach przesunął wzrok na sączące śluzem ciało Ruletki. Potem znowu spojrzał na strzykawkę.

- Daj mi ją!

Palce pośliznęły mu się na cuchnącej mazi i igła tylko drasnęła żyłę. Kobieta krzyknęła. - Wytrzyjcie to.

Choć jednak bardzo się starali, śluz sączył się szybciej, niż byli w stanie go usuwać. Wreszcie Tachionowi udało się wbić igłę. *Przodkowie. Niech się uda. Niech tym razem się uda!*

Ostatnio jednak na jego modlitwy odpowiadało wyłącznie milczenie. Ruletka upodabniała się do tysiącletniej mumii. Cała wilgoć wypływała z jej ciała. Nagle rozchyliła wargi, gapiąc się na twarz Takizjanina.

- Tachion - wyszeptała ochryple. - Miałam zamiar wrócić. Do ciebie. - Wessała powietrze w płuca z dźwiękiem umierającego akordeonu. - Czekałeś na mnie?

- Tak.

- Nie kłam. Umieram. Już nie musisz się obawiać mojego powrotu.

- Ruletko.

Przechodziły go ciarki, gdy jej dotykał, ale zmusił się do dotknięcia policzkiem jej policzka. Jego łzy mieszały się ze śluzem.

- Zniszczyłeś moje życie. Ty i twoja choroba. Wreszcie dokończyła robotę. Bardzo się... z tego... cieszę.

Po wielu minutach Finn odciągnął Tacha od ciała i nakrył je prześcieradłem. Kosmitę przeszył nagły ból. Jego kolana uderzyły w zimne kafelki podłogi. Zasłonił usta zaciśniętymi w pięści dłońmi, tłumiąc łkanie. Częściowo z żalu, a częściowo z poczucia winy, bo wcale na nią nie czekał...

Ale przede wszystkim z przerażenia.





- Dzisiaj naprawdę się wściekłem, ale pomyślałem o tym, co mi powiedziałaś, i nie zapanowałem nad ich umysłami.

- To bardzo dobrze. - Tachion wpatrzył się we wnętrze lodówki, jakby szukał oświecenia w kartonie zsiadłego mleka oraz misce pełnej pleśniejących brzoskwiń. - O co poszło? - Chłopiec zeszywniał. - Och, Blaise, jestem z ciebie bardzo dumny. - Tachion uściskał wnuka i sztywność opuściła drobne ciało. - Zauważyłem też, że mówisz po angielsku. Jestem taki zmęczony, że zajęło mi to chwilę.

Blaise uniósł rękę i dotknął pięścią ust dziadka. Tachion ją pocałował.

- Wujek Claude nie był zbyt dobrym człowiekiem, prawda? - zapytał Blaise, zmieniając nagle temat.

- Nie był, ale można zrozumieć jego motyw, przynajmniej częściowo. Nie jest łatwo być dzokerem.

- A co ty byś zrobił, gdybyś nim był?

- Zabiłbym się.

Blaise wlepił wzrok w niemożliwą do odczytania miną, która pojawiła się na twarzy jego *k'ijdad*.

- To głupie. Wszystko jest lepsze od śmierci.

- Nie mogę się z tobą zgodzić. Zrozumiesz, jak będziesz starszy.

- Wszyscy mi to mówią. - Blaise wydał usta, wyszedł z kuchni i rzucił się na sofę. - Jack, Durg, Mark, Maleńka. Jeśli ludzie, Takizjanie i statki zgadzają się ze sobą w tej sprawie, to pewnie musi być prawda. Ale nie chodzi mi o obrzydliwego dzokera, takiego jak Gil. Co, gdybyś był taki, jak Jube, Poczwarzka albo Ernie?

- Nadal nie potrafiłbym z tym żyć. - Tachion usiadł na kanapie obok chłopca. - Moja kultura idealizuje doskonałość. Defektywne dzieci zabija się zaraz po narodzeniu, a nawet normalne osobniki są sterylizowane, jeśli okaże się, że nie mają wystarczającego potencjału genetycznego.

- To znaczy, że być normalnym jest tak samo złe, jak być... defektywnym? - zapytał chłopiec, zacinając się przy nieznanym słowie.

- Niezupełnie. Zbyt losowy genotyp również może być niebezpieczny. Mnie omal nie wysterylizowano, ponieważ w moich żyłach płynęła krew Sennari, ale uznano, że moje nadzwyczajne zdolności mentalne przeważają nad tym nieprzewidywalnym czynnikiem i innymi... wadami.

- Czy masz na Takis małego chłopca?

- Nie.

Tachion zastanawiał się przez chwilę, czy nasienie, które zostawił w banku na ojczystej planecie, nadal istnieje, czy może zwolennicy Zabba je zniszczyli? Albo - jeszcze gorzej - Taj zapłodnił nim jakąś kobietę. O ironio, zaawansowana technicznie kultura Takizjan czuła fundamentalną nieufność do sztucznego zapłodnienia i sztucznych macic. W tym drugim przypadku miało to pewien sens, ponieważ wśród telepatów lepiej było, jeśli dziecko tworzyło więź z matką, ale sam akt seksualny nie miał właściwie żadnego usprawiedliwienia.

Poza oczywistym.

*Dziesięć miesięcy! Dziesięć miesięcy bez seksu.*

Przegnął z umysłu tę nieprzyjemną myśl, ponownie skupiając się na wnuku. Blaise nie wiedział bardzo wielu rzeczy o takizjańskiej kulturze. Czy jednak warto go było ich uczyć?

Nigdy nie będzie mógł zaprezentować go rodzinie. Chłopiec był plugastwem. Do tego takizjańska kultura zawierała bardzo wiele elementów, którym lepiej było nie przyglądać się zbyt blisko. Jak wytłumaczyć jedenastoletniemu chłopcu, że krwawe wendety, kontrola rozmnażania, ciągłe napięcie i oczekiwania, którym niemal nie sposób sprostać, będące nieodłącznymi elementami życia psionicznego władcy, nie są czymś romantycznym i cudownym, lecz raczej śmiertelnie groźnym, i to właśnie one skłoniły jego dziadka do ucieczki na obcą planetę?

- Opowiedz mi jakąś historię.

- Skąd ci przyszło do głowy, że znam jakieś historie?

- Sam jesteś kimś raczej baśniowym niż realnym. Musisz je znać.

- Dobra. Opowiem ci o tym, jak Hambizan oswoił pierwszy statek. W dawnych czasach...

- Nie.

- Nie? - Mina Blaisea sugerowała, że uważa dziadka za idiotę. - Ach, oczywiście. Dawno, dawno temu. - Tachion uniósł pytająco brew. Usatysfakcjonowany chłopiec skinął głową i przytulił się do ramienia dziadka. - Tak dawno temu, że nawet najstarsi *Kibrzen* skłamałoby, gdyby powiedzieli, że pamiętają te czasy, nasi przodkowie byli zmuszeni podróżować między gwiazdami w statkach zbudowanych ze stali. Co gorsza, nie wolno im nawet było budować tych statków, ponieważ Alaa, oby ich ród usechł, podpisał umowę z Wielkimi Kupcami, zakazującą tego wszystkim Takizjanom. Dlatego bogactwo Takis wpływało w kosmos i znikало w kieszeniach chciwej Sieci.

- Co to jest Sieć?

- Ogromne imperium handlowe, jego członkami jest sto trzydzieści różnych gatunków. Pewnego dnia Hambizan, który był znanym astronomem, unosił się pośród obłoków w miejscu narodzin gwiazd, aż nagle ujrzał zdumiewający widok. Jakieś ogromne, niewiarygodne sylwetki igrały pośród obłoków kosmicznego pyłu niczym morświny w falach albo motyle latające z kwiatka na kwiatek. Hambizan padł na pokład, ściskając głowę, którą wypełnił cudowny śpiew. Jego asystenci umarli z radości i szoku, albowiem ich umysły nie były w stanie wchłonąć myśli owych stworzeń. Ale H ambizan pochodził z Ilkazamów i w związku z tym był zrobiony z twardszego materiału. Zapanował nad strachem i bólem, a potem uderzył jedną myślą. Jednym rozkazem. A jego moc była tak wielka, że całe stado ucichło i zebrało się wokół maleńkiego metalowego statku niczym wielorybie oseski. H ambizan wybrał przywódcę stada i ubrany w kombinezon próżniowy przeszedł na szorstką powierzchnię statku. Zaciekawiony ZaZam, ojciec statków, utworzył w swym ciele otwór i wpuścił mężczyznę do środka.

- A potem Hambizan zapanował nad umysłem statku i kazał się zawieźć do domu! - zawołał Blaise.

- Nie. Hambizan śpiewał, a ZaZam słuchał, aż wreszcie obaj sobie uświadomili, że po tysiącu tysięcy lat samotności wreszcie odnaleźli brakujące połówki swych dusz. ZaZam zdał sobie sprawę, że dzięki przewodnictwu tych niezwykłych małych stworzeń Tshb'kaukab będą mogli porzucić stadne życie koczowników i stać się wielkimi. Natomiast Hambizan zrozumiał, że zdobył przyjaciela.

Tach pochylił się i pocałował Blaisea w czubek głowy. Chłopiec uniósł wzrok, przygryzając z namysłem dolną wargę.

- Dlaczego H'ambizan nie zrozumiał, że teraz może walczyć z Siecią? Dlaczego zrozumiał coś głupiego?

- Dlatego, że to jest opowieść o tęsknocie i żalu.

- Czy to ma być subtelne?

-Tak.

- A czy H'ambizan i ZaZam walczyli z Siecią?

-Tak.

- A czy wygrali?

- W pewnym sensie.

- Czy to wszystko prawda?

- W pewnym sensie.

- Czy to nie tak, jak być trochę w ciąży?

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

Blaise uniósł nos z zarozumiałą miną.

- Kiedyś, gdy nie będę taki zmęczony, opowiem ci o manipulacjach genetycznych i o trwającym cały eon programie hodowlanym, dzięki któremu mamy statki takie, jak Maleńka.

- To znaczy, że nie było dzikich statków?

- Były, ale nie tak inteligentne, jak sugeruje ta opowieść.

- Ale... ale...

Tach położył palec na ustach dziecka.

- Później. Burczy ci w brzuchu tak bardzo, że bałem się, że twój żołądek wyskoczy ci z ust i ugryzie mnie w ramię.

- Nowa moc dzikiej karty! Mordercze żołądki!

Tachion odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Chodź, mały *kukucie*. Kupię ci kolację.

- W McDonaldzie.

- Och, cóż za radość.



Nauczyciel nie zrezygnował.

Ta myśl była tak szokująca, że Tachion stanął jak wryty.

- Nauczyciel nie zrezygnował! - powtórzył na głos z narastającym zdumieniem.

Podbiegł do drzwi gabinetu i otworzył je szeroko. Dita odwróciła się i popatrzyła na niego niespokojnie.

- Nauczyciel nie zrezygnował! - zawołał Takizjanin. - Dito, jesteś cudowna. - Policzki kobiety poróżwiałały, gdy pocałował ją i zakręcił nią po całym pomieszczeniu, tańcząc chwiejną polkę. Następnie opuścił ją z powrotem na krzesło, a sam osunął się na kanapę, dysząc ciężko. Całe tygodnie ciężkiej, nieprzerwanej pracy nie pozostały bez śladu. - Muszę zobaczyć tego niezwykle człowieka na własne oczy. Wróć za godzinę.

Usłyszał głos Blaisea, wysoki jak pisk młodego ptaka, jak dźwięk srebrnego fletu, a także niższe tony głosu mężczyzny, brzmiące jak wiolonczela albo fagot. Słyszał w tym głosie ciepło, poczucie bezpieczeństwa, a także coś niepokojąco znajomego. Takizjanin przeszedł z małego przedpokoju do salonu. Blaise siedział za stołem w jadalni. Przed nim leżała sterta książek. Starzejący się, masywnie zbudowany mężczyzna o siwiejących włosach i lekko melancholijnej minie utrzymywał chłopca na miejscu stępionym palcem wskazującym. Mówił ze

śpiewnym akcentem, przypominającym akcent Tachiona.

- Och. Ideale... nie!

Ciemne oczy Wiktora Demianowa spojrzały w liliowe oczy kosmity. Na twarzy Rosjanina ironia mieszała się z lekką złościwością.

- *K'ijdad*, to jest George Goncherenko. - Chłopiec wreszcie zauważył, że jego dziadek zeszytywniał niepo-kojąco. - Czy coś się stało? - zapytał słabym głosem.

- Nie, dziecko - zapewnił George/Wiktor. - Twój dziadek po prostu zdziwił się, że tak dobrze się ze sobą porozumiewamy. Bardzo przeraziłeś wielu moich poprzedników.

- Ale nie ciebie - zauważył Blaise. - On nie boi się niczego - dodał, zwracając się do Tachiona.

*Mnie lepiej się bój!* - przekazał telepatycznie Takizjanin agentowi KGB.

Nie. Obaj mamy się nawzajem w garści.

- Blaise, wracaj do pokoju. Muszę porozmawiać z tym panem.

- Nie.

- RÓB, CO CI KAŻĘ!

- Idź, dziecko. - George/Wiktor uspokoił chłopca delikatnym dotknięciem dłoni. - Wszystko będzie dobrze.

Blaise mocno uściskał starszego mężczyznę, a potem wybiegł z pokoju.

Tachion przemknął na drugi koniec pomieszczenia i nalał sobie brandy. Ręce drżały mu ze strachu i szoku.

- To ty! Myślałem, że już zniknąłeś z mojego życia! Powiedziałeś mi, że przechodzisz w stan spoczynku. Że wszystko skończone. Kłamałeś.

- I kto tu mówi o kłamstwie! Ukryłeś przede mną informację, której potrzebowałem. Straciłem przez ciebie wszystko.

- Nie... nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Och, daj spokój, Tancerzu. Dobrze cię wyszkoliłem. Celowo ukryłeś przede mną informację o Blaisie. Wiesz o pracy wywiadu wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że to bardzo ważny fakt.

*Hamburg. Rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty. Tani, ale czysty pensjonat. Wiktor wydzielał załamanemu Takizjaninowi alkohol oraz kobiety w niewielkich dawkach, szkoląc go i przesłuchując. Po kilku latach wykopali go stamtąd, by coraz bardziej się staczał. Przekazał im wszystko, co wiedział, ale to nie wystarczyło. Ta tajemnica dręczyła go bardzo długo, ale trzydzieści lat to mnóstwo czasu i zaczął już wierzyć, że nic mu nie grozi. Ale potem, na ostatnim etapie wyprawy zorganizowanej przez Światową Organizację Zdrowia, otrzymał telefon i oficer prowadzący z KGB wrócił do jego życia.*

- Moi zwierzchnicy dowiedzieli się o potencjale i możliwościach Blaisea, ale ja o niczym nie słyszałem, choć wyszkoliłem cię i prowadziłem. Nie uznali tego za dowód mojej głupoty, lecz wyciągnęli jedyny możliwy wniosek.

Rosjanin uniósł brwi, skłaniając byłego ucznia do odpowiedzi.

- Uznali, że pracujesz dla drugiej strony. Że zostałeś podwójnym agentem.

Wiktor skrzywił się nieco, usłyszawszy tę teatralną frazę. Przełknięta brandy eksplodowała w gardle Tachiona. Wydawało mu się, że konieczne są jakieś wyjaśnienia, jakieś usprawiedliwienia.

- Chciałem go chronić przed tobą.

- Mam wrażenie, że jestem najmniej ważnym z jego problemów.

- Nie rozumiem. Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Nic. Nieważne.

- Czy to miał być komentarz na mój temat?

- Dobry Boże, nie. Chciałem tylko wskazać, że żyjemy w niebezpiecznych czasach.

- Wiktor, szukają cię? - zapytał Tachion, nie wiedząc, czy mówi o przełożonych Rosjanina z KGB, czy o CIA.

- Nie. Wszyscy myślą, że nie żyję. Pozostał tylko spalony samochód i dwa zwęglone, niemożliwe do rozpoznania ciała.

- Zabiłeś ich.

- Nie rób takiej zszokowanej miny, Tancerzu. Ty również jesteś zabójcą. Łączy nas ze sobą więcej, niż ci się zdaje. Na przykład to dziecko.

- Chcę, żebyś zniknął z mojego życia!

- Zostanę w nim na stałe. Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli.

- Zwolnię cię!

Głos Demianowa powstrzymał Tacha, nim ten zdążył postawić trzy kroki.

- Zapytaj o zdanie Blaisea.

Takizjanin przypomniał sobie ich uścisk. W ciągu wielu tygodni, które minęły od chwili, gdy przemycił tu chłopca z Francji, nigdy nie doczekał się od niego tak czułego gestu. Blaise najwyraźniej pokochał posiwiąłego Rosjanina. Gdyby Tach naprawdę go usunął, jak wpłynęłoby to na jego stosunki z chłopcem? Osunął się na kanapę i ukrył twarz w dłoniach.

- Och, Wiktor, dlaczego?

Właściwie nie liczył na odpowiedź i nie otrzymał jej.

- Aha, skoro od tej chwili mamy być przyjaciółmi, powinienes poznać moje prawdziwe nazwisko. Przyjaciele nie okłamują się nawzajem. Nazywam się Georgij Władimirowicz Poliakow. Możesz mi mówić George. Wiktor nie żyje. Zabiłeś go.

## Uzależnienie od miłości

PAT CADIGAN

Widok na miasto z Wieży Asów zapierał dech w piersiach, a nawet mógł dawać natchnienie. Wyrzucona na brzeg po południu, Jane wyglądała bezmyślnie przez okno w kuchni. Frustracja i przygnębienie jak zwykle tańczyły walca w jej żołądku. Za jej plecami pracownicy kuchni skrzętnie kończyli prace nad wydawaniem popołudniowego lunchu. Wkrótce przejdą do wieczornej kolacji. Wszyscy uprzejmie ignorowali fakt, że nawet nie tknęła sałatki, którą dla niej przygotowali. Ostatnio miała kiepski apetyt. Przestała nawet zabierać ze sobą spakowane posiłki, udając, że zje je później, choć w rzeczywistości ukradkiem je wyrzucała.

Wiedziała, że ludzie szepczą, iż ma anoreksję, co raczej nie było najlepszą rekomendacją do pracy w miejscu takim, jak Wieża Asów. Wyglądało to jak kiepski żart z Hiram, który dał jej awans, przesuując ją z kelnerki na kierowniczkę zmiany. Sam Hiram też ostatnio zachowywał się dziwnie, ale z pewnością nie tracił na wadze. Niedawno wrócił z wyprawy dookoła świata zorganizowanej przez Światową Organizację Zdrowia. Hiram Worchester, ambasador dobrej woli. To brzmiało znacznie lepiej niż Jane Dow, pionek mafii.

Wspomnienia czasu spędzonego z Rosemary wpędzały ją w jeszcze głębszą depresję. Tęskniła za nią czy raczej tęskniła za osobą, za jaką ją uważała, i za pracą, którą dla niej wykonywała. Wszystko to brzmiało tak pięknie i szlachetnie. Przeciwdziałanie narastającej hysterii zwróconej przeciwko asom i dzokerom, napędzanej przez oszalałych ekstremistycznych polityków i kaznodziejów. Rosemary była w jej oczach prawdziwą bohaterką, spowijała ją świetlista aureola. Jane bardzo potrzebowała bohaterów po wszystkich nieprzyjemnych wydarzeniach związanych z masonami, zwłaszcza po strasznym, makabrycznym zamordowaniu Dinochłopca. Sama również otarła się o śmierć, ale nie wywarło to na niej zbyt wielkiego wrażenia, pomijając tylko spotkanie z niskim, przerażającym złym człowieczkiem zwanym Astronomem. Potem rzadko o tym myślała, a Rosemary stała się odtrutką na truciznę Astronoma.

Aż do tego, co wydarzyło się w marcu. Wtedy zaczęła myśleć, że może lepiej by było, gdyby Hiram pozwolił jej spaść z wieżowca.

Miała instynktowną zdolność do wiązania się z nieodpowiednimi ludźmi. Być może to właśnie była jej prawdziwa moc asa, a nie zdolność przywoływania wody. Mogłaby znaleźć pracę jako wykrywaczka złoczyńców. Pomyślała z przygnębieniem, że mogłaby zmienić pseudonim z Lili Wodnej na Różdżkę. *Tak jest. Po prostu uwielbiam tych ludzi. Pójdę za nimi wszędzie i zrobię dla nich wszystko. Wezwijcie gliny. To na pewno handlarze żywym towarem i pornografię dziecięcą.*

W jej umyśle pojawił się obraz Rosemary Muldoon. Kobieta uśmiechała się do niej, chwalać ją za ciężką pracę. Jane poczuła nagłe ukłucie poczucia winy zrodzonego z braku lojalności. Nie była w stanie uznać Rosemary za naprawdę złą osobę. Większa część jej jaźni nadal pragnęła wierzyć, że była prokurator okręgowy szczerze wierzyła w to, co robi, że bez względu na swą

pozycję głowy rodziny mafijnej rzeczywiście pragnęła pomóc ofiarom wirusa dzikiej karty.

*Tak jest* - pomyślała z pasją. Rosemary miała w sobie bardzo wiele dobra. Nie była taka jak inni. Być może spotkało ją coś strasznego, co skłoniło ją do zaangażowania się w działalność mafii. Jane potrafiła to zrozumieć. Boże, potrafiła to zrozumieć aż za dobrze.

Jej umysł odepchnął na bok to wspomnienie, zatrzymując się na mężczyźnie imieniem Croyd. Nadal miała numery telefonów, które jej dał. „Gdy tylko zapragniesz towarzystwa, kogoś, komu mogłabyś się wygadać. Założę się, że mógłbym cię słuchać godzinami. Może nawet przez całą noc, ale to już zależałoby od ciebie, Lśniacooka.” Nikt dotąd nie flirtował z nią z takim polotem. Noszący lustrzanki Croyd nazywał ją Lśniacooką. Nawet nie zauważyła, że uśmiechnęła się na to wspomnienie. Nie ujawniono żadnych powiązań między nim a organizacją Rosemary. Albo były bardzo dobrze ukryte, albo był idealistą, tak samo jak ona. Chciała uwierzyć w to drugie, co zapewne oznaczało, że prawdą było to pierwsze. Mimo to nadal ją kusiło, by niespodziewanie do niego zadzwonić. Rzecz jasna, nie było szans, by naprawdę odważyła się to zrobić. Niewykluczone, że właśnie dlatego podał jej te numery.

Jej całe życie było odwrócone do góry nogami i tyłem do przodu. Być może to właśnie uczynił jej wirus dzikiej karty. Spowodował, że przez całe życie pozostanie ofiarą wszelkich możliwych figli, jakie mógł jej spletać świat.

Nagle usłyszała w głowie głos Sala: *Jesteś dla siebie niesprawiedliwa. Nigdy nie uważałaś, że masoni są dobrzy, nie byłaś ślepa na to, kim był naprawdę Astronom. Jeśli zaś chodzi o Rosemary, po prostu była znacznie sprytniejsza od ciebie. Wykorzystała cię. To ona powinna się wstydić, nie ty.*

Tak jest, Salvatore Carbone z pewnością powiedziałby jej coś w tym rodzaju, gdyby żył. Doszła do wniosku, że fakt, iż sama potrafiła wymyślić taki tekst, świadczy, że jednak nie jest zupełnie beznadziejna. To jednak nie poprawiło jej nastroju ani nie przywróciło apetytu.

- Przepraszam, Jane - odezwał się ktoś za jej plecami. To był Emile, który zaczął pracować w Wieży Asów niedługo po niej i był teraz nowym szefem sali. Jane pośpiesznie otarła mokrą twarz, ciesząc się, że wreszcie nauczyła się lepiej panować nad swą tendencją przyciągania wielkich ilości wody, gdy tylko przeżywała stres. - Chyba lepiej by było, gdybyś zeszła na dół, na podjazd załadunkowy.

Zamrugła zdziwiona.

- Przepraszam?

- Doszło do małego kryzysu i uważamy, że tylko ty możesz sobie z nim poradzić.

- Pan Worchester zawsze...

- Hirama nie ma. Szczerze mówiąc, nawet gdyby tu był, wątpimy, czy by temu zaradził.

Wlepiła spojrzenie w mężczyznę. Emile był jednym z najgłośniejszych i najbardziej bezkompromisowych krytyków zachowania Hirama. Grupa niezadowolonych pracowników z każdym dniem stawała się coraz liczniejsza i, ku wielkiej trwodze Jane, wyglądało na to, że wszyscy oni mają znacznie więcej racji, niż chciałaby to przyznać.

Od czasu powrotu z wyprawy Hiram zachowywał się... dziwnie. Nie wykazywał większego zainteresowania Wieżą Asów, a jego entuzjazm był wręcz zerowy. Można by pomyśleć, że restauracja jest jakimś straszliwym albatrosem zawieszonym u jego szyi, irytującym brzemieniem niepozwalającym mu zająć się czymś, co uważał za ważniejsze. Co więcej, okropnie traktował personel. Jego niemal dworskie maniery zniknęły bez śladu. Obecnie jego zachowanie wahało się między obojętnym roztargnieniem a zwykłym chamstwem. Jedynym wyjątkiem była Jane. Do niej odnosił się przyjaźnie, choć panowanie nad sobą i skupianie na niej

uwagi wyraźnie sprawiało mu poważne trudności. Zawsze czuł do niej pociąg. Zdawała sobie z tego sprawę już od chwili, gdy uratował jej życie. Czuła się winna, że nie może odwzajemnić jego pragnień. To była jedna z najbardziej niezręcznych sytuacji, jakie potrafiła sobie wyobrazić. Miała zobowiązania wobec kogoś, kto był nią zainteresowany, ale nie odwzajemniała jego uczuć. Zwróciła mu pieniądze za drogie ubrania i starała się być możliwie najlepszą pracownicą w zamian za bezpieczną posadę (i wysokie wynagrodzenie), które jej zapewnił. W ostatnich czasach oznaczało to, że musiała go bronić, nawet przed ludźmi, którzy znali go znacznie dłużej od niej i powinni mieć znacznie więcej powodów do lojalności wobec niego. Niektóre z takich osób były szczególnie agresywne, być może dlatego, że pamiętały lepsze czasy w Wieży Asów. Gdyby tylko mogła dotrzeć do Hiram, pomyślała, spoglądając w zimne, zielone oczy Emilea. Gdyby tylko mogła wytłumaczyć swemu pracodawcy, jak bardzo szkodzi swemu autorytetowi i wiarygodności, w jak znacznym stopniu traci szacunek innych, z pewnością zdołałby powstrzymać swój straszliwy upadek, odwrócić go i znowu stać się Hiramem Worchesterem, wielkim restauratorem. W tej chwili można by pomyśleć, że jest umierający.

- A co to za kryzys? - zapytała ostrożnie.

Emile potrząsnął lekko głową w geście przypominającym raczej drżenie.

- Łatwiej będzie, jeśli po prostu tam zejdziesz - odparł.

- W tej chwili potrzebujemy szybkiej decyzji, podjętej przez kogoś, kto ma prawo to zrobić. Proszę. Chodź na dół ze mną.

Jane zaczerpnęła głęboki oddech, wzięła się w garść i ruszyła z Emileem do windy.

Scena na podjeździe ładunkowym wyglądała jak wyjęta z filmu z braćmi Marx - tyle że mniej śmieszna. *Powiedzmy, jak scena z remakeu filmu z braćmi Marx* - pomyślała Jane, obserwując robotników ładujących pośpiesznie skrzynki z powrotem na ciężarówkę, podczas gdy dwóch ludzi z Targu Rybnego Brightwater wyładowywało je (czy może wyładowywało na nowo). Trzeci z pracowników Brightwater stał na skrzynce, patrząc prosto w oczy Tomoyukiego Shigety, nowego kucharza sushi. Człowiek z Brightwater był niskim, krępy natolem, wyglądającym, jakby miał podwyższone ciśnienie. Tomoyuki zaś miał dwa metry i dziesięć centymetrów wzrostu i był asem, który w dni, gdy księżyc był w nowiu, zmieniał się w delfina między jedenastą wieczorem a trzecią rano. Razem wyglądali jak dwóch aktorów komediowych podczas próby. Człowiek z Brightwater cały czas wrzeszczał, a Tomoyuki od czasu do czasu rzucał parę cichych słów, wprawiających jego rozmówcę w coraz większą furję.

- Co tu się dzieje? - zapytała Jane maksymalnie rzeczowym tonem. Nikt jej nie usłyszał. Spojrzała z westchnieniem na Emilea. - Zamknąć się wszyscy! - wrzasnęła.

Tym razem jej głos dotarł do obecnych. Wszyscy ucichli, spoglądając na nią niemal jak jeden mąż.

- Co tu się dzieje? - zapytała raz jeszcze, spoglądając na Tomoyukiego. As pokłonił się płytko.

- Brightwater dostarczyło nam transport nieświeżych ryb. Wszystkie się zepsuły i to już dość dawno. - Tomoyuki mówił z kulturalnym akcentem bostońskiej elity, bez śladu wrogości czy zniecierpliwienia w głosie. Jane pomyślała, że nigdy nie widziała nikogo, kto potrafiłby się zachowywać równie profesjonalnie. Chciałaby być bardziej podobna do niego. - Jakiś czas przed tym, nim załadowano je na ciężarówkę, by przywieźć je tutaj. Nie będziemy mogli dziś uruchomić wieczornego baru sushi, chyba że Hiram ma jakieś inne źródło.

Jane próbowała powęszyć bez przyciągania zbyt wielkiej uwagi, ale czuła wyłącznie przemożną woń ryby, jakby znaczącą część oceanu przywieziono na podjazd i tu wyładowano.

Nie potrafiła ocenić, czy ryby pachną dobrze, czy źle. Woń była okropnie silna i nawet jeśli



ryby jeszcze się nie zepsuły, z pewnością się to stanie, jeśli poleżą tu dłużej.

- Niech pani posłucha. To są ryby, a ryby śmierdzą - oznajmił człowiek z Brightwater, pocierając górną wargę tuż poniżej nosa, jakby chciał podkreślić swe słowa. - Już od bardzo dawna dostarczam transporty śmierdzących ryb. Hiramowi Worchesterowi i wielu innym ludziom. Ryby zawsze tak pachną. Mnie ta woń też się nie podoba, ale nic się na to nie poradzi. - Zerknął z niesmakiem na Tomoyukiego. - Ryby muszą brzydko pachnieć. Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej. I nikt nie zmusi mnie do odwiezienia towaru z powrotem, chyba że będzie to sam Hiram Worchester.

Jane skinęła leciutko głową.

- Zdaje pan sobie sprawę, że Hiram Worchester upoważnił mnie do podejmowania decyzji we wszystkich transakcjach dotyczących menu Wieży Asów?

Człowiek z Brightwater - na kieszeni jego koszuli wyhaftowano imię Aaron - przechylił szeroką głowę i przyjrzał się dziewczynie przez przymknięte powieki.

- Proszę powiedzieć to jasno, dobra? Bez żadnych wykrętnych gadek. Niech pani spojrzy mi w oczy i powie, co ma do powiedzenia.

- Chodziło mi o to - zaczęła lekko zawstydzona Jane - że wszelkie podjęte przeze mnie decyzje należy uważać za decyzje Hiram Worchestera. On poprze je w stu procentach.

Aaron przesunął spojrzenie z Jane na Emilea, następnie na jednego z pracowników podjazdu, a wreszcie na Tomoyukiego, który gapił się na niego ze spokojem.

- Jezu, po co właściwie na pana patrzę? Pan poprze ją w dwustu procentach.

Tomoyuki spojrział na Jane, unosząc brwi w niewypowiedzianym pytaniu.

- Czy te ryby rzeczywiście są zepsute, Tom? - zapytała cicho.

- Tak. Z całą pewnością.

- Powiedziałbyś to panu Worchesterowi?

- W każdej chwili.

Skinęła głową.

- W takim razie wracają do Brightwater. Bez dyskusji - dodała, gdy Aaron otwierał usta, żeby się sprzeciwić. - Jeśli za kwadrans ryby nie znikną z podjazdu, wezwę policję.

Szeroka twarz Aarona rozciągnęła się w grymasie nieprzyjaznego niedowierzania.

- Wezwie pani gliny? A jakie będą zarzuty?

Tym razem Jane pociągnęła nosem tak głośno, że łatwo ją było usłyszeć.

- Zaśmiecanie terenu. Wyrzucanie śmieci w niedozwolonym miejscu. Zanieczyszczenie powietrza. Każda z tych możliwości się nada. Do widzenia panu.

Odwróciła się i uciekła do budynku, zasłaniając dłonią usta i nos. Smród stał się nagle niemożliwy do wytrzymania.

- Dobra robota, Jane - pochwalił dziewczynę Tom, gdy razem z Emileem dogonili ją przy windzie. - Sam Hiram nie poradziłby sobie lepiej.

- Hiram w ogóle by sobie nie poradził i kropka - mruknął ze złością Emile.

- Przestań - skarciła go Jane.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Co mam przestać?

Drzwi windy się otworzyły i wszyscy troje weszli do środka.

- Obgadywać Hiram. To znaczy pana Worchestera. - Nacisnęła guzik z napisem „Wieża Asów”. - To psuje morale.

- Hiram psuje morale. Jeszcze tego nie zauważyłaś? Gdyby był nadal sobą, Brightwater nigdy

by nie próbowało wcisnąć nam śmierdzących ryb. To świadczy, że wieści już się rozeszły. Wszyscy wiedzą, że stracił panowanie nad sytuacją...

- Proszę, Emile. - Wsparła dłoń na jego szczupłym ramieniu i spaj rżała mu błagalnie prosto w oczy. - Wszyscy wiemy, że coś jest nie w porządku, ale jeśli pracownicy będą powtarzać takie rzeczy, to zmniejszy jego szanse uporania się z problemem. Nie zdoła tego zrobić, jeśli wszyscy będą przeciwko niemu.

Emile naprawdę miał lekko zawstydzoną minę.

- Bóg wie, że nikt nie życzy Hiramowi tak dobrze, jak ja, lane. Ale on się zachowuje... no cóż, jak ćpun. - Zadrżał. - Nie znoszę ćpunów. I wszystkich nałogowców.

- Masz całkowitą rację, Jane - przyznał Tom, który stał po drugiej stronie windy, oplatając ramionami swe szczupłe ciało. - Ale twoje słowa nie pomogą nam otworzyć dziś wieczorem baru sushi, a Hiram nigdy nie uznał za stosowne poinformować mnie, jak wygląda jego plan awaryjny na taki wypadek. Jeśli sama nie wiesz, co zrobić, albo nie potrafisz odnaleźć Hirama i przekonać go, żeby udzielił ci wskazówek, Wieża Asów będzie zmuszona wycofać tę ofertę. A to może być katastrofa. Ptaszki ćwierkają, że Znawca Restauracji ma rezerwację na dzisiejszy wieczór, a jego celem jest zrecenzowanie naszego baru sushi dla pisma „Nowojorski Smakosz”. Nie muszę ci mówić, co znaczyłaby dla Wieży Asów negatywna ocena.

Jane potarła ze znużeniem czoło. *Z pewnością, znalazłam się w czarnej komedii* - pomyślała. Tak to właśnie nazywają, kiedy z każdą chwilą robi się coraz gorzej, aż człowiek myśli, że zaraz zacznie się śmiać i nie będzie mógł przestać, dopóki go nie zabiorą.

Tom przeszedł od niechcenia na drugą stronę windy i stanął obok Emile'a. Jane, również z pozoru przypadkowo, odwróciła wzrok, by mogli się dotknąć, kiedy nie będzie widziała. Wszyscy udawali, że nie wiedzą, iż ci dwaj są kochankami, choć Jane nie była pewna, dlaczego z taką pasją próbują to ukryć. Pewnie miało to coś wspólnego z AIDS. Uważano, że wszyscy geje są nosicielami tej choroby, co doprowadziło do wznowienia ich prześladowań. Niemalże się cieszyła, że Sal tego nie dożył.

- Znajdę Hirama - oznajmiła po chwili. - Jestem przekonana, że wiem, gdzie go szukać. Emile, pilnuj porządku, dopóki nie wrócę. - Wręczyła mężczyźnie zapasowy klucz do gabinetu właściciela. - Pewnie nie będziesz go potrzebował, ale weź na wszelki wypadek. Kiedy się zjawię, będziemy mieli bar sushi. Wybór może być nieco bardziej ograniczony, niż byśmy chcieli, ale poradzimy sobie, jeśli wykażemy się odpowiednim... hmm... polotem. Prawda, Tom?

- Jestem żywym wcieleniem polotu - zapewnił Tomoyuki z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu.

Emile stłumił uśmiech. Na widok ich obu Jane nagle poczuła się straszliwie samotna.

- W porządku - zgodziła się z przygnębieniem. - Idę po torebkę i ruszam w drogę. - Winda otworzyła się nagle i wszyscy znaleźli się w sali głównej Wieży Asów. - Jeśli szczęście się do mnie uśmiechnie, skontaktuję się z wami za godzinę.

- A jeśli się nie uśmiechnie? - dopytywał się Emile.

Czuła jednak, że nie ma w tym śladu złości.

- Jeśli się nie uśmiechnie... - powtórzyła z namysłem.

- Czy mógłbyś zachorować, Tom?

- To mogłem zrobić już na początku - zauważył.

- Tak, ale to by znaczyło, że nawet nie próbowaliśmy, tak?

- Spróbowała spojrzeć mu prosto w oczy, pomimo różnicy wzrostu. - Nie zaprzestanę prób, dopóki się nie okaże, że nic więcej nie da się już zrobić. Rozumiecie?

Obaj mężczyźni pokiwali głowami.

- Jeszcze jedno - dodała, gdy zaczęli się odwracać. - Od tej chwili macie o nim mówić „pan Worchester”. - Emile zmarszczył lekko brwi. - To samo dotyczy mnie. To podniesie morale. Nawet nasze.

Emile przygryzł mocno wargę, a następnie, ku jej uldze, skinął głową.

- Rozumiem, Jane. A może mam od tej chwili mówić „pani Dow”?

Spuściła na moment wzrok.

- Nie jestem żadna władzy, Emile. Jeśli naprawdę to rozumiesz, wiesz, że próbuję uratować pana Worchestera. Jestem mu to winna. - Uniosła spojrzenie. - Wszyscy coś mu zawdzięczamy, każdy na inny sposób.

Tom gapił się na nią. Po raz pierwszy dostrzegła sympatię na jego gładkiej, chłodnej twarzy. Poczula się skrępowana. Poszła po torebkę do gabinetu Hiram i zadzwoniła po taksówkę. Gdy zjeżdżała z powrotem windą, wypełniało ją poczucie triumfu. Chimeryczny Tomoyuki polubił ją, co było sporym osiągnięciem. Udało się jej też przeciągnąć Emilea na swoją stronę, przynajmniej na pewien czas. Na pewno on również ją lubił. Zakręciło się jej w głowie na tę myśl. Być może tak gorące pragnienie wzbudzania sympatii było słabością, ale zapewne udało jej się dzięki temu osiągnąć bardzo wiele. Czy może raczej uda się, jeśli tylko zdoła przekonać Hiram do spełnienia obietnic, które złożyła bądź też tylko zasugerowała.

Taksówka czekała przed wejściem. Wsiadła do niej i podała taksówkarzowi adres w Dżokerowie, ignorując zdziwione spojrzenie, jakim ją obrzucił. *Wiem, że wyglądam co najwyżej na przekąskę dla wielkiego, złego wilka - pomyślała ze złością, siadając z tyłu. Pewnie byś się zdziwił, gdybyś się dowiedział, że zabijałam ludzi i ciebie też mogłabym wysłać do piachu, gdybyś sprawił mi kłopoty.*

Zawstydzona, stłumiła tę myśl. Skłamała, mówiąc, że nie jest żadna władzy. Pewnie, że była. Trudno było tego uniknąć, jeśli ktoś otrzymał moc asa. To była ciemna strona jej talentu. Musiała cały czas z nią walczyć, by nie stać się taką, jak ten okropny Astronom albo biedny Fortunato. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, gdzie on teraz jest i czy pamięta tamte chwile tak samo jak ona.

Zatrzymali się na czerwonym świetle i obdarty dżoker o ogromnych oślich uszach skoczył na maskę, żeby wymyć przednią szybę. Jane odgrodziła się od wrzasków taksówkarza, próbując się przygotować do nieuniknionej konfrontacji z Hiramem. Nie powinna znać tego adresu ani wiedzieć, do kogo on należy. Hiram może po prostu wyrzucić Jane, nie pozwalając jej powiedzieć ani słowa, podczas gdy Ezili, stojąc za jego plecami, będzie się śmiała.

Jane bała się spotkania z tą kobietą. Wszyscy zwali ją Ezili Rouge. W Wieży Asów krążyły plotki, że była super prostytutką z Haiti, którą Hiram „uratował” przed straszliwą nędzą slumsów. W praktyce oznaczało to, że była aską o seksualnej mocy i każdy mężczyzna (albo kobieta), który spróbował seksu z nią, nie miał już ochoty uprawiać go z nikim innym. A Hiram ponoć spróbował. Krążyły też inne pogłoski. Ponoć była kiedyś zabawką wielkiego bossa narkotykowego o nieznanej tożsamości; sama była wielkim bossem narkotykowym; zaszantażowała Hiram albo kogoś innego, by przywiózł ją do Stanów - wersji było bardzo wiele.

Jakkolwiek wyglądałaby prawda, Jane nie lubiła Ezili i to z wzajemnością. Haitanka tylko raz odwiedziła Wieżę Asów i dla obu kobiet była to nienawiść od pierwszego wejrzenia. Jane odpychał straszliwy żar, który zdawał się wypływać z Ezili, przerażały ją też niezwykle oczy tej kobiety. Białe części gałki ocznej były krwawoczerwone. Ezili przemawiała do niej butnym tonem, nazywając ją panią Dow, a w dodatku błędnie wymawiała jej nazwisko, tak by rymowało

się ze słowem „cow”, czyli krowa. Jej drwiący ton natychmiast poirytował Jane. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że Hiram najwyraźniej pozostawał pod jej wpływem. Gdy tylko na nią spojrział albo choćby o niej wspomniał, Jane dostrzegała na jego twarzy dziwną mieszaninę pożądania, uległości i bezradności. Czasami jednak przebijał się przez nią wyraz czystej odrazy, budzący w Jane podejrzenie, że Hiram wcale nie lubił Ezili bardziej niż ona.

- Hej, śliczna!

Zaskoczona dziewczyna uniosła nagle wzrok i zobaczyła dzokera wciskającego twarz w tylną szybę. ,

- Wyjdź z tej taksówki, mała, a zabiorę cię do nieba! Nie tylko uszy mam jak u osła!

Światła się zmieniły i taksówka ruszyła. Jane mimo woli była bliska śmiechu. Prostactkich słów dzokera nie można było porównywać z kulturalnymi propozycjami, jakie codziennie uprzejmie odrzucała w Wieży Asów, ale coś w nich ją wzruszyło. Może chodziło o to, że były śmieszne, albo o to, że dzoker nie chciał klęknąć przed chorobą, której był ofiarą, bądź o to, że nie powiedział otwarcie, w czym jeszcze przypomina osła. Ktoś bardziej prostolinijny od niej mógłby się roześmiać w głos. *Jestem tylko szklarniowym kwiatem* - pomyślała z odrobiną żalu. *Szklarniowym kwiatem, który zabija.*

Taksówka skręciła nagle w boczną ulicę i minęła dwa kwartały, nim wreszcie zatrzymała się pośrodku trzeciego.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił z niechęcią kierowca.

- Mogłaby się pani pośpieszyć?

Zerknęła na taksometr i wsunęła kilka banknotów w otwór, który miała przed sobą.

- Reszty nie trzeba. - Drzwi się zacięły, ale taksówkarz nie zamierzał wysiąść, żeby jej pomóc. Zniesmaczona Jane otworzyła je kopniakiem po drugiej próbie. - Z tego powodu nie życzę panu dobrego dnia - mruknęła.

Taksówka ruszyła z głośnym warkotem silnika. Dziewczyna odwróciła się i przyjrzała budynkowi, który miała przed sobą.

Odnawiano go co najmniej dwa razy, ale w niczym to nie pomogło. Był po prostu brzydki i obskurny, choć z pewnością solidny. Nie zawali się, chyba żeby rozwaliła go Wielka Małpa. Jane przypomniawszy sobie jednak, że Wielka Małpa już nie istnieje. Dom miał cztery piętra, a mieszkanie, którego szukała, znajdowało się na najwyższym. Sama wychowywała się w mieszkaniu na szóstym, najwyższym piętrze czynszowej kamienicy, w której nie było wind, i w dzieciństwie zawsze wbiegała sprintem schodami i zbiegała z nich, nie zatrzymując się ani razu. Była przekonana, że cztery piętra nie sprawią jej większych trudności.

Sprint wytrzymała tylko do środka drugiego biegu schodów, zdołała jednak wspinać się dalej bez chwili przerwy, choć posuwała się teraz wolniej, zatrzymując się na każdym pomoście dla zaczerpnięcia oddechu. Ciemność łagodziło jedynie światło wpadające do środka przez ulokowany bezpośrednio nad spiralą schodów świetlik z matowego szkła. Było anemiczne i przygnębiające.

Na najwyższym piętrze było tylko jedno mieszkanie. Gdy zatrzymała się na szczycie schodów, dysząc lekko, nasunęła się jej myśl, że Hiram równie dobrze mógłby umieścić na drzwiach swoje nazwisko. Nie były to zwykłe, szarawe drzwi, jak w innych mieszkaniach. Wykonano je na zamówienie, z twardego drewna, a do tego wyposażono w zdobną mosiężną kołatkę oraz staromodną klamkę. Umieszczony nad nią zamek był całkowicie nowoczesny i bezpieczny, ale wyglądał równie elegancko. *Hiram, Hiram* - pomyślała ze smutkiem. *Czy taka ostentacja w tym miejscu na pewno popłaca?*

Co powie, kiedy otworzy drzwi i ją zobaczy? Co sobie pomyśli? To nie miało znaczenia. Musi mu uświadomić, co się dzieje. To go uratuje. Uratuje mu życie. Nie w taki sam sposób, jak on zrobił to dla niej, ale Wieża Asów była jego życiem, można więc będzie powiedzieć, że spłaciła dług. Równowaga między nimi zostanie przywrócona. Do tej pory nie wierzyła, że kiedykolwiek znajdzie sposób, by to zrobić.

Jeden sposób istniał, ale na to nie potrafiła się zdobyć. Nie pociągał jej. Wiedziała, że Hiram i tak by się z tego ucieszył, że byłby miły, czuły, zabawny i kochający - wszystko, czego kobieta mogłaby pragnąć od kochanka. W ostatecznym rozrachunku byłoby to jednak okropnie niesprawiedliwe dla niego, a gdy nadeszłoby nieuniknione zerwanie, obojgu pozostałoby ból i blizny. Hiram zasługiwał na coś lepszego. Był dobrym człowiekiem i potrzebował kogoś, kto odwzajemniłby jego oddanie, kto zaangażowałby się w pełni we wszystkie aspekty jego życia i dał mu radość płynącą z bliskiej więzi. Kogoś, kto nie mógłby żyć bez niego.

*A nie kogoś, kto zginąłby, gdyby nie on?* - wyszeptał złośliwie jej umysł. Znowu poczuła bolesne ukłucie poczucia winy. *No dobra, dobra. Jestem niewdzięczną suką* - skarciła w myślach samą siebie. *Może to jakaś straszliwa skaza we mnie sprawia, że nie kocham go, choć jest taki dobry. Może byłabym kimś lepszym, gdyby wdzięczność wzbudziła we mnie miłość do niego.*

I może nie zaszyłby się wtedy w mieszkaniu w Dżokerowie z kobietą tak toksyczną, jak Ezili Rouge.

*Boże* - pomyślała. Musi porozmawiać z Hiramem. Nie potrafiła uwierzyć, że naprawdę pragnął towarzystwa kogoś podobnego. Musi mu pomóc uwolnić się od niej, wymyślić jakiś sposób, by zabronić jej wstępu do Wieży Asów. Zrobi wszystko, żeby mu pomóc, absolutnie wszystko. Zwłaszcza jeśli będzie to oznaczało, że już nigdy nie będzie musiała oglądać tej kobiety.

Zmusiła się do podejścia do drzwi i trzy razy zastukała mocno kołatką.

Ku trwodze Jane otworzyła jej Ezili.

Haitanka była ubrana, jeśli można użyć takiego słowa, w odrobinę przejrzystego, złotego materiału zarzuconego na gołe ciało. Jane spojrzała jej prosto w oczy. Nie chciała opuścić wzroku poniżej podbródka Ezili.

- Przyszłam do Hiram - oznajmiła swym najspokojniejszym, najbardziej opanowanym głosem.  
- Wiem, że tu jest. Absolutnie muszę się z nim zobaczyć.

Na twarzy Ezili powoli wykwitł radosny uśmiech, jakby Jane powiedziała coś, co najbardziej na świecie pragnęła usłyszeć. Haitanka zakołysała się lekko, jakby tańczyła w rytm jakiejś muzyki, którą tylko ona słyszała, po czym cofnęła się i skinęła wdzięcznie na kobietę, zapraszając ją do środka.

Wnętrze mieszkania zaskoczyło Jane. Salon starannie udekorowano czysto haitańskimi motywami, stanowiącymi też odbicie wyrafinowanego gustu Hiram. Jane nie była w stanie oderwać wzroku od ciemnobrązowego dywanu, dokładnie takiego samego jak ten, który leżał w gabinecie restauratora. To miejsce było bardzo typowe dla Hiram, ale Hiram, który się zmienił. Nieznajomego, który wrócił z podróży dookoła świata. Ezili krążyła swobodnie po mieszkaniu niczym jakieś drapieżne stworzenie, którego ulubiony łup wpadł dobrowolnie w jego szpony.

- Hiram jest w sypialni - oznajmiła Haitanka. - Jeśli rzeczywiście absolutnie musisz się z nim zobaczyć, możesz to zrobić tam.

Stała przed Jane, uniosła ręce i przesunęła dłońmi po karku, podsuwając wielkie piersi pod twarz drugiej kobiety. Jane nadal wpatrywała się jej prosto w oczy, nie chcąc opuścić wzroku. Gdy Ezili cofnęła dłoń, błysnęło na niej coś czerwonego.

Krew. Jane omal nie straciła podtrzymywanego z najwyższym wysiłkiem panowania nad sobą.

Krew? W co, na Boga, wpakował się Hiram? Ezili wykonała falujący gest, wskazując splamioną czerwienią dłonią na sypialnię.

- Tam. Wejź, a go zobaczysz. Leży w łóżku.

Jane weszła do pogrążonej w półmroku sypialni. Odchrząknęła, zaczęła coś mówić, lecz nagle zamarła w bezruchu.

Hiram nie leżał w łóżku, lecz klęczał przed nim w modlitewnej pozie. Z pewnością jednak się nie modlił.

W pierwszej chwili pomyślała, że zaskoczyła go w momencie, gdy nosił na barana małe dziecko. Przemknęło jej przez głowę, że może to być jego dziecko z Ezili, a ciężę, poród i wzrost przyspieszył wirus dzikiej karty, który jednocześnie uczynił dziecko ohydnie zdeformowanym dzokerem.

Postąpiła krok ku niemu. Jej oczy zasły łzami litości.

- Och, Hiram! Nie...

Wyraz twarzy restauratora zmienił się nagle, przechodząc z gniewu w bolesny smutek. Kobieta zobaczyła, co naprawdę siedzi na jego plecach.

- H-H-Hiram...

Jej głos ucichł, gdy na twarzy restauratora pojawił się wyraz dziwacznej, nieludzkiej, ciekawości. To nie była mina ojca, któremu przeszkodzono w zabawie z dzieckiem. Żadne dziecko nie wczepiłoby się też ustami w szyję ojca. Skarłowaciałe stworzenie zadrzało w sposób przywodzący Jane na myśl ruchy Ezili. Odwróciła się, by uciec do drzwi, choć wiedziała, że jest już za późno.

Kiedy runęła na podłogę, ważyła chyba ze sto pięćdziesiąt kilo.



Później, gdy się nad tym zastanowiła, gdy mogła się już zdobyć na to, by o tym myśleć, uświadomiła sobie, że mogło minąć najwyżej pół minuty, nim Hiram wstał i dotarł do miejsca, gdzie leżała na brzuchu unieruchomiona. Przez z pozoru straszliwie długą chwilę w mieszkaniu było zupełnie cicho. W końcu restaurator się podźwignął i stanął nad nią. Z Jane lała się woda, wsiąkająca w jej ubranie i w dywan.

Spróbowała mu coś powiedzieć, ale upadek wybił jej oddech z piersi. Za minutkę, gdy odzyska zdolność mowy, powie mu, że nie musi tego robić, że w cokolwiek się wplątał, ona nic nikomu nie powie i spróbuje mu pomóc na wszelkie możliwe sposoby.

Rozległ się cichy szelest. Hiram położył się na dywanie obok Jane. Przyglądał się jej z tą samą osobliwą, wyrażającą ciekawość miną. *Nie poznaje mnie* - uświadomiła sobie ze zdumieniem zmieszonym z przerażeniem. Stworzenie nadal siedziało na jego plecach. Zacisnęła mocno powieki, by na nie nie patrzeć.

- Za parę chwil mój widok przestanie ci się wydawać tak odrażający - rzekł restaurator. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby imitował go ktoś obcy.

- Hi-Hiram - zdołała wyszeptać. - N-nigdy bym c-cię nie sk...

Jej pleców dotknęły drobne palce. Uświadomiła sobie, co się dzieje. Otworzyła oczy.

- Nie, Hiram - błagała. Jej głos brzmiał teraz silniej. - N-nie pozwól mu... nie pozwól.

Osobliwa mina zniknęła z twarzy restauratora, ustępując miejsca spojrzeniu tak pełnemu rozpacz, że dziewczyna próbowała wyciągnąć ku niemu rękę. Była ona jednak tak ciężka, że

Jane ledwie zdołała poruszyć dłonią. Spojrzał jej prosto w oczy. Wydawało jej się, że w jego wnętrzu toczy się jakaś walka.

Stwór usadowił się już na jej plecach. Poczuela, że coś przesuwana się wzdłuż jej szyi.

Nagle ciężar zniknął. W oczach Hiram rozbłysły łzy.

- Uciekaj - ledwie usłyszała jego szept. A może tylko się jej zdawało?

Potem coś ukłuło ją w szyję.



Z pewnością zemdlala w chwili pierwszego kontaktu. Poczuela się, jakby płynęła w powietrzu albo prądy powietrzne niosły ją to w tę, to w tamtą stronę. *Ciężar zniknął* - pomyślała. *Hiram uczynił mnie nieważką i unoszę się swobodnie*. Potem przejaśniło się jej przed oczami i zorientowała się, że nadal leży na podłodze. Restaurator wyciągał ku niej ręce, gotowy ją objąć.

- Przestań.

To był jej głos, ale lane nad nim nie panowała. Coś innego przemawiało przez jej usta. Panika, która w niej wezbrała, gdy dziewczyna uświadomiła sobie ten fakt, przeszła w łagodną przyjemność, nasilającą się jednak z każdą chwilą.

Hiram zawahał się chwilę, po czym przyciągnął ją bliżej.

- Powiedziałem przestań!

Ton rozkazu brzmiący w jej głosie sparaliżował restauratora. Ostatnią, maleńką cząstką swej jaźni, która nadal należała do niej, Jane obserwowała, jak jej ręka się unosi i zatrzymuje. W powietrzu zmaterializował się mały wodospad i następnie spłynął na dywan. Dziewczynę uderzyła fala przyjemności, zalewająca nawet ten drobny odprysk jej świadomości, który był przerażony. To było tak, jakby podzieliła się na dwie osoby - jedną ogromną, wypełnioną nieodpartą rozkoszą oraz gwałtownymi pożądaniami, a drugą maleńką Jane Dow zamkniętą w klatce i pochowaną zbyt głęboko, by była w stanie wydostać się na powierzchnię i odzyskać kontrolę. Obserwowała jednak i czuła wszystko, co robiła ta wielka. Uświadomiła sobie, że ta potężniejsza osobowość to stwór, którego ma na plecach.

Wstała i przeciągnęła się, wypróbując swe mięśnie. Hiram usiadł i przyglądał jej się z bólem oraz podejrzliwością w oczach.

- Obiecałeś - rzekł restaurator naburmuszonym tonem, jakby był małym chłopcem, któremu odmówiono smakołyku.

- Obiecałem ci przyjemność wykraczającą poza wszystko, co możesz znaleźć w swym sztucznym świecie białych - odparło stworzenie jej głosem. - I otrzymałeś to. Więc proszę nie przeszkadzaj mi, gdy uczę się panowania nad nowym wierzchowcem.

Maleńka Jane wydała z siebie krzyk oburzenia, ale szybko ją poskromiono. Wyczuwała gdzieś w swym umyśle upokorzenie oraz panikę, lecz były one bardzo odległe, jakby wszystko to spotykało kogoś innego. Czysta przyjemność wypełniała jej ciało we wciąż się nasilających falach i tylko to działo się z nią naprawdę.

- A czemu nie? - zapytał restaurator niemal płaczącym tonem. - Czy nie byłem dla ciebie dobry? Czy nie dawałem ci wszystkich rzeczy innych osób, o które mnie prosiłeś? Nawet ją ci dałem. Chciałem ją mieć tylko dla siebie, ale nie odmówiłem ci.

Stwór wykorzystał śmiech Jane. Znowu nadszedł impuls oburzenia, które zmieniło się w przyjemność jeszcze szybciej niż poprzednim razem.

- Jesteś zakochany w tym białym kwiatuszku?

Hiram opuścił na moment wzrok i wymamrotał coś, czego nie zrozumiała. To mogło być „tak”. Dla jakiejś części jej jaźni było to ważne, ale nasilająca się rozkosz przyćmiła wszystko. W porównaniu z nią nic nie mogło mieć jakiegokolwiek znaczenia.

- Ach, ale mnie kochasz bardziej, nieprawdaż?

Hiram uniósł głowę.

- Tak - przyznał bezbarwnym głosem.

Jane poczuła, że stworzenie wyciągnęło jej rękę i dotknęło głowy Hiram w geście dobrodusznej wyśzości, *nöblesse oblige*. Każdy ruch przeszywał ją kolejnymi falami rozkoszy.

Nigdy nawet sobie nie wyobrażała, że proste poruszenia mogą wypełnić ją czystą ekstazą. Tak, to było jedyne słowo, na określenie tego, co czuła. Ekstaza.

- Ja też cię kocham, oczywiście. - Stwór przeszukiwał jej umysł w poszukiwaniu wszelkich myśli o Hiramie. Miała niejasne, odległe wrażenie, że próbuje się od niego odgradzić, wygnąć go. Jak śmiał... ale przyjemność. Nie. Mógł wziąć sobie, co zechce, zabrać jej wszystko, jeśli tylko nadal będzie czuła to, co w tej chwili. - jak mógłbym nie kochać takiego gustu i takich pragnień, tak wielkiej radości życia. - Stworzenie zapuściło się głębiej w jej umysł. Jane pomyślała, że z pewnością zabrzmiała jak dzwon wibrujący niebiańską ekstazą. - Jestem... bardzo do ciebie przywiązany. Nie mógłbym bez ciebie żyć.

Uklękła przed Hiramem i dotknęła jego twarzy. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

- Czy to tak trudno usłyszeć te słowa z tych ust?

Stworzenie wypełniło jej umysł swoją wiedzą. Pragnęła się zasmucić, ale poczuła, że nawet chemiczne reakcje w komórkach jej mózgu eksplodowały jeszcze większą rozkoszą. Zastanawiała się, jak ktokolwiek mógłby czuć coś tak potężnego i nie umrzeć. Być może umierała. Jeśli tak, to nic nie szkodzi. Za taką przyjemność odda nawet życie. *Wszystko* - obiecała stworzeniu, błagając je, by ją polubiło. Pokochało. *Wszystko. W każdej chwili*. Mówiła mu coś, o czym już wiedziało. Forma życia tak nieporównanie doskonalsza od niej raczej nie mogła się przejąć jej błaganiami, ale to nie powstrzymało Jane przed złożeniem tej propozycji. Zasługiwało na nią.

- Zawsze musimy robić to, co najbardziej sprzyja naszym interesom - oznajmiło restauratorowi za jej pośrednictwem. Poczuła, że jej jaźń kręci się jak zachwycone szczenię. Stwór wyraził jej uznanie, posługując się jej słowami. - Mój drogi Hiramie. To jest wierzchowiec, w którym wszystko jest do odkrycia. Absolutnie wszystko. - Tak jest, wszystko, bełkotała. Czego tylko zapragniesz. - To będzie dla mnie przyjemność nowego rodzaju. Przyjemność odkrywania, poprzedzającego ostateczne spełnienie. - Stworzenie użyło jej twarzy, by się uśmiechnąć. Jane poczuła się, jakby zaświeciło w niej słońce.

- Zawołaj Ezili.

Hiram podszedł do drzwi. Jane wdrapała się na łóżko, napawając się każdym oddzielnym ruchem i nimi wszystkimi w całości. Jak to możliwe, że nigdy dotąd nie zauważyła, jak wspaniałe ma ciało i jak wiele może dzięki niemu odczuwać? No cóż, nie będzie już dłużej marnować czasu. Świat był pełen rozkoszy.

- Ach. Tak jak myślałam.

Odwróciła się, usłyszawszy głos Ezili, i roześmiała się.

- Ach, moja Ezili-je-rouge. Widzisz tę nieoczekiwaną radość?

Jane wstała, napawając się tym wrażeniem, i przesunęła dłoń po biodrach.

Haitanka podeszła bliżej i obejrzała ją od stóp do głów.



- Zatem sprawia ci to przyjemność?

Jane patrzyła jej prosto w oczy, jakby w życiu nie widziała nic bardziej fascynującego. Jak mogła myśleć, że wyglądają złowrogo? Czerwone oczy były przyjemne, ich widok był kolejną przyjemnością, a widok samej Haitanki sprawiał jeszcze więcej radości, bo on cieszył się, kiedy ją ujrzał. Mogła jedynie kochać bezradnie Ezili, ponieważ czyniła jej Pana szczęśliwym, a szczęście Pana oznaczało więcej przyjemności dla niej.

- Bardzo wielką.

Dłoń Jane powędrowała w stronę Ezili, a potem zatrzymała się, drżąc lekko. Obraz przed jej oczami zamigotał i pociemniał. *Co ja robię?* - pomyślała przez chwilę. *Nie, przestań. PRZESTAŃ!*

Ale potem przyjemność wróciła, przynosząc ze sobą oczekiwanie jeszcze większych rozkoszy. Jej dłoń poruszała się po piersi Ezili. Haitanka szybko opuściła górną część sukni.

Jane popatrzyła z uśmiechem na Hirama.

- Oto widok, którego z pewnością nigdy nie spodziewałaś się ujrzeć.

W powietrzu pojawiła się wilgoć, która opadła na obie kobiety, przesuając się wybiórczo po ich ciałach. Jane pochyliła głowę nad piersią Haitanki. Wilgotne ciało było miękkie, jędrne i bardzo ciepłe. Z ust Hirama wyrwał się cichy jęk, który dotarł do świadomości Jane jedynie jako niejasne spostrzeżenie, że słuch również może zwiększyć intensywność rozkoszy.



Przekonała się, że od absolutnej przyjemności można zemdleć. A przynajmniej ona zbliżała się do tego w pewnych chwilach. Potem jednak orientowała się, że przesuwa dłonią po gładkim biodrze albo patrzy prosto w twarz Ezili. Pulsująca w niej rozkosz znowu będzie rosła, aż zawładnie nią całkowicie.

W pewnej chwili, gdy Haitanka przed nią klęczała, Jane spojrzała prosto w oczy Hirama. Powstała między nimi niemal telepatyczna więź. Pożądał jej i Ezili, pożądał ich obu, lecz przede wszystkim stworzenia, które miała na grzbiecie. Czuł się nieco oszołomiony i porzucony. Znał tę przyjemność - nie tylko dawaną przez ciało Ezili, lecz również tę płynącą z kontaktu, z ekstazy pocałunku. Usta Haitanki, choć biegłe, bladły w porównaniu z prawdziwym pocałunkiem.

Jane odsunęła roztargnionym ruchem Ezili i całkowicie oddała się stworzeniu. Wykonywała jego bezgłośnie rozkazy, radując się tym, co mogło dla niej zrobić o własnych siłach.

Po pewnym czasie uświadomiła sobie, że leży bezwładnie na łóżku, pogrążona w półśnie. Jej ciało wciąż wypełniała łuna przyjemności. Czuła dotyk koldry na skórze, wilgoć między nogami oraz wodę, wciąż pieszczącą nieśpiesznie jej ciało. Słyszała szepty Hirama i Ezili. Powinno być jej niewygodnie z Panem na plecach (*Ti Malice* - powiedział jej umysł, a ona zaakceptowała to imię), ale jego obecność wydawała się całkowicie naturalna, jakby zawsze miał tu być, a do tej pory jej go brakowało. Westchnęła z zadowolenia. Jak mogła dotąd żyć bez tego miłego ciężaru, słodkiego nacisku na szyję? Do tej chwili była niepełna, żałośnie nieukończona. Teraz stała się kompletna, a nawet bardziej niż kompletna. Być może była kimś więcej niż człowiekiem.

Tak jest, kimś więcej. Nie wiedząc o tym, przez całe życie czekała na to, by dosiadło jej to piękne stworzenie, potrafiące wnieść jej ducha na nowe wyżyny świadomości. Wyższe niż zamieszkiwane przez ludzi. Wszystkie te nowe myśli, które jej dało... ale przede wszystkim rozkosz. *Jestem do niej stworzona* - pomyślała radośnie. Miała wielkie szczęście, że zdołała się o

tym dowiedzieć.

- Ezili - odezwał się jej głos.

Gdzieś na granicy pola widzenia Jane Haitanka poderwała się nagle.

- Czekałam - odezwała się Ezili tonem sugerującym posłuszeństwo, lecz również niezadowolenie.

- To jeszcze nie koniec.

Haitanka westchnęła. Po chwili Jane poczuła dotyk jej dłoni.

- Nie, nie to. Masz tu płaszcz podróżny? Chcemy... gdzieś się wybrać.

Jane usłyszała swój cichy śmiech.

- A co ze mną? - zapytał Hiram.

- Możesz mi pomóc się ubrać. - Wyciągnęła rękę w jego kierunku. - Chodź, podniesiesz mnie na nogi.



Płaszcz podróżny był długą, powłóczystą peleryną z kapturem oraz wielkim kołnierzem złożonym z licznych warstw pomagających ukryć wypukłość, która ujawniłaby obecność stworzenia pod bardziej konwencjonalnym strojem, takim jak sweter albo marynarka. Strój był raczej ostentacyjny, ale nie przyciągnie zbyt wielkiej uwagi na ulicach opanowanego przez wirus dzikiej karty Nowego Jorku. Od lat często widywano tu spowitych w liczne warstwy tkaniny dzokerów, ukrywających taki czy inny rzucający się w oczy szczegół.

Ezili postawiła kaptur, by całkowicie zasłonić twarz Jane. Dziewczyna opatulila się płaszczem, ciesząc się drobną przyjemnością wywołaną przez dotyk tkaniny.

- Chodźmy w jakieś interesujące miejsce - rzekła do Ezili. - Tym razem znajdziemy coś w mężczyźnie.

- A ja mam tu siedzieć i czekać? - zapytał Hiram satysfakcjonująco unizonym tonem.

- Wiesz, że później do ciebie wrócę. Bądź tutaj.

- Tak - zgodził się restaurator. - Co tylko zechcesz. - Wpatrywał się w dywan. - Zadzwońię po samochód.



Jane z zachwytem przekonała się, że Hiram porusza się obecnie po mieście prywatną limuzyną, z szoferem, który cały czas trzymał dźwiękoszczelną szybę uniesioną. To dało jej prywatność, której pragnęła - z Ezili czy z kimkolwiek innym.

Jane czuła się jak królowa. Królowa albo cesarzowa. Teraz zrozumiała, jak musiał się czuć Astronom z całą swą mocą. Wtedy zwała go trucizną i opierała się pewnym aspektom swej mocy. Teraz się z tego śmiała. To, co uważała za zło, było jedynie kwestią mocy. Nie istniało nic takiego, jak dobro i zło. Była tylko moc i przyjemność, jaką przynosiła. W imię tego można było poświęcić wszystko, absolutnie wszystko, gdyby okazało się to konieczne. *Wszystko. W każdej chwili.*

Minęli kiosk i zobaczyła czasopismo z wizerunkiem Skaczącego Ognika na okładce. Poczuła wewnątrz nagłe ukłucie. Byłoby przyjemnie, gdyby mogła teraz go mieć. Ale na świecie żyło mnóstwo przystojnych mężczyzn, rudowłosych czy nie. Zresztą czemu miałyby być przystojny?

Krążyły pogłoski o tym, że im bardziej zdeformowany dzoker, tym ma dłuższego i tym większą sprawnością wykazuje się w pewnych sprawach.

„Hej, śliczna! Nie tylko uszy mam jak u osła!” Uszczypnęła Ezili, by przyciągnąć jej uwagę. Ten ruch również przywołał falę przyjemności. Jane powiedziała Haitance, dokąd pragnie się udać, a następnie usiadła wygodnie. Ezili przekazała instrukcje kierowcy. Jane tymczasem napawała się ekstazą oddychania. Wdech i wydech. Wdech i wydech.



Jeśli nawet dzoker z oślimi uszami ją poznał, to niczym tego po sobie nie okazał. Stał tylko i gapił się jak głupi, trzymając w jednej ręce butelkę z miękkiego plastiku, a w drugiej brudną szmatę, gdy Jane skinęła na niego z otwartych drzwi limuzyny. Przez chwilę wyglądało na to, że może wejść do środka, ale czmychnął, gdy tylko zobaczył Ezili. Jane poczuła nagłe zaskoczenie i gniew. To również sprawiło jej wielką przyjemność. Od tej chwili będzie czuła wszelkie możliwe emocje, wszystko, co sprawi przyjemność jej Panu. *Wszystko. W każdej chwili.*

Haitanka zatrzasnęła drzwi i kazała szoferowi jechać dalej.

- Nie przejmuj się - mruknęła do Jane albo do Ti Malice, wszystko jedno. Jej głos brzmiał cudownie.

Następny dzoker, którego znalazły, nie miał oczu, ale bez trudności wsiadł do limuzyny i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Jane przyjrzała mu się uważnie. Głowę miał wydłużoną jak pocisk, a wokół nosa tylko gładką skórę, sięgającą aż do prostej granicy włosów. Widok jego deformacji zachwyił ją w takim samym stopniu, jak widok nagiej Ezili.

Dzoker powęszył podejrzliwie i zwrócił się w jej stronę.

- Ile was tu jest? - zapytał nedorzecznie cienkim głosem. Podskoczył nagle, gdy Jane sięgnęła między jego nogi. Ezili przycisnęła go do siedzenia.

- Hej, hej - piszczał dzoker. - Nie musicie mnie trzymać. Wiem, czego chcecie.

Zaczął rozpinąć workowate spodnie.

Pan Jane jechał na jej zachwycie niczym na grzbiecie fali.

- Czy to standardowy ekwipunek? - pozwolił jej zapytać.

Dzoker ryknął wysokim śmiechem.

- W tym modelu tak. Boże, błogosław dziką kartę. Nieprawdaż, moje panie?

Pan pochylił jej głowę. Już samo oczekiwanie na rozkosz było wielką przyjemnością. Podobnie jak fakt, że Ezili się przyglądała.



W barze panowała ciemność, pomijając tylko płamę gorącego, białego blasku na scenie, gdzie dzoker hermafrodyta o wielu piersiach oraz normalny mężczyzna robili sobie nawzajem dziwne rzeczy w rytm muzyki. Jane przyglądała się temu nowymi oczami, napawając się tym widokiem z ciekawością i zainteresowaniem. Jeszcze bardziej interesujące było to, jak inni goście przyglądali się jej oraz Ezili. Przechodzili obok ich stolika ustawionego w kącie, udając, że idą do baru albo do toalety, a w pewnej chwili zwalniali, by spojrzeć jej w oczy. Ekscytowała ją myśl, że może kogoś odesłać samym tylko spojrzeniem. Pragnęli jej. Niektórzy zerkali na Ezili, ale wszyscy gapili się na Jane i na spowijający ją płaszcz, pod którym krył się potężny duch,

noszony przez nią na plecach. *Wiedzę* - pomyślała. Wszyscy wiedzieli, że to ona jest tu najważniejsza, a Haitanka to co najwyżej jej służka. Służka stworzenia siedzącego na jej plecach, tak jest, ale przecież to były jej plecy. Bez względu na to, co wydarzy się później, teraz dosiadał właśnie jej. Nawet jeśli potem ją opuści i już nigdy nie wróci, była przez krótką chwilę królową rozkoszy i nie wyobrażała sobie, by mogła jej już nigdy nie poczuć.

Jakiś młodzieniec zatrzymał się przy stoliku z wyraźnym zainteresowaniem. Pan nakazał Jane poddać go ocenie. Był chudy i nie w pełni dorosły. Mógł mieć siedemnaście, góra osiemnaście lat. Nie miał żadnych cech szczególnych poza rudymi, kędzierzawymi włosami. Młody, ładny chłopiec. Pochyliła się ku niemu.

- Zasłaniasz nam widok. Czemu nie usiądziesz?

Wskazała na krzesło obok.

Chłopak usiadł, gapiąc się na nią intensywnie. Potem, bez słowa, zsunął się z krzesła i klęknął przed Jane. Zdjęła suknię. Wiedziała, że to stworzenie porusza jej rękami, ale włożyła w to cały swój entuzjazm, podporządkowała mu się z radością, akceptując przyjemność, z jaką jej palce zakręcały jego włosy. *Rude włosy* - pomyślała rozmarzona. *Będę sobie wyobrażała, że to on. Skaczący Ognik.*

Rozkosz zakłóciła drobna fala, jakby coś wewnątrz Jane poczuło się zniechęcone. Bez udziału własnej woli obejrzała się przez ramię, spoglądając na Ezili.

- Zaczynam się nią nudzić - usłyszała własny, pozbawiony wyrazu głos. - Może nie opiera mi się wystarczająco mocno albo po prostu ma za mało własnych pomysłów. Zdejmij płaszcz, Ezili.

Oczy Haitanki rozbłysły w półmroku.

- Ostrożniej, moja ulubiona.

Ezili wyszeptała coś po francusku i wsunęła się pod pelerynę, otaczając Jane ramieniem.

Objęła mocniej głowę chłopca, czując coś przypominającego bolesne zaskoczenie. Opuszczała ją? Teraz? W tej samej chwili poczuła, że odsunął się od jej szyi. Nastąpił moment ostrego bólu, po którym poczuła nagłą pustkę, jakby ktoś nacisnął wyłącznik. Czuła, że stworzenie przechodzi z jej pleców na plecy Haitanki. Pragnęła się odwrócić, by je pochwycić, ale nie była w stanie się ruszyć.

Płaszcz opadł na ramiona Haitanki i to ona była teraz królową rozkoszy.

Haitanka wstała z krzesła, jakby lewitowała, i spojrzała z góry na Jane z pogardą i triumfem.

- Dlaczego? - błagała Jane. - Myślałam... myślałam...

Ezili poczochnała brutalnie jej głowę jak psa.

- Nie zapomina się o starych ulubieńcach. Nowe przyjemności są bardzo ekscytujące, to prawda, ale starzy ulubieńcy, tacy jak ten wierzchowiec, wiedzą, jak sprawić mi przyjemność. A bogactwo jego pragnień... musisz się jeszcze bardzo wiele nauczyć, mały wierzchowcu, zanim będziesz mógł się z tym porównywać.

Ezili ujęła piersi w dłonie i uniosła je dumnie.

Jane odwróciła się. Zaczęła dygotać. Haitanka pochyliła się, przysuwając usta do jej ucha.

- To idzie prosto do ośrodka przyjemności w twoim mózgu. Wiedziałaś o tym? - odezwała się swym własnym, nienawistnym głosem. - Tak jest. Może uda ci się znaleźć jakiś narkotyk, który działa tak samo. Może to pozwoli ci przetrwać godziny bez niego. Mogłabyś tego spróbować. A nuż pomoże. Albo od tej pory bądź dla mnie miłsza, biała dupo, jeśli pragniesz jeszcze kiedyś otrzymać pocałunek.

Wsadziła język do ucha Jane. Ta krzyknęła, próbując ją spoliczkować. Ezili roześmiała się

tylko i okrążyła stolik, zmierzając w stronę wyjścia.

- Zaczekaj! - zawołała Jane, przekrzykując muzykę. - Dokąd idziesz?

Haitanka zatrzymała się, uśmiechając się szyderczo.

- Gdzieś, gdzie można naprawdę się zabawić.

- A co ze mną? - zawołała zdesperowana aska.

Ezili roześmiała się raz jeszcze, z wdziękiem zatoczyła krąg peleryną i ruszyła ku wyjściu.

Jane zamarła na chwilę w bezruchu. *Utop ją!* - pomyślała, ale jej umysł pierzchnął przed niezbędną do tego koncentracją. Wibracje przyjemności jeszcze przed chwilą wypełniające jej ciało niczym dźwięk sprawnie pracującego silnika zniknęły, a ich miejsce zajęła straszliwa pustka. Wycofując się, stworzenie zabrało ze sobą wszystko, co w sobie miała.

Opuściła wzrok i ujrzała między swoimi nogami chłopaka. Uśmiechnął się do niej. Jego usta i podbródek lśniły wilgotno w bladym świetle.

- Zmiataj stąd! - wrzasnęła i zaczęła okładać go szaleńczo pięściami, przerażona sobą, nim oraz tym, w jakiej sytuacji zostawiło ją stworzenie.

- Hej, hej! - wrzeszczał chłopak, zasłaniając się przed jej ciosami. - Wieloręki, na pomoc! Pizda wpadła w szal!

Z tyłu wyciągnęły się do niej ręce. Unieruchomiły ją, przyciskając jej kończyny do boków.

- Puśćcie mnie! - Spróbowała się wyrwać, ale ściśnięto ją jeszcze mocniej, omal nie miażdżąc jej klatki piersiowej. Spróbowała przywołać wodę, by chlusnąć nią napastnikowi w twarz, ale ta zdolność najwyraźniej ją opuściła. Tam, gdzie ją kiedyś miała, pozostała jedynie pustka. Jane wpadła w panikę. - Ratunku! Policja! Ratunku!

- Zamknij się, jebana pizdo - odezwał się niski, męski głos tuż obok jej ucha. Tego samego, w które Ezili wsadziła język. Szarpnęła się z obrzydzeniem. Ręce zacisnęły się bezwładnie. Jane zmusiła się do rozluźnienia mięśni. Po chwili uścisk osłabł lekko, ale ręce nadal były gotowe się zacisnąć, gdyby znowu zaczęła się wyrwać.

- Wspominałaś coś o policji? Widziałaś, żeby popełniono tu jakieś przestępstwo?

Rozejrzała się wkoło. Gapili się na nią wszyscy ludzie siedzący przy stolikach rozproszonych po sali, ale większość twarzy nie wyrażała żadnych emocji. Hermafrodyta i mężczyzna przerwali swe czynności i usiedli na brzegu sceny, splatając nogi i wpatrując się z irytacją na salę. Hermafrodyta osłaniał jedną ręką oczy przed światłem, szukając wzrokiem źródła zamieszania.

- Hej, do chuja! - zawołał, zauważywszy Jane. - Próbujemy tu się skupić. Wydaje ci się, że ten obupłciowy syf jest łatwy?

- Pierdol się! - ryknął ochryple ktoś inny. - To jest wieczorne przedstawienie, kochanie!

- No dobra, pizdo, zmiataj stąd - podjął męski głos przemawiający do ucha Jane. - Zepsułaś przedstawienie.

Uniósł ją i pociągnął na tył sali, gdzie znajdowało się wejście inne niż to, z którego skorzystała Ezili. Rudy chłopak otworzył drzwi przed Jane, i wypchnięto ją do brudnego, wąskiego zaułka. Upadła na ręce i kolana, krzycząc z gniewu oraz bólu.

- Spierdalaj, pizdo. I nigdy już tu tego nie przynos.

Dźwignęła się na nogi, gotowa do sprzeciwu, a potem odskoczyła, uderzając w pojemniki na śmieci. Stojący w drzwiach mężczyzna nie był wyższy od niej, ale z jego szerokiego, pokracznego tułowia wyrastały trzy pary rąk.

Rudy chłopak przystanął za nim, łypnął spode łba na Janei otarł demonstracyjnie usta.

- Nie zapłacała, Wieloręki - poskarżył się.

Dzoker zerknął na niego, a następnie ruszył w stronę Jane. Nie spodziewała się, że będzie

zdolny poruszać się tak szybko.

- Nikt nie oszuka jednego z moich chłopaków - oznajmił.

- A już na pewno nie jakaś jebana, chuda pizda, która woła gliniarzy. Dawaj forszę, dupo, a puszcze cię wolno. - Dopadł ją, po czym przeszukał wszystkimi sześcioma rękami, pośpiesznie i brutalnie. - Hej, gdzie trzymasz forszę?

Wsadził jedną rękę między jej nogi. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale zatkał je drugą ręką, podczas gdy cztery kolejne nadal ją przeszukiwały.

- Zamknij się. Masz ją na dole, w bezpiecznej skrytce? Dam ci jedną szansę, żebyś ją wyciągnęła, a potem sam jej tam poszukam.

Popatrzyła na niego błagalnie i zdjął dłoń z jej ust.

- Słucham?

- Nie mam pieniędzy - wyszeptała. - Nic mi nie zostawili.

Uniósł ją i cisnął na bok. Spadła ciężko na bok, lądując w kupie śmieci.

- Masz pecha, pizdo. Ograniczę się do ostrzeżenia. Tym razem. Nie przynoś tu tego więcej. Mówię poważnie.

Jane usiadła powoli, podciągając nogi pod brodę w ochronnym geście. Dżoker zaczął się odwracać, lecz nagle udał, że skacze na nią. Pisnęła cicho. Mężczyzna ryknął śmiechem. Rudy chłopak stojący w drzwiach dołączył do niego. Opierał się o framugę, jakby było spokojne, letnie popołudnie, a on przyglądał się wygłupom kolegów. Gdy wyszedł w światło, Jane zorientowała się, że jest młodszy, niż jej się dotąd zdawało. Zaczęła w niej wzbierać odraza pomieszana z litością, lecz oba te uczucia zaraz odpłynęły po spotkaniu z wielką pustką, pozostawioną w jej ciele i umyśle przez Ti Malice. Zalała się łzami. Nagle coś w niej pękło i pokryła ją woda.

- Kurwa, co to ma być! - krzyknął mężczyzna. - Kim jesteś, do chuja?

Widząc, jak sześcióręki dżoker wzdrygnął się przed jej mocą przywoływania wody, poczuła lekką, gorzką wesołość. Skupiła się i tym razem zdołała zebrać więcej mocy. Cisnęła mu w twarz kilka galonów wody. Potem, gdy nadal prychał i ryczał z gniewu, wstała i uciekła.



Wyciągnęła wodę ze swojego ubrania najlepiej, jakpotrafiła, ale jej moc nadal była słaba i pozostało umiarkowanie wilgotne. Zapadał zmierzch, a ona wałęsała się bez celu po ulicach Dżokerowa. Bez celu? Niezupełnie. Mogła czuć się martwa, martwa i pusta, ale wypatrywała samochodu Hirma. Być może Ezili do niego wróciła albo pojechał do Wieży Asów. Jeśli do niego zadzwoni, może wyśle kogoś po nią...

Wspomnienie tego, co się zdarzyło, gdy spotkała Hirma, było jak uderzenie pięścią w brzuch. Widziała oczyma duszy jego twarz - smutek, gniew, rozpacz, obcą ciekawość, a następnie Ezili. Ezili i siebie samą...

Zgięła się wzdłuż, dławiąc się i wymiotując. Nie zważała na spojrzenia mijających ją przechodniów. O Boże, jak mogła... co ją do tego skłoniło... z Ezili. Ezili! To musiało być szaleństwo, obłąd, opętanie.

Ktoś na nią wpadł i osunęła się na ścianę budynku, płacząc w dłonie. Tak jest, to było opętanie, ale teraz minęło, pozostawiając po sobie coś gorszego od samotności. Pustka w jej wnętrzu nie przestawała rosnąć. Jane miała wrażenie, że za chwilę pochłonie ją ogromny spływ. Życia bez

pełni, którą dało jej stworzenie, bytowania bez rozkoszy, nie byłaby w stanie znieść.

Zadrzała i znowu zgięła się w pół. Rozpłakała się jeszcze silniej. Potrzebowała jego objęcia, musiała znowu poczuć się kompletna, napawać się blaskiem rozkoszy, którą tylko ono mogło jej dać. Nawet jeśli znaczyło to, że będzie musiała pójść do Ezili, do Ezili i Hirma razem, wrócić do tego baru, wyjść na scenę z hermafrodytą, mężczyzną, sześciorekim dzokerem i rudym chłopakiem jednocześnie. Nawet gdyby stwór zażądał, by po tym wszystkim poderzwała sobie gardło, to nie byłoby zbyt wiele...

- Hej. Hej. Spokojnie.

Czyjeś dłonie spoczęły na jej ramionach. Odwróciła się. Wezbrała w niej pełna desperacji nadzieja, która nagle przerodziła się w rozpacz, gdy Jane ujrzała przed sobą groteskową twarz klauna.

- Proszę sobie iść - zażądała, słabo odpychając dziwnego mężczyznę.

- Spokojnie. Chciałem tylko pani pomóc. Proszę się nie bać tej twarzy. Wiem, że wygląda głupio. Miałem pecha. Byłem w tej charakterystyce, kiedy wirus się objawił, a teraz nie mogę jej zdjąć. Ale pewnie mogło być gorzej. Wystarczy spojrzeć na panią.

Mężczyzna pociągnął ją na nogi, oparł o ścianę i otarł jej twarz chusteczką. Smutek w oczach klauna nadawał jego białej twarzy i wielkiemu, czerwonemu nochalowi jeszcze bardziej absurdalny wygląd, ale Jane nie była w nastroju do śmiechu.

- Proszę mnie zostawić - jęczała. - Nie może mi pan pomóc. Nikt oprócz niego nie może mi pomóc. Muszę go odnaleźć. - Skierowała zażawione oczy na własne ramiona. Były suche. Dotknęła swej twarzy. Również wyschła. Nie potrafiła już nawet przywołać łez. Czy te, które przelała w zaułku, były ostatnie?

- Wody! - krzyknęła. - Chcę wody!

- Sza, sza, znajdziemy gdzieś wodę - zapewnił klaun, podtrzymując ją.

- Proszę! Zabrał mi wodę!

Osunęła się na dzokera. Łkała słabo, ale łzy nadal nie płynęły.



Zwinięta na łóżku w pozycji płodu Jane słyszała głos klauna rozmawiającego z jedną z pielęgniarek, ale właściwie nie słuchała jego słów. Co jakiś czas jej ciało drżało niepowstrzymanie, ale nadal była sucha. *Wysycham* - pomyślała. *Wysycham bez niego. Bez jego pocałunku, rozkoszy i poczucia pełni.*

- ...coś o wodzie - mówił klaun.

- Histeria - skwitowała pielęgniarka. - W tej chwili widzimy jej tu bardzo wiele.

- Nie - sprzeciwił się klaun. - To jest coś więcej. Mam złe przeczucia. Wskazana jest obserwacja.

- Może i tak - przyznała z westchnieniem pielęgniarka.

- Ale po prostu mamy za mało ludzi. Nowe przypadki napływają tak szybko, że ledwie nadążamy z ich rejestracją. Sami dzokerzy albo gorzej. Jeśli nie odkryjemy przyczyny, epidemia może ogarnąć całe miasto. Podjąłeś wielkie ryzyko, przychodząc tu, Boze.

Klaun chrząknął.

- Co dzoker może mieć do stracenia?

- Poznałbyś odpowiedź, gdybyś zobaczył nasz oddział zamknięty.

- Wy macie mały oddział zamknięty, a na zewnątrz jest drugi, większy. Wszyscy jesteśmy w nim uwięzieni, a kiedy po nim chodzę, znowu widzę brata wywróconego na lewą stronę. Krzyczał przy każdym uderzeniu serca. Do licha, jeśli nie macie ludzi, ja z nią zostanę i będę wypatrywał oznak zakażenia.

Ciałem Jane targnął kolejny atak drgawek. Spróbowała go stłumić, by słuchać ich rozmowy.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, Boże, ale przebadałam ją pośpiesznie w izbie przyjęć. Wszystko wskazuje na głód narkotykowy, nie na zakażenie dziką kartą.

Ta myśl wypełniła umysł Jane jaskrawym blaskiem. Dziewczyna usiadła i spojrzała na pielęgniarkę.

- Narkotyki. Potrzebuję narkotyku.

Pielęgniarka zerknęła na klauna.

- A nie mówiłam, Boże? To zwykła ćpunka, flirtująca z AIDS.

- NIE jestem ćpunką, ty suko! Jestem ASKĄ i chcę się NATYCHMIAST zobaczyć z doktorem Tachionem!

Krzyk wyrwał się gwałtownie z gardła Jane, wypełniając je bólem. Miała wrażenie, że nadal słyszy swe słowa, niosące się echem po całej klinice. I docierające do samego Tachiona, gdziekolwiek mógł się znajdować.

Najwyraźniej się nie myliła, bo po paru chwilach Takizjanin pojawił się w drzwiach. Na jego zmęczonej, zapadniętej twarzy malował się silny niepokój.

Pielęgniarka zaczęła coś do niego mówić, ale zbył jej słowa machnięciem ręki, podszedł do łóżka i ujął w dłoń rękę Jane.

- Lilio Wodna - rzekł pełnym współczucia głosem. - Co ci się stało?

Te słowa pozbawiły ją resztek panowania nad sobą. Uczepiła się go, targana suchym płaczem. Objął ją, czekając, aż atak minie, a potem popchnął z powrotem na łóżko.

- Nie zostawiaj mnie tak! - zawołała, łapiąc go za rękę.

- Sza, Jane. Zostanę z tobą. Jeszcze parę minut.

Zauważyła, że jest nie tylko zmęczony, lecz kompletnie wyczerpany, ale wyparła ten fakt ze świadomości. Przyszedł tu, by jej pomóc. Musiał to zrobić. W końcu to wszystko było jego winą, to zaś oznaczało, że od czasu do czasu musi pracować pomimo kompletnego wyczerpania. Taki już był jego los, niemający nic wspólnego z tym, co ją spotkało.

- Potrzebuję narkotyku - oznajmiła drżącym głosem.

- Podano mi coś... to nie była moja wina. Nie chciałam tego brać. Zmuszono mnie. Nie chcę już więcej tego brać, ale muszę to robić, bo inaczej mogłabym umrzeć. Nie wiem...

- Co to było? - zapytał cicho, popychając ją na łóżko, kiedy spróbowała wstać.

- Nie wiem! - warknęła niecierpliwie. - Coś, co dociera prosto do miejsca przyjemności i wywołuje... sprawia... byłam zmuszona... muszę dostać jakiś środek. Coś z twojego świata, co mógłbyś wyprodukować. Coś, co by mnie wyleczyło albo zastąpiło tamto jak metadon...

- Potrzebujesz metadonu? - zapytał z przerażeniem na twarzy.

- Nie, nie metadonu. Czegoś jak metadon. Czegoś z twojego świata, dzięki czemu przestałabym pragnąć...

Tachion otarł twarz dłonią.

- Proszę. Gadasz od rzeczy. Spróbuj się uspokoić. Jeśli uzależniłaś się od jakiegoś narkotyku, mogę cię wysłać do innej kliniki...

- To nie jest narkotyki! - krzyknęła, ale Tachion zasłonił uszy dłońmi. - Przepraszam, och, serdecznie przepraszam - ciągnęła, przechodząc w szept. - Ale to nie narkotyki, nie do końca. To



jest jak narkotyk...

Takizjanin odsunął się od niej i wcisnął dłonie w czoło.

- Jane, proszę. Nie potrafię już zliczyć, ile godzin jestem na nogach. Nie mogę nawet uspokoić cię mocą umysłu. Pielęgniarka poda ci środek uspokajający i przeniesie cię do innego szpitala.

- Nie, proszę, nie odsyłaj mnie!

Złapała go za ramię, ale wyszarpnął się z jej uścisku.

- Nie możesz tu zostać. Potrzebujemy łóżek dla nowych przypadków.

- Ale... ale...

Odsunął się od niej stanowczo.

- Pielęgniarka poda ci adres pobliskiej kliniki. Tam mogą ci pomóc. Albo zapytaj na zewnątrz. Na pewno znajdziesz kogoś, kto wskaże ci źródło, jeśli o to ci chodzi. - Wstał i podszedł znużonym krokiem do drzwi. Zatrzymał się jeszcze, by obejrzeć się na nią. - Nie spodziewałem się, że tak skończysz, Lilio Wodna. Hiram Worchester na pewno jest bardzo rozczarowany.

Jane zaniemówiła. Opadła na poduszkę i wpatrzyła się w sufit. Tachion był zmęczony, tak wyczerpany, że widział w niej tylko kolejną narkomankę. *Hiram Worchester na pewno jest bardzo rozczarowany.* Na myśl o Hiramie głód eksplodował w niej z taką siłą, że zerwała się z łóżka i popędziła prosto ku drzwiom.

W progu zderzyła się z pielęgniarką.

- Hej, chwileczkę - powiedziała kobieta i wręczyła jej kartkę papieru. - Doktor Tachion kazał mi podać pani nazwę kliniki...

Jane wyrwała kartkę z jej ręki i wlepiła spojrzenie w papier, próbując utopić go w strumieniu wody, który zamieniłby go w pulpę, ale straszliwy głód znowu jej to uniemożliwił. Spojrzała na pielęgniarkę.

- Nie dostanę narkotyku? - zapytała wojowniczym tonem.

- Nie tutaj, proszę pani - odparła kobieta, obrzucając ją twardym spojrzeniem.

Jane nadal mogła przywołać odrobinę wody, choć raczej w konwencjonalny sposób. Splunęła na papier i cisnęła nim w twarz pielęgniarki. Potem odwróciła się i pobiegła ku wyjściu.



Przy po raz czwarty wybranym przez nią numerze automatyczna sekretarka umilkła nagle.

- Lepiej, żeby to było ważne - odezwał się niski głos.

Jane odebrało mowę. Stała w budce telefonicznej, ściskając bezsilnie słuchawkę.

- No dobra, chłopcze, miałem Princea Alberta w puszcze, ale wypuściłem go w zeszłym tygodniu. Zadzwoń do mamy.

Usłyszała, że zaczyna odkładać słuchawkę.

- Croyd! - zawyła.

Czuła, jak na dźwięk kobiecego głosu przestawiły się przekładnie w jego umyśle.

- Słucham.

- T-to ja. Jane. Jane Dow - dodała, starając się zachować spokój.

- Jane. No proszę. - Jego pełen zadowolenia śmiech drażnił ją okropnie. - Zatem nie wyrzuciłaś numerów, które ci wtedy dałem. Słyszę, że ciężko oddychasz. Czy wszystko w porządku?

- Nie. Tak. To znaczy...

Osunęła się po ścianie budki, ściskając słuchawkę w obu rękach.

- Jane? Jesteś tam?

- Tak. Oczywiście. To znaczy... - Wyprostowała się powoli, starając wziąć się w garść, znowu stać się kelnerką z Wieży Asów, która z taką swobodą flirtowała z mężczyzną o fasetkowych oczach. Wypełniająca Jane pustka sprawiała, że ta kobieta wydawała się jej kimś obcym. - Jestem tutaj, a ty jesteś tam. To znaczy, że któregoś z nas z pewnością znajduje się w niewłaściwym miejscu.

Jej głos załamał się przy ostatnim słowie. Wcisnęła knykcie dłoni w usta, by stłumić odgłos płaczu.

- Jeśli masz na myśli to, że chciałabyś zmienić ten stan rzeczy, to będzie najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałem. - Przerwał. - Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Coś ukrytego w głębi umysłu Jane próbowało jej powiedzieć, że Croyd sprawia wrażenie, jakby sam był u kresu sił, zignorowała jednak ten głos. Jeśli ktokolwiek może znaleźć dla niej odpowiedni narkotyk, to właśnie on. Żadna cena nie byłaby zbyt wysoka.

- Wszystko będzie w porządku, jeśli mi podasz swój adres - odparła drżącym głosem. - Naprawdę bardzo chcę się z tobą zobaczyć - dodała, kiedy nie odpowiadał. - Proszę?

- Nigdy nie potrafiłem się oprzeć kobiecie, która mówi „proszę”. Powiedz mi, gdzie jesteś, a ja ci wytłumaczę, jak najlepiej do mnie dotrzeć...



Drzwi uchyliły się, tworząc szeroką szparę. Na Jane skierowały się lśniąca owadziim chłodem lustrzanki. Croyd oblizał wargi i otworzył drzwi szerzej.

- Zapraszam do salonu, Lśniacooka, jeśli wolno mi zacytować, co powiedział pajak do muchy. Obawiam się, że salon jest dosyć kiepski.

Głos mężczyzny brzmiał inaczej niż poprzednim razem, a on sam był wyższy i miał całkowicie białą skórę, ale dobór słów nie pozostawiał wątpliwości, że to Croyd.

Weszła do obskurnego jednopokojowego mieszkania, oświetlanego jedynie przez kilka małych lamp ustawionych w dziwnych miejscach. Meble również nie prezentowały się nadzwyczajnie. Komoda mogąca pochodzić z tego samego pchlego targu, na którym kupiono lampy, stary drewniany stół i dwa krzesła oraz rozpadająca się kanapa nieopodal okna. Nie wyglądało to zbyt zachęcająco, ale Jane powiedziała sobie, że nie przyszła tu po zachętę.

- To nie jest miejsce, w którym zwykle przyjmuję gości - wyjaśnił Croyd, zamknawszy drzwi na cztery zamki., Potem zwrócił się w stronę Jane, uniósł rękę do okularów i ponownie oblizał wargi. - Obawiałem się, że nie jestem w stanie zaoferować ci zbyt wiele, jeśli chodzi o przekąski, ale mogę zrobić każdy rodzaj dżinu z tonikiem, jakiego sobie zażyczysz.

Parsknęła nerwowym śmiechem, oplatając się ramionami.

- A ile dokładnie jest tych rodzajów?

- Hmm, jest oczywiście dżin z tonikiem. Tonik z dżinem

- mówił, przysuwając się do Jane. Cofnęła się w głąb pokoju, oplatając się silniej rękami. - Dżin z niewielkim dodatkiem toniku. Dżin bez toniku. Dżin z kostką lodu. To ostatnie brzmi dla mnie świetnie. Zastanów się nad tym.

Oblizał wargi po raz trzeci w ciągu trzech minut i poszedł do aneksu kuchennego.

Odwróciła się, próbując zapanować nad narastającym w niej drżeniem. W towarzystwie

mężczyzny, który jej pragnął, wypełniająca ją pustka stała się żrącą niczym kwas. Nawet gdyby najnowsza osobowość Croyda była samym bogiem Erosem i tak niczego by to nie zmieniło. Już sama jego bliskość przypominała jej boleśnie, że przyjemność może jej dać wyłącznie Ti Malice. Wszystko inne było wyłącznie błądą, nędzną namiastką, czymś służącym zabiciu czasu.

- Zdecydowałaś?

Poderwała się nagle, gdy dotknął jej ramienia. Odsunęła się, pocierając to miejsce, jakby zrobił się tam siniak.

- Nie. Dla mnie chyba nic... - Znowu zaśmiała się nerwowo, a potem się skrzywiła.

Croyd przechylił osobiście głowę i nagle zobaczyła w lustrzankach odbicia dwóch Jane. Zniekształcony obraz sugerował, że dziewczyna próbuje zniknąć w samej sobie.

- Jesteś pewna? - Mężczyzna uniósł szklanke, wziął do ust parę kostek lodu i rozgryzł je głośno. Jane zauważyła, że w szklance nie ma nic poza kostkami. - Absolutnie nic?

- Hmm, nie, nic... - Skrzywiła się z przeciągłym westchnieniem. - Boże, kiepsko sobie z tym radzę.

- Z czym? - Croyd wziął do ust kolejną kostkę. - Z czym kiepsko sobie radzisz, Lśniacooka?

Coś nagle chwyciło ją z tyłu za kolana. Jane usiadła ciężko na kanapie. Mężczyzna podbiegł do niej, wkładając do ust kolejną kostkę lodu. Lewą rękę położył na oparciu kanapy. Jane skuliła się trwożnie. Dotknął kolanem kolana dziewczyny, a jego ręka przesunęła się z oparcia na jej ramię. To był bardzo drobny ruch. Croyd postawił szklanke na parapecie z tyłu, poruszając zaciągniętą zasłoną. Jane zauważyła, że jego dłoń drży lekko. Przeniosła spojrzenie ze szklanki na Croyda. Wysuwał teraz język co kilka sekund, przesuując nim po wargach. Przypominało to raczej tik niż wyraz pożądania.

- Rozmawiaj ze mną, Jane - poprosił łagodnie, gdy odsunęła się na sam koniec kanapy. Położył drugą rękę na jej ramieniu. Wzdrygnęła się. Pod niezadowoleniem z dotyku, który nie był dotykiem Ti Malice, kryło się też jednak coś innego. Odnosiła wrażenie, że Croyd już od dawna biegnie, ile sił w nogach, a nie siedzi na kanapie, próbując wziąć ją w ramiona. - Rozmawiaj ze mną. Powiedz coś.

- Śpioch spid łyka, każdy zmyka - wygarnęła nagle. Te słowa przyszły do niej nieproszone.

Zamarł w bezruchu. Jane spojrzała w lustrzanki, dostrzegając w nich tylko swe bliźniacze odbicia. Pod wpływem impulsu sięgnęła po okulary, ale odsunął się od niej.

- Nie rób tego. - Rozejrzał się wokół, szukając kostek lodu. Dziewczyna wskazała głową na parapet. - Dziękuję. Spid wysusza człowieka.

- Gdzie go zdobywasz? - zapytała.

- Pytasz o spid? Dlaczego? - Przegryzł dwie kolejne kostki. - Zamierzasz nie spać przez całą noc?

- Zastanawiam się czy ten, kto ci go dostarczy, mógłby też... hmm, zdobyć inne rzeczy. - Zaczepnęła głęboki oddech. - Inne rodzaje narkotyków.

Przeszył ją krótkim, ostrym spojrzeniem. Następnie skoczył na nią, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- To boli!

Odsunęła się od lustrzanek zbliżających się do jej twarzy i spróbowała zerwać z ramienia jego palce.

- Czy jesteś na głodzie? Dlatego tu przysłaś?

Był bliski śmiechu. Wyrwała mu się, spróbowała się podnieść, potknęła się i runęła na podłogę.

- Wstawaj. - Wciągnął ją brutalnie na kanapę. - Rozmawiaj ze mną i tym razem powiedz mi

coś, czego nie wiem. Czy jesteś na głodzie?

- To nie jest tak, jak myślisz - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

- Nigdy nie jest, Lśniacooka - Znowu zaczął oblizywać wargi. To doprowadzało ją do szału. - O jaki narkotyk ci chodzi? Herę? Blue dream? Kokę? Sekobarbital? Benzetki? Tabletki odchudzające? Grzybki halucynogenne? Co sprawia ci przyjemność?

Jego głos stał się twardy i nieprzyjemny. Bez większego zdziwienia uświadomiła sobie, że podobnie jak Tachion czuje się rozczarowany tym, kim jego zdaniem się stała.

- Boże, kim mam niby być? Nową Rebeccą z Sunnybrook Farm, Słodką Dziewiczą Aską? - wrzeszczała na niego. - Czy mam stać na piedestale i grać rolę Grzecnej Pobożnej Dziewczynki, żebyście wszyscy mogli głaskać mnie po głowie i wychwalać moją cnotę, podczas gdy sami oddajecie się rozpuście? Nasza droga, mała Lilia Wodna, biała jak lilia, czysta jak dziewica! To się nie uda! Sami wciągnęliście mnie w to wszystko, w wasze głupie gierki, w pierdolone wojny gangów, musieliście wykorzystywać mnie do własnych celów, a teraz wszyscy są tak bardzo wstrząśnięci, bo okazało się, że to samo błoto, w którym wszyscy się tarzacie, pobrudziło również mnie. Czego się spodziewaliście!

Uświadomiła sobie, że klęczy nad nim na kanapie, wrzeszcząc mu prosto w twarz. Na lustrzanki spadło kilka kapek śliny. Croyd gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

- Wychodzi na to... - zaczął, robiąc przerwę na oblizanie ust - że nie tylko spid wysusza człowieka.

Jane zgięła się wóół i zaczęła łkać. Dopadł ją kolejny atak dręczącej pustki. Poczula, że dłoń Croyda spoczęła lekko na jej włosach.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła. - To boli!

- Pomyślałem sobie, że to dziwne, że nie jesteś, hmm, wilgotna, ale nie miałem pewności. W tej chwili wszystko wydaje mi się trochę dziwne. - Rozgryzł ostatnią kostkę lodu.

- Co to jest? Zwykła, stara heroina czy coś bardziej egzotycznego?

Uniosła głowę znad cuchnącej stęchlizną poduszki.

- Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała.

- Spróbuj. Powiedz mi, czego szukasz.

Z wielkim wysiłkiem wstała z kanapy i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

- Potrzebuję czegoś, co dociera bezpośrednio do ośrodku przyjemności w mózgu i stymuluje go bez przerwy.

- Każdy by tego chciał - mruknął z przygnębieniem Croyd, wypijając ostatnią kroplę wody ze szklanki.

- I? - zapytała po chwili Jane.

- I co?

- Czy znasz kogoś, kto ma coś takiego i byłby gotowy mi to sprzedać?

Roześmiał się, krótko i bez wesołości.

- Nie, do licha.

Gapiła się na niego, czując, jak pustka pochłania nadzieję, którą czuła, a wraz z nią całą resztę jej jaźni. Nagle, ni z tego, ni z owego, kichnęła.

- Na zdrowie - rzekł odruchowo. - Posłuchaj, nie ma takiej substancji, czy to pochodzenia zwierzęcego, roślinnego, czy mineralnego. Chyba że masz na myśli jakieś pięć godzin zdrowego, szalonego seksu. Obawiam się jednak, że w tej chwili stać mnie najwyżej na jedną godzinę. Okropnie się czuję, przyznając...

Wstała z kanapy i ruszyła ku drzwiom.

- Hej, zaczekaj!

Zatrzymała się i odwróciła, spoglądając na niego pytająco.

- Dokąd idziesz?

- W jedyne miejsce, które mi zostało.

- To znaczy gdzie?

Potrząsnęła głową.

- Mylisz się, Croyd. Coś takiego istnieje. Wiem o tym.

I mam nadzieję, że ty nigdy się o tym nie dowiesz. To najgorsza rzecz na świecie.

Oblizwał wargi po raz kolejny i otarł usta grzbietem dłoni.

- Wątpię w to, Lśniacooka.

- To świetnie - odparła. - Mam nadzieję, że nie przestaniesz wątpić. Zostań na miejscu. Sama otworzę sobie drzwi.

Okazało się jednak, że nie potrafi tego zrobić. Musiała cierpliwie czekać, aż Croyd otworzy wszystkie cztery zamki, by wreszcie móc umknąć przed bliźniaczymi odbiciami swej własnej, pozbawionej nadziei twarzy.



Tym razem drzwi otworzył jej Hiram. Był sam w pustym mieszkaniu. Nie musiała prosić, by ją wpuścił.

- Zostawił cię - stwierdził cicho.

- Tak - wyszeptała w odpowiedzi, stojąc przed nim ze zwieszoną głową.

- Czy... - Na moment odebrało mu głos. - Czy wszystko z tobą w porządku?

Uniosła wzrok i spojrzała na restauratora. W jego oczach odbijała się pustka, którą czuła w sobie.

- Wiesz, że nie jest w porządku, Hiram. I z tobą też nie.

- Pewnie masz rację. - Umilkł na chwilę. - Czy mogę ci coś przynieść? Szklankę wody, coś do jedzenia albo... - Jego słowa zawisły w powietrzu między nimi, bezużyteczne i absurdalne. Próbował ugasić łąką pożar lasu.

To było zbyt bolesne, by na tym poprzestać. Jane uniosła głowę z taką dozą godności, na jaką mogła się zdobyć.

- Dziękuję, filiżanka gorącej herbaty byłaby bardzo miła.

Wcale nie byłaby miła, a co więcej Jane prawie nigdy nie piła gorącej herbaty, ale przynajmniej będą mogli się czymś zająć, zamiast stać obok siebie i cierpieć razem.

Hiram poszedł do aneksu kuchennego, a Jane usiadła przy małym stoliku, gapiąc się w pustkę. Jeśli przyjemność była czymś rzeczywistym, jej brak również musiał być realny. Przedtem każdy ruch wprawiał ją w uniesienie, a teraz czuła tylko ból, zrodzony z pustki, którą po sobie zostawił. *Mój Pan* - pomyślała z tępą odrazą. *Nazwałam go swoim Panem.*

- Po tym, jak go zobaczyłaś, nie mogłem pozwolić ci odejść

- oznajmił nagle Hiram. Nie odwrócił się, a ona nie uniosła wzroku. - Jestem pewien, że to rozumiesz, skoro już wiesz.

Wyszeptała coś cicho, ale na tym poprzestała.

- Co więcej, wiele razy widział cię w moich myślach. Dlatego, kiedy się zjawiłaś... - Przerwał. - Po co tu przyszłaś?

Gdy to sobie przypomniała, wybuchła gromkim śmiechem. Zaniepokojony Hiram uniósł spojrzenie znad blatu, na którym parzyła się herbata, i spojrzał na Jane. Sprawiał wrażenie tak przerażonego, że spróbowała stłumić śmiech, ale nie była w stanie nad nim zapanować. Śmiała się coraz mocniej, potrzasała głową i machała rękami, by nie pozwolić mu się zbliżyć.

- Wszystko w porządku - wydyszała po chwili. - Naprawdę. To takie...

Znowu ogarnął ją śmiech. Trwało to blisko minutę. Hiram stał przy niej. Niemalże czuła wypływające z niego fale cierpienia.

- To takie... nieistotne - odpowiedziała, gdy wreszcie odzyskała zdolność mówienia. - Brightwater dostarczyło transport zepsutych ryb i musiałam go odesłać. Nikt nie wiedział, gdzie zdobyć świeże, a Tomoyuki powiedział, że dziś wieczór odwiedzi nas Znawca Restauracji z „Nowojorskiego Smakosza”, żeby ocenić nasz bar sushi. - Ponownie się roześmiała, ale tym razem słabo. - Chyba dziś wieczorem nie będzie baru sushi. Powiedziałam Tomowi, żeby zachorował, jeśli nie wróce za godzinę. To było... sama nie wiem. Która godzina?

Hiram nie odpowiedział.

- To pewnie nie ma znaczenia - stwierdziła, gapiąc się na niego. - Znalazłam adres na odwrotnej stronie twojej podkładki na biurko, ale nie miałam zamiaru go wykorzystywać, jeśli nie będę musiała. A doszłam do wniosku, że muszę, Wszyscy zwrócili się przeciwko tobie, Hiram. Emile ciągle powtarza, że jego zdaniem jesteś ćpunem.

- Bo jestem - potwierdził z przygnębieniem restaurator. Sprawdził imbryk i postawił go na stole razem z dwoma filiżankami. - Ty również. Podobnie jak Ezili i wszyscy, których pocałował. Jesteśmy ćpunami.

- Tak to nazywasz? - zapytała, gdy nalewał herbatę.

- A znasz jakieś lepsze określenie?

- Nie.

- To natychmiastowe, trwałe uzależnienie - ciągnął Hiram niemalże rzeczowym tonem. - On podłącza się bezpośrednio do ośrodka przyjemności w mózgu. Dlatego wszystko wydaje się takie cudowne. Jedzenie. Poruszanie się. Seks. Nawet zwykłe oddychanie. A kiedy cię opuszcza... to jest jak śmierć. Nie ma żadnego lekarstwa, żadnej ulgi. Poza pocałunkiem. Zrobiłbym dla niego wszystko. I ty też.

- Nie.

Restaurator znieruchomiał. Filiżanka zatrzymała się w drodze do jego ust.

- Musimy wziąć się w garść. Z pewnością istnieje jakieś lekarstwo albo chociaż narkotyk, który moglibyśmy brać, żeby to zablokować albo zastąpić.

- Nic takiego nie istnieje - zapewnił Hiram, potrzasał głową z niezachwianym przekonaniem.

- Musi istnieć. Moglibyśmy poszukać tego we dwoje. Poszłam do kliniki Tachiona...

Filiżanka restauratora uderzyła z trzaskiem o spodek.

- Co zrobiłaś? Poszłaś do Tachiona?

Jego twarz poszarzała. Jane obawiała się, że mężczyzna może paść trupem z przerażenia.

- Nie przejmuj się, nic mu nie powiedziałam. A on się nie zorientował. Jest zawalony nowymi przypadkami dzikiej karty. Nie zadał sobie trudu, by odczytać moje myśli. Ale gdybyś poszedł tam ze mną i porozmawiał z nim...

- Nie! - ryknął. Podskoczyła nerwowo, rozlewając herbatę. Hiram natychmiast poszedł po ścierkę i zaczął wycierać stół. - Nie - powtórzył, tym razem znacznie spokojniej. - Jeśli ktoś się dowie, zabiją go. On nie przeżyje bez ludzkiego żywiciela. Stracimy go i nadal nie będziemy mieli lekarstwa. Będziemy musieli tak żyć aż do śmierci. Czy potrafiłabyś to znieść?

- Boże, nie - wyszeptwała, kładąc czoło na dłoni.

- W takim razie nie gadaj głupstw. - Restaurator cisnął ścierkę do zlewu. - Wszystko będzie w porządku. Naprawdę. Przez większość chwil nie jest tak źle. Uwierz mi. W końcu, czy żąda aż tak wiele w zamian za przyjemność, którą nam daje? Bardzo często zostawia nas samym sobie, a tak naprawdę wcale nie jest zły. Czy nie pozwoliłabyś mu żyć, gdybyś była jedynym wierzchowcem? Gdybyś wiedziała, że bez ciebie umrze, czy dopuściłabyś do tego?

Cofnęła rękę, potrząsając głową.

- Hiram, nie masz pojęcia, co mnie spotkało.

- A ty nie masz pojęcia, co mnie spotkało! - krzyknął. Uklęknął, by spojrzeć jej w twarz, i z przerażeniem ujrzała łzy w jego oczach. - Cokolwiek zrobiłaś, to nie może się równać z moimi uczynkami! Myślisz, że nie czułem się okropnie? Strach przed wykryciem, bezsilność, myślałem o samobójstwie, niech ci się nie zdaje, że nie myślałem, ale nasunęła mi się okropna myśl. Co jeśli istnieje życie pozagrobowe i jego w nim nie będzie? To byłoby prawdziwe piekło! Pytasz, czy wiem, co cię spotkało? A co z tym, co spotkało mnie? Oddałem mu przyjaciółkę! Przysiągłem, że tego nie zrobię, ale i tak zrobiłem! Oddałem mu ciebie!

Odsunęła się od niego.

- Jezu, Hiram, żałuję, że nie zginęłam tej nocy, gdy Astronom przybył do Wieży Asów. Żałuję, że nie pozwoliłeś mi spaść!

- Ja też tego żałuję! - ryknął na nią.

Te słowa niosły się echem w ciszy, która zapadła. Jane ze zdumieniem uświadomiła sobie, że wszystko się skończyło. Praca w Wieży Asów. Zobowiązania, jakie miała wobec Hiram, życie aski, o ile kiedykolwiek rzeczywiście je prowadziła. Wszystko zostało zniszczone i oboje nie mieli teraz zupełnie nic.

- Nie jesteś mokra - uświadomił sobie z opóźnieniem restaurator.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

Hiram wskazał głową na sypialnię. Poszła tam bez sprzeciwu i położyła się na podłodze obok łóżka. Cokolwiek miało się teraz wydarzyć, nie była na to gotowa.

Nagle zawładnęło ją wyczerpanie. Oparła głowę o skraj materaca i zapadła w osobliwy półsen. Słyszała dźwięki rozmowy dobiegające z drugiego pokoju, ale nie wywierały na niej żadnego wrażenia, nawet w chwili, gdy Hiram podniósł gniewnie głos. Po nieokreślonym czasie poczuła, że ktoś się zbliża. Spróbowała uciec w nieświadomość, umknąć przed tą obecnością. Wyobraziła sobie, że Hiram uczynił ją nieważką i może odpłynąć od niego.

Ale silne ręce uniosły ją i cisnęły na łóżko. Opierała się słabo, trzepocząc powiekami, niespokojna, lecz oszołomiona. Potem poczuła lekki jak piórko dotyk małych palców na plecach i wyciągnęła posłusznie szyję, gotowa na pocałunek.



Scena, do której doszło w salonie, była niepokojąca, ale Jane znajdowała się daleko ponad takimi sprawami. Pan wprowadził ją w stan uniesienia. Rzecz jasna, był tu Hiram, a także Ezili oraz dwóch mężczyzn, których nie poznawała i nie czuła się nimi zainteresowana. Był tu również nie kto inny, jak Emile. Leżał na dywanie, związany i zakneblowany. Pan nakazał jej skierować na niego uwagę. Posłuchała go, jednocześnie napawając się odzyskanym kontaktem.

- Jane - odezwał się Hiram z napięciem w głosie.

Zwróciła ku niemu zaszklone z rozkoszy oczy. Miał wyraźne trudności z patrzeniem na nią, czy może na jej Pana. To jednak nie miało znaczenia. Wszystko znowu wyglądało tak, jak powinno.

- Jane!

- Słyszałam cię - odparła, całkowicie szczęśliwa. - O co chodzi?

- Dlaczego dałaś Emileowi klucz do mojego gabinetu?

Pan rozkazał jej odpowiedzieć i posłuszeństwo wprawiło ją w zachwyt.

- Przekazałam mu kierownictwo pod swoją nieobecność. To wydawało się logiczne.

- Kiedy dawałem ci ten klucz, powiedziałem, że nie wolno ci go dawać absolutnie nikomu. Bez względu na powód.

- To było całe wieki temu, nim jeszcze wyruszyłeś w podróż dookoła świata. Kiedy wróciłeś, myślałam, że o tym zapomniałeś. Uznałam, że to nie ma znaczenia, bo i tak już o to nie dbasz.

Na jej twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech.

Hiram zaciskał pięść, ale Jane się nie bała. Pan był przy niej i nie miała powodów do obaw. Zdumiewał ją fakt, że za drugim razem kapitulacja może być tak nieporównanie głębsza.

Za trzecim zapewne całkowicie zatraci się w Panu, osiągając absolutną doskonałość. Nie mogła się doczekać tej chwili.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co uczyniłaś, Lilio Wodna - rzekł z przygnębieniem restaurator. - Zabiłaś tego człowieka.

Coś w niej poderwało się nagle, gdy usłyszała swe imię aski, ale natychmiast o tym zapomniała. Panu to się spodobało. Lubił wodę, która spływała jej po twarzy, ciekła z włosów, wsiąkała w ubranie dziewczyny i w dywan pod jej stopami.

- Jeśli ona była odpowiedzialna - usłyszała własny głos, przemawiający na rozkaz Pana - w takim razie powinna sama załatwić tę sprawę, nieprawdaż?

- To ją zabije - sprzeciwił się restaurator. - Albo doprowadzi do szaleństwa.

- Już jest szalona. - Pan nakazał jej zaśmiać się za niego.

- I właściwie nie jest też zbyt interesująca, pomijając jej moc.

Jej twarz zwróciła się w stronę Emilea. Mężczyzna otworzył szeroko oczy. Spod knebla popłynęły rozpaczliwe dźwięki.

- Przygotuj go dla niej, Ezili - rozkazał Pan. - Ciekawi mnie, jak to będzie wyglądało.

Haitanka zaczęła ściągać spodnie wyrrywającemu się więźniowi. Jeden z nieznanych Jane mężczyzn obalił go na plecy, wciskając jego związane dłonie w podłogę, i uklęknął na jego barkach. Emile zaczął krzyczeć, ale przez knebel przedostawały się jedynie stłumione jęki. Gwałtownie szarpnął związanymi nogami, ale mężczyzna klęczący na jego barkach wzmocnił ucisk i więzień znieruchomiał.

Po chwili Ezili wstała i otarła delikatnie usta.

- Spraw mu przyjemność, mała dziewczynko.

Jane podeszła do Emilea i uklękła przy nim. Pan wyjaśnił już jej bez słów, czego od niej oczekuje. To nie było zbyt wygórowane żądanie. Pragnął się dowiedzieć, jakie to wrażenie, a jej jedynym w życiu zadaniem było pokazać mu to. Ściągnęła suknię i swobodnym ruchem zerwała majtki.

Przerażenie w oczach Emilea wzmocniło jej wrażenia, gdy stanęła nad nim okrakiem i osunęła się na niego. Zesztywniał. Usłyszała, że stęknął z bólu. Po chwili rozległ się plusk wypływającej z niego w rytm jej ruchów wody. Kolejne wrażenia. Jane oddała się im, pozwalając, by jej świadomość się rozplynęła, jakby ona również była płynem. Gdzieś pośród całej tej rozkoszy zagubiła się maleńka Jane, sprzeciwiająca się krzykiem tej zbrodni, ale maleńka Jane nie miała



większego znaczenia w obliczu takiej przyjemności i mocy. Wszystko, co trzeba będzie poświęcić, by zadowolić Ti Malice, zostanie poświęcone. Gdyby Emile wiedział, jak to jest, mógłby dobrowolnie złożyć się w ofierze. To było coś więcej niż zaszczyt. To było błogosławieństwo. To był akt łaski. To był...

Spojrzała Emileowi w oczy. Nieruchomy, zeszywniały mężczyzna gapił się na Ti Malice. Fale przyjemności rozstały się nagle. Na moment między Jane a jej Panem pojawiła się drobna szczelina. Dziewczyna otworzyła usta, by krzyknąć, ale fale zamknęły się znowu i opadła na twarz. Woda wypłynęła z niej i z Emilea szerokim strumieniem.

Ti Malice mówił do niej, grzebiąc w jej wrażeniach i myślach. Roześmiał się na wspomnienie o klinice doktora Tachiona (*Nie, mały wierzchowcu, nie ma narkotyku, który docierałby bezpośrednio do miejsca przyjemności, jak to nazywasz*), zwracając szczególną uwagę na informację o nowym ataku wirusa (*Nigdy byś mnie na to nie naraził, mały wierzchowcu, oddałbyś życie, żeby mnie przed tym ochronić*). Ciało Jane poruszało się i wyginało z rozkoszy, a ona oddawała cześć stworowi siedzącemu na jej karku. Obiecywała mu wszystko, co tylko miała. *Wszystko. W każdej chwili.*

Poczuła, że przywrócił jej pełną świadomość, by mogła ją skupić na Emile u.

*Wszystko. W każdej chwili.* Pan kazał jej przywołać łzy do oczu mężczyzny i oboje przyglądali się, jak Emile próbuje usunąć je mruganiem. Stworzenie bardzo lubiło talent Jane i pragnęło więcej tego rodzaju wrażeń. Spełniła jego życzenie, przywołując wodę wyłącznie z ciała jeńca, a nie z otaczającego je powietrza, ponieważ Pan był tak bardzo zadowolony. Podsunął jej kolejną sugestię. Rozkosz wzmogła się znowu. Emile szarpnął się pod nią. Przymus szybko zmienił się dla niego w ból. *Gdyby tylko wiedział, czemu służy jego ciało - pomyślała.*

Było jej teraz łatwiej władać mocą niż przedtem. Z pewnością dlatego, że znowu była kompletna. Przyglądała się z przyjemnością płynącą z Ti Malice, jak krew wypływa z porów skóry krzyczącego pod kneblem Emile a. Nigdy sobie nie uświadamiała, że przywoływanie wody z ciała żywej istoty zamiast z martwego powietrza może być aż takie ekscytujące. Gdy tylko w pełni oddała się temu wrażeniu, okazało się wspanialsze niż wszystko inne, nawet seks, który tak bardzo lubił Ti Malice.

W końcu otrzymała pozwolenie i dała się ponieść fali aż do samego końca. *Wszystko. W każdej chwili.* Eksplozja wykroczyła poza wszelką ekstazę, docierając do czegoś, co było zupełnie obce, zerwała z Jane i z Ti Malice wszelkie resztki człowieczeństwa, jakie mogli jeszcze zachować, pozostawiając jedynie twardy, jasny, gorejący blask nieodwracalnego triumfu. Na jeden wieczny moment zmienili się w żywego wirusa dzikiej karty. Nie tylko żywego, lecz również myślącego.

Potem ponownie stała się sobą i obserwowała przez mgiełkę dogasających wrażeń, jak Ti Malice drży od tego nowego objawienia. Nawet dla niego to było zbyt wiele. Jane nie była w stanie się sprzeciwić, gdy znowu ją porzucił na rzecz Ezili.

Wkrótce uświadomiła sobie, że oślepiła ją resztką płynów, które przywołała z ciała Emilea. Na podłodze pozostało tylko jego ubranie i rozsypana, przypominająca proszek substancja.

Jane runęła w ciemność, krzycząc po drodze.



Z mroku wyglądały twarze, spoglądające na nią z góry. Kazała im odejść. W pewnej chwili ujrziała oblicze Hiram. Mimo wszelkich wysiłków jego nie zdołała odegnać. Miała wrażenie, że

próbuję coś jej wytłumaczyć, ale jego słowa nie miały sensu. *Kończę z tym* - oznajmiła mu i wreszcie zniknęła.

- Umyjcie ją, dajcie jej jakieś ubranie i zabierzcie stąd - zażądała Ezili swym własnym głosem.  
- Czuję się przy niej... niespokojna - dodała ze śmiechem.

Nagle uderzył w nią głód. Jane nie była w stanie znieść nieobecności Ti Malice. Jej umysł skrył się w małym pudełeczku i spuścił się z wodą.



Wędrowała po dziwacznej, spustoszonej krainie czarów. Towarzyszył jej Sal. Tylko lekko zdziwiła się jego obecnością. Pomyślała, że zapewne Ti Malice zostawił jej tak niewiele, że sama nie jest teraz do końca realna. Było jednak miłe, że ze wszystkich duchów, jakie mogłaby spotkać, natrafiła akurat na Sala. Spotkanie z Emileem byłoby naprawdę nieprzyjemne, ale on umarł dopiero niedawno i być może jeszcze nie zdążył zostać duchem.

W ciągu kilku minut od ich spotkania, opowiedziała Salowi o wszystkim, co się wydarzyło. O wszystkich upokorzeniach, kłamstwach i złamanym obietnicach.

Zapytał ją, jakie złamane obietnice ma na myśli.

*Powiedziałam sobie, że już nigdy nie będę na nikim polegać. Pamiętasz, Sal? Po tym, co wydarzyło się w Cloisters. A teraz spójrz na mnie. Polegam na innych tak bardzo, że sama nie mogę się utrzymać na nogach.* Uświadomiła sobie, że Sal o tym wie. Po prostu chciał, żeby przyznała to przed sobą.

*W porządku. Przyznaję się. Przyznaję się do wszystkiego. Powiedziałam, że już nigdy nikogo nie zabiję, choćby był nie wiedzieć jak zły. Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że ten ktoś zabije mnie. A teraz zabiłam Emilea, bo on chciał patrzeć na jego śmierć.* Nie musiała tłumaczyć, kim jest „on”. Sal o tym również wiedział.

Zawsze też obiecywałam sobie, że będę... odpowiedzialnie traktować swoje ciało. Być może łatwiej było się wycofać, niż przyznać przed sobą, że nigdy nie będziemy mogli być razem.

Sal uznał to za nieco zabawne. W końcu był nie tylko gejem, lecz również martwym gejem i to już od dość dawna.

No cóż, Sal. Nie żyjesz i w związku z tym nie masz pojęcia, jak łatwo jest dochować wierności czyjejś pamięci. Naprawdę łatwo, jeśli ktoś boi się spojrzeć w oczy żywemu człowiekowi. Żywi mężczyźni są naprawdę onieśmielający, Sal.

Odparł, że wie, co miała na myśli.

Tak, pewnie o tym wiesz. To zabawny zbieg okoliczności, że swój pierwszy raz przeżyłam z kobietą, a pierwszy mężczyzna, którego potem miałam, był gejem.

Sal stwierdził, że nie rozumie, co to ma do rzeczy.

No wiesz, to nawracający motyw.

Sal oznajmił, że nadal nie rozumie.

Mniejsza z tym. Po prostu cieszę się, że nie dożyłeś tej chwili i nie widzisz, co się ze mną stało. Oszczędziło ci tego utonięcie w wannie i wielka epidemia AIDS. No wiesz, jeśli już rzeczywiście musiałeś umrzeć, to było lepsze od śmierci na AIDS. Albo zabicia przeze mnie.

Sal zauważył, że nigdy nie ulegał paranoi aż w takim stopniu.

*No cóż, w dzisiejszych czasach mamy mnóstwo powodów do podejrzliwości. Niedawno się dowiedziałam, że pojawiła się zakaźna postać wirusa dzięki karty. Nikt nie wie, jaką drogą się*

*przenosi. A większość zakażonych umiera.*

Przyznał, że to z pewnością nieprzyjemna sytuacja.

*Masz absolutną rację. Ale nie wiesz jeszcze jednego, Sal.*

Zapytał ją, co ma na myśli.

*Nie sposób określić, czy ktoś się zaraził, dopóki nie wystąpię objawy. Może ja też mam tego wirusa. Może zachoruję i umrę. Mam tylko nadzieję, że nikogo nim nie zarazę.*

- Kochanie, nie ty jedna.

Jane chciała już odpowiedzieć, gdy nagle sobie uświadomiła, że naprawdę usłyszała głos Sala. Ale brzmiał jakoś inaczej. Odwróciła się ku niemu z zaskoczeniem i zobaczyła, że to nie Sal, ale jakiś nieznajomy. Chudy mężczyzna o twarzy szczura. Policzki pokrywała mu sparszywiła sierść. Miał też sterzczący nos i szczurze wąsiki.

- To jest twarz myszy, nie szczura - oznajmił mężczyzna znużonym głosem. - Można to poznać po zębach, jeśli ktoś zna się na gryzoniach. Byłem kiedyś eksterminatorem, tak? Możesz mnie ochrzanić, jeśli chcesz. Szedłem z tobą, bo chciałem się przekonać, po co taka ładna laleczka wałęsa się późną nocą po Dżokerowie. Szczerze mówiąc, masz znacznie więcej problemów ode mnie i nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Zniknął. Jane stała pośrodku chodnika, pod buczącą latarnią.

- Sal? - zapytała.

Odpowiedzi nie było.



W pierwszej chwili bała się, że wróciła do tego samego baru, ale potem się przekonała, że ten jest inny. Nie było sceny przeznaczonej do pokazów seksu na żywo, a klientela była znacznie bardziej ożywiona i jaskrawiej ubrana. Niektórzy mieli nawet kostiumy i maski.

Ujrawszy za barem bezokiego mężczyznę, wpadła w panikę, ale zaraz uświadomiła sobie, że to nie może być ten sam, którego wpuściła do limuzyny. Kiedy to było? Co najmniej tysiąc lat temu. Podeszła do baru jak lunatyczka i usiadła na jednym z wysokich stołków. Bezoki barman, świetnie radzący sobie w swoim fachu, wyprostował się nagle i zwrócił ku niej twarz.

- Kłopoty, Sascha?

Obok Jane zmaterializował się karzeł. Zacisnął na jej ramieniu masywną łapę.

Barman odsunął się.

- Nie chcę być blisko niej. Zabierz ją ode mnie.

- Idziemy, kochanie. Nie musisz wracać do domu, ale tutaj nie możesz zostać.

Karzeł zaczął ją ściągać ze stołka.

- Nie, proszę - sprzeciwiała się, próbując mu się wyrwać.

- Muszę się z kimś zobaczyć. - Wiedziała już, gdzie jest. To było jedyne miejsce, w którym mogłaby znaleźć to, czego szukała. Poczwarka albo ktoś z jej otoczenia będą wiedzieli, gdzie znaleźć narkotyki, który wypełnił pustkę wyżartą w jej wnętrzu przez Ti Malice. Zwróciła się w stronę barmana: - Proszę. Nie zrobię nikomu krzywdy.

- Wyprowadź ją - zażądał stanowczo tamten. - Nie mogę znieść tego wrażenia.

Jane rozejrzała się szaleńczo wokół i zobaczyła Poczwarkę siedzącą przy stoliku w kącie. Szarpnęła się ze wszystkich sił i wyrwała z uścisku.

- Hej! - zawołał karzeł.

Ignorując spojrzenia pozostałych gości, Jane przemknęła między stolikami do miejsca, w którym siedziała Poczwarcka. Dzokerka skierowała na nią niezwykle niebieskie oczy, unoszące się w pustych oczodołach.

- Mam cię!

Karzeł dogonił ją i objął w talii. Osunęła się na kolana, ale zdołała się przeczołgać przez krótki odcinek dzielący ją od krzesła Poczwarcki, ciągnąc za sobą mężczyznę.

Właścicielka lokalu uniosła palec. Karzeł rozluźnił uścisk, ale nie zwolnił go całkowicie.

- Potrzebuję informacji - rzekła cicho Jane. - O narkotyku.

Poczwarcka nie odpowiedziała. Z jej osobliwej twarzy nie sposób było niczego odczytać.

- Uzależniono mnie od czegoś wbrew mojej woli. Potrzebuję... Potrzebuję... - Pogrzebała w kieszeni spodni i jakimś cudem znalazła tam pieniądze, mały, płaski zwitek banknotów. Rozwinęła je pośpiesznie i wyciągnęła rękę. - Mogę zapłacić. Mogę zapłacić za...

Poczwarcka zerknęła przelotnie na banknoty. Jane również na nie spojrzała. Były tylko trzy. Dwie dziesięciodolarówki i jedna dwudziestka. Czterdzieści dolarów. Kiepski żart.

Właścicielka lokalu potrząsnęła głową i machnęła ręką.

- Jak mówiłem, kochanie - odezwał się karzeł. - Idziemy.

Opierała się o ścianę budynku, trzymając w dłoni zmiętoszone banknoty. Pustka w niej rosła. Jane pomyślała, że głód zaraz rozszczępi ją na dwoje.

- Przepraszam.

*Kim Toy.*

Jane zamrugała. Uświadomiła sobie, że to nie jest Kim Toy. Ta kobieta była młodsza i wyższa. Rysy twarzy również miała inne.

- Widziałam, jak Poczwarcka cię wykopała. Ma niezły tupet. Ten kurdupel przeprowadził cię obok mojego stolika i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już cię kiedyś gdzieś widziałam.

Jane odwróciła się od niej.

- Zostaw mnie - mruknęła, ale kobieta podeszła bliżej.

- Coś mi się zdaje, że pracowałeś dla Rosemary Muldoon. Zgadza się?

Jane odsunęła się chwiejnym krokiem od kobiety, a potem upadła na ręce i kolana. Ogarnęło ją drżenie. Pod warstwą bólu kryło się jednak coś więcej, choroba o bardziej fizycznym charakterze. Jakby zaczynała się grypa albo coś gorszego. Ta myśl była tak absurdalna, że Jane omal nie parsknęła śmiechem.

- Hej, jesteś chora, czy co? - Kobieta pochyliła się nad nią z zatroskaniem, wspierając dłonie na jej ramionach. - Jesteś na głodzie? - zapytała cicho.

Jane poczuła, że płacze bez łez.

- Chodź - rzekła kobieta, pomagając jej wstać. - Każda przyjaciółka Rosemary Muldoon jest też moją przyjaciółką. Chyba potrafię ci pomóc.



Choć pustka nie przestawała pożerać jej od środka, Jane była zachwycona widokiem luksusowego mieszkania. Zatopiony salon był wielki jak sala balowa. Dominującym kolorem był tu delikatny, perłowy róż. Nawet jedwabne tapety i ogromny kryształowy żyrandol miały tę barwę.

Kobieta poprowadziła ją w dół po schodach i posadziła na wielkiej, miękkiej kanapie.

- Nieźle, co? Z zewnątrz wygląda jak rudera, a w środku jak niebo. Musiałam grubo posmarować, żeby nie zdjęto tabliczki „DOM DO ROZBIÓRKI”. Renowację ukończono w zeszłym tygodniu. Nie mogłam się doczekać, kiedy przyjmę tu jakichś gości. Czego chcesz się napić?

- Wody - odparła słabo Jane.

Stojąca przy barku na drugim końcu pomieszczenia kobieta obejrzała się przez ramię. Na jej twarzy pojawiło się coś przypominającego uśmiech.

- Myślałam, że potrafisz przywołać własną.

Jane zeszywniała.

- W-wiesz...?

- Czy nie mówiłam, że cię znam? Myślisz, że przyprowadziłabym tu kogoś, kogo nie byłabym pewna? - Kobieta przyniosła Jane kryształowy kielich wypełniony lodowatą wodą i usiadła obok niej. - Oczywiście, nie wszystko tu jest moje. Właściwie to własność ludzi, dla których pracuję. Nie muszę dodawać, że to najlepsza robota, jaką miałam w życiu.

Jane wypila łyk wody. Jej ręce zaczęły niepowstrzymanie drżeć. Wręczyła kielich kobiecie, żeby nie rozlać wody. Znowu dopadły ją fizyczne dolegliwości. To było jak kurcze, tyle że obejmujące całe ciało. Zamarła w bezruchu, dopóki nie ustąpiły.

- Cokolwiek ci dolega, mam nadzieję, że to nie zaraźliwe - odezwała się kobieta z sympatią w głosie. - Co ci się stało? Związałaś się z jednym tych cwaniaczków otaczających Rosemary i uzależniłaś się przez niego?

Jane potrząsnęła głową.

- To nie była Rosemary.

- Nie? Szkoda. Miałam nadzieję, że nadal jesteś z nią w kontakcie. Chciałabym się z nią zobaczyć. - Pochyliła się i otworzyła różowe lakierowane pudełko stojące na wielkim stoliku przy kanapie. - Chcesz jointa, żeby złagodzić objawy? To jest lepsze niż wszystko, czego próbowałaś wcześniej.

- Nie jest - zaprzeczyła Jane, odwracając wzrok.

- A co właściwie brałaś?

- To coś, co dociera bezpośrednio do ośrodka przyjemności w mózgu. Nie chcesz tego wiedzieć.

*A może jednak by chciała* - pomyślała nagle Jane. W jej umyśle zaczął się formować plan. Co, gdyby udało jej się przyprowadzić tę kobietę do mieszkania Ti Malice i mu ją oferować? Wiedziała, że on uwielbia nowe wierzchowce.

- Och, to łatwe - zapewniła kobieta.

- Słucham?

Zdumiona Jane skierowała na nią wzrok.

Kobieta przechyliła głowę na bok, przyglądając się gościowi z zainteresowaniem.

- Mój znajomy opracował coś, co dociera wprost do ośrodka przyjemności w mózgu.

- Kto to jest? - zapytała Jane, łapiąc ją za ramię. - Czy mogłabym się z nim spotkać? Gdzie mogę go znaleźć? Jak...

- Spokojnie. Tylko bez pośpiechu. - Kobieta odtrąciła dłoń Jane i odsunęła się lekko. - To ściśle tajne. Głupio zrobiłam, że o tym wspomniałam, ale jesteś przyjaciółką Rosemary i tak dalej, więc trochę się zapomniałam. Rozluźnij się. Porozmawiamy o Rosemary.

Zapaliła jointa kryształową zapalniczką gabinetową, zaciągnęła się i podała go Jane.

Dziewczyna przyjęła jointa i spróbowała zrobić to samo co gospodyni. Dym parzył jej płuca i

zaraz go wykasłała.

- Ćwicz dalej - skwitowała kobieta, śmiejąc się lekko.

- To naprawdę pomaga.

Po kilku próbach Jane świetnie opanowała tę sztukę. A więc to właśnie mieli na myśli, mówiąc, że są na haju. Wrażenie byłoby przyjemne, gdyby nie fakt, że nie mogło jej izolować przed żarłoczną pustką. Spróbowała oddać jointa kobiecie, ale ta powiedziała jej, żeby paliła dalej, bo ona bardziej tego potrzebuje. Odłożyła go jednak ostrożnie do popielniczki z rżniętego szkła.

- Nie lubisz tego? - zapytała zaskoczona kobieta.

- Jest... w porządku - odparła Jane. Jej głos rozciągał się bez końca, jak długa, elastyczna lina. Miała wrażenie, że głowa zaraz uleci jej z ramion jak balon wypełniony helem i uniesie się pod sufit. Zastanawiała się, czy Hiram o tym wie.

Ale kobieta chciała rozmawiać o Rosemary, a Jane, rozdarta między próbami utrzymania głowy na ramionach i walką z głodem Ti Malice, miała trudności z kontrolowaniem własnym słów. Gdyby kobieta wreszcie się zamknęła, może udałoby jej się osiągnąć jakąś równowagę, zapanować na chwilę nad sobą, rozbić stojący na stoliku kielich i wbić sobie odłamek szkła w szyję. To było jedyne wyjście. Narkotyk pomógł Jane to zrozumieć. Nigdy nie uwolni się od pragnienia Ti Malice, a jeśli do niego wróci - kiedy do niego wróci - spotkają ją jeszcze gorsze rzeczy - kolejne upokorzenia, kolejne zabójstwa, a ona zgodzi się na to wszystko, tylko po to, by znowu poczuć szczęście jego dotyku. Życzyła Hiramowi, by odnalazł kogoś, kto uczyni jego życie kompletnym, a teraz to samo spotkało ją, ale tym, kogo znalazła, był Ti Malice, a nie jakiś nieokreślony mężczyzna, o jakim marzyła, przypominający częściowo Sala, a częściowo Skaczącego Ognika, a niekiedy nawet Croyda. Kolejny kiepski żart w niekończącej się serii. Musi ją wreszcie zakończyć.

Kobieta nadał gadała, ale od czasu do czasu zdarzały się dłuższe okresy ciszy. Jane wychodziła wtedy z mgły i orientowała się, że gospodyni nie ma z nią na kanapie. Kładła się wtedy, ciesząc się spokojem, ale kobieta materializowała się znowu i zaczynała głądzić o Rosemary Muldoon, aż wreszcie Jane pomyślała, że zaraz poderżnie jej gardło, tylko po to, by wreszcie uwolnić się od tego głosu.

To jednak byłaby okropna niewdzięczność. Kobieta próbowała jej pomóc. Jane o tym wiedziała. Musi jakoś się jej odwdziżyć. Coś jej zaoferować.

Numer telefonu Rosemary wypłynął na powierzchnię jej umysłu i czekał, aż go stamtąd wybierze. Po chwili zrobiła to i kobieta zniknęła na najdłuższą dotąd chwilę.

Ktoś obudził ją, potrząsając. Pierwszym, co poczuła, był głód. Zgięła się wpół, waląc pięścią w poduszkę, ponieważ to nie był Ti Malice, lecz szczupły Azjata klęczący na dywanie obok niej. Na jego twarzy malował się uprzejmy, zatroskany uśmiech.

- To jest ten znajomy, o którym ci mówiłam - odezwała się kobieta, pociągając ją, by usiadła. - Podwiń rękaw.

- Słucham? A po co?

Jane rozejrzała się wkoło, ale obraz pokoju nadal nie chciał się ustabilizować. Czuła w głowie mętlik i ciężar.

- To moje podziękowanie.

- Za co?

Poczuła, że podwijają jej rękaw Wewnętrznej powierzchni jej przedramienia dotknęło coś zimnego i wilgotnego.

- Za numer telefonu Rosemary.

- Zadzwoiłaś do niej?

- Och, nie. Ty zrobisz to za mnie. - Kobieta owięzała ramię Jane kawałkiem gumy, zaciskając mocno. - A w zamian otrzymasz wycieczkę do nieba.

Azjata uniósł strzykawkę i uśmiechnął się, jakby prowadził telewizyjny konkurs i demonstrował widzom nagrodę.

- Ale...

Kobieta podsunęła jej bezprzewodowy telefon.

- Chciałabyś znowu się z nią zobaczyć, prawda?

Jane opuściła telefon na kolana i otarła znużonym gestem twarz.

- Właściwie to nie jestem pewna.

- W takim razie lepiej się upewnij. - Głos kobiety stwardniał nagle. Zaskoczona Jane spojrzała na nią. - No wiesz, ja z pewnością chciałabym porozmawiać z Rosemary o wielu różnych sprawach. Im szybciej się z nią skontaktujesz, tym szybciej pójdziesz do nieba. Chcesz tam pójść, prawda?

- Nie wiem, czy mogę... Nie jestem pewna, czy w ogóle odbierze mój telefon.

Kobieta pochyliła się, spoglądając jej prosto w twarz.

- Nie wydaje mi się, byś miała wybór. Jesteś na głodzie i nie masz dokąd pójść. No wiesz, nie mogę ci pozwolić zostać tu na stałe. Firma, do której należy to mieszkanie, może mi nie udzielić pozwolenia na współlokatorkę. Oczywiście jeśli wyświadczysz mi przysługę, sytuacja może się zmienić.

Jane odsunęła się nieco.

- Dla kogo pracujesz?

- Nie bądź taka wścibska. Po prostu zadzwoń do niej i poproś ją o spotkanie. Tutaj, jeśli się da, albo gdzie indziej, jeśli okaże się to konieczne.

Jane chciała już odmówić, ale głód uderzył w nią po raz kolejny. Słowa uwięzły jej w gardle.

- Czy ten narkotyk jest dobry? - zapytała, spoglądając na strzykawkę.

- Najlepszy. - Twarz kobiety niczego nie wyrażała. - Czy mam wybrać numer?

- Nie - odparła Jane i wzięła telefon w rękę. - Sama to zrobię.

Mężczyzna dotknął igłą przegubu jej łokcia, a potem znieruchomiał. Z jego twarzy nie zniknął szeroki uśmiech telewizyjnego gwiazdora.



Jane ledwie była w stanie śledzić słowa Rosemary. Nie było szans, by mogła zapanować nad własnym głosem. W pierwszej chwili próbowała nadać mu przyjazny ton, ale Rosemary szybko z niej wydobyła, że ma kłopoty. Mężczyzna i kobieta nie sprzeciwiali się, kiedy to powiedziała, więc Jane brnęła dalej, błagając Rosemary, by do niej przyjechała.

Ta jednak była irytująco uporna. Powtarzała, że wyśle kogoś po Jane. Jane zaś odpowiadała, że to na nic, i nalegała, że musi to być sama Rosemary. Nikt inny, a już z pewnością nie mężczyzna. Ucieknij, jeśli zobaczy jakichś mężczyzn. To bardzo ucieszyło jej gospodarzy.

W końcu udało jej się uzyskać zgodę Rosemary. Przeczytała jej adres z kartki, którą podsunęła jej kobieta. Rosemary się zawahała, ale Jane znowu zaczęła ją błagać i tamta dała za wygraną. Ale nie tutaj, nie pod ten adres. Gdzieś na otwartej przestrzeni na Sheridan Square. Jane spojrzała na nowych przyjaciół, by się upewnić, czy się zgadzają, a potem zapewniła Rosemary,

że tam będzie.

- Kto raz był pracownikiem opieki społecznej, zawsze nim pozostanie - skwitowała kobieta, odkładając telefon. Skinęła głową do mężczyzny. - Podaj to jej.

- Chwileczkę - sprzeciwiła się słabym głosem Jane. - Jak się tam dostanę, jeśli...

- Nie martw się - przerwała jej kobieta. - Będziesz tam.

Igła wbiła się w ciało i światła zgasły.



Po jakimś czasie zapaliły się słabo i Jane zorientowała się, że stoi oparta o ścianę budynku Ridiculous Theatre Company, czekając, aż będzie mogła wejść do środka, by obejrzyć przedstawienie. To był późny spektakl, bardzo późny, ale to jej nie przeszkadzało. To był jej ulubiony teatr, a przecież była w bardzo wielu, tych małych w Soho i w East Village, a także w „Domu Lalek” w Dżokerowie, który zamknięto na krótko przed tym, nim zaczęła pracować dla Rosemary.

Rosemary. Musiała pamiętać, że ona zdradziła jej zaufanie. Być może jednak Jane na to zasłużyła, bo bardzo rozczarowała Hiramą.

Narkotyk uderzył w nią tak potężnie, że była pewna, że zwali ją z nóg. Jej ciało się jednak nie poruszyło. W żyłach dziewczyny płynął ciepły syrop klonowy, ale pod całym tym ciepłem i rozleniwieniem nadal utrzymywała się ziejąca pustka, która pochłaniała ją stopniowo. Ospalność ułatwiała głodowi miażdżenie jej kości bez oporu. Poczła powolne poruszenie w żołądku. Głowę wypełnił pulsujący ból.

Jakiś cień u jej stóp zaskrzeczał cicho. Opuściła wzrok. Gapiła się na nią wiewiórka. Stworzenie sprawiało wrażenie, że Jane naprawdę wydaje mu się interesująca. Przypomniała sobie z niepokojem, że wiewiórki to tylko szczury z ładniejszymi ogonami. Spróbowała odsunąć się od stworzenia, ale jej ciało wciąż było nieruchome. Gdzieś nad głową Jane zaskrzeczała kolejna wiewiórka. Jakieś inne stworzenie przebiegło obok, omal nie muskając jej nóg.

Kiedy wreszcie otworzą teatr, żeby mogła uciec od tych wszystkich zwierzaków? Na Sheridan Square zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, odkąd ostatnio tu była, by zobaczyć nieżyjącego już Charlesa Ludlama we wznowieniu *Sinobrodego*. Charles Ludlam... jego również kochała. To straszna niesprawiedliwość, że musiał umrzeć na AIDS.

Westchnęła.

- Jane? - odezwał się jakiś głos.

Głos Rosemary. Uniosła nagle wzrok. Czy miały razem iść do teatru? A może to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności? Nieważne, bardzo się ucieszyła na jej widok.

Spróbowała rozejrzeć się wkoło. Było bardzo ciemno. Czy naprawdę wystawiono tu sztukę o tak późnej porze? I te wiewiórki... ich jazgot doprowadzał ją do szaleństwa. Gdyby był z nią Ti Malice, dźwięk wydawałby się jej cudowny, ale kiedy była sama, tylko ją irytował.

Mrok przeszył wąski snop światła latarki. Skrzywiła się boleśnie.

- Jane? - zapytała raz jeszcze Rosemary. Była teraz bliżej.

- Jane, wyglądasz okropnie. Co ci się stało? Czy ktoś...

Rozległ się dźwięk pazurów drapiących o ścianę budynku. Jane zwróciła się w tamtym kierunku i zobaczyła stojącą w odległości kilku metrów Rosemary. W słabym blasku latarni widziała właściwie tylko ostro zarysowany cień. *To dziwne* - pomyślała nagle Jane. *Teatr*



powinien mieć zewnętrzne światła, odstraszające włamywaczy i wandalów. Wokół kostek Rosemary krążył mniejszy, mroczniejszy cień. Po chwili Jane zorientowała się, że to kot. Była prokurator okręgowy spojrzała na zwierzę, a następnie znowu na Jane.

- W jakie kłopoty się wpakowałaś, Jane?

- W najgorsze, pani Muldoon - oznajmił męski głos. - Tak samo jak pani.

Jane potrząsnęła głową, próbując sobie w niej rozjaśnić. Wracało do niej jakieś wspomnienie, coś dotyczącego Azjatki, która nie była Kim Toy, mężczyzny ze strzykawką oraz rozmowy telefonicznej...

Na Rosemary padł inny, większy cień. Nagle jej szyję otoczyło ramię, a w skroń wymierzono lufę pistoletu.

- To bardzo wymowne, że spotykamy się w cieniach - ciągnął mężczyzna.

Rosemary stała całkowicie nieruchomo, wpatrując się w jakieś miejsce położone za plecami Jane. Dziewczyna obejrzała się i zobaczyła drugiego mężczyznę, stojącego u przeciwległego końca budynku. On również trzymał w ręce gotowy do strzału pistolet. Jane, czując, że głowa zaczyna jej opadać, uniosła ją z wysiłkiem. Twarz swędziała ją nieprzyjemnie. Zapragnęła Ti Malice z siłą tak wielką, że omal nie zgięła się w pół. Jej ciała nie było jednak stać na nic więcej niż lekki spazm. *Kłamali* - pomyślała z przygnębieniem. *Kobieta i jej znajomy kłamali. Jak to możliwe, że ludzie kłamię z taką łatwością?*

Z mroku wyłonili się kolejni ludzie, kolejni mężczyźni. Otoczyli kręgiem ją i Rosemary. Nawet przez gęstą zupę wypełniającą swój umysł Jane dostrzegała ich broń oraz złe zamiary. Kobieta, która zaprowadziła ją do swego mieszkania, nie była przyjaciółką Rosemary Ani przyjaciółką Jane. Było już jednak za późno na inteligentne domysły.

- Czyż ćpuni nie są zabawne, pani Muldoon? - zapytał mężczyzna trzymający Rosemary. - Ta ćpunka zdradziła panią za jedną działkę zwykłej heroiny.

*Nie, nie, to nieprawda!* - pragnęła krzyknąć Jane, ale głód pozbawił ją głosu. Jej oczy przywykły już do ciemności i widziała, że Rosemary gapi się na nią z przerażeniem.

- Jane - odezwała się - jeśli zostało w tobie coś z osoby, którą kiedyś byłaś, możesz zmienić tę sytuację...

- N-nie jestem ćpunką... - wykrztusiła z wysiłkiem dziewczyna. Jej oczy zaczęły zapadać się w głąb czaszki.

- Z iglarzy są kiepscy asowie - dodał ze śmiechem mężczyzna. - Ona nic...

Nagle rozległ się furkot skrzydeł. Coś wypadło z nocy i uderzyło go prosto w głowę.

- Hej! - zawołał, puszczając Rosemary, która odepchnęła się od niego. Potknęła się i upadła na ręce i kolana w tej samej chwili, gdy kilka kolejnych obiektów przeleciało obok Jane, zgrabnie ominęło podnoszącą się kobietę i uderzyło w napastników.

- Trampula - wydyszała była prokurator okręgowy.

Rozległy się głośne krzyki i wrzaski, ludzkie oraz zwierzęce.

Mężczyzna, który wcześniej stał sobie tak beztrudnie przy drugim końcu budynku, oganiał się teraz od krążącego wokół jego głowy gołębia, próbując jednocześnie strącić coś z nogawki. *To szczur* - uświadomiła sobie tępo Jane. Nigdy nie widziała tak agresywnego gryzonia.

Rosemary wstała i odsunęła się od grupy zaatakowanych mężczyzn. Z mroku wypadały kolejne sylwetki, rzucające się do ataku z gniewnym sykiem, skrzeczeniem albo wyciem. Ktoś wy dostał się z ciżby i przebiegł obok Rosemary i Jane. Wrzeszczał głośno, próbując strząsnąć szczura z ramienia, a wiewiórkę z karku. Coś upadło ze stukiem u stóp dziewczyny: pistolet.

Nogi ugięły się pod nią. Osunęła się na kolana, wsparta o ścianę budynku. Uniosła pistolet i

zaczęła się na niego gapić. Potem Rosemary zaczęła nią potrząsać.

- Chodź - rozkazała, podnosząc Jane na nogi.

Pociągnęła ją za sobą i obie przebiegły przed frontem teatru, docierając do chodnika po drugiej stronie Sheridan Square.

Czekało tam na nie kilka wielkich bezpańskich psów, ustawionych w osobliwym, luźnym szyku. Jane zamrugła, gapiąc się na nie z oszołomieniem. Ledwie zdawała sobie sprawę, że Rosemary obejmuje ją ramionami. Po chwili psy się rozproszyły i uciekły w kierunku, z którego przybyły obie kobiety. Krzyki mężczyzn przeszły we wrzaski bólu, mieszające się z warczeniem i ujadaniem.

Jane szła chwiejnie, nadal podtrzymywana przez Rosemary.

- Biegnij, do cholery - wyszeptła jej do ucha starsza kobieta.

Potykała się, ledwie przytomna, aż wreszcie straszliwe dźwięki zaczęły cichnąć za ich plecami. Znowu zaczęła jej doskwierać nieobecność Ti Malice. Głód przewycięzał działanie wypełniającego jej organizm narkotyku i każdy krok stawał się coraz bardziej bolesny, aż wreszcie odzyskała w pełni przytomność.

Popchnęła silnie Rosemary, uwalniając się z jej objęć. Następnie chwiejąc się, oparła się o latarnię i rozejrzała wkoło. Na ulicach nie było nikogo poza nimi dwiema.

- Jane - odezwała się nerwowo Rosemary. - Zabiorę cię w bezpieczne miejsce. Tam będziesz mogła wytłumaczyć...

- Nie zbliżaj się do mnie! - krzyknęła dziewczyna, unosząc rękę.

Jej towarzyszka cofnęła się pośpiesznie. Jane nagle zorientowała się dlaczego. Nadal trzymała w ręce pistolet i mierzyła z niego w drugą kobietę. W pierwszej chwili miała ochotę go odrzucić, wytłumaczyć Rosemary, że nie chciała jej skrzywdzić, oszukano ją, a do tego nawet nie zdawała sobie sprawy, że ma broń. Jej intencje nie miały jednak znaczenia. Dopóki będzie żyła, każdemu, kto się do niej zbliży, będzie groziło straszliwe niebezpieczeństwo.

- Idź stąd, Rosemary - zażądała drżącym głosem, nie przestając celować w drugą kobietę. - Idź gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna, i dziękuj Bogu, że jeszcze masz takie miejsce. Bo dla mnie już go nie ma!

Starsza kobieta otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale Jane przysunęła broń bliżej.

- Spadaj!

Rosemary cofnęła się o kilka kroków, a potem odwróciła się i uciekła.

Jane przyjrzała się pistoletowi, nadal trzymając się latarni, jakby była nieszkodliwą, komiczną pijaczką. Nie wiedziała nic o broni palnej poza tym, co wiedzą wszyscy. Ale to wystarczy.

Po prostu włóż lufę do ust. Wyceluj w szczyt głowy, policz do trzech i będziesz wolna. Nic nie mogłoby być łatwiejsze.

Jej dłoń odwróciła się bardzo powoli, jakby coś wewnątrz jaźni Jane miało opory.

*Chyba że chcesz tak żyć jeszcze przez jakieś czterdzieści lat. Głód nasilił się nagle i dłoń przyspieszyła. Włóż lufę do ust i odwróć ją tak, żeby spust był zwrócony ku niebu. Metal miał kwaśny smak. Rozbolały ją od tego dolne zęby. Przełknęła ślinę z otwartymi ustami i ujęła mocniej pistolet.*

*Policz do trzech i będziesz wolna.* Przypomniała sobie, jak się czuła, gdy Ti Malice po raz pierwszy wspiął się na jej plecy i dotknął ją małymi łapkami - głodnymi, chciwymi i pewnymi siebie. Z pewnością patrzyła wtedy na Hiramę tak samo, jak później Rosemary spoglądała na nią. Ogarnęło ją spazmatyczne drżenie, osobliwy, fizyczny objaw dokuczający jej od pewnego czasu, ale nie wypuściła broni z rąk.

*Policz do trzech i będziesz wolna.* Wspomniała dotyk skóry Ezili oraz jej smak. Haitanka ucieszyłaby się, gdyby ją zobaczyła, jak stoi na bezludnej ulicy, z lufą pistoletu w ustach. (Poczuła dreszcze przebiegające jej po barkach, ramionach, tułowi, a wreszcie nogach. To było tak, jakby jej skórę ogarnął mały pożar.)

*Policz do trzech i będziesz wolna.* Przypomniała sobie Croyda i to, jak wędrowała w towarzystwie Sala, który nagle zmienił się w człowieka z głową myszy. To Sal był nią bardzo rozczarowany, nie Hiram Worchester. Sal wierzył w to, kim była, a Hiram nigdy naprawdę jej nie znał. (Jej ciało zaczynało się gotować na wolnym ogniu).

*Policz do trzech i będziesz wolna.* Uświadomiła sobie, że wszystko to straciłoby znaczenie, gdyby ktoś przyniósł tu Ti Malice, teraz, w tej sekundzie, i posadził go na jej ramionach. Natychmiast odrzuciłaby broń, by radować się jego cudowną obecnością, zapomniałaby o tym wszystkim, gdy tylko zabrałby ją do wszechświata rozkoszy, którą nalewałby w pustkę wciąż powiększającą się w niej, gdy stała tutaj, dotykając lufą podniebienia. (Ogarnęło ją wrzenie).

*Policz do trzech i będziesz wolna.* Wzrok Jane przyciągnęło drobne poruszenie. Stojący na krawężniku wróbel przyglądał się jej z błyskiem ciekawości w maleńkich oczkach. Raz jeszcze przełknęła ślinę z otwartymi ustami i zaczęła liczyć niespiesznie.

Raz. Dwa. Trzy.

Jej palce nacisnęły spust. Ni stąd, ni zowąd usłyszała w swym umyśle głos Sala. *Hej, cara mia, co ty wyprawiasz, do licha?*

W całkowitej ciszy wypełniającej ulicę trzask był ogłuszający.

Pistolet nie wypalił.

Jane osunęła się na chodnik. Zalała ją ciepła, mroczna fala gorączki.



Znajdowała się w łagodnej krainie wielu kolorów. Przychodziły i odchodziły, rozmawiając ze sobą ludzkimi głosami, a czasami zwracały się bezpośrednio do niej. Nie potrafiła im odpowiedzieć. To nie było jej królestwo, ona tu tylko czekała. Poza tym mówiły dziwne rzeczy. Na przykład: *Śpiączka jest bardzo charakterystyczna. Nie wszyscy w nią zapadają, ale kiedy się zjawi, wiemy, z czym mamy do czynienia.* Albo: *Dlaczego nie włożyć jej do wanny i już? Woda wypływa z niej tak szybko, że jej skóra zgnije, zanim będzie miała szansę umrzeć.* I najdziwniejsze: *Jane, dlaczego nie potrafiłem ci pomóc? Dlaczego pozwoliłem, by zaważnęła mną zmęczenie? Zawiodłem cię.* To był najjaskrawszy ze wszystkich kolorów, niezwyklej odcieni czerwieni, czasami zmaconej akcentami intensywnej żółci.

Po krótkiej chwili wszystkie kolory odeszły. (*Wyłączcie maszyny i zabierzcie je stąd. Ona już się nie obudzi.*) Przez pewien czas miała spokój. Potem gdzieś w oddali zadzwonił telefon.

*Do ciebie* - powiedział ktoś. Doszła do wniosku, że chodzi o nią.

*Jane. Już czas.*

Przeszła w stan niezwyklej, lekkiej jawy, przypominający świadomy sen. Głos, który słyszała, wydawał jej się znajomy. *To ty, Sal? Szukałam cię wszędzie. Gdzie jesteś?*

*Nieważne. Już czas.*

*Czas na co, Sal?*

*Na to, żebyś się obudziła. Masz do zrobienia coś bardzo ważnego. Pośpiesz się. Otwieraj oczy i wstawaj z łóżka.*

Usiadła i rozejrzała się wkoło. Była w klinice Tachiona. Jak tu trafiła?

*Nie przejmuj się tym teraz. Musisz się śpieszyć.*

*W porządku, Sal.*

Wstała z łóżka i podeszła bosą do drzwi. W wyjściu odwróciła się i spojrzała na łóżko. Leżała na nim biała sylwetka, znikająca powoli jak na zdjęciu trikowym.

Czy to byłam ja, Sal?

Byłaś. Ale już nie jesteś. Idź do końca korytarza. Szybko. Nie ma czasu do stracenia.

Miała wrażenie, że płynie w powietrzu, a palce jej bosych nóg unoszą się kilka centymetrów nad zimną podłogą. Doszła do wniosku, że to świetny sposób chodzenia. Umarłym było znacznie wygodniej niż żywym.

Nie umarłaś.

Przyjęła te słowa ze spokojem. Nie warto było się o to spierać.

Te drzwi. Po prawej. Wejść do sali.

Wsunęła się do środka i uniosła się nad jednym z dwóch łóżek, spoglądając z góry na pacjenta. Kiedyś mogłaby poczuć na jego widok przerażenie i litość, ale teraz przyglądała mu się z całkowitym, racjonalnym spokojem. Ogromna głowa spoczywająca na poduszce była usiana kraterami niczym księżyc, ale w każdym kraterze znajdowało się oko, a większość z nich była otwarta. Wszystkie patrzyły na nią z równym spokojem.

Obok jednego z oczu otworzyła się mała dziura i Jane usłyszała świszczący oddech.

- Kim pani jest? Lekarką?

Słuchaj bardzo uważnie, bo muszę cię opuścić. Zapamiętaj wszystko dokładnie.

Przeszyło ją lekkie ukłucie strachu.

*Znowu mnie opuszczasz? Czy nie możesz zostać?*

*Nie mogę. Ale zostawię ci dar. Jest bardzo ważny. Dostałaś go od Croyda.*

*Co to jest?*

*Przekonasz się.*

Coś w otaczającym ją powietrzu się zmieniło. Uświadomiła sobie, że została sam na sam z dżokerem.

Dłoń Jane poruszyła się bez udziału jej woli i odsunęła kołdrę, odsłaniając resztę ciała pacjenta. Niemal w całości pokrywały je kraterzyki z oczami i najwyraźniej w każdej chwili formowały się nowe. Będzie musiała się śpieszyć, żeby nie zrobić mu krzywdy.

Weszła na łóżko obok dżokera i uśmiechnęła się. Na szczęście jeden fragment jego ciała nadal był wolny od oczu. Zaczęła w tym miejscu, poruszając się bardzo delikatnie.

- Hej, co pani robi, do licha?

Nie mogła mu tego wytłumaczyć, ale też nie było to konieczne. Z pewnością świetnie widział, co robiła.

- Hammond. Hej, Hammond! Obudź się. Powiedz mi, że to nie sen!

Zignorowała dźwięki dobiegające z sąsiedniego łóżka. Nie zwracała uwagi na nic poza stojącym przed nią zadaniem. Tyle, że słowo „zadanie” nie było tu zbyt odpowiednie. Miłość nie była zadaniem. Była czymś, co mogło dokonać cudów.

Poczuła, że dłonie dżokera poruszają się ostrożnie po jej ciele. Zadrżał z bólu. Oczy. Musiało go okropnie boleć, jeśli coś go dotykało. Zastanawiała się, kto był tak bezmyślny, że nakrył go kołdrą. Być może po prostu czekali, aż umrze. W końcu to był oddział opieki paliatywnej.

- Nie bój się - rzekła mu. - Zrobię wszystko sama.

- Rób, co tylko zechcesz! - zawołał i jęknął z rozkoszy, gdy znalazł się w niej.

Uszczęśliwiona Jane pomyślała, że kiedy to jest miłość, wszystko wygląda inaczej. Kiedy to jest miłość, nie może być miejsca na wstyd ani ból. Kiedy to jest miłość, pragnie się uzdrowić tę drugą osobę ze wszystkich chorób. I kiedy to jest miłość, naprawdę można tego dokonać.

Rozpostarła dłonie na piersi dzokera i położyła na niej głowę, by słuchać bicia jego serca. Objął ją ramionami. Gdy kołysali się razem, poczuła wracającą do nich siłę. W porównaniu z tym Ti Malice oferował tylko bladą, żalostną imitację pocałunku.

Z tą myślą nadeszła świadomość, że straszliwa pustka we wnętrzu Jane zniknęła. Była wolna. Wyprostowała się i krzyknęła z radości.

Odpowiedziały jej liczne głosy.

To było tak, jakby nagle włączono światło. Była przytomna, naprawdę przytomna. Uświadomiła sobie, że dosiada okrakiem mężczyzny leżącego w szpitalnym łóżku. Całkowicie normalnego mężczyzny, który miał dwoje, tylko dwoje, zielonych oczu oraz ciemnoblond włosy, i patrzył na nią z błogim uśmiechem na młodej, zwyczajnej twarzy.

- Proszę pani, to dopiero była kuracja!

Odwrociła głowę i zobaczyła, że salę za jej plecami wypełniają liczni dzokerzy o najrozmaitszych kształtach. Były tu też dwie pielęgniarki i lekarz, siłą powstrzymywani przez tłum. Po chwili zdołali się wyrwać, podbiegli do łóżka, ściągnęli z niego Jane i przyjrzeni się pacjentowi.

- Widziałam to, ale nie mogę w to uwierzyć!

- Na moich oczach...

- Myślałam, że on już nie żyje...

- Kim pani jest? W której sali pani leży?

Cofnęła się przed ich pytaniami, wpadając wprost w ramiona oczekujących dzokerów. Pokraczny mężczyzna o zniekształconej twarzy spojrzał jej w oczy.

- Czy mogę być następny? - zapytał.

- Nie, ja! - sprzeciwił się ktoś inny.

Ręce wyciągały się ku niej. Mężczyźni ciągnęli Jane na wszystkie strony, próbując ją obalić na podłogę.

- SAL! - zawołała.

Pomieszczenie nagle wypełniło się mgłą. Z korytarza napłynęła potężna fala wody, zwalając wszystkich z nóg. Jane pozwoliła, by woda poniosła ją aż do łóżka byłego dzokera. Potem przetoczyła się na wezgłowie i zsunęła na podłogę. Do sali napłynęły jeszcze gęstsze kłęby mgły. Dziewczyna przeczołgała się między mokrymi, zdezorientowanymi, wrzeszczącymi ludźmi i uciekła przez otwarte drzwi na korytarz.

Nim rozbrzmiał alarm, zdążyła już opuścić budynek.



Mała restauracyjka z pewnością nie przypominała Wieży Asów, a napiwki były tu znacznie niższe, ale za to goście nie oczekiwali zbyt wiele. Większość ledwie na nią spoglądała. Kelnerka, ostrzyżona na punka, w niedopasowanym białym kombinezonie wiszącym na niej niczym worek, nie przyciągała w tej części miasta szczególnej uwagi. Właścicielką była gruba, opiekuńcza kobieta imieniem Giselle, która zwała ją Jagniętkiem. Jej wymagania ograniczały się do przychodzenia do pracy na czas oraz zapamiętywania wszystkich dobrych kawałów

opowiadanych przez klientów. Giselle zbierała kawały, a regularni goście zawsze z chęcią przynosili jej nowe.

Jednym z nich był dwugłowy mężczyzna, zawsze zjawiający się rano w poniedziałki, środy i czwartki po kanapkę z jajkiem i boczkiem. Zawsze przynosił/przynosili coś nowego.

- Hej, słyszałaś najnowszy kawał? - zapytał/zapytali, gdy postawiła talerz przed nim/nimi. - Mam dla ciebie dwie wiadomości. Dobrą i lepszą.

Uśmiechnęła się uprzejmie do jednej głowy, a potem do drugiej. Zawsze dawał/dawali wysokie napiwki.

- Dobra wiadomość brzmi tak, że istnieje kobieta, która może cię zmienić z powrotem w natola, pieprząc się z tobą.

Uśmiech zamarł na jej twarzy, ale on/oni tego nie zauważył/ zauważyli.

- A wiesz, jak brzmi lepsza wiadomość?

Potrząsnęła głową, nie mogąc z siebie wyrzucić ani słowa.

- Jest bardzo ładna!

Obie głowy ryknęły śmiechem, przypadkowo uderzając o siebie. Spróbowała roześmiać się razem z nimi, ale nie potrafiła zdobyć się nawet na lekkie „ha, ha, ha”.

Głowy spoważniały i popatrzyły na nią, lekko rozczarowane brakiem reakcji.

- Hej, pewnie trzeba być dzokerem...

- ...żeby docenić ten kawał - dokończyła druga głowa i znowu zachichotała.

- Jest... jest bardzo dobry - zapewniła z przesadną wesołością w głosie. - Muszę pamiętać, żeby powtórzyć go Giselle, kiedy się zjawi. Chyba go jeszcze nie słyszała.

- Nie zapomnij... powiedziec jej... od kogo go usłyszałaś!

- Nie zapomnę - obiecała, uśmiechając się sztucznie do obu głów. - Daję słowo.

## Zakończenie

LEANNE C. HARPER

Rosemary gapiła się na padający za oknem wiosenny deszcz. Było szaro i brudno, całkiem jak zimą. W tle słyszała monotonny głos Chrisa Mazzucchellego. Jezu, jak mogła się związać z takim padalcem! Odkąd zaczęli się razem ukrywać, poznała różnicę między spotykaniem się z nim od czasu do czasu a przebywaniem w jego towarzystwie prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie był już w jej oczach romantycznym buntownikiem, lecz brutalnym dupkiem. Problem w tym, że był jej brutalnym dupkiem.

Spróbowała się skupić na bieżącym kryzysie, ale jej uwagę natychmiast odciągnął widok mysiego ogonka Chrisa, podskakującego w rytm kroków mężczyzny spacerującego po małym brudnym pokoju w hotelu w Alphabet City, służącym im jako kryjówka.

- Ten podstęp kosztował nas ośmiu capos. Zginęli Fiore, Baldacci, Schiaparelli, Hancock i mój brat. Schiaparelli wyglądał jak wywrócony na lewą stronę. Skóra Fiorego zmieniła się w kamień i zmarł wskutek uduszenia. Z Hancocka i Baldacciego zostały tylko kałuże, z których sterczały kości. Mój brat... - W tym momencie nawet on się zakrztusił i zawahał. - Trzech dalszych spotkał los gorszy od śmierci. Matriona i Cheng wyszli z tego bez szkody. Nic im się nie stało. Od tej chwili mogliśmy co najwyżej dotrzymać przeciwnikowi kroku. I co dostaliśmy w zamian? Siu Ma. O niej już i tak wiedzieliśmy. Jezu, już dwukrotnie próbowaliśmy ją porwać. Wiemy, kto kieruje Niepokalanymi Czapłami. Ale nadal nie mamy pojęcia, kto jest najwyższym przywódcą.

Rosemary Gambione potrząsnęła głową.

- Nawet jeśli Croyd wiedział coś naprawdę użytecznego, niczego z niego nie wyciągnęli. Rewelacja. Widmowe Pięści musiały jakoś do niego dotrzeć. Zaatakowaliśmy kilka ich operacji, straciliśmy kolejnych ludzi i nie zbliżyliśmy się ani o krok do celu. Co gorsza, użyli przeciwko nam broni biologicznej. Zastanawiam się, po czyjej stronie naprawdę stoi Croyd.

- Masz jakieś pomysły, o nieustraszonego przywódcę? Mnie nic nowego nie przychodzi do głowy. - Odwrócił się nagle w jej stronę. Na jego twarzy gniew mieszał się ze strachem.

- Zrób mi przysługę i nie wspominaj o swoim pierdolonym ojcu. Dość już się o nim nasłuchałem.

- Znajdź swojego informatora, tego Croyda. Może wie coś więcej. Spróbujmy się dowiedzieć, skąd Widmowe Pięści wzięły wirusa dzikiej karty, którego wykorzystwały przeciwko nam. Jeśli one go mają, my również musimy go zdobyć.

Rosemary pomyślała, że jeśli Rodziny zostały aż tak daleko z tyłu, już przegrały wojnę. Nie powiedziała jednak tego na głos. Była jedynym donem, który pozostał przy życiu. Wszystkich pozostałych wykończyły Widmowe Pięści. Sytuacja zaczynała przypominać wojnę wietnamską, a oni znaleźli się po niewłaściwej stronie.

- Zrobię, co będę mógł. Ale pewnie jest już w pierdolonej Mongolii Zewnętrznej.

Jej pomysł nie zrobił na Mazzucchellim zbyt wielkiego wrażenia.

- Chris, znajdź go - zażądała Rosemary, celowo przemawiając tonem sierżanta na placu musztry. Podejrzewała, że nie zawsze wykonuje jej rozkazy. Zastanawiała się nad tym, w jaki sposób gazety tak szybko odkryły jej prawdziwą tożsamość i czy źródłem przecieku mógł być któryś z członków Rodziny. Mazzucchelli zerknął na nią z pośpiesznie ukrytą nienawiścią.

- Jak sobie życzysz, moja droga. - Chris przeszedł przez cały pokój, zanim skierował się ku drzwiom. - Swoją drogą, może ci się wydać zabawne, że nasz chłopak Maczuga najwyraźniej spuścił przed kilkoma dniami łomot Jackowi Kanalarzowi Robicheaux. Pewnie dowiedział się, że Jack odmówił współpracy z nami i uznał, że powinien dać nauczkę małemu, brudnemu Cajunowi. Dałem mu za to małą premię, w twoim imieniu, oczywiście.

Rosemary usiadła na łóżku. Nie tak miało to wyglądać. Była całkowicie izolowana od ludzi. Chris powtarzał, że tylko w ten sposób można jej zapewnić bezpieczeństwo, ale ona miała już dość tej sytuacji. Spojrzała na drzwi. Czuła się jak więzień, nie jak potężny don mafii.



Trampula weszła do loftu C.C. Ryder, spodziewając się, że zastanie przyjaciółkę w studiu. Okazało się jednak że Cordelia znowu zawraca jej głowę. Zadała sobie pytanie, czego tym razem chce dziewczyna. Po drodze musiała omijać coraz liczniejszych ludzi w bezużytecznych maskach chirurgicznych. Nie czuła sympatii do tych, którzy ulegli histerii na punkcie nowej epidemii wirusa dzikiej karty. Może wyniknie z niej coś dobrego. Podeszła do kanapy w towarzystwie rudej kotki i usiadła na podłodze obok C.C. Kotka położyła głowę na kolanach Trampuli. Obie kobiety pozdrowiły ją skinieniem głowy, nie przerywając rozmowy.

- W tej Dzierzbie jest coś dziwnego. Czuję to. - Cordelia pochyliła się do przodu dla pokreślenia swych słów. - Traktują Buddygo niesprawiedliwie. To on napisał te piosenki!

- Cordelio, Muzyczna Dzierzba jest legalnie działającą firmą. Znam ludzi, którzy dla niej nagrywają. Holly sam sprzedał im prawa. To była jego decyzja. - C.C. potrząsnęła ze znużeniem głową. - W tym interesie zawsze były układy. Tak to wygląda. Z pewnością już o tym wiesz. Buddy ma nowe piosenki. Są dobre. Zostaw tę sprawę.

- Ale z rozmów z Buddym łatwo wywnioskować, że to nie była jego decyzja. On po prostu nie chce mi powiedzieć, co się wydarzyło.

Na twarzy Cordelii pojawił się wyraz świadczący, że dziewczyna nie zamierza dać za wygraną. Trampula wstała i poszła do kuchni. Obsesja na punkcie ratowania świata, jaką miała Cordelia, nieprzyjemnie kojarzyła się bezdomnej kobiecie z niektórymi młodymi zakonnkami, spotkanymi przez nią w dzieciństwie. Wszystkie chciały zostać prawdziwymi świętymi.

- W dawnych czasach muzyków często oszukiwano. Popatrz na Little Richarda. To było złe i niesprawiedliwe, ale nie można nic w tej sprawie zrobić. Buddy ma teraz na głowie inne problemy. Koncert zakończył się sukcesem. Zapomnij o tym.

- Ale widziałas, jak wyglądał przed kilkoma tygodniami. Grał w Holiday Inn w New Jersey. Ktoś musi mu pomóc. Ja to zrobię.

W oczach Cordelii błyszczał ferwor konwertytów.

- Niech Buddy sam zajmie się swoim życiem.

- Hej, tym razem to nawet nie jest mój pomysł. Chcą się ze mną zobaczyć.

Dziewczyna niewinnie zamachała rękami w powietrzu.

C.C. potrząsnęła głową z rezygnacją.



- Na czym polega twój wielki plan?

Trampula ukroiła jeden kawałek cheddaru dla siebie i drugi dla kotki. Następnie wróciła do pokoju, skubiąc ser.

- Jutro mam się spotkać z przedstawicielem Dzierzby. Odkładałam datę, żeby upłynęło jak najwięcej czasu od koncertu. - Cordelia przysiadła na kanapie, oplatając rękami kolana. - Muszę się dowiedzieć, o co go zapytać.

- Ode mnie?

C.C. wyciągnęła z westchnieniem rękę i oderwała kawałek sera z ręki Trampuli.

- Tak jest. Od ciebie. Jesteś moim ekspertem od czytania umów. Będę chciała zobaczyć oryginalne umowy, prawda?

- Gwarantuję, że ci ich nie pokażą.

- Znajdę jakiś sposób. - Uśmiechnęła się bez śladu zażenowania. - Hej, muszę już lecieć.

Cordelia wstała i ruszyła ku drzwiom.

- Zobaczymy się później. Cześć.



Chris Mazzucchelli wpadł do pokoju i zobaczył przed sobą wyciągniętego walthera Rosemary. Pomachał ospale rękami, a potem opuścił je i rzucił się na łóżko.

- Jezu, kobieto. Odłóż tę głupią pukawkę, zanim się postrzelisz.

- Nie widziałam cię od wielu dni. Gdzie się podziewałeś?

Kobieta opuściła pistolet, ale nie schowała go do kabury.

- Byłem grzecznym chłopcem. Szukałem Croyda, jak tego chciałaś. - Chris przetoczył się i wsparł na łokciach. - Mam dla ciebie jego adres.

- Nie bądź śmieszny, Chris. Nie mam zamiaru stąd wychodzić. To zbyt niebezpieczne.

- Gdybyś się naraziła na odrobinę „niebezpieczeństwa”, może uświadomiłabyś sobie, z czym mamy do czynienia, bo teraz z pewnością nic nie wiesz. - Mężczyzna usiadł na łóżku. - A może twoje serce tego nie wytrzyma? Twój sławetny ojciec nigdy nie ukrywałby się przed wszystkimi, jak ty.

- W porządku. - Wiedziała, że Chris ją prowokuje, ale problem w tym, czy wystarczy mu odwagi, by ją zabić. - Gdzie?

- W Dżokerowie. W hotelu w pobliżu portu. - Chris uśmiechnął się, nie skrywając triumfu. - Nie sądzisz, że to odpowiednie miejsce?

Wstał, podszedł do Rosemary i pogłaskał ją po policzku. Zesztywniała, ale nie odsunęła się.

- Chodź, kochanie. Mamy czas do jutra.

Minęło kilka godzin, zanim zdołała się go pozbyć. Gdy wreszcie ją opuścił - powiedział, że musi poczynić niezbędne przygotowania, by zapewnić jej bezpieczeństwo - poszła do łazienki i wyważyła okno. Jedną nogę postawiła na zlewie, a drugą na spłuczce, a następnie przedostała się na schody przeciwpożarowe.

Weszła na dach, przeklinając bezgłośnie przy każdym skrzypnięciu zardzewiałego metalu. Gdy już była na górze, podeszła cichutko do stadka gołębi gruchających na krawędzi dachu. Nie uciekły przed nią. Rozsypała dla nich trochę okruchów z kanapek, którymi żywiła się od tygodni.

- Trampula, pomóż mi. - Starła się spojrzeć w oczy każdemu z ptaków po kolei, zastanawiając

się, ile czasu potrzeba, by jej obraz utrwalił się w ich maleńkich mózgach. Innej szansy nie miała. - Trampula, potrzebuję cię. Chris chce mnie zabić.

Trampula była jej ostatnią nadzieją. Chris nie odważy się po prostu jej zastrzelić. To byłoby zbyt oczywiste dla garstki mafiosów, którzy nadal byli lojalni wobec jej ojca oraz nazwiska Gambione. Musiał znaleźć inny sposób. Czowała, że to właśnie ta chwila.



Trampula zdjęła z głowy słuchawki. Coś, jakieś blednące echo w jej umyśle, nie pozwalało jej się skupić na najnowszych taśmach C.C. Prześledziła impuls wzdłuż linii świadomości krzyżujących się z jej umysłem, zidentyfikowała źródło jako umysł ptaka, a następnie znalazła gołębia będącego nosicielem wizji. Rosemary ponownie wzywała ją za pośrednictwem ptasiego umysłu.

Podawała jej adres. Trampula знаła tę okolicę. Usiadła i pogłaskała rudą kotkę, zastanawiając się nad spotkaniem z Rosemary. Nie mogła już jej ufać. W wiadomości, którą zostawiła dla niej wśród gołębi, kobieta z mafii obiecała, że powie jej, kto naprawdę zabił Paula. Jej słowa zabrzmiały szczerze, ale Trampula widziała już ją w akcji. Rosemary była prawniczką. Uczono ją mówić to, co w danej chwili najlepiej służyło jej interesom.

Jednakże nawet wyuczone prawnicze sztuczki nie zdołały ukryć strachu wyczuwalnego w każdym gołębiu, do którego dotarła Trampula. Rosemary była przerażona. Bezdomna przypomniawszy sobie chwilę, gdy spotkały się po raz pierwszy.

Wówczas pracownica opieki społecznej również się bała, ale tylko tego, że nie zdoła pomóc mieszkającym na ulicy ludziom, dla których robiła wszystko, co tylko leżało w jej mocy. Przypomniawszy sobie, jak przyjaciółka zasypywała ją pytaniami o randki z Paulem, i jak poszły razem na zakupy, by znaleźć kreację, która pomoże Trampuli zrobić na nim wrażenie. Rosemary pomogła jej odzyskać część utraconego życia.

Ale ona spłaciła ten dług. Już raz uratowała życie Rosemary, kiedy zdradziła ją Lilia Wodna. Zdrada. A co z Paulem? Czy zdradzała go, pomagając Rosemary? Trampula nadal podejrzewała, że była prokurator okręgowy miała więcej wspólnego z jego śmiercią, niż chciała przyznać.

Wstała, zrzucając kotkę na podłogę, i opatulila się w kilka starych płaszczy. Nawet jeśli Rosemary kłamała w sprawie śmierci Paula, znaczyła dla niej zbyt wiele, by Trampula mogła ją teraz porzucić. Wyłączyła magnetofon i wzmacniacz. Zielone wskaźniki wypełniające pomieszczenie bladym światłem zgasły powoli. Oczy Trampuli niemal natychmiast przyzwyczyły się do ciemności. Podeszła pewnym krokiem do drzwi łoża i ruszyła w nowojorską noc.

Po zejściu na ulicę zaczęła gromadzić siły. Skontaktowała się z gołębiami, kotami i psami, a także innymi rzadszymi stworzeniami. Znalazła parę sokołów wędrownych, wilka zbiegłego od ludzi pragnących zostać jego właścicielami oraz samicę ocelota spędzającą czas na polowaniu w parkach na bezpańskie psy. Dzikie zwierzęta posłuchały jej zewu i były gotowe podążyć za nią.

Rosemary przebywała na północy, niedaleko Dżokerowa. Droga do hotelu, w którym miała się spotkać z kimś, kto zamierzał ją skrzywdzić, była długa. Trampula znalazła wejście do metra i ruszyła w drogę tunelami. Pokonała już jakieś półtora kilometra, gdy dotarł do niej zew Jacka.

Od czasu koncertu kanalarz przepadł bez śladu. Cordelia była zaniepokojona, ale doszła do wniosku, że jej wujek może robić, co zechce, i nie próbowała go odnaleźć. Jack i Trampula

unikali się nawzajem, więc ona również go nie szukała. Moc wezwania była niewiarygodna. Kobieta opadła na jedno kolano, a potem osunęła się na ziemię pod jego ciężarem.

Do jej umysłu dotarły urywki obrazów. To wystarczyło, by sobie uświadomiła, że widzi szpital. Nie to jednak było treścią wiadomości. Jack oscylował między postacią człowieka i aligatora tak szybko, jak tylko mógł. Wykorzystywał osobowość gada, by się z nią skontaktować, a ludzką do przekazywania informacji. Z wrażeń przekazywanych przez kanalarza Trampula zdołała odczytać, że dziewczyna go wezwała, ale on był fizycznie niezdolny jej pomóc.

Nie tylko zmieniał nieustannie postać, lecz również oscylował między przytomnością a śpiączką. Całą energię, którą był w stanie zgromadzić, poświęcał na przekazanie Trampuli prośby o ratunek.

Skupiła się. Wszystko, co przysyłał jej Jack, przysyłał strach Cordelii. Umysł Trampuli wypełniła kaskada obrazów. Igła, ból zastrzyku. Pusta ulica, bez pieszych i samochodów. Anonimowe budynki. Wyglądały na mieszkalne, ale nie poznawała tej okolicy.

- Gdzie, Jack? Gdzie?

W jakimś innym miejscu szorstki beton drapał jej dłonie i kolana. Gdzieś na północy, z całą pewnością. Świadczył o tym obraz tłoczących się na stokach domów mieszkalnych. Fragmentami swego rozproszonego umysłu starała się porównać to, co widziała, z obrazami postrzeganymi przez zwierzęta i ptaki w północnej części Manhattanu. Nagle straciła kontakt z kanalarzem.

- Jack!

Przez dłuższą chwilę nie odbierała go w ogóle. Był dla niej jak martwy. Obawiała się, że wysiłek, który włożył w skontaktowanie się z nią, kosztował go życie. Nagle ujrzała przez oczy Cordelii cyfry na frontowych drzwiach budynku.

- Ulica, Cordelio, ulica?

Nie miała pojęcia, czy dziewczyna ją usłyszała, ale pojawił się obraz tablic na rogu ulicy. Washington Heights. Poczula też dłonie, zaciskające się mocno na jej ramionach, oraz przystawioną do głowy lufę pistoletu. Obrazy, które poznawała, przesłaniała mgiełka. Cordelii podano jakiś środek psychoaktywny, który powodował dezorientację, nie pozwalając jej skupić się w stopniu wystarczającym, by mogła zaszkodzić napastnikom, nawet gdyby porzuciła swe zasady.

Twarz dziewczyny unosiła się w umyśle Trampuli, zabarwiona wspomnieniami jej własnymi oraz Jacka. Młodzieńczy entuzjazm i energia Cordelii, jej miłość życia i pragnienie pomagania innym, przyciągały do niej bezdomną. Na tę wizję nakładało się jednak oblicze Rosemary. Ruda kotka wrzasnęła głośno ze współczucia, wyczuwając zamęt panujący w mózgu Trampuli.

Obiecała Rosemary, że jej pomoże. Cordelia mogła pomóc sobie sama, jeśli tylko zechce skorzystać ze swego talentu. Ale czy mogła to zrobić, gdy była pod wpływem narkotyku? I czy nie zniszczyłoby to dziewczyny, jak kiedyś zniszczyło Trampulę? Rosemary zabiła Paula albo doprowadziła do jego śmierci. Bezdomna kobieta w to nie wątpiła. Nie chciała dotąd przyjąć tego do wiadomości, ponieważ rozpaczliwie pragnęła, by pozostały przyjaciółkami. Rosemary wybrała własną drogę. Cordelia nie miała jeszcze czasu wybrać swojej.

Sokoły zakręciły nagle i poleciały na północ. Ocelocica popędziła za nimi.



Ochroniarze Rosemary szli za nią brudnym korytarzem noclegowni, w której ukrywał się Croyd. O ile rzeczywiście tu był. Przypomniała sobie prowadzonych na egzekucję ludzi, których oglądała w filmach. Dwaj wysocy gangsterzy nie odzywali się do niej ani słowem. Nawet nie znała ich nazwisk. Chris powiedział jej, że zaczeka na zewnątrz, żeby obserwować. Ściany pokrywały tu plamy pleśni, a w korytarzu śmierdziało moczem oraz dymem papierosowym. Dwaj mężczyźni zatrzymali się nagle. Ten ciemnowłosy, stojący po prawej, skinął na Rosemary, każąc jej iść przodem.

Nie potrafiła określić, czy Trampula czeka tu gdzieś w ukryciu. Plan Rosemary miał jej umożliwić rozwiązanie dwóch problemów jednocześnie. Wiedziała, że zdoła przekonać bezdomną, iż za śmierć Paula odpowiadał wyłącznie Chris. Trampula zabije go w akcie zemsty, a gdy się go pozbędzie, może uda się jej jakoś dogadać z Widmowymi Pięściami i ocalić życie. Może.

Boże, błagam, niech Trampula tu będzie.



Trampula znalazła jeden z wózków silnikowych Jacka. Kanalarz kazał jej zapamiętać cały plan systemu tuneli, ciągnących się pod Manhattanem. Teraz podziękowała mu w myślach, skręcając z jednej trasy w drugą. Rzykowała wypadek, jadąc tak szybko, jak tylko było to możliwe. Mknęła na północ, mijając widoczne na ścianach znaki. Zwierzęta dotrzymywały jej kroku, poruszając się tak szybko, jak tylko były w stanie - czy to na powierzchni, czy innymi tunelami.

Dwa sokoły pierwsze przybyły na miejsce i okrążyły budynek. Trampula widziała ich oczami poczynania znajdujących się w środku mężczyźni. Cordelia kulila się w kącie. Jeszcze żyła. Bezdomna spróbowała zawiadomić o tym Jacka, ale nie otrzymała odpowiedzi. Zignorowała jego milczenie, choć nie przyszło jej to łatwo, a potem zaczęła rozmieszczać swych żołnierzy, by czekali na jej przybycie.

Okno u szczytu klatki schodowej zbudowanego w latach czterdziestych domu było rozbite. Wysłała sokoły do środka i kazała im tam czekać. Ocelocica była już niemal na miejscu. Zwierzę posuwało się nie tylko ulicami, lecz również po dachach, i dzięki temu zdołało wyprzedzić resztę. Wilk został kilka przecznic z tyłu, ponieważ starał się uniknąć zauważenia. Czarny kocur i szylkretka towarzyszyły Trampuli, ale rudą kotkę wysłała do budynku, by stała się jedną z par jej oczu. W tym zadaniu wspierały ją przyciągnięte z sąsiednich domów szczury. Wiele budynków czekało na renowację i mieszkały w nich jej stworzenia. Zwierzęta schodziły się ze wszystkich stron i kobieta czuła narastające ciepło swej mocy.

Wyszła na powierzchnię po schodach stacji przy Dwusetnej Ulicy. Była na miejscu. Sprawdziła kolejno świadomość swych zwierząt, by utrzymać nad nimi kontrolę i przygotować je do akcji. Następnie spróbowała nawiązać kontakt z Cordelią. Gdy Jack nie wzmacniał jej umysłu, dziewczyna była mentalnie ślepa. Tą częścią swej jaźni, która pozostała ludzka i która zastanawiała się, co tu właściwie robi, Trampula spróbowała nakłonić Cordelię, by zrobiła użytek ze swej mocy, żeby się bronić.

Czarnego kocura zostawiła na dole, by pilnował jej pojazdu. Nie był z tego zadowolony, ale nie chciała go narażać. Młodsza od niego szylkretkę zabrała ze sobą, ale zostawiła ją w odległości przecznicy od celu. Połączenie różnych punktów widzenia powiedziało jej, że przy głównym wyjściu poddanego częściowej renowacji budynku z czerwonej cegły czeka dwóch mężczyźni.

Ocelocica krążyła nerwowo to w tę, to we w tę, po zaułku za domem. Gdy dotknęła jej myśl Trampuli, poderwała się nagle i popędziła na łowy, poruszając się zupełnie bezgłośnie. Skoczyła na pierwszego ze strażników i rozszarpała mu gardło, nim się zorientował, że coś go zaatakowało. Drugi mężczyzna zdążył wyciągnąć pistolet, ale pierwszy strzał chybił, a nie miał szansy oddać drugiego. Trampula weszła ukradkiem do czteropiętrowego budynku, upewniwszy się, że nikt nie usłyszał strzału ani nie zauważył bezdomnej kobiety. Uniosła nagle głowę, gdy w odległości kilku przecznic rozległ się rytmiczny dźwięk alarmu samochodowego, ale nikt poza podenerwowaną ocelocicą nie zareagował na ten hałas.

Trampula nadal nie była w stanie uzyskać odpowiedzi od Cordelii. Wysłała ocelocicę i rudą kotkę przodem po schodach ewakuacyjnych i ruszyła bardzo cicho za nimi, śledząc jednocześnie obecność wszystkich swych stworzeń w budynku i poza nim. Rozciągnęła żywą sieć, otaczającą Cordelię i elegancko ubranego Azjatę, przebywających w mieszkaniu na trzecim piętrze. Biegające po ścianach i podłogach szczury powiedziały jej, że nastolatka jeszcze żyje.

Gdy tylko wdrapała się na górę, usłyszała głosy dobiegające zza uchylonych drzwi. Azjata przesłuchiwał Cordelię. Trampula nie rozumiała słów. Choć skupiła się maksymalnie, przed oczami jej umysłu przemknęła twarz Rosemary. Zepchnęła ją wraz z wywołanym tym widokiem poczuciem winy w głębinę ukrytej pod powierzchnią, w pełni ludzkiej części swej jaźni.

Szczury wypadały z bocznych pokoi i pędziły korytarzem. Trzej strażnicy stali pod drzwiami, w jasnym świetle nagich żarówek wiszących pod sufitami. Groźnie wyglądające zbiry w drogich, szytych na miarę garniturach, pod którymi ukrywali pistolety. Trampula zadała sobie pytanie, dlaczego boją się Cordelii.

Wilk wchodził na schody z drugiego końca korytarza. Ocelocica towarzyszyła Trampuli. Widok szczurów zaniepokoił elegancko ubranych zabójców. Bezdomna użyła swych innych oczu, by zajrzeć do pokoju, w którym przesłuchiwana Cordelia leżała zwinięta na podłodze. Niech szlag trafi jej katolicki kompleks męczennicy. Trampula nie zauważyła nawet najmniejszych śladów aktywności jej mocy. Dziewczyna postanowiła dotrzymać obietnicy, którą sama sobie złożyła, albo była niezdolna do działania. Potężnie zbudowany mężczyzna przypominający zapaśnika sumo i ubrany w T-shirt z podobizną Gencjanowej Góry, telekinetycznej gwiazdy tej dyscypliny, stał bez słowa w kącie, ale nawet przez oczy szczura Trampula dostrzegała żądzę krwi w jego nieustannych ruchach. Mężczyzna gapił się na Cordelię, zaciskając i rozluźniając pięści.

Trampula nagle kazała rudej kotce pobiec korytarzem z głośnym miauczeniem. Zgodnie z jej oczekiwaniami trzej mężczyźni unieśli broń, ale nie wystrzelili, kiedy zobaczyli, że to tylko kot.

- Poluje na szczury. Świetnie! - stwierdził z nadzieją jeden z mężczyzn, chowając pistolet.

Dwaj pozostali zgodzili się z nim. W tej samej chwili skoczyła na nich ocelocica. Zwierzę jednym uderzeniem łapy zdarło większą część twarzy i rozerwało tętnicę szyjną pierwszego z mężczyzn. Następnie wykorzystano jego ciało jako trampolinę i skoczyło na drugiego. Po przeciwnej stronie trzeci mężczyzna strzelał do szarej sylwetki, która biegła po podrapanej drewnianej podłodze, stukając pazurami. Tylko jedna kula musnęła zad wilka, nim zwierzę dopadło przeciwnika i zacisnęło zęby na jego gardle. Drugi mężczyzna zdołał wsadzić przedramię w paszczę ocelocicy i okładał ją kolbą pistoletu, lecz nagle wilk złapał go za wolną rękę.

Trampula wiedziała, że hałas przyciągnie uwagę znajdujących się wewnątrz mężczyzn. Mogła tylko mieć nadzieję, że Cordelia zdoła wykorzystać zamieszanie w krótkiej chwili, jaka jej została. Zapaśnik sumo był za blisko, by nastolatka mogła go powstrzymać.

Bezdomna ominęła zwłoki strażników i weszła do mieszkania, w którym przesłuchiowano dziewczynę.

Zauważyła tylko nogę w eleganckiej nogawce oraz włoski but, znikające w sąsiednim pokoju. Zapaśnika nie widziała. Cordelia podnosiła się chwiejnie na nogi, próbując coś powiedzieć. Trampula ruszyła ku niej, by przeciąć więzy, ale powstrzymała ją potężna łapa, która zacisnęła się na jej gardle.

- Zapomniałeś o mnie, szalona suko? - zapytał zapaśnik sumo z angielskim akcentem.

Wyszedł z szafy w ścianie i odwrócił Trampulę w swoją stronę. Kobieta nie była w stanie oddychać. Jej tchawica zamykała się pod naciskiem nieludzkiej siły napastnika. Zaatakowała go bezpośrednio, ale jej telepatia na niego nie działała. Ta część jej pograżającego się w mroku umysłu, która nadal mogła rozumieć ironię, uświadomiła sobie, że chodzi o to, że napastnik jest zbyt ludzki. Ruda kotka wbiła już pazury w jego nogę, ale to nic nie dało. Trampula wezwała ocelocicę i wilka, ale jej mentalna siła zanikała razem z fizyczną. Nie była w stanie przezwyciężyć głodu pragnących nasycić się mięsem zdobyczy zwierząt. Pomyślała o licznych śmierciach, które poczuła przez te wszystkie lata, i zadała sobie pytanie, jak zwierzęta zareagują na jej kres. Czy będą o niej pamiętały? Próbowwała kopać prześladowcę, lecz nie była w stanie wysunąć nóg spod spódnicy i płaszcza.

Podmuchi towarzyszący przelatującym sokołom przywrócił jej świadomość na chwilę wystarczająco długą, by zdołała usłyszeć ich łowieckie krzyki. Poczowała krew spływającą po jej twarzy. Potem ciśnięto ją na bok. Była ślepa, ale przez oczy leżącej po drugiej stronie pokoju kotki widziała, że ptaki spychają zapaśnika w stronę okna. Zasypały ją odłamki szkła. Mężczyzna runął z kilkanastu metrów na ziemię. Trampula miała wrażenie, że budynek się zatrzęsł, kiedy sumo upadł, doszła jednak do wniosku, że to z pewnością halucynacja spowodowana brakiem tlenu.

Ocelocica i wilk podkradły się do Trampuli z zawstydzonymi minami i oparły się o nią, by dodać jej sił. Czowała, że szczury biegają po całym budynku. Koty rozpraszały je, ale ich nie zabijały. Wszędzie, dokąd mogła sięgnąć, jej dzikie zwierzęta wpadły w szal. Robiła, co tylko mogła, by przywrócić je do normy i wysłać z powrotem do domów te, których mogła dotknąć. Dopiero potem jej jaźń wróciła do opustoszałego mieszkania. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Cordelia pochyła się nad nią. Ręce nastolatki nadal były związane za plecami.

- Dziewczyno, musisz wziąć odpowiedzialność za siebie i za to, kim jesteś. Nie zamierzam już więcej narażać się na coś podobnego. Nawet dla Jacka. Naucz się używać tego, co masz, albo wstąp do klasztoru.

Trampula zaczęła znowu zapadać w ciepły mrok. Nie była pewna, czy naprawdę wypowiedziała do Cordelii te słowa, czy tylko się jej zdawało.



Rosemary coraz bardziej się bała całej tej sytuacji.

Chris coś kombinował. Czowała to. Nie musiała być telepatką, by się zorientować, że ma kłopoty. Nie widziała wokół siebie żadnych zwierząt, nawet szczurów. To nie był dobry znak. Gdzie do licha podziła się Trampula?

Celowo zwolniła, posuwając się wzdłuż korytarza. Starła się skupić na niebezpieczeństwie i wykorzystać je dla własnych celów. Co czekało na nią w brudnym pokoiku, do którego miała za

chwilę wejść? Rosemary wyciągnęła broń.

Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Popchnęła je i weszła do pokoju. Jego mieszkaniac, mężczyzna, którego opisano jej jako Croyda, stał na środku, gotowy do wyjścia.

- Kim pani jest, do licha? - Wyraźnie się zdziwił na widok kobiety. Rosemary skinęła na niego pistoletem, każąc mu usiąść na żelaznym łóżku. - Jezu, Maria Gambione!

- Muszę się dowiedzieć, co pan naprawdę odkrył. - Rosemary opuściła pistolet, wskazując nim na siedzącego po drugiej stronie maleńkiej izdebki mężczyznę. Trzymała broń równie pewnie, jak na ćwiczeniach. - Nigdzie pan nie pójdzie.

Stojący na podeście schodów przeciwpożarowych Chris czekał, aż Rosemary złapie wirusa. Próbował nakłonić ją myślą, by zbliżyła się do Croyda. Nie słyszał, o czym rozmawiają, ale nie miało to znaczenia, o ile Śpioch zrobi jej to samo, co uczynił capos. Chris wiedział, że tamten zdobył gdzieś dostęp do wirusa. Nic innego nie mogłoby wykonać takiej sztuki. Dlaczego nie chciała podejść bliżej?

Zauważył, że uniosła pistolet. Croyd poruszył się szybciej. Nim Chris zdążył zejść mu z drogi, mężczyzna wyrzucił przez okno stojącą przy łóżku lampę. Potem sam skoczył za nią, wpadając na schody ewakuacyjne. Mafioso spróbował się cofnąć, ale uciekający przed Rosemary Croyd w mgnieniu oka przemknął przez żelazny pomost. Gdy wreszcie ujrzał Chrisa, złapał go i cisnął nim na niższy pomost. Gangster zakrztusił się, próbując szczołgać się ze schodów. Kula przemknęła obok asa, który wspinał się po drabinie, pokonując dwa szczeble za każdym krokiem.

Po tym, jak Croyd wyskoczył przez okno, Rosemary zamarła w bezruchu. Gdy niosące się po całej noclegowni echa trzasku wybrzmiały, usłyszała, że dwaj ochroniarze idą po nią. Wybiegła za zbiegiem przez wybite okno i zobaczyła, że ten wspina się na dach. Strzeliła do niego - raczej po to, by skłonić go do szybszej ucieczki, niż żeby go zabić. Jedyna droga ucieczki prowadziła w dół. Na pomoście poniżej leżał Chris, kaszlący i dręczony konwulsjami. Usłyszała, że jej ludzie wyłamują drzwi do pokoju, i popędziła w dół, przeskakując nad swoim kochankiem. Nie zatrzymała się.

- Skurwysyn! - syknęła do niego, zostawiając go z tyłu, i zbiegła na ulicę.

Wiedziała już, że ludzie Chrisa zabiją ją, jeśli tylko zdołają ją dopaść. Jeśli będzie szybka i szczęście się do niej uśmiechnie, może uda jej się zgubić ochroniarzy oraz ludzi przy wejściu. To była jej jedyna szansa.

## Koncert dla syreny i serotoniny

### VI

Croyd pojechał taksówką na drugi koniec miasta, po czym wrócił okrężną trasą do swego mieszkania w Morningside Heights. W środku było ciemno. Otworzył drzwi pośpiesznie i cicho. Pod pachą trzymał owiniętą w zdobny papier paczkę zawierającą środki przeciwbólowe i antyhistaminowe oraz ważące ponad kilogram pudełko z czekoladkami. Włączył światło w korytarzu i wsunął się do sypialni.

- Veronico? Nie śpisz? - wyszeptał.

Nikt mu nie odpowiedział.

Zapalił lampę stojącą przy łóżku. Kobieta zniknęła, jej rzeczy również. Rozejrzał się wkoło, poszukując wiadomości. Nie znalazł jej. Może w salonie. Albo w kuchni. Tak jest. Najprawdopodobniej zostawiła kartkę na lodówce, by mieć pewność, że Croyd ją znajdzie.

Wyprostował się i znieruchomiał nagle. Czy to był krok? W salonie?

- Veronico?

Nikt mu nie odpowiedział. Nagle sobie uświadomił, że postąpił głupio, zostawiając drzwi otwarte, nawet jeśli na zewnątrz nikogo nie było... Zgasił lampę. Podeszedł do drzwi, opadł bezgłośnie na podłogę, wysunął głowę na zewnątrz i cofnął ją pośpiesznie.

Pusto. Nikogo nie zauważył. Wstał i opuścił sypialnię, zmierzając z powrotem do salonu.

Gdy wyszedł zza rogu, ujrzał w bladym świetle płynącym z korytarza tygrysa bengalskiego. Bestia poruszyła ogonem i skoczyła na Croyda.

- Cholera jasna! - skwitował mężczyzna. Upuścił prezent dla Veroniki i odskoczył na bok.

Pękający tynk posypał się na podłogę. As odbił się od ściany. Pomarańczowo czarny bark musnął go w locie. Mężczyzna wyprowadził potężny cios, ale jego pięść ześliznęła się po boku zwierzęcia. Usłyszał jego warknięcie i skoczył do salonu. Tygrys odwrócił się szybko i podążył za nim. Croyd złapał masywne krzesło i cisnął nim w bestię, która znowu na niego skoczyła.

Trafiony krzesłem tygrys ryknął. Mężczyzna przewrócił ciężki, drewniany stół, uniósł go niczym tarczę i rzucił się do ataku. Bestia otrząsnęła się z warknięciem, odtrącając krzesło na bok. Następnie odwróciła się, przyjmując uderzenie płaskiego blatu na gładki, potężnie umięśniony bark. Uniosła łapę, uderzając nią nad górną krawędzią blatu. Croyd pochylił się i popchnął stół.

Wielki kot odskoczył do tyłu. Sekundy wlokły się powoli jak naćpane karaluchy.

- Kotku? - zapytał as.

Nic.

Opuścił stół o jakieś trzydzieści centymetrów. Tygrys skoczył na niego z rykiem. Mężczyzna uniósł stół. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem tak szybko wymachiwał meblami. Krawędź blatu z wielką siłą uderzyła tygrysa poniżej szczęki. Zwierzę jęknęło jak człowiek, obróciło się na bok i runęło na podłogę. Croyd uniósł wysoko stół i przywalił nim bestii jak gigantyczną



packą na muchy. Ponownie uniósł mebel. Zatrzymał się. Wytrzeszczył oczy.

Tygrysa nie było.

- Kotku? - powtórzył.

Nic.

Opuścił stół, a po chwili odstawił go na bok. Podeszedł do przełącznika na ścianie i włączył światło. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że koszulę ma z przodu podartą i zakrwawioną. Lewą stronę jego piersi przeszywały trzy bruzdy, sięgające od obojczyka aż po biodro.

Na podłodze zauważył coś białego...

Pochylił się, podniósł przedmiot i przyjrzał mu się uważnie. To była jedna z tych złożonych z papieru figurek, przypomniał sobie, że Japończycy nazywają je origami. To był papierowy tygrys. Zadrzał i zachichotał jednocześnie. To było coś niemal nadprzyrodzonego. Poważna sprawa. Nagle przyszło mu na myśl, że przed chwilą odparł atak innego asa, którego mocy nie rozumiał. To nie spodobało mu się nawet w najmniejszym stopniu, zwłaszcza że Veronica zniknęła, a on nie miał pojęcia, która ze stron wysłała zabójcę.

Zamknął drzwi mieszkania, otworzył prezent dla Veroniki, wyjął buteleczkę percodanu i połknął parę tabletek. Potem poszedł do łazienki, zdjął koszulę i umył pierś. Następnie wyjął z lodówki piwo i popił nim odrobinę francuskiej zielonej glinki, by stworzyć jakiś kontrast z percodanem. Nie znalazł żadnej kartki przypiętej do kartonu mleka ani nawet w szufladce z jajami. To go zasmuciło.

Gdy krwawienie wreszcie ustało, znowu się umył, zawiązał bandaż i włożył nową koszulę. Nie był nawet pewien, czy go śledzono, czy też napastnik czaił się w mieszkaniu. Tak czy inaczej, nie zamierzał tu czekać. Nie podobała mu się myśl, że zostawia Veronicę samą sobie, jeśli rzeczywiście ją porwano, ale w tej chwili nie miał innego wyjścia. Świetnie znał to uczucie: znowu chcieli go dorwać.



Croyd przemieszczał się metrem i taksówkami, a przez z górą cztery godziny szedł na piechotę. Skrył się za swymi lustrzankami, przemierzając Manhattan to w tę, to w tamtą stronę. Poruszał się skomplikowaną trasą, mającą zgubić wszystkich. Po raz pierwszy w życiu zobaczył własne nazwisko wyświetlone na Times Square.

„CROYD CRENSON - głosili litery przesuwające się wysoko na ścianie budynku - JEST PROSZONY O SKONTAKTOWANIE SIĘ Z ODDZIAŁEM RATUNKOWYM DOKTORA T”

Croyd gapił się na napis, czytając go raz za razem. Gdy już się upewnił, że to nie halucynacja, wrzucił ramionami. Powinni wiedzieć, że zjawi się i zapłaci rachunek, gdy tylko trafi się okazja. To było cholernie upokarzające. Sugerowali całemu światu, że jest spłukany. Podejrzewał, że każą mu zapłacić jak za łóżko, chociaż schówek na szcztotki powinien być znacznie tańszy. Chcieli go wycyckać, tak samo jak wszyscy. Mogą zaczekać na forszę, niech ich szlag.

Zaklął i popędził ku wejściu do metra.



Jechał na południe Broadway Line, ssąc dwa fioletowe serca oraz jedną tabletkę pyrahexu,

którą wygrzebał z dna kieszeni. Ze zdumieniem i uznaniem uświadomił sobie, że senator Hartmann naprawdę interesuje się życiem zwykłych ludzi. Jak gdyby nigdy nic wsiadł sobie do pociągu na stacji Canal Street. Potem pojawił się drugi senator Hartmann. Obaj zerknęli przelotnie na Croyda. Potem naradzali się przez chwilę. Jeden z nich wychylił się przez drzwi i wyrzycał jakieś słowa. Do pociągu wbiegli kolejni Hartmannowie. Byli wśród nich wysocy niscy i grubi, a nawet jeden Hartmann z dodatkową kończyną. Croyd nie był na tyle naiwny, by sobie nie uświadomić, że znajduje się blisko Dżokerowa i oblicze Hartmanna z pewnością jest dzisiaj twarzą Wilkołaków.

Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Najwyższy Hartmann odwrócił się, spojrzął na asa i ruszył ku niemu.

- Jesteś Croyd Crenson? - zapytał.

- Nie.

- A ja myślę, że jesteś.

Croyd wzruszył ramionami.

- Myśl sobie co chcesz, ale rób to gdzie indziej, jeśli chcesz, żebym na ciebie zagłosował.

- Wstawaj.

- Już stoję. Jestem znacznie wyższy o ciebie. Poradzę sobie z każdym.

Wysoki Hartmann sięgnął ku niemu. Pozostali ruszyli chwiejnym krokiem w ich stronę.

As wyciągnął rękę, chwycił zbliżającą się dłoń i pociągnął ją ku swojej twarzy. Rozległ się głośny chrzęst. Wysoki Hartmann wrzasnął. Croyd obrócił nagle głowę i wypluł kciuk, który przed chwilą odgryzł z trzymanej przez siebie dłoni. Potem wstał, nadal trzymając Wilkołaka lewą ręką za prawy nadgarstek. Pociągnął przeciwnika do przodu, wbił palce wolnej ręki głęboko w jego brzuch i zaczął je przesuwając w górę. Trysnęła krew.

- Ciągłe za mną łąsisz - poskarżył się as. - Jesteś naprawdę upierdliwy wiesz? Gdzie Veronica?

Mężczyzna rozkaszał się spazmatycznie. Gdy popłynęła krew, pozostałe Wilkołaki się zatrzymały. Croyd ponownie przesunął rękę, tym razem w dół. Zrobiła się czerwona aż po łokieć. Zaczął wyciągać z brzucha pętle jelit. Reszta napastników wycofała się na tył wagonu, dręczona mdłościami.

- To jest polityczna deklaracja - oznajmił Croyd, unosząc krwawiącego Hartmanna i ciskając nim w pozostałych. - Do zobaczenia w listopadzie, skurwysyny!



Croyd wysiadł szybko na stacji Wall Street, zdarł z siebie zakrwawioną koszulę i cisnął ją do kosza na śmieci. Umył ręce w zdroju ulicznym, a potem się oddalił.

- Hej, z ciebie dopiero jest białas! - zawołał za nim potężny, czarnoskóry facet.

As dał mu pięćdziesiąt dolców za jego jasnyniebieską, poliestrową koszulę z długimi rękawami, w sam raz jego rozmiar, a następnie potruchtał do Nassau Street i ruszył nią na północ, w stronę centrum. Zatrzymał się w czynnej całej dobie greckiej restauracji i kupił dwa wielkie styropianowe kubki kawy, by popijać ją po drodze. Następnie ruszył dalej, trzymając je w obu rękach.

Wreszcie dotarł do Canal Street i skręcił na zachód. Zboczył kilka przecznic z trasy, by dojść do znanego sobie lokalu. Zamówił stek, jajecznicę, kawę, sok i znowu kawę. Siedział przy oknie,

obserwując, jak robi się jasno i ulica wraca do życia. Połknął czarną tabletkę w celach leczniczych i czerwoną na szczęście.

- Hmm - odezwał się do kelnera. - Jest pan już chyba szóstą albo siódmą osobą w chirurgicznej masce, którą w ostatnim czasie widziałem...

- Wrócił wirus dzikiej karty - wyjaśnił mężczyzna.

- Słyszałem, że to tylko kilka przypadków tu i ówdzie - sprzeciwił się as.

- Niech pan posłucha jeszcze raz - odparł kelner. - Liczba zbliża się do setki. Może nawet już ją przekroczyła.

- Ale - nie ustępował Croyd - myśli pan, że ten kawałek tkaniny rzeczywiście w czymś pomoże?

Kelner wzruszył ramionami.

- Lepsze to niż nic... jeszcze kawy?

- Tak. Czy mógłby mi pan jeszcze dodać tuzin pączków na drogę?

- Jasne.

Dotarł do Bowery, idąc Broome Street, a potem skręcił w stronę Hester Street. Kiedy się zbliżył, zorientował się, że kiosk jest jeszcze zamknięty, a Jubea nigdzie nie widać. Szkoda. Miał przeczucie, że Mors mógłby podzielić się z nim użytecznymi informacjami, a przynajmniej poradzić mu, co zrobić w sytuacji, gdy obie strony w obecnej wojnie gangów próbują go załatwić w regularnych odstępach czasu. Powiedzmy co drugi dzień. Czy to przez plamy na Słońcu? Cuchnący oddech? Ściganie go celem odzyskania pieniędzy za śledztwo, które przeprowadził, szybko robiło się nieopłacalne dla mafii, a ludzie Siu Ma próbowali go wykończyć już tyle razy, że na pewno z nawiązką nadrobili utratę twarzy, na jaką ich naraził.

Ruszył w dalszą drogę, gryząc pączka. Zmierzał do swego mieszkania przy Eldridge Street. Zaczeka. Nie ma co się śpieszyć. Pogada z Jubeem przy okazji. W tej chwili pragnął tylko usiąść w wielkim, wygodnym fotelu, wesprzeć stopy na otomanie i zamknąć oczy na kilka minut.

- Cholera! - warknął, rzucając połowę pączka na schody prowadzące do pustego mieszkania w suterenie. Czyżby już zbliżała się ta pora?

Odwrocił się błyskawicznie, wykorzystując zdolność szybkich i płynnych ruchów, którą otrzymał w tym rozdaniu, po czym zszedł na dół w ślad za pączkiem. Dobiegające stamtąd astmatyczne sapanie starego psa odwracałoby jego uwagę, gdyby nie fakt, że przed chwilą ujrzał klasyczną zasadzkę na ulicy przed swym mieszkaniem.

- Niech to szlag! - dodał po chwili. Tylko jego głowa wystawała teraz nad poziom gruntu. Przed oczami miał pionowy pręt, na którym wspierała się poręcz schodów.

Jeden mężczyzna został w samochodzie zaparkowanym za budynkiem, w miejscu, skąd widział wejście. Drugi siedział na ganku, piłując paznokcie, i spoglądał z ukosa na tylne wejście do budynku widoczne po drugiej stronie bocznej zaułka.

Gdy as zaklął, rozległo się paniczne westchnienie. Nigdy nie słyszał, by jakiś pies wydawał podobne dźwięki. Spojrzał w półmrok poniżej i ujrzał drżącą, bezkształtną sylwetkę Gila, powszechnie uważanego za najbardziej odrażającego ze wszystkich mieszkańców Dżokerowa. Nieszczęśnik kulił się w kącie, jedząc resztkę wyrzuconego przez Croyda pączka.

Każdy centymetr kwadratowy jego skóry pokrywał zielony śluz, który wypływał z niego nieustannie, tworząc śmierdzącą kałużę, w której przykucnął dżoker. Ubranie, które miał na sobie, nasiąknęło paskudztwem do tego stopnia, że wszelkie jego szczegóły stały się niedostrzegalne, podobnie jak rysy twarzy mężczyzny.

- Jezu! To obrzydliwe! Jadłem tego pączka! - zawołał Croyd. - Masz nowego. - Podsunął

torebkę Gilowi, który nie ruszył się z miejsca. - Możesz je wziąć - zapewnił. Po chwili postawił torebkę na najniższym stopniu i wrócił do obserwowania obserwatorów.

Gil zjadł wyrzucony kawałek pączka i jeszcze przez chwilę pozostawał w bezruchu.

- Dla mnie? - zapytał wreszcie.

Jego głos brzmiał jak wilgotne pociąganie zatkanym nosem.

- Tak. Zjedz wszystkie. Ja już się najadłem - odparł as. - Nie wiedziałem, że umiesz mówić.

- Nie mam z kim rozmawiać - wyjaśnił dzoker.

- Aha. To wszystko wyjaśnia.

- Ludzie mówią, że tracą przeze mnie apetyt. Czy dlatego ich nie chcesz?

- Nie - zaprzeczył Croyd. - Mam pewien problem. Nie jestem pewien, co robić dalej. Kilku facetów obserwuje moje mieszkanie. Zastanawiam się, czy ich załatwić, czy po prostu sobie pójść. Ty mi nie przeszkadzasz, pomimo tego syfu, który cię okrywa. Zdarzało się, że sam wyglądałem nie lepiej.

- Ty? Jak to możliwe?

- Jestem Croyd Crenson. Ten, którego nazywają Śpiochem. Zmieniam wygląd za każdym razem, gdy zasypiam. Czasami na lepszy, a czasami nie.

- Czyja też bym mógł?

- Co? Aha, znowu zmienić wygląd? Niestety, jestem szczególnym przypadkiem. Nie potrafię podzielić się tą zdolnością z innymi. Zresztą nie chciałbyś, żeby to spotykało cię ciągle. Uwierz mi.

- Jeden raz by wystarczył - stwierdził Gil, wyciągając pączka z torebki. - Dlaczego połknąłeś tabletkę? Czy jesteś chory?

- Nie. To po prostu pomaga mi pozostać na jawie. W tej chwili nie mogę sobie pozwolić na długi sen.

- A dlaczego?

- To długa historia. Bardzo długa.

- Nikt już nie opowiada mi historii.

- A co tam. Czemu nie? - odparł Croyd.

## Więzy krwi

### IV

*Maleńka, twój pan jest idiotę.*

*Nie, panie.*

*Tak, Maleńka.*

Blaise spał zwinięty pośród zmiętoszonych poduszek na wielkim łożu z baldachimem, niemal całkowicie wypełniającym pomieszczenie będące jednocześnie mostkiem jachtu Tachiona oraz jego prywatną kabiną. Na dwóch łukowatych, opalizujących ścianach wyświetlono plan Nowego Jorku. Umieszczone na nim czerwone znaczniki połączono różnobarwnymi liniami. Obraz na trzeciej ścianie prezentował budynki i firmy, w których doszło do nowych przypadków zarażenia. Oddział Case Manhattan Bank w Dżokerowie, trzy budynki mieszkalne (jeden z nich w Harlemie), pralnia przy Bowery Street, restauracje, bary, apteki i domy towarowe.

To jest czynnik ludzki.

Tachion wstał z podłogi i otrzepał spodnie na siedzeniu, wyczuwając, że jego statek czuje się poirytowany sugestią, że nie sprząta jak należy. Statki czasami miały dziwaczne priorytety. Podejrzenie, że podłoga może być zakurzona, było ważniejsze od informacji, że Manhattanowi zagraża Tyfusowa Mary.

Czy dobrze się spisałam, panie?

Znakomicie. Po prostu żałuję, że tak późno to zauważyłem.

- Blaise, *kuket*, musimy iść. Obejmij mnie za szyję. O, tak. Grzeczny chłopiec.

Wyniósł dziecko ze statku. Zatrzymał się przy drzwiach magazynu, grzebiąc kluczem w zamku i walcząc z narastającą sennością. Był drobnym mężczyzną, a już teraz wszystko wskazywało na to, że jego wnuk przerośnie niskiego protoplastę.

Wyszli w parną noc. Była druga. Wyobrażał sobie, co mu powie Victoria Queen, gdy obudzi ją o tej porze. Musiał jednak porozmawiać o tym z kimś, komu mógł zaufać. W jakimś miejscu ludzki nosiciel choroby spał albo wędrował po ulicach Nowego Jorku.

Zacisnął konwulsyjnie ręce wokół ciała chłopca, uświadamiając sobie pewien fakt. *Nikt nie jest bezpieczny*. Gdy Blaise bawił się w parku, szedł do kliniki albo jadł w restauracji, potworna choroba mogła przejść obok, zagrażając jego wnukowi, jego rodowi, jego przyszłości. Omal nie wrócił na statek. To zło nie wtargnie na pokład Maleńkiej. Skarcił sam siebie za uleganie histerii. Na Manhattanie mieszkały miliony ludzi. Jaką miał szansę spotkać nosiciela?

To zależy od tego, kim on jest.

Jak miał to odgadnąć? Ideale, to zapewne było niemożliwe.



- To absolutnie niemożliwe-skwitowała Victoria Queen.
- Dziękuję za to niewiarygodnie pomocne spostrzeżenie.

- Szefowa oddziału chirurgii i Tachion wymienili palące spojrzenia.

Poczwarka postukała paznokciem w brzeg szklanki, produkując czysty, dźwięczny ton. Finn przełknął kolejny kęs surowych płatów owsianych Quaker Oats.

- Rozmawialiśmy z rodzinami i znajomymi wszystkich ofiar. A także z samymi ofiarami, tymi, które przeżyły. Szukamy jakiegoś wspólnego elementu, osoby, którą wszyscy sobie przypominają - poinformował ich Tachion.

- Szanse, że ktoś będzie pamiętał nosiciela, są niewiarygodnie małe - sprzeciwił się z westchnieniem Finn.

Tachion skierował na swego asystenta całą palącą moc swych liliowych oczu.

- Zatem sugerujesz, byśmy zaczekali, aż nosiciel zauważy, że ludzie wokół niego mrą jak muchy? Zresztą nawet to w niczym nam nie pomoże. - Tach potrząsnął głową, jakby czuł się zniesmaczony własną wesołkowatością. - Okres wylęgania najwyraźniej wynosi około dwudziestu czterech godzin. Nosiciel, kimkolwiek jest, może nic nie wiedzieć o swej mocy.

- Mocy - zachnęła się Poczwarka.

- Tak jest. Najwyraźniej mocą dzikiej karty tej osoby jest zarażenie innych dziką kartą. Nosiciel zapewne złapał wirusa podczas ostatniego nawrotu epidemii. Gdyby to wydarzyło się wcześniej, kryzys zacząłby się przed miesiącami albo przed latami.

- Doktorze. - Finn odgarnął z twarzy opadający kosmyk.

- To oznacza, że wirus musi mutować.

- Tak. Obawiam się, że masz rację. Doktor Corvisart będzie zachwycony.

- Kto? - zdziwiła się Victoria Queen.

- Francuski badacz, który był absolutnie przekonany, że wirus mutuje. Próbowałem mu wytłumaczyć, że znamy tylko jeden przypadek nieustannych mutacji wirusa dzikiej karty, i to tylko dlatego, że na tym polega moc tego...

- Co? Co się stało? - zapytał Finn, widząc, że twarz Tachiona zamarała w bezruchu.

Kosmita rozluźnił dłoń, zaciskając się na krawędzi biurka. On i Poczwarka wymienili spojrzenia.

- Myślisz to samo, co ja.

- Ohhh, tak.

- W takim razie, czemu nie oświecicie tych z nas, którzy nie myślą? - warknęła z goryczą Victoria Queen. Nagle się zarumieniła. - W ten szczególny sposób - dodała pośpiesznie.

- W tym mieście żyje pewien człowiek będący weteranem dzikiej karty. Zawsze, gdy zapada w sen, zaraża się wirusem na nowo. Ile razy zmienił postać w ciągu ostatnich czterdziestu lat? Dziesięć? Dwadzieścia? Trzydzieści?

- To byłby absolutnie niewiarygodny zbieg okoliczności - zastrzegła się Poczwarka.

- Zgadza się, ale musi to być zbadane.

Tachion wstał.

Finn również zerwał się na równe nogi.

- Sen?

- Tak - odparł z pewną niecierpliwością Tachion.

Wzdłuż ciała miniaturowego centaury przebiegł dreszcz, który zaczął się na głowie i przebiegł aż do ogona, wyciskając z jego płuc głęboki jęk.

- On tu był.

- Co?

- W marcu. Chciał się z tobą zobaczyć, ale jeszcze nie wrócił. Był na spidzie i najwyraźniej

obiecał jakiejś dziewczynie, że nie pójdzie z nią na randkę w takim stanie. Prosił o pomoc i pomogłem mu zasnąć.

- Jak, na Ideał? To może mieć kluczowe znaczenie.
  - Trening fal mózgowych i sugestia.
  - A kiedy się obudził i sobie poszedł?
  - Hmm, gdzieś w środku maja.
  - Maja! I o niczym mi nie powiedziałaś?!
  - Nie wydawało mi się to ważne.
  - Jest na jawie już od miesiąca - poinformowała Tachiona Poczwarcka.
  - Czy nadal mamy prowadzić te wywiady? - zapytała Victoria Queen.
  - Tak. Może uda nam się ustalić, jak obecnie wygląda. Pewnie nie widziałeś, jak wychodził?
  - Nie. Po prostu pewnego dnia zauważyłem, że go nie ma.
  - Gdzie go wsadziłeś?
  - Do schowka na szczotki.
  - Czy straciliśmy jakieś sprzętaczki? - zapytał z wisielczym humorem Tachion.
  - Mieliśmy szczęście. Niewiarygodne szczęście - mruknął Finn i się przeżegnał.
  - Słuchajcie, to trzeba zachować w absolutnej tajemnicy. Wyobrażacie sobie, jaka panika wybuchnie, jeśli opinia publiczna się dowie?
  - Prędzej czy później trzeba będzie zawiadomić władze - sprzeciwiła się doktor Queen.
  - Nie, jeśli mnie i Poczwarce się uda.
  - Nie znoszę, jak jesteś taki zarozumiały.
  - Tachion, ona ma trochę racji. Paskudnie się poczuujemy, jeśli go nie znajdziemy albo znajdziemy i okaże się, że to nie on. Ilu jeszcze ludzi będzie musiało umrzeć?
- Takizjanin nalał sobie sporą porcję koniaku, uniósł żaluzje i popatrzył na słońce, śmiało próbujące się przedrzeć przez warstwy mgły i smogu.
- Myślę, że mam słuszość, próbując najpierw samodzielnie rozwiązać ten problem. Co mógłbym powiedzieć burmistrzowi? Panie burmistrzu, jesteśmy przekonani, że po mieście krąży nosiciel dzikiej karty. Sądzymy, że jest nim Croyd Crenson. Nie, nie wiemy, jak wygląda, bo on zmienia postać za każdym razem, gdy zaśnie.
  - A może spróbowałibyśmy czegoś głupiego? Na przykład moglibyśmy dać do radia i do gazet ogłoszenia z wezwaniem „Croyd, zadzwoń do domu” - zasugerował Finn.
  - Czemu by nie? Jestem gotowy spróbować wszy-stkiego. Pytanie brzmi, ile amfetaminy zeżarł w ostatnich tygodniach.
  - Odwrócił się od okna i spojrzał na Poczwarkę. - Wiesz, jak się zachowuje pod koniec każdego epizodu.
  - Robi się z niego psychol - skwitowała kobieta.
  - Z reguły o paranoidalnych skłonnościach. Jeśli usłyszysz albo przeczyta jakieś ogłoszenia, dojdzie do wniosku, że chcą go dorwać. - Takizjanin westchnął. - I będzie miał rację.
- Znowu nalał sobie koniaku i skrzywił się, przełknąwszy trunek.
- Świetne śniadanie - stwierdziła z przekąsem właścicielka Kryształowego Pałacu.
  - Wypiję go z jajkiem, jeśli to poprawi ci samopoczucie.
  - Ostatnio często sięgasz po butelkę.
  - Może ciebie posłucha - mruknęła pod nosem Victoria Queen.
- Tachion łypnął ze złością na obie kobiety.
- Nie chciałbym powtarzać banałów, ale ostatnio przeżywałem spory stres.

- Byłeś alkoholikiem, Tachion. W ogóle nie powinieneś pić - zauważyła Poczwarzka.  
- Na Krew i Kość, co cię ugryzło? Można by pomyśleć, że wstąpiłaś do ligi trzeźwości. Czy przyjdiesz na spotkanie do Ojca Kałamarnicy i będziesz biła w bębenek? Poczwarzko, jesteś właścicielką baru.

Obserwował, jak krew napływa do jej przezroczytych policzków.

- Twój los mnie obchodzi, Tachion. Nie sprawiaj, żebym tego pożałowała. Jesteś ważny dla Dżokerowa. - Skubnęła nerwowo ramię fotela. - Może nawet dla całego kraju. Nie olej nas i nie utop się znowu w butelce. Masz prestiż potrzebny, by przeciwstawić się szefom gangów i... innym zagrożeniom. Nikt inny w tym pierdolonym pokazie dziwolągów go nie ma.

Każde jej słowo przepajała gorycz. Tachion wiedział, jak wiele kosztowało ją to wyznanie. Poczwarzka była dumna z siebie i z miejsca, w którym mieszkała, w równym stopniu jak on. Podszedł do niej powoli, zmusił się do pochylecia i dotknął policzkiem jej policzka. Nie mógł nic poradzić na to, że mimo woli zamknął oczy, ale i tak nie było tak źle, jak się tego spodziewał. Jej skóra, choć niewidzialna, była ciepła i miękka. Mógłby ją uznać za piękną kobietę. Dopóki miał zamknięte oczy. Odsunął się i uniósł palce do ust.

- Przekaż wiadomość swoimi kanałami. To musi mieć absolutny priorytet.

- Nawet przed Pięściami i Rodziną Gambione?

- Tak. Co nam po zdobyciu Dżokerowa, jeśli w zamian utracimy cały świat?

- Zachowam dla ciebie bębenek.

- Nie. Chcę dostać całą cholerną sekcję dętą.

- Czemu mnie to nie dziwi? - zapytała Finna doktor Queen.



## Koncert dla syreny i serotoniny

### VII

Gdy Gil zachorował, Croyd wyłamał zamek drzwi, które miał za plecami, i wpuścił dzokera do dwuizbowego mieszkania - porzuconego i zakurzonego - najwyraźniej służącego właścicielowi jako magazyn uszkodzonych mebli. As znalazł wytartą kanapę, na której położył pokrytego śluzem nieszczęśnika. Znalazł słoik po dżemie stojący przy zlewie w sąsiednim pokoju, przepłukał go i przyniósł choremu wody. Następnie odsunął na bok stare przybory do zażywania narkotyków i usiadł na małej, pękniętej ławce, by patrzeć, jak dzoker pije.

- Byłeś chory już przedtem? - zapytał go.

- Nie. No wiesz, zawsze czuję się, jakbym był przeziębiony, ale to jest co innego. Zupełnie tak, jak dawno temu, kiedy to wszystko się zaczęło.

Croyd przykrył dygoczącego dzokera stertą zasłon, które znalazł w kącie, a potem znowu usiadł.

- Dokończ opowiadać mi, co się wydarzyło - zażądał po chwili Gil.

- Ach, jasne.

As łyknął benzetkę i fioletowe serce, a następnie podjął opowieść. Gdy Gil stracił przytomność, nawet tego nie zauważył. Mówił dalej aż do chwili, kiedy się zorientował, że skóra dzokera wyschła. Znieruchomiał, przyglądając mu się uważnie. Rysy twarzy chorego zaczęły się powoli zmieniać. Nawet na spidzie Croyd potrafił rozpoznać początek zakażenia dziką kartą. Ale z drugiej strony nawet na spidzie nie widział w tym sensu. Gil już był dzokerem. Nigdy nie słyszał o nikim - poza sobą samym - kto zaraziłby się po raz drugi.

Potrząsnął głową, wstał i zaczął spacerować po pomieszczeniu. Po chwili wyszedł. Było już popołudnie i znowu czuł się głodny. Po jakimś czasie zauważył, że obserwacją jego mieszkania zajęła się nowa zmiana. Postanowił, że jednak nie załatwi tych ludzi. Najrozsądniej będzie, jeśli wyskoczy coś przekąsić, a potem wróci, żeby mieć oko na przekształcającego się Gila, dopóki przełom się nie zakończy, w jedną czy w drugą stronę. Potem się zmyje i poszuka lepszej kryjówki.

W oddali zawyła syrena. Ponad dachami przemknął kolejny helikopter z czerwonym krzyżem. Leciał z południowego wschodu, kierując się w stronę górnej części Manhattanu. Przez głowę Croyda przesunęły się wspomnienia pierwszego, szalonego Dnia Dzikiej Karty. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie znaleźć nową kryjówkę jeszcze przed posiłkiem. Znał jedną melinę niedaleko stąd. Mógł się do niej dostać prosto z ulicy i wpuszczać go, nie zadając pytań, pod warunkiem że będą mieli wolne miejsce. A na ogół mieli. Skręcił, żeby to sprawdzić.

Druga syrena odpowiedziała pierwszej z przeciwnej strony, niczym godowy zew. Croyd pomachał ręką do faceta wiszącego na latarni głową w dół, ale ten się obraził albo przestraszył i odleciał.

Skądś dobiegły go dźwięki megafonu. Ktoś wymienił jego nazwisko. Zapewne opowiadał o

nim okropne rzeczy.

Zacisnął palce na błotniku zaparkowanego samochodu. Metal zgrzytnął, gdy Croyd go szarpnął, oddzierając szeroki pas. Następnie odwrócił się, zgiął go i złożył. Z ran w jego dłoni płynęła krew. Znajdzie ten megafon i zniszczy go, nawet jeśli umieszczono go wysoko na ścianie budynku albo na dachu radiowozu. Nie pozwoli, by go obgadywali. Nie...

W chwili klarowności uświadomił sobie, że to by go zdradziło przed wrogami. A wrogiem mógł być każdy. Każdy z wyjątkiem tego faceta z dziką kartą. Gil nie był w tej chwili niczym wrogiem. Croyd cisnął trzymanym w dłoni kawałkiem metalu na drugą stronę ulicy, a następnie odchylił głowę do tyłu i zawył. Sytuacja znowu się komplikowała. I robiła nieprzyjemna. Potrzebował czegoś, co uspokoi mu nerwy.

Wsadził krwawiącą rękę do kieszeni i wyciągnął garść tabletek. Połknął wszystkie, nawet się im nie przyglądając. Musi się doprowadzić do porządku, by zdobyć dla siebie pokój.

Przycesał palcami włosy, otrzepał ubranie i ruszył naprzód w swym normalnym tempie. Droga nie była długa.

## Więzy krwi

### V

Mężczyzna zacisnął połączone błoną palce na nadgarstku Tachiona, wskazał na bloczek i nabazgrał na nim: „Ile czasu mi zostało?”.

- Kilka dni.

Takizjanin zauważył, że Tina Mixon się skrzywiła. Wiedział, że uważała, iż jego szczerość graniczy z brutalnością, ale nie uznawał okłamywania pacjentów. Człowiek potrzebował czasu, by przygotować się na śmierć. Ci Ziemianie z ich przewrażliwieniem! Albo w ogóle nie chcieli mówić o śmierci, albo spowijali ją eufemizmami. Z drugiej strony, bynajmniej nie byli zacofani, gdy chodziło o jej zadawanie.

Pokój wypełniał głośny syk respiratora.

„Gdybym tylko mógł odnaleźć tę kobietę” - napisał z wysiłkiem mężczyzna.

- Przykro mi, panie Grogan. Ona zniknęła.

„Niech pan użyje swoich mocy i ją odnajdzie!”

Tachion pochylił głowę: przypominając sobie scenę (czy rzeczywiście minęły tylko trzy dni? Miał wrażenie, że to była cała wieczność), którą ujrzał wówczas z niedowierzaniem. Dotarła do niego wiadomość o zamieszkach na drugim piętrze. Popędził tam, po czym zatrzymał się nagle, spoglądając na wodę spływającą mu po półbutach.

Do sali przeznaczonej dla dziesięciu pacjentów wcisnęło się chyba z sześćdziesiąt osób. Do cna przemoknięci dzokerzy trzymali się łóżek niczym rozbitkowie. Sanitariusze z niezadowoleniem przesuwali mopami po zalanej podłodze. Przy jednym z łóżek stał mężczyzna o ciemnoblonde włosach, który bełkotał coś histerycznie. Dwie dzokerki czepiały się jego kolan, wzmacniając przenikliwym wrzaskami ogólne pandemonium....

- Pieprzona wizja. Pieprzona złota wizja. Spójrzcie na mnie! - krzyczał mężczyzna. - Spójrzcie na mnie!

- Dlaczego to musiała być kobieta? - zawodziła jedna z dzokerek. - Może przekazała ci swoją moc. Pierdol się ze mną. PIERDOL SIĘ ZE MNA!

Tachy bezlitośnie przejął kontrolę nad jej umysłem. Podobnie potraktował bełkoczącego mężczyznę oraz wszystkich, którzy wyglądali na gotowych sprawić kłopoty. Pozostali dzokerzy gapili się na niego jak cele na konkursie strzelania do indyków.

Tym razem nie byli już tak zastraszeni.

Świadczyła o tym ta żałosna próba szantażu w wykonaniu umierającego.

- Przykro mi - powtórzył Tachion i opuścił pokój. Na zewnątrz wpadł na dwoje czających się tam dzokerów.

- Dzień dobry.

- A co w nim dobrego? - warknął wysoki mężczyzna o ustach wypełnionych licznymi wtkami zamiast zębów. Czyniło to jego wymowę niewyraźną i Tachion musiał się wysilać, żeby go zrozumieć.

- Żyje pan, panie Konopka, a to więcej, niż może o sobie powiedzieć wielu tych, którzy mieli

mniej szczęścia - warknął kosmita. Wyciągnął słuchawki i rozciągnął je między dłońmi.

- Nazywa to pan życiem? - obruszyła się kobieta. - Wyglądam jak potwór, mąż mnie opuścił, straciłam pracę...

- Każdy ma swoją opowieść - przerwał jej Tachion i ruszył przed siebie.

Dżokerzy podążyli za nim.

Konopka wyprzedził niskiego Takizjanina i zatrzymał go, dźgając go mocno palcem w pierś.

- Co pan robi, by odnaleźć tę kobietę?

Przez dłuższą chwilę w Tachionie trwała wewnętrzna walka. Nie potrafił się zdecydować, czy zbyć ich uspokajającym kłamstwem, czy powiedzieć prawdę i spotkać się z ich potępieniem.

Dżoker ponownie dźgnął go palcem zakończonym długim, ostrym paznokciem.

- Hę? Hę? Czekam na odpowiedź...

Tach stracił cierpliwość.

- Nie robię w tym celu absolutnie nic.

- Ty skurwysynu. Zabiję cię

Konopka uniósł zaciśniętą pięść.

- Nic pana nie obchodzimy! - zawołał inny dżoker.

Takizjanin odwrócił się błyskawicznie i złapał go za ramiona.

- Nie! To nieprawda, Xuan. Obchodźcie mnie bardziej, niż sobie wyobrażasz. Ale nie mogę też zapominać o Jane. Spójrzcie na siebie. - Omiótł tłum spojrzeniem liliowych oczu. - Wyglądacie jak stado polujących zwierząt.

- Ta dziewczyna może nas wyleczyć. Musi pan ją znaleźć.

Gniew opuścił Xuana, ustępując miejsca pokornemu błaganiu. Konopka złapał kosmitę i obrócił go w swoją stronę.

- Jest pan nam to winien, Tachion. To pan uczynił nas tym, kim jesteśmy, i za chuj nie potrafi pan nas wyleczyć!

Inni dżokerzy poparli go krzykami.

Takizjanin zerknął na dyżurkę pielęgniarek, gdzie Tina pochylała się już nad centralą telefoniczną, i potrząsnął leciutko głową. Przybycie ochroniarzy było ostatnim, czego w tej chwili potrzebował.

- Macie wszyscy wrócić do swoich sal.

- Nie pozbędzie się nas pan tak łatwo!

- Wysłuchajcie mnie - błagał. - Ta dziewczyna jest człowiekiem, istotą ludzką, a nie maszyną do pierdolenia skonstruowaną po to, by leczyć dżokerów. Zabilibyście ją już trzy dni temu. Wyobraźcie sobie straszliwy dylemat, przed którym stanęła. Pomyślcie o niej, a nie tylko o sobie. Jak mógłbym wam zaufać, kiedy nie ufam nawet samemu sobie i nie jestem pewien, czy sprawiedliwie potraktuję Jane?

Finn wypadł z windy i zatrzymał się, unosząc przednią nogę, jakby chciał podrapać kopytem linoleum. Tłum zaczął się rozpraszać, mamrocząc cicho. Tylko Konopka został na miejscu. Złapał Tacha za płaszcz z burgundowego ałtasu i uniósł nad podłogę. Finn podbiegł do niego zgrabnym galopem, odwrócił się na przednich nogach i kopnął dżokera w tyłek. Dżoker ryknął, puścił Tachiona i odwrócił się ku nowemu przeciwnikowi.

- Przestań! - wrzasnął Finn. - I wracaj na salę, do cholery.

Konopka zamachnął się pięścią. Finn spróbował się uchylić, ale cztery nogi nie są tak zgrabne jak dwie. Cios był celny.

- Pachołek natoli!

Tachion zapanował nad jego umysłem. Dzoker osunął się, chrapiąc, na podłogę.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? - zapytał Finn, pocierając zaczerwieniony policzek.

- Być może dlatego, że mam już dość represjonowania ich.

Tachion odwrócił się błyskawicznie, ciągnąc za sobą długi, szeleszczący tren płaszcza. Finn musiał przejść w kłus, żeby dotrzymać mu kroku.

- To nie twoja wina.

- A co dokładnie nie jest moją winą? Stworzenie wirusa? Tak, to nie w pełni moja wina. Fakt, że Croyd stał się nosicielem? Na to zapewne również nie miałem wpływu. A fakt, że Jane jest teraz najbardziej poszukiwaną osobą w Dzokerowie? Może i nie moja. Ale jestem za nią odpowiedzialny. Muszę ją odnaleźć i zapewnić jej bezpieczeństwo, jeśli to tylko możliwe.

Takizjanin walnął pięścią w ścianę windy, rozrywając sobie skórę na knykciach dłoni.

Finn uniósł rękę i wytarł wypływającą krew chusteczką.

- Spokojnie, znajdziemy ją,

- Ale czy możemy to zrobić? - Tachion polizał odruchowo krew. - I, co ważniejsze, czy powinniśmy?



- Ha! Załatwiam cię zabójczym atakiem mentalnym! Skutecznie! Tracisz kolejne życie! - Tachion rzucił na stertę maleńki marker. - W rzeczywistości też mógłbym to zrobić.

Oczy Blaisea zalśniły w blasku lamp.

- Założę się, że gdybym się postarał, też mógłbym cię zabić mocą umysłu.

- To nie jest talent, który warto kultywować - stwierdził Poliakov, odrywając wzrok od gazety.

- Potrafisz to zrobić?

- Przestań, Blaise,

- Ale czy potrafisz?

- Powiedziałem, przestań.

Mały, okrągły podbródek uwydatnił się, a wargi zacisnęły w wyrażającą upór linię.

- Jeśli nie chcesz mnie tego nauczyć, może będę musiał na kimś poćwi...

Kosmita wyciągnął rękę nad blatem stołu i spoliczkował chłopca tak mocno, że strącił go z krzesła.

- Tachion! - ryknął Rosjanin.

- Blaise! Blaise! Przepraszam. Najserdeczniej cię przepraszam. Nic ci się nie stało? - Przerażony Takizjanin wziął dziecko w ramiona. - Och, Ideale, wybacz mi.

Chłopiec zamachnął się szaleńczo i uderzył Tachiona w czoło. Psioniczna moc wypływała zeń rozedrganymi, srebrzystymi falami, próbując się przebić przez tarczę jego dziadka. Takizjanin uspokoił wnuka dotknięciem swej mocy.

- Wysłuchaj mnie. Jestem okropnie zmęczony i przeżywam potężny stres. Wiem, że to mnie nie usprawiedliwia, ale przedstawiam ci to jako wytłumaczenie. Nie chcę, żebyś nauczył się zabijać. To wpływa na twoją duszę, ponieważ łączy cię z ofiarą bardzo bliska więź. To nie jest zabawa. - Wskazał na porzuconą grę w talizman. - Musisz wdrzeć się głęboko, zerwać kolejne warstwy umysłu, zanim będziesz mógł dokonać zabójstwa.

- Robiłeś to kiedyś? - wymamrotał Blaise głosem zniekształconym przez rozbitą wargę.

- Tak i prześladuje mnie to po dziś dzień. - Poliakov podszedł do kosmity i położył mu rękę na

ramieniu. - Na jednej szali położyłem życie Rabdana, a na drugiej życie całej Ziemi - ciągnął Tachion. - Musiał umrzeć. To było konieczne, ale... - Przytulił dziecko. - Musisz się nauczyć być dobry, Blaise. Nawet żartem nie mów, że użyjesz tej mocy przeciwko ludziom. Naszym grzechem pierwotnym było traktowanie ich jak króliki doświadczalne. Nigdy...

Przerwał mu dźwięk telefonu.

- Doktorze, mówi Jane.

- Jane, gdzie...

- Żadnych pytań. Proszę słuchać. Znam adres i numer telefonu Croyda. Tylko jeden. Słyszałam ogłoszenia. Chyba potrafię się domyślić, dlaczego musicie go odnaleźć.

- Jane, wybacz, że nie pomogłem ci wcześniej.

- Nieważne. Byłam na okropnym głodzie. Nie skrzywdzicie go, prawda? Był moim przyjacielem. Nie podoba mi się myśl, że go zdradzę, ale...

- Jeśli tego nie zrobisz, umrze więcej ludzi. To słuszny postępek.

- W porządku. Ma mieszkanie przy Eldridge Street trzysta dwadzieścia trzy. Drugie piętro. Pięćset pięćdziesiąt pięć, czterdzieści cztery, dziewięćdziesiąt jeden.

- Dziękuję, Jane, Serdecznie ci dziękuję. Drogie dziecko, musimy...

Usłyszał sygnał przerwanej połączenia.

Odłożył słuchawkę. Stał przed nim nieprzyjemny dylemat moralny. Jeśli po pojmaniu Croyd przebudzi się w nowej postaci, pozbawiony mocy nosiciela, wszystko będzie w porządku. Ale jeśli mutacja okaże się trwała, decyzje staną się trudniejsze. Czy będą musieli trzymać go w izolacji przez resztę życia?

Czy raczej go zabić?



...kobieta leżąca na plecach pośród poduszek i zmiętoszonej pościeli. Warstewka potu na jej ciemnych piersiach i brzuchu. Posklejane od wilgoci włosy łono...

Trójwymiarowy obraz rozpadł się na kawałki i zniknął.

*Przepraszam* - pisał głos Wideo w umyśle Tachiona. *To niewłaściwe mieszkanie.*

Zaczekaj, to może być Croyd.

Dotknął umysłu kobiety. To nie był Croyd.

Balon i Wideo znowu popełzli powoli wzdłuż tylnej ściany budynku.

Niektórzy ludzie w furgonetce roześmiali się nerwowo. Elmo poruszył się niespokojnie. Jego potężne ciało ledwie się mieściło w kombinezonie ochronnym. Wyglądał jak przesadnie wypchana kiełbasa. Kombinezony dla Trolla i Erniego zmontowali z czterech zwyczajnych. Jak dotąd zachowały szczelność, ale Tachion krzywił się boleśnie, gdy tylko pomyślał o kosztach. Wideo i Balon również mieli kombinezony, a Tachion włożył swój skafander kosmiczny produkcji Sieci.

Pelzaczki nie sposób było ochronić. Próbowali hełmu i zbiorników z powietrzem, ale te ostatnie ześlizgiwały się z węzowego ciała i przewody się rozluźniały. Tach kazał jej trzymać się z dala od walki. Miała być ostatnią linią obrony na wypadek, gdyby Croyd zdołał się przedrzeć przez resztę.

...Zaskakująco schludny pokój. Wysoki, chudy mężczyzna leżał na kanapie, czytając „Newsweeka”. Superbłada skóra, dziwne oczy, brązowe włosy z białymi odrostami...

...Drugi mężczyzna, siedzący przy stole kuchennym i stawiający pasjansa. Cudownie przystojny, ale jego twarz łatwo było zapomnieć...

Bill Lockwood.

Tachion wyczuł głęboką wdzięczność i pragnienie zapewnienia bezpieczeństwa... Croydowi!

Przeniósł swą uwagę na albinosa. Gdy spróbował dotknąć jego umysłu, pot spłynął mu po górnej wardze i po czole. Poczł szczypianie oczu. Wsadził rękę pod przezroczysty hełm, otarł zalewające mu twarz krople i spróbował raz jeszcze. *Wirująca ciemność, przypominająca pierwotną czarną dziurę.* To była blokada mentalna, ale jedna z najdziwniejszych, z jakimi kiedykolwiek się zetknął. Kolejne dwadzieścia minut poświęcił na próby przedostania się przez nią górą, dołem albo bokiem bądź też przebicia się na wylot. Wreszcie z niechęcią przyznał, że to raczej odporność niż prawdziwa tarcza.

Wyjaśnił sytuację swym żołnierzom.

- Musimy po prostu tam wpaść i go dorwać - dodał.

- To nie może być aż takie trudne. Pamiętajcie, nie wchodźcie do tamtego pokoju, jeśli nie macie kombinezonu.

Ruszyli w drogę. Tachion skinął dłonią na Pełzaczkę i Erniego, każąc im skryć się w zaułku. Następnie ruszył ku drzwiom frontowym w towarzystwie Trolla i Elma. Były tam dzwonki, ale ponieważ zamek w zewnętrznych drzwiach wyłamano, nie zdawały się właściwie na nic. Weszli ostrożnie do środka i ruszyli na drugie piętro.

Na szczęście jego skafander zatrzymywał zapachy, ale Tachion potrafił je sobie wyobrazić. Zbyt często miał wizyty w podobnych budynkach. Smród zjełczałego tłuszczu. Mdła, słodkawa woń ludzkich i zwierzęcych odchodów zalegająca w kątach klatek schodowych. Pot, strach, nędza i beznadzieja - one również miały swój zapach. Na ścianach było mnóstwo graffiti - sloganów i krzyków oburzenia w kilku różnych językach.

Jestem na miejscu.

Wideo przekazała mu kolejny obraz wnętrza pokoju. Nic się nie zmieniło.

*Okno?* - zapytał swych zwiadowców Tachion.

*Otwarte* - odesłał w odpowiedzi Balon. *Czego się spodziewałeś przy takim upale?*

*Wchodzimy?* - zapytał Takizjanin, zwracając się do Wideo.

Tak.

Kosmita skinął na Trolla. Ochroniarz złapał za klamkę, wciągnął powietrze i zatrzymał je w płucach.

Albinos zauważył Balona i siedzącą na jego barkach Wideo, gdy wchodzili przez okno. Zerwał się z porażającą szybkością, zaklął i wyciągnął pistolet.

- Teraz! - zawołał Tachion.

Troll naparł na drzwi. Zamek ustąpił ze zgrzytem odkształcanego metalu i trzaskiem pękającego drewna. Tach i Elmo wpadli do środka. Albinos wystrzelił, ale chybił. Pełzaczka, która postanowiła złamać rozkazy, bądź też całkowicie o nich zapomniała, wpełzła na górę po schodach przeciwpożarowych niczym wąż boa wspinający się na drzewo, uderzyła zakończonym frędzlem włosów ogonem, wytrącając pistolet albinosowi.

- Skurwysyny!

Młody mężczyzna odrzucił stół na bok. Karty rozsypały się w powietrze niczym przerażone motyle.

Lockwood wyprowadził potężny cios. Tachion spróbował zablokować go szybką zasłoną, ale kiedy jego ręka spotkała się z ręką młodzieńca, zatrzymała się jak uwięziona w imadle.

Takizjanin wciągnął powietrze. Troll stęknął w irytacji i uderzył szerokim, powolnym hakiem. Jego ogromna pięść trafiła Lockwooda w szczękę. Żadnej reakcji. Tach i Troll cofnęli się, nagle zaniepokojeni.

Croyd próbował powiązać Pełzaczkę w supły. Elmo wszedł do pokoju, ale Śpioch odrzucił go od niechcienia na bok. Karzeł ponownie ruszył do ataku. Jego ręce poruszały się niczym tłoki. Do bijatyki przyłączył się również Ernie. Balon przesuwiał się pod sufitem, próbując dotrzeć do okna.

Rozległ się dźwięk brzącający tak, jakby poćć wołowiny upadł na beton. Ładny chłoptaś zdzielił Trolla w korpus. Potężnie zbudowany dzoker zgiął się wpół. Tachion gapił się na to z przerażeniem.

Przez jego umysł przemknęła histeryczna myśl.

Dzięki ci, Jezu, że to nie mnie uderzył.

Troll zrewanżował się dwoma potężnymi uderzeniami w brzuch, najpierw z lewa, a potem z prawa.

Nic!

Lockwood zwrócił się ku Tachionowi i walnął go w głowę. Hełm produkcji Sieci wytrzymał uderzenie, ale impet cisnął drobnym kosmitą na drugą stronę pokoju. Tachion uderzył o ścianę i podniósł się z wysiłkiem, jęczący i posiniaczony. Troll zasypywał młodego mężczyznę kolejnymi ciosami. Lockwood uśmiechnął się tylko i odpowiedział serią uderzeń, które odepchnęły dzokera do tyłu. Troll zachwiał się na nogach, ściskając w dłoniach skrytą w hełmie głowę. Lockwood kopnął go mocno w pachwinę, a następnie złapał go obiema rękami za kark.

*Tak właśnie brzmi odgłos padającego w lesie drzewa* - pomyślał od rzeczy Tachion, gdy wysoki na z górą dwa i pół metra dzoker zwałił się na podłogę niczym ogłuszony wół.

- A niech to - skomentował wiszący pod sufitem Balon.

Tachion skierował przeciwko Lockwoodowi potężny rozkaz. Z Takizjanina wypłynęły srebrne linie mocy, które jednak nie zdołały się opleść wokół umysłu przeciwnika. Moc zatoneła w nim jak kamień w ruchomych piaskach. ZAŚNIJ!!!

Moc wróciła do Tachiona, uderzył w jego tarcze i przebiła się przez nie.

Jak bumerang.

To była jego ostatnia świadoma myśl.



Tańczył układ baletowy, skomplikowany i cudowny, ale w tańcu nie było innych mężczyzn. Tylko on i cały szereg kobiet. Blythe i Saaba, Dani i Anielska Buzia, M'orat, Jane i Taili, Ruletka, Sokolica i Victoria. Wtem Zabb złapał go za bark i spróbował się przyłączyć do tańca. Warczący, mamroczący Tach wtulił mocniej policzek w poduszkę. Wściekały go woń środków odkażających oraz dotyk szorstkiego materiału. *Nie będę tolerował takiego postawienia. Jak śmiać? Cóż za bezczelność!*

Z wysiłkiem rozchylił klejące się powieki i ujrzał nad sobą niebieskie oczy Victorii Queen. Kobieta miała zasepioną minę.

Uśmiechnął się do niej.

- Tańczysz jak bogini.

- Och, obudź się wreszcie! - warknęła i wbiła mu igłę w ramię.



- Au!

- To środek pobudzający. Nasz bohater wreszcie spotkał kogoś, kto ma większą moc panowania nad umysłem. I to w najgorszym możliwym momencie.

- Nie był ode mnie potężniejszy! To moja własna moc odbiła się i uderzyła we mnie rykoszetem. Nic innego nie mogłoby się przebić przez... - Umilkł, zakłopotany tym, że usprawiedliwia się z taką złością. - Dorwaliśmy ich? - zapytał z zawstydzieniem w głosie.

- Nie.

Skrył twarz w dłoniach.

- O przodkowie, cóż za kabała.

- Masz rację.

Lekarka oddaliła się.

Croyd uciekł. Co, jeśli Pełzaczka zginęła? Byłaby kolejną ofiarą jego niepowodzeń.

Usłyszał stuk małych kopyt o kafelki.

- I co teraz, szefie?

- Popęnię samobójstwo.

- Błędna odpowiedź.

- Pójdę z tym na policję.

- Wpadną w szal - zauważył dzoker, rozplątując węzeł białej grzywy.

- A jaki mam wybór? Chciałem zachować to w tajemnicy żeby uniknąć paniki, ale teraz Croyd już wie, że na niego polujemy. Zaszyje się gdzieś. Będziemy potrzebowali wielu ludzi, żeby go znaleźć. I ten jego towarzysz. Trzeba zadzwonić do Waszyngtonu i poprosić SKAZA, żeby poszukali w swoich aktach asa, który ma moc odbijania ciosów.

Takizjanin wstał sztywno z łóżka. Skrzywił się, dotykając siniaka na łokciu, a potem przesunął dłońmi po splątanych lokach.

- Fatalnie to rozegrałem.

- Nie mogłeś przewidzieć czegoś takiego.

- A co z naszymi żołnierzami?

Finn pochylił głowę, przyglądając się swoim dłoniom.

- Co jest? Co się stało? Troll? Pełzaczka?

- Pełzaczka. Weszła w reakcję Czarnej Damy kilka minut po tym, jak straciłeś przytomność.

- Okres wylegania...

- Najwyraźniej się skraca.

- Jego wirus cały czas mutuje.

- Może w końcu osiągnie postać niezakaźną?

- Nie liczylibym na taki uśmiech szczęścia. Wszystko, czego tknę, zmienia się w śmierć.

- Przestań! To nieprawda! Nie mamy czasu na twoje poczucie winy. Jeśli ktoś powinien się czuć winny, to ja. Pozwoliłem mu stąd odejść.

- Nie mogłeś przewidzieć, że zostanie nosicielem.

- W tym właśnie rzecz. Co się stało, to się nie odstanie. Musimy się martwić o przyszłość.

- O ile w ogóle będzie jakaś przyszłość.

- Sprawimy, że będzie.

- Skąd u ciebie taki optymizm i dobre przystosowanie?

- Jestem za głupi na cokolwiek innego.

## **I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie**

### **VI**

Wielkie drzwi garażu wykonane z blachy falistej uniosły się z grzechotem. Mechanizm był stary i hałaśliwy, ale nadal spełniał swoje zadanie. Do podziemnego garażu napłynęły kurz oraz blask słońca. Tom zgasił latarkę i zawiesił ją na haku wbitym w drewnianą belkę podtrzymującą ścianę z mocno ubitej ziemi. Dłonie mu się pociły. Otarł je o dzinsy i przyjrzał się metalowym skorupom, które miał przed sobą.

Właz najstarszej z nich, opancerzonego Garbusa, był szeroko otwarty. Tom poświęcił tydzień na zamontowanie nowych lamp próżniowych, nasmarowanie mechanizmu ruchomych kamer oraz sprawdzenie obwodów. Wszystko było w tak dobrym stanie, jak to tylko możliwe.

- Ja i moja niewyparzona gęba - mruknął do siebie. Jego słowa poniosły się echem po bunkrze.

Mógł wynająć ciężarówkę, być może wielki ciągnik z naczepą. Joey by mu pomógł. Podjechaliby do brzegu bunkra, załadowali skorupy i zawieźliby je do Dżokerowa. To by było łatwe. Ale nie, musiał powiedzieć Duttonowi, że sam nimi przyleci. Teraz dżoker nigdy mu nie uwierzy, jeśli Tom przyśle mu te cholerstwa pocztą.

Popatrzył na otwarty właz, próbując sobie wyobrazić, że wciska się do ciemnego wnętrza i zamyka za sobą drzwi metalowej trumny. Poczuł żółć podchodzącą mu do gardła. Nie był w stanie tego zrobić.

Ale nie miał wyboru, czyż nie tak? Złomowisko nie było już jego własnością. Za niespełna trzy tygodnie zjawią się robotnicy i zaczną wywozić cały syf, który nagromadził się tu w ciągu czterdziestu lat. Jeśli skorupy nadal będą tu leżały, gdy przyjadą spychacze, cała sprawa się rypnie.

Tom przewyciężył opory i ruszył naprzód, powtarzając sobie, że to nic wielkiego. Skorupa była w porządku, doleci nią na drugą stronę zatoki. Robił to już tysiąc razy. Musi tylko dokonać tej sztuki po raz ostatni, to wszystko. Jeszcze jeden lot i będzie wolny.

I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie...

Tom zgiął nogi w kolanach, złapał za górny brzeg klapy i zaczerpnął głęboki, powolny oddech. Czuł między palcami zimny metal. Pochylił głowę, wsunął się do środka i zamknął za sobą właz. Brzęk poniosł się echem w jego uszach. Wewnątrz panowały nieprzenikniona ciemność i chłód. Czuł suchość w ustach. Serce łomotało mu w klatce piersiowej.

Pomacał ręką wkoło w poszukiwaniu siedzenia, wyczuł rozdarty winyl i przesunął się w jego stronę. Było tu tak ciemno, że równie dobrze mógłby się znajdować w jaskini w samym środku Ziemi albo być pogrzebany w trumnie. Wokół wjazdu dostrzegał słabe linie światła, ale to nie wystarczało, by cokolwiek zobaczyć. Gdzie tu był wyłącznik, do chuja? Nowsze skorupy miały panele sterowania wmontowane w poręczce fotela, ale to stare wiadro? Nie ma mowy. Uniósł ręce, by odnaleźć go w ciemności nad głową, i uderzył się boleśnie w coś metalowego. Wpadł w panikę, jakby był przerażonym zwierzęciem. Ta kurewska ciemność. Gdzie się zapala światło?

Nagle poczuł, że spada.

Zawroty głowy dopadły go niczym fala przyboju. Tom mocno zacisnął dłonie na poręczach, powtarzając sobie, że nic w tym rodzaju się nie dzieje. Czuł to jednak. Ciemność koziółkowała wokół niego. Żołądek podchodził mu do gardła. Pochylił się i uderzył mocno czołem o pochyłą ścianę skorupy.

- Nie spadam! - krzyknął głośno. Te słowa niosły się echem w jego uszach, gdy opadał bezradnie, zamknięty w pancерnej trumnie. Machał rękami jak szaleniec, szukając wyłącznika. Dłonie ślizgały mu się po szkłe i winylu. Dyszał ciężko, naciskając wszystko, co tylko znalazł.

Wtem ekrany wokół zaświeciły blado.

Świat znieruchomiał. Oddech Toma spowolnił. Nie spadał, nie, tylko popatrz, był w bunkrze, siedział w skorupie, spoczywającej bezpiecznie na ziemi na dnie dziury, to wszystko, nie spadał.

Na ekranach pojawiły się niewyraźne, czarno-białe obrazy. Telewizory różniły się od siebie markami i wielkością ekranów, łatwo było zauważyć luki w polu widzenia, a na jednym z ekranów obraz powoli przesuwiał się pionowo. Tomowi to jednak nie przeszkadzało. Widział. Nie spadał.

Znalazł sterowniki zewnętrznych kamer i wprawił je w ruch. Obrazy na ekranach zaczęły się powoli przesuwac. Dwie pozostałe skorupy, z których wyjęto cały sprzęt, przycupnęły nieopodal. Tom włączył wentylację. Usłyszał furkot wiatraczka i poczuł świeży powiew. Na oczy skapywała mu krew. Skaleczył się w ataku paniki. Otarł krew grzbietem dłoni i osunął się w siedzeniu.

- W porządku - oznajmił głośno. Najtrudniejsze miał już za sobą. Od tej pory to będzie bułka z masłem. Wystarczy unieść się i odlecieć. Wydostać się z bunkra i przemknąć nad Zatoką Nowojorską. Ostatni lot. Nic nie mogłoby być prostsze. Pchnął skorupę w górę.

Zakołysała się na boki, uniosła kilka centymetrów nad ziemię i opadła na nią z łoskotem.

Tom chrząknął. *I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie* - pomyślał. Skupił się maksymalnie i znowu spróbował wystartować. Nic się nie wydarzyło.

Siedział na fotelu z ponurą miną, wlepiając niewidzące spojrzenie w wyblakłe, czarno-białe obrazy widoczne na ekranach telewizyjnych. Wreszcie uświadomił sobie prawdę, którą ukrywał nie tylko przed Joeyem DiAngelisem i Xavierem Desmondem, lecz również przed samym sobą.

Nie tylko jego skorupa była uszkodzona.

Przez dwadzieścia parę lat czuł się bezpiecznie, gdy chroniła go skorupa. Tom Tudbury mógł mieć wątpliwości, obawy i lęki, ale nie Żółw. Jego TK, wspierana poczuciem, że jest niezwyciężony, stawała się z roku na rok coraz potężniejsza, pod warunkiem, że krył się w skorupie.

Aż do Dnia Dzikiej Karty.

Załatwili go, nim zdążył się zorientować, co się dzieje.

Leciał wysoko nad rzeką Hudson, odpowiadając na wezwanie, gdy nagle moc jakiegoś asa dotarła do niego, jakby skorupa nie istniała. Nagle poczuł się słabo. Ze wszystkich sił starał się nie stracić przytomności. Poczuł, że masywna skorupa zatrzęsała się w locie, gdy jego koncentracja osłabła. Na chwilę przed tym, nim obraz zamazał się przed jego oczami, zobaczył chłopaka na lotni, opadającego na niego z góry. Potem rozległ się ogłuszający trzask, od którego rozboleły go uszy, i skorupa przestała działać.

Wszystko padło jednocześnie. Kamery, komputery, magnetofon, wentylacja. W tym samym ułamku sekundy wszystko się przepaliło lub zatarło. Później wyczytał w gazetach, że to był impuls elektromagnetyczny, ale wtedy wiedział tylko, że nagle stał się ślepy i bezradny. Przeżył

szok tak potężny, że w pierwszej chwili nie był nawet w stanie się bać. Uderzał na oślepie w klawisze, gorączkowo starając się przywrócić dopływ prądu.

Nawet nie wiedział, że zaatakowali go napalmem, ale w owej chwili słabość wróciła. Przestał panować nad skorupą i runął do rzeki. Tym razem rzeczywiście stracił przytomność.

Odepchnął te wspomnienia i przyczesał włosy palcami. Znowu oddychał ochryple i pokrywała go cienka warstewka potu. Koszula lepiła mu się do piersi. *Powiedz to sobie szczerze. Jesteś przerażony.*

Nic z tego. Żółw umarł, a Tom Tudbury mógł żonglować kawałkami mydła albo głowami robotów, lecz z pewnością nie zdoła unieść w powietrze kilku ton żelastwa. Daj sobie z tym spokój. Zadzwoni do Joeya, wyrzuci stare skorupy do zatoki i zapomnij o całej sprawie. Forse spiszesz na straty. W końcu co to znaczy osiemdziesiąt tysięcy dolarów? Z pewnością nie warto tracić dla nich życia. Dzięki Steve'owi Broderowi i tak stanie się bogaty. Wody Zatoki Nowojorskiej były szerokie, ciemne i zimne, a droga na Manhattan daleka. Raz mu się poszczęściło, bo cholerna skorupa eksplodowała po upadku na dno rzeki. To na pewno był napalm, nagła zmiana ciśnienia albo coś w tym rodzaju. Ślepy przypadek. Szok po zetknięciu z zimną wodą przywrócił Tomowi przytomność. Potem zdołał jakoś wypłynąć na powierzchnię, poniósł go prąd i jakimś cudem znalazł się na brzegu w Jersey City. Powinien był zginąć.

Śniadanie poruszyło się mu w żołądku i przez chwilę Tom myślał, że zwymiotuje. Uznał się za pokonanego i rozpiął pas. Ręka mu drżała. Wyłączył wentylator, wspomagające silniczki oraz kamery. Wokół niego zamknęła się ciemność.

Skorupa miała zapewnić mu całkowite bezpieczeństwo, ale oni uczynili z niej śmiertelną pułapkę. Nie mógł znowu nią polecieć. Nawet ten jeden raz. Po prostu nie mógł.

Ciemność zadrżała wokół niego. Poczuł się, jakby miał znowu runąć w dół. Musiał się stąd natychmiast wydostać. Dusił się. Mógł wtedy zginąć.

Ale nie zginął.

Ta nieustępliwa myśl nadeszła znikąd. Mógł zginąć, ale nie zginął. Nie był w stanie znowu unieść skorupy, ale w noc ataku to zrobił.

To była ta sama skorupa. Gdy wreszcie dotarł z powrotem na złomowisko, był przemoczony, wyczerpany i oszołomiony, lecz zarazem czuł się dziwnie żywy. Sam fakt, że ocalał, wprawiał go w uniesienie. Wziął skorupę i poleciał na drugi brzeg zatoki, by kreślić pętle nad Dżokerowem. Wdrapał się z powrotem na konia, który go zrzucił, pokazał ludziom, że Żółw żyje, że oparł się wszystkiemu, czego mogli przeciwko niemu użyć. Strącili go z nieba, rzucili na niego napalm i wysłali na dno pierdolonej Hudson River, ale on to wszystko przeżył.

Na ulicach przywitali go brawami.

Wyciągnął ręce, nacisnął jeden przycisk, a potem drugi. Ekrany znowu się rozjarzyły. Wentylatory zafurkotały.

*Nie rób tego* - wyszeptał ukryty w nim strach. *Nie dasz rady. Zginąłbyś, gdyby skorupa nie eksplodowała...*

- Ale eksplodowała - mruknął Tom. Napalm, ciśnienie wody czy coś...

Ściany jego sypialni. Wszędzie pełno potłuczonego szkła, zniszczone, podarte poduszki, pierze unoszące się w powietrzu.

Gdzieś obok, w gorącym mroku ciasnego wnętrza skorupy, zabulgotała pośsepnie woda. Świat utracił równowagę, odwrócił się do góry nogami. Tom tonął. Był zbyt słaby i oszołomiony, żeby się ruszyć. Czuł lodowate palce zaciskające się na jego nodze. Wznosiły się coraz wyżej, aż wreszcie przeszył go nagły szok, gdy woda dotarła do jego krocza, budząc go gwałtownie.

Zerwał z siebie pasy odrętwiałymi palcami, ale było już za późno. Zimno pieściło jego pierś. Szarpnął się gwałtownie w górę i podłoga usunęła mu się spod nóg. Stracił oparcie. Woda nakryła mu głowę. Nie mógł oddychać. Wszystko pochłonęła ciemność, nieprzenikniona ciemność. Było ciemno jak w grobie. Musiał się stąd wydostać, musiał się wydostać.

Szczeliny w ścianie jego sypialni, coraz liczniejsze po każdym powrocie koszmaru. Zdjęcia w czasopiśmie, fragmenty powykręcanej blachy pancерnej, rozerwane spawy, wyrwane sworznie. Cała skorupa pękła jak jajko. Pancierz wygiął się na zewnątrz. *Niech to chuj - pomyślał. To byłem ja. Ja to zrobiłem.*

Spojrzał na najbliższy ekran, zacisnął dłonie na poręczach i pchnął umysłem w górę.

Skorupa uniosła się gładko, przeleciała przez bunkier, minęła drzwi garażu i wzbiła się w poranne niebo. Promienie słońca pocałowały zieloną farbę oblażącą z pancierza.



Pojawił się na wschodnim niebie nad Brooklynem, mając za sobą słońce. W ten sposób droga trwała dłużej, bo musiał okrążyć Staten Island i The Narrows, ale gdy leciał tą trasą, trudniej było go zauważyć. Był Żółciem dwadzieścia lat i nauczył się w tym czasie wszystkich sztuczek. Przemknął nad potężnymi kamiennymi szaniami mostu Brooklińskiego, lecąc nisko i szybko. Widział na ekranach, jak poranni spacerowicze unoszą ze zdumieniem głowy, gdy padają na nich jego cienie. Takiego widoku miasto nigdy dotąd nie widziało i nigdy już nie zobaczy - trzech Żółwi przelatujących nad East River, trzy żelazne duchy z wczorajszych nagłówek gazet wracające z krainy umarłych, lecące w ciasnej formacji, zakręcające i manewrujące jak jeden, a potem kreślące efektowną podwójną pętlę nad dachami Dżokerowa.

Siedzący w środkowej skorupie Tom na widok reakcji gapiów pomyślał, że jednak było warto. Przynajmniej odejdzie z klasą. Ciekawe, czy tym razem prasa też napisze, że to była Wenus.

Wydostanie pozostałych skorup z bunkra było piekielnie trudne. Nawet pozbawione wnętrzości ważyły sporo i w pewnej chwili, gdy wisiał nad złomowiskiem w Bayonne, nie był pewien, czy da radę zonglować trzema jednocześnie. Później przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Zamiast traktować je indywidualnie, wyobraził sobie, że są przyspawane do wierzchołków olbrzymiego, niewidzialnego trójkąta, i uniosł ten trójkąt w powietrze. Potem było już z górki.

Dutton ustawił jedną ekipę kamerzystów na moście Brooklińskim, a drugą na dachu Sławnego Groszowego Muzeum Dzikiej Karty przy Bowery Street. Nakręcili tyle materiału, że raczej nikt nie powinien kwestionować autentyczności skorup.

- No dobra - oznajmił Tom przez głośniki, posadziwszy skorupy na szerokim, płaskim dachu. - Przedstawienie skończone. Cięcie.

Sfilmowanie jego przylotu i lądowania było w porządku, ale nie miał zamiaru pozwolić, by utrwalono na taśmie scenę jego wyjścia ze skorupy. Nie podejmie takiego ryzyka, nawet jeśli miał maskę na twarzy.

Dutton, wysoki, spowity w ciemny strój i skrywający oblicze pod kapturem, skinął od niechcienia urękawiczoną dłonią. Złożona wyłącznie z dżokerów ekipa kamerzystów zwinęła sprzęt i opuściła dach. Gdy ostatni z nich zniknął w klatce schodowej, Tom zaczerpnął głęboki oddech, nałożył gumową maskę żaby, wyłączył światło i wygramolił się na skąpany w blasku porannego słońca dach.

Gdy już był na zewnątrz, odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na to, co zostawiał za sobą. W świetle dnia skorupy wyglądały inaczej niż w mrocznym bunkrze. Wydawały się mniejsze. Bardziej obskurne.

- Trudno jest odejść, prawda? - zapytał go Dutton.

Tom zwrócił się w jego stronę.

- Tak - potwierdził.

Pod kapturem Dutton nosił skórzaną maskę lwa z długimi złotymi włosami.

- Kupił pan tę maskę u Hołbrooka - zauważył Tom.

- Jestem właścicielem tego sklepu - odparł dzoker, przyglądając się skorupom. - Trudno będzie wnieść je do środka.

Tom wzruszył ramionami.

- W Muzeum Historii Naturalnej mają pierdolonego wieloryba. W porównaniu z tym kilka żółwi to pestka. - W rzeczywistości nie czuł jednak nonszalancji, którą starał się zademonstrować. Z biegiem lat Żółw wkurzył mnóstwo ludzi, od ulicznych chuliganów aż po Richarda Milionera Nixona. Jeśli Dutton nie był dyskretny, niektórzy z nich mogli już czekać na niego w zasadzce, a nawet jeśli tak nie było, pozostawała jeszcze drobna kwestia, jak wrócić do domu z osiemdziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce. - Zróbmy to - dodał. - Ma pan pieniądze?

- W gabinecie - odparł dzoker.

Zeszli na dół. Dutton szedł przodem, a Tom podążał za nim, rozglądając się ostrożnie na każdym pomoście. W budynku panowały półmrok i chłód.

- Znowu zamknięte? - zapytał.

- Interes idzie kiepsko - przyznał właściciel. - W mieście zapanował strach. Nowa epidemia dzikiej karty odstraszyła turystów. Nawet dzokerzy zaczynają unikać tłumów i miejsc publicznych.

Kiedy zeszli do piwnicy i znaleźli się w mrocznym warsztacie o kamiennych ścianach, Tom zauważył, że muzeum nie jest całkowicie opustoszałe.

- Przygotowujemy szereg nowych eksponatów - wyjaśnił Dutton, gdy gość zatrzymał się, by podziwiać młodą kobietę o szczupłej, chłopięcej sylwetce, ubierającą woskową figurę senatora Hartmanna. Właśnie kończyła wiązać mu krawat długimi, zręcznymi palcami.

- To nasza syryjska diorama - wyjaśnił właściciel muzeum, gdy kobieta poprawiała szarą marynarkę w kratę, noszoną przez senatora. Na jednym barku widniała dziura pozostawiona przez kulę, a otaczającą ją tkaninę starannie zabarwiono fałszywą krwią.

- Wygląda bardzo realistycznie - zauważył Tom.

- Dziękuję - odpowiedziała kobieta. Odwróciła się z uśmiechem i wyciągnęła rękę do gościa. Coś było nie w porządku z jej oczami. Były o połowę większe od normalnych i składały się wyłącznie z tęczywek - lśniących i ciemnoczerwonych, prawie czarnych. Nie poruszała się jednak jak niewidoma. - Jestem Cathy. Z wielką chęcią przedstawiłabym pana w wosku - rzekła, gdy Tom uściśnął jej dłoń. - Może w jednej z pańskich skorup?

Uniosła głowę i odgarnęła kosmyk opadający na jej niezwykle, ciemne oczy.

- Hmm - odparł Tom. - Wolałbym nie.

- To bardzo rozsądne z pana strony - pochwalił go Dutton. - Jeśli Leo Barnett zostanie prezydentem, inni asowie mogą pożałować, że nie byli tak dyskretni. W dzisiejszych czasach nie opłaca się przyciągać do siebie uwagi.

- Barnett nie wygra - zapewnił z pasją Tom, wskazując głową na woskową figurę. - Hartmann

go powstrzyma.

- Kolejny głos na senatora Gregga - stwierdziła z uśmiechem Cathy. - Jeśli zmieni pan zdanie w sprawie figury, proszę mnie zawiadomić.

- Dowiesz się pierwsza - zapewnił ją Dutton i zacisnął dłoń na ramieniu Toma. - Chodźmy.

Minęli kolejne postacie z syryjskiej dioramy, w rozmaitych stadiach montażu. Doktor Tachion w pełnym arabskim stroju i pantofelkach z podwiniętymi noskami na nogach; ogromny woskowy Sajjid o wzroście trzech metrów; Carnifex w oślepiająco białym kombinezonie bojowym. W innej części pomieszczenia jakiś technik trzymał się nad mechanicznymi uszami ogromnego słoniowego łba spoczywającego na drewnianym stole. Właściciel muzeum pozdrowił go krótkim skinieniem głowy.

Wtem Tom zauważył coś, co sprawiło, że stanął jak wryty.

- Jezu Chryste - rzekł na głos. - To jest...

- Tom Miller - przerwał mu Dutton. - Choć mam wrażenie, że wołał, gdy zwano go Gimlim. Obawiam się, że stanie w naszej Galerii Niesławy.

Karzeł warknął na nich, unosząc pięść nad głowę, jakby przemawiał do jakiegoś tłumu. Jego szklane, gorejące nienawiścią oczy zdawały się śledzić każdy ich krok. Nie zrobiono go z wosku.

- To piękny przykład taksydermii - stwierdził Dutton.

- Musieliśmy działać szybko, zanim wda się rozkład. Skóra pękła w kilkunastu miejscach, a wszystko, co było w środku, po prostu się rozpuściło. Kości, mięśnie, narządy wewnętrzne, absolutnie wszystko. Nowa dzika karta jest tak samo bezlitosna, jak stara.

- To jego skóra - uświadomił sobie Tom z odrazą w głosie.

- W Instytucie Smithsona mają penisa Johna Dillingera - poinformował go spokojnie właściciel muzeum. - Tędy, proszę.

Tym razem po dotarciu do gabinetu właściciela muzeum Tom nie odmówił alkoholu.

Dutton przygotował już pieniądze, ułożone w stosiki i zapakowane w zieloną walizkę, dość sfatygowaną i nieprzyciągającą uwagi.

- Dziesiątki, dwudziestki, pięćdziesiątki i trochę setek - oznajmił. - Chce je pan przeliczyć?

Tom gapił się na zielone banknoty. Zapomniał o trzymanym w dłoni kieliszku.

- Nie - odpowiedział cicho po długiej przerwie. - Jeśli suma się nie zgadza, wiem, gdzie pan mieszka.

Dutton zachichotał uprzejmie, przeszedł za biurko i wyciągnął brązową papierową torbę na zakupy, oznaczoną logo muzeum.

- Co to jest? - zdziwił się Tom.

- Głowa, oczywiście. Byłem pewien, że zechce pan dostać torbę.

Szczerze mówiąc, Tom niemal całkowicie zapomniał o głowie Modułowego.

- Ach, tak - odrzekł, biorąc torbę w rękę. - Oczywiście.

- Zajrzał do środka i android spojrział na niego. Tom zamknął pośpiesznie torbę. - Wszystko w porządku.



Gdy wyszedł z muzeum, trzymając w prawej ręce zieloną walizkę, a w lewej torbę na zakupy, było już prawie południe. Zatrzymał się, mrugając w świetle słońca, a potem ruszył szybkim krokiem wzdłuż Bowery Street, rozglądając się uważnie, by się upewnić, że nikt go nie śledzi.

Ulice były prawie opustoszałe i nie powinien mieć trudności z zauważeniem ogona.

Przy trzecim kwartale był już niemal w stu procentach pewien, że jest sam. Spotkał dotąd tylko garstkę dzokerów w maskach chirurgicznych albo w innych, bardziej wymyślnych osłonach twarzy. Wszyscy omijali go szerokim łukiem, podobnie zresztą jak siebie nawzajem. Szedł jednak dalej, by się upewnić. Pieniądze były cięższe, niż się spodziewał, a głowa Modułowego zaskakująco lekka, zatrzymał się więc dwukrotnie, by zmienić ręce.

Wreszcie dotarł do Gabinetu Luster, rozejrzał się uważnie i nie zauważył nikogo. Zdjął maskę i wepchnął ją do kieszeni płaszcza.

W lokalu było ciemno, a na zamkniętych na kłódkę drzwiach widniał napis „NIECZYNNE DO ODWOŁANIA”. Tom wiedział, że bar zamknięto wkrótce po tym, jak Xaviera Desmonda zabrano do szpitala. Czytał o tym w gazetach. Bardzo go to zasmuciło. Poczł się jeszcze starszy niż przedtem.

Czekał na taksówkę z odsłoniętą twarzą, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Ruch był bardzo mały i im dłużej czekał, tym bardziej się niepokoił. Dał pięćdziesiąt centów menelowi, który go zaczepił, tylko po to, żeby sobie poszedł. Trzech oprychów noszących barwy Książąt Demonów przyjrzało się z namysłem Tomowi i jego walizce, ale jego ubiór i bagaż były obszarpane w takim samym stopniu, więc z pewnością doszli do wniosku, że nie warto się trudzić.

Wreszcie przyjechała taksówka.

Z westchnieniem ulgi usiadł na tylnym siedzeniu wielkiego, żółtego checkera. Torbę położył obok, a walizkę wziął na kolana.

- Na Journal Square - oznajmił. Tam powinien złapać drugą taksówkę, która zawiezie go do Bayonne.

- O nie, nie, nie - sprzeciwił się smagły, ciemnooki taksówkarz. Tom zerknął na jego licencję. Pakistańczyk. - Nie New Jersey. Nie, nie, tylko nie New Jersey.

Tom wyjął z kieszeni spodni zmięty banknot studolarowy.

- Proszę bardzo. Reszty nie trzeba.

Taksówkarz popatrzył na banknot i uśmiechnął się szeroko.

- Proszę bardzo - zgodził się. - Niech będzie New Jersey. Jestem bardzo miły.

Ruszył naprzód.

Tom poczuł się bezpiecznie. Opuścił szybę i usiadł wygodnie, ciesząc się owiewającym mu twarz powietrzem oraz przyjemnym ciężarem walizki, którą miał na kolanach.

Z góry dobiegł go dźwięk syreny - wysoki, odległy i natarczywy.

- Ojej, co to? - zdziwił się taksówkarz.

- Syrena alarmowa - wyjaśnił Tom. Pochylił się do przodu, nagle zaniepokojony. Gdzieś bliżej odezwała się druga syrena. Dźwięk był głośny i przesywający. Samochody zjeżdżały do krawężników. Ludzie na ulicach zatrzymywali się i unosili wzrok ku jasnemu, pustemu niebu. W oddali odezwały się kolejne alarmy. Ich dźwięki nasilały się z każdą chwilą.

- Kurwa - warknął Tom. To było jak w dawnych czasach. Jak syreny przeciwlotnicze, które odezwały się w dzień śmierci Śmiga, gdy na nieświadome niebezpieczeństwa miasto spadł wirus dzikiej karty.

- Niech pan włączy radio - poprosił taksówkarza.

- Och, przepraszam pana, nie działa. O nie...

- Niech to szlag - warknął Tom. - No dobra. W takim razie niech pan jedzie szybciej. Do Holland Tunnel.



Taksówkarz nacisnął gaz i przejechał na czerwonym świetle.



Byli na Canal Street, cztery przecznice od Holland Tunnel, gdy wreszcie trafili na korek.

Taksówka zatrzymała się za srebrnoszarym jaguarem z tymczasowym prawem jazdy przyklejonym do tylnej szyby. Nikt się nie ruszał. Taksówkarz zatrąbił. Nad całą ulicą unosił się dźwięk klaksonów, mieszający się z wyciem syren. Za nimi z piskiem hamulców zatrzymał się zardzewiały Chevrolet chevy van. Jego kierowca również zaczął trąbić niecierpliwie. Taksówkarz wystawił głowę przez okno i krzyknął coś w nieznanym Tomowi języku. Łatwo jednak było odgadnąć, co miał na myśli. Za chevroletem zatrzymywały się kolejne samochody.

Kierowca znowu nacisnął klakson, a potem odwrócił się na chwilę, by wyjaśnić, że to nie jego wina. Tom zdążył się już tego domyślić.

- Proszę zaczekać tutaj - rzekł mu niepotrzebnie, jako że wszystkie samochody stały ciasno jeden za drugim, a nawet gdyby taksówkarz chciał zawrócić, nie było na to miejsca.

Zostawił drzwi otwarte i stanął na linii środkowej, spoglądając wzdłuż Canal Street. Samochody stały w korku tak daleko, jak okiem sięgnąć. Za nimi ich liczba szybko rosła. Tom przeszedł na róg ulicy, żeby lepiej widzieć. Skrzyżowanie było zapchane ze wszystkich stron. Światła zmieniały się regularnie, ale nikt nie przemieszczał się nawet o centymetr. Z otwartych okien samochodów płynęła muzyka. Kakofonia różnych utworów i stacji mieszała się z dźwiękiem klaksonów i syren. Nigdzie jednak nie nadawano wiadomości.

Kierowca chevy vana zatrzymał się za Tomem.

- Kurwa, gdzie są gliny? - zapytał.

Był okropnie gruby, miał naznaczoną dziobami twarz i obwisłe policzki. Wyglądał, jakby koniecznie chciał w coś przywalić, ale miał trochę racji. Nigdzie nie widziało się policji. Gdzieś z przodu rozpląkało się dziecko, głosem równie wysokim i przenikliwym jak dźwięk syren. Toma przeszył deszcz strachu. Pomyślał, że to nie jest zwykły korek. Coś tu było nie w porządku. Naprawdę bardzo nie w porządku.

Wrócił do taksówki. Pakistańczyk walił pięścią w kierownicę, ale chyba jako jedyny kierowca po tej stronie Broadwayu nie trąbił.

- Klakson się zepsuł - wyjaśnił.

- Zmywam się stąd - oznajmił Tom.

- Nie zwracam forsy.

- Pierdol się.

Tom i tak pozwoliliby taksówkarzowi zatrzymać setkę, ale poirytował go jego ton. Wyciągnął z samochodu walizę i torbę, pokazał Pakistańczykowi środkowy palec i ruszył w stronę Canal Street na piechotę.

Za kierownicą jaguara siedziała elegancko ubrana, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta.

- Wie pan, co się dzieje? - zapytała.

Tom wzruszył ramionami.

Coraz więcej ludzi wysiadało z samochodów. Mężczyzna w mercedesie 450 SL jedną nogę postawił na ulicy, a drugą nadal miał w samochodzie. W ręce trzymał komórkę.

- Dziewięćset jedenaście ciągle jest zajęty - poinformował zebranych wokół niego ludzi.

- Pierdolone gliny - poskarżył się ktoś.

Tom dotarł do skrzyżowania i zobaczył śmigłowiec lecący wzdłuż Canal Street tuż nad dachami. W górę wzbijały się tumany kurzu, a gazety drżały w rymsztokach. Huk wirników był okropnie głośny, nawet z daleka. *Ja nigdy nie robiłem tyle hałasu* - pomyślał Tom. Coś w widoku helikoptera z jakiegoś dziwnego powodu przypomniało mu Żółwia. Usłyszał trzask megafonu, ale słowa utonęły w ulicznym hałasie.

Z białego forda pikapa z rejestracją New Jersey wychylił się przyszczaty nastolatek.

- Gwardia - zawołał, machając ręką do latającej maszyny. - To śmigłowiec Gwardii!

„Paf-paf-paf ” wirników mieszało się z dźwiękiem klaksonów i syren, zagłuszając dźwięk płynący z megafonów. Klaksony jednak stopniowo milkły.

- ...do domów.

Ktoś zaczął wykrzykiwać przekleństwa. Śmigłowiec obniżył lot i zbliżył się do nich. Nawet Tom widział już znaki Gwardii Narodowej.

- ...zamknięty, powtarzam, Holland Tunnel jest zamknięty - grzmiąły głośniki. - Wracajcie spokojnie do domów.

Maszyna dotarła do końca korka, dwie przecznice dalej, a potem wzniosła się wyżej, aż stała się małą, czarną sylwetką widoczną na tle nieba, a następnie zawróciła, by rozpocząć kolejną pętlę. Zgromadzeni na ulicy ludzie popatrzyli na siebie nawzajem.

- Nie może im chodzić o mnie. Ja jestem z Iowa - sprzeciwiła się jakaś gruba kobieta, jakby mogło to cokolwiek zmienić.

Tom świetnie ją rozumiał.

Gliniarze wreszcie się zjawili. Dwa radiowozy posuwały się ostrożnie naprzód chodnikiem, omijając najgorszy zator. Z jednego z nich wysiadł czarnoskóry policjant i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Jedna czy dwie osoby posłusznie wsiadły do samochodów, ale reszta otoczyła gliniarza. Wszyscy mówili jednocześnie. Z pojazdów wysiadali kolejni ludzie. Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Tłum zmierzał ku wejściu do Holland Tunnel.

Tom poszedł za nimi, choć poruszał się wolniej niż większość, bo musiał dźwigać ciężkie bagaże. Jakaś kobieta wyprzedziła go biegiem. Wyglądała na bliską hysterii. Śmigłowiec znowu przeleciał nad ulicą. Donośny głos płynący z megafonów nakazywał tłumowi zawrócić.

- Stan wyjątkowy! - zawołał kierowca z kabiny ciężarówki. Tłum gęsto otoczył pojazd. Uwięziony w ciżbie Tom oparł się o tylne koło ciągnika siodłowego. - Właśnie usłyszałem to przez CB radio - ciągnął kierowca. - Skurwysyny ogłosiły stan wyjątkowy. Nie chodzi tylko o Holland Tunnel. Zamknęli wszystko. Mosty, tunele, nawet prom na Staten Island. Nikt nie może opuścić wyspy.

- O Boże - odezwał się męski głos za plecami Toma, ochrypli i przepojony strachem. - O Boże, to dzika karta.

- Wszyscy umrzemy - stwierdziła starsza kobieta. - Widziałam to w czterdziestym szóstym. Zatrzymają nas tutaj.

- To wina dzokerów - zasugerował mężczyzna w trzyczęściowym garniturze. - Barnett ma rację. Nie powinni mieszkać z normalnymi ludźmi. Roznoszą chorobę.

- Nieprawda - sprzeciwił się Tom. - Dzika karta nie jest zaraźliwa.

- A co pan o tym wie? O Boże, pewnie wszyscy już się zaraziliśmy.

- Jest nosiciel! - zawołał kierowca. Tom słyszał trzaski jego radia. - Jakiś pierdolony dzoker. Roznosi chorobę wszędzie, gdzie się pokaże.

- To niemożliwe - sprzeciwił się Tom.

- Cholerny obrońca dzokerów - krzyknął ktoś na niego.

- Muszę wracać do domu! Do dzieci - zawodziła młoda kobieta.

- Spokojnie - zaczął mówić Tom, ale było już za późno, stanowczo za późno.

Usłyszał krzyki, wrzaski, głośne przekleństwa. Tłum eksplodował nagle. Ludzie rozpierzchli się w kilkunastu kierunkach jednocześnie. Ktoś wpadł na niego z wielkim impetem. Tom zachwiał się, a potem upadł, gdy ktoś inny uderzył w niego z boku. Omal nie wypuścił z rąk walizki, ale trzymał się jej nieustępliwie, nawet gdy kolejna ofiara paniki nadepnęła mu butem na łydkę. Wtoczył się pod ciężarówkę. Tłum przebiegał obok niego. Tom przeczołgał się między kołami, ciągnął za sobą bagaże, a potem, na wpół oszołomiony, wyszedł na chodnik. *To pierdolone szaleństwo* - pomyślał.

Daleko, bliżej Holland Tunnel, śmigłowiec rozpoczął kolejny przelot. Tom obserwował zbliżającą się maszynę. Ogarnięty histerią tłum stawał się coraz gęstszy. *Helikopter ich uspokoi* - pomyślał. *Musi to zrobić.*

Gdy na ulicę sypały się pierwsze pojemniki z gazem łzawiącym, ciągnące za sobą żółty dym, odwrócił się, wpadł do najbliższego zaułka i rzucił się do ucieczki.



Pędził bocznymi uliczkami. Hałas za jego plecami cichł stopniowo. Minął już trzy przecznice i dyszał ciężko, gdy zauważył uchylone drzwi piwnicy pod księgarnią. Wahał się przez chwilę, lecz nagle usłyszał tupot uciekającego tłumu dobiegający z przecznicy i był zmuszony podjąć decyzję.

W środku było chłodno i cicho. Tom z radością postawił walizkę na betonowej podłodze i usiadł na niej po turecku. Oparł się o ścianę i wyteżył słuch. Syreny wreszcie ucichły, ale słyszał klaksony, sygnał karetki i odległe, gniewne krzyki.

Po jego prawej stronie rozległo się szuranie. Tom odwrócił błyskawicznie głowę.

- Kto tu jest?

Odpowiedziała mu cisza. W piwnicy było ciemno. Tom wstał. Mógłby przysiąc, że coś słyszał. Postąpił krok naprzód, znieruchomiał i uniósł głowę. Teraz już miał pewność. Ktoś tu był, ukryty za pudłami. Dobiegał go szybki, ochryply oddech.

Nie zamierzał się zbliżyć. Odsunął się pod drzwi i mocno popchnął pudełka telekinezą. Cały stos się zwałił. Usłyszał trzask pękającego kartonu i z pudła wysypała się kaskada książek w błyszczących papierowych okładkach. *Więcej obrzydliwych kawałów o dzokerach.* Zza pudeł dobiegło chrząknięcie zaskoczenia i bólu.

Tom podszedł bliżej i odstawił na bok pudła stojące na szczycie lekko poruszającego się stosu. Tym razem użył rąk.

Spod książek dobiegł go błagalny głos:

- Litości!

- Nikt cię nie skrzywdzi - zapewnił Tom i odstawił rozdarty karton. Na podłogę posypały się kolejne książki. Na wpół ukryty pod spodem mężczyzna zwinął się w kłębek, osłaniając głowę ramionami. - Wyłaź.

- Nie zrobiłem nic złego - zapewnił szeptem mężczyzna.

- Chciałem się tylko schować.

- Ja też się tu ukryłem - uspokoił go Tom. - Wszystko w porządku. Wyłaź.

Mężczyzna poruszył się, wyprostował i stanął ostrożnie. Coś w jego ruchach było bardzo nie w

porządku.

- Nie wyglądam zbyt ładnie - ostrzegł swym ciekim, szeleszczącym głosem.
- To mi nie przeszkadza - zapewnił Tom.

Poruszający się z wyraźnym wysiłkiem mężczyzna wyszedł bokiem w światło i Tom mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Chwilowa odraza ustąpiła nagle miejsca przemożnej litości. Nawet w słabym blasku piwnicznej lampy Tom widział, jak okrutnie wypaczone jest ciało dzokera. Jedna z jego nóg była znacznie dłuższa od drugiej, miała trzy stawy, a do tego zwracała się w przeciwnym kierunku. Druga, „normalna”, kończyła się szpotawą stopą. Z prawego, obrzękłego przedramienia wyrastała kiść maleńkich, szczątkowych dłoni. Całe ciało pokrywały plamy barwy błyszczącej czerni, białej jak kość, brązowej jak czekolada bądź czerwonej jak miedź. Nie sposób było określić, do jakiej rasy pierwotnie należał. Tylko twarz miał zwyczajną. Niebieskie oczy, blond włosy, piękne, silne rysy. Twarz gwiazdora filmowego.

- Jestem Miszmasz - wyszeptał nieśmiało dzoker.

Ale wargi gwiazdora się nie poruszyły, a w głębokich, klarownych oczach nie widziało się życia. Wtem Tom zauważył drugą głowę. Spod rozpiętej koszuli wyjrzała ostrożnie maleńka, odrażająca twarz małpy. Wyrastająca krzywo z wielkiego brzuszyska dzokera głowa miała barwę fioletową jak stary siniak.

Toma dopadły mdłości. Musiało się to uwidocznic na jego twarzy, ponieważ Miszmasz się odwrócił.

- Przepraszam - mruknął. - Przepraszam.
- Co się stało? - Tom zmusił się, by go o to zapytać. - Dlaczego tu się ukrywasz?
- Widziałem ich - odparł dzoker, zwrócony plecami do Toma. - Tych facetów. Natoli. Złapali jakiegoś dzokera i spuszczali mu łomot. Mnie też by to zrobili, ale się schowałem. Mówili, że to wszystko nasza wina. Muszę wrócić do domu.

- Gdzie mieszkasz?

Miszmasz wydał z siebie wilgotny, stłumiony dźwięk, który mógł być śmiechem.

- W Dżokerowie - odpowiedział.
- Jasne. - Tom poczuł się bardzo głupio. Pewnie, że w Dżokerowie. Gdzie indziej mógłby mieszkać, do chuja? - To tylko kilka przecznic stąd. Zabiorę cię tam.
- Masz samochód?
- Nie - zaprzeczył Tom. - Będziemy musieli pokonać tę drogę na piechotę.
- Nie chodzę zbyt dobrze.
- Pójdziemy powoli.

Szli powoli.



Zapadał zmierzch, gdy Tom wreszcie wyjrzał ostrożnie z kryjówki. Na ulicy już od kilku godzin panował spokój, ale Miszmasz był zbyt przerażony, by gdziekolwiek iść, dopóki nie będzie zupełnie ciemno.

- Zrobią mi krzywdę - powtarzał.

Nawet gdy zmrok wreszcie zapadł, dzoker nadal nie chciał się ruszać z miejsca. Tom poszedł na zwiady. W kilku mieszkaniach paliło się światło, a w mieszkaniu na drugim piętrze głośno grał telewizor. Z oddali dobiegał dźwięk policyjnych syren. Poza tym w mieście zapadła martwa

cisza. Okrążył powoli cały kwartał, przeskakując od bramy do bramy jak żołnierz na filmie wojennym. Na ulicach nie widziało się pieszych ani samochodów, zupełnie nic. Wszystkie witryny były ciemne, zabezpieczone kratami i stalowymi żaluzjami. Nawet bar zamknięto. Tom zauważył kilka wybitych szyb, a tuż za rogiem pośrodku skrzyżowania spoczywał przewrócony, wypalony wrak radiowozu. Wielki billboard Marlboro sprofanowano namalowanym czerwoną farbą napisem „ŚMIERĆ WSZYSTKIM DŻOKEROM”. Tom doszedł do wniosku, że lepiej nie prowadzić Myszmasza tą ulicą.

Kiedy wrócił, dzoker już na niego czekał. Przeniósł walizkę i papierową torbę pod drzwi.

- Mówiłem ci, żebyś ich nie ruszał - warknął poirytowany mężczyzna i natychmiast poczuł się winny, gdy Myszmasz skulił się trwożnie, usłyszawszy jego słowa.

Tom podniósł bagaże.

- Chodźmy - rzekł i wyszedł na zewnątrz.

Dzoker podążył za nim. Każdy jego krok był odrażającym, wypaczonym tańcem. Szli powoli. Bardzo powoli.

Trzymali się zaułków i bocznych ulic na południe od Canal Street, często zatrzymując się, by odpocząć. Z każdą mijaną przecnicą cholerna walizka stawała się coraz cięższa.

Gdy odpoczywali przy pojemniku na śmieci obok Church Street, u wylotu zaułka ulicą przejechał czołg. Za maszyną szło sześciu gwardzistów. Jeden z nich spojrzął w zaułek, zauważył Myszmasza i zaczął podnosić karabin. Tom wstał, zasłaniając dzokera własnym ciałem. Obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. To był jeszcze dzieciak, mógł mieć dziewiętnaście, góra dwadzieścia lat. Chłopak wpatrywał się w Toma przez dłuższą chwilę, nim wreszcie opuścił karabin, skinął głową i ruszył przed siebie.

Opustoszały Broadway robił niesamowite wrażenie. Samotna furgonetka policyjna jechała slalomem przez tor przeszkód złożony z porzuconych samochodów. Tom śledził ją wzrokiem, podczas gdy dzoker schował się za pojemnikami na śmieci.

- Chodźmy - rzekł as.

- Zobaczą nas - sprzeciwił się Myszmasz. - Skrzywdzą mnie.

- Nie skrzywdzą - zapewnił Tom. - Zobacz, jak jest ciemno.

Pokonali już połowę długości Broadwayu, przemieszczając się od samochodu do samochodu, gdy latarnie się zapaliły nagle i bezgłośnie. Myszmasz warknął krótko ze strachu.

- Zmiatajmy stąd - rzekł pośpiesznie Tom.

- Stój!

Krzyk dopadł ich na skraju chodnika. *Prawie się udało* - pomyślał Tom, ale prawie robi różnicę. Odwrócił się powoli.

Gliniarz miał na twarzy białą maskę chirurgiczną, tłumiącą jego głos, ale to nie pozbawiało go stanowczości. Kaburę miał rozpiętą, a pistolet trzymał już w dłoni.

- Nie musi pan... - zaczął nerwowo Tom.

- Zamknij się, kurwa - przerwał mu gliniarz. - Naruszyliście godzinę policyjną.

- Godzinę policyjną? - zdumiał się as.

- Słyszałeś mnie. Nie słuchasz radia? Dokumenty - zażądał, nie czekając na odpowiedź.

Tom ostrożnie postawił bagaże na ziemi.

- Jestem z New Jersey - oznajmił. - Wracalem do domu, ale zamknęli tunele.

Wyjął portfel i podał gliniarzowi.

- New Jersey - powtórzył ten, przyglądając się prawu jazdy. Po chwili oddał mu portfel. - Dlaczego nie jesteś w Port Authority?

- Port Authority? - powtórzył zdziwiony as.

- W centrum ewakuacji - burknął zniecierpliwiony gliniarz. Najwyraźniej jednak doszedł do wniosku, że dwaj zatrzymani mężczyźni nie stanowią zagrożenia. - Wszyscy przybysze spoza miasta mają się tam zgłaszać. Tym, którzy pomyślnie przejdą testy, daje się niebieską kartę i odsyła ich do domu. Na twoim miejscu zaraz bym tam zasuwał.

Przystanek autobusowy Port Authority nawet w najlepszej sytuacji przypominał zoo. Tom spróbował sobie wyobrazić, jak może wyglądać teraz. Z pewnością tłoczyli się wszyscy turyści, dojeżdżający do pracy i inni goście, a także masa przerażonych manhattańczyków udających przybyszy z zewnątrz. Wszyscy czekali na przebadanie albo walczyli o miejsce w jednym z opuszczających miasto autobusów, podczas gdy policja i Gwardia Narodowa próbowały utrzymać porządek.

Gliniarz przeszył Myszmasza twardym spojrzeniem.

- Bardzo dużo ryzykujesz. Podobno nosiciel to jakiś albinos. Nikt nie wspominał o dodatkowych głowach, ale po ciemku wszyscy dzokerzy wyglądają tak samo, tak? Chłopaki z Gwardii zrobiły się bardzo nerwowe. Jeśli zobaczą takich dwóch ja wy, mogą dojść do wniosku, że najpierw was zastrzelą, a potem sprawdzą dokumenty.

- Co tu, kurwa, jest grane? - zapytał Tom. Zabrzmiało to gorzej, niż się tego spodziewał. - O co tu chodzi?

- Powinieneś od czasu do czasu włączać radio - stwierdził gliniarz. - Wtedy może nikt nie odstrzeli ci głowy.

- Kogo szukacie?

- Jakiegoś skurwysyńskiego dzokera, który roznosi po całym mieście nową postać dzikiej karty. Jest cholernie silny i szalony. Niebezpieczny. Towarzyszy mu kumpel, jakiś nowy as. Wygląda normalnie, ale kule się od niego odbijają. Na twoim miejscu zostawiłbym dziwoląga i zasuwałbym do Port Authority.

- Nie zrobiłem nic złego - wyszeptał Myszmasz.

Jego głos był cichy, ledwie słyszalny, ale pierwszy raz ośmielił się odezwać i policjant wyraźnie go usłyszał.

- Zamknij się, do chuja. Nie mam nastroju do słuchania dzokerskiego gadania. Jeśli będę chciał usłyszeć twój głos, zadam ci pytanie.

Myszmasz skulił się trwożnie. Tom był wstrząśnięty nienawiścią słyszalną w głosie policjanta.

- Nie powinien pan tak do niego mówić.

To był błąd. Poważny błąd. Gliniarz przymrużył oczy spoglądające znad chirurgicznej maski.

- Tak myślisz? Jesteś jednym z tych zboków, którzy lubią ruchać dzokerów?

*Nie, ty dupku - pomyślał z furią Tom. Jestem Wielkim i Potężnym Żółwiem i gdybym był teraz w skorupie, uniósłbym cię i cisnął na śmietnisko, gdzie twoje miejsce.*

- Przepraszam pana - rzekł jednak tylko. - Nie chciałem pana obrazić. Wszyscy mieliśmy ciężki dzień, tak? Może lepiej sobie pójdziemy. - Spróbował się uśmiechnąć. W jedną rękę wziął walizkę, a w drugą torbę. - Chodź, Myszmasz.

- Co jest w tych torbach? - zapytał nagle policjant.

*Głowa Modułowego i osiemdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce* - pomyślał Tom. Nie powiedział jednak tego na głos. Nie sądził, by złamał jakiegokolwiek prawo, ale jeśli powie prawdę, sprowokuje to pytania, na które nie był gotowy odpowiedzieć.

- Nic takiego - odparł. - Trochę ubrań.

Ale zbyt długo się wahał.

- Może to sprawdzimy? - rzekł gliniarz.

- Nie. Nie może pan tego zrobić - wygarnął Tom. - Czy nie potrzebuje pan nakazu rewizji, prawdopodobieństwa winy albo czegoś w tym rodzaju?

- Kurwa, tu mam prawdopodobieństwo winy - zawołał policjant, wyciągając pistolet. - Mamy stan wyjątkowy. Wolno mi zastrzelić szabrowników przyłapanych na gorącym uczynku. Postaw powoli bagaże na ziemi i odsuń się, dupku.

Chwila ciągnęła się bardzo długo. Wreszcie Tom wykonał polecenie.

- Dalej - zażądał policjant. As przeszedł na chodnik. - Ty też, dziwolągu.

Miszmasz stanął obok swego towarzysza. Policjant podszedł do torby na zakupy, pochylił się nad nią i odchylił na bok jeden z uchwytów, by zajrzeć do środka.

Głowa Modułowego uniosła się w górę i walnęła go w twarz. Nos gliniarza złamał się z trzaskiem. Płynąca z niego krew splamiła chirurgiczną maskę. Mężczyzna wydał z siebie stłumiony krzyk i zatoczył się do tyłu. Głowa uderzyła go prosto w brzuch, koziołkując jak kula armatnia. Policjant stęknął. Nogi ugięły się pod nim i zwałił się na tyłek.

Głowa zatoczyła krąg wokół niego. Gliniarz, trzymając pistolet w obu rękach, uniósł go i wystrzelił. W oknie na pierwszym piętrze stłukła się szyba. W tej samej chwili głowa uderzyła gliniarza w skroń. Mężczyzna spróbował uderzyć w nią pistoletem, lecz nagle coś wyrwało mu broń z ręki i wrzuciło ją do rynsztoka.

- Kurwa mać - zdołał wykrztusić policjant. Spróbował się podnieść, ale oczy zrobiły mu się szklane jak u Modułowego. Z nosa nadal ciekła mu krew. Jego maska chirurgiczna przybrała jaskrawoczerwoną barwę.

Głowa ponownie pomknęła w jego stronę. Tym razem zdołał ją złapać i powstrzymać kilkanaście centymetrów od swej twarzy. Jednakże długi przewód zwisający z poszarpanego kikuta szyi ożył nagle i wsunął się do krwawiącego nozdrza mężczyzny. Gliniarz złapał go, ale głowa skoczyła nagle do przodu i dwa czoła uderzyły o siebie z impetem. Mężczyzna usiadł na chodniku. Głowa ponownie go okrążyła. Osunął się z jękiem na ziemię i już więcej nie próbował wstać.

Tom znowu zaczął oddychać.

- Czy on nie żyje? - zapytał podekscytowany Miszmasz.

Serce asa nadal waliło jak szalone pod wpływem adrenaliny.

Minęło parę chwil, nim dotarł do niego sens tych słów.

- O kurwa - warknął. Co przed chwilą zrobił? Wszystko to wydarzyło się zbyt szybko.

Głowa Modułowego spadła do rynsztoka i potoczyła się wzdłuż niego. Tom uklęknął przy leżącym na chodniku policjancie i sprawdził jego puls.

- Żyje - stwierdził. - Ale oddech jest słaby. Może mieć wstrząs mózgu albo nawet pęknięcie czaszki.

Miszmasz podszedł bliżej.

- Zabij go.

Tom odwrócił nagle głowę i spojrzał na dzokera z przerażeniem w oczach.

- Oszalałeś?

Spod koszuli wysunęła się odrażająca, fioletowa twarz małpy. Wąskie, twarde wargi lśniły wilgocią.

- On chciał nas wykończyć. Słyszałeś go, słyszałeś, co powiedział. Nie miał prawa. Zabij go.

- Nie ma mowy.

As wstał i wytarł nerwowo dłonie o spódnie. Euforia minęła, ustępując miejsca lekkim

mdłościom.

- On wie, kim jesteś - wyszeptał dzoker.

Tom zdołał jakoś o tym zapomnieć.

- Kurwa, kurwa, kurwa - zaklął. Gliniarz widział jego prawo jazdy.

- Przyjdą po ciebie - zasugerował dzoker. - Dowiedzą się, że ty to zrobiłeś, i przyjdą po ciebie. Zabij go. No już, ja nikomu nie powiem.

Tom odsunął się od policjanta, potrząsając głową.

- Nie.

- W takim razie ja to zrobię.

Miszmasz wywinął wargi, odsłaniając szereg pożółkłych siekaczy. Pomarszczona twarz wystrzeliła do przodu i w dół, a zęby zacisnęły się na szyi mężczyzny. Koszula dzokera zapadła się w miejscu, gdzie przed chwilą był wydatny brzuch. Małpie szczęki gryzły miękkie ciało pod podbródkiem gliniarza. Głowa kołysała się na końcu lśniącej, przezroczystej tuby o długości blisko metra, połączonej z tułowiem dzokera. Tom usłyszał dźwięki chciwego ssania. Policjant wierzgnął słabo nogami. Trysnęła krew, Miszmasz ssał i połykał. Wzdłuż długiej, szklistej szyi popłynął gęsty czerwony strumień.

- Nie! - krzyknął as. - Przestań!

Małpia głowa dzokera nie przestawała żerować. Ta druga, głowa gwiazdora filmowego, obróciła się i skierowała na Toma spojrzenie klarownych, niebieskich oczu. Uśmiechała się błogo.

As sięgnął do Miszmasza swoją TK. A przynajmniej spróbował to zrobić, ale nic mu nie pozostało. Furia, która wypełniła go w chwili, gdy policjant im groził, zniknęła bez śladu. Pozostały jedynie groza i strach, a kiedy się bał, moc zawsze go opuszczała. Stał bezradny, zaciskając i rozluźniając pięści, podczas gdy dzoker szarpał szyję policjanta zębami okrutnymi i ostrymi jak igły.

Wreszcie Tom skoczył na dzokera, złapał go od tyłu, oplatając rękami jego wypaczony tułów, i pociągnął go ku sobie. Siłowali się przez chwilę. Tom miał nadwagę i nie był w najlepszej formie, a do tego nigdy nie zaliczał się do szczególnie silnych mężczyzn, ale pokraczne ciało Miszmasza było bardzo słabe. Obaj zatoczyli się. Dzoker szarpał się ledwo ledwo w jego uścisku, aż wreszcie jego usta oderwały się od rozerwanego gardła gliniarza z cichym trzaskiem. Miszmasz syknął z wściekłością. Jego długa, lśniąca szyja obróciła się nad lewym ramieniem niczym wąż. W jasnych oczach gorzała szalona frustracja. Skurczona, fioletowa twarz była usmarowana krwią. Czerwone zęby kłapnęły szaleńczo, ale szyja była za krótka.

Tom obrócił dzokera i odepchnął go od siebie. Nogi o nierównej długości zahaczyły o siebie i Miszmasz zwałił się ciężko do rynsztoka.

- Zjeżdżaj stąd! - zawołał as. - Zjeżdżaj stąd albo załatwię cię tak samo jak jego!

Miszmasz syknął, kołysząc głową w przód i w tył. W następnej chwili żądza krwi opuściła go równie raptownie, jak się zjawiała. Znowu skulił się ze strachu.

- Nie - wyszeptał. - Błagam, nie. Ja tylko chciałem pomóc. Nie krzywdź mnie, panie.

Jego szyja skurczyła się i zniknęła powoli pod koszulą, jak długi, tłusty, szklisty węgorz wracający do legowiska. Wkrótce pozostała tylko wystraszona małpia twarzyczka, wyglądająca ze szpary między guzikami. Miszmasz zdążył już wstać. Obrzucił jeszcze asa ostatnim błagalnym spojrzeniem, a potem rzucił się do ucieczki, poruszając rękami i nogami w groteskowym rytmie.

Tom wyjął chusteczkę i zatamował krwawienie z szyi policjanta. Wyczuwał tętno, ale



wydawało mu się słabe. Mężczyzna z pewnością stracił mnóstwo krwi. As miał nadzieję, że nie jest za późno.

Przyjrzał się porzuconym samochodom stojącym w pobliżu i wybrał jeden z nich. Joe pokazywał mu kiedyś, jak się zapala silnik, na krótko zwierając przewody. Cholera, miał nadzieję, że tego nie zapomniał.



W poczekalni kliniki w Dżokerowie zostały tylko miejsca stojące. Tom postawił walizkę pod ścianą i usiadł na niej. Torbę z zakrwawioną głową Modułowego wsunął sobie między nogi. W sali było głośno i gorąco. Ignorował wystraszonych ludzi otaczających go ze wszystkich stron oraz krzyki bólu dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia. Wpatrywał się tępo w kafelki podłogi i starał się nie myśleć. Jego ukrytą pod lepiącą się do skóry żabią maską twarz zalewał pot.

Siedział tam już pół godziny, gdy do poczekalni wszedł gruby gazeciarz o sterczących kłach, noszący kapelusz z szerokim rondem oraz hawajską koszulę. W rękach dźwigał stertę gazet. Tom kupił jutrzejszy „Krzyk Dżokerowa”, usiadł na swojej walizce i zaczął czytać. Przeczytał wszystkie słowa we wszystkich artykułach na każdej ze stron, a potem zaczął od nowa.

Nagłówki mówiły o stanie wyjątkowym i trwającym w całym mieście polowaniu na Croyda Crensona. „Krzyk” nazywał go Tyfusowym Croydem. Każdemu, kto zetknął się z nosicielem, groziło zakażenie dziką kartą. Nic dziwnego, że wszyscy tak bardzo się bali. Doktor Tachion powiedział władzom, że to zmutowana postać wirusa, mogąca zarazić nawet stabilnych asów i dżokerów.

Tom pomyślał, że Żółw mógłby Croyda pojmać. Wszyscy poza nim, policjanci, gwardziści albo asowie, narażali się na zarażenie i śmierć, zbliżając się do Crensona, ale Żółw potrafiłby tego dokonać całkowicie bezpiecznie. Jego TK miała duży zasięg, a skorupa zapewniłaby mu ochronę. Ale nie miał już skorupy, a Żółw umarł.

Przeczytał, że po zamieszkach pod Holland Tunnel sześćdziesiąt trzy osoby wymagały pomocy medycznej, a straty materialne oceniano na ponad milion dolarów.

Żółw rozproszyłby tłum, nie robiąc nikomu krzywdy. Wystarczyłoby przemówić do nich, niech to szlag, ukoić ich obawy, a gdyby sytuacja wyrwała się spod kontroli, rozrzucić ich na wszystkie strony za pomocą TK. Nie potrzebowałby do tego broni ani gazu łzawiącego.

W całym mieście dochodziło do sporadycznych wybuchów antydżokerskiej przemocy. Dwóch dżokerów zabito, a kilkanaście ofiar bicia lub kamienowania wymagało hospitalizacji.

W Harlemie doszło do wielu przypadków szabru. Podpalono ulokowaną na parterze budynku siedzibę organizacji Dżokerzy dla Jezusa, a gdy przyjechali strażacy, obrzucono ich cegłami oraz psimi kupami.

Leo Barnett modlił się za dusze ofiar choroby i wzywał do ogłoszenia kwarantanny w imię zdrowia publicznego.

Dwudziestoletnia studentka padła ofiarą zbiorowego gwałtu na stole bilardowym w Piwnicy Deptacza. Kilkunastu dżokerów przyglądało się temu ze stołków barowych, a połowa z nich ustawiła się w kolejce, by również się załapać, gdy pierwsza grupa gwałcicieli już skończyła. Ktoś im powiedział, że uwolnią się od deformacji, jeśli będą uprawiali seks z tą dziewczyną.

Żółw nie żył, a Tom Tudbury siedział na starej, sfatygowanej walizce zawierającej

osiemdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce, podczas gdy otaczający go świat coraz głębiej zapadał w obłąd.

I *wszyscy konni, i wszyscy dworzanie* - pomyślał. Właśnie skończył czytać gazetę po raz trzeci, gdy nagle padł na niego cień. Tom uniósł wzrok i zobaczył krzepką, czarnoskórą pielęgniarkę, która pomogła mu przynieść policjanta z samochodu.

- Doktor Tachion teraz pana przyjmie - oznajmiła kobieta.

Poszedł za nią do małego pokoju badań, gdzie za stalowym biurkiem siedział znużony Takizjanin.

- I jak z nim? - zapytał Tom, gdy pielęgniarka sobie poszła.

- Będzie żył - odparł Tachion, zatrzymując spojrzenie liliowych oczu na zielonej, gumowej masce Toma. - Prawo wymaga, byśmy informowali policję o takich przypadkach. Gdy krzysz już minie, będą chcieli pana przesłuchać. Potrzebujemy pańskiego nazwiska.

- Thomas Tudbury - odparł Tom. Zdjął maskę i rzucił ją na podłogę.

- *Żółw!* - zawołał zaskoczony kosmita i wstał.

*Żółw nie żyje* - pomyślał Tom, ale nie powiedział tego na głos. Doktor Tachion zmarszczył brwi.

- Tom, co tam się wydarzyło?

- To długa i paskudna opowieść. Jeśli chcesz ją poznać, wyczytaj ją z mojego mózgu. Nie chcę o tym rozmawiać.

Tach popatrzył na niego z namysłem. Potem skrzywił się i znowu usiadł.

- Kiedy walczyliśmy z jebanym Astronomem, przynajmniej wiedzieliśmy, kto jest dobry, a kto zły.

- On zna twoje nazwisko - zauważył Takizjanin.

- Jedno z moich nazwisk - odparł Tom. - Pierdolić to. Potrzebna mi twoja pomoc.

Tach, nadal połączony z jego umysłem, uniósł nagle wzrok.

- Nie zrobię tego.

Tom wsparł się o blat biurka, pochylając się nad niższym mężczyzną.

- Zrobisz - zapewnił. - Masz wobec mnie dług, Tachion. A nie ma szans, bym dał radę się zabić bez twojej pomocy.

# Śmiertelność

WALTER JON WILLIAMS

Start.

Świadomość przesywała jego umysł niczym kolejne błyskawice. Wydawało się, że nadchodzi w impulsach, jak fragmenty tekstu z bardzo szybkiej drukarki laserowej... ale nie, to było coś bardziej skomplikowanego. Prawdziwy mistrz tkactwa tkął największy i najbardziej skomplikowany gobelin w całym wszechświecie, a wszystko to działo się w jego umyśle w ciągu kilku sekund.

Otworzył oczy. Ognie świętego Elma migotały przed nim niczym zorza polarna. Jego uszy atakował jakiś straszliwy hałas. Infradźwięki przechodziły przez jego ciało na podobieństwo pływów.

Hałas ucichł. Przyrządy kontrolne sprawdziły wszystko błyskawicznie. Radar namalował w jego umyśle obraz nakładający się na ten utworzony przez wzrok.

- Wszystkie monitorowane systemy funkcjonują - usłyszał własny głos.

Ognie świętego Elma przygasły, odsłaniając nagie, zapadające się belki, uchylony świetlik o szybie pomalowanej od środka na czarno, poprzipinane tu i ówdzie bez ładu i składu schematy oraz zwisające luźno przewody elektryczne. Wentylatory pracowicie poruszały powietrzem. Coś w pomieszczeniu się poruszyło. Najpierw zauważył to radarem, a potem wzrokiem. Poznawał wysokiego, białowłosego mężczyznę o orlim nosie i pogardliwym spojrzeniu. Maxim Travniczek. Na twarzy konstruktora pojawił się lodowaty uśmiezek.

- Witaj z powrotem, opiekaczu. Czeka na ciebie kraina żywych - oznajmił mężczyzna ze środkowoeuropejskim akcentem.



- Ekspłodowałem - stwierdził Modułowy, rozważając tę możliwość z zimnym obiektywizmem, i włożył kombinezon. Gdzieś w oddali bzycała mucha,

- Tak jest - potwierdził Travniczek. - Modułowy, niezwyknięty android, rozleciał się na kawałki. W Wieży Asów, podczas wielkiej bitwy z Astronomem i egipskimi masonami. Na szczęście zrobiłem backup twojej pamięci.

Przez makroatomowe łącza do umysłu Modułowego napłynęły wspomnienia. Android poznał nowy loft Travnicka w Dżokerowie, do którego wynalazca przeniósł się po tym, jak wyrzucono go z większego mieszkania na Lower East Side. Było tu gorąco i duszno. Elektryczne wentylatory podłączone do przeciążonych przedłużaczy tylko w niewielkim stopniu poprawiały sytuację. Sprzęt - komputery i wielkie generatory pola strumieniowego - stał upchnięty na podwyższeniach własnej roboty i półkach z nagiej sklejki. Kineskopy w dwóch monitorach pękły pod wpływem ultradźwięków.

- Z Astronomem? - zdziwił się Modułowy. - Nie widziano go od miesiący. Nie przypominam

sobie, żeby wrócił.

Travnicek machnął lekceważąco ręką.

- Do walki doszło po ostatnim backupie twoich wspomnień.

- Ekspłodowałem? - Android nie miał ochoty o tym myśleć. - Jak mogło do tego dojść?

- No właśnie. To zaskoczenie dla nas obu. Pólinteli-gentnym piecykom mikrofalowym nie takiego nie powinno się przytrafiać.

Travnicek siedział na plastikowym krześle kupionym z trzeciej ręki, trzymając w ręce papierosa. Schudł, a poczerwieniałe oczy miał głęboko zapadnięte. Wyglądał na wiele lat starszego. Proste włosy, zwykle zaczesane gładko do tyłu, sterczały mu na wszystkie strony. Najwyraźniej sam sobie świadczył usługi fryzjerskie.

Był ubrany w workowate, zielone spodnie z demobilu oraz niegdyś elegancką kremową koszulę, zmiętą i poplamioną jedzeniem. Nie miał krawata.

Android nigdy nie widział swego twórcy bez tego elementu ubioru. Uświadomił sobie, że Travnickowi musiało się stać coś złego. Wtem nawiedziła go przerażająca myśl.

- Jak długo byłem...

- Martwy?

- Tak.

- Ekspłodowałeś w ostatni Dzień Dzikiej Karty. Dzisiaj jest piętnasty czerwca.

- Dziewięć miesięcy.

Android był wstrząśnięty.

Wyraźnie poirytowany Travnicek odrzucił papierosa i rozdeptał niedopałek na nagich deskach podłogi.

- A ile czasu twoim zdaniem potrzeba, żeby wybudować blender o twoich możliwościach? Jezu, poświęciłem całe tygodnie tylko na to, by odczytać notatki, które sporządziłem poprzednim razem. - Machnął z ekspresją ręką. - Tylko popatrz na to miejsce. Pracowałem dniami i nocami.

Wszędzie wały się pojemniki po fast foodach zdumiewająco różnorodnych rodzajów, z przewagą chińszczyzny, pizzy oraz z KFC. Między kartonami latały bzyzące muchy. Na podłodze wały się też luźne kartki, żółte prawnicze dokumenty, kawałki papierowych toreb, podarte kartony po papierosach oraz środkowe części pudełek po zapałkach - wszystkie pokryte notatkami sporządzanymi przez Travnicka w gorączce pracy. Połowę z nich wdeptano w podłogę i widniały na nich ślady butów. Poruszające ospale powietrzem w pomieszczeniu wentylatory porozrzucały je na wszystkie strony.

Travnicek wstał, odwrócił się i zapalił kolejnego papierosa.

- Trzeba tu porządnie posprzątać - skwitował. - Wiesz, gdzie jest miotła?

- Tak, proszę pana - odparł z rezygnacją android.

- Po zapłaceniu czynszu za tę pieprzoną norę zostało mi tylko jakieś pięćdziesiąt dolców. Ale to wystarczy, by uczcić tę okazję. - Travnicek potrząsnął drobnymi, które miał w kieszeniach. - Muszę wykonać szybki telefon. - Uśmiechnął się lubieżnie. - Nie tylko ty spotykasz się z dziewczynami.

Modułowy ponownie sprawdził systemy i przyjrzał się swemu ciału obleczonemu w niedopięty kombinezon.

Wyglądało na to, że wszystko jest na miejscu.

Nadal jednak odnosił wrażenie, że coś tu nie gra. Poszedł po miotłę.



Po półgodzinie, trzymając w rękach dwie plastikowe torby na śmieci wypełnione kartonami po fast foodach, android otworzył świetlik, uniósł się w górę, przemknął nad dachem i opadł na ziemię szybem wentylacyjnym prowadzącym do zaułka. Zamierzał wyrzucić śmieci do znajdującego się tam pojemnika.

Jego stopy dotknęły spękanego betonu. W zaułku niosły się echem ciężkie sapanie, gardłowe stękanie oraz dziwny, liryczny odgłos przypominający zew ptaka.

W Dżokerowie mogło to być cokolwiek. Ofiara napadu wykrwawiająca się pod ścianą kamienicy; okropny, żalorny dżoker Gil usiłujący zaczerpnąć oddechu; śpiący żul dręczony koszmarem; gość z Cudaków, który za dużo wypił albo naogła- dał się zbyt wiele groteskowych widowisk i poszedł gdzieś na bok, by opróżnić żołądek...

Android był ostrożny. Bezgłośnie odstawił worki na ziemię i uniósł się może z metr nad ziemię. Następnie obrócił ciało do pozycji horyzontalnej, żeby zajrzeć do zaułka.

Ciężkie sapanie pochodziło od Travnicka. Oparł kobietę o mur, spuścił spodnie do kostek i miarowo poruszał biodrami.

Dziwka zasłaniała dolną połowę twarzy zdobną maską. Była dżokerką. Górna połowa oblicza nie była zniekształcona, ale nie zaliczała się też do ładnych. Kobieta miała na sobie obcisłą bluzkę bez rękawów, błyszczącą srebrzystą kurtkę oraz czerwoną minispódniczkę. Ptasi tryl dobiegał spod maski. Krótka chwila w zaułku zapewne kosztowała Travnicka jakieś piętnaście dolarów.

Konstruktor wymamrotał coś po czesku. Dziwka miała twarz bez wyrazu. Wpatrywała się rozmarzonym wzrokiem w zaułek. Melodyjny dźwięk zapewne był czymś, co wydawała z siebie przez cały czas, bez względu na to, co robiła. Android doszedł do wniosku, że nie chce już dłużej na to patrzeć.

Zostawił śmieci na dnie szybu. Tryl ścigał go niczym stado ptaków.



Ktoś przykleił na plastikowej osłonie ulicznego telefonu czerwono-biało-niebieski plakat z napisem „BARNETT NA PREZYDENTA”. Modułowy nie miał pojęcia, kim jest Barnett. Koniuszki jego plastikowych palców musnęły otwór do wrzucania monet. Rozległ się trzask, a po nim sygnał. Android już dawno temu odkrył, że ze sprzętem telekomunikacyjnym łączy go bliska więź.

- Halo?

- Alice? Mówi Modułowy.

Chwila ciszy.

- To nie jest śmieszne.

- To naprawdę ja. Wróciłem.

- Modułowy eksplodował!

- Mój twórca zbudował mnie na nowo. Zachowałem prawie wszystkie wspomnienia oryginału.

- Android przesunął wzrokiem wzdłuż ulicy. Jak na ciepłe czerwcowe popołudnie było widać bardzo niewielu ludzi. - Grasz w tych wspomnieniach bardzo poważną rolę, Alice.

- O Boże.

Znowu nastąpiła długa przerwa. Android zauważył, że wszyscy przechodnie na ulicy omijają się szerokim łukiem. Jeden z nich miał na nosie i ustach maskę chirurgiczną. Samochodów również było niewiele.

- Czy mogę się z tobą zobaczyć? - zapytał.

- No wiesz, byłeś dla mnie ważny.

- Cieszę się z tego, Alice.

Nagle przeszła na czas przeszły i android wyczuł, że czeka go rozczarowanie.

- Rozumiesz, każdy mężczyzna, z którym się związałam, czegoś ode mnie oczekiwał. To tego, to znowu tamtego. Nigdy nie miałam czasu, by się zorientować, czego pragnie Alice. A potem spotkałam faceta, który dał mi potrzebną swobodę. Faceta, który niczego ode mnie nie chciał, bo nie może niczego chcieć. No wiesz, dlatego że jest maszyną. Załatwił nam dobry stolik w Wieży Asów, mogliśmy też razem latać i tańczyć w blasku księżycy... - Umilkła na chwilę. - Byłeś dla mnie naprawdę ważny, Modułowy. Ale nie możemy się spotkać. Wysłałam za męża.

Dotykalne poczucie utraty przemknęło przez makro-atomowe łącza Modułowego niczym niespodziewany śnieg.

- Cieszę się z twojego szczęścia, Alice.

Obok przejechał dżip Gwardii Narodowej, wiozący czterech gwardzistów w bojowym rynsztunku. Modułowy, który nawiązał dobre stosunki z Gwardią podczas ataku Roju, pomachał do nich ręką. Dżip zwolnił, a jego pasażerowie przyjrzeni się androidowi, nie zmieniając wyrazu twarzy. Potem ruszyli w dalszą drogę.

- No wiesz, myślałam, że nie żyjesz.

- Rozumiem. - Wyczuwał w niej jednak niezdecydowanie. - Czy mogę zadzwonić później?

- Tylko do pracy - odpowiedziała pośpiesznie. - Gdybyś zadzwonił do domu, Ralph mógłby zacząć zadawać pytania. Wie wiele o mojej przeszłości, ale romans z maszyną mógłby mu się wydać nieco zbyt dziwny. No wiesz, oboje wiedzieliśmy, że nie ma w tym nic złego, ale trochę trudno wytłumaczyć to innym.

- Rozumiem.

- Ralph jest tolerancyjny, jeśli chodzi o alternatywne style życia, ale nie jestem pewna, czy jego tolerancja by to wytrzymała, gdyby się dowiedział, że sama żyłam w alternatywny sposób. Zwłaszcza że nigdy dotąd o tym nie słyszał.

- Zadzwonię do ciebie, Alice.

- Do widzenia.

*Wydaje jej się, że niczego nie chciał dla siebie* - pomyślał android, odkładając słuchawkę. Z jakiegoś powodu to właśnie zasmuciło go najbardziej.

Ponownie dotknął palcem otworu do wrzucania monet i wybrał numer do Kalifornii. Sygnał zabrzmiał dwa razy, nim Modułowy usłyszał głos mówiący, że nie ma takiego numeru. Cyndi przeniosła się gdzie indziej. *Może później zadzwonię do jej agenta* - pomyślał.

Za trzecim razem wybrał numer do New Haven.

- Cześć, Kate - rzekł.

- Ojej. - Usłyszał, że ktoś zaciąga się papierosem. Gdy głos rozległ się znowu, brzmiał radośnie. - Byłam przekonana, że ktoś złoży cię z powrotem do kupy.

Zalała go ulga.

- Ktoś to zrobił. Mam nadzieję, że tym razem już na dobre.

Kobieta zachichotała cicho.

- Porządnego faceta trudno jest wykończyć.

Android zastanawiał się chwilę nad tymi słowami.

- Czy moglibyśmy się spotkać? - zapytał.

- Nie przyjadę na Manhattan. Zresztą mosty są zamknięte.

- Zamknięte?

- Zamknięte mosty. Stan wyjątkowy. Panika na ulicach. Wypadłeś z obiegu, prawda?

Modułowy ponownie rozejrzał się po ulicy.

- Pewnie tak.

- Wybuchła nowa epidemia dzikiej karty, mająca epicentrum w dolnej części Manhattanu. Setki ludzi wyciągnęły Czarną Damę. To zmutowana postać. Podobno nosicielem jest ktoś o nazwisku Croyd Crenson.

- Śpioch? Słyszałem o nim.

Kate znowu zaciągnęła się papierosem.

- Zamknęli mosty i tunele, żeby nie mógł się wydostać. Wprowadzili stan wyjątkowy.

To tłumaczyło obecność Gwardii na ulicach.

- Tak mi się coś zdawało, że ruch jest mały - przyznał Modułowy. - Ale nikt mi o niczym nie powiedział.

- Zdumiewające.

- Jeśli ktoś nie żyje, zazwyczaj nie czyta wiadomości - skwitował z przygnębieniem. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym spróbował poszukać pocieszenia. - Ale ja mógłbym cię odwiedzić. Umieć latać. Blokady drogowe mnie nie powstrzymają.

- Mógłbyś. - Odchrząknęła. - Ale co, jeśli jesteś nosicielem, Modu? - Spróbowała się roześmiać. - Gdybym została dzokerką, to zniszczyłoby moją ledwie rozpoczętą karierę akademicką.

- Nie mogę być nosicielem. Jestem maszyną.

- Och. - Zaskoczona kobieta przerwała na chwilę. - Czasami o tym zapominam.

- Mam przylecieć?

- Hmm... - Znowu ten odgłos zaciągania się papierosem.

- Lepiej nie. Nie przed egzaminem dyplomowym.

- Egzaminem?

- Spędziłam trzy dni w małym, tłoczonym piekle w towarzystwie najnudniejszych rzymskich poetów. To znaczy naprawdę wiele, jeśli się nad tym zastanowić. Uczę się jak szalona. Nie mogę sobie pozwolić na życie towarzyskie, dopóki nie obronię pracy.

- Aha. W takim razie zadzwonię wtedy, dobra?

- Będę czekała.

- No to pa.

Modułowy odwiesił słuchawkę. Przez jego umysł przetaczały się kolejne numery telefonów, ale pierwsze trzy próby zniechęciły go w wystarczającym stopniu, że nie miał już ochoty próbować dalej.

Spojrzał na niemal całkowicie opustoszałą ulicę. Mógł polecieć do Wieży Asów. Może tam kogoś spotka.

Wieża Asów. Miejsce, w którym zginął.

Chłód dotknął jego umysłu na tę myśl. Nagle poczuł, że nie chce lecieć do Wieży Asów.

Potem jednak zdecydował, że musi poznać prawdę.

Talerz jego radaru zawirował i android wzbił się bezgłośnie w powietrze.



Wylądował na tarasie widokowym i wszedł do baru. Hiram Worchester, stojący samotnie pośrodku sali, odwrócił się nagle i zacisnął pięść. Jego oczy były ciemnymi otworami w opuchniętej twarzy. Gapił się na Modułowego przez długi czas, jakby go nie poznawał. Wreszcie przełknął ślinę, opuścił rękę i uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem.

- Tak też myślałem, że cię odbudują - stwierdził.

- Odporny na wstrząsy i uszkodzenia - odparł z uśmiechem android.

- Bardzo się z tego cieszę. - Z ust Hiram wydobyl się sztuczny chichot, brzmiący, jakby pochodził z tuby staromodnego gramofonu. - Niemniej nie co dzień się zdarza, żeby stały klient wrócił z martwych. Modułowy następny posiłek łącznie z trunkami otrzymasz na koszt Wieży Asów.

Lokal był prawie opustoszały. Poza Hiramem obecny był tylko Ścianołaz i dwóch innych gości.

- Dziękuję, Hiram. - Podeszedł do baru i postawił stopę na poręczy. Dzięki temu znajomemu, ciepłemu gestowi poczuł się jak w domu. Uśmiechnął się do barmana, którego nigdy dotąd nie widział.

- Zombie - zamówił. Wtem Hiram wydał z siebie zdławiony dźwięk, jakby się zakrztusił. Android obejrzał się i spojrzał na grubasa.

- Coś ci dolega, Hiram?

Restaurator uśmiechnął się nerwowo.

- Nie, nie. - Poprawił muszkę i otarł z czoła wymaglinowany pot. Miły ton jego głosu był wyraźnie wymuszony. Wydawało się, że mówienie sprawia mu trudności. - Przez wiele miesięcy przechowywałem tu twoje części - podjął. - Głowa była mniej więcej nietknięta, chociaż nie mówiła. Miałem nadzieję, że twój twórca tu przyjdzie i będzie wiedział, jak zmontować to wszystko w całość.

- To skryty człowiek i nie pojawia się publicznie. Jednak z pewnością ucieszyłby się z odzyskania części.

Hiram skierował na niego spojrzenie głębokich, martwych oczu.

- Niestety, ktoś je ukradł. Pewnie jakiś szalony kolekcjoner.

- Och. Mój twórca będzie rozczarowany.

- Pańskie zombie - odezwał się barman.

- Dziękuję.

Android zauważył, że podpisane zdjęcie senatora Hartmanna przesunięto z kąta na honorowe miejsce nad barem.

- Wybacz mi, proszę, Modułowy - rzekł Hiram. - Naprawdę muszę wracać do kuchni. Czas i *rognons sautes au champagne* nie czekają na nikogo.

- To brzmi bardzo zachęcająco - stwierdził android. - Może zjem na kolację twoje *rognons*, czymkolwiek mogą być.

Sledził wzrokiem masywną sylwetkę zmierzającego do kuchni Hiram. Coś z nim było nie w porządku. Zachowywał się dziwnie. Jego reakcja na słowo „zombie” czy osobliwy komentarz na temat głowy. Wydawał się wydrażony, jakby coś pochłaniało od środka jego potężne ciało. Bardzo się zmienił, odkąd Modułowy ostatnio go widział.

Podobnie jak Travnicek. I wszyscy.

Jego umysł wypełnił nagły chłód. Być może jego poprzednie wyobrażenia były z jakiegoś



powodu niepoprawne, a w zapisanych wspomnieniach krył się jakiś niezamierzony cybernetyczny błąd. Równie prawdopodobne było jednak, że to jego obecne spostrzeżenia były zafałszowane. Być może jego twórca w którymś miejscu się pomylił.

Może znowu eksploduje.

Oddalił się od baru i podszedł do Ścianołaza. Był on stałym gościem Wieży Asów, trzydziestoparoletnim, czarnoskórym mężczyzną niemającym żadnego określonego zajęcia. Dzika karta umożliwiła mu chodzenie po ścianach i sufitach. Nosił płócienną maskę na oczy, która nie ukrywała zbyt dobrze rysów jego twarzy. Sprawiał wrażenie, że ma mnóstwo forsy, i uchodził za miłego towarzysza. Mężczyzna uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Cześć, Moduł. Nieźle wyglądasz.

- Mogę się dosiąść?

- Czekam na kogoś - odparł Ścianołaz z lekkim akcentem kojarzącym się androidowi z Indiani Zachodnimi. - Ale nie mam nic przeciwko temu, byś tymczasem dotrzymał mi towarzystwa.

Modułowy usiadł. Ścianołaz popatrzył nad niego nad butelką Sierra Portera.

- Nie widziałem cię od czasu, gdy... eksplodowałeś. - Potrząsnął głową. - Paskudna sprawa, brachu.

Android przełknął łyk zombie. Receptory smaku wypełniły jego umysł spektakularnym głuchym dźwiękiem.

- Zastanawiałem się, czy mógłbyś mi opowiedzieć o tym, co się wtedy wydarzyło.

Radar pokazał Modułowemu łatwy do rozpoznania obraz Hirama. Restaurator podszedł do baru, rozejrzał się w lewo i w prawo z wyraźnym niepokojem, a potem ponownie się wycofał.

- Aha. No tak, pewnie tego nie pamiętasz, co? - Mężczyzna zmarszczył brwi. - To chyba był wypadek. Próbowaleś uratować Jane przed Astronomem i wszedłeś w drogę Croydowi.

- Croydowi. Temu samemu, który...

- Roznosi wirusa? Tak jest. To był on, nie kto inny. Moc, którą wtedy miał... zmiękczała metal albo robiła coś równie głupiego. Próbował jej użyć przeciwko Astronomowi, ale nie zdołał nad nią zapanować i trafił w ciebie. Wygiąłeś się jak człowiek guma, a potem zaczęłeś strzelać na wszystkie strony dymem i gazem łzawiącym. Po kilku sekundach eksplodowałeś.

Modułowy znieruchomiał na krótki moment, pozwalając swym obwodom zbadać tę możliwość.

- Czy Astronom był zrobiony z metalu? - zapytał wreszcie.

- Nie. To był tylko chorowity staruszek.

- Zatem moc Croyda i tak na nic by się nie zdała. Nie przeciwko Astronomowi.

Ścianołaz rozłożył ręce.

- Ludzie strzelali ze wszystkiego, co tylko mieli pod ręką, brachu. Mieliśmy tu słonia naturalnej wielkości. Światła zgasty, w pomieszczeniu było pełno gazu łzawiącego...

- A Croyd użył mocy dzikiej karty, która mogła być skuteczna tylko przeciwko mnie.

Ścianołaz wzruszył ramionami. Dwaj pozostali goście siedzący przy barze wstali i odsunęli się od nich. Modułowy zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

- Kim jest Jane? Ta kobieta, którą próbowałem uratować?

Ścianołaz obrzucił go spojrzeniem.

- Jej też nie pamiętasz?

- Chyba nie.

- Miałaś jej pilnować. Nazywali ją Lilią Wodną, brachu.

- Aha. - Umysł androida wypełniła lekka ulga. Wreszcie wspomniano o czymś, co sobie przypominał. - Pamiętam ją. Spotkaliśmy się podczas ataku na Cloisters. Myślałem, że naprawdę

nazywa się Lilia.

Zapytał ją wtedy: „Czy nie widziałem cię podczas ucieczki małpy?”. Nigdy już jej więcej nie widział. Może ona znałaby odpowiedzi na niektóre jego pytania.

- Najwyraźniej woli, żeby ją nazywano Jane, brachu. Tym imieniem się posługiwała, kiedy pracowała tutaj.

*Ja nie mam imienia - pomyślał nagle android. Tylko tę etykietę. „Modułowy”. To tylko nazwa marki, nie prawdziwe imię, jak Bob, Simon czy Michael. Czasami ludzie mówią na mnie „Moduł”, żeby ułatwić sobie zadanie. Właściwie nie mam imienia.*

Wypełnił go smutek.

- Może wiesz, gdzie mógłbym ją znaleźć? - zapytał. - Chciałbym jej zadać kilka pytań.

Ścianołaz zachichotał.

- Ty i połowa miasta, brachu. Zniknęła i zapewne ucieka ile sił w nogach, by zachować życie. Ludzie mówią, że ona potrafi uratować ofiary Croyda.

- Tak?

- Pierdoląc się z nimi.

- A niech to.

Fakty kłębiły się w bezradnym umyśle androida. Nic z tego, co usłyszał, nie miało sensu. Croyd go załatwił, a teraz szerzył w mieście śmierć, kobieta, która mogła pomóc jego ofiarom, musiała się ukrywać, Hiram i Travnicek dziwnie się zachowywali, a Alice wyszła za mąż.

Przyjrzał się uważnie Ścianołazowi.

- Jeśli to wszystko to jakiś dziwaczny żart, lepiej powiedz mi o tym teraz - zażądał. - Bo w przeciwnym razie zdrowo oberwiesz - zakończył całkowicie poważnie.

Źrenice mężczyzny rozszerzyły się nagle. Android miał wrażenie, że Ścianołaz nie przestraszył się go zbyt.

- Nie wymyśliłem tego, brachu - zapewnił rzeczowym, emfatycznym tonem. - To nie są bajki, Moduł. Croyd roznosi Czarną Damę. Lilia Wodna uciekła i wprowadzono stan wyjątkowy.

Nagle z kuchni dobiegły krzyki.

- Nie wiem, gdzie się podział, do cholery! - wołał Hiram.

- Po prostu sobie poszedł!

- Szukał cię!

Nagle rozległ się brzęk, jakby sterta rondli posypała się na podłogę.

- Nie wiem! Nie wiem! Po prostu sobie poszedł, niech cię szlag!

- Nie zostawiłby mnie!

- Zostawił nas obu!

- Jane też by nas nie zostawiła!

- Oboje nas zostawili!

- Nie wierzę ci!

Posypały się kolejne rondle.

- Wynoś się! Wynoś! Zabieraj się stąd!

Głos Hirma przeszedł w histeryczny wrzask. Restaurator wypadł nagle z kuchni, niosąc w ramionach Azjatę ubranego w strój kucharza. Drugi mężczyzna sprawiał wrażenie lekkiego jak piórko.

Grubas cisnął mężczyzną w drzwi wyjściowe. Azjata ważył za mało, by mógł je otworzyć samym impetem. Zaczął się osuwać na podłogę. Hiram poczerwieniał na twarzy. Podbiegł do mężczyzny i wypchnął go za drzwi.

W restauracji panowała cisza, macona jedynie ciężkim sapaniem jej właściciela. Hiram obrzucił bar wyzywającym spojrzeniem, a potem wrócił do gabinetu. Jeden z klientów wstał pośpiesznie, zapłacił rachunek i opuścił lokal.

- Niech to szlag - poskarżył się drugi, wysoki i chudy mężczyzna o ciemnych włosach, wyraźnie nieczujący się zbyt dobrze w eleganckim ubraniu, które miał na sobie. - Czekałem dwadzieścia lat na to, żeby wreszcie móc tu przyjść, a gdy wreszcie mi się udało, zastałem tu coś takiego.

Modułowy zerknął na Ścianołaza. Czarnoskóry mężczyzna uśmiechnął się do niego ze smutkiem.

- Standardy wszędzie się obniżają.

Scena, której był świadkiem, dziwnie pocieszyła androida. Hiram rzeczywiście się zmienił. To nie był tylko błąd oprogramowania.

Wrócił myślą do Dnia Dzikiej Karty. Jego obwody przesiewały wszystkie możliwości.

- Czy to możliwe, by Croyd pracował dla Astronoma?

- W Dzień Dzikiej Karty? - Ścianołaz najwyraźniej uznał tę myśl za interesującą. - On jest kimś w rodzaju najemnika, więc nie można tego wykluczyć. Ale Astronom pozabijał prawie wszystkich swoich sługusów, brachu. To była prawdziwa jatka, a Croyd nadal jest z nami.

- Skąd tyle o nim wiesz?

- Trzymam ucho tuż przy ziemi, brachu - odparł z uśmiechem czarnoskóry as.

- Jak on wygląda? - zapytał Modułowy, zdeterminowany, by unikać Śpiocha.

- Nie potrafię opisać, jak może wyglądać w tej chwili. No wiesz, brachu, on ciągle zmienia wygląd i zdolności. To jego dzika karta. Kiedy ostatnio się pojawił, miał jakiegoś towarzysza albo strażnika. Nikt nie wie, kto to jest, ani który z nich to Śpioch. Jeden z nich, Croyd albo ten drugi, jest albinosem, brachu. Ale teraz pewnie ufarbował sobie włosy i nosi ciemne okulary. Drugi jest młody i przystojny. Ale od paru dni nie widziano żadnego z nich. Nie było też nowych przypadków dzikiej karty. Którymkolwiek z nich był Croyd, może teraz być kimś innym i już nie roznosić zarazy.

- To by znaczyło, że kryzys się skończył, prawda?

- Pewnie tak, ale nadal trwa wojna gangów.

- Nie chcę o tym słyszeć.

- I zbliżają się wybory. Nawet ja nie wierzę, kto kandyduje.

Modułowy zobaczył na radarze obraz Hirama. Restaurator wyszedł z gabinetu, rozejrzał się niespokojnie po sali i wrócił do siebie. Ścianołaz obserwował go z niespokojną miną, spoglądając nad prawym ramieniem Modułowego.

- Hiram nie radzi sobie za dobrze.

- Tak też sobie pomyślałem, że się zmienił.

- Interes idzie kiepsko, brachu. Asowie nie są już tacy modni, jak kiedyś. Masakra w Dzień Dzikiej Karty była poważnym ciosem dla niekontrolowanych talentów. Podczas wyprawy zorganizowanej przez Światową Organizację Zdrowia też doszło do licznych aktów przemocy. To była wielka klapa, a Hiram brał w niej udział. Wybacz, brachu, pewnie nic o tym nie słyszałeś.

- Nie szkodzi - uspokoił go android.

- W porządku. A teraz, gdy ten skubany Croyd rozdaje po całym mieście dzokery i Czarne Damy, reakcja na pewno będzie gwałtowna. Wkrótce może się okazać, że pokazywanie się z asami jest... politycznie nierozsądne.

- Nie jestem asem. Jestem maszyną.  
- Ale umiesz latać, brachu! Jesteś nadludzko silny i strzelasz impulsami energii. Spróbuj wytłumaczyć komuś różnicę.

- Pewnie masz rację.

Ktoś wszedł do baru. Obraz pokazany przez radar wyglądał tak dziwnie, że Modułowy się odwrócił, by pomóc sobie wzrokiem.

Ciemne włosy i broda opadały niemal do kostek mężczyzny. Z szyi zwisał mu krucyfiks na łańcuchu. Poza włosami miał na sobie brudny T-shirt i niebieskie, obcięte dżinsy. Był bosy.

Nic z tego nie było wystarczająco osobliwe, by samo w sobie sugerowało dziką kartę, ale gdy mężczyzna podszedł bliżej, Modułowy zauważył jego wielobarwne tęczy. Koncentryczne kręgi - pomarańczowe, żółte i zielone - wyglądały jak na tarczy strzelniczej. Dłonie miał zdeformowane, a palce cienkie i owłosione. W jednej ręce trzymał małą butelkę coli.

- Właśnie z nim chciałem się zobaczyć - odezwał się Ścianołaz. - Czy mógłbym cię przeprosić?

- W takim razie do zobaczenia.

Modułowy wstał.

Włochaty mężczyzna podszedł do stolika i spojrzał na Ścianołaza.

- Znam cię.

- Znasz mnie, Ostrzyżony.

Modułowy wrócił do baru i zamówił kolejne zombie. Hiram wyszedł z gabinetu i wyrzucił Ostrzyżonego za brak odpowiedniego obuwia. Modułowy zauważył, że gdy włochaty mężczyzna wychodził ze Ścianołazem, ułożył sobie butelkę po wewnętrznej stronie przedramienia, jakby była strzykawką wyposażoną w igłę, i zostawił ją tam.

W barze zrobiło się pusto. Hiram wyglądał na smutnego i niespokojnego, a barman podzielał nastroj szefa. Android pożegnał się i wyszedł.

Nigdy już nie będzie pił zombie. Skojarzenia były zbyt przygnębiające.



- Jasne. Musimy jakoś zorganizować forszę. Mam rację, robocie kuchenny? - Maxim Travnicek przerzucił stertę notatek, które napisał do samego siebie, gdy składał w całość Modułowego. - Idź jutro do Urzędu Patentowego i przynieś trochę formularzy. Cholera, stopa mnie swędzi.

Potał czubkiem lewego buta prawą łydkę.

- Mógłbym spróbować dostać się jutro do „Grzędy Sokolicy”. Niech wszyscy się dowiedzą, że wróciłem. Ona płaci tylko stałą stawkę, ale...

- Ta suka jest w ciąży. Nie wiedziałeś o tym? Wygląda na to, że lada dzień urodzi bachora.

*Kolejny szczegół, o którym nie słyszałem* - pomyślał android. *Cudownie*. Teraz się dowie, że Francja zmieniła nazwę na Fredonia i przeniosła się do Azji.

- Szkoda że nie widziałeś jej cycków! Jeśli wcześniej uważałeś, że są świetne, powinieneś zobaczyć je teraz! Rewelacja!

- Polecę tam i pogadam z jej producentem.

- Struny bozonowe - odezwał się Travnicek. Trzymał w ręku jedną ze swoich kartek, ale w ogóle na nią nie patrzył.

- Minus jeden do entej równa się minus jeden dla wektora o zerowej masie. To znaczy, że

epsilon równa się jeden. - Oczy mu się zaszklily, a ciało kołysało się w przód i w tył. Najwyraźniej wpadł w jakiegoś rodzaju trans. - W przypadku superstrun - kontynuował - minus jeden do entej równa się plus jeden dla wektora o zerowej masie, zatem epsilon jest równy plus jeden. Cały zbiór  $n$  razy  $n$  macierzy antyhermitowskich reprezentuje  $U(n)$  w skomplikowanym przypadku... Potencjalna sprzeczność z zasadą...

Androida zalała fala zimnego przerażenia. Nigdy dotąd nie widział swego twórcy w takim stanie.

Travnicek utrzymywał się w tym trybie przez kilka minut. Następnie ocknął się nagle i spojrzał na Modułowego.

- Mówiłem coś? - zapytał.

Android powtórzył wszystko wiernie, słowo po słowie. Travnicek słuchał go z zaszkloną miną.

- Tak jest, to są otwarte struny. Problemem jest rozkład spektralny operatora strun. Czy powiedziałem coś na temat sum sigma ciał?

- Przykro mi - odparł Modułowy.

- Niech to szlag. - Travnicek potrząsnął głową. - Jestem fizykiem, nie matematykiem. Przepracowałem się. W dodatku ta pierdolona stopa ciągle mnie swędzi.

Pokuśtykał do łóżka polowego i usiadł na nim, a następnie zdjął but oraz skarpetkę i zaczął się drapać między palcami u nogi.

- Gdybym coś wykombinował w sprawie pierdolonego wierzchołka emisji fermionów, mógłbym rozwiązać problem odpływu energii, który cię nawiedza, gdy wychodzisz poza spektrum. Cząstki o masie zerowej są łatwe, ale...

Umilkł i wpatrzył się w swoją stopę.

Dwa jej palce zostały mu w ręce. Z ran nieśpiesznie sączyła się niebieskawa ciecz.

Android gapił się na to z niedowierzaniem. Jego twórca zaczął krzyczeć.



- Operatory, o które chodzi - mówił Travnicek - są fermionowe tylko z punktu widzenia dwuwymiarowej powierzchni świata, a nie w wielowymiarowej czasoprzestrzeni.

Po przybyciu na oddział ratunkowy Kliniki imienia Blythe van Renssaeler konstruktora położono na wózek szpitalnym. Wkrótce znowu wpadł w trans. Modułowy zastanawiał się, czy ma to coś wspólnego z „rozkładem spektralnym operatora”, o którym jego twórca wspominał wcześniej.

- Ograniczenie widma do sektora parzystości g... eliminuje z niego tachiony...

- To dzika karta - oznajmił Modułowemu doktor Finn. Od początku raczej nie było wątpliwości. - Ale jest jakaś dziwna. Nie rozumiem jej widma. - Zerknął na serię komputerowych wydruków, stukając nerwowo kopytami o podłogę. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z dwoma rodzajami wirusa.

- Wolna od zjaw przestrzeń stożka świetlnego... Niezmiennik transformacji Lorentza obowiązuje...

- Zawiadomiłem Tachiona - ciągnął Finn. Był centaurem wielkości kucyka. Jego ludzka część nosiła biały lekarski fartuch i słuchawki na szyi. Popatrzył na Travnicką, a potem na androida. - Czy może pan przyjąć odpowiedzialność za tego człowieka, gdybyśmy mieli podać mu surowicę? Jest pan jego krewnym?

- Nie mogę podpisywać prawnych dokumentów. Nie jestem człowiekiem, tylko maszynową inteligencją szóstej generacji.

Finn przeklnął to bez słowa.

- Zaczekamy na Tachiona - zdecydował.

Plastikowe zasłony się rozsunęły. Zaskoczony kosmita szeroko otworzył fioletowe oczy.

- Kurwa, wróciłeś.

Modułowy uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie słyszał, by Tachion przeklinał. Takizjanin miał na sobie biały fartuch, na który narzucił huzarską kurtkę ozdobioną złotymi koronkami tak bogato, że starczyłoby ich dla całej Rurytańskiej Gwardii Królewskiej. Na wierzchu miał czarny pas ozdobiony srebrnymi conchos z turkusami, a za nim rewolwer Colt Python.

- Nosisz sześciopalcowca - zauważył Modułowy.

Tachion szybko otrząsnął się z zaskoczenia i machnął lekceważąco ręką.

- Doszło do przypadków... nekowania. Ale jakoś sobie radzimy. Ciesz się, że zmontowano cię na nowo.

- Dziękuję. Przywiozłem wam pacjenta.

Tachion przyjął wydruki z rąk centaury i zaczął je przerzucać.

- To pierwszy przypadek dzikiej karty od trzech dni - zauważył. - Jeśli uda się nam ustalić, gdzie zaraził się pacjent, może pozwoli to nam wytropić Croyda.

- Niezmienniczość reparametryzacji struny bozonowej! - zawołał Travniczek. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Zachować cechowanie kowariantne!

Tachion przymrużył powieki, czytając wydruki.

- Mamy do czynienia z dwoma szczepami wirusa - stwierdził. - Jedna stara infekcja i jedna nowa.

Modułowy spojrział z zaskoczeniem na swego twórcę. Przez jego umysł przepłynęły rozmaite implikacje. Travniczek od początku był dziką kartą. Zbudował androida dzięki niej, nie dzięki wrodzonemu geniuszowi.

Takizjanin popatrzył na pacjenta.

- Czy można go obudzić z tego stanu?

- Nie mam pojęcia.

Tachion pochylił się nad wózkiem i przyjrzał z uwagą Travniczkowi. *Moce mentalne* - pomyślał Modułowy.

Wynalazca krzyknął i odtrącił na bok ręce Takizjanina. Następnie usiadł, wytrzeszczając oczy.

- To ta kurewska Lorelei! - oznajmił. - Ona mi to robi. Suka. Dlatego, że nie dałem jej napiwku.

Tachion popatrzył na niego.

- Panie, hmm...

Travniczek pogroził mu palcem.

- Mówiłem jej, przestań śpiewać, kiedy to robimy, a może dostaniesz napiwek! Komu to potrzebne! To tylko rozprasza!

- Proszę pana - odezwał się Takizjanin. - Potrzebuje-emy listy pańskich kontaktów z kilku ostatnich dni.

Po twarzy chorego spływały strumienie potu.

- Z nikim się nie widziałem. Od trzech dni siedziałem w lofcie. Zjadłem tylko kilka kawałków pizzy z lodówki. - Jego głos przeszedł w krzyk. - Mówię panu, że to Lorelei! Ona mi to robi!

- Jest pan pewien, że ta Lorelei była pana jedynym kontaktem?

- Jezu, tak! - Travnicek wyciągnął rękę. Nadal trzymał w dłoni dwa palce stopy. - Proszę spojrzeć, co ta suka mi zrobiła!

- Wie pan, jak można się z nią skontaktować. Gdzie się ukrywa?

- Shangri-La Wizyty Domowe. Są w książce telefonicznej. Niech pan powie, żeby ją przysłali. - W jego oczach pojawił się gniew. - Pięć dolców za taksówkę!

Finn zerknął na Tachiona.

- Czy Croyd mógł w ciągu trzech dni zmienić się w kobietę?

- To mało prawdopodobne, ale nie mamy innego tropu. Może przynajmniej trafimy przez nią do Croyda. Wezwij brygadę. I policję.

- Już się robi.

Finn opuścił zasłoniętą część pomieszczenie, stukając kopytami w kafelki. Tachion przeniósł swą uwagę na Travnicka.

- Był pan kiedyś zarażony dziką kartą? - zapytał. - Jakież objawy?

- Pewnie, że nie byłem! - Wynałazca sięgnął ku swej bosej stopie, ale cofnął gwałtownie rękę. - Straciłem czucie w palcach. Niech to szlag!

- Pytam dlatego, że to pańska druga infekcja. Jedną już pan przeszedł.

Travnicek uniósł nagle głowę. Na kurtkę Tachiona trysnął pot.

- Jak to druga, do cholery! Nic takiego nigdy mnie nie spotkało.

- Najwyraźniej spotkało. Wirus głęboko zinfiltrował pańską strukturę genetyczną.

- Nigdy w życiu na nic nie chorowałem, ty pierdolony szarlatanie.

- Proszę pana - wtrącił android. - Ma pan nadzwyczajne talenty. Na przykład... niezmienniczość reparametryzacji struny bozon owej?

Travnicek wpatrywał się weń przez długą chwilę. Wreszcie na jego twarzy rozblęskło zrozumienie. Po chwili zastąpiła je groza.

- Mój Boże - wyszeptał.

- Proszę pana - odezwał się Tachion. - Dysponujemy surowicą. Szansa sukcesu wynosi dwadzieścia procent.

Travnicek nie przestawał się gapić na androida.

- Sukcesu - powtórzył. - To znaczy, że uwolniłbym się od obu infekcji, prawda?

- Tak, zakładając, że surowica w ogóle zadziała. Ale istnieje ryzyko...

Kopyta znowu zastukały o podłogę. Zza zasłony wyłonił się Finn.

- Wszystko gotowe, doktorze. - Otworzył walizkę, którą ze sobą przyniósł. W środku były strzykawki i ampułki.

- Mam tu surowicę i formularze do podpisania.

Travnicek sprawiał wrażenie, że po raz pierwszy zauważył centaura. Skulił się trwożnie.

- Nie zbliżaj się do mnie, dziwolągu!

Finn wydawał się zażenowany. Twarz Tachiona stwardniała. Takizjanin wyprostował się z gniewną wyniosłością.

- Doktor Finn ma pełne uprawnienia lekarza i to on odpowiada tu za opiekę nad pacjentami.

- Może sobie nawet mieć uprawnienia do ciągnięcia powozów w Central Parku! Dżoker chce mi zrobić zastrzyk, a ja na to nie pozwolę! - Travnicek zawahał się. Spojrzał na palce, które trzymał w dłoni. - W gruncie rzeczy, nie zgadzam się na podanie tej pierdolonej surowicy. - Zerknął na androida. - Zabierz mnie stąd. Natychmiast.

- Tak, proszę pana.

Modułowego wypełniła trwoga. Skonstruowano go w ten sposób, że nie mógł odmówić wykonania bezpośredniego rozkazu swego twórcy. Wziął Travnicka w ramiona i podniósł go z wózka. Tachion przyglądał się temu z założonymi rękami. Jego twarz zamarła w wyrazie nieprzejednanej wrogości.

- Chwileczkę! - zawołał z desperacją Finn. - Musi pan podpisać oświadczenie, że odmówił poddania się leczeniu.

- Pieprz się! - warknął Travnicek.

Modułowy wzniosł się nad zasłonami oddzielającymi od siebie łóżka na oddziale ratunkowym i ruszył w stronę wyjścia. Dżokerskie dziecko o szarej twarzy, czekające na usunięcie odłamka z kolana, skierowało na nich spojrzenie jednolicie srebrnych oczu. Finn pędził za nimi, wymachując formularzami i długopisem.

- Proszę przynajmniej podać nazwisko!

Modułowy przedarł się przez wahadłowe drzwi oddziału i ominął zaskoczonego, zielonoskórego dżokera o wzroście dobrze ponad dwóch metrów, kierując się ku wyjściu. Gdy tylko znalazł się na ulicy, przyśpieszył.

- Gdy już wrócimy do domu, znajdź Lorelei - zażądał Travnicek. - Przeprowadzisz ją do loftu i zmusimy ją do wyłączenia jej dzikiej karty.

Nocni przechodnie unosili wzrok, spoglądając na androida i dźwigane przez niego brzemie. Połowa z nich miała na twarzach chirurgiczne maski. Modułowy zatrwożył się jeszcze bardziej.

- To jest infekcja wirusowa - poinformował Travnicka.

- Nie wierzę, żeby ktokolwiek to panu zrobił.

- Jezus Maria! - Travnicek walnął się otwartą dłonią w czoło. - Tych dwóch skurczybyków w korytarzu! Zapomniałem o nich! - Uśmiechnął się. - To jednak nie była ta laleczka! Kiedy schodziłem na dół, żeby zadzwonić po Lorelei z telefonu w korytarzu, natknąłem się na dwóch facetów idących na górę. Potrafiłem jednego z nich. Weszli do mieszkania bezpośrednio pod nami. Jeden z nich musiał być tym Croydem.

- Czy któryś był albinosem?

- Nie przyglądałem się im. Zresztą i tak mieli na twarzach te chirurgiczne maski. - Podekscytował się. - Jeden z nich nosił ciemne okulary! W słabo oświetlonym korytarzu! Na pewno chciał ukryć różowe oczy!

Po chwili dotarli do domu. Android wleciał do zaułka, skręcił do szybu i wzniosł się na płaski dach budynku. Otworzył świetlik i ostrożnie wsunął wynalazcę do środka. Stawiając go na podłodze, zauważył, że dwa kolejne palce jego stopy zginają się pod dziwnym kątem.

Travnicek najwyraźniej tego nie dostrzegł. Zaczął chichotać, spacerując po pokoju.

- Myślałem, że mają w tamtym mieszkaniu dżokera - mówił. - Spotkałem kiedyś jednego na schodach, ale bałem się tylko o to, żeby nie poskarżył się właścicielowi na hałas robiony przez generatory pola strumieniowego. - Jeden palec odpadł i potoczył się pod stół. - Jest na dole. On mi to zrobił. Skurwysyn zapłaci za to.

- Może nie być w stanie nad tym zapanować - zauważył android, spoglądając na miejsce, gdzie zniknął palec. Zastanawiał się, czy powinien go podnieść. - Niewykłuczone też, że nie potrafi tego odwrócić.

Travnicek nagle zwrócił się ku niemu. Po twarzy spływały mu strugi potu, a jego oczy błyszczały od gorączki.

- Przestanie to robić albo zginie! - Jego głos przerodził się we wrzask. - Nie zmienię się w dżokera! Jestem geniuszem i zamierzam nim pozostać! Znajdź tego skurwysyna i doprowadź



go tutaj!

- Tak jest.

Zrezygnowany android podszedł do metalowej szuflady, w której przechowywano jego zapasowe części. Nacisnął szyfrową klamkę, otworzył drzwi i zobaczył, że brakuje dwóch granatników. Najwyraźniej załadował jeden gazem usypiającym, a drugi granatami dymnymi, a następnie oba zniszczono w Wieży Asów. Został mu oslepiacz, działko kalibru dwadzieścia milimetrów oraz laser mikrofalowy.

Przyszła mu do głowy myśl, że Croyd już raz go zniszczył. Rozsunął zamki błyskawiczne na ramionach kombinezonu i aktem woli otworzył pokrywy umieszczonych pod spodem gniazd. Wyjął działko oraz laser i wsunął je na miejsca. Długość tego pierwszego niemal dorównywała jego wzrostowi. Było też bardzo ciężkie, ale android utkał wzorce programowania, które ułatwią mu zachowanie równowagi. Do działka przytwierdzono bęben z pociskami. Zamek poruszył się z trzaskiem i pierwszy pocisk wprowadzono do komory.

Modułowy zadał sobie pytanie, czy znowu zginie.

Włączył pola strumieniowe. Otoczyła go woń ozonu. Przed jego oczami zatańczyły ognie świętego Elma. Zdematerializowany android przeniknął przez podłogę.



Pierwszym, co zobaczył, był telewizor. Jego kineskop implodował. Jedno z ramion pokojowej anteny zastąpiono wyprostowanym wieszakiem.

Pośrodku pokoju stało łóżko połowę. Materac owinięto folią. Pościeli nie było. Resztę pomieszczenia wypełniały tanie meble.

Android zmaterializował się i zawisnął w powietrzu. Słyszał głosy dobiegające z drugiego pokoju. Jego broń skierowała się w tamtym kierunku, gotowa do strzału.

- Coś zbiło całe szkło. - Głos był szybki, rozgorączkowany i pełen dziwnej pasji. - Dzieje się coś dziwnego.

- Może to był grom dźwiękowy? - zasugerował drugi głos, głębszy i z pewnością spokojniejszy.

- Kubki na półkach? - Pierwszy głos brzmiał natarczywie. Mężczyzna mówił tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą.

- Coś zbiło kubki na półkach. Gromy dźwiękowe tego nie robią. Nie w Nowym Jorku. To musiało być coś innego.

Mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał zapomnieć o tej sprawie.

Modułowy podleciał do drzwi. W maleńkiej kuchni przebywało dwóch ludzi. Obaj pochylali się, zaglądając do niewielkiej lodówki. Wylewały się z niej mleko i sok pomarańczowy.

Ten, który stał bliżej, był młody, ciemnowłosy i przystojny jak gwiazdor filmowy. Miał na sobie niebieskie džinsy oraz kurtkę Levi'sa. W ręce trzymał kawałek potłuczonego dzbanka do soku.

Drugi mężczyzna był chudy, blade i nerwowy. Miał różowe oczy.

- Który z was to Croyd Crenson?

Różowooki mężczyzna spojrział na niego i wrzasnął z przerażenia.

- Ty eksplodowałeś! - zawołał i sięgnął błyskawicznym ruchem po ukrytą pod kurtką broń.

Modułowy doszedł do wniosku, że to z pewnością wygląda na przyznanie się do winy. Sufit był

zbyt niski, by android mógł przelecieć nad pierwszym mężczyzną, dlatego wyciągnął rękę i ruszył naprzód, gotowy wepchnąć go do lodówki, by dostać się do albinosa.

Gdy jednak popchnął pierwszego mężczyznę, ten nie ruszył się z miejsca. Stał lekko pochylony, opierając się o lodówkę. Modułowy stanął jak wryty. Popchnął mocniej. Nieznajomy wyprostował się z uśmiechem.

Domniemany Croyd wystrzelił z maszynowego pistoletu. Huk odbił się echem po małym pomieszczeniu. Pierwszy pocisk chybił, drugi wgniół plastikową skórę na ramieniu androida, a trzeci i czwarty trafiły towarzysza albinosa.

Ten w ogóle na to nie zareagował. Kule nie odbiły się rykoszetem ani nie rozpląszczyły na skórze. Po prostu spadły na podrapane linoleum.

*Pociski nie skutkują. - pomyślał android. Zapomnij o działach.*

Modułowy cofnął się, opadł na podłogę i wyprowadził cios prosto w pierś młodzieńca. Ten nawet nie drgnął. Kule Croyda przeszły ze świstem powietrze. Parę uderzyło w jego kumpla, ale żadna nie trafiła w androida. Modułowy zadał kolejny cios, z całej siły. Skutek był ten sam.

Młodzieniec odwzajemnił cios z nadnaturalną szybkością. Jego pięść uderzyła androida z taką siłą, że aż wypadł z kuchni, uderzając w stare blaszane panele ścienne na przeciwległym końcu korytarza. Na podłogę spadła farba, pokrywająca starą ścianę kilkunastoma warstwami. W umyśle Modułowego zapaliły się czerwone światła, ostrzegające przed uszkodzeniami.

Android wydostał się ze ściany. Długa lufa działa ugrzęzła i potrzebne było silne szarpnięcie, by ją uwolnić. Albinos rzucił się do szarży z nadludzką szybkością, wysoko unosząc lodówkę nad głowę. Modułowy spróbował zejść mu z drogi, ale przeszkadzała mu ściana, a Croyd poruszał się bardzo szybko. Lodówka wbiła androida z powrotem w ścianę, powiększając otwór. Wewnątrz niej przelewał się sok pomarańczowy.

Modułowy włączył generatory lotu i pomknął naprzód. Chwycił lodówkę i wykorzystał ją jako taran. Trafiony w bok Croyd zakręcił się i wpadł do pokoju, wymachując rękami. Walnął nogami w łóżko połowę i zwałił się na podłogę. Android kontynuował atak, z całej siły uderzając lodówką w młodzieńca.

Ten wciąż nie ruszał się z miejsca. Generatory Modułowego zwiększyły moc do maksimum. Korytarz wypełniły ognie świętego Elma. Mężczyzna nadal nie reagował.

*Do diabła z nim. Zajmij się Croydem.*

Android puścił lodówkę i zmienił tor lotu, kierując się ku albinosowi. Zdążył pokonać tylko kilka centymetrów, nim młodzieniec uderzył przedramieniem drugiej ręki o szczyt lodówki.

Tym razem Modułowy przeleciał na wylot przez ścianę, wpadł do sąsiedniego mieszkania, rozbił sześćdzieściolitrowe akwarium i walnął w zewnętrzny mur budynku. Świadomość androida rozpadła się na kawałki pod wpływem szoku. Dywan zalała zielona powódź. Tropikalne rybki zaczęły umierać.

W jego umyśle bez końca pulsowała jedna chwila. Nie pamiętał, co miał zrobić, nie potrafił rozpoznać jaskrawych obiektów trzepoczących się bezradnie na jego oczach. Automatyczne systemy powoli przywróciły mu pamięć.

Wróciły wspomnienia dzisiejszego dnia i pogłębiającej się desperacji, którą przynosił. Modułowy uwolnił się ze ściany. Musiał odnowić zapasy energii. Przez pewien czas nie będzie mógł się zdematerializować i raczej nie powinien latać. Z ramienia zwiślała mu zgięta lufa działa. Laser wyglądał na nietknięty.

Mieszkanie było starannie udekorowane. Kopie abstrakcyjnych obrazów na ścianach, wschodni dywan, kolejne akwaria. Pod sufitem zakotłosał się mobil. Lokatora najwyraźniej nie było w

domu. Android słyszał w oddali zbliżającą się syrenę policyjną. Wszedł przez otwór w ścianie do mieszkania Croyda i zobaczył, że albinos oraz jego towarzysz zniknęli. Wyszedł i ruszył na górę, do Travnicka. Po drodze świadomość opuściła go dwa razy na jakieś pół sekundy. Po jej odzyskaniu poruszał się szybciej.

Usłyszał na dole ciężkie kroki policjantów.

Zapukał do drzwi i Travnicek mu otworzył. Był bosy. Stracił wszystkie palce u obu stóp. Z każdej rany zaczynało wyrastać coś niebieskiego i włochatego.

- Pierdolony ekspres do kawy - warknął wynalazca.

Android wiedział, że nie ma co liczyć na poprawę sytuacji.



- Croyd nie sprawił mi tylu trudności, co ten drugi.

Modułowy zdjął kombinezon i naprawiał rysę na syntetycznym ciele. Działo leżało na stole. Będzie musiał polecieć po nowe do wojskowego magazynu, w którym znalazł tę broń.

Travnicek trudził się przy uszkodzonych częściach. Powiedział policjantom, że słyszał strzały, ale bał się zejść na dół, żeby zadzwonić po pomoc. Zaakceptowali bez komentarza jego wyjaśnienia i nie wchodzili do środka mieszkania. Android schował się w szafce w ścianie.

- Nic nie uszkodziło się zbyt poważnie, opiekaczu - poinformował go wynalazca. - Monitor pola się obluzował. Dlatego co chwila traciłeś świadomość. Tym razem solidnie przymocuję skurczybyka. Poza tym tylko kilka dynksów.

Wyprostował się. Oczy zaszyły mu szkłem.

- Przełącznik funkcji renormalizacji uszkodzony. Zastąpić natychmiast. - Potrząsnął głową, zmarszczył na moment brwi, a potem zwrócił się w stronę androida. - Otwórz pierś jeszcze raz. O czymś sobie przypomniałem.

Travnicek podrapał się w jedną z dłoni przy stawach palców, opuścił wzrok, uświadomił sobie, co robi, i przestał. Pobladł nieco.

- Jak już cię naprawię, wracaj na cholerne ulice - rozkazał. - Croyd będzie używał swej mocy, by przeobrazić kolejnych ludzi. To pomoże ci go zlokalizować. Chcę, żebyś go odszukał.

- Tak jest.

Pierś androida się otworzyła. Modułowy zauważył, że szyja jego twórcy zaczyna puchnąć, a skóra przybrała niebieskawy odcień.

Postanowił jednak o tym nie wspominać.



Android patrolował miasto przez całą noc, wypatrując na ulicach znajomych postaci. Nastawił wewnętrzny radiodbiornik na częstotliwości używanej przez policję i Gwardię Narodową, by wykrywać wszystkie alarmy. Ukradł wczesne wydanie „New York Timesa” z paczki położonej przy zamkniętym kiosku i dowiedział się, że w ciągu dwóch godzin po jego walce z Croydem wykryto sześć nowych przypadków dzikiej karty. Do trzech doszło w Dżokerowie, a trzy następne dotknęły ludzi jadących razem na północ czwartą linią metra. Znaczyło to, że Croyd i jego towarzysz dotarli metrem co najmniej do przystanku przy Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Z egzemplarza „Newsweeka” znalezionej w koszu na śmieci dowiedział się, że Croyd i jego

nieznany obrońca przed kilkoma dniami odparli atak grupy dzokerów dowodzonych przez Tachiona.

Szkoda, że nie dowiedział się o tym wcześniej. Co prawda, artykuł nie podawał zbyt wielu szczegółów, ale gdyby wiedział że ci dwaj są niebezpieczni, może to by coś zmieniło.

Unosił się nad ulicami, wypatrując znajomych sylwetek za pośrednictwem oczu i radaru, a jednocześnie odtwarzał w pamięci przebieg walki. Zaatakował nieznajomego mężczyznę, chcąc go zwalić z nóg, ale ten się nawet nie poruszył. Ciosy trafiały w niego, a potem się zatrzymywały. Gdy android spróbował staranować go lodówką, ruch po prostu się zatrzymał. Kule nie odbijały się od niego, lecz traciły energię i padały na podłogę.

*Traciły energię - pomyślał. Traciły energię i umierały.*

Oznaczało to, że nieznajomy absorbuje energię kinetyczną, a potem transformuje ją w siłę własnych ciosów. Modułowy uświadomił sobie, że młodzieńca trzeba najpierw uderzyć. Najwyraźniej musiał pochłonąć siłę ataku, by móc oddać cios.

Umysł androida wypełniła satysfakcja. Wystarczyło, że nie zaatakuje tamtego. Jeśli towarzysz Croyda nie będzie miał żadnej energii do pochłonięcia, nie będzie w stanie nic zrobić.

A gdyby wszystko poszło źle, android zawsze będzie mógł użyć lasera mikrofalowego. Nieznajomy absorbował energię kinetyczną, nie fale elektromagnetyczne.

Modułowy się uśmiechnął. Wiedział już, jak rozegrać następne starcie. Musi tylko ich odnaleźć.



O czternastej trzydzieści jeden na Czterdziestej Siódmej Ulicy nieopodal Hammarskjold Plaža dwie osoby wyciągnęły Czarną Damę. Na falach eteru roilo się od komunikatów policji i Gwardii Narodowej. Rozkazano wzmocnić ochronę budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych na wypadek, gdyby Croyd zamierzał go zaatakować.

W niespełną minutę po ogłoszeniu alarmu Modułowy znalazł się nad Czterdziestą Siódmą Ulicą. Ofiary spoczywały na ziemi w odległości pół przecznicy od siebie. Pierwszy mężczyzna leżał nieruchomo, a jego ciało zmieniło się w coś monstrualnego, drugi zaś wił się z bólu, gdy jego kości się rozpuszczały i miażdżył go jego własny ciężar. Oliwkowe wojskowe karetki już się zbliżały. Daleko za nimi było słycać sygnał miejskiego ambulansu. Modułowy nie mógł w żaden sposób pomóc ofiarom. Przeleciał szybko nad całym kwartałem, by go sprawdzić, po czym kontynuował poszukiwania, zataczając coraz szersze kręgi. Kolejna ofiara dzikiej karty, na Trzeciej Alei, na zachód od poprzednich, wskazała mu nowy kierunek.

Nagle zauważył jeden ze swoich celów. Ciemnowłosego towarzysza Croyda. Mężczyzna miał na sobie ten sam strój, co poprzednio - kurtkę i dzinsy Levisa. Szedł na wschód Czterdziestą Ósmą Ulicą. Najwyraźniej zawrócił w którejś chwili. Poruszał się szybko. Ręce trzymał w kieszeniach, a wzrok wlepił w idących przed nim pieszych.

Modułowy leciał równoległe do niego, kryjąc się za gzymsem budynku po drugiej stronie ulicy. Od czasu do czasu wysuwał głowę, by nie stracić celu z oczu. Na ulicy było bardzo niewiele pieszych i śledzenie mężczyzny nie sprawiało androidowi trudności. Młodzieniec nie podnosił wzroku. W oddali wyły syreny karetek.

Młodzieniec skręcił w Drugą Aleję, kierując się na północ. Miął trzy przecznice, a potem wszedł przez obrotowe drzwi do wielkiego budynku z białego kamienia. Mieścił się tam bank.

Android unosił się nad budynkiem po drugiej stronie ulicy, zastanawiając się, co robić dalej. Po chwili przeleciał nad Drugą Aleją i opadł na chodnik, uważając, by nie zauważono go z frontowych drzwi banku. Ludzie w maskach chirurgicznych na twarzach omijali go szerokim łukiem.

Zdematerializował się i wszedł do wnętrza grubego muru banku, a następnie wystawił twarz po drugiej stronie. Strażnik Croyda przeszedł przez hol, mijając kasy, i wdał się w rozmowę z pękatym, białowłosym strażnikiem siedzącym na krześle pod tylną ścianą. Pokazał strażnikowi kartę i klucz. Ten skinął głową, nacisnął guzik i otworzyły się rozsuwane drzwi. Młodzieniec wsiadł do windy i drzwi zamknęły się za nim.

Modułowy wycofał się z budynku. Najwyraźniej towarzysz Croyda szedł do skrytki bankowej. Android zapadł się pod chodnik. Para przechodniów wciągnęła głośno powietrze na ten widok.

Choć otaczała go ciemność, wewnętrzne systemy nawigacji pozwalały mu dokładnie określić pozycję. Przemieszczał się w dół, a potem przed siebie. Górna część jego głowy, zawierająca oczy i radar, wysunęła się ostrożnie ze ściany. Android ujrzał ogromną piwnicę oraz siedzącą za biurkiem urzędniczkę, zwróconą do niego plecami. Na blacie leżały pliki nowych banknotów, owinięte papierowymi opaskami.

Nie ta piwnica. Android cofnął się, przesunął w bok i znowu ruszył naprzód, przechodząc przez liczne skrytki bankowe.

Tym razem trafił do właściwej piwnicy. Zachowywanie niematerialnej postaci pochłaniało jego zasoby energii. Nie zdoła kontynuować tego zbyt długo.

Młodzieniec podszedł do wielkiej skrytki w towarzystwie innego strażnika. Obaj włożyli klucze do zamku i ciemnowłosy mężczyzna wysunął skrytkę. Android zapamiętał jej lokalizację, a także położenie wszystkich kamer oraz innych przyrządów obserwacyjnych.

Zapasy energii już się kończyły. Zawrócił, wyłonił się z chodnika, wzniosł się na wysokość dachu i wylądował na nim. Zapewne nie miało znaczenia, co było w skrytce, choć gdyby okazało się to ważne, zawsze będzie mógł tu wrócić.

Towarzysz Croyda spędził w banku jeszcze dziesięć minut, co pozwoliło androidowi odbudować zapasy energii. Później młodzieniec wyszedł i ruszył na południe. Skręcił na zachód przy Pięćdziesiątej Ulicy, by ominąć karetki oraz posterunki utworzone przez żandarmerię na Czterdziestej Siódmej. Następnie dotarł pośpiesznie do Lexington Avenue i znowu skręcił na południe. Android podążał za nim, przelatując od dachu do dachu. Jego cel dotarł do Czterdziestej Czwartej Ulicy i ponownie ruszył na zachód, by po chwili wkroczyć jednym z bocznych wejść do Grand Central Station.

Modułowy zdematerializował się i przeszedł przez mur na drugim piętrze stacji. Znalazł się na balkonie z gładzonego marmuru, skąd obserwował młodzieńca na dolnej kondygnacji.

Stacja była niemal całkowicie opustoszała. Wejść na perony strzegli regularni rangersi w czarnych beretach. Wszyscy mieli na sobie kompletne kombinezony chroniące przed bronią biologiczną. Nie włożyli kapturew i masek gazowych, ale w każdej chwili byli gotowi to zrobić. Towarzysz Croyda podszedł do schodów prowadzących do pasażu handlowego i ruszył nimi w dół.

Android podążył za nim. Posuwał się naprzód ostrożnie, dematerializując się od czasu do czasu, gdy musiał wyjrzeć zza rogu. Młody mężczyzna wciąż schodził. Otworzył drzwi dla obsługi mające wyłamany zamek i zszedł do tuneli ciągnących się na północ od dworca. Zardzewiałe żelazne wsporniki robiły wrażenie, że spoczywa na nich połowa Manhattanu. Rzadko rozmieszczone żarówki zapewniały słabe oświetlenie. Śmierdziało tu wilgocią i metalem. Android

obserwował swój cel za pomocą radaru, podążając za nim bez trudności.

Znalazł trupa - mężczyznę pokrytego kilkoma warstwami obdartych ubrań. Całe jego ciało najwyraźniej zwapniało. Leżało skulone, z twarzą na stałe wykrzywioną w grymasie przerażenia i bólu. Tak jest, Croyd tu był. Sto metrów dalej leżały drugie zwłoki. Starsza kobieta otoczona licznymi torbami.

Modułowy przyjrzał się uważniej i przekonał się z ulgą, że to nie jest bezdomna, którą kiedyś znał.

- Masz to? Masz to? - zabrzmiał w ciemności ochrypły, zniecierpliwiony głos albinosa.

- Jasne.

- Pokaż mi.

- Kupa kluczy. I koperta z gotówką.

- Daj mi klucz do depozytu.

Android podkradł się bliżej. Z północy dobiegał łoskot zbliżającego się pociągu.

- Masz. Niepotrzebnie ryzykowałeś, wychodząc stąd.

- Nie byłem pewien, czy mogę ci zaufać. - Głos albinosa był szybki jak seria z karabinu maszynowego i przepełniony podejrzliwością. - A na karcie nie było twojego podpisu.

- Strażnik ledwie na nią spojrział. Chyba był pijany.

- Daj mi broń.

- Cholerstwo jest ciężkie. Co to takiego?

- AutoMag kalibru czterdzieści cztery. Najpotężniejsza ręczna broń, jaką kiedykolwiek wyprodukowano. - Croyd przypiął sobie pod pachą wielką kaburę. - Jeśli robot znowu nas zaatakuje, będę mógł wgnieść jego pancerz. Ten pistolet strzela przyciętymi pociskami karabinowymi używanymi przez NATO.

- Jezu.

Albinos powiedział coś jeszcze, ale Modułowy nie słyszał jego słów. Pociąg był coraz bliżej. Na słupy padł blask reflektora. Croyd i jego towarzysz ruszyli w stronę Modułowego. Android wzniosł się bezgłośnie pod brudne sklepienie i zawisł w cieniu dźwigara.

Żelazne kolumny lśniły w żółtym świetle zmierzającego miarowo na południe pociągu. Łoskot niósł się echem w przestronnym tunelu. Albinos i jego strażnik przeszli pod Modułowym.

Croyd uniósł wzrok. Coś nagle go ostrzegło. Być może zauważył kącikiem oka unoszącego się w powietrzu androida. Wykrzyknął jakieś słowa, zagłuszone przez hałas pociągu, i z niewiarygodną szybkością sięgnął po pistolet. Jego towarzysz zaczął się odwracać. Modułowy opadł spod sufitu i objął albinosa rękami od tyłu. Reflektor pociągu zalał tę scenę jaskrawym, kinowym blaskiem. Croyd krzyknął raz jeszcze i zaczął się miotać z boku na bok. Siłą znacznie przerastał zwykłego człowieka, ale nie dorównywał androidowi. Modułowy wzbil się w powietrze, oplatając jeńca nogami, i poleciał na południe. Podmuch nadjeżdżającego pociągu popychał go naprzód.

- Hej...! - Towarzysz Croyda popędził za nimi, wymachując rękami. - Oddawaj go!

Wielki pistolet ukryty pod pachą albinosa wystrzelił. Kula przebiła płaszcz i odbiła się rykoszetem od żelaznego słupa. Posypały się iskry.

Strażnik Croyda skrzyknął raptownie i skoczył prosto pod nadjeżdżający pociąg.

Rozbłysło oślepiające światło. Rozległ się głośny trzask. Nagle pociąg się zatrzymał. Młodzieńcem cisnęło piętnaście metrów wzdłuż torów. Gdy spadł na ziemię, między nim a najbliższą szyną przeskoczyła iskra sła-bszego wyładowania.

Zerwał się na nogi. W jaskrawym blasku reflektora pociągu android zauważył uśmiech na

twarzy młodzieńca.

Modułowy pośpiesznie obliczył energię kinetyczną w pełni wyładowanego pociągu poruszającego się z prędkością jakichś dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Strażnik Croyda nie pochłonął całej energii pociągu. Jej nadmiar opuścił go pod postacią błyskawicy, na szczęście jego moc miała swoje granice. Niemniej zaabsorbował jej przerażająco wiele. Laser androida piszczał głośno, namierzając stojącego na torach mężczyznę.

Ten przykucnął, wspierając się nogą o tor, i skoczył. Celował w punkt znajdujący się przed androidem, chcąc odciąć mu drogę. Przekoziółkował w powietrzu - najwyraźniej nie był przyzwyczajony do przemieszczania się w taki sposób - uderzył w słup i osunął się na ziemię. Tym razem nie było wyładowań elektrycznych. Mężczyzna wstał i zacisnął zęby, spoglądając na zbliżającego się androida. Jego ubranie się tliło.

Przez makroatomowe obwody przemknęły szybkie obliczenia, ustępując miejsca nadciągającemu z prędkością światła żalowi. Modułowy nigdy dotąd nie strzelił do człowieka i teraz też nie chciał tego robić. Jednakże Croyd zabijał ludzi, nawet gdy ukrywał się w tunelach pod Grand Central Station. A jeśli jego strażnik dopadnie androida, będzie w stanie rozszarpać na strzępy jego metalowy szkielet.

Modułowy wystrzelił i nagle poczuł, że spada. Utracił władzę w rękach, upuszczając albinosa. Potem sam zwałił się na ziemię u stóp młodzieńca. Strażnik Croyda złapał go za ramiona. Android spróbował się poruszyć, ale nie był w stanie.

Uświadomił sobie, że młody mężczyzna absorbuje nie tylko energię kinetyczną, lecz wszystkie jej postaci. Co więcej, potrafił je natychmiast z powrotem wyemitować.

*To był fatalny błąd - pomyślał Modułowy.*

Nagle poczuł, że znowu leci. Uderzył w bok pędzącego pociągu, wpadł do środka i przetoczył się przez kilka siedzeń, sypiąc na wszystkie strony odłamkami szkła i fragmentami rozerwanego aluminium. Czyjaś teczka spadła na podłogę. Dokumenty pofrunęły w górę. Android usłyszał krzyk. Jego czujniki zarejestrowały woń spalenizny.

Garstka jadących pociągiem ludzi - piastujących wysokie stanowiska, zmuszające ich do podróży do poddanego kwarantannie miasta - pośpieszyła Modułowemu z pomocą. Podnieśli spoczywającego niezgrabnie na fotelach androida i ułożyli ostrożnie na podłodze.

- Co on ma na głowie? - zapytał białowłosy, wąsaty mężczyzna.

Utracił obraz radaru. Kierujące nim obwody przepaliły się, gdy strażnik Croyda odbił spójną wiązkę mikrofalową. Monitor kontrolujący jego zdolność dematerializacji również zniknął. Modułowy miał teraz sporą dziurę w ukrytej pod zewnętrzną skórą metalowej powłóce. Nadmiarowa energia przepaliła mnóstwo wyłączników instalacyjnych. Android zresetował tyle wyłączników, ile tylko mógł, i poczuł, że odzyskuje władzę w kończynach. Ale nie wszystkie wyłączniki się zresetowały.

- Przepraszam - powiedział i wstał.

Ludzie odsunęli się od niego. Pociąg ruszył z nagłym szarpnięciem. Android zatoczył się do tyłu, wymachując rękami i usiadł na podłodze. Pasażerowie znowu popędzili ku niemu. Czuł dotyk ich pomocnych dłoni po prawej stronie, ale nie po lewej. Jego równowaga i koordynacja ruchów nadal były zaburzone. Zresetował wewnętrzne obwody, ale coś wciąż było nie w porządku.

- Przepraszam.

Rozpiął i ściągnął górną część kombinezonu. Pasażerowie nagle wciągnęli powietrze. Plastikowa skóra wokół rany poczerniała. Modułowy otworzył pierś i sięgnął ręką do środka.

Ktoś się odwrócił i zaczął wymiotować, ale pozostali pasażerowie sprawiali wrażenie zainteresowanych. Jakaś kobieta stanęła na siedzeniu i wyciągnęła szyję, by ujrzeć wnętrze androida przez okulary w rogowej oprawie.

Modułowy wyjął jedną z jednostek sterujących. Westchnął w duchu na widok przepalonych obwodów i ponownie włożył jednostkę na miejsce. Droga powrotna do domu będzie trudna. Z pewnością nie był w stanie latać.

Uniósł wzrok, spoglądając na pasażerów.

- Czy ktoś mógłby mi pożyczyć pięć dolarów na taksówkę? - zapytał.



Droga do Dżokerowa okazała się upokarzająca i niebezpieczna. Kilku pasażerów pomogło mu wyjść ze stacji, ale i tak przewracał się kilka razy. Wąsaty mężczyzna dał mu trochę pieniędzy i Modułowy pojechał taksówką. Zatrzymał się po drugiej stronie kwartału, w którym znajdowała się ich kamienica. Wsunął forszę w szczelinę w kuloodpornej szybie i wysiadł chwiejnie na chodnik. Na wpół szedł, na wpół poczołgał się do zaułka przy budynku, a potem wspiął się schodami przeciwpożarowymi na dach. Stamtąd dopełził do świetlika i opuścił się na dół.

Travnicek leżał na łóżku polowym, rozebrany do pasa. Jego skóra miała jasnoniebieski kolor. Na dłoniach i stopach, w miejscach, gdzie przedtem były palce, wyrastały mu wijące się rzęski, porośnięte długimi włosami. Nad jego głową brzęczała mucha.

Skóra na obrzękłej szyi pękła, odsłaniając całą girlandę narządów. Niektóre można było rozpoznać - uszy w kształcie trąbek, żółtawe oczy, część normalnych rozmiarów, a inne nie - ale reszta była tajemnicą.

- Jedyne widma przesuwające się w lewo to widma reparametryzacji - mruknął wynalazca. Jego głos brzmiał bełkotliwie i niewyraźnie.

Android podejrzewał, że wargi Travnicka mogą się zrastać. Słowa również nie były w pełni znajome, jakby konstruktor nie pojmował już do końca ich znaczenia.

- Proszę pana - odezwał się Modułowy. - Proszę pana, znowu zostałem ranny.

Travnicek usiadł nagle. Otaczające jego szyję oczy obróciły się, spoglądając na androida.

- Ach, opiekaczu. Wyglądasz... bardzo interesująco.

Oczy osadzone w czaszce były zamknięte. *Być może już na zawsze* - pomyślał android.

- Potrzebuję naprawy. Towarzysz Croyda odbił we mnie wiązkę lasera.

- Po chuja do niego strzelałeś, blenderze? Wszystkie formy energii są tym samym. Podobnie jak wszystkie formy materii, jeśli już o tym mowa.

- Nie wiedziałem.

- Jebany kretyn. Można by pomyśleć, że przejmiesz ode mnie trochę inteligencji.

Travnicek zeskoczył z łóżka. Poruszał się bardzo szybko, szybciej niż człowiek. Złapał się jedną ręką belki dachowej i obrócił się wokół niej, zwisając głową w dół. Stopy wspierał na suficie, szeroko rozpościerając włochate rzęski. Potem puścił belkę i zawisnął w odwróconej pozycji. Żółte oczy cały czas wpatrywały się w androida.

- Nieźle, co? Od lat nie czułem się tak dobrze.

Przesunął się ostrożnie po suficie, zmierzając ku androidowi.

- Proszę pana, radar przepalił się całkowicie. Straciłem stabilizator. Kontrola pola strumieniowego jest uszkodzona.



- Słyszę cię. - Jego pogodny głos swobodnie unosił się w powietrzu. - A właściwie nie tylko słyszę. Postrzegam cię na wiele różnych sposobów. Nie jestem jeszcze pewien, czym właściwie są.

Travnicek złapał za drugą belkę, odwrócił się i zeskoczył na podłogę. Mucha bzycała nonszalancko w oddali. Analogowy umysł androida wypełnił się smutkiem. Skwierzący ton strachu utrzymywał się w tle jego myśli niczym biały szum.

- Otwórz pierś - polecił Travnicek. - Podaj mi monitor. W szafce jest zapasowa jednostka sterująca.

- Mam dziurę w piersi.

Żółte oczy przyjrzały mu się z uwagą. Android czekał na wybuch złości.

- Lepiej załataj ją sam - rzekł jednak łagodnym tonem wynalazca. - Kiedy będziesz miał czas. - Wziął w rękę monitor pola strumieniowego i podszedł do stołu roboczego.

- Coraz trudniej mi myśleć o tym wszystkim - wyznał.

- Niech pan ocali swój geniusz. - Modułowy starał się ukryć desperację. - Proszę walczyć z infekcją. Sprowadzę Croyda.

- Jasne. Zrób to. - W głosie Travnicka pojawił się kwaśny ton. - A teraz pozwól mi pomyśleć o koordynatach fermionowych, dobra?

- Tak jest - odparł lekko uspokojony android.

Powłókł się do szafki i zaczął szukać nowego żyroskopu.



Plakat z napisem „BARNETT NA PREZYDENTA” padł ofiarą wandalizmu. Ktoś kilkakrotnie przebił zdjęcie kandydata nożem albo pilnikiem do paznokci, a potem napisał na nim „DŹOKERSKA ŚMIERĆ”. Obok narysowano grubym mazakiem głowę jakiegoś zwierzęcia. Czarnego psa?

- Cześć. Chciałem z tobą porozmawiać.

Kate wydmuchnęła z płuc dym papierosowy.

- Dobra. Ale mam tylko chwilę.

- Jak ci idą rzymscy poeci?

- Gdyby łacina już nie była martwym językiem, Stacjusz by ją zamordował.

Modułowy znowu pochylał się nad publicznym telefonem. Jego żyroskop zastąpiono nowym, więc znowu mógł chodzić i latać. Ulice były niemal całkowicie opustoszałe, pomijając tylko liczne patrole armii i Gwardii Narodowej.

- Kate - rzekł android. - Myślę, że wkrótce umrę.

Zaskoczona kobieta milczała przez chwilę.

- Opowiedz mi o tym - odezwała się wreszcie.

- Mój twórca zaraził się dziką kartą. Zmienia się w dzokera i zapomina, jak się mnie naprawia. A teraz kazał mi ściagać nosiciela, w nadziei, że on potrafi powstrzymać infekcję.

- Dobra. - W jej głosie pobrzmiwała ostrożność. - Słucham cię.

- Najwyraźniej sądzi, że ten człowiek zrobił mu to celowo. Ale większość ludzi uważa, że to zwykły nosiciel. Jeśli to prawda i jeśli wykonam rozkaz, jest bardzo prawdopodobne, że mój twórca zarazi się ponownie, wyciągnie Czarną Damę i umrze.

- Tak.

- W dodatku ten nosiciel nazywa się Croyd, jest człowiekiem, który zabił mnie po raz pierwszy. Ma też obrońcę, który jest jeszcze potężniejszy od niego. Walczyłem z nimi już dwa razy i dwukrotnie mnie pokonali. Za drugim razem z łatwością mogłem zginąć. A mój twórca już nie potrafi złożyć mnie w całość. Traci swe zdolności. Nie jestem pewien, czy uda mu się naprawić uszkodzenia po ostatnim ataku.

Kate zaciągnęła się papierosem i wypuściła powietrze z płuc.

- Moduł, potrzebujesz pomocy.

- Tak. Dlatego do ciebie dzwonię.

- Mam na myśli inne dzikie karty. Nie możesz sam walczyć z tymi dwoma.

- Jeśli zwrócę się do SKAZA albo kogoś w tym rodzaju i razem pojmiemy Croyda, będę potem musiał walczyć z ich asami, żeby go porwać. Wyjmą mnie spod prawa.

- A czy nie mógłbyś się jakoś z nimi dogadać?

- Zastanowię się nad tym. - Wypełniła go rozpacz. - Umrę - powtórzył.

- To fatalnie. Nie możesz po prostu go opuścić?

- Oprogramowanie nakazuje mi go słuchać. Nie mogę odmówić wykonania bezpośredniego rozkazu. Jestem też zaprogramowany do walki z wrogami społeczeństwa. W tych sprawach nie mam wyboru. Ludzie tacy jak Żółw albo Cyklon robią to z własnej woli, ale ja nigdy nie mogłem decydować za siebie. Pod tym względem nie jestem człowiekiem.

- Rozumiem.

- Prędzej czy później przegram kolejną walkę. Moje rany nie goją się, jak u ludzi. Ktoś musi mnie naprawić. Żadna uszkodzona część sama nie odzyska sprawności. Jeśli nawet nie zginę, zostanę kaleką. Fragmenty będą ode mnie odpadać.

*Jak Travnicek* - pomyślał. Jego umysł przeszyło zimne drżenie.

- A nawet jeśli zostanę kaleką, i tak będę musiał walczyć - kontynuował. - Nadal nie będę miał wyboru.

Zapadła długa cisza.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - odezwała się wreszcie Kate zdławionym głosem.

- Przedtem byłem właściwie nieśmiertelny - ciągnął android. - Mój twórca zamierzał produkować mnie masowo i sprzedawać wojsku. Nawet gdyby któraś jednostka została zniszczona, pozostałe istniałyby dalej. Wszystkie byłyby tak samo zaprogramowane, wszystkie byłyby mną. Przynajmniej w większej części. Ale teraz to się już nie zdarzy.

- Przykro mi.

- Co się dzieje z maszynami po śmierci? Zadaję sobie to pytanie.

- Nie...

- Twoi starożytni filozofowie nigdy o tym nie pomyśleli, prawda?

- Pewnie masz rację. Ale mieli bardzo wiele do powiedzenia na temat śmiertelności. „*A jeśli by to, co żyje, powstawało z czegoś innego, a co żywe umierało, to jakimże sposobem miałyby się w końcu wszystko nie wyczerpać na dostarczanie trupów?*”<sup>1</sup> Tak powiedział Platon, cytując Sokratesa.

- Dziękuję. To mnie pocieszyło.

- Obawiam się, że o śmierci nie da się powiedzieć zbyt wielu pocieszających rzeczy.

- Przedtem nigdy się tym nie przejmowałem. Bo nigdy nie umarłem.

- Większość z nas nie wraca nawet jeden raz. Żadna z pozostałych osób zabitych w Dzień Dzikiej Karty nie wróciła.

- Niewykluczone, że to chwilowa aberracja. W każdej chwili może wznowić normalność.

Android nagle sobie uświadomił, że krzyczy. Jego słowa niesły się echem po pustej ulicy. Pośpiesznie napisał program, który pozwoli mu zapanować nad głosem.

Kate zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę.

- Ale z drugiej strony większość ma całe życie na przyzwyczajenie się do myśli, że umrze. Ty miałaś tylko kilka godzin.

- Trudno mi pogodzić się z tą perspektywą. Mam w mózgu pętle sprzężenia zwrotnego i moje myśli wciąż krążą po tych samych trasach, zajmując coraz więcej miejsca.

- Innymi słowy, wpadłeś w panikę.

- Naprawdę? - Zastanawiał się nad tym przez chwilę. - Pewnie masz rację.

- Kiedy człowiek wie, że umrze, jego umysł koncentruje się w cudowny sposób, że pozwoli sobie sparafrazować słowa Samuela Johnsona.

- Popracuję nad tym.

Jego czyny podążyły za słowami. Szybko zakończył lawinowy proces komputerowego rozumowania, borykając się ze zbyt wieloma nieznanymi czynnikami i nieskończonościami, by mógł osiągnąć cokolwiek poza wypełnianiem jego układów logicznych makroatomową siecią. Wskazane byłoby spokojniejsze i bardziej systematyczne podejście do problemu.

- Dobra. Gotowe.

- Szybko się z tym uporałeś.

- Jedna przecinek sześćset sześćdziesiąt sześć sekundy.

- Nieźle - pochwaliła go ze śmiechem.

- Cieszę się, że zorientowałaś się, co się dzieje. Szczerze mówiąc, nie skonstruowano mnie z myślą o abstrakcyjnych problemach. Nigdy przedtem nie zawiesiłem się w taki sposób.

- I tak masz nadludzkie możliwości. Żaden człowiek nie potrafiłby dokonać czegoś takiego. - Zastanawiała się przez chwilę. - Znasz Ednę St. Vincent Millay? „Z obu końców spala się moja świeca; nie przetrwa nawet tej nocy; lecz, przyjaciele moi i wrogowie; jakże piękny jest jej płomień”.

Android zastanowił się nad tymi słowami.

- Przypuszczam, że z estetycznego punktu widzenia płomień mojej eksplozji mógł być piękny. Ale ta myśl nie pociesza mnie zbyt. Pewnie dlatego, że nie miałem okazji go zobaczyć.

- Mam wrażenie, że nie zrozumiałaś, co chciałam powiedzieć - zaczęła cierpliwie. - Myślisz i działasz niewiarygodnie szybko. Postrzegasz otoczenie jaśniej i bardziej szczegółowo niż ludzie. Doświadczasz bytu głębiej i intensywniej niż jakakolwiek inna istota na planecie. Czy to nie rekompensuje ci jego krótkotrwałości?

Ta myśl została zakodowana i wpadła w wir elektronicznego umysłu androida, unosząc się niczym liść w jego zimnych prądach.

- Będę musiał się nad tym zastanowić - rzekł Modułowy.

- Wydaje mi się, że wcisnęłaś bardzo wiele doświadczeń w kilka miesięcy, które spędziłeś na tej planecie. A ludzie mawiają, że doświadczenie jest drogą do mądrości. Zaznałeś wojny, braterstwa, miłości, odpowiedzialności, a nawet śmierci.

Android wpatrywał się w zwandalizowaną podobiznę Barnetta, kandydata na prezydenta. Zadawał sobie pytanie, kim właściwie jest ten człowiek.

- Pewnie miałem mnóstwo zajęć - przyznał.

- Bardzo wielu ludzi zazdrościłoby ci takiego losu.

- Postaram się o tym pamiętać.

- Palisz się bardzo jasnym płomieniem. Ciesz się tym.
- Spróbuję.
- A może się nie spalisz? Walczyłeś z Rojem i nie ucierpiełeś zbyttnio, choć przeciwników były setki tysięcy. To jest tylko dwóch facetów.
- Dwóch facetów.
- Poradzisz sobie. Wierzę w ciebie.
- Dziękuję. - Napis na plakacie głosił „DZOKERSKA ŚMIERĆ”. - Chyba dałaś mi powód do rozważań.
- Mam, nadzieję, że ci pomogłam. Zadzwon, jeśli będziesz chciał znowu porozmawiać.
- Dziękuję. Naprawdę bardzo mi pomogłaś.
- Nie ma sprawy.

Modułowy odwiesił słuchawkę i wzbił się bezgłośnie pod niebo. Przeleciał w ciemności nad kilkoma kwartałami, dzielącymi go od mieszkania Travnicka i wleciał do środka przez świetlik. *Dzokerska śmierć* - pomyślał.

jego twórca leżał na łóżku, pogrążony we śnie. Wokół stały opróżnione konserwy. Najwyraźniej jadł prosto z puszek. Niektóre z narządów otaczających jego szyję rozwinęła się nieco, wydając z siebie ćwierkające ultradźwięki. Ich częstotliwość zmniejszyła się, gdy Modułowy opadł do mieszkania. *Sonar* - pomyślał android. Oczy otaczające szyję wynalazcy otworzyły się.

- To ty - stwierdził Travnicek.
- Tak, proszę pana.
- Chyba udało się zrekonstruować moduł. Niektóre z moich wspomnień były trochę niejasne. Androida wypełnił strach. Obok przeleciała mucha i przepędził ją machnięciem ręki.
- Wypróbuję go.

Rozpiął kombinezon i otworzył pierś, a następnie sięgnął po leżący na stole roboczym moduł.

- Mój mózg chyba ewoluuje - ciągnął Travnicek rozmarzonym głosem. - Mam wrażenie, że wirus powiększa te jego części, które odpowiadają za wrażenia zmysłowe. Postrzegam otoczenie bardzo intensywnie na wszelkie wyobrażalne sposoby. Po prostu leżę tu sobie i obserwuję. - Parsknął pustym śmiechem. - Mój Boże! Nie miałem pojęcia, że jedzenie kremowej zupy kukurydzianej prosto z puszki może być tak intensywnym doświadczeniem zmysłowym!

Android wetknął moduł na miejsce i poddał go serii prób. Zalała go ulga. Monitor działał.

- Wszystko w porządku, proszę pana - rzekł. - Niech się pan trzyma.
- Wyglądasz bardzo interesująco - stwierdził Travnicek.

Mucha zbliżyła się do pustych puszek.

Nagle coś się poruszyło. Jeden z narządów otaczających szyję wynalazcy rozwinął się błyskawicznie i złapał owada. Następnie wyrosł cofnęła się i wsadziła muchę do ust Travnicka.

Modułowy nie wierzył własnym oczom.

- Cudowna - stwierdził wynalazca i oblizał wargi.
- Niech się pan trzyma - powtórzył android. Pole strumieniowe zaiskrzyło wokół niego. Wzbił się do lotu i zniknął w nocy.



Android wylądował przed bankiem, zdematerializował się i wypalił wszystkie czujniki w

piwnicach impulsami lasera mikrofalowego, by strażnicy nie zauważyli tego, co się zaraz stanie. Następnie przeszedł do krypty, znowu się zmaterializował i wyrwał ze ściany skrytkę depozytową.

Nagle się zatrzymał. W jego umyśle zapaliło się żółte światło ostrzegawcze, zamigotało i przeszło w czerwone.

Spróbował znowu się zdematerializować. Na ułamek sekundy obrócił się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do rzeczywistości, ale potem znowu stał się realny. Znajdował się w krypcie bankowej i czuł swąd spalenizny.

Monitor pola strumieniowego ponownie odmówił posłuszeństwa. Naprawy dokonane przez Travnicka okazały się krótkotrwałe. Umysł androida wypełnił się wirem zimnego strachu na myśl, że to mogło się zdarzyć w chwili, gdy przechodził przez mur ze wzmocnionej stalią betonu. Rozejrzał się wkoło, a potem przyjrzał się drzwiom i zamkowi. Jeśli znajda go tu rano, jego reputacja jako obrońcy dobra z pewnością ucierpi.

Na szczęście podziemia banków projektuje się z myślą o utrudnieniu ludziom wejścia do nich, a nie opuszczenia ich. Po czterdziestu pięciu minutach cierplivej pracy zdołał wypalić laserem mikrofalowym dziurę w laminowanej wewnętrznej powierzchni drzwi, uzyskując dostęp do mechanizmu zamka. Następnie dotknął tego mechanizmu i zdobył świadomość jego funkcji. Spowodował awarię elektronicznych urządzeń - to było dla niego równie łatwe, jak uzyskanie darmowej rozmowy telefonicznej - i masywne zasuwę się otworzyły.

Wyszedł na zewnątrz schodami przeciwpożarowymi, przepalając po drodze kamery. Po opuszczeniu budynku poleciał na dach pobliskiego budynku, rozerwał ścianę pudełka i przyjrzał się jego zawartości.

Umowy długoterminowej dzierżawy kilku małych mieszkań w Nowym Jorku. Klucze. Pliki banknotów. Biżuteria. Złote monety. Buteleczki z setkami tabletek w środku. Dwa pistolety i pudełka z amunicją. Tajna skrytka Croyda, zawierająca pieniądze, broń, leki oraz klucze do jego melin.

Modułowy zastanawiał się przez dłuższy czas. Stan Travnicka pogarszał się z każdą chwilą. Android będzie musiał działać szybko. I będzie też potrzebował pomocy.



- Nie chcę się podejmować roli zwiadowcy - stwierdził Modułowy. - Jeśli znowu mnie zobaczą, uciekną. A podczas ucieczki będą dalej szerzyć zarazę.

- W porządku. - W fioletowych oczach Tachiona pojawił się błysk, dłonie szarpały za klapy lawendowej marynarki, a magnum kalibru .357 leżało na biurku przed nim, ukryte w kaburze. Na ścianie, obok serii honorowych dyplomów, wisiał plakat, na którym czerwonymi, białymi i niebieskimi literami napisano: „CZŁOWIEK: HARTMANN. CZAS: 1998. PLAN: PRZYSZŁOŚĆ NASZYCH DZIECI”.

- Moja dzokerska brygada może się okazać użyteczna. Niektórzy jej członkowie posiadają zdolności umożliwiające rekonesans z ukrycia.

- Świetnie. Ja zostanę tutaj, z waszymi najpotężniejszymi ludźmi. Potem będziemy mogli razem ruszyć do akcji.

Kosmita przyjrzał się zawartości skrytki Croyda rozsypanej na jego biurku.

- Tylko trzy z tych adresów znajdują się na Manhattanie - zauważył Tachion. - Podejrzewam, że po tunelach i mostach spróbuje jednego z nich. Ślepa Sophie może wykorzystać swój wyostrzony słuch, by podsłuchać wszystko, co dzieje się za zamkniętym oknem. Wibrująca szyba służy jej jako membrana. Młaskacz jest taksówkarzem i w związku z tym nie przyciąga uwagi... mógłby zadawać pytania, które w ustach kogoś innego wzbudziłyby podejrzenia. - Tachion zmarszczył brwi. - Ale co z towarzyszem Croyda? Ten młody, przystojny dżentelmen zapewne przysporzy nam trudności.

- Walczyłem z nim dwa razy. Chyba już wiem, jak działa jego moc.

Tachion wlepił w niego spojrzenie. Pochylił się nad biurkiem, odsuwając na bok kaburę z bronią.

- Powiedz mi, proszę - rzekł z zainteresowaniem malującym się na twarzy.

- On pochłania energię, a potem ją oddaje. Może atakować tylko wtedy, gdy najpierw zostanie uderzony. Absorbuje wszystko. Energię kinetyczną, fale elektromagnetyczne...

- Moc psioniczną - mruknął Takizjanin.

- Ale jeśli sam najpierw nie oberwie, nie jest silniejszy niż zwykły człowiek. Dlatego bez względu na to, co zrobimy, nie możemy go atakować. Po prostu go ignorujemy, nawet jeśli będzie się wydawał bardzo kuszącym celem.

- Tak jest. Świetny pomysł, Modułowy. Zaslugujesz na pochwałę.

Android spojrział na Tachiona i jego umysł wypełnił niepokój.

- Muszę jak najszybciej capnąć Croyda. Nie mogę zarazić się od niego dziką kartą. Dlatego uważam, że powinienem walczyć z nim sam. Jest wystarczająco silny, by rozerwać wasze ochronne kombinezony. Ja jestem dostatecznie silny, by go powstrzymać, jeśli nie będę musiał się martwić o inne zagrożenia.

- Zadanie należy do ciebie - odpowiedział po prostu Tachion.

Androida wypełnił triumfalny nastrój. Uda mu się pojmać Croyda i bez przeszkód dostarczyć go do Travnicka. Może wreszcie miał powody do optymizmu.



Telefon na biurku Tachiona zadzwonił. Kosmita złapał za słuchawkę.

- Mówi Tachion. - Modułowy zauważył, że fioletowe oczy Takizjanina otworzyły się szerzej z zainteresowaniem.

- Znakomicie. Zaslugujesz na pochwałę, Sophie. Zostań na miejscu, dopóki się nie zjawimy. - Odłożył słuchawkę. - Sophie jest przekonana, że są pod adresem przy Perry Street. Słyszy dwóch ludzi. Jeden z nich gada bez przerwy, jakby był pod wpływem środków pobudzających.

Android zerwał się na równe nogi. Już przedtem przygotował swój plecak awaryjny i teraz po prostu go włożył. Tachion nacisnął guzik na telefonie.

- Każ brygadzie się przygotować - polecił. - I z przyzwyczajonym opóźnieniem zawiadom policję.

- Polecę przodem - zaproponował android. Otworzył drzwi i omal nie wpadł na szczupłego, wyprostowanego, czarnoskórego mężczyznę, który stał tuż przed nimi w gabinecie sekretarki. Miał na sobie kombinezon ochronny, a na twarzy czarno-białą maskę czaszki, ozdobioną piórami. Cuchnął przerażająco, stęchliwą i gnijącym mięsem. Dżoker.

- Przepraszam pana - rzekł mężczyzna barytonem o kulturalnym, nieco teatralnym brzmieniu. - Czy może mnie pan zabrać ze sobą?

Modułowy pośpiesznie uruchomił podprogramy eliminujące smród mężczyzny z jego sensorium.

- Chyba pana nie znam.

- Jestem Pan Grobek. - Mężczyzna pokłonił się płyciutko. - Jestem członkiem brygady dobrego doktora.

- Nie może pan pojechać z nimi karetką?

Android wyczuł uśmiech ukrywający się za sceniczną maską.

- Obawiam się, że w ciasnym wnętrzu samochodu mój zapach staje się... przemożny.

- Rozumiem.

- Grobek-odezwał się Tachion zdławionym głosem. - Co robisz w gabinecie mojej sekretarki? Czyżbyś próbował podsłuchiwać?

- Jestem Pan Grobek, doktorze.

Głęboki, aktorski głos dzokera nabrał ostrzejszych tonów.

- Błagam o wybaczenie.

Tachion mówił, jakby miał zatkany nos.

- Żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie, czekałem na okazję porozmawiania z naszym syntetycznym przyjacielem. Nie chciałem obciążać pozostałych członków brygady moim... zapachem.

- W porządku - odparł Takizjanin przez zaciśnięte zęby.

- Zrobisz, jak zechcesz, Modułowy.

Android i Pan Grobek opuścili klinikę szybkim truchtem. Po chwili Modułowy objął dzokera i uniósł się wraz z nim w powietrze. Powiew zakołysał piórami na masce Pana Grobka.

- Przepraszam - odezwał się android. - Czy posiadasz jakieś zdolności poza... hmm...

- Moim zapachem? - W niskim głosie nie słyszało się nuty rozbawienia. - W rzeczy samej posiadam. Nie tylko śmierdzieć jak trup, lecz również władam mocami śmierci. Potrafię porazić wrogów chłodem grobu.

- To chyba... użyteczne.

*Raczej szalone* - pomyślał Modułowy. Dzoker za długo wahał własne perfumy i postradał przez to zdrowe zmysły.

- Jestem też szybki i twardy - dodał Pan Grobek.

- To świetnie. Croyd również. - Android opowiedział pośpiesznie o albinosie i jego zdolnościach. Opisał również naturę jego strażnika. - Aha - dodał. - Croyd ma też pistolet. Automag kalibru czterdzieści cztery.

- To absurdalna broń. Z pewnością czuje się zagrożony.

- Cieszę się, że to ci nie przeszkadza.

Pod nimi pojawiła się kamienica przy Perry Street. Modułowy opadł na ziemię parę metrów od szczupłej, długowłosej kobiety w średnim wieku, noszącej białą łaskę i ciemne okulary na twarzy. Stojąca w cieniu ganku kobieta uniosła głowę i zmarszczyła nos.

- Grobek - stwierdziła.

- Pan Grobek, jeśli łaska.

- W takim razie ja jestem panna Yudkowski - odparła Ślepa Sophie.

- Nigdy nie zwracałem się do pani inaczej.

Z obu stron głowy Sophie wyrosły nagle uszy, okrągłe jak u myszy z kreskówki. Wysunęły się niczym balony spomiędzy zasłaniających je dotąd długich włosów. Kobieta przechyliła głowę w stronę Modułowego.

- Cześć, kim jesteś? Do tej pory cię nie słyszałam.

- Nie wiedziałem, że produkuję jakiegokolwiek dźwięki.

- Trochę się spóźniłście, panowie - oznajmiła Sophie.

- Dwaj mężczyźni wyszli stąd przed paroma minutami, gdy tylko wróciłam od telefonu. Przez obwody androida przemknęła irytacja.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam wcześniej?

- Boże broń, bym miała przeszkadzać Panu Grobkowi w uczeniu mnie form grzecznościowych.

- Dokąd poszli?

- Tego mi nie powiedzieli. Jestem przekonana, że skorzystali z tylnego wyjścia. Nie mówiąc już nic więcej, Modułowy ponownie objął dzokera i wzbił się z nim pod niebo. Szybko podzielił dzielnicę na sektory, przeszukując je radarem. Pan Grobek spoczywał spokojnie w jego ramionach, cichy jak grób.

- Jesteśmy w drodze - odezwał się w odbiornikach Modułowego głos Tachiona.

- Mamy pewien problem - odparł android, wysyłając bezgłośnie fale radiowe w stronę kliniki. Pośpiesznie wyjaśnił, o co chodzi.

- Nadal będziemy ku wam zmierzać, Modułowy - oznajmił Takizjanin.

- Tam - odezwał się nagle Pan Grobek, wyciągając rękę.

Dwa obrazy radaru wielkości człowieka oddzieliły się od cienia rdzewiejącego żelaznego filara wspierającego opuszczoną drogę West Side Express Highway.

Android był zaskoczony. Dzoker widział po ciemku z niewiarygodną wyrazistością. Ruszył w kierunku dwóch ludzi, unosząc się bezgłośnie w powietrzu. Musiał się zbliżyć na jakieś trzysta metrów, nim zdobył pewność, że to Croyd i jego towarzysz.

Znowu wypełnił go niepokój. Gdy spotkał się z nimi poprzednio, omal nie zginął. *Palisz się bardzo jasnym płomieniem.* Słowa Kate poniosły się echem w jego umyśle.

Obaj mężczyźni byli poważnie obciążeni - młodzieniec taszczył sporą paczkę, a Croyd przerzucił sobie przez ramię silnik zaburtowy do łodzi. Albinos gadał bez przerwy, ale android go nie słyszał. Uciekinierzy posuwali się szybko naprzód po rozsypującej się betonowej nawierzchni, aż wreszcie zatrzymali się przed płotem z siatki, oddzielającym nabrzeże nad Hudson River od lądu stałego. Croyd postawił silnik na ziemi, przyjrzał się kłódce zamykającej bramę, a potem złamał ją szybkim ruchem palców. Obaj mężczyźni weszli do środka, mijając opuszczoną stróżówkę z wybitymi oknami.

Poza nimi na nabrzeżu nie było nikogo. Pomijając kilka statków zatrzymanych tu przez kwarantannę, nowojorski port całkowicie opustoszał, tworząc ostry kontrast z gorączkową aktywnością na przeciwległym brzegu, w New Jersey.

- Próbują uciec z wyspy - stwierdził Pan Grobek.

- Na to wygląda.

- Postaw mnie na ziemi. Poradzimy sobie z tym.

- Chwileczkę. Najpierw muszę się skontaktować z Tachionem.

Wysłał do Takizjanina wiadomość przez radio, ale nie doczekał się odpowiedzi. Musiał się wznieść jeszcze ze sto pięćdziesiąt metrów, zanim jego sygnał dotarł do karetki. Pan Grobek poruszył się niespokojnie.

- Co ty wyprawiasz, brachu? Oni uciekają. Proszę mnie postawić na ziemi.

Gdy tylko Modułowy usłyszał odpowiedź, natychmiast opadł na powierzchnię. Będzie musiał znowu zetrzeć się z Croydem. Przypomniał sobie pierwsze chwile swego istnienia, chaotyczną



walkę wokół Empire State Building, jasne włosy Cyndi unoszące się nad ciemną dłonią mały niczym świetlista gwiazda. *Palące się bardzo jasnym płomieniem.*

Postawił Pana Grobka obok bramy. Dżoker otrzepał ubranie.

- O co chodziło? - zapytał.

- Później to wyjaśnię.

Obaj poderwali się nagle, usłyszawszy w pobliżu jęk. Android uspokoił się jednak szybko, ujrawszy pękatego mężczyznę, który leżał pod płotem, trzymając w wytatuowanej dłoni butelkę burbona. Pijak miał na sobie skórzane spodnie i buty oraz czapkę nowojorskiej policji. Nagą pierś zdobiły mu stalowe pierścienie, zwisające z przekłutych brodawek sutkowych.

Modułowy zapisał ten obraz w pamięci. *Ciesz się tym.*

- Nie możemy czekać - nalegał dżoker. - Ci dwaj uciekną, zanim karetka tu dotrze.

Pan Grobek odwrócił się i zdjął maskę. Z tyłu Modułowy nie dostrzegł żadnych deformacji. Dżoker włożył kaptur i maskę gazową, a następnie ruszył szybkim krokiem za parą zbiegów, wzdłuż zardzewiałych torów kolejowych. Jego kroki były zdumiewająco bezgłośne.

- Zaczekaj - zwołał Modułowy. - Zobaczą cię.

Dżoker zignorował jego słowa. Podszedł do skraju nabrzeża, pochylił się pod poręczą i zniknął na dole. W umyśle Modułowego zabrzmiał alarm. Wzbił się w powietrze, wykonał półobrót i zajrzał pod molo.

Pan Grobek szedł głową do dołu po zbutwiałych deskach. Posuwał się naprzód szybko. Poniżej jego głowy przepływały mroczne, wzburzone fale Hudson River. Android zaczął lecieć obok niego.

Wtem zarysowała się w jego głowie pewna możliwość. Sprawdził w umyśle wszystkie fakty, porównując obrazy.

Prawdopodobieństwo wynosiło ponad dziewięćdziesiąt procent. Budowa, talenty, rasa, przybliżony wiek... wszystko się zgadzało. Akcent oraz ton i tembr głosu bardzo się różniły, ale wyszukiwanie pewnych kluczowych słów wykazało zaskakującą zgodność.

Modułowy zadał sobie pytanie, dlaczego Ścianołaz otacza się odrażającym smrodem i udaje dżokera.

A może to był kolejny element jego dzikiej karty? Może przez jakiś czas był Ścianołazem, a potem zaczynał cuchnąć i zmieniał się w Pana Grobka?

A może to było zwykłe szaleństwo? Po co ktokolwiek miałby udawać dżokera?

Postanowił, że nie wspomni o swych podejrzeniach biegnącemu głową w dół asowi.

- Nie mówiłeś o tym, że potrafisz chodzić do góry nogami - zauważył.

- Naprawdę? - odpowiedział stłumiony przez maskę głos.

- Czasami o tym zapominam.

- Czy posiadasz jeszcze jakieś talenty, o których powinienem wiedzieć?

Modułowy zaczynał słyszeć głos Croyda.

- Psst. Bądź cicho - rzekł Pan Grobek, spoglądając na niego.

Android wyczuł ukryty pod maską posępny uśmiech.

- Będę milczał jak grób.

Posuwali się naprzód. Pan Grobek bez trudu przedostawał się przez płataninę drewna i metalu, mającą wokół nich niczym żebra jakiegoś ogromnego, wymarłego zwierzęcia. Głos Croyda stawał się coraz donośniejszy. Modułowy przypomniał sobie deszcz gwiazd spadających zwiastujący nadejście Roju. Paliły się jasnym płomieniem.

- Kurwa, od początku nie miałem szans - mówił albinos.

- Jezu. Nigdy nie nauczyłem się niczego o pierdolonym świecie. Ani jebanej algebry, ani niczego. - Roześmiał się. - Za to udzieliłem im paru nauczek. Trzymaj się mnie, chłopcze. Nauczki, których udzielimy im razem, będą naprawdę bardzo interesujące.

Android pomyślał o Cyndi, Alice i innych dziewczynach. *Czyż nie widziałem ucieczki mały?* Pomyślał o paleniu się jasnym płomieniem, starając się, by jego ruchy stały się precyzyjne i bezbłędne. Próbował odnaleźć coś cudownego w tej sytuacji. Leciał pod molem, tuż nad mrocznymi wodami, a obok niego szedł głową w dół najprawdopodobniej szalony as udający dzokera.

W połowie długości mola znaleźli drewnianą drabinkę schodzącą do wody. Tuż nad nimi rozległ się głos Croyda.

- W porządku, chłopcze. Trzymaj się Śpiocha. Wiem, jak przetrwać na tym świecie.

Pan Grobek zwrócił się w stronę androida i skinął dłonią. Pomimo dziwnego stroju łatwo było zrozumieć znaczenie jego gestu: *Zaatakuj od drugiej strony mola. Ja zaczekam tutaj.*

*Świetnie* - pomyślał Modułowy. *Ja rzucę się do szarży, a kiedy będą mnie zabijali, Grobek załatwi ich od tyłu. Rewelacja.*

- Przynieś mi pakunek, chłopcze - zabrzmiał głos albinosa.

Android nie miał czasu na debatę z Panem Grobkiem. Przeleciał na drugą stronę pomostu, klucząc między metalowymi kolumnami, a potem wzbił się w górę.

Croyd stał przy drabinie, spoglądając w stronę swego towarzysza, a przypadkowo również androida. Młodzieniec wy dobył mały nóż i przeciął sznurek oraz papier owijające paczkę.

Albinos nagle się wyprostował.

- Cholera! Robot!

Jego ręka poruszyła się błyskawicznie, sięgając po broń.

*Nie, znowu to samo* - pomyślał android i przyśpieszył, zmierzając prosto na Croyda. Albinos szarpał się gorączkowo, ale wielki, srebrny pistolet najwyraźniej zaczepił o coś pod jego pachą. Jego towarzysz, nieposiadający nadnaturalnej szybkości dwóch pozostałych, obracał się powoli w tę i w tę.

Przez obwody androida przemykały różne opcje. Nie mógł uderzyć strażnika Croyda, żeby nie naładować go energią, i nie był też w stanie dotrzeć do ściganego, bo młodzieniec stał mu na drodze. Opadł na deski pomostu, wylądował na rękach i przetoczył się. Drzazgi rozdzierały mu kombinezon. Zatrzymał się u stóp młodzieńca, który gapił się tylko na niego.

Rozległ się trzask rozdieranej tkaniny. Croyd wyciągnął pistolet z triumfalnym okrzykiem i wycelował w Modułowego. Czarne pigułki wysypały się z rozdartej wewnętrznej kieszeni, i spadły na deski jak brudny śnieg.

Za plecami albinosa pojawił się nagle Pan Grobek, złowrogi niczym widmo. Wyciągnął rękę i zacisnął na pistolecie urękawiczoną dłoń. Potem szarpnął i automat wystrzelił z hukiem głośnym jak zapowiedź końca świata.

Dzoker pisnął z bólu, gdy odrzut uderzył go w dłoń. Pistolet spadł z trzaskiem na deski. Kula, która trafiła strażnika Croyda, również na nie upadła.

*O kurde* - pomyślał Modułowy.

Młodzieniec skoczył na niego, zaciskając prawą pięść. Android odtoczył się na bok. Strażnik Croyda wylądował na nim, uwalniając energię. Jego pięść wbiła się w deski. Modułowy uderzył nogami leżącego na nim napastnika, przewracając go na plecy. Zapewne to również przekazało mu ładunek, ale nie na tyle wielki, by było się czym przejmować.

Tymczasem Croyd walnął Pana Grobka łokciem w mostek. Dzoker zatoczył się do tyłu,

uderzając o poręcz. Zardzewiałe gwoździe zgrzytnęły. Croid uniósł silnik zaburtowy, obejrzał się przez ramię i cisnął silnikiem z całej siły, nie w przeciwników, lecz w swojego strażnika. *Chce go naładować energię* - uświadomił sobie android.

Przeciął tor rzuconego przedmiotu. Silnik walnął go mocno w bark i odrzucił do tyłu. Towarzysz Croyda uniósł rękę i złapał androida za stopy, wbijając palce w jego plastikowe ciało ze zrodzoną z desperacji siłą.

Pan Grobek odbił się od poręczy, uderzając Croyda przedramieniem w plecy. Albinos odwrócił się błyskawicznie, wyginając palce na kształt szponów. W jego różowych oczach błyszczała żądza mordu. Zamachnął się na dzokera, pragnąc rozerwać jego kombinezon, ale ten odsunął się tanecznym krokiem. Obaj przeciwnicy poruszali się nadnaturalnie szybko.

Modułowy wzleciał pod niebo. Młodzieniec trzymał się dzielnie jego stóp. Android uświadomił sobie, że jeśli kopnie przeciwnika, tylko doda mu sił.

Nagle Croyd zadrzał i wciągnął powietrze, łapiąc się za brzuch. Ciepłe letnie powietrze w jednej chwili zrobiło się o kilka stopni zimniejsze.

*Chłód grobu* - pomyślał Modułowy. To nie była tylko wymyślna metafora. Dzoker powiedział prawdę. Na dalszym końcu nabrzeża rozbłysły światła. Słysząc było wycie syreny. Przybyła karetka z kliniki w Dżokerowie.

Croyd zatoczył się do tyłu, uniósł paczkę i cisnął nią w Pana Grobka. Dzoker uchylił się z łatwością i pocisk wpadł z pluskiem do wody.

- Śmierć jest zimna, panie Crenson - rzekł Pan Grobek. Jego głęboki, aktorski głos dobiegający spod maski gazowej przebijał się przez wycie syreny. - Śmierć jest zimna, a ja jestem równie zimny jak ona.

Dzoker uniósł zaciśniętą pięść i temperatura ponownie spadła. Modułowy uświadomił sobie, że Pan Grobek kradnie ciepło z powietrza. Albinos potknął się, opadając na jedno kolano. Jego towarzysz krzyknął z oburzenia, i zwałił się na deski mola. Złapał leżący na nich pistolet i wycelował w postać w kombinezonie ochronnym.

Croyd runął na twarz. Jego kończyny drżały niepowstrzymanie. Android zanurkował z maksymalną prędkością. Rozległ się strzał, głośny jak uderzenie gromu. Ciężka kula odbiła się od metalowego szkieletu Modułowego i umknęła w noc. Jej energia wprawiła androida w ruch wirowy. Nie mogąc się powstrzymać, przebił się przez poręcz i pomknął nad wodami rzeki. Po chwili ustabilizował ruch i zaczął kreślić pętlę, chcąc wrócić do walki.

Światła karetki sunęły wzdłuż pomostu. Zawartość paczki wypełniła się automatycznie powietrzem, gdy tylko dotknęła wody. Ponton.

Pan Grobek, nadal poruszający się z nadnaturalną szybkością, oddalił się tanecznym krokiem od strażnika Croyda. Młodzieniec miał trudności z nadążaniem za jego ruchami ciężkim pistoletem. Strzelił dwa razy, ale niecelnie.

Dzoker uniósł pięść.

- Nie! - zawołał Modułowy.

Temperatura znowu spadła. Strażnik Croyda zachwiał się i runął na deski. Broń wypadła mu z rąk.

*Udało się* - pomyślał otepiały android. Nagle sobie uświadomił, że talent Pana Grobka nie polega na atakowaniu zimnem, lecz na kradzieży ciepła. Energia nie napływała do środka, ale wypływała na zewnątrz, i zdolności młodzieńca były bezużyteczne.

Modułowy zatoczył pętlę w powietrzu i opadł na albinosa, łapiąc go za kołnierz oraz pas. Karetka zatrzymała się z piskiem hamulców. Wypadli z niej dzokerzy w kombinezonach

ochronnych. Spod maski gazowej dobiegł dźwięczny śmiech Pana Grobka.

Android wzbił się ku niebu, trzymając w rękach drżące z zimna brzemie. Nagle przyśpieszył. Zaskoczeni dzokerzy, którym maski znacznie ograniczały pole widzenia, unosili wzrok, próbując ustalić, gdzie zniknęli Modułowy i Croyd.

Android potrząsnął jeńcem jak szmacianą lalką.

- Dlaczego mnie wysadziłeś? - zapytał.

Croyd szcząkał zębami tak mocno, że trudno było zrozumieć jego słowa.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Budynki przemykały pod nimi. Modułowym zawładnęła furia. Ponownie potrząsnął albinosem.

- Dlaczego?

Croyd zaczął się miotać, ale android z łatwością poskromił jego nieskoordynowane ruchy.

Uświadomił sobie, że wygrał. Ostrożnie spróbował się tym cieszyć.



Croyd dygotał niepowstrzymanie. Modułowy wylądował na dachu i zdjął plecak awaryjny, który zabrał z kliniki. Znajdowały się w nim kombinezon ochronny, koc, brezentowa płachta, worek oraz kłęb sznura. Android owinął albinosa w koc, a potem włądował go do wojskowego kombinezonu chroniącego przed czynnikami biologicznymi i chemicznymi.

- Dla kogo pracujesz? - Dzwonienie zębów mężczyzny było głośniejsze niż jego słowa. - Dla mafii? Dla tych drugich?

- Dlaczego mnie wysadziłeś! - wrzasnął raz jeszcze android.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł - powtórzył mężczyzna. W ciemności jego oczy miały barwę krwi. - A teraz wydaje mi się jeszcze lepszy.

Dopał go nagły atak drżenia. Jego zęby stuknęły niczym kastaniety, a skóra przybrała intensywnie turkusową barwę, taką samą jak skóra Travnicka. Android zamknął maskę na jego twarzy i wsadził mu worek na głowę. Następnie owinął go w brezentową płachtę i porządnie związał nylonowym sznurem. Nawet człowiekowi obdarzonemu niezwykłą siłą trudno by było uwolnić się z czegoś, co nie daje mu swobody ruchów.

Android uniósł swe brzemie i poleciał dalej. Po chwili opadł spiralą na dach domu Travnicka, nieopodal świetlika. Przez pęknięcia w czarnej farbie przebijał się blask. Modułowy wyciągnął rękę do świetlika.

- Tutaj, opiekaczu.

Travniczek stał nago na spiczastym dachu wieży ciśnien sąsiedniego budynku. Jego głos nie wydobywał się już z ust, które chyba zarastały mu skórą. Tę funkcję przejął jeden z narządów otaczających szyję, przypominający kształtem tubę do głośnego mówienia. Środkowoeuropejski akcent pozostał jednak bez zmian.

- To jest Croyd, tak?

- Zgadza się.

Android przeniósł zdobycz na sąsiedni dach i ułożył ją na smołowanej powierzchni, nadal ciepłej po upalnym dniu. Travniczek zeskoczył dziesięć metrów w dół i swobodnie wylądował obok związanej postaci. Z wnętrza worka na mąkę dobiegał dźwięk szcząkających zębów.

- Widzę wirusy przez tę torbę, którą założyłeś mi na głowę - oznajmił wynalazca. - Nie wiem

jeszcze, jak to robię, ale je widzę. Dzikie karty są pełne życia i gorąco pragną dostać się do mojego ciała, by... zmienić jego oprogramowanie.

Z jego tuby popłynął śmiech. Androida przeszył dreszcz, gdy sobie uświadomił, jak nieludzko brzmi ten dźwięk, jeśli nie emituje go gardło.

Modułowy pochylił się nad dygoczącym Croydem.

- Teraz zdejmę worek i maskę. Jeśli się pan pochyli i zrobi wdech, powinien pan otrzymać nową dozę wirusa.

Travniczek roześmiał się znowu.

- Jesteś głupi, opiekaczu. Głupi.

To, co wezbrało w androidzie, nie było rozpaczą, lecz jej posępnym, pozbawionym nadziei potwierdzeniem.

- Rozkazał mi pan go sprowadzić. Chciał pan zarazić się na nowo.

- Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim się staję. - Śmiech zabrzmiał po raz kolejny. - Jestem silny, jestem młody i postrzegam świat na sposoby, o których żadnemu z ludzi nawet się nie śniło. - Odwrócił się plecami do Modułowego i podszedł do krawędzi dachu, pozwalając, by światła Dżokerowa padły na jego lazurową skórę. - To miasto jest takie smaczne

- oznajmił. - Czuję światło, postrzegam ruch i wiatr. - Girlanda jego narządów wzniosła się ku niebu. - Słyszę śpiew gwiazd. Moje zmysły obejmują cały zakres od mikroskopowego aż po makroskopowy. Któż chciałby to utracić?

- Ale pański geniusz. Geniusz, dzięki któremu stworzył pan mnie. Jeśli go pan nie odzyska...

- A cóż on mi dał? Jakich przyjemności dzięki niemu zaznałem? - Travniczek znowu się roześmiał. - Całe lata brał ku snu i kiepskiego jedzenia, słuchania głosów bełkoczących w mojej głowie, lata bez przyjaźni, lata pierdolenia się z tanimi dziwkami w zaułkach, bo nie mogłem się odważyć wpuścić ich do swojej pracowni...

Warknął i zwrócił się w stronę androida.

- To się teraz zmieni, blenderze. Od dziś zaczynam prawdziwe życie. Po pierwsze, znajdź mi trochę pieniędzy. Prawdziwych pieniędzy. Na początek ze dwieście tysięcy dolarów. Po prostu wejdź do bankowego skarbca i zabierz je stamtąd.

Android popatrzył na girlandę złotych oczu.

- Tak jest - powiedział.

- I pozbądź się Croyda. Zostaw go gdzieś, gdzie nie będzie nikomu zawadzał.

- Tak jest.

Travniczek przeszedł z balustrady do żelaznej podstawy wieży, a potem skoczył dwa metry w górę, złapał się dłońmi i stopami jej muru, wszedł nieśpiesznie na spiczaste zwieńczenie i przycupnął na nim, spoglądając na miasto.

- Świat należy do mnie - oznajmił. - A ty otworzysz przede mną drogę.

Ciepła czerwcową noc nagle zrobiła się zimna. Croyd wierzgnął i wrzasnął głośno. Modułowy uniósł go i odleciał w noc, zmierzając w stronę kliniki. Gdy startował bezgłośnie, gonił go śmiech girlandowej trąbki.



Travniczek, odziany w nowe, uszyte na zamówienie ubranie, stał na tarasie widokowym Wieży Asów w towarzystwie kobiety o kręconych blond włosach, odzianej w skąpą, niemal

przezroczystą suknię z głębokim dekoltem. Miała też białe plastikowe buty. Wynalazca pochylił się ku niej. Z jego girlandy narządów wysunęły się niebieskie języki, które zostawiały na twarzy kobiety wilgotne ślady. Odsunęła się z drżeniem.

- Pieprz się. Za mało mi płacisz za takie coś.

Travnicek sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów.

- A ile byś chciała? - zapytał, unosząc studolarowy banknot.

Blondynka się zawahała. Po chwili jej twarz zamarała w wyrazie determinacji.

- Znacznie więcej.

Hiram przeszedł obok nich niczym duch. Przesuwał spojrzeniem po wnętrzu restauracji, ale niczego nie widział.

Przez zgiełk tłumu przebił się jeden głos.

- Jezu. Hiram nigdy nie pozwalał na takie rzeczy.

Modułowy skrzywił się i odwrócił wzrok. Siedział niedaleko okna, w zasięgu słuchu od tarasu. Widział stąd Travnicka znacznie lepiej, niżby tego pragnął.

Niektórymi doświadczeniami w żaden sposób nie potrafił się cieszyć.

Kate obejrzała się przez ramię na tamtych dwoje i zapaliła papierosa.

- Ale ma podejście.

- Chyba całkiem skuteczne.

Zerknęła na niego.

- Wyczuwam w twoim głosie ostrą nutę. Znasz go?

- Można by tak powiedzieć.

- Dobra, nie będę pytała.

Travnicek roześmiał się i wręczył kobiecie cały zwitek banknotów. Jego języki, czy czym tam właściwie były, wznowiły eksplorację jej ciała. Od strony baru dobiegły wyrażające niesmak głosy.

Do ich stolika podeszła rudowłosa kelnerka, ignorująca całe to zamieszanie.

- Deser? - zapytała.

- Tak - zgodził się android. - Crostata, pomarańczowa tarta i ciasto z czekoladowym sosem sabayon.

- Proszę bardzo. A dla pani?

Kate spojrzała na Modułowego i wysunęła język.

- Dla mnie nic. Ja liczę kalorie.

- Jak pani sobie życzy. Kawy?

- Tak, dziękuję.

Kate strzepnęła popiół do popielniczki. Była drobną kobietą o ciemnych, niesfornych włosach i ciepłych oczach Jeanne Moreau.

- Chyba nawet Epikur nie pochwalałby takiego obżarstwa - stwierdziła.

- Moje dni są policzone. Chcę spróbować wszystkiego. - Uśmiechnął się. - Poza tym mnie kalorie nie szkodzą.

- Tylko ampery. Wiem o tym. - Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. - Dobrze się czujesz? Po tym, jak już spadłeś z Olimpu i musisz żyć wśród śmiertelników?

- Chyba się do tego przyzwyczajam. Ale nadal nie jestem pewien, czy to lubię.

- A co z twoim twórcą?

- Geniusz go opuścił.

- Zatem zostałeś sam.

- Nie. Nadal muszę słuchać jego rozkazów. A w wolnych chwilach walczyć z wrogami społeczeństwa.

*I łamywać się do sejfów* - pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. *A także chodzić w przebraniu, żeby nikt mnie nie rozpoznał.*

- Gdybyśmy tylko mogli coś w tej sprawie zrobić - rzekła z zakłopotaną miną.

- Ale najwyraźniej nie możemy.

- Mógłbyś się nauczyć fizyki - stwierdziła, zaciągając się papierosem. - A także metalurgii i tak dalej. To umożliwiłoby ci dalsze funkcjonowanie.

- Jasne. Mógłbym się zapisać do szkoły wieczorowej.

- A dlaczego nie do zwykłej?

Wzruszył ramionami.

- Czemu by nie?

Parsknęła śmiechem.

- Człowieka mogą wyrzucić za niepłacenie czesnego. Nie wiem, jak jest z maszynami.

- Może spróbuję się przekonać. - Android spojrzał na swą towarzyszkę. - Dziękuję. Pomogłaś mi spojrzeć na wszystko z innej perspektywy.

- Nie ma sprawy - odparła z uśmiechem.

Nad podłogą tarasu obserwacyjnego pojawiła się nagle czyjaś głowa. Ścianołaz. Android poderwał się nagle, przypominając sobie Pana Grobka. Dlaczego ktokolwiek miałby udawać dzokera?

Młody as wdrapał się na taras i wszedł do baru.

Kelnerka przyjechała z wózkiem deserowym i postawiła na stoliku filiżankę kawy. Kate odsunęła krzesło, spoglądając z żalem na słodycze.

- Pora zajrzeć do łazienki. A potem... - Westchnęła. - Muszę wracać do Stacjusza i całej reszty.

Kelnerka przesunęła wózek deserowy, by przepuścić nowego gościa. Android poznał nieprzyciągającego uwagi bruneta, który był tu tego dnia, gdy rozmawiał ze Ścianołazem. Przywitał go skinieniem głowy, ale mówił do Kate.

- Dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać. Przez cały czas spodziewałem się, że jakaś nagła sytuacja przerwie nam posiłek. Inwazja kosmitów, ucieczka małpy albo coś w tym rodzaju.

- Och, nie słyszałaś o małpie? - zapytała Kate z zaskoczoną miną.

- Nie słyszałem - przyznał nagle zaniepokojony android.

- Nie jest już małpą. Jest...

Modułowy uniósł rękę.

- Oszczędź mi tego.

Ciemnowłosa mężczyzna spojrzał na nich.

- Szczerze mówiąc, to ja jestem małpą - oznajmił.

Android popatrzył na niego. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jeremiaś Strauss - przedstawił się. - Miło mi pana poznać.

Modułowy pozwolił mu uścisnąć swą dłoń.

- Cześć - powiedział.

- Już nie bywam małpą. - Strauss był wyraźnie spragniony towarzystwa. - Ale nadal potrafie zostać Bogartem. Spójrzcie! - Była małpa skupiła się i jej twarz zaczęła się powoli zmieniać. - Nie dam się wykiwać. Nie pójdę w ślady Thursbyego i Bóg wie ilu innych - wyseplenił mężczyzna. Jego twarz wyglądała tak, jak oblicze Bogarta musiało wyglądać w trumnie.

- Bardzo dobrze - stwierdził przerażony android.

- Chcecie zobaczyć Cagneya?

Modułowy zerknął na Kate i zobaczył, że jej oczy zaszyły szkłem.

- Może innym razem.

Strauss zrobił przygnębioną minę.

- Jestem zbyt natarczywy, tak? Przepraszam. Jeszcze nie nadrobiłem straconych lat. Jeśli pan myśli, że ciężko było być martwym przez rok, niech pan spróbuje być wielką małpą przez dwadzieścia lat. Jezu, kiedy nią zostałem, Ronald Reagan był aktorem.

- Muszę do łazienki - oznajmiła Kate. - Miło było pana poznać - dodała, spoglądając na Straussa.

Uciekła. Modułowy uściśnął dłoń mężczyzny i pożegnał się z nim.

Kelnerka ponownie podjechała wózkiem do stolika i postawiła na blacie desery.

- Od dwóch dni czeka na pana wiadomość - oznajmiła, mrugając znacząco. - Z Kalifornii. Ale pomyślałam sobie, że nie byłoby dobrym pomysłem dać ją panu, gdy jest pan w towarzystwie innej kobiety.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej różową karteczkę z wiadomością. Na jej szczycie zapisano numer zamiejscowego telefonu.

Witaj z powrotem. Mój nowy numer. Zadzwoń wkrótce. Kocham, Cyndi. PS Czy całe twoje oprzyrządowanie funkcjonuje prawidłowo?

Modułowy zapamiętał numer, uśmiechnął się i zmiął karteczkę.

*Ciesz się* - pomyślał.

- Dziękuję - rzekł. - Jeśli ta pani zadzwoni znowu, proszę jej powiedzieć, że odpowiedź brzmi „tak”.

Zabrał się za desery.

Wszędzie czekały na niego nowe doświadczenia.



## Więzy krwi

### VI

Gdyby sytuacja nie była tak śmiertelnie groźna, można by ją uznać za zabawną. Modułowy zniknął w oddali, unosząc Croyda w ramionach, a Tachion gapił się na to jak głupi, razem ze swą dzokerską brygadą. Troll odchrząknął. Nagła eksplozja dźwięku zabrzmiała jak chrzęst żwiru przesuwanego przez równiarkę. Potem wręczył Tachionowi bezwładnego Billa Lockwooda jak myśliwy przechwalający się zdobyczą.

- Przynajmniej jego udało się nam złapać - rzekł nieśmiało. - I dużo nam to da!

- No cóż, pewnie muszę udzielić mu pomocy - burknął z irytacją Tachion. Wszyscy wrócili do kliniki.

Po kilku godzinach temperatura ciała tajemniczego mężczyzny niemal całkowicie wróciła do normy. Leżał na szpitalnym łóżku, unieruchomiony pasami, i mrugał ospale. Tachion przysunął krzesło bliżej i przyjrzał się przystojnej, lecz pozbawionej wyrazu twarzy.

- No wie pan, sprawił nam pan mnóstwo kłopotów. Czemu, do licha, bronił pan Croyda z taką pasją? Jest pan winien śmierci setek ludzi!

Ku wielkiej konsternacji Tachiona młodzieniec skrzywił się i zaczął płakać.

- Ja tylko chciałem pomóc Croydowi - bełkotał, podczas gdy Takizjanin ocierał jego łzy chusteczką. - Tylko on jeden był dla mnie dobry. Dał mi paczki. Zrobił ze mnie asa.

- Kim pan jest, do licha?

- Nie wyczyta pan tego z mojego umysłu?

- Jestem na to zbyt zmęczony i poirytowany.

Tachion wyczuł, że w jakiś sposób rozczarował młodzieńca.

- Jestem... byłem Gilem. Ale nie mogę już posługiwać się tym imieniem. Teraz jestem asem.

- Gilem...

Kosmita umilkł i potrząsnął bezradnie głową.

Wspomnienia przesunęły się w jego umyśle niczym pokaz przeźroczy na zacinającym się rzutniku. Odrażający, pokryty śluzem dzoker uciekający przed uzbrojonym w kij bejsbolowy bramkarzem Cudaków... Książęta Demonów znęcający się nad nieszczęśnikiem, aż z zielonym śluzem zmieszała się krew... odrażające, nosowe dźwięki dobiegające z pojemników na śmieci, w których spał Gil.

- Och, na statki i przodków, uczynił cię asem i byłeś mu za to wdzięczny.

Tachionowi znowu zabrakło słów.

- Co ze mną będzie? - zapytał Bill Lockwood.

- Nie wiem.

Z korytarza dobiegał narastający z każdą chwilą tumult. Troll ryczał jak rozjuszony byk, a Tina krzyczała wysokim, przenikliwym głosem. Po chwili z tej kakofonii wyłoniło się nazwisko Tachiona.

Modułowy krążył nad budynkiem, trzymając w rękach Croyda. Albinos był owinięty w płachtę

niczym rozwścieczona mumia. Tachion i Troll pośpiesznie wdziali kombinezony i android wepchnął swój łup do izolatki. Takizjanin przygotował ją już przed kilkoma tygodniami. - pancerne szkło jak w więzieniu i potężnie wzmocnione stalowe drzwi. Byli gotowi.

Croyd przebił się przez szkło w ciągu niespełna dwóch minut, po czym zniknął pod stertą ciał. Po kilku godzinach szkło zastąpiono nowym, wzmocnionym siatką pod prądem.

Tym razem wystarczyła mu niespełna minuta. Elektryczność najwyraźniej działała na niego jak środek pobudzający.

Troll uniósł wzrok. Croyd leżał pod jego potężnym cielskiem. Ręce i nogi miał zakute w stalowe kajdany.

- Doktorze, nie mogę na nim siedzieć do końca życia.

Znowu zastąpili szkło. Tachion rozmawiał z ekspertami z formy Attica o możliwości założenia stalowych żaluzji. Wzruszyli tylko ramionami, mówiąc, że ściany nie wytrzymają takiego obciążenia.

Wreszcie Finnowi przyszedł do głowy szalony pomysł.

- Pomysł o krowach - zauważył, drapiąc lekko podłogę przednim kopytem. Victoria Queen omal nie poszła po środek uspokajający. - Są takie głupie, że nie przejdą przez namalowane na autostradzie linie, bo myślą, że to pastuch elektryczny.

- Tak, ale Croyd jest człowiekiem, nie krową - wytłumaczył cierpliwie Tachion.

- Ale bardzo łatwo ulega sugestiom.

- Skąd o tym wiesz?

- Uspiełem go za pomocą treningu fal mózgowych i sugestii, pamiętasz?

Podłączyli go do aparatu i spróbowali tej samej sztuczki. Tym razem się nie udało. Potem namalowali kraty na oknie. I na drzwiach.

Od tej chwili Croyd zrobił się bardzo potulny.

Dopóki nikt nie wchodził do pokoju.

Proszę, zaśnij. Proszę, Croyd. Zaśnij.

Tachion powtarzał tę modlitwę codziennie już od czterech dni, ale albinos, nerwowo spacerujący po izolatce, na której szybie namalowano kraty, nadal nie reagował.

Takizjanin próbował też pomóc naturze. Po tym, jak trening fal mózgowych zawiódł, wypełnił pomieszczenie usypiającym gazem, a następnie dodał środków nasennych do jego posiłku. Śpioch uparcie trzymał się zakaźnej jawy. A z każdą godziną jej trwania wirus mutował na nowo.

Croyd był chodzącym holocaustem. Trzeba było podjąć jakąś decyzję. Tachion przyjrzał się własnym dłoniom. Przypomniawszy sobie odrzut pistoletu, z którego zabił Claudea Bonnella. Przypomniawszy sobie Płonącą Kobietę. Przypomniawszy sobie Rabdana.

Ideale, zmęczyło mnie już zadawanie śmierci. Zmiłujcie się, ojcowie. Nie chcę tego robić znowu.



Sokolica uśmiechnęła się do niego ze szpitalnego łóżka, potem skrzywiła się i przygryzła wargę, gdy wróciły bóle. Jej niebieskie oczy lśniły przesadnie, a radosne zachowanie wydawało się bardziej szalone niż zwykle. Tachion ją rozumiał. Trudno mu było utrzymać uśmiech na twarzy. Za kilka godzin Sokolica urodzi dziecko. Oboje wiedzieli, jak poród może wpłynąć na

płód próbujący się wydostać z jej rozdętego ciała.

Położył delikatnie dłoń na jej brzuchu i poczuł skurcz targający mięśniami.

- Cięcie cesarskie mogłoby być łatwiejsze dla chłopca.

- Nie. Oboje z McCoyem jesteśmy bardzo temu przeciwni.

- A gdzie on jest?

- Poszedł po kawę.

- Nadal upierasz się przy jego obecności?

- Tak.

- Mężowie są okropną zawadą.

- Spodziewał się, że będziesz tego zdania, mój drogi Tachy. - Pomimo swego stanu wyglądała niemal seksownie.

- Swoją drogą, nie jesteśmy małżeństwem. - Nadszedł kolejny skurcz. - Jak długo jeszcze? - zapytała.

- Dopiero się rozgrzewasz.

- Rewelacja.

- Matkom w średnim wieku jest trudniej.

- Najpierw brak pocieszenia, a potem zniewaga.

- Przepraszam.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Tach, żartowałam.

- Spróbuj odpocząć. Zobaczymy się za kilka godzin.

- Umowa stoi.



Troll otworzył drzwi i wsadził głowę do środka gabinetu.

- Nie potrzebujesz mnie, prawda?

- Czemu pytasz?

- Kłopoty w klubie Chaos. Przed chwilą dzwonili.

- Dobra. Możesz jechać.

- To dziwne. Od kilku dni zbiry siedziały cicho. Można by pomyśleć, że czegoś się nauczyły.

- W takim razem będziesz musiał powtórzyć tę lekcję, Troll.

- Chcesz tam pojechać?

- Sokolica rodzi.

- Aha. W takim razie do zobaczenia, doktorze.

Tachion zapytał Tinę, co z Sokolicą, i dowiedział się, że przenieśli ją do sali porodowej. Zostawił w służbie brzoskwiniowo-srebrne szaty, włożył zielony fartuch chirurgiczny i wyszorował ręce.

Zabrzmiał sygnał interkomu. Takizjanin włączył urządzenie łokciem.

- Szefie - zabrzmiał głos Finna. - Mamy tu zalew dzokerów.

- A ja mam poród do odebrania.

- W porządku.

Finn odwiesił słuchawkę. W izbie przyjęć roiło się od młodych dzokerów o posiniaczonych i pokaleczonych ciałach. Wciąż napływali nowi. Lekarz podbiegł kłusem do pierwszego z nich, a

potem cofnął się nagle, zobaczywszy że szrama na czole chłopaka to w rzeczywistości zręczny makijaż.

Pod nosem centaury błysnął nóż sprężynowy długi na piętnaście centymetrów.

Pod wejście podjechała karetka na sygnale. Wysiadła z niej grupa uzbrojonych po zęby mężczyzn. Finn uniósł ręce do góry. Jego matka nie wychowała głupiego syna.



Gdy po raz pierwszy zgłoszono pomysł ataku na klinikę Tachiona, Brennan sprzeciwiał mu się gorliwie.

Jednakże decyzja nadeszła z samej góry. Tachion może nas zaprowadzić do kobiety, która leczy dzokerów, śpiąc z nimi. Znajdźcie ją. A kosmicie trzeba udzielić nauczki. Złapcie go.

Ten rozkaz nie zaskoczył Brennana. Przed rokiem Kien wykorzystywał do leczenia dzokerów piękną Wietnamkę, Mai. Wystarczyło mieć forsy - kupę forsy - by zostać uzdrowionym. Potem Brennan zabił Bliznę i uratował Mai, ale teraz pojawiła się nowa dziewczyna, która mogła zająć jej miejsce. Dziewczyna lecząca za pomocą seksu. Jakież dzokerski mężczyzna nie zapłaciłby kupy forsy za to, by uzdrowił go stosunek z piękną kobietą?

Prawdziwa ironia kryła się w fakcie, że właśnie Brennanowi zlecono kierowanie atakiem. Najpierw pozbawił Kiena leczącej maszyny, a teraz miał zdobyć dla niego nową. Fatalnie się składało, że chodziło o Tachiona i jego klinikę, ale Brennan miał własny cel.

Jedynym problemem był fakt, że postawiono go wyżej niż Danny ego Mao i Azjata nie był z tego zadowolony. Z drugiej strony świadczyło to, jak wielkie uznanie zdobył w bizantyńskiej hierarchii organizacji Kiena. Następnym krokiem będzie dostanie się do wewnętrznego kręgu, otaczającego samego przywódcę. Wtedy zemsta znajdzie się w zasięgu ręki Brennana. Dlatego nie mógł odmówić podjęcia się tego zadania. Zbyt ciężko pracował i zbyt wiele lat poświęcił na to, by obalić fasadę, za którą krył się Kien Phuc, i odsłonić kryjącą się za nią zgniliznę.

Brennan wetknął magazynek do swego pistoletu Browning High Power i dotknął kieszeni kamizelki, by się upewnić, że zapasowa amunicja jest na miejscu. Uzgodniono, że liczbę ofiar należy ograniczyć do minimum. Tylko jedna osoba musiała zginąć: sam Tachion.

Jedenasta dwadzieścia siedem.

Jadący obok kierowcy Brennan zerknął na zbliżającą się klinikę. Przybędą na miejsce za wcześnie. Szkoda Tachiona. *Jeśli chcesz odkryć całą prawdę, nie możesz się przejmować dobrem i złem.*

Miał własny cel. Dobro i zło się nie liczyły.



McCoy trzymał się całkiem nieźle. Przynajmniej nie zemdlął i nie trzeba było go wynosić z sali porodowej. Od czasu do czasu przypominał sobie nawet, by mówić Soko, że ma przeć i oddychać. Jej odpowiedzi na te pomocne sugestie były proste i niepochlebne. Z jej ust wyrwał się kolejny bolesny krzyk. Wygięła plecy. Tachion ciągle przenosił spojrzenie między monitorami a jej rozszerzoną szyjką.

- Świetnie sobie radzisz, Soko - rzekł cicho. - Jeszcze tylko chwila.

Sięgnął myślami do nieukształtowanego umysłu dziecka przebijającego się przez kanał rodny.

Strach i wściekłość z powodu tego, że jego wygodny świat tak nagle zakłócono. (To z całą pewnością był syn Fortunata). Tachion pogłaskał jego umysł, by go uspokoić, i oszalałe kołatanie serca zwolniło.

Wszystko będzie w porządku, mały mężczyzno. Nie pozwól, bym mógł się chełpić, że miałem rację.

Ile to już razy pochylał się między kolanami matki i odbierał dziecko tylko po to, by zamienić się w szlam w jego rękach? Zbyt wiele razy.

Wtem rozległ się jakiś łoskot. Kosmita obrócił się na stołku i rozdziawił ze zdumieniem usta na widok trzech uzbrojonych mężczyzn, którzy wpadli do sali porodowej. Sokolica wsparła się na łokciach i popatrzyła na nich z nienawiścią.

- O JEZU!

- Co to ma znaczyć, do licha?

Tach cofnął się nieco, gdy lufa uzi zwróciła się agresywnie w jego kierunku. Dwaj pozostali intruzi przełykali tylko ślinę, gapiąc się z rumieńcem na twarzy na intymne części Sokolicy.

- Wtargnęliście do sterylnej sali. Wynoście się!

- Przyszliśmy po pana.

- W tej chwili jestem zajęty. Odbieram poród. Won!

Tach machnął na nich ręką, jakby płoszył kury.

- Pierdolić to - wrzasnął McCoy i zrobił dokładnie to, czego obawiał się Takizjanin.

Kosmita zapanował nad jego umysłem i zatrzymał kamerzystę w tej samej chwili, gdy ten złapał napastnika. Kule trafiły w sufit i posypały się na nich odłamki szkła z potłuczonych lamp.

- McCoy! - zawołała Sokolica, szarpiąc się w uścisku Tiny.

- Spokojnie! Nic mu się nie stało! Przeżyje i jeszcze nieraz będzie miał okazję zachować się jak idiota.

- Niech pan uwolni mojego człowieka. Inaczej pana zabiję. Jeden z nas dwóch załatwi pana albo te kobiety! - zawołał młody nerwowy Azjata. Doktor Tachion puścił pierwszego z napastników. - A teraz pójdzie pan z nami.

- Panowie, nie mam pojęcia, kim jesteście i co was tu sprowadza, ale będę do waszej dyspozycji, gdy tylko odbiorę poród. Nie mogę się wymknąć przez kanalizację. Muszę wyjść tymi drzwiami, więc bądźcie tak uprzejmi i zaczekajcie na mnie w śluzie.

Przysunął taboret z powrotem między nogi Soko i wznowił spokojne monologi - zewnętrzny skierowany do matki, a wewnętrzny do dziecka.

- McCoy - wydyszał kosmita. - Zaśnij.

Krzyki i skurcze powtarzały się coraz częściej. Tachowi nie podobało się zbyt silne parcie Soko, ale... nagle pojawiła się główka. Takizjanin sięgnął do pochwy rodzącej, ujął małą główkę w dłoń i pomógł Johnowi Fortuneowi wyśliznąć się na nowy świat.

Tachion poczuł smak krwi i uświadomił sobie, że przygryzł dolną wargę. Otoczył noworodka falami ciepła, miłości i pocieszenia. *Nie zmieniaj się! Nie przeobrażaj się! Na Ideał, tylko się nie przeobrażaj!*

Dziecko leżało w jego dłoniach, perfekcyjnie uformowany chłopczyk o dużej główce i ciemnych włosach. Z jego przypominających pączek róży ust odessano śluz. Tachion ustawił go pionowo i pomasaował drobniutkie plecki. Chłopczyk wydał z siebie donośny krzyk. Takizjanin usunął mruganiem łzy, otarł ze skóry noworodka krew oraz śluz, a potem położył go na opróżnionym brzuchu matki.

- Jest normalny. Jest normalny - wydyszała, przesuwając palcami po płaczącym dziecku.

- Tak, Soko. Jest doskonały. Miałaś rację.

Uporano się z ostatnimi szczegółami - przecięto pępowinę, umyto noworodka dokładnie i owinięto go w jagnięcą wełnę. Tachion i Tina przenieśli Sokolicę na wózek, a następnie położyli chrapiącego McCoya na drugim. W oknie sali porodowej pojawiła się czyjaś twarz. Tachion zgarbił się, ignorując ją.

- Doktorze, co tu jest grane? - zapytała z drżeniem w głosie Tina

- Nie mam pojęcia, moja droga. Jestem pewien, że ci uzbrojeni dżentelmeni mi to wyjaśnią.

Brennan wpadł do służby i spojrzał na swoich ludzi. Z zawstydzonymi minami upuścili papierosa, którym się dzielili.

- Gdzie Tachion?

- W środku.

- Dlaczego w środku?

- Odbierał poród.

- Boże, to było obrzydliwe.

- Krępujące - uściślił trzeci. - Obiecał, że...

- Poddam się wam. Tak jest, panowie. Obiecałem wam to i oto jestem. Czy jednak zechcecie mi teraz pomóc? Jak rozumiem... - Spojrzał w oczy Brennanowi i zająknął się nagle. Potem kaszlnął i mówił dalej. - Jak rozumiem, zatrzymaliście moich sanitariuszy. Jednego z moich pacjentów trzeba odwieźć na oddział noworodkowy, a pacjentkę do jej pokoju.

Ty! moi bogowie, co ty tu robisz?

Okupuję twoją, klinikę.

Ale dlaczego? DLACZEGO?

- Może więc bylibyście tak uprzejmi i pomogliście nam z wózkiem.

Zewnętrzna rozmowa nałożyła się na telepatyczny dialog.

Trzej mężczyźni popatrzyli na Brennana.

- Umieście ich w jadalni razem z resztą.

- W jadalni! Chyba nie przenieśliście tam poważnie chorych ani noworodków?

- Nie bądź idiotą. Nie są dla nas zagrożeniem - odparł z niesmakiem Brennan.

- Mężczyzna w izolacie... czy go uwolniliście? - zapytał Takizjanin.

- Nie. On jest naszą przykrywką.

- Przykrywką?

- Po co właściwie tracę czas na gadanie z tobą? Ruszaj się. Możesz zabrać bachora na oddział. Potem pogadamy.

Ściskając mocno w dłoni browninga Brennan i niosący w ramionach Johna Fortune'a Tachion ruszyli razem nienaturalnie pustymi korytarzami.

Cały personel z oddziału noworodkowego wyprowadzono, Tachion przygotował więc butelkę i sam nakarmił dziecko. Brennan obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, krzyżując za sobą ramiona.

- I o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Takizjanin z łagodnością, której nie czuł.

- O dwie rzeczy. Twoje pospolite ruszenie zbirów wkurzyło pewnego poważnego gracza. Posiadasz też pewien obiekt, który ten gracz pragnie dostać.

- Przestań mówić jak trzeciorzędny bandzior w gangsterskim filmie klasy B. „Obiekt” dobre sobie! - zachnął się kosmita.

- Jane Lillian Dow.

- Nie mam pojęcia, gdzie ona może być.

- Mój szef sądzi, że jest inaczej.  
- Twój szef się myli. - Tachion otarł ślad mleka z brody noworodka. - Zakładam, że przygotowałaś jakąś historyjkę, żeby wyjaśnić zamknięcie kliniki?  
- Tak. Mówimy ludziom, że nosiciel swobodnie porusza się po szpitalu.  
- Sprytne. - Tachion przesunął Johnnynego i przyjrzał się jego lekko skośnym oczom. Następnie zerknął znacząco na przekształcone oczy Brennana. - Nie zapytałem cię, po co potrzebujesz tej operacji.  
- Wiem. I jestem za to wdzięczny.  
- Mogłem się tego dowiedzieć, ale się powstrzymałem. Uszanowałem twoją prywatność.  
- Aha, wiem o tym.  
- I tak mi się odpłacasz?  
- Musiałem przeniknąć do... tej organizacji. Zaryzykowałem wszystko, by osiągnąć ten cel. Tachion machnął ręką.  
- Zaryzykowałeś to? Wtargnięcie do mojej kliniki? Narazenie na niebezpieczeństwo moich pacjentów?  
- Nie, nie o to mi chodzi. O... inne sprawy...  
Głos Brennana ucichł.  
- Nie oddałbym ci Jane, nawet gdybym wiedział, gdzie ona jest.  
- Rozkazano mi zacząć zabijać pacjentów, dopóki tego nie zrobisz.  
Tachion pobladł i zacisnął mocniej dłonie na butelce z mlekiem. Poklepał Johna po plecach, aż wreszcie noworodek beknął głośno, ulewając mleko na brzoskwiniowy materiał.  
- I rozkazano ci zabić mnie, nawet jeśli to zrobię.  
- WYŁAŻ Z MOJEJ GŁOWY! - Brennan odwrócił się od Tachiona, zaciskając pięści między udami. - Nie zrobię tego.  
- To prawda. Każesz to zrobić komuś innemu. Masz bardzo giętki umysł, kapitanie. Byłby z ciebie dobry Takizjanin. Być może właśnie dlatego cię lubię.  
Tachion wstał i położył Johnnynego w łóżeczku.  
- NIECH CIĘ SZLAG TRAFI!  
- Czemu tego pragniesz?  
- Wszyscy próbują mnie otoczyć, skępować swoimi więzami, pozbawić zdolności wyboru.  
- Zastanawiam się, co twoja Jennifer pomyślałaby o takim postępowaniu.  
- NIECH CIĘ SZLAG! PRZESTAŃ! NIE WPIERDALAJ SIĘ DO MOJEJ GŁOWY! Nie chcę, żeby mi na czymkolwiek zależało - dokończył ciszej.  
- To cena, jaką się płaci za bycie człowiekiem. Czasami musi ci na coś zależeć.  
- Zależy mi - odparł z bólem w głosie.  
- Na śmierci. Byłoby ciekawie czasami wybrać życie.  
- To niesprawiedliwe! - zawołał do odwracającego się plecami Tachiona. - Co z Mai?  
- Mai odeszła. Musisz podjąć decyzję tu i teraz.



Mijały godziny. Podziw, jakim Tachion darzył Bradlyego Latoura Finna rósł z każdą chwilą. Dzoker pocieszał starych, rozweselał młodych i bawił się z dziećmi. Z jego twarzy ani na moment nie znikał beztronski uśmiech, nawet w chwilach, gdy coraz bardziej niespokojni

strażnicy obrzucali go przekleństwami albo zasypywali ciosami jego kędzierzawą głowę. Ani wtedy, gdy Victoria Queen zakrzyknęła histerycznie:

- Wszyscy tu zginiemy! Jak możesz być tak kurewsko spokojny?

- Jestem za głupi, żeby się tym przejmować.

Centaur zbliżył się kłusem do Tachiona. Lufy śledziły go przez zatłoczoną salę. Zatrzymał się przy stoliku, przy którym Trupiogłowy bełkotał bez chwili przerwy, i kiwał z powagą głową przez kilka sekund.

- Zgadzam się z tobą w stu procentach.

- Siadaj! - wrzasnął jeden ze strażników.

Finn cofnął się ostrożnie ku krzesłu, poruszył zadem, próbując go na nie wcisnąć, a potem potrząsnął ze smutkiem głową i pokłusował do Tacha. Kosmita westchnął z zaskoczenia, po raz pierwszy zauważając, że ogon dzokera obcięto tuż poniżej nasady.

- Twój ogon!

- Będzie ozdobą kurtki jakiegoś Wilkołaka.

Z jakiegoś idiotycznego powodu wstrząsnęło to Tachionem silniej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory.

- Twój ogon - powtórzył płaczącym tonem Takizjanin.

- Odrośnie. Poza tym byłem z niego nazbyt dumny. - Pochylił się ku Tachionowi. - Doktorze, niektórzy pacjenci potrzebują leków.

- Wiem o tym.

Takizjanin odsunął się od stolika i ruszył w stronę Brennana, trzymając rękę na kłębie centaury. Wyglądało to absurdalnie. Niski kosmita miał na sobie spodnie do kolan, rozwiązany koronkowy fular jego koszuli opadał na podobieństwo spienionego wodospadu, a loki barwy miedzi kołysały się w rytm jego kroków. Towarzyszący mu maleńki, izabelowaty centaur posuwał się naprzód tanecznym krokiem niczym koń lipicański.

- Wielu tych ludzi bierze leki. Czy mogę zabrać część swoich ludzi i podać im tabletki?

- Tabletki? To brzmi ciekawie - stwierdził ze śmiechem jeden z Wilkołaków.

- Daj nam to, czego chcemy - zażądał Brennan.

- CHOLERA! - Danny Mao zgasił papierosa na owiniętej w celofan sałatce szefa kuchni. Gorący koniuszek przebił się przez celofan, zostawiając czarną plamę na serze i mięsie. - Jak długo będziemy tu siedzieć?

- Tak długo, jak będzie trzeba - odparł krótko Brennan.

- Kowboju, zabijmy kilku tych paskudnych skurwysynów - zasugerował Danny Mao, spoglądając z niesmakiem na skulonych trwoźnie dzokerów. - To będzie dla nich przysługa.

Brennan zwrócił się ku Tachionowi.

- Dziewczyna.

- Nie.

Dlaczego to robisz? Dlaczego?

Minęło kolejne dwadzieścia ciągnących się boleśnie długo minut. Tachion przymknął powieki i poruszał palcami po kolanie, jakby grał sonatę skrzypcową, kiwając głową w rytm niesłyszalnej muzyki.

- Kowboju, on ma moce mentalne. Skąd wiesz, czy nie wzywa na pomoc swej dzokerskiej brygady?

- Danny ma rację - odezwał się Lee, solidaryzując się z drugim Azjatą wśród napastników.

- Nie wezwie pomocy. Wie, jaki niebezpieczny byłby atak z zewnątrz. Ilu spośród nich



zginęłoby od strzałów? - Brennan zatoczył krąg ręką, wskazując na przerażonych pacjentów i personel. Potem znowu spojrzał na Tachiona z twardym wyrazem szarych oczu. - Ilu z nich będziemy musieli zabić, jeśli spotka nas zdrada?

- Zdrada - powtórzył Tachion, napawając się tym słowem. Liliowe oczy spojrzały prosto w szare i to szare odwróciły się pierwsze.

- W porządku, nie chcesz zacząć wykańczać chorych staruszek - zaczął Danny, spoglądając z niechęcią na jedną z nich. - Nawet jeśli są brzydkie jak niepodtarta dupa. Czemu nie wykorzystamy jego? - Wskazał palcem na Trupiołowego, który pożerał z zawstydzoną miną kawałek ciasta, nie przerywając swego monologu. - Po to go przyprawiliśmy.

Brennan otarł pot.

- Nie wiemy, jak Tachion na niego zadziała. Ma obcy metabolizm.

Danny podszedł do jakiegoś staruszka, złapał go za białe, zwisające w strąkach włosy i wsadził mu do ust lufę colta pythona. Victoria Queen jęknęła. Wśród zakładników rozległ się szmer. Tachion zaczął wstawać z krzesła, ale usiadł z powrotem, gdy tylko się zorientował, że Chińczyk skupia się na Brennanie.

- Myślę, że brak ci odwagi, Kowboju - ciągnął Danny niebezpiecznie cichym głosem. - Myślę, że popełniono błąd, zlecając ci kierowanie operacją. Albo pokażesz, że masz jaja, i zaczniesz działać, albo ja to zrobię.

- Zgoda! - krzyknął Brennan. - Użyjemy Trupiołowego.

- Danny wyciągnął pistolet z ust dzokera i przystawił go do szyi Tachiona. Wśród więźniów poniosły się szepty oraz westchnienia. - Ale nie tutaj. W jego gabinecie. Trupiołowy. - As uniósł głowę, zaprzestając energicznego zucia. - Weź ze sobą łyżkę.

Brennan zostawił pięciu ludzi na straży w jadalni. Obserwował Tachiona, który patrzył ze spokojem na piętnastu napastników towarzyszących mu w windzie. Znał ten wyraz twarzy. Takizjanin obliczał swe szanse. I nie podobał mu się wynik tej kalkulacji.

*Isida, mój roshi, co powinno być ważniejsze? Misja będąca celem duszy człowieka czy ulotne przyjaźnie tego świata?* Odpowiedzi nie było. Brennan odnosił wrażenie, że nawet gdyby staruszek był tu obecny, i tak by mu nie odpowiedział.

Szczupła twarz Tachiona miała spokojny wyraz. Najwyraźniej pogodził się ze śmiercią. Brennan wątpił jednak, by kosmita spotkał ją spokojnie. Z pewnością czegoś spróbuje.

Trupiołowy beknął i poklepał się po brzuchu.

- Niepotrzebnie jadłem to ciasto. Mam nadzieję, że zostało mi trochę miejsca. Hej, jak otworzymy mu głowę?

Tachion otworzył szeroko oczy. Nagle zgiął się w pół i zwymiotował na buty Dannyego.

- Niech to szlag! - zawołał Azjata.

- Czytanie w myślach nie jest taką przyjemną mocą, prawda? - warknął Brennan. - Dowiedziałeś się, co cię czeka. Lee, idź do sali operacyjnej po piłę.

- Dlaczego po prostu nie załatwimy go tutaj? - poskarżył się chłopak, zatykając nos, by nie czuć smrodu.

- Dlatego, że ja tak chcę.

W wypowiedzianych słowach wyczuwało się napięcie i furję.

Wszyscy ustawili się w kolejkę i weszli do gabinetu Tachiona. Brennan ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Danny odciągnął kurek pistoletu i uśmiechnął się przez ramię do Brennana.

- Ja się tym zajmę, Kowboju. Ciebie wyraźnie na to nie stać.

To nie była świadoma decyzja. Brennan po prostu wyciągnął rękę i zgasił światło. Jasny blask

Nowego Jorku tworzył srebrzysty kwadrat na szczelnie zasuniętych żaluzjach, ale poza tym w pokoju zapadły egipskie ciemności.

Takizjanin padł na podłogę. Dwa jednoczesne rozbłyski strzałów omal go nie oślepiły. Czyjeś ciało runęło na niego.

- Cholera! On ma broń! - rozległ się głos Brennana. Gdybyż tylko była to prawda.

Kosmita poczołgał się po grubym dywanie, wspierając się na rękach i kolanach. Ktoś kopnął go mocno w żebra, ale on stłumił westchnienie bólu. Tamten runął na twarz, wypuszczając długą serię z uzi. Ktoś inny krzyknął.

Tachion nacisnął śliską od potu klamkę w drzwiach, otworzył je szeroko i wymknął się z pokoju. Zatrzasnął je szybko za sobą, ale kule przebiły się przez cienkie drewno, zasypując drzazgami jego policzek. Takizjanin rzucił się do ucieczki.

Wsparł się ręką o ścianę i minął narożnik w tej samej chwili, gdy napastnicy rozwalili drzwi. Znowu usłyszał głos Brennana.

- Połowa niech biegnie ze mną. Odetniemy mu drogę.

Piętnastu zmieniło się w czternastu, trzynastu, a może nawet dwunastu, jeśli ta pierwsza seria z uzi trafiła któregoś z nich. Powiedzmy sześciu na jednego. To nadal niekorzystny układ sił. Zbyt wielu, by zapanować nad ich umysłami, chyba żeby ich rozdzielił, a ten pomysł nie podobał mu się nawet w najmniejszym stopniu.

Dokąd teraz?

Tu jest Siedlisko Śmierci.

Tachion otworzył nagłym szarpnięciem drzwi i rzucił się przed siebie, jak ścigany jelonek. Napastnicy byli jeden poziom za nim.

Lecz kozioł został przy życiu... ponieważ przybiegł pierwszy, pędząc w obronie własnego życia<sup>2</sup>.

Podejmował desperackie ryzyko, ale nie miał innego wyjścia. Dwie kondygnacje niżej przebywali jego ludzie. Jeśli ścigający przypomną sobie o nich i wrócą, by im zagrozić...

Znalazł w kieszeni klucze i przyspieszył jeszcze, poko-nując ostatni odcinek. Oddech rzeził mu w gardle. Nie widział Croyda za szerokim oknem obserwacyjnym izolátky. Klucz się obrócił. Tachion czekał. Stado łowców wypadło z klatki schodowej, ujadając z ekscytacji.

- Tam jest!

Wpadł do pokoju i przetoczył się, przemykając obok Croyda, który czał się pod drzwiami. Nie spodziewał się jednak zwiniętego, toczącego się kłębka. Tachion zerwał się na nogi.

- Croyd, pomóż mi. Chcą nas załatwić!

Wyciągnęła się po niego ręka. Tachion odskoczył na bok, pozwalając, by impet zaniósł asa dobry metr za jego plecy. Jego jedyną szansą było unikanie kontaktu. Jeśli Croyd zdoła go pochwycić, skruszy go jak szklany kieliszek. W czerwonych oczach albinosa gorzało szaleństwo, a jego blada twarz wykrzywiała się w nieludzkim grymasie.

Przybyli łowcy. Tachion rzucił się na podłogę, skacząc w stronę łóżka. Zdezorientowany Croyd warknął, rozglądając się wkoło. Spojrzał prosto w oczy uzbrojonemu mężczyźnie biegnącemu na czele. Zbir uniósł uzi, ale nagle wydał z siebie przenikliwy dźwięk, brzmiący jak para wypuszczana z lokomotywy, i zaczął się topić. Po kilku sekundach osunął się na kolana, rozpuszczając się w rosnącej z każdą chwilą kałuży różowej, spienionej mazi.

Croyd złapał drugiego napastnika, zaciskając dłoń w miejscu między barkiem a szyją. Wciskający się desperacko w ścianę, Tachion usłyszał trzask pękających kości. Mężczyzna padł

na podłogę za złamanym karkiem. Pomieszczenie wypełniły krzyki.

Jeden z trzech ocalałych napastników zdołał wystrzelić. Kula wbiła się w bosą stopę Croyda. Albinos odrzucił głowę do tyłu i ryknął z bólu. Następnie wyrwał broń z ręki przeciwnika i zaczął go okładać lufą. Skóra pękała i rozdzierała się, gdy muszka broni uderzała w miękkie policzki.

U stóp Tachiona wił się z bólu inny mężczyzna. Konwulsje były tak gwałtowane, że zgiął się jak łuk, dotykając głową pięt. Ugryzł się w język i z ust płynęła mu krew.

Czarna Dama. Bez ujawnienia się dzokera. Trzech z siedmiu. Na krew i ród, obym tylko przeżył. Nie chcę umierać.

Strach był żywą istotą. Chwytał go za gardło, uniemożliwiał oddychanie. Tachion próbował zaczerpnąć powietrza w płuca. Chłopak Lee biegł z tyłu grupy. Przerażony tym, co ujrzał, odrzucił pistolet i zwiął. Croyd cisnął na bok napastnika, który zwałił się na podłogę jak zakrwawiona lalka, i popędził za młodzieńcem.

Tachion odwrócił głowę, czując się, jakby jego głowa była zrobiona ze szkła, i przyjrzał się otaczającej go jatce. Załkał z radości. Odepchnął się od ściany, podniósł leżące na podłodze uzi i wybiegł na korytarz. Okno wychodzące na schody przeciwpożarowe wyrwano ze ściany. Wychylił się na zewnątrz i zobaczył cień znikający między pojemnikami na śmieci w zaułku. Wystrzelił, nienawidząc samego siebie, ale nie usłyszał żadnego dźwięku poza wizgiem kul odbijających się od cegieł i metalu. Croyd uciekł.

Nogi ugięły się pod Takizjaninem. Omal nie upadł. Czyjaś silna ręka objęła go w pasie. Tachion krzyknął z przerażenia. Uderzył mocą mentalną, ale zamarł, rozpoznając umysł tamtego.

- Brennan.



Zostało im kilka minut, zanim przybyła policja. Tachion usiadł za biurkiem i nalał dwa duże kieliszki brandy i wzniosł toast do milczącego mężczyzny.

- Uważam cię za... przyjaciela. Dziękuję.

Brennan odchylił się na krzesło, wspierając obute nogi na biurku. Ciało Dannyego leżało na podłodze obok niego.

- Trwało cholernie długo, zanim się zdecydowałem.

- Miałeś bardzo wiele do stracenia. Jestem ci wdzięczny.

- Zamknij się. Już mi wystarczająco podziękowałeś. Lepiej będzie, jak się stąd zwinę. - Brennan sięgnął do kieszeni, wyciągnął stamtąd asa pik i położył go na ciele. - To da im do myślenia.

- Policji... i komu jeszcze?

- Co masz na myśli?

Brennan znieruchomiał w drzwiach.

- Kto za tym stoi? - Na chwilę zapadła cisza. - Daniel, żądam, byś mi to powiedział. Jesteś mi to winien.

Mężczyzna odwrócił się powoli i spojrzał na niego.

- To niebezpieczne.

- Myślisz, że już o tym nie wiem? Ten człowiek polował na moich ludzi. Ludzi z mojej

domeny. Wypowiedział mi wojnę. To musi się skończyć.

- A jak zamierzasz osiągnąć ten cel?

- Przekonam go, że jestem bardziej groźny dla niego niż on dla mnie. - Silnie zarysowane usta rozciągnęły się w uśmiechu, który zaraz zniknął, lecz potem stopniowo powrócił.

Tachion przyglądał się temu zafascynowany.

- Oto moja propozycja



Przywrócono porządek. Finn udzielał pomocy będących w szoku pacjentom, Sokolica karmiła dziecko, wydawano oświadczenia, liczono ciała albo pozostałości po nich. Pięciu ludzi pozostawionych na straży w jadalni uciekło, podobnie jak przerażający Trupiołowy. Zaczęło się wielkie polowanie na Croyda. Tachion miał wyrzuty sumienia z powodu swej decyzji. Być może powinien był raczej umrzeć niż uwolnić Croyda, ale taka śmierć... jego mózg pożarty przez to odrażające stworzenie. Doszedł do wniosku, że nie jest aż tak szlachetny.

O piątej rano kosmita mógł wreszcie opuścić klinikę. Przygotował wszystko, zabrał limuzynę, i spotkał się z Brennanem, który zasiadł za kierownicą. Ruszyli w stronę Piątej Alei i Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy.

Zaparkowali w zaułku za pięciopiętrowym apartamen-towcem zbudowanym z szarego kamienia. Następnie Tachion rozłożył koronkowy obrus na masce lincolna i ustawił na nim śniadanie - ciepłe croissanty, termosy z gorącą kawą i herbatą oraz sery do wyboru. Potem, pogryzając kawałek camemberta, wysłał wezwanie. Wezwanie syreny. Po dziesięciu minutach z bocznych drzwi do zaułka wyszedł Kien Phuc. Towarzyszył mu Żmij. Dżoker sięgnął po broń, ale Brennan odwrócił się powoli, nałożył na cięciwę masywną strzałę myśliwską z wielkim grotem i wycelował w Kiena. Tachion zwolnił przymus i Wietnamczyk uspokoił swojego dżokeroasa skinieniem dłoni. Takizjanin rozpostarł dłonie w powitalnym geście.

- Nie dołączy pan do mnie, panie Phuc? Nasi strażnicy mogą tymczasem wzajemnie pilnować swojej uczciwości. - Tachion wskazał na talerz, a potem wrzucił ramionami, gdy Kien nie ruszył się z miejsca. - Poirytował mnie pan, panie Phuc, ale ucieszyłem się, gdy podjął pan tę żalną próbę opanowania mojej kliniki. To stworzyło mi okazję, na którą czekałem.

- Okazję na co? - zapytał Kien głosem zgrzytliwym jak zardzewiała maszyna, uruchomiona po latach zaniedbania.

- Na to, by pana ostrzec. Niedobrze jest mieć mnie za wroga - odparł radośnie kosmita, smarując croissanta dżemem.

- Czego pan chce?

- Po pierwsze, zademonstrować panu, z jaką łatwością mogę zapanować nad pańskim umysłem i zmusić pana do zrobienia wszystkiego, czego zapragnę. Po drugie, oznajmić, że Dżokerowo to moje terytorium. Po trzecie, zaproponować rozejm.

- Rozejm?

- Ja mam swoje interesy, a pan ma swoje. Pańskie obejmują prostytutkę, gry liczbowe i handel narkotykami, ale nie mogą do nich należeć rekiety, wymuszenia ani strzelaniny na moich ulicach. Chcę, żeby moi ludzie byli bezpieczni.

Kien przeniósł spojrzenie na Brennana.

- Czy ten tresowany szakal należy do pana?

- Och, nie, on również ma własne interesy.

Szare oczy Brennana wpatrzyły się bezlitośnie w czarne oczy Wietnamczyka.

- Przyjdę po ciebie, Kien.

Tachion się uśmiechnął.

- Pan ma ludzi, którzy mogą załatwić mnie z ukrycia, a ja mam takich, którzy mogą to samo uczynić panu. Sytuacja patowa.

- Nie będzie pan ingerował w moje interesy?

- Nie będę. - Tachion westchnął. - Zapewne dowodzi to, że moja moralność pozostawia wiele do życzenia, ale nie jestem krzyżowcem. Mężczyźni zawsze będą pożądać kobiet, a kobiety będą się im sprzedawały, by mogli zaspokoić swe pragnienia. Podobnie zawsze będzie się kupowało narkotyki i używało ich. Niestety, nie jesteśmy aniołami. Nalegam jednak, by na moich ulicach panował porządek. - Z głosu Tachiona zniknął lekki, żartobliwy ton. - Dzieci nie będą już ginąć w bezsensownych strzelaninach na ulicach Dżokerowa. A moja klinika i jej pacjenci będą bezpieczni.

- A co z Jane Dow?

- Ten temat nie podlega negocjacom, panie Phuc.

Kien wzruszył ramionami.

- W porządku.

- To znaczy, że doszliśmy do porozumienia?

- Zgadzam się na pańskie warunki.

- Nigdy nie powinno się planować oszustwa w obecności telepaty - odparł z uśmiechem Tachion. - Brennan, zabij go.

Wietnamczyk pobladł.

- Nie! Chwileczkę!

- Dobra, spróbujmy jeszcze raz. Czy doszliśmy do porozumienia?

- Nie do końca - wychrypiął Kien i wbił wzrok w Brennan, który ze spokojem odwzajemnił jego spojrzenie.

- Jakiś czas temu otrzymałem od ciebie wiadomość. - Uzbrojony w łuk mężczyzna skinął głową. - Oto moja odpowiedź. - Nienawiść i furia przepajała głos Wietnamczyka, który skierował okaleczoną dłoń w swego wroga, jakby była bronią. - Jeśli nadal będziesz mnie uparcie przesładował, żeby mnie zniszczyć, jak mówisz, nie pozostawię ci nic, dla czego warto by było żyć. Przysięgam, że w takim przypadku twoja Zjawa, twoja Jennifer Maloy, zginie. Wycofaj się, kapitanie Brennan. Wycofaj się i zostaw mnie w spokoju, bo inaczej to ona zapłaci za to życiem. Tak brzmi moja obietnica.

Tachion przeniósł spojrzenie z Kiena na łucznika. Twarz tego drugiego miała wyraz twardy i nieustępliwy jak zaciśnięta pięść.

- Nudzi mnie pan - warknął Tachion - Nudzą mnie pańskie groźby. Żegnam!

Posłał Wietnamczyka i jego szakala, Żmija, biegiem z powrotem do budynku.



Po powrocie do kliniki Tachion był w radosnym nastroju. Zatrzymał się na chwilę, by pogłaskać z satysfakcją kamiennego lwa, a potem wbiegł truchtem na schody. Croyd zapewne nie pozostanie już na jawie zbyt długo. Po następnej transformacji z pewnością opuści go moc

zakażenia. Kien był na razie zneutralizowany. Rzecz jasna, Wietnamczyk prędzej czy później złamie słowo, ale może do tego czasu Brennan osiągnie swój cel i Kien przestanie być problemem.

Tachion zszedł do piwnicy i otworzył całą serię skomplikowanych elektronicznych zamków strzegących jego prywatnego laboratorium. Tam właśnie wyprodukował lekarstwo dla Anielskiej Buzi i prowadził badania nad udoskonalonym wirusem zwanym atutem.

Z przyzwyczajenia pobrał sobie krew i rozpoczął test wykrywający obecność ksenowirusa. Z pewnością się nie zaraził. Ideał i prawa statystyki sprzyjały mu wczorajszego wieczoru.

Wsunął szkiełko pod mikroskop elektronowy, nastawił urządzenie i wyczytał swój los w splątanej sieci dzikiej karty. Wtem krzyknął głośno i zrzucił na ziemię tacę ze szkiełkami laboratoryjnymi oraz próbkami. Zaczął walić pięściami w stół, wykrzykując swój sprzeciw. *Uspokój się! Uspokój! Stres może uruchomić działanie wirusa.*

Podniósł stołek, usiadł z założonymi rękami i zaczął się zastanawiać. Jeśli wirus się uaktywni, Tachion zapewne umrze. Z tym mógł się pogodzić. Ale może też zostać dzokerem. Z tym nie pogodzi się nigdy. Atut? Z tego wyjścia skorzysta tylko w ostateczności.

Jane!

Myśl, że seks mógłby uratować impotentą była pełna ironii. Roześmiał się w głos, ale stłumił szaleńczy rechot, gdy tylko sobie uświadomił, że jego źródłem jest histeria, a nie wesołość.

A co z przyszłością?

Odnajdzie Jane. Musi wyeliminować ze swego życia tyle stresu, ile tylko zdoła. Będzie żył dalej. W domu Ilkazam nie rodzili się tchórze.

I to, co najważniejsze: *Blaise*.

Chłopiec był wszystkim, co miał. Jego własna krew i nasienie były zatrute. Nie spłodzi już innych dzieci.

## Koncert dla syreny i serotoniny

### VIII

Znowu go ścigali. Zadał sobie pytanie, komu możesz zaufać, jeśli nawet twój lekarz cię zdradził. Wycie syren przerodziło się w niemal nieprzerwaną ścianę dźwięku.

Ciskał kawałami betonu, łamał latarnie i przemykał między kolejnymi bramami albo zaułkami, szukając schronienia. Kulił się za zaparkowanymi samochodami. Obserwował przelatujące helikoptery, słuchając miarowego „paf-paf” ich wirników. Od czasu do czasu słyszał apele wygłaszane za pośrednictwem megafonów. Mówili do niego, okłamywali go, prosząc, by się poddał. Zachichotał. Niedoczekanie.

Czy to wszystko znowu było sprawką Tachyego? W jego umyśle przesunął się obraz samolotu Śmiga, przemykającego niczym maleńka rybka między wielkimi wielorybami pasącymi się na częściowo przesłoniętym chmurami popołudniowym niebie. Dnia, gdy to wszystko się zaczęło. Co się stało z Joem Sarzanno?

Poczuł woń dymu. Dlaczego trudne czasy zawsze wiązały się z pożarami? Potarł skronie i ziewnął. Sięgnął odruchowo do kieszeni po tabletkę, ale nic tam nie znalazł. Wyrwał drzwi automatu z coca-colą stojącego przed nieczynną stacją obsługi samochodów, otworzył skrzynkę z monetami i zaczął wrzucać ćwierćdolarówki z powrotem do maszyny. Następnie wziął w obie ręce po puszcze i oddalił się, popijając colę.

Po pewnym czasie znalazł się przed Groszowym Muzeum w Dżokerowie. Chciał wejść do środka, ale uświadomił sobie, że muzeum jest nieczynne.

Przez jakieś dziesięć sekund stał przed nim, niezdecydowany. Potem w pobliżu zabrzmiała syrena. Zapewne tuż za rogiem. Wyważył drzwi i wszedł do środka. Położył na małym biurku po lewej pieniądze za bilet, a po zastanowieniu dołożył jeszcze trochę za zniszczony zamek.

Przez chwilę siedział na ławce, wpatrując się w cienie. Od czasu do czasu wstawał, by trochę się rozruszać, ale zaraz wracał na miejsce. Po raz kolejny zobaczył złotego motyla, który przycupnął na złotym kluczu francuskim, jakby miał zaraz odlecieć. Był to efekt transformacji dokonanej przez krótko żyjącego asa zwanego Midasem. Znowu przyjrzał się słojom z dżokerskimi płodami oraz fragmentowi stalowych drzwi, wgniecionemu przez kopyto Johna Diabła.

Mijał dioramy przedstawiające Wielkie Wydarzenia w Historii Dzikiej Karty. Raz po raz naciskał guzik przy ekspozycji Ziemia kontra Rój, a gdy tylko to zrobił, Modułowy strzelał z lasera do potwora z Roju. Wreszcie znalazł drugi przycisk, włączający krzyk Wyj ca...

Dopiero gdy został mu tylko jeden łyk coli, zauważył maleńką ludzką skórę, wypchaną i umieszczoną w gablocie. Podeszedł bliżej, przymrużył powieki i przeczytał kartkę informującą, że te szczątki znaleziono w zaułku. Wessał nagle powietrze w płuca, gdy się zorientował, czyja to skóra.

- Biedny Gimli - rzekł. - Któż ci to uczynił? Gdzież są twoje wnętrzności? Niedobrze mi na ten

widok. Gdziez twoje dowcipy? Idźże do Barnetta i powiedz mu, żeby się modlił, aż piekło zamarznie. Na koniec jego skóra też tu trafi.

Odwrócił się i znowu ziewnął. Kończyny mu ciążyły. Wyszedł zza rogu i zobaczył trzy metalowe skorupy, zwisaj ace na długich linach. Zatrzymał się i przyjrzał się im uważnie, natychmiast sobie uświadamiając, co widzi.

Pod wpływem nagłego impulsu podskoczył i plasnął dłonią w najbliższą z trzech opancerzonych karoserii volkswagena. Rozległ się donośny brzęk i skorupa lekko się zakołysała. Podskoczył i uderzył w nią po raz drugi, zanim dopadł go kolejny atak ziewania.

- Weź skorupę i w drogę - wymamrotał. - W środku zawsze byłeś bezpieczny, dopóki nie wysunąłeś głowy na zewnątrz, nieprawdaż, Żółwiu?

Znowu zachichotał. Nagle zatrzymał się i zwrócił ku skorupie, którą zapamiętał najlepiej - modelowi z lat sześćdziesiątych. Nie mógł sięgnąć ręką tak wysoko, żeby dotknąć pacyfy, przeczytał jednak hasło napisane wewnątrz kwietnej mandali.

- Czyńcie miłość, nie wojnę. Cholera, powiedz to facetom, którzy próbują mnie zabić. - Po chwili dodał: - Zawsze się zastanawiałem, jak wygląda w środku.

Znowu skoczył w górę, złapał palcami za brzeg skorupy i podciągnął się w górę.

Wehikuł się zakołysał, ale z łatwością utrzymał jego ciężar. Po chwili Croyd skrył się w środku.

- Ach, słodka klaustrofobio! - westchnął. - Naprawdę czuję się tu bezpiecznie. Mógłbym...

Zamknął oczy. Po krótkiej chwili jego sylwetka lekko zamigotała.



## Cóż za bestia...

LEANNE C. HARPER

Trampula spojrzała na Jacka Robicheaux, swego przyjaciela. Transformacje nadchodziły teraz wolniej i postacie utrzymywały się dłużej. W tej chwili był człowiekiem i zapewne pozostanie nim jeszcze przez kilka dni. Poświęcił trochę czasu na zastanawianie się nad tym, czyjego nieustanne przeobrażenia nie są w jakimś stopniu jej winą. Jack wiedział, że może się z nią porozumiewać wyłącznie jako aligator. Niewykluczone, że nawet pogrążony w śpiączce uświadomił sobie, iż musi się przeobrazić, żeby opowiedzieć jej o Cordelii.

Uniosła wzrok, spojrzała w oczy C.C. i wzruszyła ramionami.

- Wiem. Obiecałam, że przestanę czuć się winna. Będzie mi go brakowało.

Obie kobiety spojrzały ku drzwiom, gdy do środka weszła Cordelia.

- Hej, przynoszę dobre wieści. Doktor Tacky mówi, że stan Jacka mógł się trochę poprawić. Nie jest tego pewien, ale myśli, że kiedy pacjent jest aligatorem, jego ciało może zabijać wirusa.

- Dziewczyna podeszła do szpitalnego łóżka, pochyliła się nad Jackiem i pocałowała go w usta. - Widzisz, *Oncle*? Nie stawiaj jeszcze na mnie krzyżyka.

C.C. Ryder i Trampula wymieniły zaskoczone spojrzenia nad głową Cordelii. Bezdomna kobieta pozwoliła, by na jej twarzy pojawił się uśmiech, zamaskowany przez rozczochrane włosy.

Rudowłosa piosenkarka ujęła ją za rękę.

- A nie mówiłam?

- Słucham? Nieważne. Obie gadacie skrótami. Jesteście gorsze od Cajunów. To kiedy wyruszą?

Cordelia stanęła przy głowie swego wujka i spoglądała nań z góry, jakby mogła zajrzeć do jego wnętrza.

- Samolot odlatuje jutro. Zostawiłam dziś plan podróży w twoim gabinecie, żebyś mogła nas zawiadomić, jeśli coś się zmieni. - C.C. spojrzała na przyjaciółkę. - Trampula będzie chciała natychmiast się o tym dowiedzieć.

- Czy w Gwatemali mają telefony?

- Tak, Cordelio - potwierdziła z westchnieniem piosenkarka.

- Przywieziecie mi Indianina?

Dziewczyna nadal ścisnęła dłoń Jacka, uśmiechając się czarująco do obu starszych kobiet.

- Chcemy im pomóc, a nie znajdować dla nich amerykańskie żony.

- A kto mówił o małżeństwie? - Zawsze szybko zmieniająca nastrój Cordelia spoważniała nagle. - Trampula, zaopiekuję się nim. Daję słowo. Wiem, że nie jesteś o mnie zbyt dobrego zdania, ale...

- Po prostu musisz dorosnąć. Nie składaj obietnic, których nie będziesz w stanie dotrzymać. Sobie ani nikomu innemu. Świat nie potrzebuje więcej świętych. - Cordelia się zaczerwieniła. Trampula spojrzała jej prosto w oczy. - Poza tym, chyba nie sądzisz, że zostawię Jacka bez

ochrony, co?

Bezdomna kobieta przesunęła dłońmi po płaszczu. Czarny kot wyskoczył na zewnątrz i otrząsnął się, a następnie usiadł i zaczął wylizywać potargane futro, by przywrócić je do porządku. Cordelia uklękła obok i spróbowała podrapać go za uszami. Zwierzę odsunęło się, wskoczyło na łóżko Jacka i położyło głowę na poduszce obok jego głowy.

- Mniejsza z telefonami. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, powiedz to kotu. Odległość jest wielka, ale to już chyba nam nie przeszkadza. Ale i tak gryzę się tym, że wyjeżdżam.

Trampula wlepiała spojrzenie w podłogę.

- Doktor Tachion zaopiekuje się wujkiem Jackiem. Ja i kot mu pomożemy, na miarę swych możliwości. On chciałby, żebyś tam poleciała.

Cordelia zerknęła na pobladłego, milczącego mężczyznę, spoczywającego pośród aparatury, która utrzymywała go przy życiu.

- Wiem o tym. Powiedziałyby, że to będzie dla mnie dobre. - Bezdomna spojrzała na stojącą obok C.C. - Nie jestem przyzwyczajona do tego, że tylu ludzi uważa, że wie, co jest dla mnie dobre. Ale zawsze chciałam porozmawiać z czarnym jaguarem, a żadna gwiazda rocka nie powinna podróżować bez ochroniarzy.

- Gwiazda rocka. - C.C. wzniosła oczy ku niebu. - Ona ciągle mi mówi, że jedna dżungla niczym się nie różni od drugiej. Nie wiem, kto przeżyje większy szok kulturowy, my czy oni. Ci nieszczęśnicy próbują zbudować nowe państwo. Z pewnością nie potrzebują postarzałej „gwiazdy rocka” i bezdomnej kobiety.

Cordelia wyciągnęła rękę i uściśnęła piosenkarkę.

- Mogliby trafić znacznie gorzej.

Trampula przyjrzała się jej z uwagą, a następnie wyciągnęła rękę. Po chwili wahania dziewczyna uściśnęła mocno jej dłoń dwoma rękami.

- Potrafisz sobie radzić. Nie odcinaj czegoś, co jest częścią ciebie. - Bezdomna uniosła głowę i spojrzała na Jacka.

- Oboje to zrobiliśmy, w taki czy inny sposób. On powiedziałyby ci to samo. Nie zostawaj kaleką. Nie warto.

- Chyba już jakiś czas temu doszłam do tego samego wniosku. - Zażenowana Cordelia puściła dłoń starszej kobiety.

Trampula podeszła do Jacka i spojrzała na jego spokojne oblicze. Potem wsparła dłoń na policzku mężczyzny. Opadające włosy zasłoniły jej twarz i nikt nie mógł odczytać wypowiedzianych przez nią słów. Mogła tylko mieć nadzieję, że Jack je usłyszał, gdziekolwiek był.

- Kocham cię.

Gdy wychodziły, do drzwi podeszedł jakiś mężczyzna. Minęła chwila, nim Trampula zdołała go rozpoznać.

- Michael.

Mężczyzna ścisnął w rękach ogromny kosz z owocami, niemal całkowicie zasłaniający mu twarz. Zdołały jednak wyczytać na niej strach. Nikt się nie odzywał.

- On był również moim przyjacielem. - Michael opuścił kosz o kilkanaście centymetrów. - Czy mogę go zobaczyć?

Trampula i Cordelia wymieniły spojrzenia, poddając ocenie mężczyznę, który przed kilkoma miesiącami opuścił Jacka. Siostrzenica chorego skinęła głową, dając wyraz ich obopólnej zgodzie.

- Wszyscy go kochamy.



Rosemary Gambione kołysała się w przód i w tył, załamując dłonie. Siedziała na łóżku, czekając, aż prawnik Widmowych Pięści zatwierdzi wszystko oficjalnie. To koniec. Mafia przegrała. Twarze zabitych donów, capos oraz żołnierzy towarzyszyły jej teraz nawet za dnia. Koszmar stał się jej rzeczywistością.

Zalewał ją pot. W wilgotnym sierpniowym upale w pokoju był straszliwie parno. Jej walizka leżała spakowana na łóżku. Rosemary była gotowa do wyjazdu. Dokądkolwiek, byle tylko daleko od Nowego Jorku.

Usłyszała pukanie do drzwi. Sięgnęła do dzinsów i wyciągnęła walthera. W ostatnich miesiącach często z niego korzystała. Czuła się bezpiecznie, trzymając w rękach masywną broń.

- Kto idzie?

Uniosła pistolet, by odgarnąć z oczu wilgotne włosy.

- Miecznik. A może woli pani inne hasło?

Głos był kulturalny, a nawet nieco zniewieściały. Rosemary zapamiętała go z rozmów telefonicznych i rozpoznała go natychmiast. Ujęła pistolet w prawą dłoń i niezgrabnie otworzyła drzwi lewą. Do pokoju wszedł odziany w szyty na zamówienie biały garnitur męczyzna, którego znała jako Kruczka.

- O kurczę. - Przez chwilę spoglądał na jej pistolet, zanim rozejrzał się po pokoju. - Ach, żyjemy w ciężkich czasach, czyż nie tak? Widzę, że nie ma pani nawet biurka.

- Niech pan skorzysta z walizki, Latham.

Zauważyła, że uniósł leciutko głowę, usłyszawszy własne nazwisko. Od lat widywała go na każdej kolacji wydawanej przez Izbę Adwokacką. Dziwiła się, że nie poznała go po głosie.

- Proszę bardzo. Zdecydowanie wolę to nazwisko od pseudonimu „Kruczek”, na który najwyraźniej jestem nieodwołalnie skazany Proszę usiąść, pani Gambione. Czy raczej pani Muldoon?

- Gambione. Skończmy już z tym.

Rosemary usiadła po drugiej stronie walizki, nadal trzymając walthera na kolanach.

- Swoją drogą, moi... współpracownicy zajęli pozycje w budynku i na ulicy. Żeby zapewnić nam prywatność potrzebną do zawarcia tej transakcji.

Rosemary potrząsnęła z westchnieniem głową.

- Kruczek, nie zabiję pana ani nie wezmę jako zakładnika. Co by to dało? Pragnę tylko załatwić tę sprawę i wyjechać. Nie chcę, żeby zginęło więcej moich ludzi. Zobaczmy tę umowę.

Latham wręczył tekst Rosemary i obserwował ją uważnie, kiedy czytała. Kobieta zadawała sobie pytanie, czy interesowało go, jak nisko może upaść ktoś z jego grupy. Ale on nigdy nie uważał jej za równą sobie. Gdyby nie zależało jej na ocaleniu tych jej ludzi, którzy jeszcze żyli, zabicie Lathama byłoby wyjątkowo satysfakcjonującą formą samobójstwa.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Grupa, którą pan reprezentuje, przejęła wszystkie moje operacje w mieście, pozostawiając moich ludzi...

- Tych, którzy jeszcze żyją i są zdolni do pracy.

Rosemary zacisnęła dłoń na pistolecie.

- Tak, zgadza się. Podpiszę to. Ma pan pióro?

- Oczywiście. - Latham wyjął z aktówki pióro Mont Blanc, odkręcił je ostrożnie i wręczył kobiecie. - Proszę bardzo.

Rosemary położyła umowę na walizce i podpisała ją. To była jej ostatnia czynność jako jednej z Rodziny Gambione. Ujrzała na kartce odbicie twarzy ojca i jej dłoń zdrząła. Podpis był trochę niewyraźny, ale zapewni jej ludziom bezpieczeństwo.

Latham wziął w rękę umowę i przyjrzał się podpisowi. Rosemary nie potrafiła określić, czy uśmiecha się szyderczo na widok wilgotnych plam pozostawionych przez jej dłoń, czy też to po prostu typowy wyraz jego twarzy. Zauważyła, że on się nie poci.

- Chcę dostać pieniądze i bilet.

- Wszystko załatwione, moja droga. - Latham ponownie otworzył aktówkę, wepchnął do niej umowę i wyjął dwie koperty. Większa z nich była szara i wypchana ponad granice wytrzymałości. - Dwieście tysięcy dolarów i bilet na Kubę. Jak rozumiem, o tej porze roku jest tam bardzo miło. Mam nadzieję, że pani podróż okaże się przyjemna.

Latham wstał i podszedł do drzwi. Gdy dotknął klamki, odezwał się znowu:

- Jak rozumiem, poszukiwała pani pana Mazzucchel-lego. Moje źródła informują mnie, że przebywa pod adre-sem, który znajdzie pani w kopercie. Życzę szczęścia.

Rosemary gapiła się na białą kopertę leżącą na walizce, ale jej nie dotykała. Po chwili spojrzała na Lathama.

- To upominek - wyjaśnił prawnik, wruszając ramionami. - Grupa, którą reprezentuję, nie jest pozbawiona współczucia, moja droga.

Wzięła w rękę białą kopertę dopiero jakieś dziesięć minut po tym, jak drzwi się zamknęły. Obróciła ją w palcach, zobaczyła krwawoczerwony lak pieczęci i uśmiechnęła się boleśnie.



Jeden z postawionych przez nią warunków brzmiał tak, że ludzie, którzy weszli do magazynu, który miała przed sobą, otrzymają najlepszą możliwą opiekę. Większość z nich nie była już ludźmi. Byli dzokerami, którzy przeżyli spotkanie z Croydem. Nadal nie rozumiała, jak Chris zdołał to załatwić.

Gdy zadzwoniła do ich krewnych, by im opowiedzieć o tym, co zrobił, spodziewała się, że ucieszą się z szansy zemsty. Spotkała się jednak tylko z apatyczną akceptacją. Zemsta zostanie wykonana, ponieważ tak właśnie należało postąpić, a nie dlatego, by komukolwiek, ofiarom albo ich opiekunom, sprawiło to przyjemność. Wtedy poczuła się zaskoczona, ale teraz, gdy znalazła się w takiej sytuacji, zrozumiała ich. Ona również nie była zadowolona z tego, co miało się wydarzyć. Nie czuła w ogóle nic.

Wcześniej tego dnia znalazła boczne wejście do opuszczonego magazynu w Dżokerowie oraz drogę prowadzącą na pół- piętro. Jeśli Chris nadal tam był, nie zauważyła go. Tym razem, gdy znalazła się w punkcie obserwacyjnym, usłyszała ofiary krążące po magazynie w poszukiwaniu ukrywającego się tu mężczyzny. Wydawane przez nie dźwięki przyprawiły ją o mdłości, ale nakazała sobie patrzeć. W końcu wszystko to było jej winą.

Hałasy się nasiliły. Rosemary ujrzała uciekającą zwierzynę i wciągnęła nagle powietrze. Tego się nie spodziewała. Trzydziestoletni mężczyzna zmienił się w porośnięte futrem, powłóczące nogami stworzenie. Gdy tylko zorientował się, że go ścigają, zaczął drapać pa-zurami betonową podłogę, szukając punktu zaczepienia. Kiedy odwrócił głowę, próbując wypatrzeć swych

prześladowców, w blasku księżyca napływającym do środka przez rozbite świetliki załśniły ostre zęby osadzone w wydłużonym pysku. Jedynym szczegółem, który poznawała, był splątany mysi ogonek, nadal opadający mu na plecy.

Jego ofiary, jej ofiary, lały, pełły albo przesączały się przez korytarze magazynu, zmierzając ku sprawcy swych cierpień. Czy którakolwiek z nich pamiętała, kim była przedtem albo w jaki sposób stała się jednym z wypaczonych stworzeń ścigających byłego Chrisa Mazzucchellego? Gdy zauważono go po raz pierwszy, rozległo się podekscytowane ćwierkanie. Chris syknął na prześladowców, przeszywając powietrze wyciągniętymi pazurami. Ale oni byli nieubłagani. Nawet gdy już przelał krew, nie dali za wygraną. Otaczali go ostrożnie, trzymając się poza jego zasięgiem.

W końcu zagonili go do części magazynu wypełnionej wysokimi stosami zardzewiałej maszynarii. Nie był w stanie się na nie wdrapać i prześladowcy ruszyli do ostatecznego ataku. Rosemary próbowała się temu przyglądać, ale zamiast człowieka, który próbował ją zabić, widziała czułego mężczyznę, którego uczyniła swym kochankiem. Przyglądała się egzekucji tylko przez chwilę, nim dopadły ją mdłości i odwróciła się plecami do przeszywających krzyków i chciwego chłęptania, jakie rozległo się później.

Nawet same dźwięki wykroczyły jednak poza granice jej tolerancji. Uciekła, ale nie przestawały jej prześladować jeszcze długo po chwili, gdy wsiadła na statek i zwinęła się na łóżku, zakrywając uszy rękami.

## Tylko umarli znają Dżokerowo

### EPILOG

Nowe zamki zainstalowane przez Jennifer były tak skuteczne, że Brennan nie był w stanie dostać się do jej mieszkania na własną rękę. *To dobrze - pomyślał. Zapewne będzie ich potrzebowała.*

Usiadł na pomoście schodów przeciwpożarowych pod oknem jej sypialni i obserwował ruch uliczny na dole. Kiedy tu przybył, nienawidził tego miasta. Szczerze mówiąc, nie zmieniło się to po dziś dzień, ale w tej chwili myśl o jego opuszczeniu podobała mu się jeszcze mniej.

Niemniej musiał stąd wyjechać. Kiedy tu przybył, nic nie mogłoby wyperswadować mu zniszczenia Kiena. Poświęciłby niebo i piekło, by tylko doprowadzić do jego upadku. Ale nie był już tym samym człowiekiem, co wtedy. Pozwolił sobie na uczucia i musiał zapłacić cenę za tę słabość. Kien zwyciężył. Brennan skończył z planami zemsty. Obserwując ruch uliczny pod swymi stopami, po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo samotny czułby się w górach.

Ciepłe wiosenne popołudnie przeszło w wieczór, nim cichy dźwięk w pokoju za jego plecami kazał Brennanowi odwrócić się nagle. Jennifer wróciła z biblioteki i patrzyła na niego z głębi sypialni. Po chwili podeszła do okna i otworzyła je. Brennan wszedł do środka.

- No proszę - odezwała się kobieta. - Zjawiasz się raz na kilka miesięcy, regularnie jak w zegarku.

Była zła i Brennan ją rozumiał. Nie widział się z nią od zimy, gdy udaremnił zasadzkę zastawioną przez Widmowe Pięści w jej mieszkaniu. Istniało między nimi niewypowiedziane porozumienie, że wróci, by się z nią spotkać, ale do tej pory tego nie zrobił.

- Muszę cię ostrzec. - Nie było mu łatwo to powiedzieć.

- Opuszczam miasto. Kien obiecał, że zostawi cię w spokoju, ale nie ufam mu.

Zmarszczyła brwi.

- Wyjeżdżasz z mojego powodu?

Brennan wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że doszedłem do wniosku, że wolę życie od śmierci.

Zmarszczyła brwi.

- Wykorzystał mnie, żeby ci zagrozić. Powiedział, że każe swoim zbirom mnie załatwić, jeśli nie przestaniesz go nękać.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Brennan. - Zauważył, że jeśli uda mi się go zniszczyć, nie będę już miał po co żyć.

I że nie mogę mu zagrozić niczym, co powstrzymałoby go przed zabiciem ciebie.

Jennifer pokiwała z namysłem głową.

- Rozumiem. Zatem moje życie znaczy dla ciebie tak wiele, że jesteś gotowy wyrzec się swojej zemsty? Pozwolić Kienowi wygrać?

Mężczyzna wypuścił z ust długi oddech i skinął głową.

- Miło o tym wiedzieć - stwierdziła z uśmiechem. - To uprości sprawy.

- Sprawy? - zapytał mężczyzna z podejrzliwością w głosie. - Jakie sprawy?

- Takie, których ani ty, ani Kien nie wzięliście pod uwagę. Fakt, że nie pozwolę, by ktokolwiek wziął mnie jako zakładniczkę. Fakt, że nikt nie będzie mógł tego zrobić, jeśli nie będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć. - Wpatrywała się w Brennana przez bardzo długą chwilę. Przeszło go ukłucie bólu na widok urody kobiety oraz miłości, którą widział w jej twarzy.

- Żegnaj, Danielu. Szczęśliwych łowów.

Zdematerializowała się. Wyszła z ubrania, przeszła przez ścianę sypialni i zniknęła. Zdezorientowany mężczyzna gapił się na puste miejsce, które po niej pozostało. Odeszła, ulotniła się jak wyegzorcyzmowane widmo.

- Zaczekaj - wychrypiął, ale było już za późno. W pokoju został tylko on oraz jej rzeczy, porzucone na zawsze. - Zaczekaj...

Usiadł ciężko na łóżku, porażony szokiem i poczuciem nieodwołalnej utraty. To było dla niego jak fizyczny cios.

- Nie rozumiesz - rzekł w pustym pokoju, częściowo do siebie, a częściowo do nieobecnej Jennifer. Nagle spadło na niego zrozumienie. - Kien postawił mnie przed wyborem, ale ja dokonałem go z własnej woli. Ciebie pragnę bardziej niż zemsty. Wolę miłość od nienawiści... życie od śmierci...

Jego głos umilkł. Brennan gapił się na ścianę, za którą zniknęła kobieta. Oczy omal nie wyszły mu z orbit, gdy znowu wystawiła głowę na zewnątrz.

- Brawo. - Uśmiechnęła się. - Liczyłam na to, że powiesz coś w tym rodzaju.

Zerwał się z łóżka.

- Boże Wszchemogący! Wracaj tu i zmaterializuj się!

- A po co? Chcesz mnie pocałować czy wpakować mi kulkę?

- Będziesz musiała podjąć to ryzyko - zaczął mówić Brennan, ale zamknęła mu usta pocałunkiem, nim zdołał wypowiedzieć połowę słów.

- Wiesz co? - zapytała Jennifer, gdy już odzyskali zdolność oddychania. - Być może lepiej będzie, jeśli przyjmiemy propozycję Kiena... przynajmniej na jakiś czas.

Mężczyzna skinął głową. Prawą ręką otaczał jej talię, a lewą delikatnie śledził zarys jej zuchwy oraz podbródka.

- Masz rację. - W jego głosie i oczach wyczuwało się dziwny, marzycielski wyraz. Jennifer z początku była zdziwiona, ale potem poczuła wielką radość, gdy tylko wyczytała w nim zadowolenie, być może nawet szczęście. - Mam piękny dom w Catskills. Chciałbym, żebyś go zobaczyła. A w Nowym Meksyku nie byłem od... od... Jezus, to już tak długo?

Uśmiechnęła się i znowu go pocałowała.

- A co z Kieniem? - zapytała, gdy odsunęli się o siebie.

Brennan wzruszył ramionami.

- Nadal tu będzie. Mogę zaczekać. - Na jego twarz powrócił uśmiech, ale tym razem zawierał on w sobie chłód, który przerażał kobietę, lecz jednocześnie ją przyciągał, jak światło przyciąga ćmę. - To właśnie myśliwi robią najlepiej.

## I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie

### VII

- To śmieszne. - Bruder był wściekły. W jednej ręce trzymał parę skórzanych rękawiczek do prowadzenia samochodu i, mówiąc, uderzał nimi o nogi. - Zdaje pan sobie sprawę, co pan robi? Odrzuca pan majątek. Milion dolarów. Co więcej, naraża się pan na pozwy. Tudbury i ja byliśmy współnikami. Ta ziemia powinna należeć do mnie.

- W testamencie napisano inaczej - sprzeciwił się Joey DiAngelis, siedzący na przerdzewiałej masce edsela citation, modelu z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. W ręce trzymał puszkę schaefera, a Bruder spacerował przed nim w tę i we w tę.

- Spróbuję podważyć ten cholerny testament - zagroził Bruder. - Cholera, razem wzięliśmy kredyt.

- Kredyty będą spłacone - zapewnił Joey. - Tuds ubezpieczył się na sto tysięcy dolców. Nawet po odliczeniu kosztów pogrzebu została kupa forsy. Dostanie pan pieniądze, Bruder. Ale nie złomowisko. Ono należy do mnie.

Bruder wskazał na niego palcem. Rękawiczki zwisały mu z dłoni.

- Jeśli pan myśli, że pana nie pozwę, to lepiej niech pan pomyśli jeszcze raz. Odbiorę panu cały dobytek, razem z tym zasranym złomowiskiem.

- Pierdolę to - skwitował Joey DiAngelis. - Proszę bardzo, niech pan mnie pozwie. Chuj mnie to obchodzi. Mnie też stać na prawników, Bruder. Tuds zapisał mi całą resztę swoich rzeczy. Dom, kolekcję komiksów i swoje udziały w interesie. Sprzedam to wszystko, jeśli będę musiał, ale złomowisko zachowam.

Bruder skrzywił się wściekle.

- DiAngelis - zaczął bardziej pojednawczym tonem.

- Niech pan wysłucha głosu rozsądku. Tudbury chciał sprzedać to miejsce. Na co komu porzucone złomowisko? Proszę pomyśleć o wszystkich ludziach, którzy potrzebują mieszkań. Ten projekt przyniesie wielkie korzyści całemu miastu.

Joey pociągnął łyk piwa.

- Ma mnie pan za kretyna czy co? To nie ma być schronisko dla bezdomnych. Tom pokazywał mi plany. Mówimy o domach za ćwierć miliona dolarów, tak? - Rozejrzał się po rozległym terenie pokrytym odpadkami i zardzewiałymi samochodami. - Pierdolić ten syf. Wychowywałem się na tym złomowisku, mój drogi Stevie. Podoba mi się takie, jakie jest.

- W takim razie jest pan idiotą - warknął Bruder.

- A pan przebywa na moim terenie - zauważył Joey. - Radzę stąd spierdalać, bo inaczej mogę wsadzić panu rurę wydechową w tę ściśniętą dupę.

Zgniół w ręce puszkę po piwie, odrzucił ją na bok i zsunął się z maski edsela. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie.

- Nie zastraszy mnie pan, DiAngelis - nie ustępował Bruder. - Nie jesteśmy już chłopcami na



szkolnym boisku. Jestem większy od pana i trzy razy w tygodniu chodzę na siłownię. Ćwiczyłem też sztuki walki.

- Jasne - zgodził się Joey. - Ale ja nie walczę uczciwie.

Uśmiechnął się szeroko. Po chwili wahania Bruder odwrócił się gniewnie na pięcie i ruszył do samochodu.

- Jeszcze się spotkamy! - zawołał, oddalając się.

Joey z uśmiechem śledził wzrokiem jego pojazd.

Po odjeździe Brudera DiAngelis wrócił do swego samochodu i wziął sobie kolejną puszkę schaefera z sześciopaku leżącego na przednim siedzeniu dla pasażera. Pociągnął pierwszy łyk. Wilgotny, wietrzny i pochmurny dzień za jakąś godzinę miał przejść w wilgotną, wietrzną i pochmurną noc. Joey usiadł na głazie i obserwował, jak dogasające światło maluje tęczę na pokrytej plamami ropy wodzie. Myślał o Tudsie.

Podczas stypy i pogrzebu trumna była zamknięta, ale gdy wszyscy już sobie poszli, Joey poszedł do pokoju na zapleczu i powiedział facetowi z firmy pogrzebowej, że chce zobaczyć ciało. Dzika karta nie zostawiła zbyt wiele, co przypominałoby Toma. Trup był pokryty skórą pancernika, twardą i łuskowatą, a do tego świecąca bladym, zielonkawym blaskiem, jakby była radioaktywna czy inne takie skurwysyństwo. Jego oczy były wielkimi kałużami błyszczącej, różowej żelatyny, ale miał na nich awiatorki Toma i Joey poznawał też umieszczony na małym palcu jednej z błoniastych dłoni pierścień. Jego przyjaciel nosił go w liceum.

Zresztą i tak nie było miejsca na wątpliwości. Ciało znaleziono w zaułku w Dżokerowie. Było odziane w ubranie Toma i miało przy sobie wszystkie jego dokumenty. Doktor Tachion osobiście przeprowadził sekcję i podpisał akt zgonu, porównawszy zęby z dokumentami stomatologicznymi.

Joe DiAngelis westchnął, zmiażdżył w dłoni kolejną puszkę i odrzucił ją na bok. Przypomniawszy sobie, jak budowali z Tomem pierwszą skorupę. W tamtych czasach puszki do piwa produkowano ze stali i piekielnie trudno było zmiażdżyć te skurwysyństwa. Byle offerma nie potrafiłby tego dokonać.

Podniósł resztę sześciopaku za uchwyt w plastikowym opakowaniu i ruszył ku bunkrowi.

Wielkie drzwi były otwarte. Joey zauważył blask pracującego na dole palnika acetylenowego. Usiadł na progu i zwiesił nogi w dół, machając przed sobą sześciopakiem.

- Hej, Tuds! - zawołał. - Jesteś gotowy na przerwę?

Palnik zgasł. Tom wyszedł zza nowej, wielkiej, na wpół

ukończonej skorupy. *Kurwa, ale potwór* - pomyślał po raz kolejny Joey, spoglądając z góry na jej szkielet. Prawie dwukrotnie przerastała rozmiarami największą z poprzednich, była hermetycznie zamknięta, wodoszczelna, skomputeryzowana i piekielnie mocno opancerzona. Kosztowała sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów - cała forsa z walizki plus większa część wypłaty ubezpieczeniowej. Tuds wspominał coś nawet o tym, że wykorzysta tę pierdoloną głowę, którą przyniósł ze sobą. Może znajdzie jakiś sposób na to, by naprawić radar i podłączyć ją do skorupy.

Tom zdjął gogle. Pozostały mu po nich blade kręgi wokół oczu.

- Ty dupku, ile razy muszę ci powtarzać, że Tudbury nie żyje? Nie ma tu nikogo oprócz nas, żółwi.

- W takim razie chrzanić to - skwitował Joey. - Żółwie nie piją piwa.

- Ten Żółw pije. Dawaj je tutaj. Zgrzałem się od tego spawania.

Joey rzucił przyjacielowi to, co zostało z sześciopaku.

Tom złapał go w locie, wyrwał z opakowania jedną puszkę i otworzył ją. Piwo trysnęło mu na twarz i włosy. Joey ryknął śmiechem.

## **Nota wydawnicza**

„Only the Dead Know Jokertown” copyright © 1988 by John J. Miller.  
„All the Kings Horses” copyright © 1988 by the Fevre River Packet Company. „Concerto for Siren and Serotonin” copyright © 1988 by the Amber Corporation.  
„Breakdown,” „Takedown,” and „What Rough Beast” copyright © 1988 by Leanne C. Harper.  
„Jesus Was an Ace” copyright © 1988 by Arthur Byron Cover.  
„Blood Ties” copyright © 1988 by Melinda M. Snodgrass.  
„The Second Corning of Buddy Holley” copyright © 1988 by Edward Bryant. „The Hue of a Mind” copyright © 1988 by Stephen Leigh.  
„Addicted to Love” copyright © 1988 by Pat Cadigan.  
„Mortality” copyright © 1988 by Walter Jon Williams.

lesiojot

**Na ulicach Dżokerowa wybucha wojna między mafią i Widmowymi Pięściami. Przemoc wyrwała się spod wszelkiej kontroli i nawet asowie i dżokerzy są zmuszeni toczyć bój z siłami świata przestępczego...**

*Brudne gry* rozgrywają się w czasie wydarzeń opisanych w *Wyprawie asów* i tuż po nich. Trzy główne wątki książki tworzą splatające się ze sobą opowieści. Pierwsza z nich opowiada o kryzysie tożsamości Żółwia, który zwątpił w sens swej superbohaterskiej działalności. Druga stanowi relację z życia Croyda Crensona, który przechodzi przez dwie kolejne transformacje. Wreszcie trzecia to opowieść o wysiłkach Tachiona, próbującego uporać się z nowo odnalezionym wnukiem Blaise'em, wojną gangów na ulicach Dżokerowa oraz zagrożeniem, jakie stwarza Crenson.

[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)



Cena detaliczna

**45 zł**

(w tym 5% VAT)

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

patronat:



fantasta  
Wydawnictwo Fantasta

## **Notatki**

[ ← 1 ]

Przełożył Władysław Witwicki

[ ← 2 ]

Cytaty z „Drugiej księgi dżungli” w przekładzie Józefa Czekalskiego.